Migotania

Gazeta literacka

Nr 1 (82) 2024 kwartalnik

Fundacja ŚwiattoLiteratury

„Zacierają się granice między sztuką a życiem. Wygląda na to, że najważniejsza jest kurtyna".

E. Borzemski:

Polecamy w numerze:

- Robert Bolaño, wiersze
- Marta Fox, fragment powieści, O północy pod wzgórzem miłości
- Andrzej Katzenmark, Ikar i Dedal, esej
- Wojsław Brydak, Forte, piano, Wspomnienie
- Czesław Karkowski, Ezra Pound przed sądem
- Małgorzata Dorna (Wendrychowska), o malarstwie Ewy Boguckiej - Pudlis
- Dawid Majer , wiersze
- Roman Warszewski, Cygara z Palomares, reportaż

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz

*

mży telewizor (jak w dawnym
wierszu przybosia) wyświetla
(jak w dawnym
wierszu gąsiorowskiego)
to co pozostało
po wielkim wybuchu
małe
zdarzają się teraz w innych częściach świata
poza tym
wszystko bez zmian
jak wtedy tak teraz
żyję oddycham umieram

13 XI 2005

W numerze prezentujemy prace Ewy Boguckiej-Pudlis
Plakat artystyczny Ewa Bogucka
Plakat poetycki: Urszula Mikołajczyk

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2024

FELIETON

Wit Romanowski

Ukraina. Co dalej?

Wacław Radziwinowicz to jeden z najlepszych dziennikarskich znawców Rosji w Polsce. W Moskwie i okolicach (nieraz bardzo odległych) spędził niezliczoną liczbę lat i odpowiednią ilość razy został stamtąd wydalany. Toteż jego ostatnia książka pt. Putin. *Car Atlantydy. Droga do wielkiej wojny* (Agora, Warszawa 2023) nie rozczarowuje. Przeciwnie. Wbrew tytułowi, nie jest to biografia Putina. Albo jest, tylko, że bardzo nietypowa. To biografia niczym wachlarz. Wraz z biegiem książki ukazuje on co raz to nowe fragmenty najnowszych dziejów Rosji, składające się na w pełni funkcjonalną całość, w której nic nie znalazło się przypadkiem.

Radziwinowicz w książce, w porządku chronologicznym, przypomina swoje teksty o Putinie i Rosji, które ukazały się w *Gazecie Wyborczej* od roku 1999 – od momentu, gdy Putin został wyznaczony przez Borysa Jelcyna na jego następcę, a potem wygrał wybory. Książka nie jest jednak wtórna. Ani trochę. Te teksty – poszczególne części wspomnianego wachlarza – złożone w całość pokazują to, co mogło ginąć, gdy były czytane z osobna, na dodatek na przestrzeni ponad dwudziestu lat.

Lektura książki rozwiewa wszystkie nadzieje i złudzenia. To, gdy dobrze się nad nią pochylić, lektura przerażająca. Ukazuje żelazną konsekwencję polityki zagranicznej i militarnej Rosji od co najmniej 30 lat – choć czy tylko? Z jej treści jasno wynika, że Putin konsekwentnie dąży do odbudowy sowieckiego imperium w nowej wersji, wraz z odtworzeniem jego strefy wpływu. Ukraina to tylko pierwszy krok, po którym z dużym prawdopodobieństwem nastąpią następne. A niby liberalny i reformatorski epizod rządów Putina z początku lat dwutysięcznych? To był podstęp. Chodziło o to, by liberałowie się ujawnili, by było wiadomo kto to taki i gdzie potem można go szukać (żeby zniszczyć, wsadzić za kraty, zmusić do emigracji). To samo swego czasu miało miejsce w Chinach, gdy Mao ogłosił, iż nadszedł czas, by zakwitło tysiąc kwiatów. One rozkwitły, a Wielki Sternik w odpowiedniej chwili je powyrywał i podeptał.

Niektóre rozdziały w książce Radziwinowicza to istne perełki. Są jak przysłowiowe krople wody, w których odbija się znacznie więcej niż to, o czym bezpośrednio mówią. Choćby reportaż pt. *Ukraina jako Gubernia* (str. 125–132; cała książka liczy prawie 800 stron!), w którym autor opisuje konflikt, jaki już w roku 2003, a więc jeszcze przed aneksja Krymu, rozegrał się wokół ukraińskiej wyspy Tuzła na Morzu Azowskim. (Czy była to próba aneksji Kremy w miniaturze i sprawdzenie, jakie mogą być na to reakcje? Trzeba by chyba nad tym się zastanowić.) Rosjanie, bez żadnych uzgodnień, zaczęli tam budować ze swego terytorium w kierunku tej wyspy groblę. Była to *oczywiście* inicjatywa lokalna, z którą Moskwa – sic! – nie miała nic wspólnego. Groble budowano tak długo, aż Rosjanie byli w stanie przejść na wyspę i ją *pokojowo* zająć. Jednym z argumentów było to, że Tuzła kiedyś była częścią mierzei, która teraz należała do Rosji. Rosja – jak zwykle przy tego rodzaju okazjach – *nie miała więc wyjścia* i po prostu *musiała* sięgnąć po swoje, *bo lokalna społeczność inaczej by jej tego nie wybaczyła*...

Ukraina w 2003 roku nie miała siły, by przeciwstawić się aneksji wyspy, a na świecie prawie nikt nie zauważył, co się wtedy stało. Kto by zajmowałby się jakimś skrawkiem lądu u ukraińskich wybrzeży na Morzu Azowskim?

Dziś trudno relacji Radziwinowicza o wyspie Tuzła nie potraktować jako przypowieści. Jako opowieść o tym, co za chwilę może stać się z całą Ukraina – a niedługo potem z resztą Europy Wschodniej. Bo *wielka wojna* z tytułu książki to na pewno nie wojna, która teraz toczy się na Ukrainie. To wojna, która może dopiero nadejść.

Wit Romanowski

Ewa Bogucka-Pudlis

Spis treści

Wit Romanowski. Ukraina, FELIETON str.2
Urszula Mikołajczyk, poezja, DEBIUT POETYCKI.....str.3
Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, wiersze.....str.4
Maria Jentys-Borelowska, Marian Pilot, Pisarz osobny..., ESEJ.....str.6
Robert Bolano, wiersze z Chile.....str.8
Grzegorz Bazylak, Robert Bolano, Nomada, fenomen misterne sploty.....str.10
Marta Fox, O północy pod wzgórzem miłości, fragmenty powieści.....str.11
Agnieszka Lubos, wiersze.....str.17
Andrzej Katzenmark, Ikar i Dedal, mit malowany skrzydłami, ESEJ...str.18
Andrzej Katzenmark, wiersze filozoficzne.....str.20
Maria Jolanta Fraszewska, Miłość po prostu. I w załomach życia, ESEJ.....str.22
Kazimierz Brakoniecki, Imitacje wierszy poetów chińskich.....str.26
Bogna Wiczyńska, Parę słów o kondycji i legendzie - A. Babiński, ESEJ.....str.28
Michał Skrętek, „STED" - W Jaskrawości istnienia, ESEJ.....str.30
Andrzej Wołosewicz, Gąsiorowskiego poezja i jego eseistyka, ESEJ...str.33
Krzysztof Mierzejewski, wiersze.....str.40
Jakub Michał Pawłowski, Chocia bułkiem, proza.....str.41
Julia Kłoda, wiersze.....str.42
Christian Medard Manteuffel, Reportaż spod psiej gwiazdy.....str.43
Piotr Chruściel, wiersze.....str.45
Wojsław Brydak, Forte, piano, WSPOMNIENIE.....str.46
Ewa Nowosławska, Powroty..., proza.....str.53
Piotr Kominek, wiersze.....str.55
Krzysztof Szymoniak, Fotografie z masakry, czyli Gardelegen.....str.56
Mariusz Zimoński, Gdzie ta Portugalia, proza.....str.61
Maria J. Fraszewska, Odpowiedź Cz. Sobkowiakowi, wiersz.....str.64
Andrzej Walter, Panu Już dziękuje, panie Gombrowicz, ESEJ.....str.65
Czesław Karkowski, Ezra Pound przed sądem, ESEJ.....str.66
Marek Jastrząb, Powrót marnotrawnego tatusia, proza.....str.68
Jakub Fornagiel, wiersze.....str.70
Zbigniew Joachimiak, Syrena, proza.....str.71
Magdalena Łubkowska, wiersze.....str.73
Roman Warszewski, Cygara z Palomares, REPORTAŻ.....str.74
Dawid Majer, wiersze.....str.76
Edmund Borzemski, wiersze.....str.78
OMÓWIENIA
Kazimierz Skorupski, Księga Prozy Niecodzienne Czesława Sobkowiaka,.....str.80
Andrzej Wołosewicz, Ja, zagubiony wędrowiec po wyobraźni poety.....str.81
KSIĄŻKI NA HACZYKU - AGNIESZKA MOROZ.....str.84
RECENZJE,.....str.86
Jerzy Fryckowski, Owoc spada zawsze niedaleko pieśni
Jerzy Lengauer, Tabliczka z ceną
Mateusz Wabik, W opozycji do Warszawy
Mateusz Wabik, Rozmyślania w bliskości z naturą
Mateusz Wabik, Złe i dobre wspomnienia
Andrzej Walter, Modlitwa o poezji trwanie
Andrzej Walter, Konstelacje znaków i przeszkód
Roman Warszewski, Jan Paweł II i teologia wyzwolenia
Jerzy Stasiewicz, Słowo o prozie Zbigniewa Niedźwieckiego Ravicza...
Jerzy Stasiewicz, Dotykanie deszczu przemijania w poezji A. Czachorowskiej
Jerzy Stasiewicz, Indywidualny/rozpoznawalny głos poezji Renaty Cygan...
Jerzy Stasiewicz, Kieł duszy w skrzydłach motyla ...
Mateusz Wabik, Polski romantyzm a doświadczenie z hipnozą i stworzenie „bezdusznej masy", ESEJ.....str.99
Szymon Florczyk, wiersze.....str.101
Zdzisław Drzewiecki, Profesor, WSPOMNIENIE.....str.102
Małgorzata Dorna (Wendrychowska), Persony, twarze i gest. Portale, bramy, zaułki... ESEJ, SZTUKA.....str.103
Kazimierz Skorupski, Mój Godot, ESEJ, TEATR.....str.106
Roman Warszewski, Jak połączyć ogień z wodą, ROZMOWA.....str.110
Zbigniew Wojciechowski, wiersze.....str.112
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (46) FELIETON.....str.114
Władysław Zawistowski, Zbigniew Majchrowski, WPOMNIENIE.....str.116

DEBIUT POETYCKI

POEZJA

Urszula Mikołajczyk

Powiedz

Powiedz, czym byłby księżyc, gdybyś nie znał danych?
Czym jasno zrysowane, dostojne oblicze;
Czym iskry - aniołowie, lub dzieci, lub znicze,
Tworzące światy w ciszy źdźbeł łez pozłacanych;

Granicą czyniąc pancerz delikatnej wody;
Pod taflą skrzy się niebo, a poświata sucha
Tak zwisa ze sklepienia, bez liny, łańcucha,
Jak lekka, zwiewna kropla, wielki król przyrody;

Powiedz więc, czym jest księżyc? Przecież nie kamieniem;
I czym ziemia bezkresna? Przecież nie pustkowiem;
Popatrz kiedyś do góry milczącym spojrzeniem -

Gdzieś musi być ta światłość, dziś zakryta nowiem;
Czym innym jest ta wiara jeśli nie wspomnieniem?
Wiesz, o co chodzi? Popatrz, a ja ci opowiem.

Urszula Mikołajczyk - *mam 17 lat i chodzę do liceum. Mieszkam w malowniczym domku pod lasem z rodzicami, siostrą, bratem, psem i kotem. Kocham zapach koszonej trawy, taniec i mojego chłopaka. Interesuję się biologią, matematyką, geografią, rysowaniem i pisaniem. Moje wiersze nie były jeszcze nigdzie publikowane.*

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz

Sekwencja siódma
(Fragmenty)

*

aparat mi się zepsuł więc zdjęcie nie wyszło
a zresztą było ciemno i gmach też był ciemny
z wyłupionymi oczodołami okien szramami po bombach
ogrodzony od ulicy balustradą z desek
z poprzyklejanymi plakacikami: nie ma serbii
bez kosowa i metochii takie większe ksero
już poszarzałe
późny wieczór prawie
noc

*

i nie wiem dlaczego w kiosku na ruinach
starego fortu osmańskiego (jeszcze jedno
upadłe imperium) nie kupiłem
pocztówki z brozem tito a miałem
dość dinarów i euro rakija tania
pewnie byłem zmęczony był upał a wczoraj
z krzysztofem g. piliśmy w podrzędnym hotelu
do późna w noc tak się zapatrzyłem
na banknoty za szkłem jugonostalgia stare
już wycofane z obiegu wraz z państwem które
przestało istnieć twarze i symbole
też wycofane z obiegu patrzyłem
na banknoty za szkłem

*

o czym był
ten baletowy spektakl oglądany
szóstego września dwa tysiące
piątego roku w lokalu
związku pisarzy serbii
co znaczyło
no pasaran

10 XII 2005, 13.05

Ewa Bogucka-Pudlis

puste cokoły i nowe ruiny
tajne więzienia tajne bazy tajne
groby tajne i jawne
procesy

9 XI 2005

*

to się powtarza: przychodzą zwycięzcy
bramy triumfalne kwiaty i ludowe stroje
okrzyki na cześć a potem pomniki
porozbijane przychodzą kolejni
po bramach znowu zmieniają się godła

20 IX 2005

*

wreszcie którejś nocy
krzysztof g. mi się przyśnił
był – ale zanikał
mówił – ale powietrze stało nieruchome
i głos się nie przedzierał przez przejrzystą taflę
spojrzałem na zegarek stanął (teraz? dawno?)
nie byłem pewien ten sam hotelowy pokój
albo może warszawski oddział związku literatów
butelka była pusta i puste kieliszki
na stoliku pełna petów popielniczka
nieruchome powietrze czas nieruchomy
zapadaliśmy się w fotele jak w sen
(młodszy brat śmierci)

X-XII 2005

[PUBLIKACJA: „KOMUNIKATY2" 2009 NR 14 S. 10]

ESEJ

Maria Jentys-Borelowska

MARIAN PILOT PISARZ OSOBNY I WYJĄTKOWY (1936-2024)

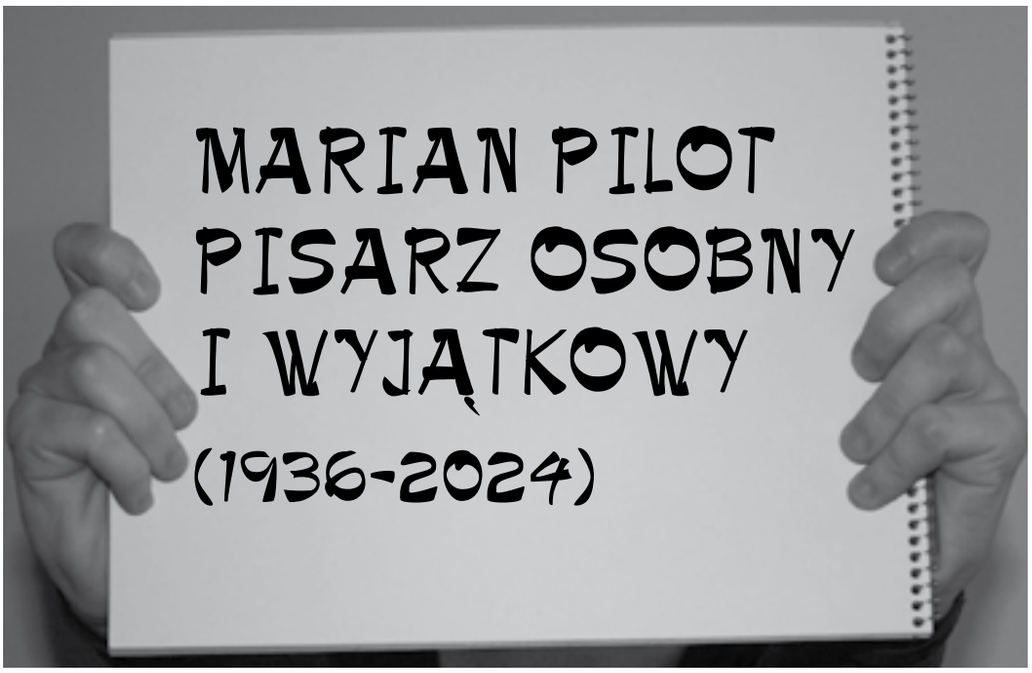

Chociaż miłośnicy literatury pięknej w Polsce dobrze wiedzą, jakiej klasy i miary pisarzem jest Marian Pilot, godzi się powiedzieć raz jeszcze, mocniej i dobitniej, to, co się nie jeden raz o pisarzu tym mówiło. Powtórzę więc własne słowa za tekstem opublikowanym sześć lat temu w „Twórczości":

Marian Pilot istnieje w polskiej literaturze od ponad półwiecza (debiut *Panny szczerbate* 1962, 1989).

Jest wnikliwym i bezkompromisowym - choć zarazem czułym i jak rzadko życzliwym - obserwatorem i diagnostą przemian, jakie od tegoż półwiecza zachodzą w świadomości mieszczucha o chłopskim rodowodzie dotkniętego frustracjami alienacyjnymi i dolegliwościami dezintegracyjnymi (*Majdan* 1969, *Pantałyk* 1970, 2012, *Zakaz zwałki* 1974, 2023, *Wykidajło* 1980, *Bitnik Gorgolewski* 1989).

Jest głęboko empatycznym i współczującym portrecistą wszelkiego pokroju biedaków i nieszczęśliwców, zarówno tzw. ofiar losu (kalek, głupków, chorych nieuleczalnie), jak też ofiar transformacji ustrojowych po 1945 oraz po 1989, rozmaitych wykolejeńców i „popaprańców" (*Na odchodnym* 2002), wyrzutków i nieudaczników (*Cierpki. Oboki. Nice. Bardzo małe opo*. 2006).

Jako twórca wybitnych artystycznie i ważkich poznawczo powieści *Pióropusz* (2010, 2011, Nagroda Nike) i *Osobnik* (2013) – powieści, w których epoki fundamentalnych przemian społecznych i cywilizacyjnych (po 1945 i po 1989) ukazane są poprzez obrazy groteskowych zmagań człowieka z mechanizmami niszczącymi jego tożsamość, godność, podmiotowość – plasuje się w czołówce pisarzy-wizjonerów, profetów, moralistów.

Jest wreszcie Marian Pilot żarliwym miłośnikiem słowa, genialnym słowostwórcą i odkrywcą słów zapomnianych, a wskrzesicielem umarłych; z upodobaniem czerpie z przebogatego skarbca swej mowy pierwszej, chłopskiej, siedlikowskiej, mikstackiej, ożywia ją, wzbogaca, pomnaża; z pasją archeologa wydobywa z głębokich pokładów pamięci to, co zostało tam wdeptane i zasypane: słowa-prawdziwki, słowa-samorodki (*Matecznik* 1988, *2012, Cierpki. Oboki. Nice, Gody* 2009, *Pióropusz, Osobnik*, także *Ssapy. Szkudły. Świętojanki. Słownik dawnej gwary Siedlikowa* 2011)[1].

A teraz trochę konkretów i szczegółów biobibliograficznych. Urodził się 6 grudnia 1936 roku we wsi Siedlikowo w Poznańskiem, zmarł 2 lutego 2024 roku w Warszawie. W ciągu swego osiemdziesięciosiedmioletniego życia wydał 24 książki, w tym: 8 powieści, 12 zbiorów opowiadań, 2 tomy esejów, słownik dawnej gwary Siedlikowa, zbiór poematów; ponadto 4 scenariusze filmowe. Przez 11 lat (od 1967 do 1978) współredagował „Tygodnik Kulturalny", a przez 29 lat (od 1975 do 2004) kwartalnik „Regiony", w tym od 1997 jako redaktor naczelny (po Wiesławie Myśliwskim). Pracował też przez kilka lat w Telewizji Polskiej przy realizacji filmów fabularnych.

Mimo tak wielu ważnych dla kultury polskiej, a zwłaszcza dla literatury i języka dokonań, Marian Pilot był długo twórcą nieznanym i niedocenianym. Dopiero Nagroda Nike, przyznana mu w roku 2011 za powieść *Pióropusz*, opromieniła go sławą i wydobyła z cienia jego powieści, opowiadania, eseje, poematy. Marian Pilot stał się obecny w czasopismach i księgarniach, a przede wszystkim w świadomości czytelników. Internetowi miłośnicy literatury zainteresowali się wszystkim, co napisał, nie wykluczając pierwocin, jak zeszłowieczne *Panny szczerbate*, *Sień* czy *Zakaz zwałki*.

Zwłaszcza *Zakaz zwałki*!!! Powieść szczególnie ważna w dorobku pisarza, gdyż to na jej kartach pojawił się pierwszy OSOBNIK, w niej też po raz pierwszy ujawnił się z wielką siłą, inwencją i odwagą twórczy, żeby nie powiedzieć, rewolucyjny stosunek Mariana Pilota do języka literackiego. Nic dziwnego, że sięgnął po nią dzisiejszy wydawca

Bardzo stara powieść (z roku 1974!) ukazała się kilka miesięcy temu (w połowie roku 2023) nakładem oficyny HA! ART, i to z ostrzegawczą trupią czaszką na okładce, dokładnie taką, jaką widywało się na butelkach z denaturatem lub na słupach wysokiego napięcia. W Internecie natychmiast ozwały się na jej cześć hymny pochwalne, takie na przykład: „Ani trochę nie da się odczuć, że książka będzie niedługo obchodziła swoje 50-te urodziny. Jej eksperymentalna szata zapewnia długowieczność, nie starzeje się wszak to, co naznaczone ponadczasowością".

Bezimienny recenzent ocenił rzecz wedle języka. Niby słusznie, literatura wszak to język! Jednak nie da się nie zauważyć, że w tym przypadku o aktualności (długowieczności) dzieła literackiego zadecydowała doskonała j e d n o ś ć treści i formy, adekwatność języka do świata (bohatera) przedstawionego. Boguś jest rozbity wewnętrznie, starty na miazgę, zagubiony z kretesem, więc i jego mowa musi być bezładnym, konwulsyjnym potokiem słów. Inaczej jego monolog nie przemówiłaby do nikogo. I rzecz nader ważna: tragigroteskowy bohater (a raczej antybohater) *Zakazu zwałki* to prototyp Osobnika z arcypowieści o cztery dekady późniejszej. To również osobnik, czyli człowiek odłączony i odistoczony, tyle że ukazany jako produkt i ofiara systemu totalitarnego, podczas gdy drugi, bezimienny, to wytwór i ofiara cywilizacji XX/XXI wieku. Wspólne im obu jest wszakże - jednako tragiczne w skutkach - wykorzenienie z kultury chłopskiej i niezakorzenienie w kulturze miejskiej, czy to Polski Ludowej, czy Trzeciej Rzeczpospolitej.

Na koniec recenzja *Zakazu zwałki* także wydobyta z lamusa[2].

Sumienie bez dziedziny

„Kto ja?" — zapytuje siebie bohater tej książki zaraz na pierwszej stronicy. I desperuje, pełen obrzydzenia sobą: „Szmaciarz czy ten od szamba, hycel od padła?" Tego poczucia szmatławości, wstrętu do siebie, litościwej samopogardy nie pozbędzie się do końca. Przeciwnie, ugruntuje je w sobie, rozpoznawszy do korzeni, do dna jego zasadność. I rozstrzygnie o swoim losie aktem ucieczki-samobójstwa.

Lecz najpierw będzie się szarpał i miotał, aby niejasną dla siebie i zagmatwaną — „skarakuloną", według obrazowego określenia jednego z bohaterów — rzeczywistość rozpoznać, określić swój stosunek do niej i w niej się odnaleźć, ustanowić. Będzie atakował rzeczywistość zewnętrzną, ją oskarżał w osobie swego zwierzchnika Rzuna, aby powoli zejść w głąb, ku wewnętrznym powodom swego psychicznego i moralnego rozbicia.

„Szmaciarz czy ten od szamba, hycel od padła?" — pyta więc sam siebie Boguś, bo wypadło mu być — jeżeli już trzymać się tego desperacko drastycznego określenia — „hyclem od padła". To znaczy, wypadło mu uwinąć się — wedle dyspozycji pozbawionego skrupułów Rzuna: „z biglem", „chybko", bezceremonialnie — z garścią ludzkich szczątków, wydobytych przypadkiem w czasie robót z budowlanego wykopu. Słowem, przypadło mu zadanie zwałowania człowieczych resztek tak, jak zwałuje się resztki zwierzęce, bydlęce, śmieci, odpadki. Jest bowiem kierowcą na budowie. Jest, według Rzuna, chłopakiem łebskim, który łatwo upora się z taką sprawą. Ale, czego Rzun nie może

1 Maria Jentys-Borelowska: Opowieści knajtka z Mikstatu. „Twórczość" 2017 nr 5. (Recenzja książki Mariana Pilota Boskie dziecko: podanie. Oficyna KUBA, Warszawa 2016).

2 Maria Jentys-Borelowska: Sumienie bez dziedziny. „Regiony" 1975 nr 2.

przewidzieć, jest zarazem kimś, dla kogo za tą sprawą do „chybkiego" załatwienia kryje się SPRAWA nie do rozstrzygnięcia. Czy jednak SPRAWA, czy też tylko pseudo-sprawa, sprawa pozorna? Na miarę Bogusiową za wielka, lecz nieautentyczna. Zogromniała i wykoślawiona w krzywym zwierciadle jego osobowości. Lub też wyolbrzymiona przez niego dla jakiegoś powodu. Dla jakiego? Posłuchajmy Bracha, domorosłego filozofa, cynicznego, ale przenikliwego, który w desperackim miotaniu się Bogusia, w jego niezdolności do postanowienia czegokolwiek w sprawie skrzynki ze szczątkami widzi jedynie „niemrawe babranka rozkładowca", nie zaś objawy rzeczywistej rozterki moralnej:

Nie dla proformy-li wsio eto? Nie manewr, nie pozoracja wszystko — jazdy szalone, ruchy, podrygi, gesty? (...) przeciw komu manewr? kogo ma zmylić pozoracja? Kto komu i czym chce w oczy sypnąć? Samemu sobie? W jakim celu? Po co? Z jakiej przyczyny? Z racji nieumiejętności zdania sobie sprawy z tego, co rzeczywiste i prawdziwe, a co nie tyle, że fałszywe, ale zetlałe, z czego sam czas już wytoczył treść, z czego ulotniła się cała realna zawartość, co jawić się już może tylko w zmyłkowym jakimś i obskurnym teatrzyku cieni (...) Sam siebie omamiasz i ogłuszasz grzechotem archeologicznych kości (...) Zwałka. Bez zaprzątania głowy, zawracania dupy — zwałka (...) sprawiedliwie i uczciwie; najuczciwiej i najsprawiedliwiej[3].

Przenikliwy Brach ma rację: Boguś nie broni zasady, lecz pozoru zasady; oszukuje się — w odruchu samoobronnym — całkiem świadomie i całkiem bezskutecznie. Oto bowiem odpowiada: „Czy ja cały czas w tamtym właśnie kierunku nie mierzę, tylko lęk, żeby nie zwałować za wiele, żeby, widzisz, w śmieci nie zwalić czegoś jeszcze, czegoś..." I zaraz, ponieważ ma świadomość nieprawdziwości własnych słów, dodaje całkiem już samokrytycznie: „Czy mogę wydziedziczyć się z wszystkiego: z niczego nawet?" A więc n i c z e g o broni Boguś z pełną, tragiczną świadomością, że owo nic to wszystko, co ma; że tylko nic, pozór jedynie zdolny jest objąć swą wrażliwością, swym sumieniem. A mimo to nadal zakazuje sobie zwałki. Omamia się i ogłusza z uporem. Nie chcąc, nie mogąc wyrzec się sumienia, odżywia je pokarmem żałosnych, złudnych namiastek. „Ani Hamlet, ani cham" — jak powiada Brach — „niewypoczwarzone Chamhamle, niedorodek z flądrzym okiem i móżdżkiem jak oczko żabiego skrzeku"[4].

Nieporównanie zasadniej jednak niż Brach obchodzi się z Bogusiem jego własny, chłopski ojciec, kiedy syn z kolei odwołuje się do jego rady i pomocy. Ojciec mówi doń: „Ja tobie powiem, ktoś ty: ty jesteś samego siebie sobowtór, mojego syna bezhołowy sobowtór"[5]. Mówi to w oburzeniu i pogardzie.

Ty. Tyś gorzej niż z pustymi rękami wrócił. Tyś ze wszystkim swoim, z całą swoją jedną jedyną zasadą i wagą swojego życia pod pachą przyszedł: z mieszkiem pełnym truchna. Taka tylko twoja dziedzina? Tyle tylko umie objąć twoje sumienie? Dla swojej ojczystej dziedziny nie miałeś nic serca ani sumienia (...) w całym zaś takim wielkim i rozmaitym świecie co jest twoje znaleźne, na którym, o krucyfiksum, oparłeś swoje sumienie?

Są to najbardziej ważkie słowa w tej książce, zawierają bowiem moralną kwalifikację postawy życiowej bohatera. Są najcięższe, ponieważ płyną z przeświadczenia opartego na systemie wartości niewzruszalnym i rzetelnym, gruntownym i realnym jak sama ziemia, która go zrodziła. Są także głębokie, gdyż wywodzą się z mądrości zdolnej objąć i uszanować wszelkie dziedziny ludzkiego sumienia, byle uczciwe, sprawiedliwe, autentyczne. Ojciec wszak już dawno, u maleńkiego jeszcze syna rozpoznał podejrzanego coś, niejasnego, „odstępnego coś", „coś kosego, coś krzywego"[6], co sprawiało, że ich spojrzenia „nie szły sobie naprzeciw; omskiwały się, kosiły"; słowem zmiarkował, że sumienie synowskie nigdy nie ogarnie tego, co podług prawa i obowiązku objąć było winne, bo Boguś ani ręki, ani serca nie miał ni do ziemi, ni do bydlęcia.

Mimo to ojciec poniechał prób nagięcia go ku gospodarce, ku dziedzinie chłopskiego sumienia. Poniechał, ponieważ pojął, że inny jakiś obszar może być sumieniu jego syna przypisany, przeznaczony; inny, tylko jemu samemu jeszcze nieznany, jeszcze przezeń poszukiwany. W mądrości swej pozwolił mu go szukać. I tylko w niepokoju śledził, jak syn po prawdziwej drodze idzie, tyle że postępuje po niej krzywo. Bo Boguś został ministrantem. I — jako ministrant — idąc z pozoru najprostszymi ścieżkami do Pana Boga, koślawił te ścieżki, ministrując nie tyle Bogu, słudze Bożemu, co jego psom, sforce bezrozumnych bestyjek, które ów sługa Boży, „święty" ksiądz Buchner, miał za stworzenie bardziej godne niż człowiek. I on to może ze swoją fałszywą hierarchią rzeczy ugruntował w chłopcu wrodzoną mu koślawość czy ułomność widzenia rzeczywistości. Nakierował opacznie jego wrażliwość, jego sumienie. Pouczał go: „*Sobaka wywieła człełowieka w ljudi*". Odtąd Boguś brnąć będzie fałszywym — jak sam mówi: ścierwim — tropem do końca. Przystanie z własnej woli i rozumu na takie rzeczy, dla których w ojcowskim sumieniu nie znajdzie zrozumienia. Pokieruje sobą tak, że żyć będzie życiem bezcelowym i beztreściwym. Zawsze „sprawiedliwy" przeciw wszystkim, więc niesprawiedliwie, dwuznacznie sprawiedliwy, opacznie wrażliwy, ze zmyłkową hierarchią zmyłkowych wartości. Ułomnością widzenia rzeczywistości, kalectwem sumienia nieznaczony od dzieciństwa.

Rzecznik wściekłych psów. Bo jest taka scena w książce. Wizyjna scena o ważkości równej monologowi ojca. Scena, w której bohater — przeciw ludziom — broni prawa wściekłych bestii do... wściekłości, do wolności, jak twierdzi; w której z „ideologii' porażonych zwierząt czyni — paradoksalnie — swoją ideologię.

I pojmuję, jakby mnie ciął grom, że moje życie niewarte. Prosto, jasno, tłusto w moim życiu: ani wrzawy, ani muzyki, ani upadku, ani wywyższenia. Przebieram ziarno po ziarnie, każde martwe i nijakie, z żadnego nie wykwita nic, ziele ani trujące, ani miodowe. Tok leniwy, bez wyboju, spadu, urwiska; martwy tok. Sprawiedliwie mi, myślę… Żadnego w moim życiu powątpiewania, żadnego rozmysłu i zastanowienia, wszystko na swoim miejscu, psy do bud przytwierdzone łańcuchami i nie zapyta nikt: czy sprawiedliwie? Wyjawiły jednego dnia wściekłe psy: sobaczy kół, sobaczy łańcuch niesprawiedliwy; co jeszcze niesprawiedliwe jest i niesłuszne?... Myślę tak i wiem już: tknięty jestem. I nic, co było, nie jest już, choćby wydawało się, że trwa niezłomnie. Nie ostał się kamień na kamieniu i pierwszy głaz położyć muszę dopiero na fundamentalnym miejscu[7].

Nie znajduje owego fundamentalnego głazu Boguś. Głazu pod konstrukcję swej osobowości i swego losu. Nie może go znaleźć, bo nie ma sobie owego fundamentalnego miejsca pod taki głaz. Owej zasady. Jest grząski. Rozchwiany. Połowiczny. Jak mówi — słabosilny. Zbyt wrażliwy, lecz zarazem opacznie wrażliwy. Za słaby — jak twierdzi — by żyć podług rozumu, ale nie tak słaby, by dać się prowadzić wierze. Nie może znaleźć w sobie skrawka autentycznego obszaru, na którym mógłby wznieść konstrukcję swego losu. Ogarnia obszary grząskie, w których zatraca się jego wrażliwość — potencjalne oparcie dla nietuzinkowej osobowości.

Dlatego chwyta się kurczowo żałosnego pozoru — skrzynki z zetlałym ludzkim truchłem. I broni go ze wszystkich sił, jako cienia, strzępu moralno-egzystencjalnej zasady swojego życia. Broni groteskowo („jazdy szalone, ruchy, podrygi, gesty"), broni desperacko (szuka potwierdzenia swych racji u ludzi, nawet u jasnowidza), broni żałośnie (bójka z żulikami o skradzioną przez nich skrzynkę ze szczątkami), broni wreszcie tragicznie - w pełni świadom jej bezwartościowości, decyduje się na ... samozwałowanie. Na ucieczkowy gest samobójczy.

Książka Pilota jest przejmującą opowieścią o człowieku bez reszty zagubionym we współczesnym świecie, wypranym z autentyczności, wyzutym z własnej tożsamości, startym wewnętrznie na miazgę. O człowieku bez losu, daremne i rozpaczliwe poszukującego choćby tylko zwykłej, uczciwej, realnej, „twardej" treści swojej egzystencji. Jest to książka ważna w dorobku pisarza, kontynuuje bowiem i rozwija wątek podjęty w *Majdanie*, gdzie opisane zostało wcześniejsze i łagodniejsze stadium owej moralnej choroby, która zabija Bogusia. Bohater *Majdanu* bronił się swoją nijakością, w niej był sobą. Ten zatraca się, ponieważ z desperacką konsekwencją próbuje do ostatka ratować pozory swej istotności.

Lecz może w tej upartej konsekwencji kryje się jakaś jego wartość? Może walczy, jak umie, o prawdziwy sens i realną treść swojego istnienia? Albo dlatego, że gdzieś na dnie jego sumienia skrzy się okruszek kryształu?

Atrakcyjność tematyczna i fabularna *Zakazu zwałki* idzie w parze z atrakcyjnością formy. Jeżeli literatura (piękna) to język - a trudno się z tym twierdzeniem nie zgodzić - to trzecia z kolei powieść młodego pisarza jest literaturą *par excellence*, a do tego wyjątkową i wiele obiecującą. Język jej bowiem to rwący potok słów — dziwnych, rzadkich, arcytrafnych, przepysznych, z ludowej mowy wziętych lub wynalezionych przez autora. To dziki i kręty strumień świadomości, doskonale oddający „skarakuloną" osobowość bohatera i takąż jego sytuację życiową. A zatem również „skarakulony". Język ten to znak rozpoznawczy Mariana Pilota i jego skarb, dany mu z „góry". Co z nim zrobi, jak go wykorzysta i pomnoży z biegiem lat, zobaczymy, lecz pewne jest już teraz, że wiele razy jeszcze zaskoczy nas, zadziwi, zachwyci i… przerazi.

Maria Jentys-Borelowska

Marian Pilot: *Zakaz zwałki*. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1974; wydanie 2 Wydawnictwo HA! ART 2023.

3 Marian Pilot: Zakaz zwałki. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1974, s. 112-113.
4 Jw. s. 118.
5 Jw. s. 187.
6 Jw. 178.
7 Jw. s. 165-166,

Roberto Bolaño

Przekład: Grzegorz Bazylak.

FIASKO I NIEWYPAŁ

Oto jestem. Do dziś przyglądałem się sobie
chyba z milion razy i doszedłem do wniosku,
że coś niepojętego ożywia ten spektakl,
który słychać w rytmie uderzeń mego serca.
W tej narracji moje pióro wbija się, jak sztylet,
w drewniany stół i martwe oczy otwierają się
między uszami śpiącego tygrysa. A przecież
wszystko miało być takie proste, mówili
mi to kiedyś, gdy będąc dzieckiem, podczas
padającego w nocy deszczu, zapragnąłem strącić
księżyc z nieba albo zrzucić ze ścian w moim
pokoju kilka portretowych fotek dyktatorów
zawieszonych tam z patriotycznego obowiązku.

KREW POWOLI SĄCZY SIĘ Z OKA

Mówisz, że mnie kochasz
ciągle powtarzasz,
że mnie nie kochasz.
Piszesz, że mnie kochasz,
a do tego sprawiam,
że cierpisz.
Ale kiedy twoi przyjaciele
przychodzą, aby cię zobaczyć,
mówisz, że naprawdę nie możesz
już znieść tej sytuacji.
Piszesz, płaczesz, to ja
już lepiej stąd wyjdę.
Poezja musi dalej żyć
nawet z takimi faktami.
Przecież nie mogę
być z tobą przez cały czas.
Wchodzą te bełkoty
bez uprzedzenia
do mojej sypialni,
jak złodzieje
zdecydowani na wszystko.

SZCZĘŚCIE

Na szczęście oni nie wydali mi żadnych
książek i nie muszę recenzować broszurek
ich przyjaciół w czasopismach. Mogę czytać,
co chcę, mogę milczeć na moich odczytach
albo włóczyć się po ulicach, omijając księgarnie
i witryny zaprojektowane zgodnie z ich stylem,
wypełnione dźwiękami, które oni lubią.

Umrę, niczego nie publikując, bo nie mam zapału
i talentu do tworzenia alternatywnych wydawnictw.
Nie chcę też, aby za jakiś czas, kiedy już będę
prawie trupem, pewien młody poeta z obcego
kraju (jak ja teraz) napluł na moją prywatność,
właściciela i władcy tej ziemi, która nie należy
do nikogo, pisząc paszkwile przeciw mnie.

ROZKWITAJĄCE KOSZMARY

Moje koszmary są nieskończonym stosem kwiatów, układają się jeden na drugim, wypełniają wszystkie szczeliny, są z każdej strony, pną się w górę, ukorzeniają w dół, wiją po bokach, nie pozostawiają wolnego miejsca, to ciągła lawina kolorów i życzliwości. Tam, gdzie kończy się jedna warstwa, zaraz zaczyna się druga. Jaką poezję można by tutaj uprawiać? Może potulne podrygiwanie, może tylko pokorne migotanie, albo pomrukiwanie.

NA WYLOCIE

Moja namiętność do przygaszonych świateł ostygła na widok fajerwerków wybuchających w kolorowych obłokach. Jako chłopak lubię lustrzane odbicia, dźwięki ulicy, które dochodzą do mnie z blaskiem neonów. Jako handlarz patafizycznych grafik Jean Miró, które mnie wzbogacają, ale tylko w długi, wielkie jak Meksyk, nie wyjadę stąd nigdy. Jako chłopak mówię sobie, że nie znajdę tu żony, będę znosił swoją codzienność, jak królik z parafialnej szopki, będę czytał książki, jak gryzoń do adopcji i przez cztery godziny po zmierzchu będę rozmyślał o smokach. Do siebie tak mówię. Ale przecież dobrze wiem, że to wszystko już dawno temu minęło, nawet wiem, że pokawałkowane sny wyglądają jak szczątki egzotycznych ptaków, po których tylko ich nazwy multiplikują się w pamięci spokojnie i słodko.

RĘCE DO GÓRY

W tej okolicy poeci, jak zaklęci odlatują na dywanach, unosząc ze sobą poematy z bitów i bajtów nadawanych prosto z serca. A my wciąż siedzimy na kanapach, czekając na coś nadzwyczajnego, szepcząc o zapomnianych listach, powtarzając dziwne wieści, że poeci znikają w tej okolicy.

DZIKA ESKAPADA

Jeśli naprawdę liczy się to o czym myślisz, to pokaż wreszcie, że jesteś mężczyzną, idź dalej poeto, chory na siebie, nie dbając o drobne przeszkody, o to, że będziesz w tej podróży cierpiał za zamkniętymi drzwiami, że doznasz głodu, który będzie za tobą wędrował, bo przecież już od dawna jest czymś zwyczajnym w twoim życiu.

Dotrzesz do olśniewająco wygodnych hoteli, wymażesz tam wszystko z pamięci, po to, aby twój cień w weekendy nie klękał na schodach świątyni, doznając zawrotu głowy w obliczu harmonii. Tam wreszcie pozbędziesz się nudy, jaka wydostaje się niepostrzeżenie spod czarnego aksamitu i dopada nagle sekretnych kochanków, którzy wciąż nie pocałowali ust Mnemosyne, ani żadnej z jej sióstr i córek.

Powiedz sobie, jak dziecku, że jeszcze nie jest za późno, uśmiechnij się do lustra, kątem oka zobaczysz w nim jakiś ukochany cień, który momentami cię obserwuje, podczas gdy od wielu godzin, to czarno-białe fotografie, ludwikowskie meble i odblaski fleszy na ścianach znikają razem z dźwiękami ulicy, podobne gestom świętych lub smugom dymu z petów dogasających w zielonej popielniczce.

Pomyśl z uczuciem wdzięczności o czymś, co straciłeś, razem z tym, co ledwo było ci dane, nie obawiaj się własnych emocji, prostych słów, jakie wtedy wypowiesz w pustym pokoju, aż do rana, dopóki nie zaciśnie się wokół ciebie pierścień zapomnienia, ten cudowny lek, jak słodka i wonna ambrozja podawana dzikim poetom przed defenestracją lub agonią w otchłani świtu.

Grzegorz Bazylak

Roberto Bolaño (1953 - 2003): Nomada, fenomen i misterne sploty

Roberto Bolaño, chilijski pisarz, poeta i prozaik, urodził się 28 kwietnia 1953 r. w Santiago de Chile, stolicy Republiki Chile. Jako dziecko wraz z rodzicami i młodszą siostrą mieszkał w kilku różnych miastach tego kraju. Jako piętnastolatek osiadł w Mexico City, stolicy Meksyku, gdzie zakończył szkolną edukację, pracował jako reporter i poświęcał czas lekturom, a w 1972 roku założył z miejscowymi poetami Ruch Infrarealistyczny, który był mieszaniną dadaizmu i surrealizmu. W 1973 roku wrócił do Chile tuż przed ludobójczym puczem gen. Augusto Pinocheta (5 tys. zabitych cywilów w tydzień, 11-18.09.1973, dalsze 50 tys. zabitych do 1990 roku). Gdy próbował opuścić Chile, został zatrzymany na granicy pod zarzutem terroryzmu i trafił na osiem dni do więzienia, skąd uciekł, dzięki pomocy więziennym klawiszom. Następnie w 1974 roku przedostał się do Salwadoru i znów do Meksyku, a potem do Francji (1977) i Hiszpanii (1978), gdzie był m.in. kierowcą śmieciarki, nocnym stróżem, robotnikiem portowym i akwizytorem. Na początku lat 80. zamieszkał w Geronie (Gironie w j. katalońskim), a następnie, aż do śmierci, w nadmorskim Blanes (60 km od Barcelony), gdzie otworzył sklep z pamiątkami i sprzedawał m. in. grafiki i ceramikę Jeana Miró (1893-1983).

Od szóstego roku życia Roberto Bolaño ciągle pisał wiersze i poematy (wydane w 2000 roku w tomie pt. „Los perros románticos", ale na początku lat 90., gdy się ożenił i urodziły się jego syn i córka, postanawia zarabiać i żyć z pisania prozy. Pierwsze jego powieści „Lodowisko" (1993) i „Literatura nazistowska w Ameryce" (1996) zostały opublikowane w słynnej barcelońskiej oficynie wydawniczej Seix Barra. Kolejną powieść „Gwiazda daleka" (1996) publikuje znany kataloński wydawca Jorge Herralde, który mówi o nim „to jest romantyczny pies, wściekły pies, zbity pies". Przełom w karierze literackiej Roberto Bolaño nastąpił po entuzjastycznym przyjęciu powieści „Dzicy detektywi" (1998), za którą został uhonorowany nagrodą Herralde Prize. W tym samym roku za powieść „Rozmowy telefoniczne" (1998) uzyskuje najbardziej prestiżową nagrodę dla pisarzy chilijskich **Municipal Prize for Literature Santiago de Chile**. W 1999 roku dostał za tę powieść Premio Rómulo Gallegos - wybitnie prestiżową nagrodę literacką dla pisarzy Ameryki Łacińskiej. Jego powieść „Chilijski nokturn" (2000) została wpisana przez panel recenzentów i krytyków z „The *Los Angeles Times Book Review*" na listę dziesięciu najważniejszych książek wydanych na świecie w 2003 roku (The Ten Best Books of 2003).

Roberto Bolaño, znany z tego, że nigdy nie gryzł się język, już od początku lat 90. wiedział, że jest bardzo poważnie chory na wirusowe zapalenie wątroby. Oczekując na przeszczep, Roberto Bolaño umiera nagle 15 lipca 2003 roku w szpitalu w Barcelonie, na kilka dni przed planowaną operacją, z którą ciągle zwlekał, chcąc dokończyć ostatnią monumentalną powieść pt. „2666" (2004). Wielowątkowa, paradokumentalna powieść „2666" o szalonej eskapadzie poetów, terrorze mafijnej władzy i bestialskiej masakrze kobiet na pograniczu Meksyku i USA, przyniosła Roberto Bolaño pośmiertnie największą sławę i międzynarodowe uznanie oraz status jednego z najwybitniejszych pisarzy latynoamerykańskich, o talencie porównywalnym z takimi arcymistrzami prozy i konwencji literackich jak Jorge Luis Borges (1899-1986), Gabriel Garcia Márquez (1927-2014), Julio Cortázar (1914-1984) czy Mario Vargas Llosa (1936-). W każdym z pięciu rozdziałów tej powieści „2666" zastosował Roberto Bolaño całkiem inne, oryginalnie rozwinięte, środki stylistyczno-fabularne, które nawiązują do formy powieści kampusowej, surrealistycznej, bitnikowskiej, szkatułkowej oraz dydaktycznej, co spowodowało, że powieść „2666" została wyróżniona m.in. nagrodą **Ciudad de Barcelona Prize**, nagrodą **Salambó Award**, nagrodą pisarzy hiszpańskich, nagrodą pisarzy chilijskich **Altazor Award** oraz ponownie **Municipal Prize for Literature Santiago de Chile.**

Roberto Bolaño (1953 – 2003), foto zrobione ok. 1999 r., Blanes, Hiszpania.

W Polsce ukazało się dotychczas jedenaście powieści Roberto Bolaño (por. portal czytelniczy lubimyczytac.pl), które tłumaczyli na j. polski m.in. Carlos Marrodán Casas, Tomasz Pindel, Nina Pluta, Anna Topczewska, Katarzyna Okrasko, Jan W. Rajter, Marta Szafrańska-Brandt oraz liczne opracowania krytyczno-literackie poświęcone jego twórczości w postaci artykułów m.in. prof. Arkadiusza Żychlińskiego, dr Zofii Grzesiak, doktoratów m.in. dr Arkadiusza Trojanowskiego (2020), czy też obszernych monografii naukowych, m.in. „Katedra Bolaño: szkice krytyczne", Wojciech Charchalis, Arkadiusz Żychliński (red.), Wyd. UAM, Poznań 2015, ss. 192. Nie spotkałem się jak dotąd z przekładami poezji Roberto Bolaño na język polski, chociaż istnieją przekłady na j. angielski, których dokonała Laura Healy, redaktorka *The Harvard Review (Cambridge, MA)*, *o*publikowane w USA w formie trzech książek „The Romantic Dogs" (2008, s.160), „Tres" (2011, s. 173) oraz „The Unknown University", (2013, s. 848).

Prezentowane tutaj wiersze pochodzą z cyklu 13 wierszy Roberto Bolaño, które napisał w 1978 roku w Barcelonie. Zostały po raz pierwszy opublikowane w 2020 roku, z odnalezionych rękopisów poety, w broszurze pt.: "Leamos a Bolaño. Un regalo inédito", Alfaguara, Barcelona 2020, pp.30. (GB)

Grzegorz Bazylak

Marta Fox

O PÓŁNOCY POD WZGÓRZEM MIŁOŚCI

FRAGMENTY POWIEŚCI

O książce:

Ta powieść jest dla Ciebie, jeśli byłaś kobietą niewidoczną, a chcesz być samoswoją.

I dla Ciebie, jeśli jesteś mężczyzną próbującym kochać uważnie.

To powieść o szalonej miłości/ namiętności/ zakochaniu (?). O oswajaniu świata słowami i poezją. O uwodzeniu listami słanymi tradycyjną pocztą.

O Polsce lat 80, z chmurą czarnobylską nad głową, z akcją w Gdańsku i Wrocławiu. Nie rozprawiało się wówczas o asertywności, poprawności politycznej, nie korzystało z poradników psychologicznych, telefon stacjonarny był luksusem, a w podróż jechało się z neseserem, nie z walizką na kółkach.

Jest to powieść „drogi" przez piekło patriarchatu, matriarchatu, jedynie słusznego schematu miłości, z którego bohaterka się wyrwa, depcząc rodzinne skrypty, przeciwstawiając się matce, mężowi, ciotkom. Buduje świadome życie i realizuje swoje chciejstwa.

Tej powieści nie da się ująć w jednoznaczną etykietkę, bo jedna otworzy drzwi do następnej. Pewne jest tylko to, że jeśli podążysz za Małgorzatą i Michałem, nie zapomnisz tej przygody.

Rozdział 8
Rok 1984
Przyjaciółka i kolczyk

Adaś wrócił ze szpitala i nieustająco okazywał swoją radość, nawet kilka razy powiedział, że jest szczęśliwy, choć w ich domu nie używało się tego sformułowania. Przytulał się do rodziców i dziadków, każda zabawka była dla niego na nowo atrakcją. Zauważył zmiany w sypialni rodziców. I od razu zdecydował, że i on chce mieć w swoim pokoju taki parapet zamiast biurka, by na nim odrabiać lekcje, co z tego, że dopiero za dwa lata, kiedy pójdzie do szkoły.

– Po co ci ten parapet mamo, przecież nie chodzisz do szkoły? – zapytał rezolutnie.

– Każdy lubi mieć swój kąt, tata ma swój gabinet i biurko, ty masz pokoik, a ja nie miałam nic – tłumaczyła Małgorzata. – A teraz zobacz, tu mam maszynę do pisania, tu papier, tu kalki do robienia kopii, korektor, taśmy, w tej puszce długopisy, w tej ołówki, gumki myszki, tutaj wieczne pióra, na półkach zeszyty, kartonowe pudełka na drobiazgi biurowe. Jeszcze by mi się marzył w kącie, w rogu, regał na książki i to już byłoby moje prawdziwe królestwo.

– Babcia mówi, że w kuchni jest twoje królestwo, i że na parapecie powinny stać kwiaty w doniczkach, a nie maszyna do stukania.

– Nie jestem kucharką, Adasiu. I tak naprawdę nie lubię gotować. Robię to dlatego, że was kocham, i z oszczędności, tego nauczyła mnie mama, czyli twoja babcia. A przy parapecie będę pisać artykuły do gazet i będę marzyć.

– O samochodzie? Takim dużym? Z kołem zapasowym z tyłu?

– Nie, synku, będę marzyć o miłości. I rozmyślać o tym, co zrobić, abyś miał dobre dzieciństwo.

– To ja wolę, aby tata marzył o samochodzie, bo zawiezie mnie nad morze.

– Nad morze możemy pojechać pociągiem i to takim z łóżkami do spania, co ty na to?

– A samolotem możemy?

– Jak się bardzo postaramy, to możemy. Dlatego muszę pracować przy tym parapecie, by zarobić więcej pieniędzy i kupić bilety, co ty na to?

– I tata poleci z nami?

– Mam nadzieję, skarbie, jeśli nie wyjedzie w delegację.

Małgorzata poczuła uścisk w gardle, bo uświadomiła sobie, że nie wszystkie podróże męża były służbowymi. Kiedy sprzątała dokładnie mieszkanie przed powrotem Adasia, za szafką, w łazience znalazła złoty kolczyk, z szafirem. Od razu rozpoznała, że jest to kolczyk Izy, pamiątka po jej babci. Zwróciła uwagę na to przedwojenne cacko podczas ostatniego spotkania w jej domu, w Warszawie. W pierwszym odruchu chciała do niej zadzwonić i powiedzieć, że znalazła i że nie trzeba już szukać. Ale wtedy pojęła, że przyjaciółka musiała być w jej domu. Tylko kiedy? Zapraszała ją wiele razy, ale nigdy się nie składało. Czyli musiała być wówczas, gdy ona oddychała Gdańskiem i wierszami, czytanymi podczas spotkania w ratuszu. No, tak, przecież Iza mówiła, że weźmie delegację do Wrocławia.

Zabolało ją to odkrycie, ale nie chciała układać żadnych puzzli. Wypierała wszelkie powiązania, choć przecież dowód trzymała w ręce. Tłumaczyła sobie, że to niemożliwe. Rozbita, wystraszona, próbowała utopić problem w codziennych sprawach. Mieszkanie wysprzątała tak, że przeszłoby najbardziej rygorystyczny test białej rękawiczki. Kolczyk schowała do pudełka, w którym były już dwa przedarte bilety do Kłodzka, znalezione w koszu pod biurkiem męża. Pojechała jak zawsze do pracy w domu kultury, niepokój zastąpiła uśmiechem, a kiedy ktoś zapytał, czym jest tak podekscytowana, radośnie powiedziała, że synek już jest zdrowy.

W tramwaju spotkała kolegę z redakcji, szefa działu kultury. Zaproponował kawę w bistro obok redakcji. Nie odmówiła, jakby pewna, że szefowi się nie odmawia. Wysłuchała najpierw komplementów na temat swojego pisania, potem na temat urody. Kiedy jednak poczuła jego rękę na swojej, sprężyła się, cofnęła ją szybko i powiedziała: – Jeśli kiedyś będę chciała zdradzić męża, pomyślę o panu.

– Jaki pan, jaki pan – powiedział szef, przystojny czterdziestolatek, za którym kobiety w redakcji wypatrywały oczy. – Wszyscy w redakcji mówimy sobie po imieniu.

– Nie należę do zespołu – zauważyła.

– To można zmienić, Małgosiu. Daj mi trzy miesiące, a zrobię z ciebie świetną reportażystkę, masz dar obserwacji, lekkie pióro, nie piszesz tak, jakby cię głowa bolała. Jest mnóstwo tematów obyczajowych, ty się nadajesz do łamania tabu, czuję, że to twoja działka. Mówię ci, nadchodzą →

wielkie zmiany, świat przyśpiesza, ty za nim nadążysz.

Szef się uśmiechnął dwuznacznie, tak jej się przynajmniej wydawało, ale nie dotknął ponownie jej ręki.

– Do tego tematu możemy wrócić – powiedziała spokojnie, choć w środku miała ochotę wykrzyczeć, że to cudownie, że chciałaby choćby od jutra.

Czuła się wyróżniona tym, że zarówno naczelnemu, jak i redaktorowi działu zależy, by z nimi pracowała na stałe. Po latach będzie pewna, że powściągliwość bardzo się przydaje. Nie mogła jeszcze wiedzieć, że dołączenie do zespołu będzie oznaczało pisanie na zadany temat, gonitwę w oczach, po czym można było rozpoznać wiecznie śpieszących się dziennikarzy, i że jej wrażliwość nie wytrzyma długo takiej próby.

Wtedy też nie mogła wiedzieć, że po 1989 roku pismo, z którym w końcu jednak się związała, zostanie zlikwidowane, ani też że diagnozy szefa się spełnią, bo rzeczywiście zacznie łamać obyczajowe tabu, ale nie w reportażach, tylko w powieściach, jakie napisze. Wówczas, pijąc kawę w bistro na Podwalu, w pobliżu Wzgórza Partyzantów, przedwojennym Liebichshöhe, krótko po wojnie zwanym Wzgórzem Miłości, czuła się pogłaskana komplementami szefa, który docenił jej pisanie, jak potem cenił je Michał, poeta.

Gdyby nie była zmęczona tak, jak była, gdyby nie miała na głowie aż tylu osobistych spraw i zmartwień, zapewne wyraziłaby bardziej spontanicznie swoje zadowolenie, a może i sama dotknęłaby ręki szefa.

– Jak będzie, umówisz się ze mną na randkę? Czy będziesz się upierać, że nie zdradzasz męża? – szef uściślił propozycję.

– Powiem szczerze, mam taką zasadę, że nie zdradzam swojego kochanka, więc nie umówię się z tobą, ale kusi mnie etat, nie tylko wierszówka, więc rozważę tę zawodową propozycję.

– Czy dobrze zrozumiałem, kochanka nie zdradzasz? To znaczy, że go masz?

– Bystrzak z ciebie – powiedziała.

– Uciekam – dodała, obowiązki Matki Polki wzywają.

Czuła się dziwnie lekka, uśmiechała się, ilekroć powróciła do niej mina szefa, będąca mieszanką zaskoczenia, podziwu, kto wie, czy nie kolejnej zachęty do umizgów. Myliła się myśląc, że teraz już nie ma szansy, by choćby powrócić do złożonej propozycji. Jak się wkrótce okazało, jej wartość w oczach szefów wzrosła.

Jak to działa, zastanawiała się, że kiedy tylko przestaję się bać i szarżuję, zaczynam być doceniana. A może to dlatego, że zdobyłam się na luz, jak radziła Iza, która urozmaicała sobie życie kochankami? Ostatnio nie rozmawiały tak szczerze i wprost, bo czasy studenckich zwierzeń dawno się skończyły.

Mąż Małgorzaty pamiętał o ósmej rocznicy ślubu.

Wracał do domu coraz później, nawet się nie tłumacząc dlaczego, ale tym razem przyszedł w porze kolacji, przed dobranocką, i przyniósł osiem czerwonych goździków. Nie wiadomo kiedy te lata minęły, powiedział. I tyle. Lubiła goździki, nawet i wtedy, kiedy nie było na nie mody i nie kojarzyły się tylko ze świętowaniem jednego dnia w roku, w którym honorowano kobiety, wręczając im po jednym kwiatku i paczuszki z rajstopami. Czuły się wtedy hojnie obdarowane, częstowały mężczyzn wuzetkami, kawą parzoną w szklance, niby po turecku, „pliską" albo „słonecznym brzegiem", im więcej, tym weselej. Ile lat trzeba było, aby poczuły się tymi rajstopami sponiewierane, a nie obdarowane?

Małgorzata wstawiła goździki do kryształowego wazonu, jedynego jaki posiadała, ku zmartwieniu matki, dla której wszystko, co kryształowe było znakiem zamożności. Uśmiechnęła się skąpo, bo tego wieczoru zamierzała wreszcie zapytać męża o znaleziony kolczyk. Goździki pokrzyżowały jej plany, już wiedziała, że nie zapyta przez najbliższe dni, musi poczekać na lepszy moment. Usmażę bliny, powiedziała, do tego konfitury. Jak chcesz, powiedział mąż, ale głodny nie jestem. Usmażyła, zjadł, najbardziej ucieszył się Adaś.

Jestem zmęczony, powiedział mąż, i położył się na kanapie w pokoju, który nazywano stołowym. Dzisiaj nazwano by go salonem, bez względu na ilość metrów kwadratowych. Ich stołowy był mało stołowy, bo tam jadali najwyżej w święta. Pełnił za to rolę biblioteki i pokoju telewizyjnego. Jadalnią była kuchnia.

– Dlaczego tata nie idzie spać do łóżka? – zapytał Adaś.

– Bo chce sobie odpocząć na kanapie, jeszcze dla niego nie pora na spanie.

– Ty też będziesz odpoczywać na kanapie?

– Jeszcze nie, teraz będę siedzieć przy swoim biurku-parapecie i pisać, bo bardzo to lubię.

– A jak tata będzie chciał spać w łóżku, to mu będziesz przeszkadzać.

– Nie będę, bo tata zasypia błyskawicznie.

– Ale jak zaczniesz stukać na maszynie, to go obudzisz.

– Nie będę dzisiaj stukać.

– Najlepiej by było, gdybyś to biurko zrobiła w kuchni, bo tam masz swoje królestwo – Adaś po raz kolejny powtarzał, co zapamiętał od babci.

– Genialny pomysł, synku! Sam na to wpadłeś?

– Tak! – ucieszył się Adaś.

– Jakbym jeszcze miała łóżko w kuchni, to byłoby mistrzostwo świata – Małgorzata zakpiła.

– To nie jest dobry pomysł, bo tata by ci przeszkadzał, on w nocy chodzi do lodówki. – Czy tata może mi poczytać na dobranoc?

– Poproś, na pewno się ucieszy.

Kiedy zrobiło się cicho, Małgorzata zajrzała do pokoju Adasia.

Ojciec i syn leżeli przytuleni. Nocna lampka się świeciła.

– Zasnął? – zapytała szeptem.

– Już dawno – powiedział Adaś.

– To i ty zaśnij, synku.

Zamknęła drzwi. Wzięła słuchawkę przenośnego telefonu, który stał w przedpokoju i zamknęła się w sypialni. Wybrała numer Izy.

– Dlaczego dzwonisz z domu? – usłyszała od razu.

– Oczekiwałaś telefonu od Staszka, Izo? Ja tutaj ciągle mieszkam, więc skąd mam dzwonić o tej porze?

– Małgosiu, a więc już wiesz. To jest drobne nieporozumienie, proszę, zrozum moją sytuację.

– Jaką sytuację?

– Nie mam rodziny, sama wiesz.

– A... myślisz, że w imię tej samotności wolno ci zabijać moje małżeństwo i naszą przyjaźń?

– To tylko mały romans, Małgoś.

– Potrzebowałaś do tego akurat mojego męża?

– Nie wiem. Tak wyszło. Taka byłaś pewna tego poukładanego życia i męża. Pamiętasz? Na studiach tak testowałam chłopaków koleżanek, szczególnie tych, które były ich zbyt pewne. Śmiesznie bywało, pamiętasz?

– Dopiero teraz widzę, jakie to było wredne z twojej strony.

– Niektóre dziewczyny mi dziękowały, bo dzięki moim testom, otwierały oczy.

– Czyli mojego męża też postanowiłaś przetestować?

– Stanisław jest przystojny, błyskotliwy, spodobał mi się, no i stało się. To twoja wina, mogłaś nie jechać do Gdańska, przecież proponowałam, byśmy wracały razem do twojego domu.

– Co ma piernik do wiatraka? Chciałam zobaczyć morze w listopadzie, nadarzyła się okazja.

– Okazja, dobre słowo. Wszystkiemu winna jest okazja. Też mi się nadarzyła okazja, czyli akurat twój mąż. Jestem jednak bardzo zawiedziona, bo Stanisław mi obiecał na wszelkie świętości, że ty się o nas nie dowiesz – Iza z marnym skutkiem próbowała się ratować w oczach koleżanki.

– Nic mi nie powiedział.

– Jak to?

– Znalazłam w łazience twój kolczyk i z tą sprawą właśnie zadzwoniłam.

– Jak się cieszę!

– Z kolczyka?

– Też. Ale i z tego, że Stanisław nie powiedział.

– Będzie wściekły, kiedy się dowie, jak głupio się wygadałaś.

– Może to przemilczymy, Małgosiu? Bo widzę, że się za bardzo nie złościsz.

– No właśnie, aż się sobie dziwię. Powinnam wytargać cię za kudły, a ja nie mam siły się wściekać. Zresztą to nie pierwsza zdrada Staszka, ale pierwsza udokumentowana. Myślę, że mnie już nie kocha, więc róbcie sobie, co chcecie.

– Dziękuję, dziękuję, jednak masz klasę, Małgosiu – szeptała Iza.

– Wiesz co, Izo, mam was w dupie!

Mogłam sobie tę dupę darować, przyznała po cichu. Nie rozumiała, dlaczego nie zbluzgała Izy, która przez trzynaście lat była jej przyjaciółką. Dlaczego nie zrobiła dzikiej awantury mężowi. Dlaczego odkładała dowody przewinień męża z taką pieczołowitością, jak pieniądze na czarną godzinę i przez tyle tygodni wypierała podejrzenia.

Nie wiedziała, jak teraz będzie żyć, ale nie płakała. Włożyła psu obrożę i wyszła z nim na spacer. Kiedy wróciła, Stanisław spał na kanapie, przebrany już w piżamę. Przykryty był kołdrą, którą zabrał z sypialni. Poduszkę też zabrał. Albo słyszał ich rozmowę, albo zadzwonił do Izy.

Mam dla siebie całą sypialnię pomyślała, i to było miłe.

Weszła na krótko pod prysznic. Potem, leżąc już w łóżku, próbowała sobie wyobrazić inne łóżka, w których spała samotnie. Niewiele ich było. Miałaby co wspominać, gdyby wyobraźnię uruchomiła trzydzieści lat później, mając za sobą setki odwiedzonych miejscowości podczas podróży na spotkania autorskie, nie tylko w kraju. I wiele pokoi z łóżkami, w różnych hotelach, pensjonatach, gospodarstwach agroturystycznych i bursach.

Przewracała się z boku na bok, liczyła od setki w dół metodą Silvy. Nie pomagało. Zaparzyła rumianek, bo nie miała melisy. Wśród leków znalazła relanium. Tabletki jeszcze nie straciły ważności, zażyła jedną. Zasnęła.

Rano obudził ją Adaś.

– Apa chce sikać, a taty nie ma.

– Wyjdę z nią za chwilę.

Powoli podniosła się z łóżka, bo ciągle czuła się otumaniona niewygodną nocą, przerywaną uciążliwymi snami.

– Tata powiedział, obudź mamę, bo my sprzątać nie będziemy po kundlu.

– Nieładnie powiedział. Przecież wszyscy kochamy naszą Apę. I wszyscy powinniśmy dbać o porządek, nie tylko mama.

– Spóźnię się do przedszkola, jak nie wstaniesz.

– Już się pozbierałam. Do przedszkola nie pójdziesz, póki całkiem nie wydobrzejesz. Zawiozę cię do babci, jak zjemy śniadanie.

Ogarnęła mieszkanie, kołdrę, piżamę męża zaniosła do sypialni, jakby tak miało być. Czy Stanisław już nie będzie dzielił z nią sypialni, Jak to teraz będzie, zastanawiała się. Czy Stanisław już nie będzie dzielił z nią sypialni? Czuła dławienie w gardle.

Jak to jest być niekochaną?

Jak to jest nie kochać?

Jak wypowiedzieć tę skrzeczącą ciszę, której do tej pory nie znałam?

Rozdział 25
Rok 1985
Nad brzegiem morza

– Nie mam siły na nową miłość – powiedział, patrząc na swoje stopy, obmywane przez morskie fale i zagłębiające się w piasku.

Słowa wbiły się w nią jak ostre noże, ale nie poczuła bólu, bo nie chciała go czuć. Nie przytulił jej, nawet się nie przybliżył. Wydał się smutny, zagubiony i tak lekki, że mogłaby go wziąć na ręce i przenieść przez próg jak pannę młodą. Przenieść nawet przez morze, które przestało szumieć, przez wiatr, który ustał, jakby cały jego zapas przeznaczony na to popołudnie nagle wywiało.

Ten obraz, przypominający nagły zwrot akcji w literaturze, powracał do niej często i za każdym razem utwierdzała się, że gdyby nie determinacja, która wówczas nią zawładnęła i dodała odwagi, by iść własnymi ścieżkami, nie wywróciłaby swojego życia do góry nogami.

– Najważniejsze, że we mnie jest tyle siły i pragnień, by kochać za dwoje – pocieszyła się, próbując wierzyć, że udźwignie wszystko, co się pojawi.

Wiatr powrócił.

Morze na powrót się rozszumiało.

Wszystko się wyprostowało i rozluźniło.

Kłębek drutu kolczastego, który na krótko wpadł w jej żołądek, nie zdążył się rozgościć.

Ciężar spadł z pleców.

Gdyby nie uparła się przy spacerze, nie usłyszałaby słów, którymi Michał obnażał swoją słabość.

– Nad morze chcesz iść? Morze nic nie robi tylko szumi – zażartował. – Góry to jest coś niepojętego, wydają tysiące dziwnych dźwięków, z każdej strony inny.

– Nie marudź. Skąd ja ci wezmę tutaj góry? Złej baletnicy, to przeszkadza nawet rąbek spódnicy, zbieraj się – ponaglała.

Uśmiechnął się, nabrał wiatru w żagle, rozbawiony tym przysłowiem, nijak nie przystającym do ich wcześniejszych rozmów, w których dominowały cytaty z literatury, jak choćby ten z Cortazara o naciskaniu klamki i wychodzeniu po gazetę z takim przekonaniem, jakby za drzwiami czekała dżungla, którą trzeba pokonać.

Wyszli więc z domu, by się w nim nie kisić, jak mawiała, by przyzwyczajenie nie wylizało ich do gładkości, nie wrzuciło w rutynę i banał. Szeroki balkon ukwiecony i zazieleniony bluszczem, który od razu polubiła, nie mógł zastąpić długiego spaceru brzegiem morza. Leżąc w wygodnym fotelu i wsłuchując się w skrzek mew fruwających tuż nad głową, bo dziesiąte piętro dawało takie złudzenie, czuła się prawie, jak na plaży, ale bez wody obmywającej stopy była to namiastka.

Patrzyli w horyzont, ich ręce się nie dotykały, choć taki pejzaż aż się prosił, by go o ten dotyk uzupełnić. W różnych konfiguracjach, które podpowiadała jej w wiele lat potem wyobraźnia, raz wiatr im rozwiewał długie włosy, raz nie miał czego rozwiewać, bo mieli krótkie. Raz porywał jej słomkowy kapelusz, drugim razem nie miał czego porywać, bo to nie był jeszcze czas, kiedy nosiła kapelusze. Biała spódnica plątała się w opalonych nogach, srebrne bransoletki na przegubie lewej ręki dźwięczały. Wokół pachniało świeżością, wyzwaniem i przygodą.

Przysiadła na piasku, kolana przyciągnęła pod brodę, objęła obiema rękami. Chciała, aby Michał objął ją mocniej niż ona swoje nogi. Nie zrobił tego. Milczenie było jego znakiem. Wyrażał nim strach, niepewność, czasem agresję, o czym przekonała się później nie raz i nie dwa. Wygrzebała z piasku muszelki i płaskie kamyki, poupychała w kieszeniach spódnicy, wyrównała mokry piasek i napisała na nim:

„Plaża jest po to, by na wygładzonym ręką piasku móc napisać Twoje imię".

Po latach znalazła te słowa przed jednym z jego wierszy jako motto. I ucieszyło ją to, że zapamiętał.

Kiedy już wróciła do wrocławskiego domu i leżała w łóżku, rozpamiętując bliskość z Michałem, której nigdy przedtem z nikim innym nie doświadczyła, pomyślała: – Czułość zaprowadzi mnie do nieba. Na pewno tak pomyślała. I to na długo przedtem zanim Tomasz Jastrun napisał wiersz o podobnym tytule, i na jeszcze dłużej przedtem zanim Olga Tokarczuk wygłosiła mowę noblowską o czułym narratorze, tę, którą pokochał literacki świat.

Gdyby wtedy, nad morzem, nie odrzuciła słabości i niepewności Michała, gdyby nie poczuła się jak Nostromo albo Rambo, który obwiązał głowę czerwoną przepaską, by iść na wielki bój i wygrać, nie przeżyłaby ani nieba, ani piekła, i nie zdarzyłoby się wszystko, co doprowadziło ją do życia, jakie stało się jej własnym, niepowtarzalnym aż do szpiku kości, pełnym słów, którym nie wszyscy dawali wiarę, no bo przecież nie można być pisarzem dla każdego, powtarzała sobie na pocieszenie. Ale to później, później.

Rozdział 35
Rok 1985
Zapamiętane z Gdańska

Z tamtego świtu, kiedy przyjechała z Adasiem do Gdańska, pamiętała Michała opartego o futrynę drzwi, jego przeogromne zdziwienie w oczach, w drżącym głosie. Siedząc przy sąsiedzie-kierowcy, w jego dużym polonezie, przez całą nocną podróż z Wrocławia dygotała, wyobrażając sobie reakcję Michała. Teraz, kiedy on dygotał, czuła się wyjątkowo spokojnie, jakby zapas dygotania się w niej wyczerpał. Kocica Pani Ala przywitała ją pieszczotliwie, bo od razu otarła się pyszczkiem o nogi i połaskotała ogonem. Mieszkanie pachniało rześkim porankiem, cynamonem, goździkami, pomarańczą, a może po prostu bergamotką z zaparzonej herbaty, jak wtedy, kiedy była tutaj w czerwcu.

Michał pamiętał, że poczuł się tamtego poranka, jak kolor niebieski. I to nie tylko dlatego, że Małgorzata ubrana była w błękitną, zamaszystą spódnicę i takiż t-shirt. Zniknął jego szary smutek i czarny strach, zniknęła nawet przeźroczysta samotność. Zaniebieściło się lato z morską bryzą. Stało się radośnie, choć nikt się nie śmiał, nie podskakiwał i nie trzepotał skrzydłami.

– Czy pan jest kapitanem statku? – zapytał Adaś i nie czekając na odpowiedź pobiegł w głąb mieszkania za kocicą, a zaraz potem do łazienki.

– Mamo, czy tam daleko widać morze, a te żurawie to w porcie? – pytał dalej, stojąc na balkonie.

– Zaparzę herbatę – powiedział Michał, jak wtedy w czerwcu, i wyszedł do kuchni.

Przyniósł czajnik i znów zapachniało. Rozstawił filiżanki i salaterki z budyniem.

– Adasiu, nie mam nic ciekawego do jedzenia prócz budyniu – tłumaczył się.

– Czekoladowy – ucieszył się Adaś.

– Do tego herbatniki – Michał podsunął Adasiowi metalowe pudełko z maślanymi ciastkami.

– Jesteście na pewno zmęczeni.

– Ja tak, nie zasnęłam nawet na minutę, ale to nic, pojadę z Adasiem do Sopotu, a po powrocie może uda mi się go namówić na drzemkę.

– Dobrze, a ja ogarnę dom, zrobię zakupy.

– Kup jarzyny, ugotuję zupę – spojrzała wymownie na synka.

– Małgosiu, słyszysz, czynimy życie, zwykłą codzienność.

Przytulił ją.

To też zapamiętała z tego poranka. I jeszcze to, że kiedy zapytała, czy się cieszy, to nic nie powiedział, tylko oczy mu się ożywiły i prócz błysku zobaczyła w nich też łzy. Aha! I jeszcze klęknął przed nią i całował po rękach.

Michał zapamiętał, że od razu polubił Adasia, ale nie od razu mu to okazał, jakby miał pewność, że dziecku nie można się narzucać. Zabiegać można, ale na początku z bezpiecznej odległości. Dał jej klucze, by czuła się jak u siebie. Kiedy wróciła, zauważyła za wizytówką kartkę: „Zamknięty tylko górny zamek, Moja Kochana, otwórz dużym kluczem". Na klamce wisiał bukiecik groszków. Michał spał. Drzwi do jego pokoju były otwarte, więc je zamknęła. W kuchni czekały na nich rogaliki, dżem i nutella. Adaś aż zapiszczał z radości. Michał nie zapomniał o jarzynach, więc mogła ugotować letnią zupę.

W ciągu dwutygodniowego pobytu poznała codzienne zwyczaje Michała. Lubił spać. Bardziej jeszcze lubił wchodzenie w sen, te chwile, kiedy w ręce trzymał pióro i zapisywał słowa, a prawą nogą przekraczał cienką linię, poza którą czuł znośną lekkość bytu, owo „pomiędzy", co dawało mu radosne huśtanie, jak w dzieciństwie, gdy huśtawka szybowała w górę i tylko od dzieciaka zależało, kiedy z niej zeskoczy, zwinnie wpadając w piaskownicę lub trawę.

Michał lubił też swoje nocne rytuały, →

parzenie herbaty, słuchanie improwizacji Keitha Jarretta, Jeana Michela Jarre'go, ballad Włodzimierza Wysockiego, Żanny Biczewskiej. fletni Pana Gheorghe Zamfira, ballad Melani. Nocą zapisywał dni, czasem słowa, układające się w wiersz. Nie ponaglał ich, pozwalał, by przez niego przepływały albo mościły się. Czy czuł się wtedy jak pojedyncza trawa, dumna i smukła, próbująca sięgać jak najwyżej, w zakamarki obrazów, słów i uczuć? A może czuł się jak trzcina, poddająca się wiatrowi, ale myśląca, która nie ma bogów nad sobą?

Czytał Dickinson, Sexton, Eliota i Pascala. Przywoływał przeszłość, uprzedzał przyszłość, błąkał się w czasach, które już nie były jego albo jeszcze nie były. Może marzył o radości, ale jeśli jej kosztował, to ze strachem, że będzie trwała za krótko i trzeba ją zatrzymać, aby istniała w jakimś „bym", choćby tym z jutra. Budził się w porze obiadu i powoli wchodził w dzień, podobnie jak nad ranem w sen.

Małgorzata towarzyszyła Michałowi do północy. Mieli dla siebie co najmniej trzy godziny, od czasu kiedy Adaś zasnął, do czasu, kiedy i ona powinna zasnąć, by nazajutrz od rana móc czynić zwyczajne życie, jak Michał lubił mówić. Nie musieli się też szczególnie cicho zachowywać. Michał czuł się bezpiecznie, kiedy słyszał odgłosy domu, rozmowę, zamykanie, otwieranie drzwi, tupanie, stukanie, zapachy z kuchni, nawet gwizd czajnika z gotującą się wodą. Małgorzata gotowała zupy, lepiła pierogi, smażyła naleśniki, przyrządzała sałatki. Pokazała Adasiowi „Dar Pomorza", molo. Budowali zamki z piasku, zbierali muszelki i kupowali ryby bezpośrednio od rybaków. Mało jej było wspólnego bycia. I kiedy bawiła się z Adasiem na plaży, żałowała, że Michał ma taki rytm, jaki ma i że go nie zmienia nawet na ten krótki czas ich odwiedzin.

Z tamtego pierwszego wieczoru zapamiętała i to, że kiedy Adaś ją obudził po prawie dwugodzinnej drzemce, usłyszała rozmowę dochodzącą z pokoju gościnnego. Poczuła się nieswojo. Swoim przyjazdem niespodziewanie zburzyła porządek domu. Powinna się dostosować, a tu nawet nie było kiedy uzgodnić, jak będzie wyglądał ich pobyt, jak to zrobić, by nie mieć poczucia, że się przeszkadza. Na kolejne wyjście z domu było już za późno. Gdyby nie wieczór, na pewno by tak zrobiła. Adaś chciał koniecznie opowiedzieć o tym, co widział nad morzem, a ona powinna się przywitać. I co dalej?

Nabrała odwagi, stanęła w drzwiach, trzymając Adasia za rękę, bąknęła dobry wieczór i chciała się wycofać. I wtedy Michał powiedział: – Małgosiu, dołącz do nas.

– Masz gości – szepnęła.

– Mamy gości, kochana – Michał uratował sytuację. – Poznaj moich przyjaciół: Ludwika, Władysław.

– Małgorzata Maria – przedstawiła się pełną wersją imienia.

– I tym to sposobem Małgorzata znalazła swojego Mistrza – odezwała się Ludwika.

– To raczej Mistrz miał szczęście, że Małgorzata stanęła u jego drzwi powiedział Władysław.

Dziewczyna była brunetką z włosami do ramion. Okulary w cienkiej oprawce dodawały jej nie tyle powagi, co skupienia. Uśmiechnęła się dyskretnie, a kiedy poruszyła głową, jej włosy zafalowały niesfornie i nagle zniknęło skupienie intelektualistki i w oczach pojawiła się przekora studentki, której przerwano mądry wywód.

Władysław wydał się Małgorzacie dorosłą wersją Tadzia z filmu Viscontiego „Śmierć w Wenecji". Jasne falujące włosy okalały mu głowę, długi kosmyk spadał na oczy. Uśmiechał się łagodnie, zerkając raz na Małgorzatę, raz na Ludwikę, jakby szacował szanse obu na pojedynek nie wiadomo ku czemu zmierzający. Tylko Michał, paląc papierosa marlboro i wypuszczając dym w postaci kółek, wydawał się wyraźnie rozbawiony sytuacją i zadowolony, że jest w centrum zainteresowania.

– Przerwałam rozmowę, chętnie posłucham dalszego ciągu. O czym była?

– O Don Juanie – Ludwika od razu zareagowała, widząc, że ma szansę wrócić do przerwanego wątku.

– O Don Juanie i jego psie?

– Brawo! – Władysław klasnął w ręce. – Widzę, że znasz esej mojej Ludwiczki. – Tak, tak, ten pies, czarny, głodny wilk, nienasycony jak Don Juan, zżera każdego z nas, i trzeba się go albo wyrzec, albo go oswoić, albo wyprowadzić w taki labirynt, by stał się Minotaurem. Albo-albo, więcej nic. Ludwiczka mądrze o tym napisała.

– Właśnie próbowałam Michałowi wytłumaczyć, że jest nienasyconym Don Juanem, który poprzez ulotne związki zatruwane kłamstwem próbuje uwodzić z nadzieją, że uda mu się posiąść pełnię i tym samym uwierzyć w boskość własnej osoby.

– Posiąść? Czy to nie jest sprzeczne ze słowem uwieść? Czy uwieść znaczy „zwieść"? No i nie wiem, czy mówisz o Michale czy o jego poezji? I nie wiem, czy chcesz tym porównaniem Michała upupić czy pokazać, że jest heroiczny, bo wyzbyty hipokryzji, a także tragiczny, bo bez wyboru w tym sensie, że cokolwiek wybierze, obróci się przeciwko niemu?

– Małgosiu, zaczynasz przejmować stery w rozmowie o literaturze, zawsze to była domena Ludwiki – powiedział Władysław.

– Ja też chcę przejmować stery – wtrącił Adaś. – I chcę być kapitanem na statku.

– O, proszę, i to jest głos ze świata, a nie zza światów. – Adasiu, należy ci się nagroda, bo nas przywołujesz do życia – podsumował Michał.

– Jaka nagroda?

– Czarna krowa w kropki bordo, co to gryzie trawę kręcąc mordą i telewizor na raty – zażartowała Małgorzata.

– Wolę telewizor i najlepiej kolorowy, bo tu nie ma telewizora, i gdzie będę oglądał bajkę na dobranoc na tych wakacjach?

– No, jasne, synku, jeszcze na pewno chciałbyś gwiazdkę z nieba i kafelek z pieca, prawda?

– Nie. Tylko telewizor. Kolorowy.

Ludwika wydawała się niezadowolona z tego, że Adaś przerwał rozmowę, bo dobrze się zapowiadała. Miała zamiar opowiedzieć o tym, jakim kultem Kierkegaard otaczał Don Juana, nazywając go geniuszem zmysłów, jeszcze o erosie, lęku, demonicznym pragnieniu życia, metafizycznej woli, tajemnicy chwili, cierpieniu.

– Widzę, że tego wieczoru nie mamy szans na rozmowę ani o Don Juanie, ani o Tołstoju, jego „Sonacie Kreutzerowskiej" i o instytucji małżeństwa, bo i o tym wspominałam zanim do nas dołączyłaś – powiedziała Ludwika naburmuszonym tonem małej dziewczynki, której kazano posprzątać zabawki i zbierać się do snu.

– Nie mamy szansy, ale do Tołstoja możemy wrócić. Szczęśliwe i nieszczęśliwe rodziny to temat na czasie. Cudzołóstwo zresztą też – powiedziała Małgorzata, co zabrzmiało bardzo aluzyjnie, choć bynajmniej nie miała tego w zamiarze.

Kiedy goście wyszli, Małgorzata usiadła na balkonie i zapaliła papierosa. Była zaskoczona łatwością, z jaką włączyła się do rozmowy, jakby rozprawianie o literaturze było u niej na porządku dziennym. Czuła, że nie wypadła źle, ale przecież mogło być inaczej, gdyby rozmawiano o autorach, których nie znała. Czy potrafiłaby powiedzieć, „nie wiem, nie czytałam", czy też siedziałaby jak mumia bez słowa, z głową w ramionach i czerwonymi uszami?

– Byłaś boska.

Michał usiadł obok. Patrzył w ciemne niebo.

– Byłaś boska – powtórzył.

Małgorzata pochyliła głowę tak, by poczuła jeszcze bardziej bliskość Michała.

– Czy ona zawsze tak na poważnie i akademicko?

– Tak. Ludwika tak lubi. Ma ogromną wiedzę i analityczny umysł.

– A Władysław?

– On lubi się przysłuchiwać. Nie zdziw się, jeśli kiedyś tę scenę przeczytasz w którejś z jego sztuk.

– Nie znam jego dramatów. Tylko wiersze. O, na przykład taki wers: „Jest mnie tyle, ile siebie powiem". Mądre, prawda?

– Mądre – przytaknął Michał bez entuzjazmu.

– Wyglądają na dobre małżeństwo, podobają mi się jako para.

– Tak, w ich małżeństwie jest dużo małżeństwa – Michał posmutniał.

Małgorzata patrzyła na niego z powagą i podziwem. Co teraz powodowało ten podziw? Próbowała znaleźć źródło. Co ją tego wieczoru w nim urzekło? Chyba to, że był „cały po jej stronie". Lubiła używać tego sformułowania.

Urzekły ją w Michale dwa momenty. Pierwszy, kiedy liczbę pojedynczą zamienił na mnogą, „masz" (gości) na „mamy". I drugi, kiedy powiedział „dołącz do nas". Był i trzeci, kiedy użył przymiotnika „boska". Boska, czyli jaka? Niby banał, a jednak poczuła się doceniona i pogłaskana. Pogłaskana banalnym przymiotnikiem, który miał moc, skoro dodawał jej niebanalnego poczucia wartości.

Ile prawdy mogło być w przysłowiu: „Z kim przestajesz, takim się stajesz"? Pomyślała o takim bezpośrednim „przestawaniu", rozmowach, spotkaniach. O tym kto ją kształtował w domu rodzinnym, kto w szkole, na studiach. Jak na złość pamięć nikogo jej nie podpowiadała, jakby zapomnieć znaczyło ratować się przed krzywdą.

– Nie mam z kim rozmawiać tak, jak dzisiaj – szepnęła i niespodzianie dla siebie samej, ukradkiem wytarła łzę z kącika prawego oka. – Chyba dlatego zaczęłam pisać. Od kiedy zaczęłam odczuwać brak takich klimatów? Czego jeszcze mi brakuje? Dlaczego dawniej tego nie potrzebowałam? A może nie wiedziałam, że potrzebuję?, mówiła.

Michał słuchał i głaskał jej rękę.

– Kto ciebie skrzywdził, dziewczynko? – wyszeptał.

On wierzył w szept, był wierny szeptowi.

Szeptem wbijał ją w fotel.

Szeptem otwierał jej oczy.

Szeptem sprawiał, że kochała go jak potrafiła, czyli najbardziej, i inne życie poza tą miłością było kłamstwem.

Adaś układał puzzle. Przygryzał dolną wargę i artykułował dźwięki, które wyrażały radość z wykonanego dzieła, przypominającego Dar Pomorza, choć nim nie

było, ale żagle mogły przywoływać takie skojarzenia.

– Wujku, nie głaskaj mojej mamy, wszystko widzę.

– Dlaczego?

– Bo jest moja i ją kocham.

– Ja też ją kocham.

– A tata?

– Tata też, tylko może o tym nie wie.

– Wujku, tata wszystko wie.

– Masz rację, tata jest od tego, by wszystko wiedział.

– A wujek jest od czego?

– Tego nie wiem. I chyba nie umiem być wujkiem.

– Nawet przyszywanym?

– Wolałbym nie być przyszywanym wujkiem, wolę być prawdziwym Michałem.

– Fajna zabawa. To ja będę prawdziwym Adamem.

– Świetny pomysł – a ja prawdziwą Małgorzatą.

– A Pani Ala prawdziwym kotem.

– Prawdziwą kocicą, synku.

Uspokoiła się. I zasnęła w poczuciu, że wszystko się ułożyło. Najbardziej zadowolona była z relacji Michała z Adasiem. Gdyby jeszcze między nimi mogła być Ellis, córeczka Michała, niczego by im do szczęścia nie brakowało. Ale szczęście, takie słowo. Brzuchate słowo. Czasami okrutne. Trwające jedną chwilę albo i zawsze. A zawsze to bardzo długo.

Rozdział 53
Rok 1985
Szpital

Kim pan jest, usłyszała pytanie jak ze studni. Dudniący głos odpowiedział: Mężem. Wczoraj wyglądał pan trochę inaczej. To i tak cud, że nie osiwiałem w ciągu nocy. Miała dziewczyna szczęście, taka młoda i piękna, a życie jej niemiłe?

Pomyślała, że to o niej mowa, że ona jest tą dziewczyną, którą spotkało coś dobrego. Jak to możliwe, skoro niemożliwe? Poczuła silne ukłucie po prawej stronie głowy. Zacisnęła oczy. Nie chciała widzieć męża. Mąż był drzazgą, bolał. Szczypał. Uwierał. Jeśli nie otworzysz oczu, to go nie zobaczysz. Nie otworzę. Zacisnę. Odwrócę głowę do ściany. Albo schowam pod kołdrę. Tylko gdzie jest kołdra. Gdzie ręce, które ją uniosą. Gdzie ja jestem. Jak nie otworzę oczu, to się nie dowiem.

Nie otwierała jeszcze przez dłuższą chwilę, dopóki nie poczuła swojego ciała, które wydało się ciężkie i obolałe. Dopóki nie poczuła bólu przy przełykaniu śliny. Pić, szepnęła. Siostro, czy mogę żonie dać pić, usłyszała głos, który już nie dudnił, brzmiał przyjaźnie. Mąż tak nie brzmi, mąż dudni.

Michał?

Tak, skarbie. Już ci podaję wodę, przez rurkę, pij powoli. Coś mi się stało? Przedawkowałaś leki nasenne, ale już dobrze, już dobrze, na szczęście nie połknęłaś ich za dużo. Kochany Adaś, kiedy nie mógł cię dobudzić, zadzwonił na pogotowie, do dziadków, do wujka, także do mnie. Zrobiono ci płukanie żołądka, dlatego boli cię gardło. Ale to minie.

Adaś?

Gdzie jest Adaś? U dziadków. Dzielny chłopiec. Trochę się wystraszył, ale ma dobrą opiekę.

Zabierz mnie do domu.

Musiałabyś wypisać się na własne żądanie.

Jest tutaj mój mąż?

Był wczoraj. Teraz ja jestem mężem. Tak powiedziałem. Stanisław dał mi klucze do mieszkania. Ale na razie śpię w hotelu. Jutro cię zabiorę do domu, wtedy będę z tobą. Stanisław zgodził się na całe dwa tygodnie i tyle będę mieszkał u ciebie. Teraz odpoczywaj, niech cię nakarmią kroplówkami, odtrują.

Nie odchodź. Jeszcze trochę.

Nie bój się, Małgosiu. Jutro rano wrócę. Za pół godziny przyjdzie Stanisław, tak powiedział, nie chcę go spotkać po raz drugi. Powiedział, że dzisiaj wyjeżdża, prosił mnie, bym się tobą zaopiekował.

Boże, to koszmar. To jeszcze większy koszmar niż mi się śnił, nie chcę jego dobroci. Ani troski. Chcę do domu.

Poczuła zapach frezji.

Zobaczyła twarz Stanisława.

Przepraszam, powiedziała. Ja tylko chciałam zasnąć, bo tak długo nie spałam.

Wiedziałem, że to się źle skończy. Ty się nie nadajesz na matkę. Albo się zaczniesz leczyć, albo pozbawię cię wszelkich praw. Nie wiem, czemu mi to zrobiłaś. Teraz niech się tobą zaopiekuje twój kochaś, bo ja nie mam czasu, już i tak mi skomplikowałaś sytuację. Dałem mu klucze, może mieszkać przez dwa tygodnie w naszym domu, zgadzam się. Doceń to. Nie chcę, abyś chodziła do niego do hotelu, jak kurwa. Słyszysz. Jak kurwa. Dom ma być bez niego, jak wrócę. Słyszysz.

Matkę do grobu wpędzisz. Już wie, że ma córkę wariatkę, psychicznie chorą wariatkę. Powiedziałem jej, że tylko dzięki moim koneksjom nie zamknęli cię od razu w szpitalu wariatów. Doceń. Robię to dla ciebie i naszego syna. Rozumiesz? Jak cię wypiszą ze szpitala, zarejestruj się u psychiatry, da ci leki na twoją głupotę. No i zgadzam się na ten rozwód. Może być bez orzekania winy, też się zgadzam.

Chciała jeszcze raz go przeprosić, ale poczuła się dostatecznie sponiewierana, w porę zdała sobie z tego sprawę.

Nie krzywdź mojej matki, szepnęła. Mogłeś ją pocieszyć.

Pocieszycieli to ona ma dosyć, syna, synową. Skaczą koło niej i mydlą oczy, ciekawa rodzinka, nie powiem. Tylko ty taka zasznurowana i skomplikowana. Gdzie ja oczy miałem? Trzeba było zrobić w tył zwrot, póki jeszcze Adasia nie było.

Wyjdź, powiedziała.

Wyjdź i nie przychodź tu więcej.

Powinna wrzasnąć, ale i na to nie miała siły.

Nie chcę cię widzieć. Skończyło się. Koniec. Muszę odpocząć. Nie chcę cię widzieć.

Już to mówiłaś. Powtarzasz się. Miałem nadzieję, że się opamiętałaś, próbowałem być miły, pamiętasz, na chrzcinach bardzo się starałem.

Nie dręcz mnie, idź. Muszę wyspać ten koszmar.

Masz rację, wyśpij się, bylebyś na rozwód zdążyła przyjść, zgadzam się, zgadzam.

Drzwi zaskrzypiały. Pielęgniarka podłączyła następną kroplówkę. Jak się pani czuje? Mąż przy łóżku i od razu lepiej, prawda. I tak ma być. O nic się nie martwić, bo wszystko się samo ułoży. Drzwi zaskrzypiały ponownie. Kiedy otworzyła oczy nie było ani pielęgniarki, ani męża.

Jeśli się zgadza na rozwód, przypomniała sobie, to jednak nie będzie walczył. Może zrozumiał, że wina leży po obu stronach, nie tylko po jednej, jak próbował wmówić. Czy to jeszcze jest dzisiaj, czy już jutro? Skąd ta zmiana w nim i nagła rezygnacja z walki. Dla niej znaczyło to tyle, że nie będzie wyczekiwała pod drzwiami sali rozpraw. Może uda się rozwiązać małżeństwo po dwóch rozprawach. Może uda się ochronić Adasia i nie będzie przesłuchiwany przez kuratora rodzinnego.

Leżała na łóżku z widokiem na okno. Zapadła listopadowa szarość. Może spadnie śnieg i będzie jaśniej, westchnęła jakby to mogło jej pomóc.

W drugim końcu salki, za parawanem, ktoś pojękiwał. Bliżej drzwi stało puste łóżko.

Jak dobrze, że nie jestem w sali z dziesięcioma łóżkami.

Jak dobrze, że głowa mnie boli tylko po prawej stronie.

Jak dobrze, że nie jest mi zimno.

Jak dobrze, że Adaś jest u dziadków.

Jak dobrze, że mąż już na mnie nie patrzy z wyrzutem.

Że nie słyszę jego oskarżeń.

I nie muszę się bronić, bo i tak nie potrafię.

Przypomniała sobie, że w nocy pisała list do Michała. Której nocy? Czy go wysłała, czy został na stoliku przy łóżku? Czy do tej pory tam leży, czy ktoś go zobaczył i przeczytał. Ktoś, czyli kto? Stanisław, brat, bratowa? Jaką prawdę utajoną w nim zapisała, nie mogła sobie przypomnieć. Prawda utajona jak u matki chrzestnej krew utajona w kale, niewidoczna gołym okiem i gdyby nie badanie, Deborah, bidulka, nie wiedziałaby, że ma gruczolaki na ścianach jelit.

Czy moją prawdę utajoną ktoś odkryje, czy się nad nią pochyli. Prawda nie jest jasna jak słońce, którego zawsze pragnęła, bo rozjaśniało jej myśli, prawda bywa nieprzetłumaczalna na słowa i trzeba stworzyć wiele obrazów, by do niej dotrzeć, by nie zamieniać jej w sekret.

Jej prawdą było niekochanie męża.

To przecież nie było tak, że kiedyś kochała, a potem przestała.

Nigdy nie kochała, tylko jej się wydawało. No, nareszcie, powiedziała to sobie! Bo do tej pory szukała wykrętów i bardzo chciała być prawa i szlachetna. A przecież nie kochała, tylko jej się wydawało. Tak było, nie inaczej.

Za mało w niej było siły, aby rozpocząć samodzielne życie na własny rachunek, wykorzystała więc do tego celu Stanisława. I kiedy już małżeński glejt pozwalał jej odejść z domu, poczuła, że nie pragnęła życia ze Stanisławem. Nie z nim, na pewno nie z nim. Jak miała zaakceptować tę klęskę, jak ją przyklepać, jak się do niej przyznać. I komu.

W życiu jest zawsze coś za coś albo zamiast. Powtarzała sobie tę „złotą myśl", kiedy potrzebowała pocieszenia. Gdyby nie Stanisław, nie miałaby przecież Adasia. I ten argument urywał wszelkie inne dywagacje, które prowadzić mogły tylko na manowce, więc wyciszała wszelkie gdybania i poddawała się urządzaniu życia jak wtedy, kiedy wyjeżdżała na kolonie i rzucona w obce miejsca, do salki klasowej z dwudziestoma łóżkami, próbowała się jak najwygodniej umościć w małym kącie.

Po raz pierwszy przytaknęła swojej prawdzie.

Zobaczyła ją. Nie była skomplikowana. Może rzeczy trzeba widzieć jak najprościej, nie motać, nie przebierać rzeczywistości w zbyt luźne sukienki, nie dopasowywać jej do przyszłości. Czy potrzebowała do tego →

kilku tabletek nasennych? Ilu? Poczuła dziwną satysfakcję z racji posiadania kawałka wiedzy o sobie, której do tej pory nikomu nie przekazała. Nawet sobie. Coś próbowała z tego powiedzieć Michałowi. Pamiętała, że mętnie, że kilka razy zaczynała nowy akapit, by zawrzeć w nim to najprawdziwsze. Do każdego dobierała słowa i żadne nie przynosiło jasności. Słowa rozbudzały jej wyobraźnię zamiast wyciszać, może dlatego łykała kolejną tabletkę. Którą?

Poczuła się teraz tak, jakby nagle wyzdrowiała.

Ale przecież nie była chora, a przynajmniej nic o tym nie wiedziała. Tamto życie chwilami lubiła. Kiedy przestała? Co się zmieniło w jej patrzeniu, czy była granica, która jeden kolor zamieniła w inny, dzień w noc, dobroć w złość, i dlaczego tą złością uderzała w siebie?

Czy teraz będzie odmierzała dni na te przed Michałem i z Michałem, na te przed tabletkami w nadmiarze i po nich, na te przed rozwodem i po nim? Rozwód. Rozwód. Stanisław się zgodził. Nigdy więcej takich zgód. Nigdy więcej takiego tonu, poklepywania po ramieniu, słów, które jak obuch podcinają i skrzydła, i nogi.

Jakież to proste, pomyślała. Nigdy nie kochała Stanisława. Nie kochała. Tylko jej się wydawało. Pomyliła się. Teraz za to płaci. Bo jeśli człowiek jest odpowiedzialny, to musi wyrównać rachunki bez szukania usprawiedliwień ku temu, by swój umniejszyć. Nie miała na to siły, nawet na wyjście do toalety jej nie miała, skoro założono jej cewnik. Nawet tchórzem niełatwo być. Poczuła łzy w kącikach oczu, spływały po twarzy, zatrzymywały się koło uszu. Niby nie płakała, a płakała, po cichu, jakoś na odwrót, inaczej niż do tej pory jej się zdarzało, kiedy to płacz nią wstrząsał, a łzy nie leciały.

Wszystko wokół ziało skargą i było tak nędzne, jak szpitalna koszula, w którą ją przebrano po tym, jak pielęgniarz mocował się z nią nad wanną, brutalnie usiłując wypłukać zawartość żołądka. Ubrania się zmoczyły, przypomniała sobie chłód, a potem znów nic. Co było w tym „nic", od zimnego wstrząsu nad wanną do ulokowania jej w łóżku z kroplówkami. Co się działo od chwili, kiedy pisała do Michała, zapijając tabletki melisą. Czy także alkoholem? Czy to możliwe, że aż tak przestała się kontrolować? Co się działo od świtu, kiedy Adaś jak co dzień wskoczył do jej łóżka i nie mógł jej dobudzić.

Choć kochała syna miłością bezwarunkową i tak wielką jak prosta wiodąca w plus minus nieskończoność, to teraz oskarżała się słowami swojej matki: Byłabyś lepszą matką dla psa niż dla dziecka. Nie znajdowała dla siebie usprawiedliwienia. Gdyby mogła, postawiłaby siebie pod pręgierzem. I pozwoliła zatłuc się kamieniami. Co z niej za matka zhańbiona, sponiewierana własną niemocą?

Gdyby teraz mogła poczuć Adasia ręce na swojej szyi, gdyby mu mogła szepnąć, że już dobrze, że dziękuje, że jest mądry, najmądrzejszy, że go kocha ponad swoje życie i że już nie powtórzy się jej grzech zaniedbania synka i siebie. Gdyby. Na razie nie miała siły na nic poza tym narzekaniem, które psu na budę. Chciała wrócić do domu, do swojego łóżka, pozbyć się kroplówki, cewnika i czego tam jeszcze, co ją trzymało przykutą do tej wrogiej przestrzeni.

Będzie dobrze, znów usłyszała słowa pielęgniarki. Mąż przy łóżku i od razu lepiej, prawda. Przecież kazała mu odejść. Znów wrócił? Otworzyła oczy niechętnie. Michał się uśmiechnął. Jak dobrze, że się wyspałaś, Małgosiu. Zabiorę cię do domu. Twojego.

Marta Fox

Agnieszka Lubos

3* haiku:

***

Jak niegdysiejszy
jest na mym parasolu
rytm kapuśniaczka

27.06.2023

***

(Dla Krystyny
Krzyżanowskiej-Nastulczyk)

skrzydła motyla
na kablach rozedrganych
kwietniowym wiatrem

17.04.23

***

Dwoje na deszczu
Równość twarzy i pyszczka
pod każdą kroplą

29.06.23

***

Chcę być w ciszy

W bez-gwarze miasta
o(d)puszczonej
zamilkłej starówki

W nierównym stuku pantofli
o kocie łby

W gruchaniu pojedynczego gołębia

W nie-dzielności
aż do po-niedziałku

LIPIEC 2023

Agnieszka Lubos. Ur. 21.03.1980 w Bielsku-Białej. Zawód wyuczony i uprawiany: anglistka. Pisze wiersze liryczne, haiku

ESEJ

Andrzej Katzenmark

IKAR I DEDAL, MIT MALOWANY SKRZYDŁAMI

Zwykle kolejność tytułowych imion bywa odwrotna. Tu zastosowana nie wynika, oczywista, z jakichś fonetycznych prawideł, jak na przykład z prawa Behaghla, czyli prawa rosnących członów. Kolejność bowiem imion w obu wariantach tytułu do owego prawa się stosuje. Nie zadecydował też o wyborze *Icarus ante Dedalum* pojawiający w tej tradycyjnej wersji tytułu hiatus (zbieg dwóch samogłosek i). Drażni, owszem, ale nie na tyle, żeby należało z tego powodu zmieniać kolejność imion. A zatem nie fonetyczne reguły zadecydowały o nowym brzmieniu tytułu.

Dotychczas tytułowy Dedal poprzedzał Ikara chyba ze względu na szacowny wiek mistrza i chyba ze względu na jego doczesne sukcesy. Jednakże uwaga większości miłośników mitu skupiała się zawsze na tym drugim bohaterze, niesfornym, nietuzinkowym, gardzącym codzienną sztampą, szukającym gwiazd. Starsi przebąkują o niedocenianiu Dedala i pouczają innych, że architekt, budowniczy, rzeźbiarz, wynalazca… Niewiele jednak mogą wskórać, bo pozostali, zwłaszcza młodzi, niezmiennie swoje zainteresowanie ku Ikarowi kierują.

Wersja najpopularniejsza tego mitu przekazana została przez Owidiusza w *Metamorfozach*, przez Hyginusa w bajkach oraz w Bibliotece przez Diodora Sycylijskiego. Wzmianki znajdują się również u innych autorów, ale ta część opowieści dotycząca Ikara najszerzej opisana została przez wymienionych powyżej pisarzy antycznych.

Dedal pochodził z królewskiego rodu ateńskiego. Źródła różnie wskazują jego rodzicieli. Ale czy Kekrops, czy Erechteus był jego antenatem, zawszeć są to najwyższe ateńskie progi. Na Krecie nie znalazł się przypadkiem. W szale zazdrości zabił swojego siostrzeńca Talosa, który, choć młodszy, zaczął przewyższać mistrza pod względem rzemieślniczego kunsztu w pewnych dziedzinach, a ponadto wynalazł piłę i koło garncarskie. Zmierzał więc prostą drogą do wywyższenia się nie tylko ponad ogół, lecz także ponad mistrzów. Rosła zawiść w nauczycielu. Niebawem popchnęła go zbrodni. Przed odpowiedzialnością karną umknął Dedal do Knossos, gdzie zacierając ręce, czekał nań król Minos. Tyle planów budowlanych, tyle urbanistycznych przedsięwzięć, tyle artystycznych wyzwań w stolicy Krety… Gdy budowniczy przybył na wyspę, rzucił się w wir prac pałacowych. Chciał zapomnieć o tym, przed czym umknął z Aten.

Kiedy jednak żona Minosa, Pasifae, zapałała nieujarzmioną żądzą do zesłanego przez Posejdona byka, Dedal potajemnie skonstruował dla niej zgrabną drewnianą krówkę, w której ukryła się królowa, czekając na swojego miłośnika. I z tego niecodziennego związku byka i kobiety wziął się Minotaur, monstrum o ludzkich kończynach i abdomenie, i o łbie byka. Minos tłumił swoją wściekłość na Dedala. Przed budowniczym bowiem wyrosło nowe przedsięwzięcie, budowa labiryntu.

Ikar był synem Dedala i Naukrate, niewolnicy Minosa. Poczęty zatem i urodzony został na Krecie. Kiedy labirynt był już gotów, Minos nie zamierzał wypuścić zdolnego architekta, który posiadł wiedzę o narodzinach Minotaura i o wielu innych tajemnicach państwa, w tym o planach labiryntu. Zamknął więc władca Dedala i Ikara w tej budowlanej pułapce. Wyjścia obstawił strażnikami. Dostarczać wszystkie potrzebne budowniczemu materiały, rozkazał, lecz nie wypuszczać.

Wówczas Dedal skonstruował skrzydła dla siebie i syna. Syn z pewnością mu pomagał, bo cóż miał robić w labiryncie, w którym rozlegał się raz po raz ryk Minotaura? Zdolności dziedziczył po ojcu i jego rodzinie. Dołożył więc kilka drobnych wynalazków do tej niecodziennej konstrukcji. Nikt nie miał szans zadać mu pytania o wkład w dzieło przypisywane ojcu. Mówi się, że przed odlotem Dedal przestrzegał Ikara przed zbyt wysokim lotem, aby nie stopił się wosk spajający pióra. Ponadto oznajmił ojciec Ikarowi, że równie niebezpieczne może okazać się zbyt niskie szybowanie nad powierzchnią morza, albowiem fale mogą zmoczyć skrzydła. Ostrzegał syna. Rzecz znana jeno z relacji ojca, umacniająca tezę o wynalazczości Dedala. Nikt jednak tego nie słyszał. Nikt nie mógł potwierdzić. *Post mortem nihil est.*

Wzlecieli pierwsi lotnicy nad ziemię. Szybowali nad wyspami greckimi: Naksos, Delos, Paros... Wyspy zachmurzone lub płowymi wzgórzami wystające z błękitów morza. Ach, jakiż lot. Ludziom wydawali się podobni do bogów. I byli do nich podobni, bo żaden człowiek przed nimi nie wzbił się w powietrze. Ikar w radosnym uniesieniu wzlatywał coraz wyżej i wyżej. Ojciec nie hamował młodzieńczego rozpędu syna. Leć, chłopcze, leć! Nikt przed tobą nie latał. Jesteś pierwszy. Aż Ikar, który znał wszystkie tajniki konstrukcyjne skrzydeł, znalazł się za blisko ognistego rydwanu Heliosa. Wosk stopił się, pióra rozsypały się wokoło, a Ikar runął do morza. Wyspa w pobliżu miejsca upadku nazwana została Ikarią.

Ktoś dociekliwy mógłby zapytać: a Bellerofont, czyż nie wzleciał na swym Pegazie równie wysoko? I owszem. Tak było. I końca doczekał równie smutnego co Ikar. Jednakże czas w mitach nie ziemską miarą się mierzy, przynajmniej ten czas zwany u nas historycznym. Każdy mit przedstawia swoisty katalog zdarzeń, uporządkowanych w barwną opowieść. Kolejny mit czyni to samo, nie bacząc na sąsiedztwo. Pojawiają się te same postacie, ale koherencja czasowa zawodzi. Bogowie, wiecznie młodzi olimpijczycy i pomniejsze bóstwa, spotykają na swej drodze herosów, heroiny lub ludzi. Dla olimpijczyków czas nie gra żadnej roli. A ludzie winni do tego bezczasu, owej wieczności, się dostosować. To, oczywista, żartobliwa summa temporalnego pomieszania w mitach. My postrzegamy mitologię jako całość; takiej całości nigdy nie było. Każda grecka kraina, ba, każda najmniejsza polis, tworzyła swoje lokalne opowieści. Bellerofont był herosem likijskim, choć pochodził z Koryntu. Inaczej płyną wydarzenia w Tlos, a inaczej w Knossos. Ujednolicenie mitologii zawsze jest sztuczne, choć pouczające. Toteż tworzy się mitologie polskie, angielskie, niemieckie, które zamykają wszystkie mity helleńskie w zamkniętym kręgu naukowych lub literackich zainteresowań. Te opowieści mają być greckie, bo to europejska kolebka tam się bujała, i polska, i angielska, i niemiecka.

Jak czytać mit, oto jest pytanie. Czy postrzegać go wzrokiem i umysłem starożytnych Greków? Można, ale niezwykle trudno przedrzeć się do antycznego postrzegania i myślenia. Chyba nawet nie wystarczy być specjalistą. Wybaczcie, profesorowie! Mit przekazuje wizję świata przednaukową i przedfilozoficzną. Mit o Ikarze pokazuje pierwsze lotnicze popisy człowieka, który nie wzleciał jak Husajn z *Baśni z tysiąca i jednej nocy* na czarodziejskim dywanie, lecz na skrzydłach. Dywan był cudownością, a skrzydła, zda się – realistycznym marzeniem. Grecy przedstawili zatem racjonalną, choć w owym czasie jeszcze niewykonalną, próbę latania na podobieństwo ptaków. Mit ten pokazuje też pierwszą katastrofę lotniczą; jej ofiarą stał się właśnie Ikar.

Powietrznych wędrowców można znaleźć w mitologii więcej niż tylko wspomniani Dedal, Ikar i Bellerofont. Jest więc Friksos i Helle, rodzeństwo, które umknęło przed śmiercią na ofiarnym stosie dzięki skrzydlatemu baranowi. Pojawiają się dwa skrzydlate konie: Chrysaor i wspomniany Pegaz. Z tych mitologicznych oblatywaczy tylko Pegaz urósł do symbolicznych rozmiarów i trafił do literatury. Ba, nawet program do elektronicznego śledzenia obywateli został tak nazwany. Ikar i Dedal różnią się jednak od ujeżdżających te latające zwierzęta bohaterów tym, że ojciec i syn wzlatują sami, na skrzydłach poruszanych mechaniką własnych ramion. Nie wymieniam latających bogów, bóstw i bóstewek, ponieważ w ich naturze leży moc nadnaturalna translokacji.

Należy też wspomnieć postać być może rzeczywistą, choć odzianą w gruby peplos legendy. To Abarys, Scyta z kraju Hiperborejczyków, zwany Aithrobates (wędrujący w powietrzu). Latał na strzale podarowanej mu przez Apollina. Pobierał nauki w szkole Pitagorasa. Przeszedł szybszy, niż inni uczniowie, kurs wstępny. Zaprzyjaźnił się z mistrzem i podarował mu swoją strzałę. Potrafił odwracać zarazy i wiatry od miast. Nigdy nie widziano, żeby pił lub jadł. Więcej cudowności w tej postaci kapłana Apollina niż cech rzeczywistych. Skoro zatem Abarys przekazał swoją strzałę Pitagorasowi, również syn Mnesarchosa posiadł umiejętność latania. A nawet zdarzało mu się nieraz bywać jednocześnie w dwóch miejscach. Ale to już inna zdolność.

Zacznijmy ab ovo. U Domenica Pioli Dedal przypina dopiero synowi skrzydła. Ikar wydaje się urzeczony tym niesłychanym wynalazkiem. Marzy o tym, jak i gdzie wzleci. Sam to wymyśliłem, zdaje się mówić, i dlatego wzlecę tak wysoko, jak człowiek nigdy nie wzleciał. To tylko myśl. Nie zdradza jej ojcu. Patrzy marzycielsko na

przypinane mu skrzydła. Ach, niebawem wzbiję się w powietrze. Nie widać jeszcze grozy, jaką pojawi się na płótnach innych mistrzów. Żyje chwilą, która nastąpi. Nie myśli o tym, że *vita incerta, mors certissima*. Wyprzedza gorączkę przygotowań, odrywa się od materialnej rzeczywistości. Widzi tylko cudowność czekającego go lotu.

Najprostsza interpretacja śmierci Ikara bierze się z emocjonalnej, czysto moralizatorskiej oceny wypadków, jakbyśmy relacjonowali i uzasadniali życiową tragedię kogoś, kto nie słuchał ojca. Tak zapewne przedstawiłaby to zdarzenie prasa. To jakby szary cień rzucany przez opowieść. Każdy go widzi. Jakakolwiek refleksja zamgliłaby ten cień. Ale po co jeszcze wprowadzać mgłę i niepokój, kiedy sprawa jest jasna? Otóż uważam, że żadna tragedia nie powinna przejść bez echa. Zawsze należy szukać drugiego dna i drugiego nieba.

Ikar Williama Blake'a Richmonda zachwyca się swoimi skrzydłami. Bez obaw kroczy po krawędzi przepaści. On sam zdaje się unosić, choć nie zrobił jeszcze ani kroku. Wyobraża sobie bowiem prawdziwy lot. Jest młody, może oczekuje zachęty. Ale raczej jest już zdecydowany. Bawi się chwilą. Cieszy się z planowanego ryzyka. Rozkoszuje się myślą o niezwykłości tego momentu. Od śmierci dzieli go tylko lot. Jeszcze tego nie wie. Nie dopuszcza do siebie takiej możliwości. Zachwyt Ikara wyrażający się w balansowaniu ponad przepaścią pokazuje jego młodzieńcze plany, jakby w ten niecodzienny sposób recytował pierwsze wersy Iliady. Podobnie jak u Pioli Ikar wie, jak wykorzysta skrzydła. Nie dla zwyczajnej opowieści wzleci Ikar. Choć i taką można snuć.

U Charlesa Paula Landona znów pojawia się Ikar w momencie wzlotu. Dedal wypuszcza go w przestrzeń. Widać po uczniu wcześniejsze ćwiczenia. Widać też zachwyt i uniesienie. Widać po nauczycielu radość z osiągniętego celu. Nigdy nie skakałem w przepaść na gumie czy na spadochronie. Ale wyobrażam sobie ten lot… i to mi wystarcza. Przed Ikarem pełna możliwości przestrzeń jak w równaniu z wieloma niewiadomymi. Dopiero skok pokaże słuszność marzeń i założeń.

Śmierć, a raczej ostatnie chwile życia Ikara, pojawia się u Rubensa. Przez twarz Ikara przebiega widmo niechybnej śmierci, przerażenie i brak nadziei. Ach, ojcze, nie wiedziałem. Ach, ojcze, nie chciałem. To opowieść realistyczna. Bezpośrednio czerpana z wiedzy o życiu. Tylko smutek i zawód w oczach syna Dedala. Żadnej ekstazy ani entuzjazmu dionizyjskiego. Nie umieraj bezpotomnie! Ikar pokonał Dedala na tej samej podstawie, na której *Graecia victa victorem vicit*. Podobnie u Goltziusa. Bezwładne ciało Ikara leci w dół. Również malowidło ścienne z *Casa del Sacerdos Amandus* w Pompejach przedstawia fragment lotu po utracie piór.

Mit nie posiada, co powtarzam do znudzenia, realnego czasu ani czasu współistniejącego z innymi mitami. W granicach jednego nawet mitu mogą pojawić się temporalne zakłócenia. Wyzbycie się czasu, czasowa achtheja, daje asumpt do rozsnuwania artystycznych wizji i głębszego spojrzenia na śmierć Ikara. To śmierć człowieka natchnionego, śmierć w ekstazie powietrznych ewolucji, a zarazem chwila wywyższenia ponad innych ludzi.

Marc Chagall przedstawił spadającego Ikara jako sensację w całej wiosce. Wszyscy wylegli przed domy. Czekają na spadające ciało. Dla wioski to niecodzienne wydarzenie. Wątpię, żeby na Ikara czekali. Czekali na jego upadek i gwałtowną śmierć. Tak wyjątkowego wydarzenia dawno (może nigdy) tu nie było. Ktoś spadnie z nieba i się zabije. Skąd wziął się w powietrzu ten człowiek? Będziemy mieli o czym opowiadać przez lata. *Bed news is good news*. Twarz Ikara jest poważna, ale nie przerażona, jakby bohater wiedział, co go czeka, i wiedział, że świadomość czytana z jego oblicza określi sens jego upadku. Nie spadam nadaremno, mówi jego mimika. Ważniejszy dlań wydaje się efekt, wrażenie, jakie wywrze na tłumie. Akt gwałtu na własnej tożsamości: masz być tym, kim chcesz być, a nie być tym, kim jesteś. Dedala nie widać na tym obrazie. Może pofrunął już ku Sycylii. Człowiek z własną śmiercią musi zmierzyć się sam. I nadać jej sens, o ile to możliwe. W literaturze i sztuce – jest to możliwe, w życiu – dużo trudniejsze.

I wreszcie najsłynniejszy obraz, dzieło Pietera Brueghela Starszego – Upadek Ikara. Oracz, pasterz, żeglarze, rybak i nawet ptak na gałęzi nie zwracają uwagi na spadającego lotnika. Wpada do morza niezauważony przez nikogo. Anonimowa śmierć. Nikt nie opowie, nikt nie zapamięta, curriculum vitae zanurzy się w wodach Lete po dach. To nawet nie przeciwstawienie się ojcu. To obojętny dla wszystkich chlupot wody. To bezsensowne pionierstwo, dokonane i natychmiast zapomniane, gorzej – niezauważone. Pejzażysta uchwycił moment zanurzenia. Ponad powierzchnią wody jeszcze widzimy nogi Ikara. Vae victis! – Biada zwyciężonym! Ale my widzimy. Wszyscy, którzy oglądają dzieło, widzą. Co to znaczy? Artysta podkreśla swoją rolę i rolę tych, którzy tworzą. Tylko oni potrafią zmienić porażkę w zwycięstwo.

Iwaszkiewicz transponował zobrazowane przez Brueghela wydarzenie do swojego opowiadania. Nieśmiały, zaczytany chłopiec stał się tym właśnie Ikarem. I znów artysta, tym razem pisarz, ocalił śmierć chłopca od zapomnienia. Moja ciotka zatrudniona w jakichś niemieckich zakładach w Poznaniu podczas wojny zamiast wypełniać rubryki liczbami, czytywała książki. Polskie książki. Przejęta losem jakiegoś Robinsona syknęła. Podbiegł Niemiec. Zatrzasnął szufladę z książką. I powiedział zbolałym głosem: *Ich war auch Schriftsteller*. Do treści obrazu nawiązał również Ernest Bryll w kilku miejscach, ale nie przesunął klatek tego wydarzenia dalej niż Brueghel. Rozszerzył tło. Rozszerzył je ze współczesnym rozmachem.

Ikar poszukuje własnej tożsamości. Tak czynią młodzi ludzie w przeddzień dorosłości. Jest szaleństwo i poszukiwanie w tym szaleństwie własnej drogi. Wiadomo, że nie można odnaleźć siebie w sobie. Tylko na zewnątrz możemy szukać swojej tożsamości. To tam projektuje się nasza jaźń. Nie jesteśmy w stanie zajrzeć w siebie. I opowiadać o swoim wnętrzu jak o ogrodzie. Patrzymy więc dookoła, wzlatujemy ponad siebie, żeby tylko postrzec siebie na szerokim tle świata. Ta swoista projekcja zewnętrza jako zwierciadła ludzkiej duszy przyświecała też Ikarowi. Mówił nie tylko: pokażę, co potrafię, ale przede wszystkim (może z pewną dozą nieświadomości): zobaczę, kim jestem.

Racjonalność oceny szaleńczego lotu Ikara implikuje zantagonizowanie postaci ojca i syna. Ikar złamał wyznaczone przez Dedala zasady. Gdyby jednak uznać czyn Ikara za irracjonalny, otrzymamy wynik przeciwny podanej implikacji. I to jest piękne: Ikar wzleciał ku celom wyższym niż nauka i rzemiosło. Wzleciał w świat sztuki i filozofii. Pokazał, że wielkość nie polega na obmyślaniu i produkcji narzędzi (skrzydeł), ale na ich niecodziennym wykorzystaniu. I ta interpretacja przeważa w świecie sztuki. I choćby to Ikar wymyślił użycie piór i wosku do produkcji skrzydeł (rzecz to nie do udowodnienia), tylko on użył ich ponad miarę i dlatego został uznany za największego lotnika.

Herbert Draper w swoim malarskim dziele Opłakiwanie Ikara dotarł do ostatniego etapu tego wydarzenia: martwy Ikar z rozpostartymi skrzydłami leży na skale. Pięknemu i poważnemu obliczu młodzieńca przypatrują się nimfy. Z ich nagich póz i ujmujących twarzy przebija żal i tęsknota za tym Ikarem, który zaczynał podróż. Gdyby potrafiły, wskrzesiłyby młodzieńca.

Z kolei Jarosław Miklasiewicz, współczesny polski malarz, przedstawia miękkie lądowanie Ikara na fotelu w knajpie, jakby przedstawiał młodość widzianą oczami młodych. Tak wygląda współczesne szaleństwo. To równie „niebezpieczne", co lot na skrzydłach. Żeby młodzież się nie denerwowała, powiem, że też tak lubię mimo wieku dojrzałego.

Sama obecność Ikara w sztuce świadczy nie tylko o popularności mitu, ale też o wspomnianym już zwycięstwie syna nad ojcem. I nie jest to chyba ilustracja wspomnianej prasowej zasady: good news is bad news, ale poszukiwanie takiego tematu w mitologicznej tradycji, który można rozświetlić w zupełnie nowy sposób. Ikarowi nadal można przypinać skrzydła.

Ikar przeciwstawiony został Dedalowi, pokolenie rodziców pokoleniu dzieci. Zawsze istniała dramaturgia, bynajmniej nie literackie napięcie, na tej właśnie granicy. Jeżeli ktoś nie przeżył czasu buntu, przeciwstawienia się zastałym wartościom, utracił kawał młodości. Nie musiał to być wzlot ikarowy, wystarczyła jedna buntownicza reakcja, mocna i wyraźna, zaznaczająca siebie samego i konsekwentnie odwracająca życiową drogę. Trasy skrzydlatych lotników już w momencie wzlotu rozwidlają się, by biec w przeciwnym do przędzonego przez Mojry losu. Uważaj… – przestrzega syna ojciec. Świadczyć to może o tym, że już wcześniej Ikar okazywał nieposłuszeństwo, a zatem już wcześniej zaczynał szukać własnej drogi w życiu. Swoją buntowniczą naturę z pewnością zdążył zademonstrować na ziemi, ale dopiero podniebne szybowanie w całej pełni odsłoniło jego duszę, jego skłonności, ciekawość świata, pragnienie pokonywania granic i dokonywania przełomów. Notabene, dla młodego człowieka wszystko jest granicą i każdy niepotulny ruch zmierza w stronę przełamania szlabanów. Dedal pomagał Ikarowi uciec, ale nie pomagał mu zdobywać. Nie wiem, czy to czasami nie odwieczny rodzicielski błąd, chyba tak: niech dziecko będzie bezpieczne. Załóż, kochanie, czapeczkę.

Postawa Ikara wzlatującego w miejsca niedostępne jest archetypem dążeń ludzkich do zdobywania nieznanego, do odkrywania tajemnic wszechświata, do bicia rekordów, do czynienia tego, co zabronione, do odwracania się od starego. *Niech nad martwym wzlecę światem*. Odkrywcy, naukowcy, poszukiwacze, podróżnicy, sportowcy stają się Ikarami, jeśli spełniają podstawowy warunek: muszą sięgać jak najwyżej, nie bacząc na niebezpieczeństwa czy przeciwności losu, czy własne słabości. Iluż to Ikarów przeleciało przez karty dziejów nauki, literatury, malarstwa czy filozofii. A Ikarowie w mniej wzniosłych dyscyplinach?...

Andrzej Katzenmark

Andrzej Katzenmark

HOMO SAPIENS
(wierszyki filozoficzne)

Człowiek rozumny

Kiedy homo stał się sapiens,
nie wiadomo
Nikt dziś daty ni godziny nie zobaczy
czas bezsłowy żagle zwinął
i zawinął do przystani Lotofagów
których kości kryją zmilczeń złoto

Antropolog próbuje słowem złamać
hominidów przedwieczną zmowę
Mierzy czaszki i piszczele mierzy
wszystkich tych co ssą na czele

A klepsydra przesypuje miał węglowy
drążąc przeszłość w słowomyślach skał
aby dotrzeć do pokładów pierwotnego zrozumienia
i posłyszeć echo z światów
zaginionych pogrzebanych hen hen w dal

Lecz granicy pierwosłowia jaźni olśnień
i zachwytów nad bezlękiem niebospojrzeń
nie dosięgnie echosonda snuciem czasonici
bo nie w liczbach myśl się chowa

Gdy doścignę archiwalne gwiazd promienie
i przemierzę korytarze plejstocenu
świateł księgi się otworzą wylśnią przyszłość
czas rówieśny pierwszym słowomyślom

Słupy milowe

Bogowie ustawili
na drodze herosów
słupy milowe
Od słupa do słupa
nie wypada herosom kroczyć,
kluczyli więc
w gęstwie życia
już to mieczem
już to blagą
wytyczając kręte ścieżki
Śmiali się bogowie w kułak
kiedy zmęczeni bohaterowie
docierali do ostatniego
słupa Jakże mogło
być inaczej

Skrzynka Mylliasa

Myllias znalazł na brzegu
Morza Naszego żelazną skrzynkę
Patrzył wnikliwie na każdy jej szczegół
zamki kłody i rygle Badał pilnie

wszystkie załomy krawędzie i wręby
Uniósł zręcznie jej wieko
Wśliznął się chyłkiem do środka wyklęty
przez tchórzliwych niedowiarków W daleką

ruszył drogę wędrowiec
Sam Dokoła nie było żywej duszy
Słowem otwierał bramy nazwane w mowie
dotąd niewypowiedzianej Kruszył

myślą skoble broniące cienistych komnat
Za plecami jego świtało
Zaludniła się otwarta historia
ciżbą uczniów i karłów Światło

tłukło swą rzęsistość o posadzkę świątyni
którą wznieśli jaśnie oświeceni wyznawcy
Raził Mylliasa blask śródskrzynny
tęsknił do czasów mrocznej sieni

Ab urbe condita

Cud stał się w Jerychu
beczkę z jęczmieniem przeniknął
złoty deszcz Ani widu ani słychu
o sprawcy Może Bakchos moszczem siknął

i przemienił żółtą brzeczkę w złoty zdrój
Jerychończyk owo piwo nazwał piwem
Murem swój otoczył gród
aby słodu strzec właściwie

przed wrogami rewolucji pokarmowej
i przed okiem które chciwie spoglądało
na pienistej fermentacji garnce płowe
Jednym słowem kufę całą

kadź i beczki szańcem chronił
Wałom ufny udomowił krowy
kozy kaczki myszy stadko koni
nawet żonę udomowił

Wszystko po to aby wzuć kapcie
i spoglądając nad glacjałem srebrnej piany
snuć nić marzeń o bożej łasce
na ekumenę jerychońską zesłanej

Ucieczka do wolności

Wpadły pierwsze słońca promienie
na agorę w Synopie
Obszeptały ciszę świątynnych cieni
nim pomknęły ku Europie
Ojciec z synem
szedł przez rynek śpiesznie
aż chitony wzdychały powietrzem
linie sił lnianych prężąc hiperbolicznie
w czujność i lęk ściganych przez Erynie
Do portu zmierzali
Pod pieczą niepewną Hermesa
mincerze od bezsnu zszarzali
Snadź długa wędrówka ich piesza
Hikezjos stary i Diogenes
jak psy bezdomne mknęli
Złamawszy w siebie smętne patrzenie
o bożym świecie zapomnieli
Jęknęły deski portowej przystani
od stóp przez rydwan Heliosa ściganych
Na falach liczących srebrne monety brzasku
kołysał się okręt pijany wodnym bogactwem
jak pitos któremu się zdawało
że wypił wsze wino, jakie zeń wylali
Żegnaj mój synu rzekł ojciec z wysiłkiem
jakby miedziaki bił wciąż w mennicy
Żegnaj rzekł syn jakby w tajemnicy
owe miedziaki nadal jeszcze liczył
We łzach rozdwoił się świat cały
rewersem do nich się odwrócił
i zalśnił metalicznym chłodem skały
strzegącej morza przed ludźmi.

Czereśniowe okno

Kur jeszcze nie zapiał
gdy zaczerwieniła się czereśnia
szyb błyszcze nakrapiał
dawny smakosz swą pieśnią

Rzym przywiódł pod okna
i duomillennium owocowe
świt letni obudził
sennie słodkim prasłowem

Wiatr zawiał latyński
historii pestkami zapukał
jam owoc pontyjski
za oknami odszukał

Wyjście

Wreszcie Brama Diomejańska
jak dromos grobu Atreusa ciasna
wyprowadzi mnie z dusznego miasta
do nimf nadrzecznych państwa

Lejmoniady tańczcie dla mnie
Hej najady mędrzec idzie
Wszystko wspólne bosko-ludzkie
wino łąki taniec strumień

Niech Boreasz nas uskrzydli
jak Zetesa i Kalaisa których począł
tu nad rzeką w łonie Orejtyi
Precz chitonie Hop na łąki stopą bosą

Jeszcze łyczek Dionizosie
a wyzwolę się z materii
stanę obok potrzeb wszelkich
Dzięki cnocie Dzięki cnocie

Ach entuzjazm ach ekstaza
Niechaj kostur bluszcz oplecie
z tyrsodzierżcą ponad światem będę władać
Furda śmiechy Diogenesie

Pies przygarnie dzisiaj driadkę
głaśnie driadki kibić gładką
aż wyszumią tęskną skargę
wszystkie gaje w Kynosarges

Cóż to driadko męża nie chcesz
który dla cię z Metroonu przywędrował
hasaj zatem z wieśniakami z Alopeke
To kompania jest dla ciebie Bywaj zdrowa

Z lejmoniadką Pies zatańczy
Nimfa tańca Psu odmawia
Nie chce łąk chorosu tańczyć
Nie wystarcza jej ma sława

Skoro nie chcą Pies nie tańczy
Trzeba przecież trzymać fason
Precz pokuso Jestem twardy
Nie ulegnę szumom lasu

ESEJ

Maria Jolanta Fraszewska

MIŁOŚĆ PO PROSTU... I W ZAŁOMACH ŻYCIA. BARDZO SPORE UPROSZCZENIE

(Na bazie: Anna Świrszczyńska, Liryki zebrane, PIW 1958r)

Rok 1958. Rok moich narodzin i „naszych" narodzin, ponieważ wspólnych z Anną Świrszczyńską. Każda z nas miała swój osobisty powód przyjścia na świat. Jest to rok, w którym Anna Świrszczyńska, młoda poetka, wydaje „Liryki zebrane". Rodzą się treści poetyckie w nowym kształcie, jest to cykl pt: „Miłość" składający się z krótkich form poetyckich, a zapisanych w formie prozy.

Drobne wypowiedzi zawierają w sobie olbrzymi ładunek emocjonalny, który zazwyczaj łączy się, i to zdecydowanie, z wypowiedzią poetycką, mową związaną z uczuciami i myślami, z przeżyciami kobiety, młodej Anny. A więc „obie" przyszłyśmy na świat w akcie miłosnym i podążałyśmy jego śladem, jak każda kobieta, jak każdy człowiek.

Czytając zastanawiałam się, co by było, gdybym pofantazjowała i wyszła „fizyczną kreską zdania" z poziomu prozy i „fizycznie" przełamała całość zdań, podzieliła na fragmenty, układając je w pionie jak wiersz?

Wybrałam więc zdania, których treść zawiera całą istotność wypowiedzi. Podjęłam próbę stworzenia nowej formy wypowiedzi - powróciłam do formy wiersza.

Nie zmieniłam słów, zastosowałam rezygnację z wielości słów, poszłam drogą pomysłu Anny, ponieważ ona szukając przez całe swoje życie nowej formy dla przekazu emocjonalnego, rezygnowała z opisu, jednocześnie wchodząc w zapis emocji i charakterystycznego zdania dla danej sytuacji.

*

W wierszach poetki Anny Świrszczyńskiej życie to miłość, a miłość i śmierć wywołują uczucie związane z bólem. Poetka śmiertelnie poważnie podchodzi do miłości. Bo w obu przypadkach jesteśmy prawdziwi, i w obu należy zachować powagę. Obie: miłość i śmierć, są ważne dla życia. Czy poniższe zdania wyrażają wiersze – poezję czy też mówią o prawidłach psychologicznych? O naszym życiu, ludzkim losie, przeżyciach, do których mamy dostęp, jednak nie zawsze ujmujemy je w słowa.

„Powaga"
Tak cię kocham,
że nawet nie mogę
się uśmiechnąć. [1]

*

Iluż to naukowców podejmowało próbę zdefiniowania miłości...? Na przestrzeni wieków poeci odnosili się do niej wielokroć i takież to wiersze, nasycone emocją uwielbiamy czytać i dziś i wtedy i wówczas, i z pewnością będziemy zachłannie czytać w przyszłości.

1 Liryki zebrane, PIW 1958r

Najbardziej wiarygodna zdaje się być definicja miłości z zakresu psychologii. Jednak nie istnieje jak dotąd jedne, pojedyncze jej objaśnienie, bowiem miłość jest emocją indywidualną, różnorodną i składającą się z wielu czynników. Jest reakcją emocjonalną na ważną dla tej osoby - osobę, przedmiot, istotę, myśl. Profesor psychologii społecznej, Bogdan Wojciszke, w książce „Psychologia miłości" wyróżnia trzy podstawowe składniki dojrzałej miłości: intymność, namiętność, zaangażowanie.

W internecie dostępna jest takowa definicja: „miłość, psychologiczna, zespół aktów psychicznych, głównie uczuć i emocji, związanych z dążeniem do stworzenia stałej relacji interpersonalnej między dwiema osobami. (...) Intymność to uczucia związane z przeżywaniem bliskości w związku z drugą osobą".

„Miłość, (filoz., religiozn.) uczucie skierowane do osoby (miłość: Boga, bliźniego, oblubieńcza, rodzicielska, braterska) lub przedmiotu (miłość ojczyzny), wyrażające się w pragnieniu dla nich dobra (i czynienia go), szczęścia i zachowania ich istnienia".

O miłości dowiemy się więcej zaglądając do Wikipedii: „Miłość – uczucie, typ relacji międzyludzkich, zachowań, postaw. Często jest inspiracją dla dzieł literackich lub malarstwa. Stanowi ważny aspekt psychologii, filozofii (zob. hasło „ filozofia miłości) i religii".

W chrześcijaństwie definiowana jest jako „dążenie bytu do dobra", uważana jest za najważniejszą cnotę oraz sens życia człowieka.

„Izadora czyli Mała jaskinia rozkoszy".
Zstępują oboje
do przytulnej małej jaskini
trzymając się za ręce,
chociaż nie czują
do siebie przyjaźni.
Jesteśmy ubodzy jak zakochane krety.
Za progiem Izadora zabija się.[2]

*

Z przekładów: Louis Aragon: Diane Francaise. (Również pozwoliłam sobie na skrót – znaczący):

„Szczęśliwej miłości nie masz".
Cóż na własność zdobywa człowiek?
Wiele kosztuje szlochu jedna pieśń gitary
Nie masz takiej miłości która łez nie leje
Miłości szczęśliwej nie masz
Ojczyznę czy miłą kochasz.

Louis Aragon, pisarz, poeta, i to co równie istotne: zwolennik dadaizmu i przedstawiciel surrealizmu francuskiego.

2 Liryki zebrane, PIW 1958r

Wszystkie słowa świata kiedy ci
je ofiaruję, wszystkie naraz.
Wszystkie lasy Ameryki wszystkie
żniwa nocnego nieba
Kiedy ci ofiaruję wszystko co lśni
wszystko czego oko nie może dojrzeć
Cały ogień ziemi z pucharem łez
Męskie nasienie dyluwialnych gatunków
I dłoń dziecka
Kiedy ci ofiaruję kalejdoskop cierpienia
Serce na krzyżu członki złamane na kole
Nie kończącą się tkaninę umęczonych
Odartych żywcem ze skóry
w więziennych rzeźniach
Wypatroszony cmentarz nieznanych miłości[3]

Któż nie „kochał" w swej młodości jego poezji, a również poezji Apollinaira. Ona była i jest, przesączona silną emocjonalnością złożoną z ogromu miłości, bólu i cierpienia. Gromu, który wpada wprost do serca człowieka czytającego poezje.

Wtedy, w wieku młodzieńczym, byłam zafascynowana obu powyższymi kierunkami w sztuce. Z jakiego powodu? Teraz to wiem, bo od czytelniczych poszukiwań istoty w sztuce przeszłam do nauki zdobywając kierunkowe wykształcenie związane z odkrywaniem głęboko tkwiących w człowieku przeżyć, fantazji, nieświadomości i nieukierunkowanej świadomości. Wyciąganie z dna ma sens dla życia człowieka wtedy, gdy sprzęgamy nieświadomość ze świadomością tworząc kreatywnie własne życie i jego obrazy, światy niewidzialne, ale dostępne poprzez żywot wewnętrzny. Potencjał człowieczy jest przebogatą przestrzenią.

„Poezja jest przestrzenią dążącą do pełnej autonomii, do izolacji od innych porządków tekstowych".[4]

*

Wobec miłości stajemy bezradni. Pragniemy jej najmocniej na świecie, więc każdy jej przejaw przyjmujemy z otwartym sercem, ramionami i nadzieją. Rozczarowania nie bierzemy pod uwagę, bo ono i tak przychodzi bez oczekiwania. Jedno i drugie przychodzi samo, bo taka jest natura uczuć, choć trudno nam w ten fakt uwierzyć. Uwielbiamy trwanie i wieczność miłości, z tego też powodu wciąż ją w sobie rozpalamy.

Czasy współczesne dostarczają nam coraz więcej nowinek ze świata naukowego. Wiedza rozwija się dzięki nowym metodologiom umożliwiającym głębsze zbadanie niewidzialnego. Bo przecież wiele lat temu

3 Louis Aragon , „Wszystkie słowa świata" z poematu „Elza"

4 http.rcin.org.pl Teksty Drugie 2001: „Poeta o poetach" - Jacek Łukasiewicz"

nie istniała dziedzina nauki zwana endokrynologią miłości.

A Wikipedia udostępnia: Endokrynologia miłości: „stan emocjonalny zakochania, wiąże się z podwyższonym poziomem fenyloetyloaminy (PEA) i dopaminy, powstaniem nowych pętli neuronalnych oraz reakcjami fizjologicznymi na osobę, w której jesteśmy zakochani takimi jak pocenie się dłoni, przyśpieszone bicie serca (wynik działania noradrenaliny). Te same reakcje wywołuje strach i stres. W nieco ponad połowie przypadków poziomy hormonów wracają do normy w ciągu 3-8 lat (choć mogą również wcześniej) od momentu podwyższenia. W pozostałych przypadkach pojawia się nowy stan równowagi, za który odpowiada oksytocyna, wazopresyna i serotonina, a który można określić jako przywiązanie".

Ponadto: testosteron odpowiada u obydwu płci za pożądanie seksualne; dopamina odpowiada u obydwu płci za „uskrzydlenie"; oksytocyna u kobiet odpowiada za uczucia bliskości i przywiązania – jest ona wydzielana m.in. w trakcie orgazmu, przy porodzie, przy karmieniu piersią; wazopresyna odpowiada za bliskość i przywiązanie u mężczyzn.

*

No i czar prysł. Fizjologia ma odpowiadać za wszystkie magiczno-duchowe przeżycia? To się przecież nie mieści w głowie! Niejeden z nas tak właśnie by zakrzyknął.

A jednak i co ciekawsze, a co większość z nas już wie i zaakceptowała: miłość rodzi się w głowie czyli w mózgu. Powstaje w naszym umyśle, a więc miłość jest zależna od naszych myśli. Współczesna psychologia, psychologia społeczna i socjologia badają prawidłowości rządzące naszymi zachowaniami, myśleniem i uczuciami.

„Dawniej rodzice rujnowali swoje relacje z własnymi dziećmi głosząc, że miłość jest obowiązkiem; mężowie i żony ciągle jeszcze zbyt często rujnują wzajemne swoje stosunki popełniając ten sam błąd. Miłość nie może być obowiązkiem, ponieważ nie podlega ona naszej woli".[5]

„List miłosny"

Za rok o tej porze
tak samo wzejdzie księżyc,
ale my, być może,
nie będziemy już razem.
Bo miłość jest jak oddech:
bezcenna i nietrwała.[6]

*

Najczęściej ci, którzy szczęścia nie osiągnęli przekazują radę: obowiązek nad miłość.

W naszym życiu obowiązek jest związany z obsługą gospodarczą człowieka czy rodziny. Nie jest możliwym kochać kogoś z poczucia obowiązku, tak nam się wydaje.

Chyba, że wejdziemy w czasy dawne, w czasy historyczne i sięgniemy do tradycji polskiej, europejskiej czy światowej, do układów pomiędzy rodami czy rodzinami. W społeczeństwach Dalekiego Wschodu kobiety wychowywane były tak, aby służyły mężczyznom. Największą cnotą kobiety było posłuszeństwo najpierw rodzicom, którzy przygotowywali kobiety do roli „dobrej, oddanej i milczącej żony", a potem mężowi. Życie kobiet było w rękach innych, nigdy w ich własnych. „Pawilon Peonii" stanowił pewien wyłom dla przyszłosci kobiet Wschodu.

Gdy sięgniemy po magiczną poetycką prozę Lisy See, która powieść „Miłość Peonii"[7] rozpoczyna słowami pochodzącymi ze wstępu opery-poematu „Pawilon Peonii" z 1598 roku chińskiego autora Tang Xianzu, zwanego „Szekspirem Wschodu", wpadniemy w nieznany nam świat pełen czarownej namiętności.

„Źródło miłości pozostaje nieznane, lecz uczucie to z czasem nabiera głębi. Zdarza się, że za jego sprawą żywi umierają, a zmarli wracają do życia. Miłość nie jest miłością w pełnym rozkwicie, jeśli ten, kto nosi ją w sercu, nie jest gotowy za nią umrzeć, albo jeśli to uczucie nie jest w stanie przywrócić do życia tego, kto umarł. Czy miłość, która nawiedza nas we śnie, naprawdę jest nierzeczywista?"

Można pełnić służbę z obowiązku np.: w wojsku czyli grupie o totalitarnym podkładzie i unormowanych zasadach postępowania. Życie społeczne i życie ludzkie

5 Bertrand Russell w: „Psychologia miłości, Intymność. Namiętność. Zaangażowanie". Bogdan Wojciszke, GWP 2000r

6 Liryki zebrane, Anna Świrszczyńska, PIW 1958r

7 L.See, Miłosć Peonii, Świat Książki, 2007

Ewa Bogucka-Pudlis

do takiego wzoru nie da się sprowadzić, w taki sposób, abyśmy samoistnie odczuwali szczęście. Ukazuje i przestrzega przed tego typu relacjami „Opowieść podręcznej" kanadyjskiej pisarki Margaret Adwood, ukazująca świat w sposób fantazyjny, nieprawdziwy, wymyślony, a jednak ... prawdziwy. W pojęciu socjologiczno-naukowym, ukazuje antyutopię. „Podręczne" to kobiety sprowadzone przez mężczyzn do roli „inkubatora".

Bardzo nie chcę sięgać pamięcią do naszej polskiej niedawnej politycznej historii, gdzie kobiety zostały pozbawione władania własnym ciałem. I w naszej współczesnej rzeczywistości protesty kobiet zostały również brutalnie stłumione. I co najdziwniejsze, nie wszystkie kobiety zdawały sobie z tego faktu sprawę, ale przecież, jak mówi porzekadło: pod latarnią najciemniej. Po co nam edukacja, literatura? Wywalczyłyśmy sobie lepsze czasy, o które jeszcze wciąż trzeba zabiegać i walczyć udowadniając ich przewodnią naturę.

Ani utopia ani antyutopia nie zapewni szczęśliwości osobisto-społecznej człowiekowi. Ponieważ w każdym przypadku doskonałość nie istnieje. Jedyne co można uczynić dla ludzkości to zarysować podstawy i pozostawić ludziom swobodę wykonawczą. Organizacja społeczna dokonuje się samoistnie i wynika z potrzeb przeżycia. Naturalna więź społeczna spaja ludzi.

Bowiem życie toczy się dynamicznie i swobodnie, wynika z bieżących pomysłów i interpretacji, co zarazem stanowi motywacje do „chcenia". Miłości doskonałej nie stworzy się poprzez narzucenie zasad, norm i obowiązków, bo czynności te należą do świata przymusu wykonawczego.

*

A poza tym, i dodatkowo, zanudzilibyśmy się na śmierć. Szczególnie, gdy należy się nadwrażliwców z rozbudowaną prawą półkulą mózgową.

Funkcje prawej i lewej półkuli mózgowej różnią się. Zauważył tę prawidłowość już Aleksander Łuria, zwany ojcem neuropsychologii. Domeną lewej półkuli jest mowa, więc sprawnie idzie nam zakłamywanie siebie. Np. kobieta żyje w przemocowym związku, jak wyjaśnia przemoc, bicie i poniewieranie jej przez męża?

Jeśli nie mogę uciec od nieszczęścia,
zawsze mogę się schronić
w nieszczęściu.8

Otóż ona, kobieta, wyjaśnia: ale on mnie kocha, on mi to przecież mówi. Nieistotne dla niej jest, że mówi również wszelkie plugawości, że ją poniża czy bije. Ale od czasu do czasu pada sakramentalne słowo: kocham cię, nie odchodź, poprawię się... Kobieta wychowana w bajkowym świecie (z uszkodzeniami w prawej półkuli mózgowej) łatwo uwierzy w bajki. Ot, i wniosek, wszyscy mamy uszkodzone mózgi... i uwielbiamy ginąć w otoczeniu magicznych słów.

Według neurologa behawioralnego V. Ramachandrana, przekonania osoby samooszukującej się są koherentne, choć niewłaściwe, bowiem są zgodne z modelem, który sobie wymyśliła, wykształciła w sobie, aby przeżyć, aby móc żyć dalej, bo może będzie lepiej...

„Agnieszka czyli Kobieta moralna"

Mogłabym cię uwieść
wśród wzruszonych kwiatów przylaszczek.
Nie zrobię tego,
za nami idzie cień, który płacze. 9

Każdy człowiek potrafi wyjaśnić swoje zachowanie szukając powodów uzasadnienia tego co robią. W psychologii funkcjonuje pojęcie: uzasadnienie zachowania, a związane jest z zasadą, że człowiek w swoim zachowaniu chce widzieć sens. Jeżeli w systemie moralnym danej osoby istnieje wiedza, że dane postępowanie nie jest etyczne czy dozwolone, to zaczyna się wymyślanie czyli uzasadnianie sensowności własnego działania. Nieistotne jest to, że dla innych może być oceniane jako irracjonalne, dla nas jest sensowne, bo wytworzyliśmy pomysł uzasadniający sens i dla nas jest wystarczający. Koniec kropka, powiedziałem co wiedziałem, a ty poszukaj sobie więcej, jeśli chcesz. Tak oto nakręca się spirala zakłamania, samooszukiwania. W dodatku wszyscy wykazują dobrą wolę czyli chcą uwierzyć i … po czasie kłamstwo staje się nową prawdą.

Jak często słyszy się wypowiedź: „twoje szczęście zapisane jest w gwiazdach", a przecież to „ty sam jesteś kowalem swojego losu". Bo człowiek kieruje swoim życiem poprzez wybory, których dokonuje. A więc jeśli oczekujemy miłości i szczęścia w związku, to od jakości i treści tych relacji zależy nasze poczucie szczęścia. A tak naprawdę szczęście jest zaledwie faktem czyli rzeczą, wydarzeniem istniejącym bez oceny. Fakt jest zgodny w rzeczywistością, a rzeczywistość składa się z faktów. Nie ma to interpretacji ani oceny.

*

Gdy zdobywamy nową wiedzę, gdy zaczynamy pracę nad własną zmianą, wówczas mózg tworzy nowe neurony, które rozgałęziają się i umacniają nowo powstałe połączenia między komórkami nerwowymi. Bowiem pod wpływem nowych doświadczeń i stawianych do wykonania zadań, mózg ma zdolność do reorganizacji swojej struktury. Mózg składa się przede wszystkim z wody, jest w nim 1,5 litra wody, dlatego tak ważnym dla sprawnego funkcjonowania umysłu jest uzupełnianie organizmu w wodę. Mózg posiada galaretowatą strukturę (woda, białka, tłuszcze, sole mineralne), otoczoną trzema płaszczyznami ochronnych błon. Mózg jest zbudowany z 90-200 miliardów komórek nerwowych połączonych z innymi neuronami. Jeden neuron łączy się z drugim od 10 do 50 tys. połączeń, tworząc sieci, których jest więcej niż gwiazd na niebie, jak twierdzą naukowcy. Takiż to w sobie nosimy kosmos.

Spoglądając w kierunku rozgwieżdżonego nieba zastanawiam się czy w mojej głowie jest mikrokosmos czy może jest on tam wysoko przede mną?

„Szczęście"

Biegiem padli w trawę,
pełną wiatru i słońca.
Wiatr poniósł chusteczkę
na dno zielonej doliny.
Zerwali się i biegli.
Szybkie powietrze biło ich. 10

Bądź szczęśliwy, bez względu na wszystko uśmiechaj się, bo śmiech to zdrowie i prowadzi do radości i szczęścia. Takie czasy, taka moda, tak sobie gadamy nie dając wiary, aż nagle: mówimy głośno tak właśnie jest. Okłamujemy siebie czy wywołujemy zmianę?

Dobre samopoczucie jest od nas zależne, jednak dawniej mówiono: „nie śmiej się jak głupi do sera" i „śmieje się, bo głupi". Uczucie szczęścia trwa chwilę, ponieważ szczęście jest uczuciem, a uczucia są krótkotrwałe.

Natomiast możemy pracować na przeżycie chwili szczęścia. I ta praca, trud, staranie tworzy uczucie szczęśliwości, a w zasadzie nazywane jest w obecnych czasach również szczęściem.

*

Dawniej czyli np. w czasach, gdy żyła Anna Świrszczyńska działo się rozmaicie. Poetka urodziła się 7 lutego 1909r. Zwyczajnie nie jest możliwym nazwanie szczęściem lat trwania wojny czy dzieciństwa, które przebiegało w chłodzie i głodzie. Dorastanie Anny było naznaczone lękiem, psychicznym bólem i cierpieniem, ale też olbrzymim pragnieniem przetrwania. Wzywanie sił witalnych i szermierka z myślami: czy to co spostrzegam jest możliwe i stało się prawdą? Etyka, moralność, ładne słowo... wartość i potrzeba życiowa żyła gdzieś głęboko zaszyta w kieszeni podartego paltka. Podstawowe pytanie, które zadajemy sobie prawie codziennie: jak żyć? Co myśleć o życiu, o sensie egzystencji ludzkiej? Kim jest człowiek i co oznacza człowieczeństwo? W tamtych czasach nabierało swoistego znaczenia.

A w życiu Anny zaczęło się tak delikatnie i młodzieńczo...

„Śpiące rzęsy" fragm. w: Jestem
baba, Anna Świrszczyńska
Tęsknię za łąką,
na której zostało
w dołku zgniecionej trawy
nasze ciepłe całowanie.

*

„Język poezji – jak znamię na skórze, jak grupa krwi, jak kod genetyczny – jest wpisany w konkretnego człowieka, ale nie każdy poeta umie się w niego wsłuchać – w pisaniu – być mu naprawdę wiernym."[11]

Pisać z miłości do człowieka, wywiad z Anną Świrszczyńską w "Polskim Radiu, 1977 rok, w audycji Anny Balickiej – „Chciałabym napisać taki wiersz, żeby człowiek, który w życiu nie dał sobie moralnie rady, mógł po niego sięgnąć, i ten wiersz by mu pomógł" – wyznała poetka. O „Jestem baba" mówi: chciałam w tym tomiku powiedzieć nie tylko o kobiecie w ogóle, przede wszystkim o kobiecie, która jest najbardziej obciążona wszystkimi przeciwnościami losu, o prostej kobiecie ze wsi, z miasta, która haruje i której się nie docenia.

Optymizm czerpie się z wiary w siłę sztuki. Pisanie jest posłannictwem. Przeszłam przez swoje „babskie życie", więc i ja jestem „baba". Kobieta jest najbardziej ociążona babskim losem. Sztuki kobiecej jeszcze nie ma na świecie, bo dzisiejszy układ na świecie wspiera mężczyzna. Jako literatka ja zapłaciłam cenę większą niż mężczyzna. Kobietę babę natura obdarzyła wielką siłą i wagą. Przedstawiam kobietę jako istotę, która patrzy na tego mężczyznę z góry. Tak wypowiada się Anna Świrszczyńska. Czy coś się zmieniło po upływie pół wieku?

*

Patrick Suskind w książce „O miłości i śmierci"[12], pisze:

8 „Zawsze jest wyjście" (fragment) w: „Szczęśliwa jak psi ogon", A.Świrszczyńska

9 Liryki zebrane, PIW 1958r

10 Liryki zebrane, PIW 1958r

11 J.Mueler, Stratygrafie, Biuro Literackie, 2010, s.233

12 Świat Książki" 2009r.

„Jak można odczuwać jako najważniejsze szczęście coś, co nas ogłupia i potencjalnie czyni brutalnymi? Czy miłość tak naprawdę jest jedynie chorobą, i to nie najpiękniejszą, lecz najokropniejszą z możliwych? Czy może jest trucizną, której dawka decyduje o tym, czy działa zbawiennie, czy wyniszczająco? Pomóż Sokratesie, pomóż!"

W książce autor podejmując się rozważaniom na temat zestawu tych dwóch sił emocjonalnych, porównuje uczucie miłości opisanej w micie Orfeusza i Jezusa, stwierdzając, że historia Orfeusza jest cudowną próbą: „pogodzenia ze sobą miłości i śmierci, dwu zagadkowych elementarnych sił ludzkiej egzystencji". Objaśnia, że Orfeusz jest nam, ludziom, bliższy, ponieważ on wątpi, w ten sposób staje się „kompletnym człowiekiem". I to daje mu przewagę nad Jezusem, którego interesuje tylko władza. Może jest „tylko Bogiem", zadaje pytanie Suskind, skoro nie „wstrząsnęło nim odurzenie zesłane przez Erosa"?

Śmierć „odejmuje nam mowę". Jak w przypadku tabu, milczymy, zdajemy się nie widzieć czegoś, co przecież jest tak bardzo ludzkie, a na temat miłości rozpisujemy się długo i szeroko.

A więc niech się stanie i nich przemówi poetka Anna Świrszczyńska fragmentem wiersza: „Jak głupi pies" z tomiku: Szczęśliwa jak psi ogon" z 1978 roku, tomiku wydanym dwadzieścia lat po „Lirykach zebranych". Poetka opatrzyła tomik bandażem pamięci swej wielkiej ostatniej i prawdziwej miłości do mężczyzny, mottem: „Pamięci Józefa, który umiał się cieszyć i potrafił cierpieć".

(…)
Szczęśliwa jak pies,
co się nie boi biegać
dalej niż inne. Jak jego
psia bezczelność.

Szczęśliwa jak młody głupi pies.
Jak stary głupi pies.

Emily Dickinson[13] zawsze wie co powiedzieć na zakończenie: „Miłość wszystko może lecz nie wskrzesi zmarłych".

Maria Jolanta Fraszewska

13 *E.Dickinson, Przeczucie. Ostatnie przekłady Ludmiły Marianskiej. Biblioteka Telgte, 2005, s.93*

Ewa Bogucka-Pudlis

Kazimierz Brakoniecki

Imitacje wierszy poetów chińskich

Imitacje wierszy Li Bai i Tu Fu według przekładów angielskich (Sam Hamill) i francuskich (Tch'en Yen-hia)

LI BAI (LI PO, 701-762)

Zazen

Ptaki zniknęły z horyzontu nieba,
Ostatni obłok też odpływa.

Siedzimy razem, ja i góra,
Na końcu tylko będzie góra.

Do TU FU z prowincji Szantung

Pytasz, jak spędzam czas:
Przytulony do drzewa trwam,

Słuchając jak jesienny wiatr
Sosny porusza w noc i dzień.

Piwo tutejsze nie upija mnie,
Poeci lokalni nawet nudzą.

Moje myśli płyną na południe gdzie Ty,
Nurtem wzburzonej rzeki Wen.

Powrót wygnańca

Po latach wracasz rzekami i morzem
Z pustek i dziczy tamtego Wschodu.

Ileż to smutku zebrałeś na wygnaniu?
Więcej niż pereł ukrytych jest w morzu.

Spokojna noc, rozmyślania

Późno w nocy promień księżyca
Jest jak lustro szronu na zewnątrz.

Podnoszę oczy na jasny nad górami księżyc,
Żal, kiedy wspomnę mój dom, zasnąć.

Pamięci Ho Chi-chena

Ludzie z jego krainy uznali, że to wariat,
Więc Ho-Chi-chen wędrował pod wiatr.

Kiedy po raz pierwszy go spotkałem w Ch'ang-an
Nazwał mnie „Nieśmiertelnym Wygnańcem".

Lubił dobrą rozmowę, dbał o puchar swój,
Ukryty w zagajniku bambusów i sosen.

Przez łzy biednego Ho widzę,
Jak pierścień zastawia, żeby dalej móc pić.

Samotne pijaństwo pod księżycem

Dzban wina znajduję ukryty w kwiatach,
Sam będę pić, nie mam tu przyjaciół.
Podnoszę czarę do twarzy księżyca,
Jest nas troje, on, ja i mój cień.

Ale księżyc nie potrafi pić,
A mój cień zastyga w milczeniu;
To przyjaciele, cień i księżyc,
Kwitnącą wiosną się radujemy.

Kiedy śpiewam, to księżyc tańczy.
Kiedy tańczę, to cień mój krąży też.
Jako trzeźwi wspólne mamy sprawy,
Gubimy się, gdy pijemy.

Każdy osobno, ale przecież razem,
Na Drodze Mlecznej odnajdziemy się.

Mój dom w górach

Pytasz mnie, dlaczego samotnie żyję
W lesistych górach,

Mam uśmiech na twarzy i milczę,
A moja dusza staje się spokojna:

Jest gdzieś inny świat,
Ale tam kłamać to rzecz normalna.

Kwitnie drzewko brzoskwini,
A struga dalej sobie płynie.

Li Bai (701-762), najsłynniejszy na Zachodzie poeta chiński typu taoistycznego, daleki krewny rodziny cesarskiej, według legendy zginął, próbując pochwycić odbicie księżyca w wodach Jangcy.

TU FU (712-770)

Wspominając Li Bai

Od dzikich stron wieje zimny wiatr.
Co teraz robisz ty?

Jakie wieści przynosi dzika gęś
Z krainy jezior i rzek?

Poetom sukces nie daje nic,
Muszą mieć swoje demony.

Wspomnij ducha biednego Ch'u Yuana –
Prześlij mu wiersz najbliższą rzeką.

Patrząc na śnieg

Przegrane bitwy opłakują liczne duchy.
Sam i z gorączką recytuję litanię nieszczęść.

Ciężkie chmury dryfują na zachód,
Przelotny śnieg tańczy na wietrze.

Kowalskie cęgi leżą z boku porzucone,
Chociaż w popiele pulsuje ogień.

Żadnych nowin. Czy wszędzie jest tak źle?
Zapisuję smutki i rzucam je na wiatr.

Patrząc na śnieg (2)

Północne śniegi atakują miasto,
Północne chmury zamrażają domy.

Wichura z liśćmi miesza płatki śniegu,
Zimny deszcz siecze płatki kwiatów.

I znów bez pieniędzy, jestem ciekaw,
Czy wino dostanę tu na kredyt.

Ale nie mam nikogo, aby się podzielić,
Poczekam na kruki i słońca zachód.

Noc w pokoju niedaleko rzeki

Wieczór wznosi się na górskie drogi,
Kiedy wspinam się do pokoju.

Małe obłoki ciągną wzdłuż brzegu,
Samotny księżyc powoli w fale mierzy.

Stado żurawi wyciąga w ciszy szyje,
z daleka dochodzi wilków wycie.

Nie mogę spać, pamięć wojny mnie budzi,
Wobec całego świata jestem bezbronny.

Tu Fu (712-770), drugi obok Li Bai największy poeta chiński, tym razem typu konfucjańskiego (dykcja mniej emocjonalna i egotyczna). Obaj przeszli do legendy poetyckiej przyjaźni.

Bogna Wiczyńska

Parę słów o kondycji i legendzie outsidera Andrzej Babiński

***

Czy był taki poeta który nie potrzebował słów
Aby się wyrazić, a wyraził
siebie, przywiązania
Przyjaźnie i tęsknoty człowiecze

Który z nikim się nie powitał
wchodząc w progi
Domów, i z nikim się nie
pożegnał w rozstaniach

Którego nikt nie umie i nigdy się nie nauczy

Który nie kłamał – tak rzadki

(Słońce przede mną się skłoni –
Cień gorący przyklęknie)
Nie – przede mną takiego Poety nie było

Pisał Andrzej Babiński w jednym z wierszy opublikowanych po latach przez Jerzego Szatkowskiego w „Okolicy Poetów" [„Okolica Poetów" nr 74/2014]. Zacytowany utwór wiele mówi o kondycji i samoświadomości zbuntowanego pisarza, wspominanego do dziś jako skandalista, szaleniec i outsider. Wielu czytelników z dużą śmiałością zalicza Babińskiego do grona *poetes maudites*, włączając jego postać w bogatą tradycję zapoczątkowaną przez średniowiecznego protoplastę poety wyklętego Francoisa Villona, a ugruntowaną przez francuskich modernistów w osobach Arthura Rimbauda, Paula Verleine'a czy Stephane'a Mallarmego. Często też umieszcza się poznańskiego poetę w gronie „kaskaderów literatury", obok takich twórców, jak Marek Hłasko, Halina Poświatowska czy Rafał Wojaczek. Taka klasyfikacja wynika z faktu, że Babiński znany jest przede wszystkim dzięki legendom i opowieściom, które krążą na jego temat w Poznaniu. Według relacji uczestników wieczorów literackich „Przy kominku" organizowanych w Pałacu Kultury w Poznaniu (teraz miejsce to znane jest jako Centrum Kultury „Zamek"), na których bywał poeta w latach 70. i 80., obce były mu konwenanse i unormowany tryb życia, nierzadko prowokował innych skandalicznymi zachowaniami, domagając się uznania i uwagi, których brakowało mu w jego codzienności. Nie bez powodu uznawany jest też za szaleńca – chorował na schizofrenię paranoidalną, co również determinowało jego ekscentryczny sposób bycia. Dla potwierdzenia tych informacji wspomnieć można o licznych pobytach w szpitalach psychiatrycznych związanych z pogłębiającą się chorobą – schizofrenią paranoidalną, niedostosowaniu społecznym oraz o obsesji związanej z pisaniem, która – w braku mocy twórczej – nakazywała ma antydatować lub przerabiać stare wiersze, dając pozory działań pisarskich. Wielu informacji na temat biografii poznańskiego outsidera udzielił mi Jerzy Szatkowski podczas jednej z rozmów o Babińskim – w świetle tej wypowiedzi prawdziwym dramatem dla poety była jego niemoc twórcza przy jednoczesnej silnej potrzebie pisania, tworzenia i zdobycia uznania wśród czytelników. Być może niektóre z niekonwencjonalnych czy skandalicznych zachowań poznańskiego poety były skutkiem pewnej rekompensaty za ów brak natchnienia, próbą swoistego przeniesienia realiów poezji do realiów własnego życia.

Dodajmy, że kreatywność w aktach teatralizacji swojego życia i budowaniu legendy sięgała nawet tak ważnych kwestii jak wypełnianie formularzy urzędniczych, ankiet, wniosków czy podań. Jak pisał Jerzy Szatkowski w jednym ze wspomnień o Babińskim (tłumacząc notabene niejasności i zawiłości utrudniające ustalenie faktów biograficznych z życia poety), autor *Zniczy*

(...) desperacko, kaskadersko i maniakalnie (ale i nie do końca bez racji) budował swoją legendę. Miejscami niezgodnie z prawdą wypełniał nawet wnioski, podania, ankiety personalne. Zakłamywał i ubogacał życiorys kiedy już musiał go pisać. A także (to bardzo ważne!) antydatował i postdatował wiersze[1].

Z ciągłej potrzeby twórczości i kreacji (czy raczej autokreacji), a nade wszystko z potrzeby istnienia wynikają zatem liczne życiorysy, które pisał, często mijające się z prawdą. Warto przytoczyć jako ciekawą ilustrację tego zagadnienia następujące słowa ze szkiców Babińskiego: „(...) Przecież ja donoszę całemu światu, że istnieje świat i ja na tym świecie. Donoszę w poezji. Zawiadamiam. To więcej znaczy niż życiorys". Cytat ten wskazuje jednoznacznie na silne oddziaływanie literatury na biografię.

Co wydaje się istotne, poznański poeta do tego stopnia usiłował żyć jedynie poezją, że planował poświęcić się tylko pisaniu, w żaden inny sposób nie pracując zarobkowo. Tu, przyznajmy, choroba psychiczna działała w pewnym sensie na korzyść Babińskiego, zapewniając mu choćby niewielką rentę czy stanowiąc wymówkę przed działalnością zawodową. Takie podejście wzbudzało trwogę u matki poety, zatroskanej o przyszłość syna. W jednym z życiorysów pisał: „Nie umiałem połączyć stałej pracy z pisaniem / a wiersze pisałem od dziecka/; w związku z tym imałem się wielu prac zleconych, dorywczych, sezonowych". (Cytowany życiorys Andrzeja Babińskiego znajduje się w spuściźnie po Archiwum Literacko-Plastycznym Jerzego Szatkowskiego). Poruszające są także listy matki poety, których krótkie fragmenty pozwolę sobie zacytować: „Andrzejku, / Przesyłam Tobie 20 zł. Ale jak można żyć bez pracy? Ja sobie nie wyobrażam. (...) Jeżeli nie będziesz pracować to bardzo smutnie i tragicznie wszystko skończy się. Mężczyzna musi pracować na siebie i na żonę i dzieci" [cytowany list Leontyny Babińskiej również znajdujący się w zbiorach Jerzego Szatkowskiego, najprawdopodobniej pochodzi z lat 60.].

Autora *Zniczy* można zatem uznać za jednego z tych poetów, dla których twórczość pisarska stanowi warunek konstytuowania się własnej podmiotowości i którzy swoje życie uzależniali właśnie od poezji. Dlatego też prawdopodobnie Babiński stanowi przykład twórcy uwikłanego w konflikty z własnym „ja", będąc – zgodnie z opisanym przez współczesnego badacza literatury Ryszarda Nycza modelem podmiotu sylleptycznego – na poły autentycznym, a na poły fikcjonalnym bytem[2]. Podmiotowość sylleptyczna dotyczy bowiem takich przypadków, w których literatura staje się częścią życia, co skutkuje tym, że – jak pisze Nycz w swoim artykule – dochodzi do swego rodzaju „sprzężenia zwrotnego" między twórczością a życiem. Z tego względu ten rodzaj podmiotowości określany jest mianem modelu interakcyjnego, w którym „ja" rzeczywiste i „ja" literackie wzajemnie na siebie oddziałują i wymieniają własnościami. Wydaje się, że opis sylleptycznego tropu „ja" w sposób szczególny pasuje do osobowości autora *Zniczy*. Zwłaszcza, że jest to też twórca, którego Henryk Bereza najprawdopodobniej określiłby mianem „opętanego pisarstwem" czy też będącego „we władzy słowa pisanego". Zarówno w poezji, jak i w życiu samego siebie prezentował jako buntownika, outsidera, poetę „osobnego" czy „totalnego" – traktującego poezję do tego stopnia poważnie, że nie pozwalał sobie na kompromisy: „Każdy wers ma być genialny" – pisał w liście do Edwarda Stachury. Stąd być może dojmująca potrzeba krytykowania poetów, którzy – w przekonaniu Babińskiego – decydowali się na półśrodki, gdy prócz pisarstwa prowadzili zwyczajne życie rodzinne lub zawodowe. Jak możemy odczytać z zachowanych brulionów poety, Babiński na temat swojej twórczości pisał: „«(...) ja twierdzę, że człowiek prócz modlitwy nie ma nic do po-

1 *J. Szatkowski, Andrzej Babiński: „Ostatnio poznałem niejakiego Stachurę", „Okolica Poetów" 3/1999, s. 25.*

2 *R. Nycz, Tropy „ja": koncepcje podmiotowości w literaturze polskiej ostatniego stulecia, „Teksty Drugie", nr 2/1994, s. 7-27. Zob. też: E.Winiecka, Białoszewski sylleptyczny, Poznań 2006, s. 41.*

wiedzenia: / Za pokutę mam milczenie». Tu dopisek: «O mojej poezji»". Słowa te można odnieść zarówno do sposobu bycia pisarza – nieznajdującego sensu w żadnym innym zajęciu aniżeli w pisaniu, jak i do samej twórczości – poprzez absolutyzację słowa poetyckiego, poza którym człowiek *nie ma nic do powiedzenia*. Dlatego też, według autora *Z całej siły*, każdy wiersz powinien być do końca doszlifowany, przemyślany i dopracowany.

Ponadto wydawać się może, że poezja była dla Babińskiego strategią na przetrwanie, sposobem postrzegania świata, medium, za pomocą którego docierał do własnego wnętrza – skomplikowanego, pełnego sprzeczności i cierpienia. To dzięki poezji uzewnętrzniał dręczące go ciemne myśli i niepokoje schizofrenika, a także swoją samotność i najgłębsze tęsknoty: „«nie miałem szczęścia w śmierci, poszukam w miłości» / o mojej czułości powiem delikatnie, śpi w ramionach atlety" pisał w jednym z wierszy ze zbioru *Znicze* [***(„nie miałem szczęście w śmierci poszukam w miłości"), *Znicze*, Poznań 1977, s. 42).

Jeśli rozumieć twórczość Babińskiego jako jeden z wymiarów jego autoterapeutycznej narracji, możemy odnieść wrażenie, że pisanie jest dla Babińskiego czymś więcej – traktuje je niemalże jako ratunek na własne zmagania, choroby i samotność; pisarstwo staje się dla niego drogą do poznania i zrozumienia własnego „ja". Stąd zapewne niezliczona ilość śladów autobiograficznych, które poeta zostawiał w swoich tekstach – znajdziemy w nich zarówno odniesienia do poszczególnych wątków życiorysu, w tym nieszczęśliwej miłości, wydarzeń, jak i ślady konkretnych miejsc, w których bywał. Rzec można, że poezja Babińskiego to jeden, złożony ślad samego autora, stanowiący przyczynek do rekonstrukcji biografii autora oraz przestrzeni z nim związanych, a z pewnością umożliwiający wnikliwą analizę jego zawiłej psychiki.

Na tak zarysowanym tle wydaje się, że jedną z podstawowych motywacji do zachowań łamiących konwenanse społeczne była dla Babińskiego silna potrzeba wyeksponowania swojego twórczego „ja". Dla poety w absolutyzujący sposób podchodzącego do pisarstwa ograniczone możliwości zaistnienia w świecie literatury musiały wiązać się z cierpieniem, co przekładało się z jednej strony na autotematyzm tej poezji, a z drugiej – na nasilenie relacji między życiem i twórczością i rozmycie się granic między tymi sferami. Poczucie niespełnienia w tej sferze rekompensował, wyrażając swój bunt wobec reszty literackiego – często nieprzychylnego mu – towarzystwa, o którym miał wyrobioną, jednoznaczną opinię, a także wobec całego otaczającego go świata oraz zastanej rzeczywistości. To zaś przyczyniło się do zbudowania – już za życia – własnej legendy…

Z kreowanego przezeń mitu, który do dzisiaj jest – zwłaszcza wśród przedstawicieli ówczesnego środowiska literackiego – obecny, wynikają problemy związane z recepcją utworów poety. Można powiedzieć, że z jednej strony stworzenie opowieści na swój temat, wspartej zarówno pisanymi tekstami, jak i aktami prowokacji, pozwoliło autorowi *Zniczu* zaistnieć w środowisku twórczym, a z drugiej stało się przekleństwem, zamykając jego postać w ciasnym kręgu anegdot i opowieści, przez co rzadko bywał (i nadal bywa) traktowany poważnie. Legenda stała się też bez wątpienia powodem, by sądzić, że twórczość Babińskiego realizuje się wyłącznie jako środek ekspresji lęków, obsesji i psychotycznych wizji autora. Jak bowiem pisze Tomasz Kunz w [illegible]

Rafałowi Wojaczkowi, również znanemu jako „kaskader literatury", legenda przyczynia się często do uproszczeń i przekształceń w odbiorze twórczości danego pisarza, może prowadzić do nadużyć: np. umieszczania w kategorii „poeci przeklęci" twórców tak różnorodnych, swoistych i oryginalnych jak Poświatowska, Bursa czy Milczewski-Bruno, podczas gdy każdy z wymienionych wymaga osobnego potraktowania i zbadania. Legenda może być zatem przekleństwem, przysłaniając twórczość, stając się powodem nieporozumień dotyczących danej postaci.

Wydaje się ponadto, że w pewnym momencie wyczerpał się mit o Babińskim – poecie przeklętym, tak jak wyczerpał się modny swego czasu mit kaskadera literatury, outsidera czy skandalisty. Być może pora zatem historię poety napisać od nowa, by światło dzienne ujrzały także inne jego przymioty, ukrywane pod płaszczem legendy, a nade wszystko – wiersze ukazujące jego nad wyraz intrygującą osobowość – trudne, bo osobiste i wyrosłe z wybujałej wyobraźni karmionej od wczesnego dzieciństwa obrazami wojny i niepokojem, a w dorosłości schizofrenicznymi zjawami? Nade wszystko zaś, warto wrócić do wierszy poety, dziś już rzadko czytanego, niewydawanego.

Bogna Wiczyńska

Andrzej Babiński

urodził się w Białymstoku 5. I . 1938 r. w rodzinie o tradycjach szlacheckich we wsi Babino. Już w roku 1983 zapowiadał w środowisku swe odejście. Dnia 14 maja 1984 udał się na most im. Marchlewskiego w Poznaniu (dziś most im. św. Jadwigi), było to w późnych godzinach wieczornych, zapewne, by skoczyć do Warty.

W dniu 14 maja 1984 roku około godz. 22.00 patrol Milicji odnalazł ciało poety na betonowym nadbrzeżu rzeki Warty. Śledztwo wykluczyło sugerowany przez ojca motyw zabójstwa. Tak więc 14 maja minie 40 lat od tej samobójczej śmierci.

Drogi redaktorze! - zwracał się do szefa Klubu Literackiego kolegi Jerzego Grupińskiego w Sali Kominkowej na Zamku w Poznaniu:

Pan mnie nie rozumie redaktorze. Mnie do życia powołała suka. (Trzy listy)

ESEJ

Michał Skrętek

„STED" – W JASKRAWOŚCI ISTNIENIA

„Potęgowa poszła w pole. – pisał w „*Całej jaskrawości*" Edward Stachura – W głośniku „*Balladę o pchle*" Modesta i otczestwo Musorgskiego śpiewał mężnie jak śmiałek Teodor Szalapin. W natchnieniu słuchaliśmy, w natchnieniu papierosa paląc. W natchnieniu też, mówię, ściągaliśmy potem gumiaki z nóg, w natchnieniu rozwiesiliśmy nad piecem onuce… Wszystko w natchnieniu…"[1].

Taka też była twórczość Edwarda Stachury, natchnionego poety, który także na kartach swej prozy przemycał treści głęboko filozoficzne. Niestrudzony piewca życia, który, aż do swej samobójczej śmierci, całym sobą, dawał cenne świadectwo literackiego istnienia. „Nigdy nie uwierzę w to, – pisze dalej Stachura – że kiedy przestanie telepać mi tętno, gdzie rękę teraz trzymam po lewej stronie na piersi, kiedy przestanie bić mi serce, kiedy ono przestanie bić, ja też przestanę być i wszystko się skończy"[2]. Serce poety, nazywanego przez przyjaciół Stedem, przestało bić 24 lipca 1979 roku, po 42 latach burzliwego życia.

Kontynuując eksplorację niezwykłej osobowości autora „*Całej jaskrawości*", kartkuję „*Siekierezadę*", przechodząc płynnie do „*Fabula rasy*"… Próbując odpowiedzieć na pytanie, czy „*Wszystko jest poezją*" ?… staram się dotrzeć do sedna przyjętej przez Stachurę formy. O ile „*Cała jaskrawość*" utrzymana jest w tonie prozy, w pełnym tego słowa znaczeniu, autobiograficznej, o tyle czytając „*Wszystko jest poezją*", i przechodząc później do „*Fabula rasy*", wkraczamy w sferę misatyczno-filozoficznych rozważań poety, w których Edward Stachura analizuje kolejne szczeble procesu pojmowania przez człowieka rzeczywistości, która go otacza, a której próba zrozumienia go fascynuje. Zagłębianie się w kolejne, podziemne – niewidoczne, piętra percepcji ludzkiego postrzegania, prowadzi Stachurę do nieustannego zadawania fundamentalnie osadzonych pytań, będących kamieniami milowymi na drodze do poznania samego siebie.

Głównego bohatera utworu „*Cała jaskrawość*", którym jest sam Edward Stachura, poznajemy jako robotnika najętego do oczyszczenia basenu, znajdującego się w parku zdrojowym, jednego z popularnych polskich kurortów. Stachura, wraz ze swym kolegą – Witkiem, za dnia pracują w parku zdrojowym, wieczorami zwiedzają okolicę, noc zaś spędzają na kwaterze u starszej kobiety, której pomagają w gospodarstwie.

Proza Stachury, pomimo niewyszukanej – inaczej niż jego poezja – formy, przeplatana jest także mistycznym i religijnym uniesieniem. „*Cała jaskrawość*" jest, w istocie, pełna scenek rodzajowych, w który autor przedstawia, m.in. opis codziennego życia dwóch najemnych robotników, mieszkających na czas zlecenia, u starszej kobiety – życia które później przedstawił w słynnej „*Balladzie dla Potęgowej*", pisząc: „W polu robiliśmy, z boru drwa nosiliśmy. Jak stara matka i dwóch synów żyliśmy".

W „*Całej jaskrawości*" Edward Stachura nadał prostej pracy fizycznej i ludzkiej egzystencji wymiar metafizyczny. Hołdując kontemplacji nad działaniem, Stachura – za księdzem Józefem Tischnerem – nadał pracy formę epickiej podróży w głąb samego siebie. „Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże – napisał ks. Tischner w „*Krótkim przewodniku po życiu*" – jest Bogu podobny nie tylko w tym, że myśli i kocha, ale także w tym, że pracuje. Człowiek, jako Bogu podobny, uczestniczy w akcie tworzenia"[3]. Podobnie też rzecz ma się z „*Siekierezadą*", która jest, w istocie, obyczajowym przedstawieniem losu drwali, pracujących przy wyrębie bieszczadzkiego lasu. Praca ta jest dla głównego bohatera utworu – Janka Pradery, ucieczką od przeszłości, w której doświadczył on zawodu miłosnego.

„Dobrem przynoszącym zbawienie – powiada w „*Szkicach z socjologii religii*" Maks Weber – może być dar aktywnego, etycznego działania, któremu towarzyszy świadomość, że staruje tym działaniem Bóg, że jest się narzędziem Boga"[4]. Fakt uświadomienia sobie kruchości ludzkiego istnienia, wywołał u Stachury potrzebę czerpania z życia pełnymi garściami, przeżywania każdej chwili w jej „całej jaskrawości". Postulat poety to nie przespać, nie zmarnować ani dnia, ani godziny, ani minuty, ani sekundy z dnia, który nigdy już się nie powtórzy. On nie tylko nie może się powtórzyć, on nie powtórzy się na pewno. Bo tak, jak nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, tak nigdy już nie ma dla nas drugiej szansy na życie w jego pełni. W pełni ludzkich namiętności, które pozwalają nam być prawdziwymi, jako ludzie żyjący pośród innych, z innymi dzieląc uczucia i myśli, dające nam prawo do nazywania się istotami prawdziwie ludzkimi.

W tym kontekście dla Edwarda Stachury, w istocie, „*Wszystko jest poezją*", a „*każdy jest poetą*". Bez względu na to, czy – jak Anthonio de Mello – będziemy „*Szukać Boga we wszystkim*", czy – za Richardem Dawkinsem – uznamy, że jest On „*Urojony*", zawsze będziemy wyrażać to, co charakteryzuje ludzi – chęć pogłębionej refleksji. Bowiem „droga ku Nieskończonemu – powiada ks. Józef Tischner w „*Myśleniu według wartości*" – wiedzie przez poczucie odpowiedzialności jakie łączy mnie z drugim człowiekiem"[5]

Na określenie tego, co Stachura nazywał życiem w całej jaskrawości, Erich Fromm wprowadził – zaczerpnięte z łaciny – pojęcie „biofilii" – miłości życia. Jest ona – napisał w „*Sercu człowieka*" najbardziej znany uczeń Freuda – „...wyrażana bardziej w gestach niż w poglądach, bardziej w tonie głosu niż w słowach"6. Twórczość Edwarda Stachury jest pisarstwem człowieka drogi, ciągle poszukującego własnego odbicia w oczach drugiego człowieka. Widać to bardzo wyraźnie w jego „*Zeszytach podróżnych*", notatkach, jakie Edward Stachura prowadził w latach 1956-1979. Były to zapiski pozornie błahe, skreślone w drodze, mogące być jednak inspiracją do kolejnego wiersza, piosenki lub zarysem nowej powieści.

Wyrażając miłość życia hołdujemy także czasowi, który na wyrażanie tej miłości poświęcamy. Podnosząc tę kwestię, w swoich „*Trzech kulturach*", ks. bp. Józef Życiński pisał, że „to biofilia sprawia, iż zachwycamy się intensywnym zapachem bzu, czy kontemplujemy wschód słońca. Biofilia przekształca animal rationale w animal poeticum"[7]. Tak więc to miłość życia sprawia, że „*każdy jest poetą*", mogącym przeżyć każdą chwilę swego życia w jego „całej jaskrawości".

W „*Fabula rasie*" autor jest człowiekiem pytającym, nieustannie poszukującym odpowiedzi, ale także kompulsywnie zadającym co raz to nowe pytania. W „Nocie do czytelnika", jaką rozpoczyna się ten swoisty traktat, czytamy, m.in.: „Ta książka nie jest do przeczytania. Ta książka jest do odkrycia"8. Odkrywanie twórczości prozatorskiej Edwarda Stachury, rozpoczęte od „Całej jaskrawości", było dla mnie niezwykłym doświadczeniem zarówno literackim, jak i duchowym. „*Fabula rasa*" , to jednak coś jeszcze innego, głębszego, bardziej jeszcze osadzonego w duchowych fundamentach ludzkiej egzystencji.

Można, oczywiście, traktować „*Fabula rasę*" jak zlepek pozornie niepowiązanych ze sobą treści. W tym kontekście jest to, dla mnie, atlas człowieka – przewodnik, dzięki któremu człowieka możemy poznawać, jak poznaje się: Europę, Azję, Afrykę, Hiszpanię, Francję, czy Włochy… Można też patrzeć na tę książkę, jak na manifest oświeconego. Wkraczając wtedy w obszar przenikania się dociekań filozoficzno-religijnych, potrzeba nam zaczerpnąć z kilku lektur pomocniczych. Fromm, Nietzsche… Shopenhauer, Teitaro Suzuki, Kerouack... to pisarze i myśliciele, których poglądy mogą rzucić więcej światła na zawiłości stachurowskiej „Fabula rasy".

„*Eco homo*" – „*Oto człowiek*", powiedział Poncjusz Piłat, gdy ujrzał ukoronowanego, cierniowym symbolem władzy królewskiej, Jezusa. Słowa Piłata wykorzystał, w tytule swojej książki, Fryderyk Nietzsche, pisząc tam, m.in.: „Wielka mądrość... fatalizmu, który nie zawsze jest jedynie odwagą śmierci, i potrzebuje życia w okolicznościach zagrażających życiu, tkwi w zredukowaniu tępa przemiany materii, jego zwolnieniu, w pewnego rodzaju pragnieniu zapadnięcia w sen zimowy"[9]. Słowa wierszy i prozy Edwarda Stachury opisywały życie – były

1 E. Stachura, „Cała jaskrawość", LSW, Warszawa, 1974, s. 28.
2 E. Stachura, „Cała jaskrawość", LSW, Warszawa, 1974, s. 21.
3 J. Tischner, „Krótki przewodnik po życiu", Znak, Kraków 2017, s. 84.
4 M. Weber, „Szkice z socjologii religii", Vis-a-vis Etiuda, Kraków 2018, s. 196.
5 J. Tischner, „Myślenie według wartości", Znak, Kraków 1994, s. 190.
6 E. Fromm, „Serce człowieka", Vis-a-Vis Etiuda, Kraków 2015, s.51.
7 J. Życiński, „Trzy traktaty", W drodze, Poznań 1990, s.60.
8 E. Stachura, „Fabila rasa", Czytelnik, Warszawa 2006, s. 7.
9 F. Nietzsche, „Eco homo", Vis-a-Vis Etiuda, Kraków 2020, s. 18.

Ewa Bogucka-Pudlis

świadectwem biofilii, ale podszytej fatalizmem.

Widać to wyraźnie w ostatniej zwrotce „*Ballady dla Potęgowej*", gdzie poeta, zastanawiając się: „Gdzie nas powiedzie, skrajem dróg gzygzakowatych, życia sznur…", odpowiada na to pytanie nieco później: „Tam nas powiedzie, gdy nadejdzie czas, gdzie Potęgowa, teraz jest to raj. Tam urządzimy wtedy wielki bal. Hej Potęgowa, hej Witek i ja. I inni co pomarli, lub co zginął z nami. Bracia, kamraci, kumple i kompani. Ech, spotka tam w raju nas się kupa luda. Ech, od tupania zadudni niebieska tancebuda".

Edward Stachura nie miał dylematów podobnych do tych, jakie dręczyły Ericha Fromma: „Mieć czy być", Stachura nie uciekał od wolności, Edward Stachura był człowiekiem – był w całej jaskrawości. „Dusza ludzka, lub jej brak – pisał Charles Bukowski w liście do Jamesa Boyera Maya, 29 grudnia 1959 roku – objawia się tym, co człowiek potrafi wyryć na kartce. A jeśli widzę więcej poezji na ulicach Santa Anita lub w pijaku pod bananowcem niż w zadymionej sali z ciotowatymi wierszokletami, to moja sprawa i tylko czas osądzi, która atmosfera była odpowiednia"[10]. Dobrą literaturą nie jest, w moim przekonaniu ta, która podoba się każdemu, ale ta, która przemawia do każdego w jego własnym języku, gdzie każdy może odnaleźć własne rozumienie sensu dzieła. „Można – powiada Roman Ingarden w rozważaniach „*O dziele literackim*" – rozpatrywać zagadnienie, czy dzieła literackie istnieją w ogóle same dla siebie, czy też są „prostymi fikcjami" w jakimkolwiek sensie"[11].

Kontynuując tę akademicką dyskusję, należałoby oddać głos, kolejnemu po Ingardenie, akademikowi z prawdziwego zdarzenia – Umberto Eco, który zawarł w „*Dziele otwartym*", taką oto, korespondującą ze słowami Romana Ingardena, refleksję: „Ryzykowną jest rzeczą twierdzić, że metafora lub symbol poetycki… pozwalają głębiej poznać rzeczywistość niż narzędzia logiki. Nauka jest w pełni uprawnionym sposobem poznania świata, to też aspiracje artysty do jasnowidzenia, nawet jeśli są płodne w sferze poezji, mają w sobie coś niepokojącego"[12].

W tym momencie wyobrażam sobie Edwarda Stachurę stojącego na otwartej przestrzeni, z przewieszonym przez prawe ramię chlebakiem, za sobą mającego wijącą się meandrycznie polną drogę... Ten oto wędrowiec – Edward Stachura – powiada, w tej mojej o nim refleksji, stojąc tak w „*Całej jaskrawości*": Panowie, „...ale wyjdźmy z laboratorium hipotez na uliczny bruk, gdzie nasze miejsce..."[13]. Miejsce pisarza, według Stachury, jest wśród ludzi, tych których obserwuje, tych o których pisze. „By pisanie miało sens – wspominał, w „Teraz oto jestem", Tadeusz Burniewucz, grafik ilustrujący książki Edwarda Stachury – Stachura chciał żyć dokładnie tak, jak SIĘ napisało szukał sensu czystego… Sted słowa precyzował tak, by dokładnie powiedzieć to, co chciał powiedzieć. Miałem wrażenie, że przekracza granicę języka, jakby dążył do tego, by słowa stały się przedmiotami, a pojęcia miały swój fizyczny wymiar"[14].

„Wszystko jest poezją, a najmniej poezją jest zapisany wiersz – powiada Edward Stachura w przywoływanym już przeze mnie traktacie literackim – … a najmniej poezją są czytane wiersze. Kiedy się jedzie pociągiem – kontynuuje poeta – to jest to o ile ciekawsza poezja. Znam takich, którzy wysiadają na jakiejś stacji, albo wprost wyskakują z pociągu (nie trzeba z pośpiesznego), aby wejść w krajobraz, który ich nagle olśnił"[15]. To olśnienie było, dla Stachury, początkiem mądrości.

„… nie eschatologiczne losy pośmiertne, lecz to życie tutaj jest najważniejsze. – pisał Edward Stachura w „Fabula rasie" – Bo w nim jest wszystko. Cały sens całego życia. Pełnia. Wieczność. W tym życiu tu, na powierzchni Ziemi, żyjąc wśród ludzi jest całkowite spełnienie"[16].

„Chrześcijanizm nadał ludzkości nieznany dotąd kierunek etyczny – pisał Artur Shopenchauer w mini rozprawie „*O religii*" – przez wpojenie zasady, że cel jego ostateczny leży dopiero z tamtej strony grobu. Kazał ku niebu spoglądać i wznosić twarz ku gwiazdom". Filozofia autora „*Fabula rasy*" sprowadzała się do tego, aby w głębi samego siebie odnaleźć mikrokosmos, świat, który dostępny jest każdemu z nas.

„Jeśli człowiek zostaje oświecony, zatrzymuje się, pojmuje najwyższą, doskonałą mądrość i wkracza w nirwanę. – pisał Jack Kerouac w traktacie filozoficznym „*Zbudź się. Żywot Buddy*" – Wyeliminuj narodziny, a ustanie śmierć, wyeliminuj uczynki, ustaną narodziny… wyeliminuj pożądanie, a przyjdzie koniec przywiązania. Wraz z wyeliminowaniem świadomości ustanie jednostkowość. Kiedy Budda oswobodził się w ten sposób pojawiła się w nim wiedza oraz mądrość"[17]. Wtrącając kolejny głos w tej dyskusji, należy zaznaczyć, iż w rozumieniu Daisetza Teitaro Suzukiego, propagowane przez niego Zen nie jest, w ścisłym tego słowa znaczeniu religią. Nie ma bowiem w Zen miejsc kultu, obrzędów, czy miejsca, do którego mogliby udawać się zmarli. „Budda – powiada Teitaro Suzuki we „*Wprowadzeniu do buddyzmu Zen*" – objawia się we wszystkim: w lesie, kawałku drewna, w biegu strumienia, w niebotycznych górach, w dziełach sztuki"[18].

Edward Stachura, nie propagując żad-

10 Ch. Bukowski, „O pisaniu", Nori Sur Blanc, Warszawa 2015, s. 38.

11 R. Ingarden, „O dziele literackim", PWN, Warszawa 1960, s. 38.

12 U. Eco, „Dzieło otwarte. Forma i nieokreśloność w poetykach współczesnych", Czytelnik, Warszawa 1994, s.43.

13 E. Stachura, „Cała jaskrawość", LSW, Warszawa 1974, s. 51.

14 J. Beczek, „Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach", Bellona, Warszawa 2020, s. 152.

15 E. Stachura, „Wszystko jest poezją", PIW, Warszawa 1975, s. 6.

16 E. Stachura, „Fabula rasa", Czytelnik, Warszawa s. 59.

17 J. Kerouac, „Zbudź się. Żywot Buddy", WAB, Warszawa 2008, s.86-88.

18 Daisetza Teitaro Suzuki, „Wprowadzeniu do buddyzmu Zen", Vis-a-Vis Etiuda, Kraków 2018, s. 96.

nej religii, dążył do zbudowania własnego systemu filozoficzno-etycznego, opartego na czymś, co osobiście nazwałbym szczególną formą oportunizmu. Założenie to sprowadzało się, według mnie, do stwierdzenia, że jeśli już jesteśmy częścią tego świata, to poznajmy go. Jednakże poznanie życia nie oznacza uczestnictwa w beznamiętnej, bezrefleksyjnej konsumpcji.

Autor „*Całej jaskrawości*" zgodziłby się, pewnie, z Bukowskim, co do nicości prób przelania na papier pełni życia, zamiast, po prostu, jej doświadczać. Dla Edwarda Stachury wiersz, już napisany, był więc niczym więcej, jak tylko zestawienie, bardziej lub mniej przypadkowych, słów. Znaczyły one coś w umyśle poety, były reprezentacją jego uczuć i wrażeń, poeta je spisywał, drukarz drukował, wydawca wydawał, prezentując czytelnikom schludny tomik. I to wszystko – kulturalny łańcuch pokarmowy. Autor „Po ogrodzie niech hula szarańcza" dążył do czegoś znacznie ważniejszego, zbierał wrażenia. Posłużywszy się metaforą zaczerpniętą z malarstwa powiem, że Edward Stachura był impresjonistą słowa pisanego.

Bukowski także potępiłby słowa Umberto Eco, w jego intelektualnej dyskusji z Ingardenem, przyznając rację Stachurze. Używając, w swoim stylu, o wiele bardziej dosadnych, niż Edward Stachura, słów, Charles Bukowski swego czasu, we „*Fragmentach winem poplamionego notatnika*" stwierdził, że: „Człowiek mający choć trochę oleju w głowie, albo uczucia w sercu, nigdy nie poszedłby na uniwersytet, nawet gdyby go było na to stać. Bo niczego się tam nie nauczy, oprócz tego co się wydarzyło w historii rzeczy, a on już wie, co się wydarzyło w historii rzeczy, bo wystarczyło, że się raz przespacerował ulicą w mieście"[19]. Stachura studiował, na KUL-u – romanistykę. Studia rozpoczęte w 1957 roku ukończył w 1965 na Uniwersytecie Warszawskim. Bardzo szybko wciągnęła go poezja – akademikiem nie został.

Autor „*Falując na wietrze*", przez całe życie dążył do zrozumienia świata, który to świat ostatecznie nie zrozumiał jego. Edward Stachura, w swoich tekstach i życiu, afirmował istnienie, podświadomie dążąc do unicestwienia… w świecie, który w końcu go odrzucił. Traktaty poetyckie autora „*Siekierezady*", chociaż powinienem raczej powiedzieć, traktaty filozoficzno-literackie, w każdym razie idzie mi o „Wszystko jest poezję" oraz „*Fabula rasę*" – w tej kolejności – stanowią, dla mnie, kolejne etapy analizy, ludzkiej percepcji. Autor dokonuje jej, chcąc dojść do sedna postrzegania, także przez samego siebie, rzeczywistości, która go otacza.

Witając październikowy schyłek roku 2023, w 38. roku mojego życia, odkryłem Edwarda Stachurę, dla siebie, uświadamiając sobie, że proza człowieka, którego już nie ma wśród nas, jest mi dziwnie bliska. Chcąc pogłębić moją refleksję na temat życia i twórczości autora „*Dużo ognia*" sięgam po archiwalne nagrania oraz kolejne publikacje książkowe. W tych pierwszych o Stachurze mówią inni, mówią dużo i z pietyzmem… ale nie zawsze, bo nie ma nic gorszego niż zrobienie z człowieka posągu. Czasami Stachura sam mówi, w natchnieniu, jak zawsze, jak w czasie spotkania z Jiddu Krishnamurtim w Szwajcarii, w lipcu 1977 roku, gdy jego wypowiedź została publicznie wyśmiana i zagłuszona przez zgromadzony na spotkaniu tłum.

Gdy umilkły ostatnie tony audycji radiowej, której zapis odnalazłem w przepastnych pokładach Internetu, otwieram kolejną książkę. Jej bohater, patrząc na mnie – czytelnika – z okładki, cytując tytuł książki, mówił: „*Teraz, oto jestem*". Postać Stachury, jaka wyłania się z tego zbioru wspomnień, zebranych przez Jakuba Beczka, a wydanych nakładem warszawskiej Bellony, w 2020 roku, jest niezwykle żywa i promienna.

W książce nie brakuje realistycznych opisów osobowości i stylu życia poety, jednym słowem podejścia, jak do żywej osoby, a nie pomnika literackiego geniuszu. Wśród nich odnaleźć możemy choćby ten autorstwa Jerzego Klechdy – przyjaciela Stachury z czasów studenckich na KUL-u. Klechda, ze smutkiem, zauważa mówiąc o Stachurze: „Przez całe życie żył poezją… nikt wówczas nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, że tryb życia, jaki Sted prowadził, brak mieszkania, alkohol, nieprzespane noce, przypadkowe dziewczyny – wszystko to plus jego nadwrażliwość, za czas jakiś zgotują mu piekło na ziemi"[20].

Kim zatem był Edward Stachura ? Urodzonym w 1937 roku, we Francji, synem polskim emigrantów zarobkowych, który powróciwszy do powojennej Polski, w 1948 roku, od tamtej pory był wszędzie i nigdzie, dla wszystkich i dla nikogo ? Genialnym mistrzem pióra ? Wędrownym filozofem ? A może „Człowiekiem Nikt" z kart „Fabula rasy" ?

Michał Skrętek

19 Ch. Bukowski, „Fragmenty winem poplamionego notatnika", Noir Sur Blanc, Warszawa 2018, s. 52.

20 J. Beczek, „Teraz oto jestem...", Bellona, Warszawa 2020, s. 21-22.

Andrzej Wołosewicz

Gąsiorowskiego poezja i jego eseistyka na mapie polskiej krytyki literackiej

Gąsiorowski jest w poezji polskiej niesytuowalny. Jednak wcale nie ze względu na wszelkie zapętlenia twórczości, niełatwą eseistykę i poezję będącą mimo wymogu o c z y w i s t o ś c i (który tak zmylił krytyków Krzysztofa) wcale niełatwą, wręcz wymagającą: „"Oczywistość" wiersza uzależniona jest bowiem od ponadliterackiego doświadczenia czytelnika, ale – co stanowi właśnie i o sensie, i o znaczeniu poezji – nie daje się już do niczego sprowadzić, w jego zawiłościach zaprzepaścić, wraz z nim zginąć."[1], tylko dlatego jest niesytuowalny, że trudno mówić o usytuowaniu poezji autora całkowicie *niedoczytanego*. Najlepszym dowodem jest to, że bibliografia książek o Gąsiorowskim zajmuje półkę z opisem: książki nienapisane; mamy więc do czynienia z bibliografią dopiero możliwą. Krzysztof „solidarnie" dzielił tu los wszystkich Hybrydowców[2].

Czy to się zmieni? Czas pokaże.

Miejsca Gąsiorowskiemu na współczesnej polskiej mapie literackiej należy szukać w kilku planach.

Jeden z nich dotyczy tego, co wiąże się z miejscem i sposobem istnienia wiersza jako czynności egzystencjalnej. Tu wiersz, a szerzej sztuka, jest rozumiana „jako przedmiot osobistej ekspresji, jak i jako funkcja społeczna.[3]" Ten plan najlepiej opisuje następujący cytat: „Wobec pomijanego przez myśl krytyczną tematu dotyczącego społecznego sposobu istnienia utworu artystycznego w ogóle – wszystkie te spory i utarczki, jakie toczą się i jakie wszcząć można między neoklasycystami, lingwistami, autentystami, surrealistami, formalistami, awangardzistami, itd., uważam – wbrew ich wywodzącej się z międzywojennego dwudziestolecia tradycji – za spory pozorne, za swoisty defetyzm estetyczny. Rzeczywiste opozycje poezji współczesnej nie przebiegają przez jej tereny, znajdują się, odnoszę wrażenie, poza, ponad czy przed poetykami i dopiero w zależności od stosunku, jaki poszczególne szkoły poetyckie zajmują wobec niej i sposobu, w jaki starają się tej opozycji sprostać, różnią się one pomiędzy sobą w sposób istotny. (…) Ilekroć jednak nosiłem się z zamiarem pisania o poezji współczesnej nie z pozycji samo przez się skazanego na tę tematykę profesjonalisty, tylekroć odnosiłem wrażenie, że należałoby rozpocząć wywód od jakiegoś daleko poza problemy artystyczne wybiegającego ujęcia, że dopiero gdzieś poza tekstem poetyckim, w c z e ś n i e j od niego należy szukać punktu oparcia i racji dostatecznej dla poezji; że pisanie o poezji poczynając od poezji jest już dzisiaj nieprawomocne i podejrzane. I chociaż rozumiem naglącą potrzebę walki o uratowanie autonomii wypowiedzi artystycznej, a może właśnie dlatego, dość już mam traktowania literatury jako literatury, jako owego pozytywistycznego „zbioru książek", a nie zbioru zachowań, no, nazwijmy to tak: „kształtów zachowań"[4]. Mamy tu do czynienia z ewidentnym maksymalizmem oczekiwań wobec poezji. Gąsiorowski powiada (nie on pierwszy), że co w sztuce (poezji) jest możliwe, to jest konieczne. Czy ten maksymalizm określany przez samego Gąsiorowskiego sformułowaniem wziętym z Tymoteusza Karpowicza o „poezji niemożliwej" jako możliwy – a więc konieczny! – jest do zrealizowania? Zostawiam to ocenie czytających poezję, także Gąsiorowskiego. W przeciwieństwie do zdecydowanej większości poetyckich kontestatorów – nazwijmy tak dla potrzeby i wygody prowadzonego wywodu tych, którzy – jak Różewicz – podpalają fundamenty własnych poetyckich działań, Gąsiorowski z pytania o sens istnienia poezji wyciąga wniosek zupełnie odwrotny, pozytywny! Według niego wszelkie wątpliwości dotyczące sensu poezji, to, że jej głównym problemem stało się jej istnienie świadczą na jej korzyść, bo świadczą o jej żywotności: „Okazało się oto, że poezja naprawdę musi musieć istnieć i istnienie jest jej zadaniem. Powszechne poczucie kryzysu poezji zdaje się świadczyć jedynie o tym, że jej źródłem dzisiaj są jej z a s a d n i c z e t r u d n o ś c i, skupione wokół problemu poetyckiej oczywistości. A zatem – „co po poecie w czasie marnym?" Na czym polegają te zasadnicze trudności poetyckie mogące bez zarzutu poetyczności czy „estetyzmu" stanowić problem decydujący o aktualności i sensie poezji? W jaki sposób i dlaczego jej byt staje się jej powinnością (bo przecież do tej granicy dotarła w swoich wysiłkach)? Jak się wydaje, tym najważniejszym problemem, i dramatem, jest stworzenie takiej poezji, która mogłaby sprzeciwić się światu przede wszystkim w tych jego elementach i strukturach, które jej zagrażają. I to sprzeciwić się nie poprzez demaskację czy protest, tylko poprzez kontrpropozycję."[5]

Przypomnę tutaj, że oczywistość (także oczywistość sensu) jest milcząca. Dopiero pytania o nią wskazują, że – ni stąd ni z owąd? – coś się z nią dzieje. Bo w jakich okolicznościach pojawia się pytanie o sens? Oto w „Skrzypku na dachu" Tewje pyta swoją Golde: czy ty mnie kochasz? I co słyszy w odpowiedzi? Mniej więcej tyle (zwiedzionych moim skrótem odsyłam do musicalu), że pytanie jest głupie, a nawet drażniące, przecież Golde pierze, gotuje sprząta, rodzi dzieci itd., to skąd takie pytanie?! Tewje swoim pytaniem zachwiał oczywistością sensu, a dokładniej ujawnił owo zachwianie. Jak pamiętamy ze „Skrzypka na dachu" w Anatewce i życiu jej bohaterów po tym pytaniu wszystko zaczyna być podejrzane i sypie się jak kostki domina, ugruntowany przez wieki sens znika. Marek K. Głowacki w tekście „"Byt" i „sens". Krytyka transcendentalna jako samowiedza kryzysu"[6] opisuje dokładnie moment, w którym w historii filozofii pojawił się problem sensu, wtedy mianowicie, gdy na filozoficzną scenę weszli kolejno czterej Wielcy Podejrzliwcy: Marks, Nietzsche, Freud, Heidegger. Analizując ich poglądy Głowacki udowadnia, że już samo postawienie przez nich pytania o sens ujawniły jego brak.[7] Tak mocne postawienie pytań było wynikiem dojmującego braku sensu. To oni swoimi intelektualnymi prowokacjami przypieczętowali kres oczywistości, kres czasu, gdy nie zadaje się pewnych pytań dlatego właśnie, że wszystko (w tym wypadku sens) jest jasne, oczywiste, obecne, że wystarczy rozejrzeć się, bo go dostrzec. Wystarczą prane regularnie przez Golde gacie Tewje, rodzenie ich wspólnych dzieci, regularne jak zegarek prace w polu i zagrodzie. Gąsiorowskiego dopominanie się o sens wpisuje się w tę podejrzliwość. Jeżeli Gąsiorowski, i Orientacja w swej całości, chociaż w różnym stopniu u różnych przedstawicieli, pytają o sens poezji, to znaczy, że dopadły ich – i to w dojmujący sposób – wątpliwości: czy jest?, czym jest jeśli jest?, gdzie i jakie są jego uzasadnienia?, itd. Innymi słowy pytania, czy w „Skrzypku na dachu" czy u Gąsiorowskiego, ujawniają problem stawiając oczywistą dotąd rzeczywistość w stan podejrzenia. Idylla oczywistości[8], jak dowodzi Głowacki, okazuje się iluzją. Zostaliśmy skazani na trudne zmaganie, na walkę o sens, który okazuje się nie czymś do znalezienia (jak nam się przez wieki zdawało), lecz czymś do wytworzenia. Choćby - jak u Gąsiorowskiego – przez próbę diametralnie innego niż dotychczas osadzenia wiersza wobec języka i naszej ludzkiej rzeczywistości.

Pora zarysować kwestię nierozerwalnie związaną z pytaniem o sen, a którą najlepiej będzie wyrazić w formie pytania: jak czyta Gąsiorowski? Wykorzystam tu tekst Sławińskiego „Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego"[9] i Markowskiego „Nieswój po swoje".[10]

W tekście Sławińskiego nie interesuje mnie rysowana przezeń struktura, w której ukazuje on teoretyczno-praktyczne meandry i zawirowania analizy, interpretacji i wartościowania (nie będę więc ich referował)[11]. Interesują mnie tylko – wybiórczo – miejsca, w których Sławiński precyzyjnie wskazuje na problemy, które ujawniają się przy mojej lekturze Gąsiorowskiego. Pierwszym z takich miejsc jest – jak to obrazowo nazywa Sławiński – *rejon świadomości zmąconej* sprzecznymi *nawzajem nastawieniami*. A to właśnie w tym rejonie, zdaniem autora, toczy się niewypowiedziana wojna między taktyką dociekliwego czytania dzieł poszczególnych →

a nastawieniem generalizującym (tu m.in. dokonuje się schematyzacja historii literatury), wojna hermeneutyki ze strukturalizmem. Piszę o wojnie niewypowiedzianej, bo choć Sławiński mówi co prawda, że „przekonanie o zasadniczej odrębności problemów metodologicznych historii literatury i „sztuki interpretacji" występuje zresztą najczęściej w przebraniu formuł o charakterze pojednawczym, postulującym kompromis między sprzecznymi usiłowaniami"[12], to zauważa od razu, że każda ze stron deklarujących gotowość do kompromisu „nie równoprawność partnera ma na uwadze, ale własną hegemonię."[13]

Wskażmy jedno z istotnych miejsc tego *zmącenia świadomości sprzecznymi nastawieniami.* Jest to linia demarkacyjna „między tym, co w strukturze utworu przynależy do zjawisk mowy, a tym, co przez mowę jest „wyznaczane""[14], linia demarkacyjna między „planem wyrażania" a „planem treści". Z trzech wyróżnionych przez Sławińskiego sposobów przechodzenia od „planu wyrażania" do rejestrów „planu treści"[15] ostatni uruchamia kategorię znaczenia, a więc plan semantyczny, plan w którym otwierają się kolejno fundamentalne problemy: problemy języka i rzeczywistości, o której tenże traktuje. Tak to podsumowuje Sławiński: „W zakończeniu uwag o analizie dzieła nie od rzeczy będzie zapytać o zwierzchni sens tego procederu. Na jakie zadania badawcze odpowiada analiza utworu? Wszelka analiza – mniej czy bardziej dogłębna i kompletna. Wydaje się, że jej celem zasadniczym jest zawsze przysposobienie utworu do tego, by dawał się włączać w jakąś całość od niego rozleglejszą. Dzieło poddane analizie ulega jakby rozbrojeniu – zostaje pozbawione „niepodobieństwa" do innych dzieł, ale dzięki temu nadaje się do wkomponowania w odpowiednie przekroje procesu historycznoliterackiego. Określając, „jak jest zrobiony utwór" na różnych poziomach swojej złożoności, podprowadzamy go zarazem do tego lub innego kontekstu: systemu metrycznego, gatunku, osobowości twórcy, ideologii etc. Analiza ogranicza się do takiego podprowadzania, nie wnika natomiast ani w owe konteksty, ani w to, jak utwór jest w nich osadzony. Dociera tylko do m o ż l i w o ś c i kontekstowych relatywizacji dzieła – nic więcej. Same zaś relatywizacje znajdują się już poza granicami jej kompetencji. Należą do sfery działań interpretacyjnych."[16]

Dobrnęliśmy w ten sposób do drugiego miejsca na naszej mapie „świadomości zmąconej" – do interpretacji. A tu z kolei do tego, co Sławiński nazywa „kontekstem macierzystym" i „kontekstem ukształtowanym przez kulturę literacką oraz przekonania i uprzedzenia interpretatora". I jest to miejsce, w którym porzucę tekst Sławińskiego z dwóch zasadniczych powodów: po pierwsze dlatego, że „kontekstowość" omawia Gąsiorowski w aspekcie swoje koncepcji trzech horyzontów (teraźniejszości, współczesności, nowożytności – która nas tutaj nie zajmuje) i można by zapewne powiedzieć (w słowniku Sławińskiego), że Gąsiorowski na odpowiedni (tj. akceptowalny przez akademickie środowisko) poziom analityczności nie wchodzi. Po drugie dlatego, że niektórzy (np. Bruno Latour) zgłaszają wobec kontekstu fundamentalne veto, sugerując, że przy interpretacji pooddzielanie granic między dziełem a kontekstem jest wielce problematyczne. Tak jak i problematyczne pozostaje odgraniczenie tego, co jeszcze kontekstem jest, a co już nim nie jest.[17] Patrząc przez pryzmat dotychczasowych ustaleń dotyczących podjętej przez Gąsiorowskiego autorskiej próby usytuowania wiersza w języku i w antropologii ludzkiej kondycji oraz posiłkując się Latourowską metodologią badań nad nauką i jej efektami (które staram się przenieść na zajmowanie się literaturą) najciekawszym, najbardziej inspirującym i efektywnym poznawczo wydaje się następujący passus ze Sławińskiego: „K a t e g o r i a k o n t e k s t u w d z i a ł a n i a c h i n t e r p r e t a c y j n y c h j e s t z a w s z e s k o r e l o w a n a z k a t e g o r i ą p o z i o m u a n a l i z y. Rejestry jednostek morfologicznych reprezentują w dziele to, co może w ogóle być przyporządkowane kontekstom. Wchodzi tu w grę dość trudna do opisania (bo przypominająca błędne koło) (podkreśl. moje) zależność obustronna – analizy i interpretacji. Interpretacja jest przedsięwzięciem zawisłym od uprzednich ustaleń analitycznych: to one dostarczają jej koniecznego „pożywienia". Z drugiej wszak strony sama analiza już w punkcie wyjścia odznacza się interesownością; zawsze przecież jest j a k a ś – dokonywana ze względu na te lub inne dalsze ciągi i implikacje, przykrawająca utwór do przewidywanych potrzeb pracy interpretacyjnej, faworyzując w związku z tym pewne poziomy, zaniedbująca inne."[18]

Sławiński mimo badawczej dociekliwości obrośniętej gigantycznym dorobkiem budującym lęk u adwersarzy i szacunek u pozostałych nie zatracił czegoś, co nazwałbym instynktem epistemologicznym, dzięki któremu może pisać: „wchodzi tu w grę dość trudna do opisania (bo przypominająca błędne koło) zależność obustronna".

Ewa Bogucka-Pudlis

Ewa Bogucka-Pudlis

Odwaga dostrzeżenia takich miejsc i odwaga nazwania sytuacji trudną do opisania w ustach kogoś zajmującego się właśnie opisywaniem także, a może przede wszystkim, sytuacji trudnych brzmi ważnie i poważnie. „Świadomość zmącona", „sytuacje trudne do opisania" są sygnałami, które wyłapują moje „radary Latoura" jako miejsca szczególnie warte uwagi, bo pokazujące nie to, z czym doskonale już sobie radzimy, lecz to, co przysparza teoretycznych kłopotów, a więc pozostaje wyzwaniem. Tym bardziej, gdy artykuł kończy Sławiński taką konstatacją: „(…) dochodzę – od innej strony, niż się to pospolicie praktykuje – w pobliże intuicji wielokrotnie już formułowanych przez badaczy literatury, dostrzegających niemożliwość wydzielenia „czystego" aktu wartościowania z procederów analizy i interpretacji."[19]

Michał Paweł Markowski także podnosi problem wyodrębnienia stanowisk możliwych do wyodrębnienia, gdy analizujemy swoje podejście do literackich lektur, pisząc: „Ważne jest wszelako to, by owych ról ze sobą nie mieszać, choć z drugiej strony nie jestem wcale pewny, czy tego rodzaju rozdział jest – w tak kategorycznej postaci – w ogóle możliwy. Jest bowiem oczywiste, że każda egzegeza jest swoistym użyciem tekstu, a każde użycie – osobliwą egzegezą, zaś codzienna praktyka lekturowa rozgrywa się gdzieś pomiędzy pieczołowitością egzegez i niefrasobliwością (nad)użyć. Jeśli więc polaryzuję te stanowiska tak ostro, to jedynie ze względów heurystycznych, świadom tego, jak trudno je ujawnić w stanie czystym (jeśli w ogóle jest to możliwe)."[20] Możemy więc mówić co najmniej o dwóch planach czytania: (1) czytanie „zwykłe" i (2) czytanie literaturoznawcze. Dodajmy od razu trzecie – (3) czytanie poety patrzącego na tekst.

Gąsiorowski chce, usilnie chce, czytać wedle wszystkich trzech planów. Tyle, że gdy Sławiński i Markowski idą w kierunku autonomiczności procedur (czytelniczej i badawczej) zdając sobie w pełni sprawę z niemożliwości pełnej autonomiczności, to Gąsiorowski chce iść w kierunku przeciwnym: skoro cyzelowanie autonomiczności zakresów czy sposobów podejścia do wiersza tylko wyostrza naszą świadomość o sztuczności tych zabiegów, to nie warto iść w tym kierunku. W poszukiwaniu wspólnego mianownika naszej sytuacji wobec literatury należy zawrócić ku pierwotności doświadczenia lektury (to sugestia obecna u Sławińskiego, ale mimo niej on sam podąża inną drogą), co oznacza dla Gąsiorowskiego nie tylko powrót do zwykłego czytania, ale też do głębi niezwykłości tego „zwykłego" czytania. To ta głębia, chociaż nie wszystkim dostępna, bo wymagająca czegoś więcej niż samo czytanie, wymagająca autoanalizy procesu własnego czytania, ewokuje ów specyficzny słownik eseistyki Gąsiorowskiego.

Na tę podróż w przeciwnym niż Sławiński i Markowski kierunku znajduje Gąsiorowski silny powód dotyczący tego, że różnorodność naszych doświadczeń z literaturą (czytelnika, badacza, poety) występująca w procesie czytania, w jednym procesie, niezależnie w ilu rolach w nim występujemy, jakie kostiumy na siebie nakładamy zbliżając się do tekstu, w jakie stroimy się piórka w naszej grze z tekstem, nie pozwala – właśnie z tego powodu, że jest to ten j e d e n proces czytania – na ich całkowite wyizolowanie. Takie próby są a-skuteczne. Inaczej mówiąc, wyodrębnianie tych sposobów jest zabiegiem operacyjnym, funkcjonalnym, swoistą próbą fenomenologicznej *epoche* (zawieszenia a to czytelniczej a to badawczej naszej dyspozycji) a nie fundamentalną, rzec by można ontologiczną różnicą. Dokładnie tak, jak z naszymi (wieloma) rolami społecznymi, jakie w życiu pełnimy. Są one tylko względnie autonomiczne. Ingarden używa bardzo trafnego terminu oddającego to niebanalne połączenie wolności i wpływu[21], mówiąc o systemach względnie izolowanych, ale nie w pełni izolowanych.[22]

Jeżeli na styku czytelnik-badacz-poeta mamy zaburzoną świadomość (Sławiński), nieczyste pochodzenie doktrynalne praktyk interpretacyjnych (Markowski), to może lepiej – wyciągam tu wnioski z Gąsiorowskiego – miast cyzelować różnice między praktykami przy pełnej świadomości niemożliwości ich ostatecznego rozdzielenia, zawrócić ku budowie połączeń/mostów między tymi zajęciami. Zobaczmy, co o takich problemach pisze jeden z wnikliwszych badaczy naszej literaturoznawczej rzeczywistości Dominik Lewiński. W książce „Strukturalistyczna wyobraźnia metateoretyczna. O procesach paradygmatyzacji w polskiej nauce o literaturze po 1958 w jej fragmencie zatytułowanym „Sąsiedztwa teorii literatury" znajdujemy co następuje: „Dość niezwykłe jest również to, że w przytoczonych fragmentach historia literatury jest swego rodzaju pośrednikiem między teorią literatury a sferą literackiej empirii, tak jakby teoria nie miała innego dostępu do „faktów" niż poprzez tekst historycznoliteracki. Mamy tu do czynienia z pomieszaniem porządków „dziania się" literatury z historią literatury jako dyscypliną. Na pytanie o powody wspomnianego pośrednictwa historii literatury, które nie wydaje się przecież dobrze poznawczo uzasadnione, nasuwa się odpowiedź następująca. Ścisłe, motywowane poznawczo zespolenie w konstrukcie wewnętrznego układu literaturoznawstwa teorii z historią ma za zadanie „uzależnienie" tej drugiej od przebiegu procesów w szeregu teoretycznoliterackim. Inaczej mówiąc, chodzi o usprawiedliwienie ekspansji teorii w szereg historycznoliteracki pod pozorem partnerstwa, i to opartego nie na socjalnym konsensusie współdziałania, ale na perswadowanej konieczności poznawczej współdziałania."[23] I dodaje: „Obraz wiedzy o literaturze w tej perspektywie domaga się kognitywnego uspójnienia, nawet kosztem ukształtowania wysoce perswazyjnego opisu zależności teorii i historii, będącego raczej strukturalistyczną projekcją wyobrażeń metateoretycznych niż zdaniem sprawy z rzeczywistości krytycznoliterackiej."[24] Zatem problemy z uzurpacją i uprzywilejowaniem własnej dyscypliny →

w stosunku do pozostałych nie jest jak widać wydumanym problemem, jawi się raczej jako bardzo poważny kłopot.

Mówi się, że jeśli obraz zastępuje tysiąc słów, to mapa zastępuje całą puszczę. Chciałbym tutaj „zmapować" problem, który pojawił się w rozważaniach Sławińskiego i Markowskiego, z nadzieją, że stanie się on jeszcze wyraźniejszy (jak mapa jest „wyraźniejsza" od samej puszczy), co być może przyczyni się do tego, że inni, których on zajmie, pójdą dalej, osiągną więcej, a przynajmniej uporają się z nim lepiej, choćby w takim zakresie, jak można to samo lepiej opowiedzieć. Ponieważ będę poruszał się między czytaniem a badaniem przywołam dwa przykłady ilustrujące problem.

W listopadzie 2012 roku Uniwersytet Wrocławski zorganizował konferencję „Nie zawsze fragment. Poezja polska lat pierwszych"[25] W numerach 2 i 3/2013 miesięcznika „Odra" znajdziemy wybór materiałów z tej konferencji w tym interesującą dyskusję panelową. To, co interesujące w przywołanej dyskusji to następujące konstatacje: między środowiskiem literackim a literaturoznawczym nie ma dialogu; środowiska literackiego w ogóle nie interesują literaturoznawcze opowieści na temat ich twórczości; literaturoznawcy nie mają dobrych narzędzi badawczych, te, którymi dysponują są poznawczo „bezpłodne"; nawet jeśli robota literaturoznawcza spełnia swoje wewnętrzne wymogi rzetelności, jej efekty przypominają chirurga zafascynowanego swoimi narzędziami, gdy tymczasem „pacjenta" one w ogóle nie interesują, jemu idzie o „zdrowie"; próby pozaakademickiego interpretowania literatury też okazują się w większości nieudane (banalne, nudne, bardziej eksponujące samego recenzenta niż recenzowane dzieło); „powrót na akademię" – możliwy?, konieczny?

Drugi przykład dotyczy wymiany poglądów, jaka miała miejsce pod moim tekstem „Notatki na marginesie: poezja *sytuacji*, poezja *zastanowienia*"[26]. Dlaczego tekst krótki, prosty i instruktażowy wzbudził aż takie kontrowersje okazując się pomocny dla jednych, bezwartościowy dla drugich (nie wart druku, ujmujący dopuszczalnemu poziomowi), a jeszcze wymagający uzupełnień dla trzecich? Pytanie to wydaje się dobrze oddawać kłopot znacznie poważniejszy niż przygody mojego tekstu, kłopot ten sam, o którym mówili paneliści na Wrocławskiej Konferencji. Rozwiązania, które pojawiają się u Sławińskiego i Markowskiego raczej nie zbudują mostów między dyskutantami pod moim tekstem (Czytelnikiem oraz panami Kwasiżurem i Jacobovskim). Zdają się bardziej mówić, że wysiłek, że wrażliwość, że znawstwo pozwalają „obłaskawić" problem niż go rozwiązać. Innymi słowy mówią Czytelnikowi, że gdyby był Sławińskim czy Markowskim, gdyby poszedł ich drogą, to na pewno byłoby mu łatwiej. Czytelnik już tę lekcję słyszał (m.in. od Jacobovskiego) powtarzając niczym gombrowiczowski Gałkiewicz: ale jak łatwiej, jak nie łatwiej? Zatem, czy możemy, a jeśli to jak, budować mosty między czytaniem a badaniem, którymi da się przejść w każdą stronę? Albo nawet chodzić w miarę swobodnie tam i z powrotem? Mosty, wobec których nie będą pojawiały się następujące zastrzeżenia:

1) „Nie jest to tekst będący typową egzemplifikacją dyskursu naukowego. Właściwie mam kłopot z tym, czy uznać go za artykuł czy esej. (…) Przedstawiona koncepcja jest jednak ciekawa, uzasadnienie interesujące, a wnioski niestandardowe. Choć spersonalizowane wrażenia autora, według mnie, przeważają nad obiektywną analizą, to praca zasługuje na druk."

2) „Tekst ciekawy i pożyteczny z uwagi na aktualność tematyki oraz propozycje w sferze literaturoznawstwa, Autor analizuje na wybranych przykładach konsekwencje procesu czytania jako relacji dynamicznej. Są to cenne rozważania, chociaż niespójne stylistycznie. Przeważa dość hermetyczny język, któremu jednakże towarzyszą sformułowania o zabarwieniu potocznym typu „zróbmy sobie to ćwiczenie", „uśmiecham się do motta z Deleuza" itp. (…) Polecam do druku po uzupełnieniu i gruntownej korekcie językowej i redakcyjnej,"

Są to zastrzeżenia, które mogę wykorzystać odnoszą się bowiem do mego własnego tekstu[27] a pochodzą od jego recenzentów. To, co dla moich rozważań jest ważne: uważam te zastrzeżenia za słuszne. Uważam je za słuszne, pokazują bowiem, że recenzenci dobrze wychwycili odejścia, odstępstwa od literaturoznawczych kanonów i dlatego uznałem za konieczne ich… utrzymanie![28] One są przęsłami, tak chciałbym, na których można przynajmniej zacząć budować mosty, o które chodzi. Pokazują, że jeżeli chcemy iść w kierunku porozumienia, konieczność przełamywania „czystości" wydaje się nieunikniona (chociaż jej koszty mogą być czasami zbyt duże dla autora[29]). Dlatego także akceptuję zastrzeżenia panów Kwasiżura i Jacobowskiego, bo są realne, pojawiły się wobec konkretnego tekstu, są wyrazem postawy i oczekiwań ich autorów. Jeżeli mamy poważnie traktować budowę rzeczonych mostów (u Latoura: przejść, powiązań, słowem – sieci), to akceptacja rzeczywistości, nawet jeśli żywimy wobec niej istotne dla nas zastrzeżenia jest podstawą. Przypomina to – przynajmniej po części – grecką zasadę parafrazy w dyskusji i konieczność uzyskania dla sparafrazowanej wypowiedzi akceptacji rozmówcy, albo sytuację – by pozostać bliżej budownictwa, skoro mówię po mostach – z filmu „Most na rzece Kwai".

Stajemy przed równie trudnym wezwaniem jak bohaterowie tego filmu. Mamy zbudować most pomiędzy trzema podmiotami: literaturoznawcą, twórcą, odbiorcą/odbiorcami. Okoliczności są wielce niesprzyjające. Japończycy/literaturoznawcy mają silniejszą pozycję, bo mają władzę. Dysponują autorytetem i silniejszym słownikiem jak powiedziałby Rorty. Chcą budować, ale po swojemu. Nie są skłonni do współpracy, są zadufani, wymagają jedynie posłuszeństwa. Czytelnicy/Anglicy (ale też i Japończycy; jak już wiemy od Sławińskiego i Markowskiego, literaturoznawcy też bywają czytelnikami) też mają swoje do powiedzenia, chociaż ich pozycja jest obiektywnie rzecz biorąc (obiektywnie, czyli jak?, nie do końca można to dobrze w tym wypadku opisać!) słabsza, to jednak i oni mają własne sposoby obrony swego stanowiska, poglądów, postaw, wszystkich owych „tak, ale".[30] Zewnętrze, głucha tropikalna przyroda jest obojętna a nawet groźna, niebezpieczna, trudno spodziewać się pomocy, na tyle trudno, że obóz nie jest nawet ogrodzony, nie musi być. (Zostawmy tymczasem film gdzie ucieczka i wyprawa po pomoc jednak się udała, co i nam daje nadzieję.) Zatem nie zważając na okoliczności chcę tutaj postawić przynajmniej fundamenty przęseł pod rzeczony most. Każde będzie składać się co najmniej z dwóch składników, a nie wykluczam i trzeciego i już nawet o nich pisałem, są to bowiem przywołane wcześniej plany. Pierwszy plan to „zwykłe" czytanie. Drugi to badanie literaturoznawcze.[31] Trzeci plan to poeta patrzący na tekst. To jemu przecież - przyglądając się Gąsiorowskiemu - cały czas się przyglądamy.

Jakie wnioski wynikają z tego grafu dla koncepcji mostów? Pierwszy, wydawałoby się oczywisty, ale niekoniecznie, na co wskazują wcześniej podane przykłady wzajemnego niezrozumienia, czasami zrozumienia ale nie-akceptacji, często nawet wyniosłej wrogości. A przecież oczywiste jest, że każda uzurpacja, każde (po)żądanie tekstu na wyłączność któregokolwiek planu generuje przez swą zaborczość nieunikniony konflikt. Nie są jego rozwiązaniem, nawet polubowne, próby wyciszania przeciwnika. Tu wszędzie, na każdej możliwej ścieżce sporu, czy to między czytelnikiem a literaturoznawcą, poetą a czytelnikiem, literaturoznawcą a poetą,

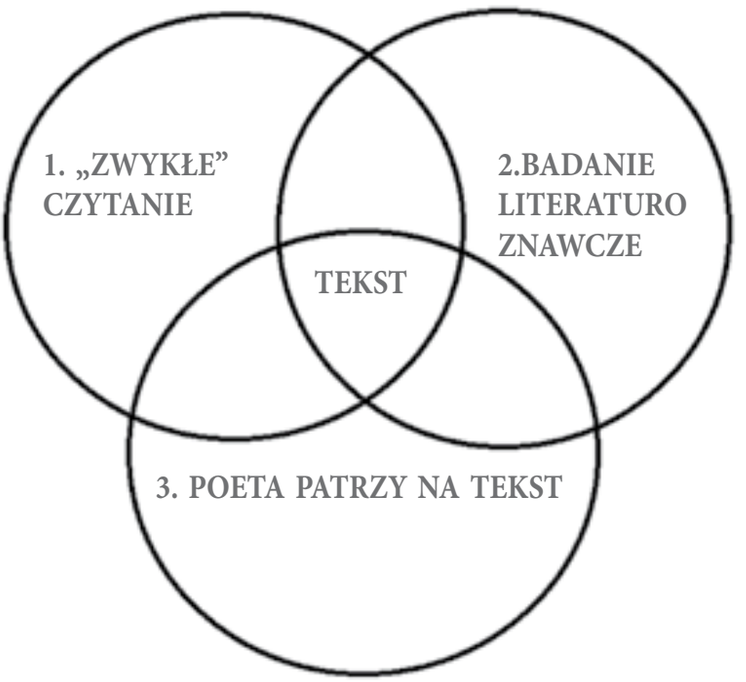

czy wreszcie na skrzyżowaniu wszystkich trzech graczy potrzebny jest „zgniły" kompromis, czyli ustępstwa każdej ze spierających się stron: wszyscy powinni zrobić krok w stronę wszystkich. Czytelnik i poeta winni uznać, że jest teoria, której mogą nie lubić, ale której nie można odmówić racji bytu. Gawroński, w instruktażowej wręcz książce „Dlaczego Platon wykluczył poetów z *Państwa*? U źródeł współczesnych badań nad językiem"[32] badając zależności między mową/językiem a rzeczywistością zasadniczą linię demarkacyjną znajduje między, jak to nazywa, „epigonami XIX-wiecznego estetyzmu" a „nowymi badaniami nad językiem" i pisze tak: „głęboko się odczuwa potrzebę zrozumienia się ponad ciasnotą zamkniętych w monologu kapliczek".[33] Wnioski jakie wyciągam, nie tylko z rozważań Gawrońskiego, są następujące. Teoretyk winien zaakceptować a-teoretyczny namysł czytelnika i jego efekty nie postponując ich *ex catedra*.[34] Teoretyka literaturoznawcę warto przestrzec słowami Hebbla, że „Nie wszystko złoto, co się świeci. Należałoby jednak po sprawiedliwości dodać: nie wszystko się świeci, co jest złotem".[35] Innymi słowy teoretykiem będąc, zawsze trzeba dopuścić możliwość, że często niezborne czytelnicze wywody, czy „ciemny i zamulony" przekaz samego poety o swych wierszach zawierają jednak owe złote ingrediencje, choć nie są one jasne, błyszczące i twarde jak wypolerowane już „teoretyczne złoto" ze sklepu jubilera/teoretyka. Można podać przykłady artystów, którzy mówili o swojej twórczości[36], odsłaniając „kuchnię artystyczną". Te wywody, jeśli teoretyk nie zrobi kroku w ich kierunku mało kiedy spełniają wymogi poprawności metodologicznej, właściwie z jej punktu widzenia byłyby „niedrukowalne". Ale czy można tak łatwo zlekceważyć Picassa, gdy mówi: „Ci, którzy starają się zrozumieć obraz, najczęściej idą fałszywą drogą. Gertruda Stein oświadczyła mi niedawno, promieniejąc z radości, że wreszcie zrozumiała, co przedstawia mój obraz: to trzej muzykanci. Była to martwa natura!"[37] Czy można zlekceważyć Beksińskiego relacjonującego: „To wszystko nie jest aż takie proste, jak to widzą uczone panie profesor. (…) Co to jest za zwierzę, ta forma. Trudno to w paru zdaniach wyjaśnić. Wisi u mnie obraz, który „znawcy" oceniają jako kompozycję falliczną. Każdy musi się wypowiedzieć, żeby go broń Boże nie uważano za idiotę, co to ani be, ani me, ani kukuryku, i z reguły tak się wypowiada, a tymczasem (vide zdjęcia) obraz ten był w założeniu krzyżem, ale w trakcie walki o formę, poziome ramię było zbyt przytłaczające dla delikatnej roślinności u dołu, po prostu zamykało sztywno przestrzeń u góry, więc je w końcu zamalowałem. Po ukończeniu obrazu i powieszeniu, zacząłem zbierać pochwały w stylu uczonych bredni o kompozycji fallicznej. OO. Niechże i tak będzie. Jeśli komuś się wydaje, że w ten sposób zaczyna odbierać cokolwiek z obrazu, to jego prawo."[38] Podałem te przykłady bez jakiegokolwiek zamiaru „pognębiania" teoretyków, tylko po to, by, gdy w tej roli występujemy, przestrzegać przed pychą omnipotencji. Cieszymy się wtedy, jak obrazowo powiada Nietzsche, jak dzieci z tego, że znaleźliśmy za krzakiem coś, co wcześniej sami tam schowaliśmy.

Poeta wreszcie, będąc najoczywistszym strażnikiem własnej kreacji, strażnikiem pieczęci swojej zindywidualizowanej twórczości, jedynym świadkiem swego „skoku kreacyjnego" (od czegoś tam do wiersza), j e d y n y m a więc będącym w sytuacji zupełnie niedyskursywnej, podlegającej jedynie wieszczeniu, winien uznać swych odbiorców (czytelnika, teoretyka) za godnych trudu jaki podejmują, trudu własnych wypowiedzi o wierszu, uznać, że należy się im za to szacunek, nawet, gdy mówią w zgoła innym, a przecież „ludzkim" języku. Tym bardziej, że wspomaga tu nas, czytelników poezji, możliwość (i konieczność!) podnoszonej przez Gąsiorowskiego o c z y w i s t o ś c i.

Jeżeli wszyscy potraktują się jako bracia-w-wierszu i uczynią te pierwsze kroki w stronę innego, w stronę pozostałych, nie pozostaniemy już - w którejkolwiek z trzech ról będąc - samotni. Te kroki spowodują, że uruchomione zostaną emocje, także te z poziomu relacji międzyludzkich, a więc umożliwiony zostanie ich przekaz i odbiór, czyli początek wszelkiej możliwości (z)rozumienia: wiersza, jego różnorodnych interpretacji, naszych - czasami zróżnicowanych wielce - postaw.

Zapewne te kroki będą wymagały przedefiniowania własnych słowników przez każdą ze stron[39], redefinicji zmierzającej w kierunku nowych, przynajmniej częściowo akceptowalnych przez wszystkich terminów i określeń, nazywania nowych działań skoro dotychczasowe raczej tylko utwardzały stanowiska: wyjść z okopów, z których prowadziło się spór i szukać – trudnego – porozumienia na otwartym polu dialogu.

Wracając do grafu: jeśli zostawimy go na kartce tak jak został narysowany i wyruszymy z trzech różnych punktów do centrum, do wiersza, tekstu, bacząc by „nie zmiąć kartki", by była „prosta jak stół", to zawsze będzie nam do siebie dalej niż wtedy, gdy w wysiłku i emocjach zrobimy z tej kartki „kulkę" zmiętego papieru i wszelkie jej punkty - nie wyłączając tych, które zajmujemy – będą teraz znacznie bliżej siebie! Ale przejście tej „krótszej" odległości będzie żmudniejsze[40], wymagające wysiłku i wytrwałości, wedle zasady krok po kroku – dokładnie tak, jak zaleca Latour.[41]

Ta umowna, ledwie teoretycznie zarysowana koncepcja mostów miedzy zakresami naszej wobec wiersza aktywności, tu ledwie „zmapowana", wynika z filozoficznego nastawienia Gąsiorowskiego, a więc z jego kroków czynionych w stronę innych, dodatkowych, nie tylko *stricte* literackich i literaturoznawczych wyjaśnień i uzasadnień. Ja z kolei przez ponad dziesięć lat naszej znajomości szedłem ku niemu właśnie z tej drugiej strony. Jeśli zatem między aktywnościami są granice, jeśli wytycza się między nimi linie demarkacyjne, jeśli są „przepaści" (gdyby ich nie było, „skoki kreacyjne", o których mówi i Gąsiorowski i Latour byłyby niepotrzebne, byłyby zbędnymi opowieściami o nieistniejącym świecie), to mosty, które staram się budować są jak najbardziej na miejscu.

Nie my pierwsi spotkaliśmy się na styku literatury i filozofii. Niektórzy nawet dokonują tego spotkania sami ze sobą (Camus, Satre) czy – jak Markowski – który związując swoją biografię z literaturą na dobre i na złe dodaje, że filozofia jest domeną jego także literackich zainteresowań (co dla śledzących prace Markowskiego nie jest niespodzianką): „Wydaje mi się, że literatura jako przestrzeń, w której pytanie takie – pytanie o relację między piszącym a czytającym, pisarzem a tekstem, między mną a innym – stawiać się powinno, nie różni się zasadniczo od filozofii, dla której pytanie to, jeśli tylko zdecyduje się porzucić grunt klasycznej ontologii, jest pytaniem pierwszym. I z tego to właśnie powodu, eseje zebrane w tej książce traktuję jako eseje filozoficzne. Uważam bowiem, że pisząc o literaturze tak, jak ją tutaj rozumiem, uprawiam jednocześnie filozofię, choć nie sądzę, by trzeba było do tego jakichś szczególnych uprawnień instytucjonalnych."[42] Herbert i Elzenberg przez lata prowadzili swój poetycko-filozoficzny dialog. Celana i Heideggera (po) łączyła wspólna fascynacja Holderlinem, choć spotkanie do jakiego w końcu przy usilnych staraniach Celana doszło, było dla niego wielkim rozczarowaniem.

Zatem status mojej z Krzysztofem rozmowy nie jest czymś wyjątkowym, ale też zapewne nie tak znowu częstym. I chociaż moje koncepcje literaturoznawcze nie są poparte żadnymi szkołami w tym zakresie,[43] to z drugiej strony stoi za mną autorytet określonej instytucji literaturoznawczej. Markowski pisze: „Nie wierzę więc – i jest to poważne wyznanie kogoś, kto w swoim biogramie umieszcza między innymi nazwę „teoretyk literatury" – by jakakolwiek teoria literatury (a każdy z nas ma jakąś „teorię literatury", którą się, najczęściej nieświadome, intuicyjne posługuje) mówiła o literaturze więcej niż o sobie samej."[44]

Podsumowując drugi plan, na którym chciałbym widzieć i lokalizować twórczość Gąsiorowskiego, plan związany z miejscem i sposobem istnienia wiersza, podnoszę kwestię potrzeby odczytania jego eseistyki i włączenia jej w obieg tak krytyki literackiej jak i literaturoznawstwa. Dlatego tak ważna wydaje mi się figura MOSTU. Sądzę, że może być ona i poręczna i przydatna nie tylko do reaktywacji poglądów Gąsiorowskiego. Podziały, linie demarkacyjne są potrzebne i sensowne tak długo i tak dalece, póki służą jasności debaty choćby przez doprecyzowanie pojęć jakimi operujemy, wyjaśnienie metod, ale tylko tak długo i tak dalece: narzędzia nie mogą być ważniejsze od materii, której poznaniu służą.[45]

Trzeci plan mojej próby uchwycenia eseistyki Gąsiorowskiego to te – bezcenne heurystycznie - miejsca, gdzie „wiemy nie całkiem", gdzie natykamy się na problemy i kłopoty. Jeśli tylko podtrzymamy w sobie odwagę niepewności, ową odwagę bycia nie całkiem, którą dostrzegam u Gąsiorowskiego, wtedy komunikacja między użytkownikami literatury stanie się łatwiejsza.[46]

Mosty są konieczne. Sławiński kończąc jedną z części rozważań zatytułowanych „Miejsce interpretacji" pisze: „Jak widać, ma on kłopot nie tylko z zagadkami utworu; kłopotów dostarcza mu również własna sytuacja, gdy przystępuje do gry: musi jakoś uplasować się ze swoją wypowiedzią w przestrzeni wyznaczonej przez (rzeczywistych czy przypuszczalnych) współzawodników, musi zestroić swój zamysł z podręcznym sprzętem badawczym, z kolei ów sprzęt wypada uzgodnić z wymaganiami, jakie stawia preferowany przezeń model wiedzy o literaturze. Wszystko to razem nie pozwala myśleć o relacji interpretator – tekst jako o układzie izolowanym, tłumaczącym się immanentnie (podkreśl. moje)."[47]

Mosty są potrzebne, bo (to znowu Sławiński): „(…) żadna teoria literatury sama przez się nie implikuje praktyki interpretacji, choć daje jej mniejsze lub większe szanse; praca interpretacyjna musi dopiero wyłonić się niejako na własny rachunek – jako „dopełnienie" koncepcji teoretycznych, zresztą wcale nie zawsze żywotnie im potrzebne."

→

Mosty są potrzebne, bo sytuacja między poezją a wiedzą literaturoznawczą o niej domaga się takiej współpracy. Piotr Śliwiński redagując tom prac zatytułowany „Nowe dwudziestolecie. Szkice o wartościach i poetykach prozy i poezji lat 1989-2009", będący wyborem referatów z konferencji w Poznaniu w 2009r.[48] zorganizowanej dzięki współpracy Zakładu Poetyki i Krytyki Literackiej UAM, Centrum Kultury „Zamek" i Wojewódzkiej Biblioteki i Centrum Animacji Kultury pisze we wstępie: „Referaty i dyskusje nieprzypadkowo towarzyszyły festiwalowi Poznań Poetów. Nie chodzi o to, by jałowo mieszać języki akademii i życia literackiego, choć – nawiasem mówiąc – ich separacje zazwyczaj były i pozostają jałowe jeszcze bardziej, lecz o wyraźny sygnał, że to, co dzieje się w literaturze współczesnej podlega umiejscowieniu w tradycji, w kontekście, w refleksji, w czymś od niej rozleglejszym i razem z nią tworzącym wielogłos, z jakim obcujemy. Z kolei dla literaturoznawstwa bliskość literatury żywej powinna stanowić ostrzeżenie przed zamykaniem się we własnym świecie." (podkreśl. moje). Dlaczego więc nie pójść drogą *mniej jałową* nie zamykając się we własnym literaturoznawczym świecie, skoro coraz więcej sygnałów z tak różnych stron wskazuje na potrzebę współpracy? A trzeba by jakoś do niej doprowadzić, stąd moje wołanie o mosty.

Mosty są potrzebne, bo jesteśmy w sytuacji dość skomplikowanej skoro z jednej strony wiemy, że „interpretacja jest środkiem do tego, by czymś zawładnąć" (Nietzsche) a z drugiej strony „ma się przejść przez most, a buduje się na nim dom" (Hebbel).[49] A to już zdaje się być wystarczająco mocnym ostrzeżeniem, że powinienem kończyć swoją opowieść o Krzysztofie Gąsiorowskim pomny tego (znowu Hebbel), że „poezja jest życiem, nie myśleniem, przyoblekaniem szat, nie skalpowaniem". Nie chciałbym być posądzonym o to ostatnie, choć żywię nadzieję, że wskazałem na kilka spraw wartych przemyślenia.

Podsumowując twierdzę, że wartość poezji Gąsiorowskiego, jej wartość dodana to:

Przywrócenie rangi poezji jako pytaniu o kształt i sens naszej rzeczywistości, a nie tylko byciu jeszcze jedną wersją literatury w łańcuchu jej historycznych form mocujących się z rzeczywistością. **To tu mieści się owo uporczywe pytanie nie o społeczną funkcje literatury, lecz o literaturę jako funkcję społeczną.** Dla Gąsiorowskiego czas jego debiutu i wchodzenia w poezję, to czas, gdy cień wielkiej wojny i doświadczenie kombatanckie nie stanowiły już doświadczenia prymarnego, co (z)orientowało poezję Orientacji na zadania nie podzielane prze innych (legło to u podstaw wszelkiej krytyki wymierzonej w Hybrydowców) i na formy poetyckie (język, metaforykę i szerzej – dykcję tej poezji) odrzucane prze oponentów, ignorowane przez literaturoznawców.[50]

Traktowanie poezji jako źródłowego wymiaru ludzkiego losu, jego cechy antropologicznej; stąd poezja jako doświadczenie egzystencjalne. „Dzisiaj już wiem, że naczelną kategorią poezji jest l o s. Nie chodzi o to, żeby opisywać swój los, ale żeby go przeżyć, żeby mówić językiem losu (m ó w i ć l o s e m) w sposób tak naturalny, jak we wczesnym dzieciństwie zaczyna się mówić językiem matki i ojca. Do l o s u w p o e z j i należy każdy zgrzyt i poryw ku harmonii, uczestnictwo i odstępstwo, fascynacja i odtrącenie. Każdy rozbłysk i żarzenie się, i strefa ciemności. Rytm, w którym żyjemy, jego przyśpieszenie i nagły spazm, i zwolnienie, i zamieranie. Także połać milczenia, którą czasem próbujemy zakrzyczeć, ale krzyk więźnie w gardle. Gwałt zadany sobie, swemu losowi – kaleczy język, obezwładnia poezję. Jeśli los jest wolnością i prawdą, poezja jest nią także. Los bywa tylko m ó j i bywa n a s z, i nie zawsze warto tropić granicę między jednym a drugim. Nasz – oznacza różne wspólnoty, czasem bardzo niewielkie, czasem ogromne. Zdarza się, że oznacza h i s t o r i ę, z całym jej patosem i nędzą." To nie Gąsiorowski, to Woroszylski w roku 1981 w trzeciej części wstępu do swoich „Poezji wybranych".[51] Jednak bez jakichkolwiek zahamowań odnoszę te mądre słowa do twórczości Krzysztofa, bo pasują one do niej jak mało które.

Formułowanie własnego słownika, tego, co określiłem „słownikiem Gąsiorowskiego". Nie chodzi jednak o czczą zabawę określeniami. One pojawiają się w sytuacji niedostatku dotychczasowych terminów, gdy te nie wystarczają do powiedzenia nowego.

Inspiracyjna funkcja poznawcza. To jej zawdzięczam dociekania dotyczące uruchomionych w tym tekście pojęć (tym razem już mojego słownika). Koncepcja MOSTÓW jest tego najbardziej ewidentnym przykładem, bo jest bezpośrednim dzieckiem tej inspiracji: narodziła się dopiero w trakcie pracy nad twórczością Gąsiorowskiego, który pisze: „Nie ukrywam, sens mojego pisania (a może i życia, bo płaciłem i płacę życiem za to „zajęcie") a przynajmniej sens tej książeczki, niemal całkowicie zależy od tego, czy uda mi się wreszcie odsłonić inność i autentyczność moich poetyckich ciemności. Bo nie zdołaliśmy, z bliskimi mi poetycko przyjaciółmi z owej sławetnej Orientacji Hybrydy, przez ćwierć wieku!!! atakowanej zewsząd za „estetyzm", z Waśkiewiczem, Żernickim, po części Jerzyną czy Chorążukiem – publicznie wybronić naszego rozumienia poezji. Niemal zawsze odczytywano nas w obcych

Ewa Bogucka-Pudlis

nam krytyczno-literackich i filozoficznych kontekstach."[52] Mam nadzieję, że dzięki inspiracyjnej funkcji jego poezji udało mi się w jakimś stopniu i upublicznić sprawę Orientacji i wskazać bardziej adekwatne konteksty krytyczno-literackiego i filozoficznego jej rozumienia.

I wreszcie, w porządku wymieniania na końcu, lecz przecież pierwsza dla każdego czytania wartość – wartość radości czytania dobrej a zapoznanej poezji najwybitniejszego bodaj przedstawiciela n i e o b e c n e g o pokolenia. Przypominam to, co o Gąsiorowskim napisał (w swoim komentarzu na blogu Jerzego Sosnowskiego) Klejnocki: „To jeden ze zmarnowanych (samozmarnowanych?) talentów. Pewnie wiele w tym winy samego twórcy. Gąsiorowski miał (wciąż ma?) tę moc, ten „power" poetycki, który czasami pozwala piszącemu kroczyć po cienkiej linie geniuszu. Kto wie – w innych okolicznościach historycznych, z inną osobowością – byłby może dziś jednym z klasyków. A tak, obawiam się, albo będzie musiał czekać, już pewnie w zaświatach, na swojego Miriama, który Go po niewczasie odkryje, albo jego nazwisko zapełniać będzie – już po wsze czasy – marginalia rozmaitych uczonych i mniej uczonych opracowań, albo – tak, tak – ten wpis w internetowym dzienniku Jerzego Sosnowskiego pozostanie jednym z nielicznych świadectw, że czasami dzieło przerasta swego twórcę. W wersji mniej eleganckiej, że tekst (teksty) bywa (bywają) mądrzejszy (mądrzejsze) od swego autora."[53]

Podsumujmy rozważania o wartości i miejscu poezji i ewokowanej nią eseistyki Gąsiorowskiego przywołaniem słów poety, które – mam nadzieję – pozwolą czytelnikowi na samodzielną podróż w stronę tej poezji: „Czym bowiem w rzeczywistości jest, o czym świadczy ów efekt oczywistości, który uznać jestem skłonny za układ odniesienia wszelkiej poezji? Pojawienie się jego świadczy o tym, że zostało osiągnięte jakby przedustawne porozumienie dwóch podmiotów, dwóch osób; że w nagłym olśnieniu okazało się, iż przynajmniej w obrębie przestrzeni wiersza „Drugi", inny człowiek stał się mną, jest taki jak ja, i ja jestem taki jak on człowiek, a więc i on, i ja istniejemy. Zostaliśmy sami sobą potwierdzeni; sztuka jest potwierdzeniem, jedyną znaną nam techniką tożsamości. Uzyskanie – dzięki doświadczeniu oczywistości napisanego przez kogoś innego utworu artystycznego (chociaż sens utworu uzależniony będzie od mojej zgody) – poczucia tożsamości ze sobą samym i poczucia podobieństw z drugim człowiekiem jest możliwe dopiero wówczas, kiedy wiersz, dzięki skokowi kreacyjnemu, jest na równi obcy, czy na równi bliski, zarazem i twórcy, i odbiorcy, a jeśli już określa kogoś dokładnie, określa nie znanego nam, ale zrozumiałego dla nas obydwu „trzeciego człowieka". A zatem dopiero wtedy, kiedy utwór zakłada istnienie jakiejś zbiorowości, którą jednocześnie i ujawnia, i definiuje. Co więcej, w utworze mogą i muszą występować tendencje (formalne, tematyczne, ideowe) do zmiany rzeczywistości społecznej, jeśli ta, do której utwór może się odnieść, nie zapewnia mu oczywistości zawartych w nim sensów i przeżyć. Jest to przecież tak pasjonujący nas problem zaangażowania literatury, potraktowany jako problem artystyczny. Literatura jest bowiem, nie tylko definicją społeczeństwa, ale i jego funkcją, jego narzędziem walki o własną tożsamość. Poezja naprawdę jest wielością jedności."[54]

Andrzej Wołosewicz

1 j. w., s, 42.
2 Żernickiemu, który wszak Orientację osierocił bardzo szybko najobszerniejszą książkę poświęcili przyjaciele z tejże Orientacji: Janusz Żernicki- poeta osobny, Toruń 2002.
3 Trzeci człowiek, dz. cyt., s. 236
4 j. w. , s. 232
5 Trzeci człowiek, s. 43.
6 M. K. Głowacki, Studia Filozoficzne 4/1984, ss, 3-26.
7 Chodzi tutaj o mocne postawienie pytania, o sytuację egzystencjalną; nie o pytanie, które zadaje sobie dziecko bawiące się na progu zagadnięte przez przybysza ,czy mama jest w domu, lecz to samo w brzmieniu pytanie, gdy dziecko czymś zaniepokojone woła: mama? Takie pytanie jest jego egzystencjalnym pytaniem, krzykiem o odpowiedź o sens. Wyjaśniam to, bo i filozofia grecka a szczególnie mocno teologia chrześcijańska zadawały sobie to pytanie, ale raczej w sposób retoryczny – odpowiedź była jasna i oczywista (choć nie musiały być jasne i oczywiste drogi do jej odkrycia; gdyby były jasne, ani sofia ani katecheza nie byłyby potrzebne).
8 Oczywiście tej zwykłej, banalnej oczywistości, tej, którą podpowiada nam językowy uzus, a nie tej postulowanej przez Gąsiorowskiego oczywistości wiersza.
9 J. Sławiński, Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego, w: „Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa", Kraków 1976., ss. 100-230.
10 M. P. Markowski, Nieswój po swoje, „Teksty drugie" 4/2002, ss. 241-246.
11 Zainteresowanych odsyłam do tekstu Sławińskiego.
12 J. Sławiński, dz. cyt., s. 104.
13 j, w., s. 105.
14 j. w., s. 106.
15 Pierwszy sposób akceptuje odrębność i niedopasowanie, więc de facto zerwanie ciągłości procesu badawczego (tu analiza utworu jest sumą tych odrębnych ustaleń badawczych); drugi mówi o swoistym „izomorfizmie" obu planów, który – dzięki temu – daje komfort niejakiej odpowiedniości, analogiczności (tu pozwalającej na używanie na obu planach procedur tego samego typu). Trzeci sposób traktuje przejście jako kontynuację (tu, jak pisze Sławiński, usiłuje się „traktować analizę jako ciąg jednolity – narastający znaczeniowo").
16 J. Sławiński, dz. cyt., s. 114.
17 Sam Sławiński nie pozostawia złudzeń, co do tego, że odwołanie do kontekstu otwiera raczej możliwości niż jednoznacznie coś precyzuje, pisząc: „Niezależnie od tego, jakie konkretne odmiany „macierzystego kontekstu" uznajemy za szczególnie godne zainteresowania – sam wzór relacji łączących je z utworem monotonnie się powtarza. Twierdzę, że w refleksji literaturoznawczej, uchylającej kategorię związków przyczynowo-genetycznych, nieodmiennie mamy do czynienia z dwoma komplementarnymi odniesieniami przekazu literackiego do kontekstu. W pierwszym wypadku jest ono równoznaczne ze stosunkiem części do całości. W drugim zaś relacją tego, co zaktualizowane (urzeczywistnione) do tego, co potencjalne (możliwe, dopuszczalne), Kontekst jest raz ujmowany jako konkretny układ przedmiotowy, w którym dzieło odgrywa rolę jednego ze składników, kiedy indziej znowu rozumiany jako sui generis „język", którego reguły dzieło spełnia. Jałowy byłby spór o to, które z tych ujęć kontekstu jest ważniejsze, a w konsekwencji: które z odniesień utworu należałoby traktować jako bardziej elementarne. Oba są w równym stopniu elementarne, chociaż w różnych odmianach interpretacji na plan pierwszy wysuwa się jedno lub drugie." (s.116)
18 J. Sławiński, dz. cyt., s. 117.
19 j. w., s. 126.
20 Michał P. Markowski, Nieswój po swoje, Teksty drugie, 4/2004, s. 244. W swoich szczegółach tekst Markowskiego jest polemiką z Kunzem, ale na temat podejścia do czytania i stąd jego poręczność dla mnie.
21 I zrobił to wiele lat przed Bloomem, chociaż oczywiście na teoretycznych piętrach fenomenologii a nie w materii analizy praktyki literackiej.
22 To tej nie-w-pełni-izolacji zawdzięczamy problemy, z którymi mierzą się Markowski i Sławiński.
23 D. Lewiński, Strukturalistyczna wyobraźnia metateoretyczna. O procesach paradygmatyzacji w polskiej nauce o literaturze po 1958 roku, s. 175
24 j. w., s.176
25 Przywoływałem już tę Konferencję w rozdziale 1.3.
26 www.pisarze.pl, 6 X 2014.
27 A. Wołosewicz, Co robimy, gdy czytamy? - próba modelu (Ratoń, Myśliwski, Gąsiorowski, Latour), w: Prace Literaturoznawcze UW-M, Olsztyn 2014, ss. 279-300.
28 W tekście dokonałem stosownych poprawek, ale tylko na tyle, aby był drukowalny wedle wymogów Wydawcy; nie sądzę zaś, żebym radykalnie coś w nim zmienił z tego, co recenzenci nazwali „hermetycznym językiem" czy „oralizacją i potocyzmami".
29 Na przykład takie, że ten sam tekst nie znalazł uznania w „Tekstach Drugich"; żałuję tylko, że tutaj nie otrzymałem recenzji, rozumiem, że redakcja ma taką praktykę, ale ze względów poznawczych byłoby to niezmiernie ciekawe, nie mówiąc już o tym, że spełniałoby zadanie dydaktyczne, pokazania autorowi jego niedostatków (w tym wypadku aż – zdaniem recenzentów – dyskwalifikujących). Nie sądzę, że zmiana praktyki „Tekstów Drugich" akurat w tym zakresie byłaby czymś złym.
30 Dobrym przykładem owego „tak, ale" jest wpis Czytelnika pod moim tekstem (do komentarzy na temat tego tekstu już się tu odwoływałem, patrz tekst na www. pisarze.pl z 6X2014): „Ja nadal – „nadal" dotyczy tego, że Czytelnik formułuje swoją opinię po tekstach wobec mego krytycznych, z którymi zdążył się już zapoznać - chwalę sobie tekst pana Wołosewicza, bo jest zrozumiały i przejrzysty dla każdego czytelnika, który kocha czytać, a niekoniecznie łyknął filologicznego wykształcenia. Teksty filologiczne bywają strasznie nudne i mało zrozumiałe dla ogółu czytających, a pisane wedle schematu z podręcznika poetyki i wykładów dawnych profesorów, ale dla osób na wyższym poziomie filologicznym. One przeciętnego czytelnika raczej odstraszają od czytania. Tymczasem p. Wołosewicz przekazuje swą teorię w sposób obrazowy i przejrzysty przy użyciu pojęć potocznych, że aż się to wszystko widzi. Przewietrza nudę i schemat z filologicznych wywodów. Takie teksty zachęcają do wgryzania się w tomiki poezji i grube tomy prozy. Bo o prozie też na pewno tu będzie. Brawo i proszę o bisy. To dla nas, zwykłych pożeraczy książek." Nie idzie mi o miłą skądinąd dla mnie opinię Czytelnika, tylko o dowód, że problem „mostu" nie jest moim czczym wymysłem, że „dopada" on także innych – jest więc problemem po prostu.

31 Tu pomijam wewnętrzne problemy literaturoznawstwa (np. nieakceptowalny przez strukturalistów antyesencjalizm Fisha) i poziom, w którym „zwykły" czytelnik sięga po literaturoznawcze słowniki (tu też lokuję „poziom", na którym szukają wsparcia polonistów uczących młodzież w szkołach; a jest on wyznaczany/formułowany poprzez cedowanie w dół ustaleń Zjazdów Polonistycznych, ich przekładanie na większą przystępność dydaktyczną).
32 A. Gawroński, Dlaczego Platon wykluczył poetów z Państwa?, Warszawa 1984.
33 j. w., s. 29.
34 Przypomnijmy, jak zasadniczo w obronie „myślenia nieprecyzyjnego" wystąpił Elzenberg, któremu nie sposób odmówić przenikliwości intelektualnej, klarowności w przekazie własnej myśli, logiczności wreszcie.
35 Fryderyk Chrystian Hebbel, Dzienniki, (przeł. K. Irzykowski), Warszawa 1958, s. 20.
36 Patrz, M. Gołaszewska, Kim jest artysta?, Warszawa 1986, czy Z. Taranienko, Rozmowy o malarstwie, Warszawa 1987.
37 cyt. za: M. Gołaszewska, dz. cyt., s. 116.
38 Liliana Śnieg-Czaplewska, Bex-. Korespondencja mailowa ze Zdzisławem Beksińskim., Warszawa 2005, s. 45.
39 To właśnie robi Gąsiorowski w swej eseistyce czy ja w tej pracy wprowadzając pojęcia: synapsy literackiej i pozostałe.
40 Ale chyba już dość mamy wygodnych wyjaśnień, które nie zbliżają dyskutujących stron ani na jotę.
41 Nadto być może i żadnego centrum już nie będzie, bo gdzie jest centrum tak „spostponowanej" kartki (z naszymi grafami) i czy to w ogóle ma jakiekolwiek znaczenie?
42 M. P. Markowski, Występek. Eseje o pisaniu i czytaniu, Warszawa 2001, s. 9.
43 Ale przecież cytowany przed chwilą Markowski mówi o filozofowaniu bez potrzeby „jakichś szczególnych uprawnień instytucjonalnych", więc dlaczegóż by mnie nie wolno było robić to w literaturoznawstwie „bez jakichś szczególnych uprawnień instytucjonalnych".
44 M. P. Markowski, dz. cyt., s. 13.
45 Nie krójmy – jak już apelowałem – zupy nożem.
46 Książka o komunikacji, którą polecam wszystkim niezależnie od tego, jakiej materii w ich wypadku komunikacja dotyczy, nosi znamienny tytuł „Mosty zamiast murów", Warszawa 2002.
47 J. Sławiński, Miejsce interpretacji w: Księga referatów Zjazdu Polonistów, Warszawa 1995, s. 86.
48 Śliwiński podaje, że konferencja poznańska była „dopełnieniem refleksji przedstawionych podczas konferencji - katowickiej (2007, z inicjatywy Krzysztofa Uniłowskiego, na temat życia literackiego) i w Szczecinie (2008, z inicjatywy Ingi Iwasiów, o ideach i ideologiach minionego dwudziestolecia)", co jeszcze bardziej podkreśla znaczenie przytoczonych jego słów.
49 Dzienniki, dz. cyt., s. 129.
50 Przywołany wyjątek zainteresowań badawczych Witolda Sadowskiego czy Andrzeja Zieniewicza stanowią jedynie chlubne wyjątki od tej złej reguły.
51 Wiktor Woroszylski, Poezje wybrane, Warszawa 1982.
52 Warszawa jako kosmos wewnętrzny, dz. cyt., s. 70.
53 Jerzy Sosnowski, www.jerzysosnowski.pl, 20-05-2008.
54 Trzeci człowiek, dz. cyt., s. 241.

Krzysztof Mierzejewski

Pamięci Umberto Eco

Skundleńcy

Niech będzie Chwała
dziela Krzciciela
obdziela nas oddziela
Pan nasz Wieczny Bóg
latorośle płodne
wrosną w suchy chrust

Piszę do ciebie, mój najmilszy bracie
w Ojcu, z głębi Przestrachu, gdyż wśród pism i map
zajrzały we mnie Wyżyny i ziemi połacie
zajrzał mi w serce swym ślepiem
Barbarzyński Świat
i stanąłem wśród Burzy z okiem zalepionym
głową omotaną, w sidła; wzbitą w piach
burzy sprzeczności skundleń, przeciwnych harmonii
gdzie zamiast tego co Jasne, zamęt wzburza strach

laudate Dominum
współszczekanie okrzyków
larum w librariach
laudate Dominum

Imię ich podam Skundleńcy
o ile o imionach można w ogóle rozprawiać
Imię niepodobne do Imienia
bo czy nosi Imię Bezkształt z początków Stworzenia?
jak ja, Ty
koń, pięciornik, zamieć

Skundleńcy wyrywają się definicjom
one tylko obłapiają ich jak bryłę stopionego powietrza
nieporadnie

skundlone języki zachwaszczają łacinę
skundlone ręce już podnoszą broń
skundlone modlitwy tchną psiogłowej wierze
w skundloną miłość psia się wdziewa skroń

och, kiedyż dokopiemy się do Jego Oblicza?
najczystsze Źródło wybije spośród ruin
i śmietnisk nieJasności
kamienie z Babel
przemówią bez narzeczy
a My odkryjemy Imiona wrośnięte w Ciała
takie jakimi Są

Wierzę

Z poważaniem
Reprobus

Słowa z kręgosłupa tobiaszowej ryby

Poczuł coś, zstępując w zimnożywy nurt
który śpiewał piosenkę o odnajdywaniu
o znajdowaniu siebie nawet w młyńskich kół
obrotach, wiecznym trwaniu
Szeptała woda rytmiczny, marmurowy znój
rzeźbiąc w serc skalnym zaraniu

Cichną w nocy ptaki
Archanioł i Pies
Gwiazdy trochę bezwiednie
Klecą mdłe przepowiednie

Wychrapały zaklęcia skały, które Los
ofiarował pustyni, jako drogowskazy
usta Przodków w tym wietrze uzyskują Głos
w Sercu półksiężycowe przestępują fazy
i pisklęciem się lęgnie; wierci jakaś moc

Nadal milczą ptaki
Archanioł i Pies
Chmury naszły już ciemniej
Znikły gwiazd przepowiednie

Może znajdziesz Serce, Wątrobę i Żółć
odzyskując Słowo i Kształt z ryby Niewiadomej
z wnętrz skrytych dobędę treść, dobędę by pójść
okadzając świat dymem ofiary niepłonnej
całopalnym życiem, żertwą gestów i czuć

Chrapią z wytchnieniem ptaki
Przeciągnął się Pies
Anioł prostuje skrzydła
Zbudzony wonią kadzidła

Jakub Michał Pawłowski

CHOCIA BUŁKIEM

Chocia bułkiem – wydukała kalekim językiem i wystawiła starą dłoń, w przestrzeń bardziej, nie do ludzi, bo ci lekceważyli jej gest. Wielka fioletowa torba na kółkach i doczepiona do niej babina w zielonym wybiedzonym berecie, gdyby jeszcze śpiewała, byłaby z niej prawdziwa muter kuraż. Pachniała źle, ręce jakby śpiące od lat w ziemi, ubrana w kolorowe, ale jednak szmaty, do tego bezwstydnie dłubała w nosie, ponieważ wyglądała źle, zachowywała się źle, bułki nie dostała. Bułka bowiem należy się za jakieś zasługi, za jakiś klarowny stosunek do rzeczywistości i systemu wartości, za jakiś tam jednak wygląd. Chleb ze stołu pana, z domu chleba, nie był jednak dla każdego. W prowokacyjnym zachowaniu babiny najgorsze było jednak to kaleczenie języka, przez które ojczysty język umierał, tego puryści językowi znieść nie mogli. A ten kraj składał z purystów, estetów i moralistów, a najwięcej było estetów-moralistów, ceniących czystość języka. O nie! – w tym gościnnym kraju, będącym wedle własnego oraz światowego przeświadczenia, krajem-misjonarzem, nie zdarzała się żadna śmierdząca noga, fedrowanie w nosie, spocony tiszert, bąk puszczony po grochówce. Nade wszystko jednak niespotykane tu było dobijanie języka.

Głodna babina ukradła w końcu bułkę ze sklepu, wylądowała na komisariacie, ponieważ uciekając zsiusiała się z nerwów, zniszczyła sklepowe mienie. Zatem mandat. I postraszenie, że wróci do krainy wampira nosferatu. Ze swoim wózkiem, w którym śmiało trzymać by mogła małego smoka, byłaby ozdobą niejednej zamkowej górki i jarmarku. Kraina wampira nosferatu – ziemski raj, królewskie plemię z gór, tam owce same pochylały łby do strzyżenia, ba!, same się właściwie strzygły. A ludziska czyste, pracowite i poczciwe. I język, trochę łaciny i trochę szczebiotu żabojadów, i kult życiodajnych ukąszeń i ugryzień, prawdziwy kult prawdziwej krwi. Po co opuszczać taki skarb?

Chocia bułkiem – intonowała babina po wejściu do autobusu. Nie była jednak sama, towarzyszyła jej anielska kompania. Modliła się o pomoc i najwyższy zesłał nie mannę, nie ostatniego sprawiedliwego, tylko aniołów, takich z trampetami, dzwonkami, cytrami i harfami i z sypiącymi się na ludzi włosami. Sporo tego, w takim towarzystwie żebracze zawołanie babiny nabierało dostojeństwa. Niepotrzebnie, aniołów i ich sprzęt wywalono z autobusu, gdy zaczęli śpiewać kolędy. Autobus to jednak nie miejsce na metafizyczną śpiewogrę. Babina ocalała z autobusowej rewolty.

Chocia bułkiem – wolało zachrypnięte gardło babiny, do tego w autobusie był prawdziwy tłum, a na zewnętrz deszcz. Nie lubiła swojego żebraczego zawołania, bez niego jednak czuła się podle, zachrypnięte zawołanie to jednak nie to samo. Nie wybrzmiewa w pełni. Deszcz ukrył bezpiecznie łzy babiny. Była żebraczką, to jasne, ale kim jeszcze? Bo żebractwo, jeśli dobrze rozumiała, to stan mentalny, najczęściej przymusowy, były wszak królowe-żebraczki, żebrzące narody, papieże-żebracy, wielcy jałmużnicy, a nawet żebracze opery. Próbowała przypomnieć sobie jakąś profesję, taką jak nauczycielka, piekarz, górnik, nurek. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu olśniło ją, że pracowała przecież ułamek wieku jako księgowa u wampira nosferatu. Nic to, dziś jest artystką słowa.

Chocia bułkiem – łgała znów zbrodniarka na języku. Znów to samo, te same przepełnione troską i głębokim zrozumieniem spojrzenia, niemające niczego z przygany. Nudził ją ten repertuar z bułką, bała się jednak, że gdy poprosi o kiełbasę ktoś wyrzuci ją z autobusu, to mogłoby narazić na szwank jej wózek, a na to nie mogła sobie pozwolić. W tym gościnnym kraju kiełbasa nie była nawet dla psa, nie chciała tracić czasu na bezproduktywną refleksję, myśleć to ona mogła w kraju wampira nosferatu. Tu przyjechała po bułkę. Tego dnia było jednak inaczej, jedno ze spojrzeń wydało jej się przychylne, a co najmniej neutralne, jak się potem okazało, było po prostu mętne z przyćpania. Nic to. Drobny rudy ćpunek dał się uwieść jej zbrodni na języku i kupił jej w końcu bułkę. Nie zrobił tego z dobroci serca, w wieku postępu empatia była już denatką, zrobił to, bo nikt inny nie chciał, zadziałał wbrew. Poza tym trochę przyćpał i nie w pełni wiedział, co robi. Wizja babiny z wielką torbą, sunącej przez ojczysty kraj purystów, jak kermit przytwierdzony do śliwki węgierki, to niezły odlot, lubił tak, autobusowa psychodela za równowartość jednego biletu (plus cena bułki). Babina najpierw ucałowała bułkę, potem dziękowała i dziękowała, później dopiero zjadła, wcale nie szybko. A potem zaśpiewała mu szansonę jak prawdziwa muter kuraż, którą od tej chwili dla niego była.

Jakub Michał Pawłowski

Ewa Bogucka-Pudlis

Jakub Michał Pawłowski

(ur. 1977) — dr n. hum., literaturoznawca, badacz europejskiego romantyzmu (dysertacja: Romantyczny teatr mistycznego okrucieństwa. Słowacki i Artaud, 2012), a także związków tegoż z ekspresjonizmem, awangardą i modernizmem, również prawnik. Jeśli nie podróżuje, pomieszkuje w Szczecinie, absolwent tutejszego uniwersytetu, Twórca niezależnych spektakli teatralnych (Symbolatorium, Projekt V, Projekt Parsifal), małych form prozatorskich, lektor, podróżnik, autor najnowszego przewodnika do Austrii (Wyd. Helion/Bezdroża, 2020) oraz zbioru esejów Nerwowa uliczka. Modernistyczne obrazy kobiecości (z Berlinem w tle), w procesie wydawniczym. Przez chwilę rzecznik prasowy Muzeum Sztuki w Łodzi (2023). Debiut poetycki w Przeglądzie Powszechnym (1999): wiersz Salomony z krynolinach wirują, prozatorski: tryptyk Siorbanie Wergilego (e-eleWator 2024). Autor kilkudziesięciu tekstów naukowych, esejów, artykułów popularyzatorskich, współpracuje z redakcjami: art PAPIER-u, Kuriera szczecińskiego, miesięcznika e-eleWator, kwartalnika Spotkania z zabytkami, Teologii politycznej, Bibliotekarza podlaskiego, portali: Histmag.org i Wydawnictwo J. Po Wiedniu, Lubece, Hamburgu, Dreźnie, Lipsku, Quedlinburgu, Berlinie, Poczdamie, Lwowie, Londynie, Bristolu oprowadził łącznie ponad 80 wycieczek.

Julia Kłoda

xxx

pan z naprzeciwka
wstaje codziennie
o piątej piętnaście
o piątej dziewiętnaście odpalamy wspólnie papierosa po dwóch stronach świata
machamy sobie na dzień dobry i dobranoc
on całuje żonę przed wyjściem
ja szukam powodów by zasnąć
wstać z kalendarzem o dwa dni przedawnionym
i wrócić
do mojego pana z naprzeciwka
na papierosa
przed snem
by marzyć o powodach
do zapalania co dzień światła
kupowaniu tych samych papierosów od dwudziestu lat
całowaniu tej samej kobiety przez całe swoje życie
i zawsze z uśmiechem powitać zagubione dziecko
wszystkie sieroty
i spisane na straty człowieczeństwo

mój pan z naprzeciwka
ma zmęczone oczy, drżące dłonie
i coraz więcej siwych włosów
częściej opiera się o poręcz
a żona pomaga mu zrobić kawę
wracają razem
do rozświetlonego lampą na oknie pokoju
wędrują korytarzem
a potem znów jest ciemno
mój pan i moja pani z naprzeciwka
witają mnie niezmiennie od miesięcy
o piątej dwadzieścia jeden
wspólnie unoszą prawe dłonie i powoli kierują je do mnie
szukając smutnym wzrokiem swojej towarzyszki
parzą razem kawę
wędrują korytarzem
całują się w sypialni
a światło gaśnie
i zapala się
jeszcze kilka tygodni
potem świat usypia

mój pan z naprzeciwka
odwiedza mnie czasem
pijemy razem kawę
częstujemy się papierosami
i śmieje się pokasłując
gdy wspomina nasz romans
mój pan z naprzeciwka
zostawił mi w spadku cały świat
i zabrał powody
by jakkolwiek tego świata jeszcze chcieć
mój pan z naprzeciwka
mój pan
z
naprzeciwka

xxx

niewygodnie mi w jesieni
obserwuję
przytulające się gnijące liście
płaczące nad nimi niebo
usypiające ze zmęczenia słońce
rozstające się z braku miłości pary
zakładam
wszystkie kolory żałoby
w imię hołdu
żyjącego jeszcze wczoraj świata
pod koszulą uwiera mnie
nagła samotność
doskwiera nieprzemakalność
dni przemijających
ciągle
nieprzerwanie
smutnych doznań
zwyczajnie niewygodnie mi
w jesieni

Julia Kłoda – poetka, studentka kulturoznawstwa, dziennikarka dla Gazety Kongresy, pracowniczka jednego z warszawskich teatrów. Laureatka konkursu literackiego „Raport z zagrożonego miasta" Resursy Obywatelskiej w Radomiu z 2021 r. oraz laureatka konkursu poetyckiego „Między Wierszami" Młodzieżowej Rady Miasta Warszawy z 2023 r.

Reportaż spod psiej gwiazdy

Christian Medard Manteuffel

1. W ruinach prezbiterium

...Cypr,
górska wioska na Wyżynie Troodos
rynek małego miasteczka;
brak miejsca w gospodzie,
krzyż na gruzach kościoła
oświetlają wojskowe reflektory
bazy Unitet Nations.

Na ścianach malowidła
Krzyżowej Drogi
w bizantyjskim stylu:
jakże realne wydają się tutaj,
gdzie na gwieździstej nocy
palmy jak anioły
rozkładają nielotne skrzydła.

Na resztach murów
sceneria ostatniej drogi;
jeszcze na murze zostały postacie
z pejczami,
malowane wrzaski gawiedzi,
omdlenie matki,
gest Cyrenejczyka,
chusta Weroniki.

Cień krzyża przesuwa się
w świetle czujnego reflektora
w załomie dawnej krypty,
w zburzonym prezbiterium,
ustrojona scena narodzin,
jak pierwsza stacja Krzyżowej Drogi...

Psia Gwiazda wskazuje niezmiennie
jedno i to samo miejsce

Cypr, Wyżyna Troodos, grudzień 2006

Cisza, jak makiem zasiał. Scena narodzin Syna Bożego ustrojona była w narożnej części rynku. Bliżej nawet od strzelistego minaretu niż od kopuły świątyni greko-katolickiej, wystawiono naturalnej wielkości figury postaci i zwierząt otaczających żłobek. Nie było to żadne *święte miejsce* wśród nędznych chat i ubóstwa otoczenia, choć mogło ono przypominać do złudzenie tamto, *nie bardzo podłe miasto*, gdzie dla brzemiennej Marii *zabrakło miejsca w gospodzie*. Radość i nadzieja emanowała z tej sceny, tym bardziej, że w sąsiedztwie znajdowała się kwatera jednostki pokojowej United Nations.

Znana mi dobrze scena. Ile ja już tych scenek widziałem. Obserwowałem Alego. Chciałem coś powiedzieć, ale Ali uprzedził mnie.

- Czarna Mariam – wskazał głową w kierunku figury matki Chrystusa i spojrzał porozumiewawczo na mnie.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem o co chodzi. Na promie, którym płynęliśmy z Efezu spotkaliśmy Polkę, która przysiadła na ławce i wystraszona niespokojną powierzchnią morza, przesuwała koraliki różańca. Zaczęło się od tego różańca. Ali opowiadał jej o różańcu z 99 paciorkami, który mają jego współwyznawcy. To już przykuło jej uwagę, a Ali zadowolony, że znalazł słuchaczkę, sięgnął aż do Abrahama. Kiedy jednak zapytał czy wie o tym, że w Efezie przeżyła ostatnie lata życia matka Jezusa, nie wytrzymała.

- Matka Boska? - zapytała absolutnie zdumiona rewelacją. - A kiero to była? Ta czorno?

Ali patrzył pytająco na kobietę. Myślałem, że nie zrozumiał gwarowej odzywki. Zapytał.

- Jaka czarna? - powtórzył pytanie. - Przecież była tylko jedna – odpowiedział zdziwionej Polce.

- Jak to jedna – ta nie oddała za wygraną. - A ta czenstochosko? A wileńsko?

- Dobrze, Ali. - uspokoiłem przyjaciela. - Wyjaśnię ci później.

Alego poznałem jeszcze w latach osiemdziesiątych. Był pracownikiem polskiego ataszatu w Pakistanie i w nagrodę wysłano go na studia do Polski. Religie współczesne stały się jego pasją. Nie skończył studiów. Gdy go po latach równie przypadkowo odnalazłem, cel miał jeden; wykazać wspólne pochodzenie religii monoteistycznych. Był święcie oddany dogmatowi, że przecież świat jest jeden i jeden Bóg go stworzył. Spojrzałem teraz na twarz figurki matki pochylonej nad dzieciątkiem w żłobku. Rzeczywiście, jej twarz była śniada, prawie brązowa. Nad tą sceną zawieszono wielką kometę, Psią Gwiazdę, która według podania wskazała miejsce wędrowcom. To Syriusz wskazujący zawsze jedno i to samo miejsce na Ziemi. Zrobiło się późno. Wypiliśmy jeszcze przesłodzoną kawę u Turka w bezpośrednim sąsiedztwie meczetu. Czekała nas jeszcze daleka droga.

2. Profile krzyża

...udali się w drogę. Gwiazda zaś, którą widzieli na wschodzie, poprzedzała ich aż do miejsca, gdzie znajdowało się Dziecię; tam się też zatrzymała. Widok tej gwiazdy napełnił ich bardzo wielką radością. A gdy weszli do środka, zobaczyli Dziecię z Maryją, Matką Jego. Upadli tedy na kolana i oddali Mu hołd, a potem, otworzywszy swe szkatuły, złożyli w darze: złoto, kadzidło i mirrę. A kiedy zostali we śnie pouczeni, by nie wracali do Heroda, inną drogą udali się do swojej ojczyzny." Mat 2:1-12 br

Dopiero wsiadając do samochodu zobaczyłem w lusterku przesuwający się po nieforemnych ruinach - dziwnie wraz z czujną smugą reflektora - profil bizantyjskiego krzyża. Ali stał jeszcze na zewnątrz i najwyraźniej też był zaskoczony widokiem. Przyjechaliśmy tutaj w dzień i nie zwróciliśmy na niego uwagi, dopiero smuga reflektora wydobyła z przestrzeni jego czarny kontur. Tutaj po raz pierwszy rodacy apostoła Pawła dowiedzieli się o wydarzeniach na Golgocie. Krzyż, który tutaj pozostał, zachował w sobie symbol drabiny łączącej Ojca z Synem, a także wskazującej ostatnią drogę człowiekowi żyjącemu na Ziemi. A tuż, jak ostatnia scena drogi krzyżowej, ta scenka z narodzonym synem Boga. Ali wsiadł do samochodu bez słowa. Ruszyłem. Smuga światła przebiła teraz tylną szybę i odbiła się jaskrawo w lusterku. Odruchowe hamowanie. Teraz ten wojskowy reflektor z bazy United Nations budził uczucia inne, niż uczucia radości i nadziei. Zaczynał się dopiero adwent, a jakbym wjeżdżał w drogę krzyżową. Przecież jeszcze nie przebrzmiały w moich uszach słowa kolędy śpiewanej w moim polskim domu; „a proroctwo jego zgonu już się w świecie szerzy". Ruch na drogach greckich jest lewostronny. Grecy nie przyjęli religii anglikańskiej, ale od swych wieloletnich okupantów nauczyli się prowadzania osiołków po lewej stronie drogi. Gdy człowiek jest zmęczony doprowadza to do zawrotu głowy.

Kilka dni później znalazłem się w wiosce pośród wzgórz Jury Szwabskiej, do której los rzucił mnie w latach osiemdziesiątych. Niepojętą wydaje się dla przedstawicieli innych religii filozofia chrześcijańska nakazująca kult dla symbolu męki Syna Bożego. W roku 1945 zmarła na wygnaniu i w zapomnieniu czołowa poetka niemieckiego modernizmu, poetka miłości prądu *Młodych Niemiec*, Else Lasker-Schüler. Mimo żydowskiego rodowodu zbliżyła się bardzo do postaci Chrystusa. Wszystko w tej historii było dla niej wzruszające i piękne zarazem. Poza samą męczeńską śmiercią na krzyżu syna wszechmocnego Boga. Pewien współczesny poetce niemiecki krytyk literacki wspomina tę jej rozterkę: „Ona była jednocześnie najbardziej niemiecka i najbardziej żydowska, jak można by to było sobie przedstawić. Trwała namiętnie przy swoim żydostwie, a przecież (albo właśnie dlatego) trwała przy postaci Chrystusa. Przysłała mi kiedyś kwiaty, które zrywała sama na Golgocie. Lubiła rozmawiać o sprawach boskich. Chrystus objawiał jej się często wraz z dwunastoma apostołami. Niejednokrotnie bywało, że nagle konstatowała i z wielkimi oczyma mówiła: *Jakże więc, jeżeli On rzeczywiście był synem Boga?*."

Jak to, jeżeli on rzeczywiście był synem Boga? Bóg, stworzyciel świata, zsyła na Ziemię swojego syna po to tylko, aby ten żył wśród ludzi jak oni i ich, grzesznych, tak umiłował, by życiem swoim okupić u Ojca grzechy tego świata! W religiach tego świata Bóg był władcą na wzór struktur panujących na Ziemi. A więc despotycznym panem karzącym za nieposłuszeństwo karami bardziej dotkliwymi niż czynili to władcy ziemscy. Taki był jeszcze Bóg Pięcioksięgu, Bóg Abrahama. Else Lasker-Schüler, jeśli nawet nie znała, czy znać nie musiała Nowego Testamentu, wołanie: Eloi, Eloi, lema sabachthani! znane jej było z Psalmów Dawidowych Starego Testamentu i musiał ją zastanowić nie tylko ten krzyk zwątpienia umierającego na krzyżu, ale →

i odwołanie się Chrystusa do tego zapisu proroków z Psalmu 22, którego zapis rozpoczyna ten właśnie krzyk. Życie i śmierć Chrystusa jest spełnieniem zapisu proroków nie tylko w tym zawołaniu Ukrzyżowanego. Jego pojawienie się na Ziemi, życie, a także śmierć zapowiadały proroctwa pięcioksięgu. A jednak główną przyczyną zwątpienia tych, którzy Go cztery tysiące lat wyglądali stał się sam krzyż, śmierć domniemanego mesjasza na krzyżu, w szczególności gdy Stary testament powiada, że każdy kto umiera na drzewie jest przeklęty przez Boga1 . Krzyż stanowił dla nich kamień obrazy. Poświęcenie przez Boga własnego syna na straszliwą śmierć na krzyżu nie mieści się także w mentalności wyznawców islamu, która to religia potwierdza istnienie Jezusa, zaprzecza jednak ukrzyżowaniu, a w konsekwencji i zmartwychwstaniu. *„Wedle Koranu" - opowiadał mi mój przyjaciel Aslam – „Jezus nie został ukrzyżowany ani zabity, a jedynie tak wydawało się ludziom: w rzeczywistości Bóg wziął go do siebie..."*

Wszedłem do kościoła. Kościół wybudowano po wojnie dla rzeszy katolików, którzy napłynęli do ewangelickiej wioski ze Wschodu Europy po wojnie. Zdawało mi się, że jestem sam. Lecz nie. Pod krzyżem klęcząca postać. To Krzysztof Blaszynski, proboszcz tej odległej od Polski parafii. To już marzec, w kościele katolickim rozpoczął się okres pokuty. Znaliśmy się dobrze, ale teraz, zagłębiony w modlitwie, zdawał się nie zauważać mojej obecności. Szopka z dzieciątkiem Jezus stanowiła o tej porze roku integralną część głównego ołtarza. Na co dzień ołtarz ten to krzyż z naturalnej wielkości sylwetką umęczonego Żyda z twarzą zastygłą w bólu. Ale lalka w żłobie na sianie miała rysy zgoła inne, jak semickie. Ten krzyż za plecami zatroskanej matki przytłaczał grozą spełnionego strasznego proroctwa, scenę rozgrywającą się u dołu. Nie było nikogo w kościele; stanąłem za figurą Marii zasłaniając sobą cień krzyża. Przeraził mnie odgłos moich własnych kroków; wszyscy wierni odeszli, była późna noc i kościół był pusty. Tak zaczynają się co roku niekończące się cykle narodzin i śmierci Syna Bożego. Wkrótce, w pewien wiosenny piątek, stanę się jednym z tych za których umrze na krzyżu. Ufny w Jego zmartwychwstanie obojętnie przejdę obok krzyża na rozstajach i nie zapytawszy o właściwą drogę, obmyję ręce w przydrożnym strumieniu i pójdę dalej. Jak ubiegłego roku. Jak każdego roku mojego życia. Jak ty i jak on. I pewnie sięgnę po znak męki Chrystusa, aby przysiąc na niego, jak czynili to moi przodkowie w ponad dwutysięcznej tradycji. Nie zasnąłem tej nocy, ostatni bez rozgrzeszenia za winę tej daremnej śmierci Bożego Syna.

Tutaj pożegnaliśmy się z Alim. W Niemczech interesował go kościół luterański, o który opowiadałem Alemu. Stał on na podwalinach świątyni z czasów Wielkiego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Stał się w naturalny sposób kościołem katolickim, a w szesnastym wieku Szwabi uczynili z niego kościół protestancki. Stąd Ali miał jechać do Anglii, aby poznać tamtejszą religię. Żegnaliśmy się życząc sobie ponownego spotkania. Obiecał, że przyjedzie do Polski. Mieliśmy się spotkać i zrobić wycieczkę do Częstochowy.

*

W drodze do mojego rodzinnego domu na Kujawach zatrzymałem się na nocleg w przyjaznym hoteliku urządzonym w starym pałacyku z czerwonej cegły przy starej dwójce, gdzie zatrzymuję się odtąd zawsze. Zasnąłem szybko. Obudził mnie melodyjny wschodni głos recepcjonistki w słuchawce telefonu. Czekało na mnie śniadanie. Na ścianie gościnnego pokoju stołowego duża kopia ikony Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Moja dotychczasowa fascynacja tym obrazem sprowadzała się do jego bizantyjskiego stylu. Teraz przyjrzałem się aniołom: **przedstawieni są na ikonie w pozycji adoracji, zwróceni ku matce z dzieciątkiem. W dłoniach trzymają narzędzia męki. Gabriel trzyma krzyż i cztery gwoździe, Michał zaś wazon z octem, włócznię i trzcinę z gąbką.** Nikt nie wie kiedy i w jakich okolicznościach powstał ten obraz. I tylko w domysłach chrześcijan pozostanie to, czy może Bóg tak pokierował losami tej prawosławnej ikony, by zbliżyć do siebie Kościoły Wschodni i Zachodni? Bo przecież, jak niestrudzenie powtarzał Ali chcąc dowieść wspólnych korzeni, Bóg jest jeden.

Zgodziliśmy się co do tego z Alim bez sporu.

Recepcjonistka miała na piersi duży prawosławny krzyż na złotym łańcuchu. Czas jechać...

- Boh s wami!

3. ...w jedni.

My piekielni
Pókiśmy rozdzielni -
Ale biedni,
Gdyśmy w jedni;
Twąśmy krwią,
Twym obrazem!
Miej, o Panie,
Zmiłowanie -
Już my razem!

Zygmunt Krasiński; z Psalmu żalu - 1846

Pod wieczór wjechałem do mojego rodzinnego Brześcia Kujawskiego witany na rogatce uniesioną w pozdrowieniu ręką Chrystusa. Mój rodzinny Brześć, miasto-kronika ważkich wydarzeń w polskiej historii. Wchodzę do starej fary, gdzie mój dziadek, ewangelik Medard Manteuffel, podawał mnie do chrztu księdzu patriocie Stefanowi Kulińskiemu. Gdzieś w tej krypcie z grobem Chrystusa pozostało echo donośnego śpiewu mojego ojca. „Boże, coś Polskę... racz nam zwrócić Panie". Nie rozumiałem wtedy, że za to grozi kara. **Spoglądam na główny ołtarz ze sceną morderstwa świętego Stanisława. Król polski morduje kapłana przed krzyżem! Jakże to? Polska się rozpada!** W czasach rozbicia dzielnicowego wierzono, że tak, jak zrosło się ciało św. Stanisława, tak też zjednoczy się podzielone na dzielnice Królestwo Polskie. Na ścianach obrazy przywodzące do świadomości historię pokalania znaku męki chrystusowej na białych płaszczach niosących śmierć i ogień łokietkowej stolicy. Stąd wyruszył Łokietek przeciw tym zakonnikom spod znaku Maryi pod pobliskie Płowce i tutaj upominał Krzyżaków arcybiskup Janisław w imieniu Stolicy Apostolskiej. Tutaj ten mały wzrostem i wielki duchem, urodzony na Kujawach król, połączył znów naród pod znak Kyryi Krysti. Stąd wyruszył pod Grunwald król Jagiełło. A gdy raz jeszcze Krzyżacy podnosili się z klęski w 1454 roku, pod murami świątyni Księstwa Brzesko Kujawskiego Sędziwoj z Czechła, profesor Wszechnicy Krakowskiej, wzywał naród do kontynuowania walki.

Gdy opuszczałem Polskę w roku 1988, nie było jeszcze nic pewne, a wszystko możliwe. Wywoziłem więc ze sobą z troską o jego trwałość obraz niezwykłej konsolidacji wszystkich sił, które miały wpływ na społeczeństwo. Tę konsolidację zawdzięczaliśmy wtedy głównie kościołowi polskiemu. To wokół niego skupiły się wszystkie warstwy społeczeństwa połączone sprawą nadrzędną, wspólną dla wierzących i ateistów, dla intelektualistów i robotników, a także dla ludzi w partii, acz nie komunistów. Mieliśmy szczęście mieć wielkich kapłanów w osobach Stefana Wyszyńskiego i Jana Pawła II. I poetów na miarę wieszczy Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza. I mieliśmy oddane sprawie jedności legiony księży i poetów.

Telewizja Polska emitowała w dniach świątecznych trylogię. Nie wiem, czy dlatego, że to już tyle lat upłynęło od czasu, gdy wchłaniałem w siebie te książki ze świętym przekonaniem, że czynię zadość mojemu tacie poznając prawdziwą historię Polski, czy też konfrontując, chcąc nie chcąc to, co dzieje się w filmie z wiadomościami, które podawała ta sama telewizja w przerwach między odcinkami polskiej epopei historycznej, patrzyłem i pytałem siebie: na co nas stać, Polaków, na zdradę i na przysięgi na krzyż bez zmrużenia oka w imię prywaty? Gdy czytałem trylogię po raz ostatni, było to w innej Polsce. Bez krzyża w siedzibie sejmu. Czy to dlatego czyni się dziś z krzyża i świętych elementów wiary nadużycie: „W ogóle nie przysięgajcie. Ani na niebo, bo jest tronem Bożym. Ani na ziemię, bo jest podnóżkiem stóp Jego. Ani na Jerozolimę, bo jest miastem wielkiego Króla. Ani na twoją głowę nie przysięgaj, bo nie możesz jednego włosa uczynić białym albo czarnym. Niech raczej mowa wasza będzie: tak, tak; nie, nie. Co nadto jest, od Złego pochodzi." (Mt 5,34-37)

Po emisji filmu spotkanie polityków reprezentujących partie polityczne wolnej Polski. Pierwsze słowa, jakie do mnie docierają, to nienawistne epitety zwaśnionych ludzi. Przez chwilę tylko staram się dociec o co chodzi. Gdy wyjeżdżałem z Polski w roku 1988 nic nie było jeszcze pewne, a wszystko możliwe. Wszystko, ale nie to. Wyłączyłem.

Moc znaku krzyża zinstrumentalizowana przez człowieka, musiała w konsekwencji doprowadzić i doprowadziła do zwaśnień. „Gdy religia staje się częścią ideologii politycznej, projektu cywilizacyjnego bądź kulturowego, stanowi uzasadnienie najbardziej cynicznych działań."2 Instrumentalizacja religii *w ponowoczesnym świecie chrześcijańskim* staje się problemem, na który w pierwszej kolejności nie może być obojętny kościół, ponieważ jeśli nawet nie odwróci to wierzącego od wiary, odwróci od kościoła spod znaku krzyża. Przykłady ludobójstwa dwudziestego wieku w imię Boże, w imię krzyża, są łańcuchem ciągu podobnych wydarzeń od czasów nie wiele odległych od śmierci Chrystusa na krzyżu. Jednakże działo się to wszystko gdzieś w dalekim świecie, a może tak tylko mówili, w każdym razie daleko od nas. Dziś instalujemy sobie w naszych domach okno, przez które widzimy cały świat, a świat widzi nas.

„Wprawdzie nasza epoka sprzyja nieco płytkim i niewymagającym wyborom duchowym, ale nie powinniśmy zapominać o duchowych kosztach najróżniejszych form wymuszonej jednomyślności: o hipokryzji, duchowym otępieniu, wewnętrznym buncie przeciwko Ewangelii, pomieszaniu wiary i władzy czy zjawisk jeszcze bardziej bulwersujących."[3]

Mamy ich dość w historii naszego kraju. Czemu jednak wówczas, gdy ceną krwi opłaciliśmy odzyskanie wolności?..

Christian Medard Manteuffel

2005/2006 - Cypr, Wyżyna Troodos; Niemcy, Lenningen, Jura Szwabska; Polska – Kujawy, Brześć Kujawski.

---

1 V. Księga Mojżeszowa

2 Dr Witold Worach, Ponowoczesna kondycja chrześcijańskiej wiary; „ZARYS", nr.5. Ur. 1975. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Śląskim i teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zajmuje się zagadnieniami z zakresu antropologii filozoficznej i etyki.

3 Prof. Charles Taylor, Oblicza religii dzisiaj, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, 2002. Ur. 1931 kanadyjski politolog i filozof (filozofia komunitaryzmu). Ukończył studia na uniwersytetach w Montrealu i Oxfordzie. Tematem jego badań jest filozofia moralności, tzw. „identyzm zachodni" i koncepcja społeczeństwa multikulturowego. Taylor proponuje ponowny zwrot do wartości religijnych, aby przywrócić sens życiu.

Piotr Chruściel

Sutra pierwsza

I pomyślałem, że nie usnę - jeśli nie namaluję sutry,
jej oczu - złych sztuk i odrobiny whisky
po utknięciu w Londynie, kilku bezdomnych,
Antygony, karaluchów, żołnierzy, którym
tłumaczyłem zawiłości ciała, siebie,
owiniętego w koc, żeby ogrzać stopy, dalekich
historii - wspomnień o New York, Harlemie,
zdjęć delikatnych dłoni sprzed domu poety,
konia, wracającego z padoku, deja vu, nocy,
którą uczyniłem, opuszczając rolety jedynym
ruchem ręki,

I pomyślałem, że nie usnę - jeśli nie namaluję
sutry,

jak Bacon po zobaczeniu Velazqueza - na
tysiące sposobów, choć raz - wpatrując się w
krzesło stojące obok, jego chude nogi,
możność przemieszczania wbrew Zenonowi z
Elei, nieskończoność Cantora, dzielenie czasu
na małe kroki, karmienie ust – na tysiące
sposobów, choć raz - miłość i wykluczenie
Pawła z Tarsu, opłaty świętych w Jeruzalem,
datek apostołom, wyniosłe mowy, jej lęki, listy,
antysemityzm Mateusza w drugiej Ewangelii -
alfę, alef i tanach - bez końca

przemalowując obraz Velazqueza, czerwone
kwiaty, które tracą kolor, donice, moją
rozpacz między krecim kopcem a wzgórkiem
łonowym, który się piętrzy ruchem ud,
pieprzy i wycieka w drodze do łazienki, sutry

o obrazach, tysiącu obrazów - akwafortach,
akrylach, temperach, gwaszach, palcach na
fortepianie, smaku whisky, nocnych klubach,
przyjaciołach, dwunastu słownikach i pięciu
tomach anatomii, cynkowych blachach, snach,
koszmarach, chorych na szpitalnych łóżkach,
zawiłościach ciała - ich skarleniu, myśli,
falowanych włosach i barbituranach, oczach
jak źrenice - wielkich, owiniętej w koc, żeby
ogrzać stopy,

sutry.

Wódka lepiej

Wiero, Wiero – zanim odjechałaś do swojego domu, najedliśmy się winogron, zaspokajając chciwość sprzedawcy na małym rynku brudnym od palców banknotem, nakarmiliśmy się do syta, wypełniając brzuchy, twoje chude ramiona, oczy zapadłe po wczorajszym płaczu, mówiłem ci przecież, że nie ma powodu do rozpaczy, to fikcja - wielki biznes z dwudziestodwuminutową przerwą na reklamę coca-coli lub innych napojów z cukrem, który – wbrew Wańkowicza sloganom – szkodzi, stąd moje serce pod ciśnieniem piętnastu atmosfer, w którym nie ma miejsca na nic, skamieniałe, wypełnione balonem, zostanie po tobie jedynie blizna, Wiero, zanim wyjdziesz, trzymając resztki w dłoni wczorajszej orgii (choć mówisz, że orgia zaczyna się od sześciu osób – a nas jedynie dwoje), której nie zmyłaś dokładnie i walizkę, może telefon, parasol – ma padać do południa, połóż się na twardym materacu, zbyt twardym, żeby usnąć i my, zamiast spać... dni mechanicznych pomarańczy – raz ty triumfowałaś, raz przeciwnik, pies obrywał bez powodu, biedny kundel z podkulonym ogonem, ile dałbym za opóźnienie lotu, za zmiany na górze, którymi zarządza Bóg – pewnie demiurg i twoje ciało, przegrywające w najmniejszym pomieszczeniu, białym od pasty i jeszcze bielszego uśmiechu – po wszystkim, Wiero, kiedyś będę myślał o kiści winogron, sprzedawcy na małym rynku, czy mu się powiodło, wspominając twoje chude ramiona, oczy utkwione w reklamę dwóch puszek coca-coli - z cukrem, bez słodyczy.

Psalm 9

Jeśli jesteś. Z wyłupionymi oczami. Lub głuchy. Tak samo cenię. Spójrz, wędruję – jak chciałeś – przez pustynię. Jej ogrom wielki. Mówiąc – niech będzie błogosławiony człowiek w swej udręce. Błogosławiony Hashem. Niech będzie wszystko tak, jak było. Kości zwierząt nieprzykryte mchem. Manna. O poranku. Przepiórki o dwunastej, gdy słońce nad moimi braćmi, wciąż nurzanymi w grzech. To ja stałem obok złotego cielca. Buntowników. Niech Mojżesz spojrzy na Aarona, brata – strojnego w choszen. Pytania. Wciąż pytania. Niech będzie błogosławiony TEN, KTÓRY JEST, jeśli umarł – co tłumaczy Shoa, poranek znienawidzony dźwiękiem budzika. Jakikolwiek wers. Nie stracił mocy. Jestem. Jedynie zwiewnym liściem w obiecanej krainie. Nie dziw się, że tutaj. Tobie pokłon wśród wróżb. Tatuaży. Czwórki synów. Ze ścinaniem włosów. Po bokach. Bez krzyku zachwytu lub rozpaczy. Wiem, że jesteś. To ja wszedłem za kurtynę. Wtedy. I co z tego?

Wojsław Brydak

Forte, piano

1

W wieku szesnastu lat uważałem sprawy swojej przyszłości za ukształtowane. Nie, że coś sobie wywróżyłem, nic podobnego, żadnych jasnowidzeń. Sądziłem jednak, że znam pole rozgrywki, a to czyhające pułapki, a to gwiazdy przewodnie, możliwe zdobycze, nawet ewentualnych konkurentów. Szesnaście lat to już czas, żeby żyć. Prawda?

W rok później wystarczył obrazek na korytarzu Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, żeby wybić mi z głowy głupoty.

Pamiętam to tak: pierwsze piętro, wysokie okna (neogotyk, który to styl szczerze mnie wówczas brzydził), przestronny korytarz, na nim widziana pod światło sylwetka w osobliwej pozie: mężczyzna stoi na jednej nodze, stopę tej drugiej przekrzywił i ledwie opiera jej zewnętrzną krawędź o fliz, obie stopy mają się ku sobie palcami; a na górze przekrzywiona szyja, głowa przechylona. O dziwo, ta mowa ciała zapowiadała gotowość do w miarę swobodnej rozmowy. Co jeszcze? Papieros. Wyszczotkowany garnitur. Coś ptasiego w posturze (po latach, rzeczywiście, mężczyzna doczekał się pieszczotliwego, acz niegłośno wymawianego przydomka „Pingwiś"). Twarz młoda, mimo to okazała łysina z czarnym wianuszkiem, ale uwagę przede wszystkim przykuwały wspaniałe sarnie oczy.

Pół roku wcześniej nie miałem pojęcia o istnieniu osoby.

Brakowało mi wtedy kilkunastu miesięcy do ukończenia średniej szkoły muzycznej. Jako miejsce przyszłych studiów wyobrażałem sobie, nie bez tremy, Kraków. Z jeszcze większą tremą myślałem o przyszłym pedagogu. Powinien to być ktoś z czołówki, o znanym nazwisku, przynajmniej na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zeszłego wieku. Słowem, bałem się już na zapas a to Henryka Sztompki, a to, być może, Ludwika Stefańskiego, a to – niewykluczone – samego Zbigniewa Drzewieckiego. Lęk i magnes. Nawet dzisiaj nie dziwię się tamtej tremie. Nazwiska przyprawiały o dreszcz.

Szczenięce rojenia? Niekoniecznie. Moja mama – która niewiele miała wspólnego z potocznie rozumianą przedsiębiorczością, zatopiona w książkach, chorobach i modlitwach – w sprawie nauczycieli muzyki była jak taran. Kiedy mieszkaliśmy w Zakopanem, opinią najlepszego pedagoga w mieście cieszyła się lwowianka Olga Garbiczowa, zatem to do niej szybko trafiłem na przesłuchanie. Kiedy znaleźliśmy się w Rzeszowie, wylądowałem wkrótce w klasie Janiny Illasiewicz-Stojałowskiej. Na nic się zdały zastrzeżenia dyrekcji, że środek roku szkolnego, że klasa dość obłożona, że są jeszcze inne lwowskie gwiazdy. Wychowankiem pani Stojałowskiej był Adam Harasiewicz i to kończyło dyskusję.

Za maminą determinacją może kryło się coś jeszcze. Zdolniejsi uczniowie pani Stojałowskiej trafiali na studia do Krakowa, jej opinia i referencje otwierały w Krakowie niejedne drzwi, a w mamy oczach Kraków był pępkiem świata.

W trzecim roku mojej nauki pod okiem tej niezwykłej starszej pani rzeszowska szkoła odwołała jej zajęcia, wpierw na krótko, potem jeszcze raz. A później wywieszono przed szkołą nekrolog.

Klasę trzeba było rozparcelować. Moim opiekunem został Tadeusz Wojturski, utalentowany młody pianista, który dopiero domykał studia. Mimo żalu po znakomitej mentorce, od razu przypadliśmy sobie do gustu. Dowiadywałem się teraz trochę więcej o Beethovenie i Bachu, trochę mniej o Chopinie, na lekcjach przytrafiały nam się także futbolowe prasówki na podstawie katowickiego „Sportu". Jednak punkt honoru był wciąż ten sam: zdać na studia. Nie było to wówczas łatwe, sporo wymagano, a studia muzyczne stanowiły przepustkę do świata barwniejszego niż przeciętność i bardziej sprawiedliwego; przecież o słuch, ani o piękny głos nie można się postarać gdzieś na mieście, przecież muzykalności nie da się załatwić pod stołem. Słowem, sprawy główne pozostawały główne. Tyle tylko, że mój nowy mistrz miał z kolei swojego mistrza, ten zaś nie prowadził klasy w Krakowie lecz w Katowicach. I teraz – zamiast do idyllicznego Krakowa – na wstępne przesłuchanie należało się wybrać na czarny Śląsk.

Nazwisko możliwego przyszłego guru nic mi nie mówiło, a moja mama rozchorowała się nie na żarty. Trudno już było oczekiwać, że – proszona czy nie – raz jeszcze odegra rolę *deae ex machina*.

2

Występ w katowickiej klasie wypadł – uważałem – przyzwoicie. Bach i Beethoven w normie, Chopin w miarę anielski, na koniec *Tańce rumuńskie* Bartoka, w których

– dbając o rytm, napięcia i kolczaste harmonie – bezskutecznie usiłowałem rozwalić fortepian. Słuchacz – czyli mentor mojego mentora – nie ganił, nie chwalił, podsunął natomiast drobna wskazówkę dotyczącą słyszenia lewej ręki w Bachu (była to któraś ze *Suit francuskich*), jej głosu basowego. I oto okazało się znienacka, że zmienia się potoczystość całej opowieści, że diabli wiedzą skąd, bez żadnych siódmych potów, przybywa muzyce energii, że wyższe głosy w prawej nic na tym nie tracą, ba, zyskują.

Padło jeszcze kilka uwag, powtarzaliśmy ten i ów kawałek sonaty Beethovena rozgryzając Beethovenowskie *sforzato* – i nie wiadomo kiedy upłynęły dwie godziny. Sala, chociaż spora, z dwoma fortepianami, a jakże, aż posiniała od dymu. Wtedy jeszcze palono. Liczyłem na jakąś pochwałę, czy zachętę, ale zorientowałem się, że z tym gościem nie tak łatwo. Słyszał niuanse, niuanse niuansów, wszystko. Tekst znał co do łuku. Wypadało zbierać się na pociąg. Uwagę mężczyzny zwrócił pseudożeglarski worek, do którego pakowałem nuty. Wysunęła się z niego koperta świeżo kupionej płyty, singla na 45 obrotów.

– Co to jest? – zainteresował się.

– Jazz Believers – odpowiedziałem. – Combo Trzaskowskiego.

W odpowiedzi zabrzmiało „aha", co miało znaczyć, że pytającemu nie jest obce nazwisko ani rodzaj muzyki, którą zajmuje się Trzaskowski. W worku tkwiły też świeżo kupione nuty miniatur Schaeffera. Nimi także się zainteresował, przerzucił kilka stron i oddał egzemplarz dodając, że to ciekawe. Wręcz ujmująco wyznaczył datę następnej wizyty, przy okazji doradzając jak trafić na dworzec. Tak się skończyło spotkanie.

Bardziej rozmowny był po kolejnym. Znów sala z dwoma fortepianami, znów sina od dymu, znowu niecierpliwie czekałem na ocenę, a szczerze mówiąc na brawa. Sformułowanie brzmiało jednak inaczej:

– Jeżeli zda pan egzamin, a widzę na to pewne szanse, przyjmę pana do klasy – powiedział gospodarz sali. Zanim zdążyłem popaść w zachwyt chrząknął, przybrał tę swoja ptasią pozę, nosem wypuścił dym i dodał: – Musze jednak pana ostrzec. Jeżeli chce pan u mnie studiować, proszę złożyć papiery w Sopocie. Tak jest, w Sopocie. Tu już nie mogę nikogo przyjąć. Proszę się z tym przespać, porozmawiać z rodzicami i dać mi znać. Wybór należy do pana.

Tak wyglądały moje pierwsze spotkania ze Zbigniewem Śliwińskim. Raz po raz baraniałem.

3

Niewiele wiedziałem o moich znakomitych nauczycielkach fortepianu. O pani Oldze Garbiczowej z Zakopanego zaledwie tyle, że była zamężna po raz drugi, bo pierwszy mąż, po którym zachowała nazwisko, wzięty lekarz, zginął na lwowskiej ulicy i to nie za okupacji radzieckiej ani niemieckiej, ale w przedwojennym, głośnym w mieście wypadku. Ktoś szedł chodnikiem, taszczył na ramieniu świeżo kupiony kilkumetrowy maszt anteny radiowej i nieostrożnie się odwrócił. Koniec masztu wychynął nad jezdnię, tam zaś przebił wpierw przednia szybę przejeżdżającej taksówki, a potem głowę pasażera.

O pani Janinie Illasiewicz-Stojałowskiej z Rzeszowa wiedziałem jeszcze mniej, tyle co nic. Przed wojną miała własną szkołę muzyczną we Lwowie (ściślej: Wyższą Szkołę Gry Fortepianowej), w której, dojeżdżając z Wiednia, uczył sam Ignacy Friedman (wcześniej była jego uczennicą i asystentką). Wychowankami pani Stojałowskiej byli – obok Adama Harasiewicza – Stanisław Skrowaczewski i Mieczysław Tomaszewski (którego uczyła w poznańskiej szkole imienia Karłowicza), żyjący we Francji kompozytor Marian Marciak, a także piszący o muzyce i muzykach Jerzy Skarbowski.

Można zapytać, a skąd to przedwojenne powiązanie Poznania ze Lwowem? Kłopot w tym, że nastolatka bardziej ciekawią tajniki gry *leggiero*, lub dokąd może zaprowadzić barokowy styl artykulacji, a dokąd romantyczny. W młodym wieku takie odkrycia zapierają dech i wydają się ciekawsze niż biografie nauczycieli. Kiedy proporcje się odwrócą, kiedy fascynujące okażą się życiorysy – często bywa za późno.

O młodym jak na pedagoga fortepianu Zbigniewie Śliwińskim dowiedziałem jednak więcej. Sprzyjała temu pewna osobliwość na początku studiów w Sopocie, w ówczesnej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Uczelnię ulokowano w niewielkim dwupiętrowym budynku przy Grunwaldzkiej, między molem a protestanckim kościołem Zbawiciela, w sąsiedztwie parku i Łazienek Południowych; dom stoi tam sobie do dzisiaj.

Pierwsze sopockie lata Zbigniew Śliwiński spędzał po części na walizce. Co dwa tygodnie zjeżdżał z Katowic do trzódki nadmorskiej na pięć dni. Zatrzymywał się wtedy w miniaturowym gościnnym pokoiku uczelni, której wciąż wystarczały parter plus dwa piętra. Razem było tego niespełna trzydzieści pomieszczeń wliczając rektorat, szatnię, bibliotekę, administrację i świetlicę studencką. No i ten pokoik, a raczej zakamarek gościnny w kształcie litery „L", na pierwszym piętrze.

Stały tam łóżko, nocny stolik, wieszak, krzesło i niewiele więcej. Przez znaczną część roku rolę lodówki pełniła siatka wywieszona za okno. Obiady profesor jadał zwykle po sąsiedzku w niezłym barze szybkiej obsługi „Alga", czasami „Pod Strzechą", albo – bliżej sezonu – w Łazienkach Południowych u „Klopsa". Natomiast podczas śniadań i kolacji, przyrządzanych u siebie, podawanych zaś na krześle, przeważnie gościł studentów czy to przed pierwszą poranną lekcją, czy po skończeniu ostatniej, wieczornej. Co więcej, pod byle pretekstem zapraszał nas na obiady, na spacery po molu czy parku. Przestawaliśmy z nim całymi dniami, co okazało się najważniejszym dla nas źródłem wszech nauk muzycznych, wspomaganym – w tej jego dziupli – przez stereofoniczny, czterościeżkowy magnetofon Philipsa, wówczas sensacyjnie nowoczesny, karmiony jak leci nagraniami z radiowej anteny: Lipatti, Czerkaski, Richter, Sofronicki, Backhaus, Gould, Fleisher, Cziffra, Arrau, Petri, Casadesus, dziesiątki innych. Do tego neska, czasem czekolada. Bardzo nam to imponowało.

Siłą rzeczy, dzięki napomknieniom i wspominkom, dowiadywaliśmy się tego i owego o samym profesorze.

Wychowanek warszawskiego środowiska muzycznego i intelektualnego urodził się w Warszawie w 1924 roku. Za okupacji był uczniem Zofii Buckiewiczowej (w 1937 roku pianistka należała do jury III Konkursu Chopinowskiego), potem Bolesława Woytowicza (sekretarza jury w tymże konkursie). Szybko też dowiedziałem się, że w Milanówku jako nastolatek brał udział w okupacyjnym przedstawieniu *Pastorałki* zrealizowanym przez samego Leona Schillera (dodajmy: wielki reżyser nieźle grywał na fortepianie i pięknie śpiewał, aczkolwiek nie klasykę). Po wojnie Śliwiński związał się z Woytowiczem na dłużej, zrobił u niego dyplom w Katowicach, u niego też ukończył w Krakowie „aspiranturę" (krótko używana procedura, skopiowana z ZSRR, była odpowiednikiem studiów doktoranckich). Nic dziwnego, że uchodził za ucznia Woytowicza.

Wcześnie ujawnił talent pedagogiczny, ale pod koniec lat 50. XX wieku trochę się dusił z tym talentem. Już minął czas niezwykłych okazji i zaskakujących szans tuż powojennych. Warszawa, Kraków, Katowice, najważniejsze ośrodki, były już ustabilizowane, solidnie obsadzone. Poza tym w uczelniach artystycznych kulał system awansów. W Katowicach, gdzie Zbigniew Śliwiński z wolna tworzył samodzielnie prowadzoną klasę, markowych pedagogów nie brakowało. I taka sytuacja mogła długo potrwać.

Doszło jednak do zwrotu. Z niewielkiej, powołanej do działalności w 1947 roku Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie część profesury wróciła do większych ośrodków, ludzi ubywało, rodziły się wątpliwości, podobno w Warszawie przebąkiwano nawet o likwidacji młodej uczelni, co z kolei – też podobno – solidnie oprotestowały władze miejscowe i nie tylko. Likwidować tutaj uczelnię? Strach myśleć, argumentowano, jakie skutki wizerunkowe wywoła zamknięcie jednej z nowych polskich szkół artystycznych na poniemieckich obszarach, zwanych wtedy Ziemiami Odzyskanymi. Postanowiono zatem szkołę wzmocnić. Tę wiadomostkę też należy opatrzeć zastrzeżeniem „podobno". Niemniej, widać tu jakąś logikę zdarzeń. Jednym z nich była propozycja wysokiego urzędnika Ministerstwa Kultury skierowana do obiecującego młodego pedagoga. Zbigniew Śliwiński miał swoją klasę katowicką zamknąć, otworzyć natomiast →

sopocką, pozostałości katowickie przenieść nad morze, a samemu przeprowadzić się do Trójmiasta.

Był człowiekiem ostrożnym, dalekim od filozofii przygody, wyzbytym żyłki hazardu; sprawy ważne oglądał ze wszystkich stron, istotne decyzje sporo go kosztowały. Tym razem zdecydował się jednak skoczyć na głęboką wodę. W ten sposób on i paru młodych ludzi niespodziewanie stało się sopocianami. Potem gdańszczanami. Przeważnie na długie lata.

4

Klimat?

Ukształtowanie się na nowo miasta, z którego zniknęli dawni mieszkańcy, mówiący, myślący i piszący w obcym języku, to nie jest prosta sprawa.

O Sopocie i Gdańsku z początku lat 60. zeszłego wieku chętnie opowiadam, że były wówczas „polską Ameryką". Dlaczego? Bo wszyscy byli „skądś". Tego wrażenia nie zacierała ani grupka pozostałych na miejscu Danzigerów, ani skromna społecznostka polonijna sprzed wojny. Skutek? Drzwi, do których gdzie indziej trudno by się dopukać, tutaj, w kilkanaście lat po wojnie, wciąż stały otworem.

Do Sopotu przybysze trafiali zewsząd, przesiedleni z Wileńszczyzny, wabieni szansą z Pomorza, Kujaw czy Wielkopolski, uciekinierzy ze Lwowa, Drohobycza, Łucka, Równego, ale też dobrowolni osiedleńcy z Warszawy, Przemyśla, z Kongresówki czy Śląska. Powtórzmy: byli zewsząd – i jako wspólnota raczej wpatrywali się w przyszłość, skoro nie doświadczyli wspólnej przeszłości.

Wypada też wspomnieć inny wątek: różnorakie zacieranie śladów. Jedni chcieli zatrzeć trop nazbyt ziemiański, inni ukraiński, wołyński, przemilczeć te czy inne sekrety wojenne. Bądź przedwojenne. Przez całe dekady nie wyzbywali się lęku niektórzy polscy Żydzi (i mieli rację). Kaszubi, z całkiem innych powodów, napomykali o swych korzeniach z rezerwą. Chłodno opowiadali o sobie Danzigerzy, słusznie obawiając się niezrozumienia, bo z kolei przybysze traktowali tę garstkę – tkwiącą na swoich śmieciach – jako lokalne cudactwo. Można długo wyliczać.

Nie chełpiono się wówczas różnorodnością, nie stanowiło pierwszej potrzeby wypytywanie skąd kto się zjawia, i dlaczego. W maleńkiej uczelni przy sopockim Parku Południowym studenckich głów nie zaprzątały tego rodzaju rozważania. Ciekawsze było zauroczenie sezonem kolorowych chmur.

Pod koniec lat pięćdziesiątych zeszłego wieku, w okresie kulturalnej „odwilży", nagle zaczęto sporo mówić o Trójmieście, a to dzięki sukcesom Teatru „Wybrzeże" kierowanego przez Zygmunta Hübnera, potem przez Jerzego Golińskiego, dzięki głośnym przedstawieniom Opery Bałtyckiej, zwłaszcza jej baletu w choreografiach Janiny Jarzynówny-Sobczak, dalej, zwrócili na siebie uwagę malarze „szkoły sopockiej", zadziwiała obfitość talentów jazzowych nad morzem, podobnie sława Klubu Studentów Wybrzeża „Żak" i skupionych wokół niego scen studenckich.

Odmienne instytucje i zjawiska łączył wspólny mianownik: otwarcie na świat, ignorowanie importowanego z ZSRR socrealizmu i nowoczesna poetyka, która nie miała nic wspólnego z narodowym nabzdyczeniem, ani z litanią tanich nieprawd gorliwie konserwowanych w polskiej tradycji. A jeśli kogoś nudziły takie abstrakcje, zawsze mógł oczekiwać, że na sopockiej głównej ulicy spotka postać znaną z „Przekroju", a nawet z kroniki filmowej: Alicję Boniuszko, Zbigniewa Cybulskiego bądź Jerzego Afanasjewa.

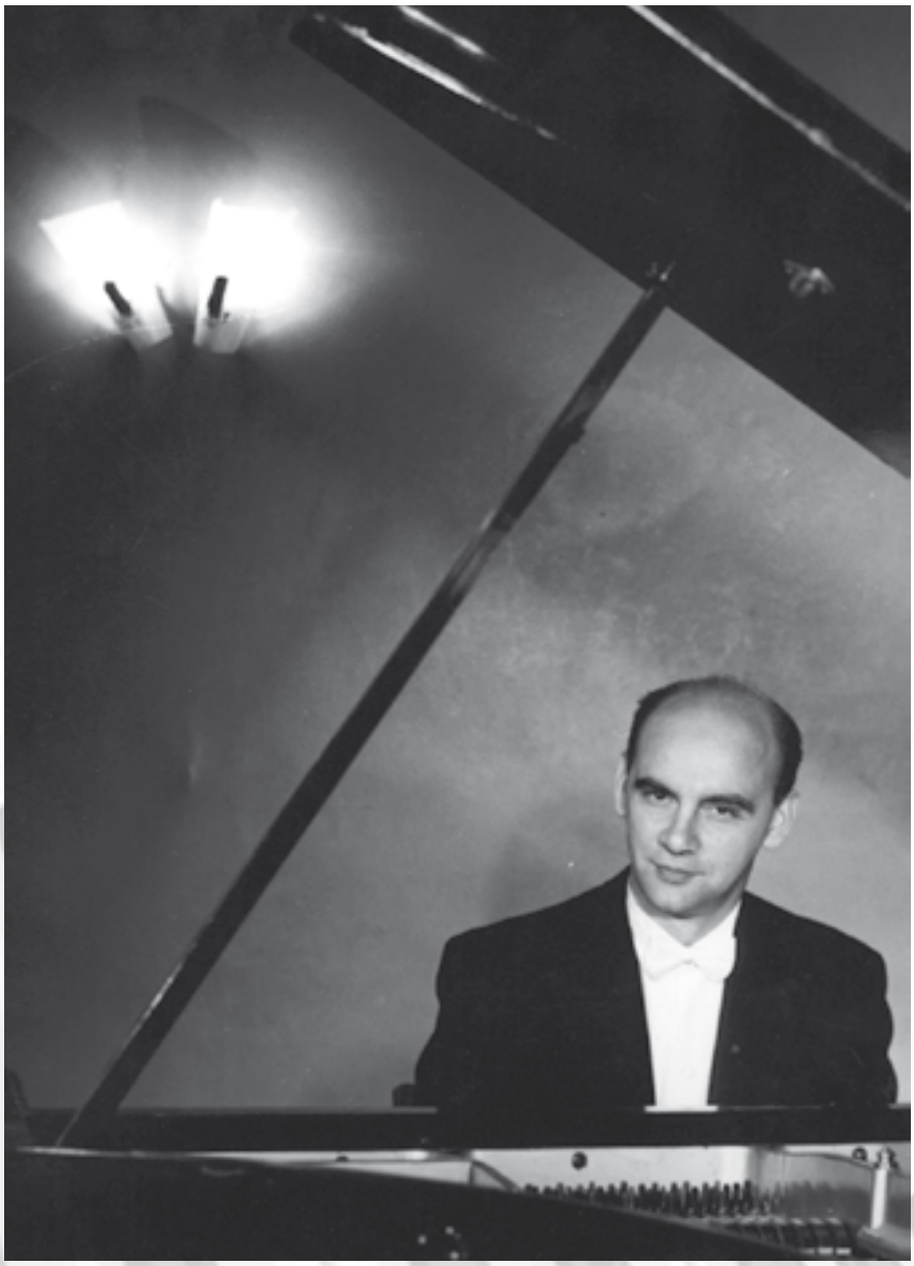

No dobrze, starczy o Sopocie.

5

Początek studiów? Pełnia nowości. Sopot miejsce z duszą, a jakże. Przede wszystkim jednak instrument. A tu nowości jeżyły się, nakładały, stawały dęba. Nowy pedagog, ale i repertuar, od nowa nauka słuchania i słyszenia siebie, nowe pułapy biegłości, wymagań muzycznych, bez ulg; do tego wszystkiego udział w grupce, której pilnie przygląda się otoczenie, nie zawsze ufnie, na deser niepisane rygory takiej grupy.

Piano, pianissimo, luz…

W edukacji artystycznej muzyka klasyczna uchodzi za obszar dość konserwatywny. Po pierwsze trzeba umieć obsłużyć obszerny repertuar zastany, liczący parę wieków, stylów, manier wykonawczych. Po drugie, sprawą prymarną jest tu rzemiosło, co nie stanowi żadnej opozycji wobec artyzmu, finezji, kreatywności, wyrafinowania. Owszem, jedno ani drugie to nie latający dywan, nie pędzi w przyszłość jak F 16. Ale obszary konserwatywne też się zmieniają. Wszystko się zmienia.

W młodziutkiej sopockiej klasie Zbigniewa Śliwińskiego katalog nowości wynikał przede wszystkim z repertuaru. Materiał koncertowy pianistów w Polsce końca lat 50. opierał się przede wszystkim na romantyzmie, w którym pozycję zupełnie wyjątkową zajmował Chopin. Drugie miejsce na pudle zajmowali klasycy wiedeńscy (zwłaszcza Beethoven i Mozart), do tego barok, na ogół ograniczony do Bacha, no i dość nieśmiało reprezentowane przyłądki muzyki XX wieku. Była w tym uderzająca osobliwość, bo wiek XX przekroczył już połowę, mimo to jego najświetniejsze wówczas kawałki wciąż uchodziły za nowinki, osobliwość, ekstrawagancję, itede, niekiedy wręcz za muzykę „dziką". Z idiomami poromantycznymi publiczność oswajała się bardzo powoli, z czym wykonawcy musieli się liczyć. To wyglądało całkiem inaczej niż w wieku XIX, kiedy salami koncertowymi trzęśli twórcy żywi, współcześni widowni i rozumiani przez nią.

Tymczasem w klasie Śliwińskiego na równi z gwiazdami żelaznego repertuaru funkcjonowali Bartok, Prokofiew, wypadało dobrze znać Szymanowskiego, Strawińskiego (jego niekoniecznie w roli kompozytora muzyki fortepianowej), a czołówkę tej kategorii tworzyli Francuzi z początku wieku: Debussy i Ravel, także Poulenc i Françaix, impresjoniści i neoklasycy. I nigdy nie chodziło tu o jakąś „próbkę" nowoczesności,

jakiś „przyczółek", nic z tych rzeczy. To był prawdziwy powiew świeżości, zarazem spory obszar nowości jeśli chodzi o słyszenie, technikę, a zwłaszcza artykulację i barwę dźwięku.

Wiele znaczyła ta ostatnia. Śliwiński, obdarzony znakomitym wyczuciem barwy, mnóstwo wiedział o związanych z nią niuansach wykonawczych, o nośności dźwięku, o barwnej wieloplanowości, bez której utwór Debussy'ego miałby wybite zęby. W podejściu do barwy czuło się u Śliwińskiego wynalazczość, która pociąga, udziela się, pozwala wejść w odrębny świat brzmieniowy, ulotny, czasem tworzony na potrzeby konkretnego utworu. Efekt był taki, że nawet w studenckich wykonaniach tej XX wiecznej muzyki snuła się czytelnie wstążeczka stylistycznej pewności siebie, czytelnej ekspresji, ba, profesjonalizmu.

To współczesność. Ale przede wszystkim Śliwiński był zauroczony twórczością Mozarta. Zachwycał się wszelkimi odcieniami emocjonalnymi zawartymi w tak wyraźnych – i zdawałoby się ciasnych – ramach. „Muzyka Mozarta – cytował kogoś – to pałac o stu pomieszczeniach; Mozart porusza się po komnatach i zakamarkach swobodnie, czasem wręcz ekscentrycznie, ale pałacu nie opuszcza nigdy". Profesor grywał z pamięci fragmenty owych niemal 20 sonat fortepianowych i niemal 30 koncertów, demonstrując te czy inne osobliwości, co zdumiewało słuchacza dodatkowo, bo Mozartowski pałac kryje też pułapki: podobno koncertującym pianistom zdarzało się po zdradliwym pasażu wylądować w jakimś innym Mozartowskim utworze niż ten, od którego zaczęli; przecież tych podobnych do siebie pasaży są dziesiątki…

Fascynacja Mozartem nie ograniczała się do repertuaru własnego czy studentów. Zbigniew Śliwiński przygotował do druku jako redaktor Polskie Wydawnictwo Muzyczne sporo utworów Mozarta, także wyciągi fortepianowe do koncertów na inne instrumenty, a nade wszystko zbiór kadencji do koncertów fortepianowych Wiedeńczyka, z opracowaniem krytycznym w trzech językach, wydany przez PWM w 1995 roku. Wypadałoby dodać do tego współpracę wydawniczą z salzburskim Mozarteum i wiele poczynań doraźnych.

Obie muzyczne fascynacje – na pozór odległe – nieuchronnie podsuwają jednak inne pytanie: co z romantyzmem? Co z trudną sztuką śpiewności fortepianu? Co z tą artykulacją, dzięki której z instrumentu dobiegną romantyczny szept i romantyczna deklamacja, co z siłą emocji i olśnień, kiedy muzyczną prawdę dzieli od przesady ledwie włos? W Polsce dla pianisty to istotne, bo Chopin, bo tradycja, bo bajeczna lista poprzedników. A z drugiej strony, przecież nie każdy jest chopinistą…

Dzisiaj już nie wiem, jak się mają te sprawy na poziomie studiów, ale wówczas czułem zasadniczą różnicę podejścia profesora i moich wcześniejszych mentorek, zwłaszcza pani Stojałowskiej, za którą stała tradycja Leszetyckiego, u którego uczył się Friedman. Najogólniej: Śliwiński dbał o nośność dźwięku, jego „nadźwięczenie", długość, w mniejszym zaś stopniu o absolutnie szczelne, iście wokalne legato, też oczywiście nośne, o piano czy forte z przejmującą ekspresją samego dźwięku. Więcej uwagi poświęcał przejrzystości, porcji „powietrza" między dźwiękami, w sumie odmianom gry *non legato*.

Różnice między jego podejściem, a tym, z czym zetknąłem się wcześniej były wyraźne, prowadziły też do odmiennego efektu. On sam różnicował podejście do klawiatury, nazywając je bądź „klasycznym" (bliższym artykulacji *non legato*), bądź „romantycznym" (bliższym artykulacji *legato*). Nie mam pojęcia jak długo trwała ta praktyka i ów podział. Śliwiński zmieniał się, jest jednak faktem, że brzmienie fortepianu w muzyce barokowej, klasycznej i współczesnej było mocną stroną jego klasy, natomiast romantyczne magie, w tym Chopinowskie, w większym stopniu zależały od wyczucia, intuicji, chociaż już w średniej szkole dostrzegłem, że to brzmienie ma swoją metodykę. Trudno i darmo, ilekroć na studiach udawało mi się w romantycznym kawałku zadowolić Śliwińskiego jakąś liryką wyobrażałem sobie, że zaraz zgłosi zastrzeżenia pani Stojałowska:

– No pięknie synku, dobrze; a teraz zagraj tę samą kantylenę *legato*.

Tak czy inaczej w owych czasach świat dźwiękowy pianistyki Śliwińskiego, bardzo bogaty, różnił się od świata dźwiękowego, też bardzo bogatego, który jawnie miał na sztandarze romantyzm. Co decydowało? Moim zdaniem indywidualna wrażliwość i wyobraźnia profesora. Jeśli w dźwiękowej wyobraźni dokądś się zmierza, to się tam w końcu dojdzie, analitycznie albo psim swędem, metodą prób i błędów, wszystko jedno. Może miało też znaczenie co innego: Śliwiński był uczniem Woytowicza, pianisty nietypowego, który studiował i prawo i filologię, uchodził za wychowawcę także kompozytorów, w tym Kilara, Świdra i Twardowskiego, i pewnie różne rzeczy słyszał inaczej.

Podejście techniczne do romantycznej muzyki, które prowadziło od Leszetyckiego do pani Stojałowskiej było inne, myślę jednak, że dzisiaj nie można przykładać wielkiej wagi do pojęcia „szkół". Tak czy inaczej, klasa Zbigniewa Śliwińskiego nie uchodziła za klasę chopinistów, raczej za klasę bardzo otwartą repertuarowo i – jeśli to coś znaczy – wówczas nowoczesną.

Dzisiaj, w pierwszej połowie XXI wieku, zauroczenie romantyzmem – ta nieumiejętność rozdzielenia nadzwyczajnej niekiedy poetyckiej polskiej romantycznej twórczości od myślowych dziwactw polskiego romantyzmu, jego fałszywych perspektyw i fałszywych proroków, jego papierowej mistyki uchodzącej za „głębię" – może się wydawać jakąś poglądową słabością, mocno zakurzoną. Ale w połowie XX wieku to zamroczenie romantyczne nadal jakoś funkcjonowało i często gęsto prowadziło do fałszu, czasem na poziomie aksjomatów przyjętych podświadomie, czasem na poziomie jawnego wspomagania takiej czy innej propagandy. Było też rodzimą (i pobożną) alternatywą wobec oficjalnie głoszonych, jawnie niedorzecznych spekulacji historycznych importowanych z ZSRR. Dla młodszego pokolenia romantyzm nie był zaś żadną odtrutką na fałsze kulturowe. Dlatego tak pociągająca wydawała się sztuka traktująca romantyzm z dystansem. To się udzielało nawet w muzyce.

*

Jako pedagog Zbigniew Śliwiński był nowoczesny także poprzez szacunek wobec tekstu i jego analizę. Był zresztą redaktorem sporej ilości utworów wydawanych w Polskim Wydawnictwie Muzycznym, więc o wglądzie w drugie i trzecie dno tekstu wiedział niemało. Interpretacja? Znakomicie, ale potem. Wpierw tekst. W ramach tego szacunku niezwykle pilnował prawidłowego – jak wówczas sądzono – wykonywania najróżniejszych ozdobników klasycznych, a zwłaszcza barokowych. Tutaj czas wypłatał mu figla. Dziś góruje przekonanie, że ozdobnikowi nie zaszkodzą różne dowolności, przeciwnie, czasem zachwycą i to dzięki wyobraźni wykonawcy, nie zaś dzięki przestrzeganiu kanonów, zawsze leciwych, a często regionalnych. Natomiast nie mierzył się – w czasie, o którym piszę – z problemami historycznego instrumentarium, wykonawstwa „poinformowanego historycznie", prefortepianów i tak dalej. Tej fali jeszcze nie było.

W znakomity sposób zwracał uwagę na dobrodziejstwa formy, dbał o nią zarówno na poziomie całego utworu, jak i drobnego fragmentu wpisującego się w całość.

Osobnym zagadnieniem była prezentacja utworu. Nie wchodziło w rachubę wyjście na estradę z utworem „niegotowym". Używam cudzysłowu, bo to sprawa nieostra, rozróżnić czy utwór jest „gotowy" czy nie. A jednak! Ostra czy nieostra, może subiektywna, muzyk wie o co chodzi. I wyjście na estradę z czymś „niegotowym" byłoby występkiem przeciwko artystycznej etyce. A ta dziedzina, o której niewiele się mówiło wprost, cały czas była obecna w rozmowach, uwagach, nawiązaniach i plasowała studentów w nieco innym świecie, do którego wstęp nawet najzdolniejsi musieli okupić godzinami ćwiczeń. Cóż, żeby nie ględzić: po prostu utwór musiał być wykonany pewnie i na miarę stu procent artystycznych możliwości grającego, przy czym pewność wykonania musiała się udzielać słuchaczowi. Kropka.

*

Niezbędne zastrzeżenie. Spisuje tu spostrzeżenia z krótkiego okresu 1960 – 1966, czyli moich studiów. Wiem, że z czasem sporo się zmieniało, ale co i jak?

W tych pierwszych latach klasa Zbigniewa Śliwińskiego była w szczególnej sytuacji. Sopocka szkoła miała już swoje fortepianowe autorytety, przede wszystkim Krystynę Jastrzębską i Lucjana Galona, miała też pierwszego liczącego się wychowanka-pianistę. Tadeusz Kerner z klasy Olgi Iliwickiej-Dąbrowskiej brał udział w V Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim w 1955 roku, tym z Harasiewiczem, Aszkenazym i Fou Ts'ongiem, i zdobył wyróżnienie.

Przybycie do Sopotu nowego, młodego profesora z drugiego końca Polski z grupką wybranych wcześniej studentów zapowiadało zmiany. Tymi przybyszami z pierwszych lat byli Maciej Szymański, Jerzy Sulikowski, Izolda Suslak, Grażyna Fiedoruk (potem Fiedoruk-Sienkiewicz) i piszący te słowa. Najpóźniej przyjechała z południa Elżbieta Zającówna (dziś Wiedner, pianistka i kompozytorka aktywna w Wiedniu). Uzupełniali klasę pianiści z Trójmiasta: Krystyna Wawryków, Antoni Radziuk, Jan Kulesza. Wkrótce do „Szefa" (profesor szybko dorobił się tego przezwiska) zaczęły ściągać talenty z różnych stron, klasa wkrótce wrosła w szkołę.

Wrosła łatwo, chociaż sami niewiele w tym pomogliśmy; nie były nam obce zakamuflowane przechwałki, przekonanie, że umiemy więcej. Niby gardziliśmy zadzieraniem nosa, co oznaczało tyle, że zadzieramy go subtelniej. Wystarczyło jednak posłuchać jak Jerzy Sulikowski gra wybór preludiów Rachmaninowa, *III Suitę angielską* Bacha, a Maciej Szymański *Koncert G-dur Mozarta*. W uczelni muzycznej szybko wyłazi na wierzch to, co się liczy…

6

Poczynania Śliwińskiego po czterech latach wydostały się z akademickiej ramki.

Tu nieodzowna wydaje się napomknienie o charakterach. Zetknęło się wtedy dwóch ludzi nadzwyczaj utalentowanych, ale krańcowo niepodobnych. Ten drugi wpadł kiedyś do szkoły, umówiony ze Śliwińskim, a trafem spotkali się już na kory-

tarzu. Profesor – który używał wyszukanej polszczyzny, który nawet w piżamie mógł wydać się czynnym dyplomatą, który niczym Thomas Mann właściwie z nikim nie był na „ty" – został przez rozmówcę solidnie trzepnięty w plecy i przywitany uwagą: „cześć Zbyszek, fajne tu macie dziewczyny, czy ty to chociaż widzisz, stary?". Świadkom zdawało się, że śnią.

Intruzem był Andrzej Cybulski, założyciel dynastii prezesów Klubu Studentów Wybrzeża „Żak", twórca znaczenia tego klubu, jego wpływów, ogólnopolskiej renomy, świetnych dokonań; fantastyczny animator kultury.

W 1964 roku Cybulski rozstał się z „Żakiem", został zaś wiceprezesem Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki (GTPS) – instytucji, która mogła dźwignąć przedsięwzięcia kulturalne większego kalibru. Pierwszy prezes GTPS, chemik, profesor politechniki Jerzy Mindowicz, dodawał instytucji powagi, ale to Cybulski miał uskrzydlić GTPS, zadziałać jak drugi stopień rakiety – i tak się stało. Opis licznych dokonań artystycznych i kulturalnych towarzystwa nietrudno wyszukać dziś w Internecie, aczkolwiek na stronach bliższych historii niż współczesności.

W 1964 roku Cybulski stwierdził, że na wysoko notowanym wówczas Wybrzeżu brakuje ogólnopolskiej imprezy w dziedzinie muzyki klasycznej – i postanowił temu zaradzić. Środowiska muzycznego nie znał, czym mało się przejmował. Kanałami Zrzeszenia Studentów Polskich wywiedział się tego i owego o sopockiej szkole, i uznał, że odpowiednim partnerem okaże się wciąż młody i nie stroniący od nowoczesności Śliwiński.

Spory, czy to był pomysł Śliwińskiego czy Cybulskiego, toczyły się długo, chyba do śmierci różnych kibiców tej sprawy. W każdym razie partnerzy wymyślili coś naprawdę niekonwencjonalnego. Miał to być ogólnopolski konkurs dla kończących studia wykonawców wszystkich specjalności, szukających optymalnej pozycji zawodowej. Przy okazji konkurs w rozsądnej mierze promował polską muzykę nową. Obowiązkowe było sięgnięciu po utwór napisany w XX wieku, zatem dzieło Bacewiczówny czy Bairda, Lutosławskiego bądź Szymanowskiego, Różyckiego lub Kilara. Było w czym wybierać. Natomiast – uwaga! – nie przyznawano nagród pieniężnych. Laureaci otrzymywali coś cenniejszego: gotowe umowy z filharmoniami i orkiestrami symfonicznymi całego kraju, które zapewniały młodym muzykom występy na normalnych warunkach oraz szanse na ponowne zaproszenie. Słowem, idealny debiut.

Impreza otrzymała nazwę I Ogólnopolski Festiwal Młodych Muzyków, jury przewodniczył Bolesław Woytowicz. Jej organizacja – siłami uczelni, GTPS, opery i filharmonii, a w znacznej części młodzieży, wolontariatu ze Zrzeszenia Studentów Polskich – wymagała więcej zachodu niż zorganizowanie typowego konkursu. Trzeba było przekonać do niej filharmonie i orkiestry symfoniczne z całego kraju, podpisać sporą tekę papierów, otrzymać liczne rekomendacje, skompletować renomowane jury dla odmiennych specjalności, tu wiolonczeliści, tam skrzypkowie, ówdzie dęte drewniane, wreszcie zmierzyć się ze splotem stosunków, a to przyjaźni, a to animozji, a to konkurencji.

Ten plan został urzeczywistniony pod koniec 1964 roku, w zawrotnym tempie. Przesłuchania odbywały się w sali koncertowej sopockiego Grand Hotelu, dziś już nieistniejącej.

W pierwszym Festiwalu Młodych Muzyków najwyższe lokaty w swoich kategoriach zdobyli Wanda Wierzbicka (skrzypce), Bożena Zaborowska (wiolonczela), Jerzy Sulikowski i Kazimierz Gierżod (fortepian), Bogumił Gadawski (fagot), Kazimierz Moszyński (flet). Te nagrody oznaczały po cztery występy w różnych salach, łącznie z najbardziej cenionymi. A to jeszcze nie było wszystko. Część nagrodzonych zawdzięczała osobistym zabiegom Śliwińskiego i Cybulskiego państwowe stypendium na roczne studia w wybranej zagranicznej uczelni. Spośród laureatów pierwszej edycji Jerzy Sulikowski studiował przez rok w paryskim konserwatorium pod opieką Vlado Perlemutera i Susanne Roche, a wkrótce potem (1967) został zwycięzcą cenionego *Concours International d'Exécution Musicale* w Genewie. W owych czasach była to solidna podstawa kariery.

Spośród studentów i absolwentów klasy Zbigniewa Śliwińskiego zwyciężali jeszcze w różnych edycjach (gdańskiego już) konkursu Maciej Szymański, Elżbieta Zająćówna oraz Waldemar Wojtal (po latach rektor gdańskiej Akademii Muzycznej).

Festiwal odbywał się aż do późnych lat siedemdziesiątych, na przestrzeni niemal dwudziestu lat. Sporo. Jednak zalety kryją zwykle zalążek zmierzchu. W PRL, w czasach utrudnionych kontaktów międzynarodowych pomysł był znakomity, promował zarówno artystyczną młodzież jak i polskich kompozytorów. Został jednak skonstruowany z nadmiernym rozmachem. Wyzwaniem było kompletowanie jury w oddzielnych sekcjach, dla różnych specjalności; to była duża grupa. Za duża. Nagradzanie laureatów odrębnie w każdej specjalności sprawiało, że nagrody były zbyt liczne. Spłaszczało to ich wartość i obniżało liczbę umów przyznawanych poszczególnym laureatom. Dla organizatorów wyzwaniem było też międzykonkursowe czuwanie nad realizacją umów, nie zawsze płynną.

Z drugiej strony, ta machina miała wpływowych sympatyków, poczynając od Jerzego Waldorffa, Jerzego Katlewicza, Bolesława Woytowicza. Wreszcie, Ogólnopolski Festiwal Młodych Muzyków powstawał w czasach, w których konkursów muzycznych było jak na lekarstwo. To się zmieniło, wpierw z wolna w PRL, a potem wręcz rewolucyjnie dzisiaj. Jedno jest pewne, impreza o krajowym zasięgu – która po kilkunastu latach załamała się pod własnym ciężarem – przyniosła sporo dobrego samym muzykom. Pomysłodawcy i zarazem koordynatorzy – utalentowany pedagog Zbigniew Śliwiński oraz legenda Żaka, Andrzej Cybulski – na pewno mogli to przedsięwzięcie wpisać na listę osobistych sukcesów[1].

Cóż jeszcze? Śliwiński nigdy nie zbiesił się na Cybulskiego z powodu tekstów o nadobnych studentkach, ani walenia po plecach. Jakoś samo z siebie wyszło, że Cybulskiemu wolno. I tak zostało.

7

Pedantyczne i wnikliwe podejście do tekstu, powaga, kiedy chodzi o ukrytą w nutach i między nimi opowieść, biegłość techniczna – to jedno. Powiedzmy: robota pedagoga. Czyli nie wszystko. Młodego pianistę prowadzi – w osobie pedagoga – także „trener", czyli motywator, psycholog, guru, *coach*.

Solistę po wejściu na estradę – po rzucie oka na salę, a potem na instrument – może przygnieść samotność. Trzeba swą opowieścią dźwiękową zająć to bractwo czekające w półmroku, trzeba tych ludzi wzruszyć, złapać za gardło. Ale jak sprawy potoczą się naprawdę?

W jakiejś mierze sytuacja pianisty przypomina niektórych sportowców, tenisistów, lekkoatletów, narciarzy. W pojedynkę trzeba „dać z siebie wszystko", i to publicznie. Ale czy to się uda akurat tego dnia, w tej chwili? A jeśli nawet, czy to wystarczy? Jeżeli nie wystarczy, trzeba będzie coś zmienić. Metodę? Zajęcie? I tak dalej…

Kiedy nadchodzi występ, rola trenera góruje nad rolą pedagoga. Przecież najlepiej bywa, kiedy artysta wchodzi na estradę z przekonaniem: „ja wam tu zaraz pokażę". Lub jeszcze mocniej: „zazdroszczę wam, że możecie mnie usłyszeć".[2] Trener musi wyhodować u adepta maksimum pewności siebie, a jednocześnie plewić pychę i szpan. Musi adepta natchnąć bezwzględną wiarą w powodzenie, ale i zapewnić odporność w razie porażki. Do tego do okiełznania są depresje, euforie, kompleksy, złudzenia, konflikty. I panowanie nad własnymi emocjami, których w tej pracy nie brak.

Podczas studiów miałem wrażenie, że prowadzi mnie pedagog świetny, wręcz wyjątkowy, któremu jednak nie dorównuje trener. Raz czy dwa razy byłem świadkiem sytuacji, z których wyzierał lęk Szefa o powodzenie studenta, a taki lęk się udziela. Tymczasem mój ostatni pedagog w szkole średniej – Tadeusz Wojturski, młody wychowanek Śliwińskiego – umiał jednym zdaniem tak naładować psychicznie podopiecznych, żeby szli na estradę jak po swoje, nie wdając się w szczegóły, często zmotywowani zdaniem w rodzaju „graj tak, żeby tym starym babom protezy wypadły z paszczy". Oczywiście chodziło o wysoką komisje egzaminacyjną… Tej pozytywnej, skrzącej się bezczelności Śliwińskiemu brakowało. To nie były jego zakresy.

Przemożne poczucie odpowiedzialności czasem bywa kiepskim doradcą. Miały z tym coś wspólnego trenerskie niedostatki Śliwińskiego. Wyczuwało się to także w jego grze.

Podczas lekcji profesor niezmiennie zadziwiał znajomością literatury fortepianowej. Wprawiał studentów w osłupienie grając ni stąd ni z owąd, z pamięci, bez przygotowania, a to długie fragmenty koncertów Mozarta, a to cykli Debussy'ego, a to mazurków Chopina. W tych improwizowanych demonstracjach czarował barwami brzmienia, wieloplanowością i po prostu siłą wyrazu. Malo tego, podczas towarzyskiej pogawędki o Czajkowskim z kolegami-profesorami, usiadł znienacka do instrumentu i jedną z trudniejszych partii oktawowych z pierwszej części *Koncertu b-moll* dosłownie „wymiótł" w bajecznym tempie bez jednej fałszywej nuty. Wirtuozowski epizod na długo zapamiętano.

Podczas recitalu te walory gdzieś się ulatniały. Śliwiński grał wtedy sztywno, zasznurowany, niuanse wydawały się wyćwiczone, a skrępowanie udzielało się publice; uderzała poprawność wyprana z czaru. Studenci cierpieli, pamiętając świetne przykłady z zajęć. Najwyraźniej profesor był zaprzeczeniem artystycznego ekshibicjonizmu. Myślę, że o tym wiedział, może bolał nad tym, próbował jakoś się rozsznurować, ale publicznie grywał rzadko, a jeszcze rzadziej nagrywał. Niewiele zostało po nim

1 Więcej szczegółów Czytelnik znajdzie w „Roczniku Sopockim" 2003, w krótkim szkicu z archiwum Andrzeja Cybulskiego, Drobne uzupełnienia na stronach internetowych:
https://amuz.gda.pl/wydzial-ii,191?highlight=%C5%9Aliwi%C5%84ski.
https://gdansk.gedanopedia.pl/gdansk/?title=CYBULSKI_ANDRZEJ,_animator_kultury,_redaktor

2 Takie zdanie palnął żartem Tadeusz Łomnicki podczas przedstawienia Kariery Artura Ui, by zbić z tropu reżysera przedstawienia, Erwina Axera.. Dziś ten ekstrawagancki dowcip bywa cytowany literalnie, z pominięciem ironii, za to z krowią powagą. I traci sens.

w archiwach dawnej Rozgłośni Gdańskiej Polskiego Radia i w archiwach Polskiego Radia w Warszawie.

Natomiast imponujące wrażenie robiła robota redaktorska. Imponował jej zakres, jasność przyjętych zasad (model źródłowo-instruktywny). Staranność. musiała wywierać wpływ na młodych muzyków. Szukał następcy w tej dziedzinie, utalentowanego i skorego, by zająć się tą wysoce specjalistyczna robotą, szukał jednak bez powodzenia, czym pewnie się martwił. Czas spłatał figla ówczesnym marzeniom. W ciągu ostatniego półwiecza księgarnie nutowe powymierały, wydawcy dziś ledwie zipią, rasowych redaktorów można liczyć na palcach.

8

Mieszkania nad morzem Szef doczekał się po czterech latach. Studenci mieli nadzieję, ze wyląduje w Sopocie. Nawet wiedzieliśmy, o który dom chodzi. Ładny piętrowy budyneczek wciąż stoi u zbiegu ulic Abrahama i Żeromskiego.

Adres bajeczny! Czysta magia! Las i wzgórza tuż obok!

Poszło jednak inaczej. Do owego domu prowadził wówczas chodnik po części gruntowy, żadnych płyt, tafli, kostek; od strony jezdni krawężnik, a pod podeszwą goła ziemia. Feler marginalny, zresztą miasto planowało przebudowę, więc nikt nie sądził, że to zaważy. Profesor przyjeżdżał jednak z rodziną, z trzema paniami, czyli z żoną, jej siostrą i ich niemłodą już matką, dla której chodnik mógł się okazać pułapką.

Był jednak powód ważniejszy. Właśnie upadł plan wzniesienia nowej siedziby uczelni w Sopocie. Za rok czy dwa lata szkoła miała się przenieść do Gdańska, na piętro nabudowane właśnie nad pomieszczeniami podstawowej szkoły muzycznej i liceum muzycznego na rogu ulic Gnilnej i Łagiewniki. Dla mieszkańca Górnego Sopotu oznaczało to spacer na dworzec, potem dojazd kolejką, co w jedną stronę pochłaniało niemal godzinę bez względu na pogodę. Zatem Szef przyjął inną propozycję: trzypokojowe mieszkanie we Wrzeszczu, przy głównej ulicy, na tak cenionym wówczas pierwszym piętrze, dwa kroki od przystanku tramwajowego. Podróż do szkoły? Raptem kwadrans.

Świeżo przybyła pani Maria Śliwińska, żona Szefa, była świetną nauczycielką fortepianu na poziomie licealnym, jej najlepszych wychowanków przejmował później Szef. Mogłaby – jak sądzę – sama stworzyć wartościową klasę w szkole wyższej. W Gdańsku prowadziła zajęcia z metodyki fortepianowej, studenci garnęli się do niej.

Przyjazd rodziny profesora wpłynął na gromadkę jego pierwszych studentów. Uległy redukcji nauki podczas spacerów w nadmorskich parkach, skończyło się słuchanie nagrań przy śniadaniach, zajęcia na uczelni rzadziej przeciągały się ponad wszelkie miary zegarowe. Czułem, ze jest bardziej zwyczajnie, normalnie, ale obszar magii i zauroczeń trochę się oddalił.

Jeżeli chodzi o moje studia odegrała pewną rolę rozmowa z pozoru przypadkowa, ale prędzej czy później nieunikniona. Podczas lekcji (był to czwarty rok studiów) zapytałem Szefa, czy mogę stawiać na to, że zostanę pianistą koncertowym, czy też nie mam szans i szkoda czasu.

Profesor zaniemówił. Było to pytanie niedopuszczalne, łamało nasz kanon zachowań, słowem coś bezczelnego. Szef wykręcał się od prostej odpowiedzi tak czy nie – zresztą słusznie, bo skąd miał wiedzieć – ja zaś napomknąłem o swoich nowych zainteresowaniach, o wystawianiu zdjęć po różnych kątach świata, i to dopiero była rebelia, rokosz, ba, zdrada. W pojmowaniu Szefa muzyka musiała być dla studenta wątkiem jedynym. Dzielenie uwagi między muzykę, a coś innego oznaczało dla Szefa koniec pewnej więzi, groziło wyrzuceniem z klubu. Cóż, podczas tej rozmowy wyrażaliśmy się oględnie, przyjaźnie, trochę obłudnie – i już więcej nie wróciliśmy do sprawy. Lecz co zostało, to zostało. Z coraz mniejszym zapałem sięgałem po nowe kawałki, częściej grymasiłem, z czasem już tylko dłubałem w niuansach repertuaru dyplomowego, by w dzień po dyplomie – zgodnie z wcześniejszym zamiarem – zamknąć klapę nad klawiaturą.

Nie bardzo wiedziałem co będzie. Gorzej, bo nękała jak ból zęba myśl o cyrografie podpisanym na rzecz pewnej średniej szkoły muzycznej, aż tu po tygodniu, jeszcze przed powrotem na stare śmieci, zapukał do mnie kolega z wiadomością o pilnym telefonie. Miałem natychmiast stawić się w szkole.

I cóż?

Po tygodniu, niespodziewanie, byłem już początkującym redaktorem muzycznym cenionej wówczas Rozgłośni Gdańskiej Polskiego Radia, której redakcją muzyczną zawiadywała znakomitość: Wanda Obniska. Nigdy nie dowiedziałem się, kto i jak skierował na mnie uwagę, może jakąś rolę odegrały moje referaty na studenckich sympozjach, zawsze jednak podejrzewałem, że pani Wanda konferowała wcześniej z Szefem, który maczał palce w tej odmianie losu.

Po studiach kontakty z profesorem były już rzadkie, coraz rzadsze, lecz trwałe. Pozostały poważniejsze rozmowy, pozostało poznawanie nowych uczniów, pozostało sporo respektu, wciąż cieszyły otwarte dla wszystkich imieniny, ale oddalaliśmy się, a z czasem dostrzegłem rosnącą samotność Szefa. Po kolei odchodziły kobiety jego domu, ba, sensację wzbudziło przyjęcie pod dach kota...

I oto któregoś dnia Szef zniknął. Podobno trafił do rodziny, do artystek, które z miasta przeniosły się w Poznańskie, na wieś.

*

Tak się złożyło, że ostatni rok moich studiów był ostatnim rokiem uczelni w Sopocie. Gdańskie czasy profesora Śliwińskiego to już inny rozdział, do opisania przez kogo innego.

Niemniej, kiedy tkwiłem po szyję w sprawach artystycznych po studiach i na kolejnych studiach, nieraz wracałem do uwag profesora, kiedy sięgałem po klawiaturę maszyny do pisania, czy po aparat fotograficzny. Dla Szefa sztuka – jednak – stanowiła jedność. Chociaż sam nie zawędrował w obszary niemuzyczne, był o tym przekonany. I miał rację.

Dzięki Szefowi lata przy fortepianie to nie był zmarnowany czas,

Z kolejnego budynku akademii, dziś przy Łąkowej w Gdańsku, szybko zapamiętałem obrazek spokrewniony z przeszłością, z poznaniem Śliwińskiego na ozdobnym i przestronnym korytarzu szkoły katowickiej. Szef w swojej pozie „pingwisia" stoi sam, ale jakiś pogubiony, zdezorientowany, pełen niedowierzania, że jest tutaj – czyli gdzie? – że teraz, że licho wie co. Już wtedy krążyły plotki o najgorszej z chorób, bo ograniczającej świadomość.

10

Jesień, niskie chmury, wiejski krajobraz, równinnie, pustawo. Dwa kroki do Poznania, trzy do Berlina, a w niemal 60 lat po wojnie wciąż zalatywało tu manowcem.

Zabudowy niziutkie, mury iście forteczne, czy dom mieszkalny, czy stodoła. Szczery kamień. Gdzieś tu ludzie kruszą granit. Obejścia porozrzucane, przestrzeń jakby przygaszona, draśnięta; zaledwie minimum powietrza w powietrzu. Zdaje się, że drzewa z resztkami liści, że domy, zresztą schludne, że dróżki i pola skrywają więcej niż mówią. Jak człowiek, który wita się uprzejmie, a potem odwraca i , nieprzystępny, rusza w swoją stronę. Manowiec nazywał się Jędrzejewo.

To dawne kresy, lecz nie te wschodnie, legendarne, gdzie tłoczno od opowieści, westchnień i rojeń. To tylko przedwojenne kresy zachodnie. Są i takie.

Pod osamotniony kościółek raz po raz zajeżdżają samochody. Placyk zamienia się w parking. Towarzystwo, które swobodnie czuje się na Świętojańskiej w Gdyni, w warszawskiej operze, u Pollera w Krakowie czy w zakopiańskim Zaiksie tutaj wysiada z aut jakoś niepewnie. Co wprawia przybyszów w zakłopotanie? Kościółek z czerwonej cegły, z jedną tylko wieżą, niepokaźny krewniak katedr z sąsiednich miast? A może dziwaczne poczucie obcości pośrodku wsi? Pamiętający kajzerowskie czasy bruk na placyku złośliwie pyta kobiety o sens podróżowania w szpilkach.

Majestatycznie wtacza się czarna limuzyna. Z pozoru celuje w ławkę na skraju placyku, lecz zanim ta osobliwa marszruta wzbudzi przestrach, wóz przystaje i płynnie podjeżdża na wstecznym pod kościelne wierzeje. Co wprawa to wprawa. Kierowca w czarnym garniturze i okrągłej czarnej czapce, za jego fotelem z tyłu nieskazitelne szkło, kryształ z białymi napisami, wykrochmalone koronki i stelaż pod trumnę. Na dachu krzyż, kubek w kubek jak ten na wieży.

Niedokładnie pamiętam ten pogrzeb. Z wiekiem człowiek coraz lepiej dostrzega zmowę pamięci z wyobraźnią i podziwia wybryki tej psotnej pary. Coraz trudniej odróżnić przypomnienia od wyobrażeń i przyśnień.

W każdym razie są kwiaty, wieńce, słychać szuranie podeszew, ludzie sączą się do bożego przybytku, mgiełka oddechów, bo zimno, niby to sączą się milcząc, ale ktoś z tyłu nadaje półgębkiem: – Pogrzeb to czasem okazja, żeby choć raz przejechać się mercedesem.

Odzewu na te mądrości brak. W chwilę później dzwonek przy ołtarzu, wkraczają ministrant z księdzem w fioletowym ornacie i już nic nie zagraża skupieniu. Mało tego, odzywają się sędziwe organy. Może po raz pierwszy od lat ktoś gra na nich Bachowskie preludium chorałowe *Jesus bleibet meine Freude*. Kawałek protestancki, fakt, ale bohater tej ceremonii zachwycał się za życia kantatą, do której nawiązuje przygrywka. A może tylko wydaje mi się, że to ten kawałek; kto wie czy rzeczywiście był tam zagrany, chociaż na pewno powinien, a przy organach powinien siedzieć Piotr Słopecki, jeden z późnych uczniów Szefa, talent nie lada…

Egzekwie jak egzekwie, wszyscy skupieni. W skromnym wnętrzu – bez barokowej strojności, złoceń, tłustych aniołków, bez malowanych na stropie niebios i chmur, bez rajskich ogrodów rytych w kamieniu – otóż w tym skromnym wnętrzu skupienie żałobników to przede wszystkim zwykły żal, zdumienie, że akurat ten człowiek, akurat teraz, w tym miejscu, że kto by się spodziewał, jak to możliwe, że samotnie, ta choroba, i tak dalej. Co do sfery religijnej, chyba przeważało w tym gronie przekonanie, że za modlitwę – i to z nawiązką – starczy rzetelne wniknięcie w kolejny kawałek Bacha.

→

Sam zmarły więcej uwagi poświęcał za życia olśnieniom muzycznym niż, dajmy na to, eschatologii. Diabłów na główce od szpilki nie liczył. Nigdy publicznie. Może strzegł swoich sekretów, mateczników? Może – przeciwnie – nie widział potrzeby takich roztrząsań? A może – jeszcze inaczej – po prostu bał się dać plamę? Dystans stanowił część rzetelnie wypracowanej legendy zmarłego; może obawiał się, co ludzie powiedzą o człowieku, który pozwoli wciągnąć się w takie deliberacje, ni to metafizyczne, a w istocie sztubackie?

Tych kilkudziesięciu żałobników młodszych, starszych oraz początkujących dziadersów to w istocie jedna paczka przerośnięta splotami przyjaźni i konkurencji, spoufaleń i zależności, zachwytów i uraz, hierarchiami niedostrzegalnymi dla profana, gmatwaniną nie zawsze pokrewnych sądów – jaki jest tego wspólny mianownik? Postać mistrza, jak okruch szkła, w którym się to wszystko przegląda?

Od trumny nadciąga zapach świec, zmieszany z wonnymi kłębami z trybularza. Jeszcze jeden rzut oka na skromne ściany podsuwa myśl, że kościół wznieśli pewnie ewangelicy – bardziej zajęci istotą rzeczy niż jej oprawą – a proboszcz dopiero po ostatniej wojnie zastąpił tu pastora. O takich sprawach katolicy milczą jak zaklęci. Milczą, żeby nie kłamać, natomiast funkcjonują jakby kościółek stał tutaj już za pierwszych krucjat, rzecz jasna polski i katolicki. Wielkoduszność rzadko bywa cnotą katolików.

Tymczasem idzie w ruch kropidło, ksiądz okrąża trumnę i w trybie melorecytacji zapewnia obecnych, że wszyscy, co do jednego, w tym zmarły, mają szansę na „zbawienie". Szczegółów brak. Podobno zmarli wstaną z grobów, ale – zastanawiam się – w jakiej postaci? Czy wstaną jako promienni młodzieńcy, jako ponętne pannice z lat młodości? Czy też podniosą się spod ziemi w sponiewieranych szpitalnych piżamach, w tym stanie agonalnym, którego posmakowali na mecie? A moja niemal stuletnia ciotka? Czy wraz z nią zmartwychwstanie jej późny inwalidzki wózek, i czy baterie będą ładowane wieczyście, raz a dobrze, czy też z gniazdka, po staremu na łapu capu?

Organista zaczyna – tak sobie wyobrażam – następne preludium chorałowe, pełne spokoju, pogody, pewności siebie *Wachet auf, ruft uns die Stimme*. A wtedy spod ściany nagle wyrasta czterech drabów. Podobni do starych pni wierzbowych, na które ktoś nawlókł jakimś cudem białą koszulę i czarny garnitur. Na wieży bije dzwon. Karawaniarze dobierają się do katafalku, odstawiają lichtarze, a potem – nowomodnie – nie unoszą trumny, nie kładą na ramiona, lecz chwytają za boczne uchwyty i statecznie niosą ją ku wyjściu, jak ratownicy nosze. Są niedaleko, może o dziesięć kroków ode mnie, potem bliżej, o pięć kroków, o trzy, wreszcie przechodzą tuż obok, drewniani jak trumna, która tuż nad posadzką zmierza do mercedesa. Odklejam się od ściany i wrastam w kondukt.

Mam dziwne wrażenie, że pierwszy raz w życiu ośmieliłem się spojrzeć na Szefa z góry.

*

Dobre sto kilometrów za Jędrzejewem, w dwie godziny później, odzywam się do przyjaciela, z którym wracamy do domu:

– Przereklamowana impreza.

– Pogrzeb?

– A co? Wesele?

Na odpowiedź zza kierownicy nie trzeba było długo czekać:

– Zobaczymy co powiesz po swoim.

Zamiast się odgryźć, wpatruję się w pobocza. Jedziemy przez lasy. Jest ciemno. W każdej chwili może na drogę wyskoczyć sarna lub łoś.

Tak to wyglądało – z grubsza – pod koniec listopada 2003 roku, w czterdzieści trzy lata – z grubsza – po otwarciu w Sopocie fortepianowej klasy „Szefa".

Wojsław Brydak

Ewa Bogucka-Pudlis

Ewa Nowosławska

Powroty...

Żeby wrócić, ktoś/coś musi się najpierw oddalić. To oczywista oczywistość. Ale czasem tak się zdarza, że nas wywożą. Stajemy się sensacją dla otoczenia. Szczególnie gdy przyjeżdża po nas Pogotowie Ratunkowe. Po czym sensacja mija.

Jak zdrowiejemy zaczynamy myśleć o powrocie. O powrocie, w szerokim tego słowa zakresie. Wydaje nam się, że wszystko będzie proste. Ale tak nie jest.

Okazuje się, że najprostszy jest rzeczywiście powrót do domu. Ale potem zaczynają tzw. schody.

Dom, niby ten sam, ale wydaje się obcy. Nawet ściany są nie takie jak były. W pamięci ma się biel szpitalnych sal, półmrok szerokich korytarzy i hałas oddziału.

Ale to dopiero początek. Są jest jeszcze inne powroty. Te są często bardzo bolesne. Jak się okazuje, że nie jesteśmy w stanie ugotować sobie wody na herbatę, której nie piliśmy kilka miesięcy czy nie możemy samemu otworzyć drzwi gdy listonosz puka. Nie mówiąc o niemożności odkręcenia kranu z bieżącą wodą.

Codziennie się dowiadujemy, jak daleko jesteśmy od wymarzonego powrotu. Nachodzą nas myśli, czy dam radę.

W szpitalu było prościej. Jak czegoś nie mogłeś wykonać przyciskiem wzywałeś personel szpitalny.

Ale może spróbuję? Może się uda?

Zaczynasz kombinować jakby tu wstać, zrobić mały krok, a może dwa. Nie daje się. Załatwiasz fizjoterapeutę. Po pierwszym spotkaniu wiesz, że tak prosto nie będzie ale jest nadzieja, że z jego pomocą i przy własnej ciężkiej pracy, małymi kroczkami, możesz myśleć o kolejnym powrocie.

Na początek żeby móc chodzić. Choćby z balkonikiem lub z kulami.

Udało się. Chodzę. Chociaż daleko jeszcze do idealnego poruszania się na własnych nogach.

Ale sama mogę zrobić wymarzoną herbatę, otworzyć drzwi listonoszowi oraz zwilżyć twarz bieżącą wodą.

Nie zastanawiasz się ile cię jeszcze czeka powrotów. Najważniejszy powrót jest osiągnięty. Więc i te inne są możliwe.

Nic, tylko do dzieła!!!

...

Wracam do pobytu w szpitalu. Przez jakiś czas byłam osobą niechodzącą. Zadzwoniła koleżanka pogadać. W pewnym momencie powiedziałam, że chciałabym sobie posiedzieć. Wprowadziło ją to w konsternację. Zapytała nawet jak to *posiedzieć*. Wyjaśniłam jej, że chciałabym samodzielnie usiąść na krześle.

I znów było jej *jak to*?. A na to było moje *tak to*. Koleżanka nie wiedziała jak długo leżę.

Mijały dni, tygodnie a nawet miesiące. A ja z utęsknieniem spoglądałam na krzesło, które było przypisane do mojego łóżka.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę w stanie, usiąść o własnych siłach. Gdy odwiedzający innych chorych pożyczali *moje krzesło* pilnowałam by wróciło do mnie. Chciałam je mieć przy łóżku.

W końcu nadszedł czas kiedy wróciłam do domu. Nadal jednak nie byłam w stanie siedzieć. Nadszedł jednak dzień, kiedy postanowiłam iż spróbuję to zrobić. Udało się. Było mi tak dobrze, że nie chciałam wstać. Przypominałam sobie, jak kiedyś tak sobie siedziałam. Teraz obawiałam się czy zdołam samodzielnie wstać. Udało się. Byłam happy.

Od tego czasu zupełnie inaczej patrzę na krzesło. Nie jak na kolejną barierę nie do pokonania. Ale jak na coś, dzięki czemu mogę sobie ot tak, po prostu posiedzieć. I tyle.

Dużo? Dla mnie dużo.

Może z czasem zapomnę o tym. Ale teraz pamiętam jak jeszcze tak niedawno wiele rzeczy nie byłam w stanie wykonać. A teraz potrafię.

I to jest mój kolejny powrót. Piękny, chociaż tylko za sprawą krzesła.

Zwykłego, niezwykłego, po prostu KRZESŁA.

...

Jak wcześniej słyszałam termin *studio* kojarzyłam to z kręceniem filmów, nagrywaniem muzyki. Ale życie to zmieniło. Teraz mamy studio fryzur a nawet paznokcia.

Ale ja o fryzurach.

Jakiś czas temu za namową koleżanki trafiłam do jej fryzjera. Mieści się ono przy uczęszczanym deptaku. Na piętrze. Idzie się do niego kręconymi schodami, lub jak kto woli, jedzie przeszkloną windą.

W środku na ścianie ogromne kryształowe lustro (do wniesienia którego użyto dźwigu). W suficie okna dachowe, przez które wpadają promienie słoneczne. W tle muzyka.

Pomyślałam, tak wygląda studio. Różni się ono od dawnych zakładów, czy obecnych salonów fryzjerskich.

Gdy przyszła na mnie kolej fryzjerka zapytała, jaką fryzurę sobie życzę. Nie bardzo wiedziałam, więc odpowiedziałam, że zdaję się na jej inwencję.

W ruch poszły nożyczki. Słychać było szybkie *ciach, ciach, ciach*.

W pewnym momencie stwierdziła *no chyba już dość tego cięcia*. Po czym włączyła turbo suszarkę, poczochrała włosy i było po wszystkim.

Z fotela wstałam jako inna osoba. Byłam chłopczycą z długą *grzywką na oczy*.

Już wtedy wiedziałam, że wrócę tu następnym razem. W pracy przywitano mnie buczeniem i *WOW*.

Niestety, życie tak się ułożyło, że mój stan zdrowia nie pozwolił mi na to, żebym o własnych siłach mogła gdziekolwiek dojść, czy dojechać samochodem.

Ku mojemu zaskoczeniu, fryzjerka przyjechała do mnie do domu. Byłam wtedy osobą leżącą. To nie stanowiło dla niej przeszkody bym mogła się poczuć jak przed chorobą. Znów miałam mój znak rozpoznawczy, krótkie włosy z *grzywkę na oczy*.

Kolejnym razem, nie byłam już osobą leżącą. Siedziałam przed lustrem w przedpokoju w moim mieszkaniu a fryzjerka obcinała moje włosy. Nie przeszkadzało mi, że spadają na dywan i trzeba będzie sprzątać. Co tam. Najważniejsze było to, że z każdym cięciem wracał mój uśmiech na twarzy, który, przez chorobę z trudem na niej gościł.

Na koniec fryzjerka zaprosiła mnie do studio. Wierzyła, że dotrę tam na własnych nogach.

Obiecałam jej to. I tak się stało.

...

Pogoda tamtego lata była wymarzona by czas spędzać nad wodą. A popularny kurort nad Bałtykiem był idealnym miejscem na spacer, oraz by po raz kolejny rozkoszować podniebienie wybornymi lodami z cukierni *u Włocha*. Jak okiem sięgnąć, wszędzie było mnóstwo ludzi.

Po południu pogoda zmieniła się radykalnie. Na horyzoncie pojawiły się ciemne chmury, które nie wróżyły niczego dobrego, ale my staraliśmy się nie myśleć co może się wydarzyć tylko rozkoszować się aurą tu i teraz. A to się zemściło. Zerwał się wiatr, który, przywiał ciężkie deszczowe chmury.

Porządnie lunęło. Promenada zamieniła się w rwący potok niosący pierwsze suche liście tego lata, które podmuchy porywistego wiatru przywiały z pobliskich drzew.

Zaludniły się kawiarniane ogródki pod parasolami. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie by wszystkich sprawnie obsłużyć. My byliśmy już *po lodach* i właściwie zbieraliśmy się do wyjścia, ale zapach jabłecznika skusił nas by go spróbować.

Dobrze się złożyło bo gdy nasyciliśmy się wybornym ciastem, po deszczu zostały tylko kałuże a wilgotne powietrze było zbawieniem w ten upalny od rana dzień.

Na promenadę wylegli spacerowicze. Trzeba było się przeciskać by ich ominąć i nie wejść w kałuże. Omijając jedną z nich, zwróciłam uwagę, że coś po niej pływa. Podniosłam to coś i wrzuciłam do reklamówki. Zdążyłam się zorientować, że to umorusana w błocie i przemoczona dziecięca przytulanka - mały misiek.

Przez moment pomyślałam, że musiało ją zgubić jakieś dziecko. Ale nikogo takiego nie było w pobliżu.

Po powrocie do domu misiek wylądował w kąpieli. Po czym suszył się na suszarce. Wyglądał opłakanie. Ale z czasem nabierał urody. Znalazłam dla niego miejsce na półce w łazience.

W tzw. międzyczasie dopadła mnie poważna choroba. Wyjście z niej zajęło mi ponad pół roku. Tyle czasu, z przerwami, przebywałam w szpitalu. Stałam się osoba niepełnosprawną.

Gdy byłam na tyle sprawna by dojść do łazienki od razu zauważyłam, że na półce, jest puste miejsce po przytulance.

Na nic zdały się tłumaczenia, że nigdy jej tam nie było. Ja upierałam się przy swoim.

Prawda jest taka, że w czasie choroby podawano mi medykamenty, które nie były obojętne dla mojego organizmu. Z chwilą ich odstawienia, wszystko wróciło do normy a ja nie zauważyłam żeby w mojej pamięci pojawiły się luki.

W głębi duszy było mi przykro. Stworzyłam sobie nawet teorię, że skoro moje życie stało pod dużym znakiem zapytania, niektórych drobiazgów można było się pozbyć.

Takie myślenie trwało jakiś czas. A dokładnie do generalnych porządków na pawlaczu, który został zamontowany, gdy byłam w szpitalu.

Jakie było moje zaskoczenie, gdy się okazało, że znalazła się zguba. Lekko zakurzona leżała porzucona jak gałgan do wycierania kurzu. Ja, z radości sama do siebie powtarzałam słynne *yes, yes, yes*. Na głos nie chciałam rozwijać tematu.

Czasem wracam do chwili, gdy z kałuży wyciągnęłam utaplaną w błocie szmaciankę.

Teraz bym tego gestu nie wykonała ze względu na niepełnosprawność.

Przytulanka powróciła, tym razem na szafkę przy moim miejscu do spania..

→

W ciągu dnia, zaabsorbowana codziennymi sprawami, nie zawracam sobie głowy żadnymi przytulankami. Wieczorem łykam pastylkę na sen. Mimochodem sprawdzam czy misiek jest na swoim miejscu. Zdarza się, że z rana go szukam. Ale zawsze go odnajduje bo to przecież *znajdek*.

...

Nikomu chyba nie przyszło by do głowy żeby odpoczywać na... cmentarzysku. Materiały źródłowe określają taką przestrzeń jako miejsce *o programowo założonym grzebalnym przeznaczeniu, zorganizowanym według pewnych dyrektyw-reguł kulturowych związanych z rytualizowaniem form grzebania, jak i z istnieniem pewnej tradycji sposobu utrwalania pamięci o nich.*

Cmentarzysko to jest częścią stanowiska archeologicznego na terenie rezerwatu archeologiczno-przyrodniczego. Ponadto znajdują się tam kamienne kręgi oraz kurhany. Wg ustaleń naukowców odkryte kurhany i groby z dużymi głazami sterczącymi pionowo świadczą, że w tym miejscu znajdowało się cmentarzysko, które służyło do grzebania zmarłych oraz było miejscem rodowo-plemiennych zgromadzeń.

Jest to miejsce notujące co roku wielu zwiedzających. Wśród nich są również pseudonaukowcy oraz poszukiwacze mocy-wyznawcy radiestezji. Dochodzi do dewastacji miejsca, do przemieszczania głazów. Poszukiwacze energii, wbrew zakazom, dotykają oraz obejmują kamienie niszcząc objęte ochroną rzadkie gatunki porostów rosnące na ich powierzchni.

Niektórzy podobno przekonali się o dobroczynnym wpływie tego miejsca. Zaobserwowali ustąpienie bólów głowy, poczucie zrelaksowania oraz pełni sił witalnych.

Mnie też jakby udzieliła się ta magia.

Stan ten nie trwał długo za sprawą dwóch skąpo ubranych dziewczyn, które oparte o głazy kamiennego kręgu i zażywały kąpieli słonecznych. Nie zwracały uwagi na zgorszonych tym widokiem turystów. Na ziemi walały się ciuchy oraz prospekty jak się zachowywać w czasie zwiedzania rezerwatu.

Opuszczając miejsce opowiedzieliśmy zastaną sytuację osobie opiekującej się terenem. Ten obiecał zająć się sprawą.

My sfrustrowani niefrasobliwym zachowaniem chcieliśmy jak najszybciej opuścić to miejsce i nie wracać do tego, czego byliśmy świadkami. Chcieliśmy też zachować poczucie relaksu jaki udało nam się przez moment odczuć.

Mieliśmy nadzieję, że nadzorca zastał dziewczyny. Chyba, że to były istoty, które zdążyły przejść do podziemi.

A wtedy to *sorry Gregory*.

...

Jeden świat, z pieczołowitością odrestaurowanym domem krytym czerwoną dachówką, z podjazdem wyłożonym kamieniem, z garażem i letnim domkiem z okiennicami oraz z bramą otwieraną na pilota. Wokół zadbany ogród z egzotycznymi drzewami i kwiatami, którymi opiekuje się lokalny ogrodnik. Na tarasie meble ogrodowe z drewna na zamówienie. Pod dom często podjeżdżają goście *wypasionymi brykami*.

Tuż obok, chałupa z drewnianych bali kryta trzciną z pobliskiego jeziora. Stodółka kryta zmurszałą dachówką, sauna, wiata na samochód właścicieli, wędzarnia oraz dwa letnie domki. W jednym z nich mieszkam co roku w czasie urlopu.

W chałupie bywam rzadko. Jedynie na powitanie oraz na pożegnanie. Jest wtedy kawa oraz szarlotka, według znanego tylko gospodyni, starego przepisu.

Spędzając tu od kilku lat urlop tkwiłam w przekonaniu, że chałupa ta nie kryje żadnych tajemnic. W tym roku okazało się, że jest jeszcze jedna izba, o której nie wiedziałam. To tajemne pomieszczenie z małymi oknami jest od strony podwórza. Są tam stare meble. W oknach staromodne koronkowe firanki. Na jednej ze ścian wiszą damskie torebki. Na drugiej sznury i sznurki korali. Są ich niepojęte ilości. W ścianie z torebkami, znajdują się małe drzwiczki. To dostęp do magicznej szafy, w której zgromadzone są damskie ubiory. Właścicielka stworzyła tą kolekcję dokonując zakupów ciekawych egzemplarzy na pchlich targach w pobliskich miejscowościach.

Na co dzień, czy do kościoła tajemnicza pani ubiera się skromnie, stosownie do swojego wieku. Na moje pytanie, czy wie co oraz jakie ubiory zgromadziła zdecydowanym głosem odpowiada *oczywiście*. Na co ja, trochę nie dowierzając, odpowiadam *aha*.

Nie było mi dane zobaczyć owych strojów. Uwierzyłam na słowo.

Ale gdy wyszłam na zewnątrz i spojrzałam na od lat oglądaną chałupę, zobaczyłam ją w innym świetle.

No i dobrze. Może, gdy wrócę, w przyszłym roku, jeszcze coś nowego tu zobaczę.

A miał to być mój ostatni urlop spędzany w tym miejscu.

...

Od kilku lat urlop wypoczynkowy spędzałam w Borach Tucholskich. Wydawałoby się, że wszystko już wiem i nic ciekawego nie może mnie spotkać. A jednak w czasie kolejnego ze spacerów po okolicy zastaliśmy kilka wykopanych dziur. Były to odkopane punkty geodezyjne.

Z racji wykształcenia wiedziałam, że w terenie znajdują się takie punkty. Wyznaczają one granice działek budowlanych, rolnych, siedliskowych, rekreacyjnych oraz leśnych. Cały nasz kraj pokrywa osnowa geodezyjna - zbiór punktów geodezyjnych, dla których za pomocą działań matematycznych określono wzajemne położenie. Każdy punkt ma numer oraz nazwę ustaloną od nazwy miejscowości, na której się znajduje.

Dla oznaczania miejsca położenia punktów geodezyjnych stosuje się znaki z betonu lub kamienia. Potocznie zwane *kamieniami*.

Tego dnia górna ich część była pomalowana odblaskową farbą. Obok każdego stał wbity kołek z przywiązaną biało-czerwoną taśmą ostrzegawczą Na jednym ze nich leżała 50-groszowa moneta. Przywłaszczyłam ją sobie-*na szczęście*. W zmian zostawiłam niebieskie prążkowane piórko sójki, wcześniej znalezione w lesie. Lato powoli chyliło się ku końcowi, wtedy te ptaki pierzą się gubiąc pióra, które łatwo znaleźć na poszyciu.

Mam nadzieję, że gdy geodeta wrócił by obkopać punkty zauważył, że moneta zniknęła. Może też domyślił się do kogo należy podrzucone piórko. Jeżeli tak, to znalazł też wytłumaczenie, co było powodem zniknięcia bilonu. Był on potrzebny w przygotowaniach do podróży za morze, na którą zgodnie z powiedzeniem, przysłowiowa *sójka nigdy wybrać się nie może*.

...

Pracowałam w firmie, w której jeden z kolegów zbierał pluszaki. Ich kolekcja była eksponowana na specjalnej do tego celu przystosowanej, wiszącej na ścianie, półce. Każdy eksponat, trochę dziwny jak na miejsce pracy, był umiejscowiony w oddzielnej przegródce. Nikomu nie wolno było niczego dotykać. Pewnego dnia stało się coś dziwnego. Kolega kolekcjoner, na czas pobytu koleżeństwa z pokoju na urlopach, pożyczył mi pluszaka. Wspominając, że jest on do zwrotu. Potem nastąpiło jeszcze coś dziwniejszego. W dniu imienin dostałam go w prezencie - *na zawsze*.

Przed emeryturą, ponad pół roku przebywałam w szpitalu. Można powiedzieć że prawie *zapomniałam o Bożym świecie*. Walczyłam, na początku o życie, a potem, o powrót do zdrowia. Udało się, chociaż nie do końca. Nie byłam jednak w stanie wrócić do pracy. Skorzystałam z prawa do emerytury i odeszłam z pracy.

Koledzy i koleżanki z pracy pomogli mi w załatwieniu formalnych i nieformalnych spraw związanych z moim nowym statusem. Pozostałe po mnie osobiste papiery i drobiazgi, spakowali w pudło. Umówiliśmy się, że je odbiorę gdy wyzdrowieję lub któryś z kolegów mi je przywiezie do domu.

Mijały miesiące. Na nowo uczyłam się chodzić. Nadeszła wiosna. Zrobiło się ciepło i potrzebne mi były letnie buty. Szukałam ich w domu. Niestety bezskutecznie. Przyszło mi do głowy, że może są one w pracy. I tak było. Wtedy też przypomniało mi się o miśku od kolegi. Zastanawiałam się czy jest zapakowany czy może zakurzony siedzi między segregatorami, gdzie go zostawiłam przed chorobą.

Pewnego dnia, pudło ze *skarbami* z pracy znalazło się w moim domu. Jak się okazało, nie było ono ani wielkie ani ciężkie, jakby się tego można było spodziewać. Znalazłam w nim letnie buty i drobiazgi. Ucieszył mnie fakt, że nie było tam żadnych urzędowych papierów.

Był natomiast trochę zakurzony misiek. Od tej pory ja zaczęłam mówić o nim jak kolega- kolekcjoner, gdy na niego spoglądał i powtarzał że *mamy ładnego pluszaka* gdy, jako emeryt, odwiedzał mnie i kolegów w pracy. Czas szybko płynie. Nadeszła pora rozpocząć nowy rozdział życiowej drogi. Biurowa Misja Miśka zakończona. Czas na nową. Jesteśmy w niej razem!

...

Każdy wie co to jest piłka. W swoim życiu, każdy miał, lub ma do dzisiaj, przynajmniej jedną z nich, jak nie kilka. Ja postanowiłam zgłębić wiedzę w temacie piłki. Sięgnęłam do definicji. Mówi ona, że to *kulisty przedmiot lub przedmiot o kształcie elipsoidy obrotowej często używany w sportach i grach. Najczęściej jest elastyczna wypełniona powietrzem.* Proste.

Jakiś czas temu kupiłam dużą piłkę. Postanowiłam, że zacznę na niej ćwiczyć. Siedziało się na niej wygodnie. Szczególnie po 8-godzinach pracy przy komputerze.

Wydrukowałam zestaw ćwiczeń i pewnego dnia, siedząc na niej, wzięłam zamach nogą. Usłyszałam dziwny chrzęst. W efekcie wylądowałam w szpitalu-na oddziale ortopedii. Coś się stało z moim stawem biodrowym. Winę zwaliłam na piłkę.

Ta poszła w tzw. odstawkę. Spuściłam z niej powietrze. I nie chciałam o niej myśleć ani jej oglądać.

W szpitalu, od ortopedy dostałam zalecenie by się zgłosić do fizjoterapeutów i pod ich okiem ćwiczyć. Ku mojemu zdziwieniu jednym z zalecanych przez nich ćwiczeń były zajęcia właśnie z dużą piłką.

Pomyślałam nie jest dobrze.

Teraz ćwiczę pod okiem fachowców. Nawet polubiłam te zajęcia. Nie traktuję ich jako obowiązek. Dla relaksu czasem siadam na niej i macham nogami. Kiedyś powiedziałabym, ze bimbam sobie na tę ch… (*cholerną*) piłkę ale nie teraz. O nie!

Zatoczyła ona kółko. A ja razem z nią powróciłam do ćwiczeń, jakie sama sobie wymyśliłam do specjalistycznej rehabilitacji, która sprawia mi przyjemność.

Szkoda tylko, że za to musiałam zapłacić wysoką cenę pobyt w szpitalu.

Widocznie tak czasami niestety trzeba.

Potwierdziło się stwierdzenie, że podskakiwać, bezkarnie, może tylko piłka, a nie my na niej.

Ewa Nowosławska

Piotr Kominek

Pejzaż

tu w sercu świata
spotykają się wszystkie nasze drogi
gdy patrzę na ten przedziwny krajobraz
wiem że nie byłoby go bez ciebie

tu milknie świat
gdy ktoś śpiewa naszą piosenkę
i jakby malował świat w kroplach deszczu

już schyłek lata
wszystkie zachody słońca
nasze spotkania i rozstania żyją w nas

gdy patrzę na twoją twarz
i jestem z tobą tu
wiem że mam już wszystko

tak nadchodzi noc
zasypia świat
a ty jesteś wciąż obok

Droga do domu

znów powracamy tam latem
i wiem że tylko dzięki tobie
to dzieje się

wracamy do domu
przed nami pola złociste
na niebie zachodzi już słońce
kończy się dzień

będziemy już spokojni
bo żyjemy tylko tą chwilą
i już nic nie stracimy
bo jesteśmy razem

i tak chciałbym
by nigdy nie zabrakło mi
tej nadziei

opowiedz mi o tej miłości
w którą wciąż wierzymy

gdy znów będziemy w domu

Przeznaczenie

w moim świecie
nie zmieniło się nic
znów uciekam daleko stąd
wśród starych płyt i książek

gdy pada deszcz
w ten jesienny wieczór
dokąd pójdziemy
zapomniani

gdy nasze drogi znów
są tak blisko jak kiedyś
czekam kiedy będziesz tu

i czy jeszcze wierzysz
w przeznaczenie
nie musisz mówić nic
bo już wiesz

tu w domu
zostało nasze serce
które wciąż bije
z utęsknieniem

Anioł

dziś schroniła się przed światem
który nie rozumiał jej
w pokoju zapomnianego domu
ukryła swoje troski i tajemnice

odeszła o świcie
nie mówiąc nic
zamknęła drzwi

nie żali się teraz swoim aniołom
nie zrozumie jej nikt

unosi się nad miastem
w świetle tylu gwiazd
patrząc w niebo
widzi swą przyszłość

a te chwile
będą znów najpiękniejsze
bo uwierzyłaś w naszą miłość

i może znów nadejdzie ten dzień
gdy opowiesz mi swą opowieść
której dotąd nie znałem

ESEJ

Krzysztof Szymoniak

FOTOGRAFIE Z MASAKRY, CZYLI GARDELEGEN MOJEJ MATKI

1.

Ta historia zaczyna się po wybuchu II wojny światowej na obszarach zachodniej Polski, a dokładnie wiosną 1940 roku. To wtedy właśnie mój przyszły ojciec (Władysław Szymoniak, rocznik 1924), zamiast kontynuować naukę w szkole średniej, widząc w urzędach, instytucjach i na ulicach Gniezna brutalne rządy niemieckiego okupanta, zastanawiał się, jaki czeka go los w tej wojennej zawierusze. Ostatecznie, nie mając jeszcze 16 lat (urodziny obchodził 1 czerwca), w marcu został wywieziony do pracy w głąb Rzeszy jako robotnik przymusowy (*Zwangsarbeiter*). Trafił do gospodarstwa rolnego w miejscowości Mechau. Właścicielem gospodarstwa był Niemiec o nazwisku Lüberst. Ta niewielka miejscowość, właściwie wioska (w której i dzisiaj mieszka nie więcej niż 300 osób), leżąca w powiecie Altmarkkrais Salzwedel (Saksonia-Anhalt), znajduje się na dawnej granicy, która przez kilkadziesiąt lat rozdzielała DDR i BRD. W tym samym powiecie znajduje się miasteczko Gardelegen (dzisiaj około 14.500 mieszkańców), do którego, jako 20-letnia dziewczyna, na początku kwietnia 1942 roku trafiła z rodzinnego Baranowa koło Kępna moja przyszła matka (Halina Stefaniak, rocznik 1922). Oczywiście także jako robotnik przymusowy (*Zwangsarbeiterin*). Najpierw na polach nad Łabą (Elbą) zbierała szparagi, a potem przydzielono ją do istniejącej wówczas w Gardelegen (nieopodal dworca kolejowego) niewielkiej fabryki przetworów owocowo-warzywnych, będącej spółką, czy może raczej spółdzielnią (Spargel und Gemüse Absatzgenossenschaft[1]), którą zarządzał niejaki Schlender. Dokładnie 69 lat później, ja (autor tych słów) syn Haliny i Władysława, mieszkam z rodzicami w Gnieźnie, a kończąc 58 rok życia trafiam w dzienniku „Rzeczpospolita" na pewien interesujący mnie artykuł.

Płonąca stodoła w Gardelegen. Tak brzmi tytuł jednego z rozdziałów artykułu Piotra Zychowicza pt. „Niemieckie polowanie na zebry"[2]. A oto treść owego rozdziału:

Profesor Blatman jest znanym badaczem Holokaustu z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Jego najnowsza monografia „Marsze śmierci. Ostatnia faza Holokaustu" została właśnie przetłumaczona z hebrajskiego na języki obce. Ukazała się w Stanach Zjednoczonych oraz w Niemczech, gdzie wywołała olbrzymią sensację.

W swojej książce – opartej na ponaddwudziestoletniej kwerendzie archiwalnej w ośmiu krajach – Blatman opisał szereg masakr i pojedynczych zabójstw dokonanych na więźniach przez Niemców pod sam koniec wojny. Wiele z nich było dziełem cywilów. Izraelski historyk, zapytany, która ze zbrodni zrobiła na nim największe wrażenie, bez wahania wskazuje na mord w Gardelegen.

Wydarzenie to miało miejsce 13 kwietnia 1945 roku. Tego dnia do Gardelegen, miasteczka położonego w Saksonii-Anhalt, przybył oddział esesmanów konwojujący dużą grupę więźniów, głównie z obozu Mittelbau-Dora. Strażnicy poprosili mieszkańców o pomoc w pilnowaniu kolumny. Zgłosiło się kilkudziesięciu ochotników. Powszechnie szanowani obywatele miasteczka udali się na miejsce zbiórki. Część zaopatrzyła się w sztucery myśliwskie, inni po prostu w kije. W grupie oprócz zwykłych mieszczan znaleźli się pracownicy administracji, członkowie partii, podstarzali mężczyźni z Volkssturmu oraz nastolatki z Hitlerjugend. Wszyscy wzięli udział w masakrze.

Więźniów wprowadzono do olbrzymiej stodoły na obrzeżach miasteczka. Następnie wrzucono tam nasączoną benzyną słomę. Jej warstwa sięgała ludziom mniej więcej do kolan. Słoma została podpalona, do środka poleciały granaty. W kilkadziesiąt sekund wszystko stanęło w płomieniach. Kamienna stodoła zamieniła się w wielki piec.

Ci, którym udało się z niego wydostać, zostali ścięci seriami z broni maszynowej. W dobijaniu rannych brali udział cywile. Podobno w chwili śmierci płonący ludzie śpiewali swoje narodowe pieśni. Francuzi „Marsyliankę", Polacy „Mazurka Dąbrowskiego", Żydzi pieśni syjonistyczne… Alianci po zajęciu miasteczka dokonali ekshumacji pośpiesznie zakopanych ciał. Okazało się, że zamordowano 1016 ludzi.[3]

Najpierw pokazałem, a potem przeczytałem ten rozdział mojej niemal 89-letniej wówczas matce, która – słuchając opowieści o Gardelegen – bardzo się ożywiła. Powiedziała: „Boże! To ja tam byłam!", a po chwili, zapytana przeze mnie o jakieś konkrety, opowiedziała to, co w jej pamięci zachowało się żywymi obrazami z wojennej młodości[4].

– To był koniec wojny. Dobrze pamiętam, bo już wszyscy szykowali się na wejście amerykańskiego wojska. Nie było tylko wiadomo, kiedy to nastąpi. Właściciele, to znaczy zarządcy naszej fabryki wysyłali nas do miasta po jedzenie. I chodząc od sklepu do sklepu w poszukiwaniu chleba, mąki i konserw, widziałyśmy tę grupę więźniów, których prowadzili esesmani. To były resztki więźniów z różnych obozów. Tak mówili miejscowi Niemcy, którzy oglądali ten przemarsz z nami. Potem musiałyśmy wrócić do fabryki, ale za kilka godzin zorientowałyśmy się, że coś wielkiego pali się za miastem. Dym i ogień było widać z każdego miejsca w Gardelegen. Nikt z nas nie wiedział, co się pali. Żadna z nas nie miała pojęcia, że to płonie ta wielka stodoła z więźniami. Kiedy wkroczyli Amerykanie i mogłyśmy swobodnie chodzić po mieście, poszłam z koleżankami obejrzeć to pogorzelisko. To był straszny widok. W murach tej stodoły widziałam metrowej wielkości otwory, które ci palący się ludzie wyszarpali gołymi rękami albo powybijali jakimiś belkami, które znaleźli w stodole. Tych, którzy uciekali z ognia właśnie przez te dziury i przez rozerwane drewniane wrota, Niemcy na zewnątrz zabijali z karabinów maszynowych. Trzy dni później odnalazł się jakiś żywy człowiek z tego pożaru. Podobno tylko on ocalał. Podobno tylko jemu udało się uniknąć kuli karabinowej. Trzy dni siedział bez jedzenia i picia w gąszczu wielkich łopuchów. To taki dziki rabarbar o wysokich i dużych liściach. Myśmy z nim rozmawiały. To był Polak. On przez te trzy dni nie wiedział, co się dzieje dookoła. Nie wiedział, że wojna się skończyła i że może wyjść. Niemcy tych spalonych i zastrzelonych ludzi szybko zakopali, ale Amerykanie natychmiast zaczęli ich odkopywać. Pamię-

1 Jest to prawdopodobna nazwa zakładu pracy mojej matki, którą zrekonstruowałem z odsłuchu, spisując zapamiętaną przez nią frazę.

2 Artykuł opublikowano w sobotnio-niedzielnym dodatku PlusMinus do dziennika „Rzeczpospolita" (wydanie: 29-30 stycznia 2011).

3 Przebieg zdarzenia: 15 kwietnia 1945 żołnierze posuwającej się na wschód 102 Dywizji Piechoty IX Armii Stanów Zjednoczonych natknęli się w miejscowości Gardelegen na wypaloną murowaną stodołę. Okazało się, że znajdują się w niej spalone i osmalone zwłoki 1016 jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych. Co się tam wydarzyło? Dnia 13 kwietnia 1945 jednostka SS umykająca przed Sowietami i prowadząca ich w „marszu śmierci" ze wschodu, natknęła się na amerykańskie czołówki i postanowiła usunąć zbędny „balast". Ok 1100 więźniów spędzono do stodoły z sianem, podlano benzyną i podpalono. Na wprost wrót stodoły ustawili się SS-mani z bronią maszynową, granatami, panzerfaustami i dobijali tych, którym udało się jakimś cudem wydostać z płonącego budynku. Oprócz SS w akcji brali również udział żołnierze Luftwaffe, Fallschirmjager, Hitlerjugend, Volkssturm. Kolejny przyczynek do legendy o „rycerskim" niemieckim żołnierzu. Amerykanom tylko w 4 przypadkach udało się ustalić tożsamość ofiar. Dla 301 ofiar ustalono zaledwie ich numery obozowe. 711 więźniów w ogóle nie zidentyfikowano. Udało się ustalić narodowość 186 poległych: 60 Polaków, 52 Rosjan, 27 Francuzów, 17 Węgrów, 8 Belgów, 5 Niemców, 5 Włochów, 4 Czechów, 4 Jugosłowian, 2 Holendrów, 1 Meksykanina (?) i 1 Hiszpana. Amerykanie zmusili mieszkańców okolicznych miejscowości do kopania grobów i grzebania zwłok. Amerykańscy żołnierze opowiadali, iż widoczne było jak na dłoni, że Niemcy tylko udawali skruchę i wyrzuty sumienia – w rzeczywistości byli zadowoleni z takiego obrotu spraw. Czuli ulgę, że nie dane im było dostać sie w ręce uwolnionych więźniów. SS-mani „rozwiązali" ten palący „problem" likwidując potencjalnych mścicieli. Człowiek przypuszczalnie bezpośrednio odpowiedzialny za masakrę, to niejaki Gerhard Thiele – wysoko postawiony nazistowski cywilny urzędnik na obszarze dystryktu Gardelegen (nie mylić z niemieckim astronautą o tym samym nazwisku). Nigdy go nie schwytano – pewnie zmarł w jakimś małym miasteczku w Ameryce Płd., jako szacowny starszy pan. Schwytano i uwięziono innego „ważnego" – SS-Untersturmführera Erharta Brauny'ego, który zmarł w 1950 r. Oprócz tego zatrzymano „płotki", które potem na skutek sojuszniczego porozumienia, w liczbie 21 osób, przekazano pod sowiecką jurysdykcję. Odsiadywali kary w specjalnych obozach na terenie DDR. Na podstawie: http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/index.html; cytat, za: http://www.historycy.org/index.php?showtopic=25291.

4 Więcej na ten temat można przeczytać w Internecie, m.in. na stronie: http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre.html; natomiast krótka historia miasta jest zamieszczona na stronie: http://en.wikipedia.org/wiki/Gardelegen

tam to dobrze, bo każda rodzina z Gardelegen, która znalazła się na amerykańskiej liście, musiała oddelegować do ekshumacji jednego mężczyznę. Mój Szef też znalazł się w tej grupie. Musiał zabrać z domu dwa prześcieradła i osobiście odkopać dwa trupy, zawinąć je w te prześcieradła, a potem znowu zakopać, ale już w miejscu wskazanym przez Amerykanów. Szefowa mówiła nam, że Szef potem przez tydzień nie mógł jeść. Co zjadł, to zaraz wyrzygał. Myśmy tam chodziły oglądać z daleka to odkopywanie zwłok. Wojna przyzwyczaiła nas do różnych widoków, ale to było najgorsze. Tam pełno było gapiów, amerykańskich żołnierzy i ludzi z kamerami, z aparatami fotograficznymi. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłam korespondentów wojennych. Podobno była tam też amerykańska telewizja. Tak mówili ci, co się na tym znali. Dwa dni później wywieziono nas do obozu przejściowego dla wyzwolonych niewolników, a stamtąd trafiłam do Hannoveru. Nigdy więcej w Gardelegen nie byłam.

Zainteresowany wojennymi losami matki, ale i pamiętając z kępińskiego jeszcze dzieciństwa jej opowieści o pobycie w Gardelegen, postanowiłem wypytać ją o kilka spraw z tamtego okresu. Zainspirowała mnie do tej rozmowy przede wszystkim lektura książki Rogera Moorhouse'a pt. „Stolica Hitlera"[5], w której szczególnie bliski (z racji doświadczeń wojennych moich rodziców) stał mi się rozdział 6, zatytułowany „Niepożądani cudzoziemcy". Traktuje on o losie robotników przymusowych (zwanych *Zwangsarbeiter*) zwożonych do Berlina z podbitych krajów Europy Wschodniej oraz o życiu w stolicy III Rzeszy pracowników zagranicznych (zwanych *Ausländische Arbeitkräfte* lub *Fremdarbeiter*) zwożonych do Berlina z Francji, Belgii, Holandii i Danii. A zatem, żeby oddać sens i treść tej rozmowy, chyba ostatniej naszej rozmowy na ten temat w latach jej późnej starości, po prostu przytoczę z pamięci słowa mojej matki.

– Najpierw, jak nas w kwietniu 1942 roku przywieźli pociągiem nad Elbę, trafiłam z innymi dziewczynami na wielką farmę rolną. To były głównie długie pola szparagów. Musiałyśmy te szparagi zbierać dwa razy dziennie, ale poza tym nikt nas tam do niczego nie zmuszał. Mieszkałyśmy w drewnianym baraku z ubikacjami i natryskami. Nie było tam żadnego ogrodzenia ani żadnych strażników, więc mogłyśmy w ciągu dnia chodzić do lasu lub nad rzekę. Posiłki dowozili nam z kuchni, która znajdowała się kilka kilometrów dalej w budynkach należących do właściciela gospodarstwa. Kiedy skończył się sezon zbioru szparagów przewieźli nad do Gardelegen, do przetwórni owocowo-warzywnej, gdzie znajdowała się też fabryka konserw. Zarządzał nią Herr Schlender. Wszyscy mówili na niego Kogut, bo był wysoki i chudy, no i pilnował nas tam, w tej fabryce, jak kogut pilnuje na podwórzu stadko swoich kur. A było nas tam trzydzieści młodych Polek, głównie z Wielkopolski i Kujaw. Rok przed końcem wojny 25 dziewczyn, które pochodziły z Włocławka, przeniesiono do innej fabryki, a w Gardelegen zostało nas tylko pięć Polek z Wielkopolski. Oprócz nas i kilku miejscowych Niemców, w tej fabryce pracował jeszcze jeden Francuz, jeden Duńczyk, jeden Rosjanin i jakiś Ukrainiec, który stale podkreślał swoją wyższość nad nami i domagał się lepszego traktowania, bo wiadomo, że Ukraińcy służyli w niemieckim wojsku i w SS. Tak więc nasz szef, ten Kogut, nie był nazistą i nie pamiętam, żeby nas kiedykolwiek traktował jak niewolników, albo żeby nasyłał na nas policję lub gestapo. Za to jego pomocnik, brygadzista w naszej fabryce, był nazistą całą gębą. Stale wyzywał nas od polskich świń i parszywych sabotażystów. Ciągle też straszył nas, że skończymy w obozie za drobne nawet przewinienie. Była tam jeszcze kobieta, która nas pilnowała. Mówiliśmy o niej Frau Lagrowa, od słowa *Lager*. To ona zamykała wieczorem i otwierała rano budynek przyfabryczny, w którym mieszkałyśmy. My zajmowałyśmy cały wysoki parter, a ona mieszkała nad nami. Najlepsza z nich wszystkich była żona Koguta. Mówiłyśmy do niej Szefowa. Kobieta miała złote serce. Traktowała nas jak córki, bo własnych dzieci nie miała. Miała tylko psa, na którego wołała Zucień. Ta nazwa pochodziła od imienia Ziuta. Pomagałyśmy jej robić pranie, sprzątać mieszkanie, myć okna, gotować i piec ciasta na święta. Ona w zamian dbała o nas na każdym kroku. Na przykład pozwalała nam korzystać o każdej porze dnia i nocy z wielkiej fabrycznej pralni, w której był kocioł do gotowania bielizny pościelowej. Kąpałyśmy się w tym kotle po dwie, trzy jednocześnie. Zawsze chodziłyśmy czyste i zadbane. Między innymi dlatego, że załatwiła nam wizyty u miejscowego fryzjera, który robił nam trwałe ondulacje. Latem pracowałyśmy w fabryce od 7 rano do 7 wieczorem z godzinną przerwą na obiad, a zimą od 7 rano do 5 po południu, też z przerwą na obiad. Niedziele miałyśmy wolne, ale często właśnie w niedzielę przyjeżdżały wagony z butelkami, słoikami, kartonami i puszkami do konserw, więc trzeba było je szybko rozładowywać. Obok fabryki stał barak pełen wszelkich ubrań damskich i męskich. Były to dary ludności Niemiec dla rodzin z dużych miast, których domy zostały zbombardowane przez samoloty aliantów. Te rodziny mieszkały po wsiach i w małych miasteczkach, jak nasze Gadelegen. A ten barak był miejscem, gdzie zaopatrywano je w odzież. Szefowa raz w miesiącu dawała nam klucz do tego baraku i mogłyśmy stamtąd brać wszystko, co było nam potrzebne. Zawsze więc po pracy chodziłyśmy elegancko ubrane. Dzięki tej odzieży nie odróżniałyśmy się od prawdziwych Niemek, więc kiedy w niedzielę rano Szefowa dawała nam wypłatę za miniony tydzień i dodatkowo kieszonkowe za dobrą pracę, chodziłyśmy do kina i do najlepszej kawiarni w mieście[6]. W tym czasie obowiązkową literę „P" chowałyśmy pod klapę marynarki, płaszcza lub garsonki. Za brak tej litery umieszczonej w widocznym miejscu raz tylko zapłaciłyśmy karę. Po kilka lub kilkanaście marek każda, ale szczegółów już nie pamiętam. Policjant, który nas na tym przyłapał, przyszedł do fabryki, wypisał nam mandaty i powiedział w obecności Szefa, że jeszcze jeden taki wybryk a zostaniemy odesłane do obozu. A ten barak z ubraniami, co stał przy torach kolejowych i przy naszej fabryce, to został kiedyś przez pomyłkę zbombardowany przez angielskie samoloty. Bomby zamiast na dworzec spadły na ten barak. Pamiętam, że przez kilka dni wszędzie leżały szmaty i resztki ubrań. A w czasie bombardowań cała załoga naszej fabryki, z Szefem i Szefową włącznie, za każdym razem uciekała do pobliskiego lasu, za tory kolejowe, gdzie się ukrywałyśmy przed samolotami. My musiałyśmy zawsze zabierać z sobą taki nieduży wózek na czterech kołach, w którym Szefowa trzymała wszystkie swoje i męża ważne dokumenty, jakieś kosztowności, pieniądze i najpotrzebniejszą bieliznę, także buty i coś ciepłego do ubrania. W każdym razie w mieście nasza obecność nikomu nie przeszkadzała. To dzięki Szefowej miałyśmy dorobione klucze do magazynu, skąd mogłyśmy brać butelki pełne wina, cukier i pięciolitrowe kartony soków owocowych. Za sok owocowy dostawałyśmy u miejscowego piekarza siedem bochenków chleba na osobę na tydzień, zamiast kartkowego przydziału. Z cukrem biegałyśmy nocami (wychodząc z lagru przez okno w ubikacji) do pobliskiej wioski Zienau, gdzie u bauerów pracowali chłopcy z Polski. Oni mieli dostęp do mleka, my dawałyśmy cukier i co jakiś czas smażyłyśmy u nich cukierki na blasze kuchennego pieca. Wino podbierane z magazynu ciągle stało za szafami w naszych dziesięcioosobowych sypialniach. Przydawało się w różnych okolicznościach, także do konsumpcji na bieżąco. Na święta każda z nas dostawała od Szefowej paczkę z jedzeniem (którą mogłyśmy wysłać do domu), słodycze i butelkę dobrego wina. W czasie wolnym od pracy chodziłyśmy nie tylko do kina, czy do kawiarni. Robiłyśmy długie spacery za miasto i do pobliskich lasów. W czasie jednego z takich spacerów odkryłyśmy pod lasem polski cmentarz żołnierski z czasów I wojny światowej. Leżeli tam Polacy z zaboru pruskiego, głównie z Wielkopolski, którzy zginęli na froncie służąc w niemieckim wojsku. Nasi gospodarze, to znaczy Szef i Szefowa, a także Frau Lagrowa najlepiej traktowali te dziewczyny, które pochodziły z Wielkopolski. Dla nich byłyśmy spolszczonymi trochę rodaczkami, które mieszkały na dawnych terenach niemieckich, czyli na terenach pruskiego zaboru. Ja pochodziłam z nadgranicznego Kępna (*Kempen*), gdzie mieszkało wielu Volksdeutschów i spolszczonych Niemców, więc traktowano mnie w Gardelegen niemal jak przyszłą Niemkę, choć o to nie zabiegałam. Przez trzy lata pracy w tej fabryce trzy razy byłam w domu na urlopie. Raz dostałam miesiąc wolnego z powodu choroby mamy (miała wypadek, złamała sobie pięć żeber), drugi raz dwa tygodnie też z powodu choroby mamy, a trzeci raz, już niemal pod koniec wojny wszystkie nas wysłali do domów na pięciodniowy urlop, żebyśmy załatwiły sobie dokumenty związane z podpisaniem Volkslisty. To miało nam umożliwić pozostanie po wojnie na terenie Niemiec i otrzymanie niemieckiego obywatelstwa. Pojechałyśmy to załatwiać wszystkie pięć dziewczyn, które zostały w fabryce do końca wojny, a gdy wróciłyśmy do fabryki, tośmy opowiadały, że teraz czekamy, aż odpowiednie dokumenty zostaną przesłane do Gardelegen z miejsca zamieszkania. Oczywiście żadna z nas Volkslisty nie podpisała i po wojnie w Niemczech nie została. Ale w sumie miałam chyba szczęście, bo przeżyłam wojnę w miarę spokojnie, pracując u dobrych ludzi. Nigdy nie chodziłam głodna ani obdarta, nikt mnie nie bił, nie popychał, nikt mi nie ubliżał. Tylko brygadzista lubił na nas wrzeszczeć, ale on tam nie miał wiele do powiedzenia, więc kończyło się na krzyku i typowych faszystowskich wyzwiskach.

2.

Chcąc zrozumieć, co moja mama wi- →

5 Roger Moorhouse, Stolica Hitlera, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011.

6 Spytałem matkę, czy pamięta jakieś niemieckie filmy z tego okresu, zwłaszcza genialne (choć z założenia propagandowe) filmy Leni Riefenstahl – „Triumph des Willens" i „Olympia". Nie pamiętała, czy takie filmy puszczano wtedy w kinie w Gardelegen, ale kiedy spytałem ją, czy pamięta wobec tego jakieś niemieckie piosenki z tego okresu, na przykład „Lilli Marleen", okazało się, że pamięta ten utwór. Powiedziała: „No tak, to wtedy wszyscy znali. Zawsze, gdy żołnierze maszerowali przez miasto, to śpiewali tę piosenkę". Ściągniętą z Internetu wersję tego przeboju lat II wojny światowej, w wykonaniu Marleny Dietrich, odtworzyłem w jej obecności. I co? I całą pierwszą zwrotkę wyrecytowała potem z pamięci. Sama była zaskoczona tym faktem.

działa w Gardelegen w kwietniu 1945 roku i czego była wówczas świadkiem, zacząłem penetrować Internet w poszukiwaniu stron, na których – obok relacji i analiz, znalazły się również zdjęcia robione 15 kwietnia i krótko potem przez amerykańskich żołnierzy (i dziennikarzy prasy wojskowej). Czułem intuicyjnie, że opowieść mojej matki o nazistowskiej „Masakrze w Gardelegen" jest wystarczającym powodem, aby spróbować ją (a konkretnie jej skutki) „obejrzeć" pod postacią fotograficznego dokumentu i reporterskich migawek oraz spróbować zbadać te zapośredniczone kadry (czyli wydobyte z Sieci cyfrowe reprodukcje analogowych, czarno-białych odbitek) pod względem ich ówczesnego i dzisiejszego przekazu. Chodzi mi o ten rodzaj przekazu (pomijając referencyjność tych zdjęć oraz towarzyszące ich oglądaniu czyste, trudne do zdefiniowania emocje), który wynika z domniemania, że każda fotografia, że każda grupa zdjęć spójnych tematycznie jest formą przekazu retorycznego lub może taki przekaz zawierać. Zresztą niezależnie od moich, czy mojej matki uczuć i przemyśleń.

Zacznijmy od konstatacji, że w przepastnych otchłaniach Internetu nie natrafiłem na żadne zdjęcie nazistowskiej masakry w Gardelegen wykonane ręką niemieckich uczestników tej masowej zbrodni, choć popełniono ją przy dyskretnym aplauzie i aktywnym uczestnictwie miejscowej ludności. Przypomnijmy cytowaną w przypisie trzecim opinię: *Amerykańscy żołnierze opowiadali, iż widoczne było jak na dłoni, że Niemcy tylko udawali skruchę i wyrzuty sumienia – w rzeczywistości byli zadowoleni z takiego obrotu spraw. Czuli ulgę, że nie dane im było dostać się w ręce uwolnionych więźniów. SS-mani „rozwiązali" ten palący „problem" likwidując potencjalnych mścicieli*. Przypomnijmy też fragment cytowanego wcześniej artykułu z „Rzeczpospolitej": *Wydarzenie to miało miejsce 13 kwietnia 1945 roku. Tego dnia do Gardelegen, miasteczka położonego w Saksonii-Anhalt, przybył oddział esesmanów konwojujący dużą grupę więźniów, głównie z obozu Mittelbau-Dora. Strażnicy poprosili mieszkańców o pomoc w pilnowaniu kolumny. Zgłosiło się kilkudziesięciu ochotników. Powszechnie szanowani obywatele miasteczka udali się na miejsce zbiórki. Część zaopatrzyła się w sztucery myśliwskie, inni po prostu w kije. W grupie oprócz zwykłych mieszczan znaleźli się pracownicy administracji, członkowie partii, podstarzali mężczyźni z Volkssturmu oraz nastolatki z Hitlerjugend. Wszyscy wzięli udział w masakrze.*

Czyżby zatem nikt nie sfotografował marszu śmierci, który sunął ulicami miasteczka? Czyżby nikt, żaden miejscowy ochotnik udzielający aktywnie pomocy funkcjonariuszom SS, nie sfotografował płonącej stodoły? Czyżby w końcu żaden SS-man nie utrwalił na kliszy tego spektakularnego wyczynu swoim małym niemieckim aparatem fotograficznym? Może źle szukałem, a może po prostu takie zdjęcia nie istnieją. A jeżeli istnieją, na przykład w jakichś prywatnych zbiorach, to należy sądzić, że nigdy nie ujrzały światła dziennego. Przynajmniej w wersji oficjalnej[7].

W tym miejscu warto wspomnieć, że armia hitlerowska była świetnie przygotowana do działań fotograficznych w zakresie dokumentu i reportażu wojennego głównie za sprawą specjalnie szkolonych oddziałów propagandowych. Henryk Latoś w swojej książce „Z historii fotografii wojennej" dosyć dokładnie omawia to zjawisko:

Po dojściu do władzy partii faszystowskiej z kraju tego poczęli masowo emigrować wybitni fotografowie, uchodząc przed prześladowaniami rasowymi i przed niebezpieczeństwem podporządkowania oficjalnej hitlerowskiej propagandzie wszelkich działań z zakresu literatury i sztuki, w tym i fotografii. W latach trzydziestych cała niemiecka fotografia, ze zrzeszeniami i towarzystwami fotograficznymi włącznie, została bez reszty wprzęgnięta w machinę hitlerowskiej propagandy. Wydawane corocznie „Deutschen Kamera-Almanach" stały się trybuną nazizmu i faszystowskiego ekspansjonizmu, a każdy numer obowiązkowo musiał zawierać wymuskane i paradne zdjęcia führera, często w otoczeniu partyjnej i wojskowej świty. W okresie wojny almanachy te reprodukowały wyłącznie zdjęcia wojenne. Już przed napaścią na Polskę w armii zostały utworzone Propaganda-Kompanie, składające się ze specjalnie przeszkolonych dziennikarzy, fotoreporterów i operatorów filmowych[8]. Fotoreporterzy mieli obowiązek wykonywać tylko takie zdjęcia, które potwierdzałyby głoszone hasła i zaspokajały potrzeby propagandy. Żołnierz niemiecki miał być pokazywany jako bohater, dżentelmeński wobec pokonanych, człowiek dobry i szlachetny. Dla osiągnięcia tych celów uciekano się nierzadko do trików, fotomontaży i fałszerstw. Dobrze widziane były zdjęcia ukazujące przeciwnika w sposób lekceważący, a nawet obelżywy. Liczne zastępy fotoreporterów Propaganda-Kompanie w pierwszej fazie wojny, kiedy hitlerowskie wojska kroczyły od sukcesu do sukcesu, miały ułatwione zadanie. Nietrudno było wyśmiewać przeciwnika, który się cofał, i pokazywać własnego żołnierza jako nieustraszonego, zwycięskiego bohatera. Kiedy role się zmieniły i niemieckie wojska rozpoczęły odwrót, kiedy widmo klęski zaczęło zaglądać w oczy, znacznie trudniej było spełniać żądania dowództwa służb propagandy. Jeśli nawet powstawały zdjęcia zasiewające pewną dozę niepewności i niepokoju co do sensu dalszej wojny, to i tak nie przedostawały się na łamy czasopism, a tym bardziej wspomnianych almanachów, które niemal do końca usiłowały trzymać „fason".[9]

Skoro tak, to można domniemywać, że 13 kwietnia 1945 roku, kiedy doszło do masakry w Gardelegen, żadne zwarte i kontrolowane przez nazistowską cenzurę kompanie propagandowe już nie istniały. W rękach oficerów i żołnierzy, także oddziałów SS, które nadzorowały marsze śmierci, zapewne nadal sporo znajdowało się sprzętu fotograficznego. Jednakże w obliczu nieuchronnej klęski nikt – jak można się domyślać – nie ryzykował własnej przyszłości dźwigając jakiekolwiek obciążające go materiały, zwłaszcza zaś naświetlone filmy lub gotowe odbitki, na których dokumentowano by własne uczestnictwo w różnego typu zbrodniczych akcjach eksterminacyjnych. Z tego zapewne powodu SS-mani mogli nie fotografować zapędzania więźniów do mającej za chwilę spłonąć stodoły, ale być może ktoś z grona cywilnych pomocników, chętnie biorących udział w pilnowaniu i konwojowaniu więźniów na miejsce zbrodni, mógł wykonać kilka zdjęć, jeżeli oczywiście nadzorcy z SS kategorycznie nie zabronili wcześniej jakiegokolwiek fotografowania.

Przy okazji, skoro mowa tutaj – co potwierdzają materiały źródłowe – o współuczestnictwie cywilów w świadomym i konsekwentnym uśmiercaniu byłych więźniów obozów koncentracyjnych, warto zapytać, co w okresie II wojny światowej stało się z narodem niemieckim, a przynajmniej jakąś jego częścią, że wiele osób bez najmniejszych oporów aktywnie włączało się u schyłku III Rzeszy w mordowanie więźniów-niewolników (np. uczestników marszów śmierci), nie będąc do tego zmuszanym przysięgą wojskową, noszonym mundurem czy rozkazem przełożonych? Z moich osobistych refleksji (popartych wieloma poważnymi lekturami) wynika, że dwudziestowieczne niewolnictwo zostało nie tylko wpisane w zbrodniczą ideologię nazizmu i komunizmu, nie tylko konsekwentnie praktykowane było na masową skalę w sowieckich łagrach i hitlerowskich obozach koncentracyjnych, ale także w pewien sposób i bez większych oporów zostało zaakceptowane przez część społeczeństwa hitlerowskich Niemiec i Rosji sowieckiej. Być może zatem niewolnictwo, nie tylko jako forma życiowej opresji, ale także jako przejaw określonej normy społecznej, jako forma, sposób organizowania gospodarki państwowej oraz funkcjonowania społeczeństwa klasowego, było – zwłaszcza w III Rzeszy – pojmowane w kategoriach oczywistych konsekwencji historyczno-biologicznych: przynależności albo do rasy panów, albo do rasy niewolników. Podobnie przecież, choć być może nie tak zbrodniczo, uprawiano, praktykowano i tolerowano niewolnictwo w starożytnej Grecji, w starożytnym Rzymie, na obszarze imperiów muzułmańskich, a wcześniej egipskich, babilońskich i perskich. Tak więc – *nihil novi sub sole*. Być może i dzisiaj wystarczy jakiemuś społeczeństwu/narodowi stworzyć odpowiednie warunki ideologiczne i ekonomiczne do praktykowania oraz akceptowania niewolnictwa we współczesnej postaci (przykładów tegoż daleko szukać nie trzeba), aby stało się ono akceptowaną przez większość, przyjmowaną ze zrozumieniem „normalną" częścią rzeczywistości.

Można więc zaryzykować stwierdzenie, że historia ludzkości jest także nieustającą historią niewolnictwa, w której okresy walki z tym procederem (w imię głoszonych przez humanistów wartości), albo jego zanik, są w gruncie rzeczy tylko niewiele znaczącymi epizodami. Od wolności osobistej człowieka do niewolnictwa politycznego, ekonomicznego, kulturowego, religijnego lub światopoglądowego ciągle, jak przed wiekami, jest tylko mały krok. Tak więc, skoro niewolnictwo zawsze było częścią świata człowieka, skoro zawsze stanowi-

7 O problemie nazistowskiego dokumentu fotograficznego, który pochodzi z miejsca popełnienia zbrodni, pisze Frédéric Rousseau w książce Żydowskie dziecko z Warszawy. Historia pewnej fotografii, wydawnictwo Słowo/Obraz/Terytoria, Gdańsk 2012; patrz rozdział „Powrót do dokumentu źródłowego", s. 65-111.

8 Podstawowymi oddziałami propagandowymi niemieckich sił zbrojnych były kompanie propagandowe (Propaganda-Kompanie). Składały się zazwyczaj z 3 plutonów korespondentów wojennych i 1 plutonu propagandowego. Ich zadaniem było relacjonowanie wydarzeń militarnych, a także prowadzenie wojny psychologicznej. Służyło w nich wielu znanych dziennikarzy i pisarzy niemieckich. Od sierpnia 1938 r. znajdowały się one w strukturze Oberkommando der Wehrmacht (OKW), a od 1939 r. ich status był analogiczny do statusu jednostek propagandowych Luftwaffe i Kriegsmarine. Formalnie podlegały one Ministerstwu Propagandy kierowanemu przez Josepha Goebbelsa. W okupowanym krajach i na frontach zwierzchnictwo nad nimi sprawował odpowiedni departament OKW zwany Wehrmachtspropaganda. Źródło: http://pl.wikipedia.org/wiki/Niemieckie_oddzia%C5%82y_propagandowe

9 Henryk Latoś, Z historii fotografii wojennej, Wydawnictwo MON, Warszawa 1985, s. 269-270.

ło część jego opresyjnej kultury, skoro na trwałe usadowiło się ono w ludzkiej mentalności pod postacią swoistej normy cywilizacyjnej, to trudno dziwić się postępowaniu ideologicznie urobionych Niemców, którzy bez specjalnych skrupułów i zahamowań w okresie II wojny światowej przyjmowali do wiadomości fakt istnienia na terenie swojego kraju (a konkretnie na terenie III Rzeszy) niewolników, jako pozbawionej wszelkich praw wielomilionowej armii podludzi. Podludzi tych – tak, jak traktuje się hodowlane, pociągowe, cyrkowe, doświadczalne lub juczne zwierzęta – więziono (bo niewolnik nie może żyć poza zoną), zmuszano do wyniszczającej pracy (bo niewolnik musi być opłacalny ekonomicznie), wykorzystywano na wszelkie możliwe sposoby (bo niewolnik jest tylko żywym przedmiotem), a w końcu zabijano bez oporów, jeżeli okazywali się oni zbędni, bezwartościowi lub w jakikolwiek sposób niebezpieczni dla swoich panów, czyli właścicieli. Wszystko to jak ulał pasuje do sytuacji mającej związek z masakrą w Gardelegen, której niemym świadkiem była moja matka – niewolnik z wyższej półki, niewolnik fabryczny. Ślad, pozostałości i niektóre konsekwencje tej masakry udokumentowane zostały na kilkudziesięciu zwykłych zdjęciach wykonanych na miejscu zbrodni przez dwóch, może trzech fotografujących żołnierzy US Army niemal natychmiast po wejściu do Gardelegen wojsk amerykańskich i odkryciu za miastem dziwnej stodoły pełnej spalonych trupów[10]. Większe oddziały wojskowe zawsze miały w swoich szeregach fotografów, którzy albo po amatorsku, albo na zlecenie służb prasowych US Army dokumentowali wydarzenia frontowe. O tym, jak wyglądała taka praca żołnierza i fotoreportera w jednej osobie, zresztą pod czujnym okiem wojskowej cenzury, opowiedział interesująco w filmowym serialu BBC Tony Vaccaro (rocznik 1922), znany amerykański fotograf starszego pokolenia[11], który w roku 1944 i 1945 był uczestnikiem walk na terenie Francji i hitlerowskich Niemiec, a po opuszczeniu wojska został i fotografował w zachodniej Europie do 1949 roku.

Tak więc cały materiał fotograficzny, jakim mogę dzisiaj posłużyć się na okoliczność tych rozważań, pochodzi wyłącznie z jednego źródła – są nim prywatne zbiory kilku byłych żołnierzy amerykańskich oraz kadry wykonane na użytek wewnętrzny dla amerykańskiej prasy wojskowej (na pewno są to odbitki i być może też negatywy mało- i średnioformatowe), zdeponowane następnie w US Holocaust Memorial Museum[12]. O wyjątkowości i szczupłości tego zbioru świadczy fakt, że na kilkudziesięciu innych stronach www, do których dotarłem, a które w jakikolwiek sposób odnoszą się do masakry w Gardelegen, pojawiają się wyłącznie te i tylko te obrazy, jakie pozyskałem i ja w ramach mozolnej internetowej kwerendy. Zdjęcia te, których cyfrowe skany via Internet trafiły do naszego tekstu, nic nie mówią o sprzęcie, przy pomocy którego je wykonano, nic nie mówią o odczuciach fotografów, nic nie wyjaśniają w kwestii atmosfery panującej wówczas w Gardelegen. A było się nad czym zastanawiać, bo przecież to niewielkie miasteczko rękami swoich obywateli (a więc rękami cywilów) aktywnie wsparło zbrodnicze poczynania oddziałów SS. Dostępny materiał fotograficzny, różnej zresztą jakości, podzieliłem na kilka grup tematycznych: widok spalonej stodoły (1, 1a, 1b); zbliżenia stodoły z widocznymi fragmentami spalonych ciał (2, 2a, 2b, 2c, 2d, 2e); zbliżenia, obrazy spalonych ciał (3, 3a, 3b, 3c, 3d, 3e, 3f, 3g, 3h, 3i, 3j, 3k); obrazy ukazujące m.in. obywateli Gardelegen, którzy decyzją stacjonujących w mieście oficerów US Army przygotowują się do ekshumacji oraz ponownego grzebania ciał zamordowanych więźniów (4, 4a, 4b, 4c, 4d, 4e, 4f, 4g, 4h, 4i); czynności ekshumacyjne (5, 5a, 5b, 5c, 5d, 5e, 5f); kopanie grobów i grzebanie ciał (6, 6a, 6b, 6c, 6d, 6e, 6f, 6g, 6h); zdjęcia żołnierzy amerykańskich, którzy uczestniczyli w tej operacji (7, 7a, 7b); niemieckojęzyczny napis na tablicy upamiętniającej wydarzenia z 13 kwietnia 1945 roku, która znajduje się na cmentarzu w Gardelegen (8). W sumie 51 zdjęć. Do tego dochodzi też zeskanowana w pięciu plikach amerykańska broszura wojskowa poświęcona w całości masakrze w Gardelegen, na którą składa się, oprócz tekstu, 10 fotografii prasowych. Dwie z nich nie występują we wcześniejszym zestawie (widok cmentarza po zakończeniu prac grzebalnych), jedna jest zmienioną nieco wersją (szerszy kadr) zdjęcia 4c, jedna jest powtórzeniem kadru 1c, jedna jest powtórzeniem kadru 7b (salwa honorowa – *102nd Division soldiers fire a 21 gun salute at the cemetery*), a pięć pozostałych to inne lub podobne do wcześniejszych ujęcia z grupy fotografii „zbliżenia i obrazy spalonych ciał" (3-3k).

Razem daje to 61 zdjęć, na podstawie których w zasadzie można wyrobić sobie pogląd w kwestii masakry i jej następstw, ale tylko w wymiarze sytuacyjnym. Niczego bowiem, patrząc na te kadry, nie dowiemy się o nastrojach panujących wówczas wśród mieszkańców Gardelegen i żołnierzy amerykańskich, o emocjach, jakie musiały towarzyszyć jednemu z ostatnich koszmarnych „epizodów" II wojny światowej. Utrwalone na zdjęciach nagie „kawałki" tamtego miejsca i czasu, nawet wzbogacone o oryginalne podpisy z amerykańskiego archiwum (patrz: Aneks), niewiele nam mogą powiedzieć o tym, co się tam wówczas działo naprawdę. Tam, czyli na ulicach i w domach małego niemieckiego miasteczka Gardelegen. Tam, czyli w duszach oraz sercach oprawców, dobrowolnych współuczestników zbrodni, niemych świadków zdarzenia (np. w duszy i sercu mojej matki), mężczyzn zapędzonych do grzebania ciał (marsz białych krzyży), ale i amerykańskich żołnierzy, którzy wzięli na siebie obowiązek zorganizowania cmentarza dla ponad tysiąca ofiar nazistowskiego obłędu śmierci. Na jednym ze zdjęć (2b) widać trzech żołnierzy w pobliżu odsuniętych wrót stodoły i kilku ciał spalonych więźniów. Żołnierze są w ruchu, patrzą w prawo, poza kadr, a ten, który jest najbliżej, zamiast karabinu trzyma w rękach aparat fotograficzny. Pracuje w bezgłośnym przerażeniu, choć być może nie jest to najgorszy widok, jaki przyszło (albo jeszcze przyjdzie) mu uwiecznić na kliszy w ramach pełnienia obowiązków wojennego fotoreportera. Na innym zdjęciu (5) widać od tyłu żołnierza (być może jest to ten sam fotoreporter ze zdjęcia 2b) bez broni długiej, który najprawdopodobniej fotografuje (wskazuje na to postawa, jaką zazwyczaj przyjmuje osoba robiąca zdjęcia aparatem typu box albo lustrzanką dwuobiektywową) miejsce ekshumacji oraz przygotowania do kopania grobów. Tego samego (lub innego) żołnierza z aparatem fotograficznym widać także na zdjęciach 2d i 4d. Na tym samym zdjęciu 4d widzimy ponadto ocalałego uczestnika marszu śmierci, który (leżąc) pokazuje i opowiada żołnierzom amerykańskim, w jaki sposób wydostał się z płonącej stodoły (*Geza Bondi, a Hungarian prisoner, tells American soldiers how he escaped from the barn*).

Na jedno jeszcze zdjęcie chciałbym zwrócić szczególną uwagę. Widać na nim (4), co też wynika z podpisu, trzech burmistrzów miast leżących w okolicy spalonej stodoły, którym Amerykanie kazali obejrzeć na własne oczy efekty zbrodni, skoro uczestniczyli w niej ich współobywatele (*Three mayors from the vicinity pay their respects to the murdered prisoners. The photograph above appears to be a posed publicity picture, taken by the US Army Signal Corp. The three men are the mayors of the surrounding towns*). Obraz co najmniej zastanawiający – trzej mężczyźni klęczą w milczeniu wewnątrz stodoły nad ciałem spalonego więźnia. Oświetla ich błysk flesza, a z tyłu, poza budynkiem, w prześwicie rozwalonych wrót grupa żołnierzy w hełmach przygląda się tej scenie. O czym myślą (myśleli wówczas) owi trzej burmistrzowie? Ciekawe, czy zdawali sobie sprawę z faktu, że koniec wojny, to nie tylko koniec udręki, bombardowań oraz głodu i niewygód wszelkiego rodzaju, ale także hańba spadająca na ich głowy i głowy ich dzieci? Bo to oni przecież do niedawna jeszcze reprezentowali w swoich miasteczkach naród panów. A teraz klęczą pokornie (choć być może bez wewnętrznego poczucia skruchy) nad ciałem spalonego niewolnika i co? Cierpią osobiście z powodu dokonanej nie ich rękami zbrodni, żałują za grzechy opętanego nazizmem narodu? Wstydzą się swojej nazistowskiej przeszłości, czy może raczej skrycie nienawidzą zwycięzców (aliantów) za ten gest upokorzenia, w którym zostali zrównani z prochem ciał spalonych niewolników? Tego nie dowiemy się już nigdy, ale dzięki fotografii możemy zajrzeć na moment w ten świat, który dla mnie jest już tylko światem z książek i filmów, a dla mojej matki był światem rzeczywistym, realnym, stuprocentowym. Ona stała tam, gdzie klęczą owi trzej burmistrzowie. Dotykała murów stodoły oczyszczonej już ze spalonych ciał. Widziała cmentarz i amerykańskich żołnierzy. Widziała też swojego Szefa, zwanego Kogutem, który po powrocie z przymusowej, zarządzonej przez Amerykanów, akcji grzebania spalonych więźniów przez tydzień wymiotował przy każdej próbie zjedzenia czegokolwiek. Musiała trwać w tym świecie nie z własnej woli, musiała sobie w nim radzić, musiała jakoś pojąć, przyswoić i zrozumieć to, co działo się niemal na jej oczach. Zapewne, jak wielu innych niewolników, chciała to wszystko przeżyć i wrócić do domu, do normalności. Tyle tylko, że ta wymarzona normalność na nieszczęście okazała się normalnością równie koszmarną, bo ko- →

10 Należy się domyślać, że tych zdjęć powstało dużo więcej, zapewne kilkaset (najpewniej też istnieje gdzieś pełna dokumentacja fotograficzna „Masakry w Gardelegen"), ale z jakiegoś powodu do publikacji prasowych oraz do tekstów zamieszczonych w Internecie trafiła niewielka liczba kadrów. Swoje rozważania oparłem więc na tym właśnie materiale ikonograficznym.

11 Historia fotografii. Geniusz zaklęty w fotografii, 6-cioczęściowa produkcja BBC, © BBC 1996, odcinek 3 pt. „W odpowiednim czasie, w odpowiednim miejscu"; także patrz – Tony Vaccaro, źródło: http://en.wikipedia.org/wiki/Tony_Vaccaro. Patrz także: Tony Vaccaro. War Photographer, źródło: http://www.military-history.org/articles/war-photographers/tony-vaccaro-war-photographer.htm

12 W materiale źródłowym, umieszczonym w Aneksie, pojawiają się nazwiska: Bill Wilson, Craig Tisbury i Robert Archie Fitzgerald (ten ostatni jest uwidoczniony na zdjęciu 7a – These old photos of the Gardelegen massacre were contributed by Ethel B. Fitzgerald Stark, the daughter of the late Robert Archie Fitzgerald of the 124th Ordinance H.M. Company. Robert A. Fitzgerald is the tall soldier in the back row in the photo below).

munistyczną, sowiecką, z wszystkimi tego zbrodniczymi konsekwencjami.

3.

Teraz przyszła pora, aby moja matka, siedząc przed moim komputerem, obejrzała na dużym ekranie monitora to, czego nie mogła zobaczyć 13, 14, 15 i 16 kwietnia 1945 roku w Gardelegen, a właściwie w odległej kilka kilometrów od miasta wielkiej ceglanej stodole. Ten widok, czyli to, co widać na wyjętych z Internetu zdjęciach, ma przed sobą po raz pierwszy w życiu. Za kilka miesięcy skończy 90 rok życia, a kiedy stało się to, co za chwilę obejrzy na zeskanowanych odbitkach starych fotografii, miała zaledwie 22 lata. Siedzi, milczy i patrzy. Po obejrzeniu wszystkich zdjęć mówi: „Tak marnie ci biedacy skończyli. Straszne. A ja przecież wielu z nich mogłam widzieć żywych na ulicy, gdy prowadzili ich esesmani". Wyciera chusteczką nos i dodaje: „Też mogłam znaleźć się w tej stodole, gdyby mnie z fabryki zabrali do obozu… My jednak byłyśmy ryzykantki... Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, co nam grozi. Teraz już wiem, że to nie były żarty, gdy nas straszyli obozem. Pamiętam, jak wtedy ludzie w Gardelegen opowiadali, że esesmani podobno zakopywali w pośpiechu jeszcze żywych, rannych więźniów". Po tych słowach milczy dłuższą chwilę. Potem jeszcze raz ogląda niektóre ze zdjęć i zatrzymuje się przy fotografii 2e, na której widać grupę mężczyzn. Pilnowani przez amerykańskich żołnierzy oglądają przy stodole ciała kilku spalonych więźniów. Prosi, żeby powiększyć obraz. Długo przyglądała się tym ludziom, a potem mówi: „Ten wysoki, trzeci z lewej, to może być mój Szef, Kogut. Tak wyglądał i tak go pamiętam". A więc jednak jest jakiś konkret. Jest punkt styczny przeszłości i teraźniejszości. Tamta, trójwymiarowa prawda rzeczywistego czasu i przestrzeni splotła się z cyfrową, niematerialną, dwuwymiarową, płaską prawdą obrazu i ekranu. Człowiek rozpoznany (prawdopodobnie) na zdjęciu przez moją matkę nazywał się Schlender. Oto, jak materializuje się fenomen fotografii. Moja matka widziała go naprawdę, gdy w wychodzi z fabryki, aby w towarzystwie kilkuset innych mężczyzn grzebać zwłoki spalonych niewolników, a potem widziała go naprawdę, gdy wraca do fabryki odmieniony, zielony na twarzy, chory od fetoru rozkładających się trupów. Teraz, tutaj, pod koniec lutego 2012 roku, przy moim komputerze zobaczyła go na płaskim ekranie monitora (ujrzała – dodajmy – tylko jego niezbyt wyraźną podobiznę uwiecznioną na małej fotografii), jak stoi przy wypalonej stodole w długim płaszczu i wysokim kapeluszu, jeszcze bez łopaty i białego krzyża.

Obyło się bez łez wzruszenia, bez sentymentalnych opowieści, bez umoralniających historyjek o wstrętnych Szkopach i dobrej Szefowej (żonie Schlendera, też przecież Niemce). Może z racji wieku, a może raczej z powodu tak niespodziewanego powrotu do młodości moja matka przez cały czas prezentacji (i moich wyjaśnień, co jest czym i kto jest kim na tych zdjęciach) zachowała spokój. Był to rodzaj szoku medialnego, który nie zabija) i zadziwienia (wobec którego jesteśmy bezbronni), że takie powroty do przeszłości są możliwe. Że te obrazy, zarejestrowane po masakrze przez amerykańskich fotoreporterów, w ogóle istnieją. I to w taki dziwny, niezrozumiały dla niej, niematerialny sposób. Jak w telewizji. A co dziwniejsze, że można je ściągnąć z amerykańskich stron i wydrukować w Gnieźnie, na domowej drukarce HP 710C, w bardzo przyzwoitej zresztą jakości. Tak więc stało się w jej długim życiu coś, co wcześniej było trudno sobie nawet wyobrazić. Moja matka staruszka, dzięki fotografiom, o istnieniu których nie miała pojęcia, oraz dzięki Internetowi, którego zasady działania nigdy zapewne już nie pojmie, uzyskała szansę, aby wreszcie zajrzeć we własną młodość, obejrzeć coś, czego wtedy, w kwietniu 1945 roku, na żywo zobaczyć po prosu nie mogła. A nie mogła, bo najpierw była pracującą dla Niemców młodą Polką, czyli niewolnikiem trzymanym z dala od niemieckiej racji stanu, a kilka dni później już wyzwoloną przez Amerykanów młodą Polką, która mogła zwyczajnie pójść i z koleżankami obejrzeć jedynie nagą stodołę (bez martwych ludzi, bez ich nienazwanego, niewyobrażalnego cierpienia), ale ciągle jeszcze z wyraźnymi śladami ognia i śmierci na ceglanych murach. Jednym słowem wtedy mogła obejrzeć tylko pozamiatany, niemal banalny krajobraz po zbrodni. Mogła też obejrzeć pole zasłane usypanymi z ziemi setkami świeżych nagrobków, w które wbito jednakowe białe krzyże.

To, o czym w przeszłości wspominała w mojej obecności wiele razy, czego nie mogłem w żaden sposób ani zweryfikować, ani racjonalnie poukładać, a co pamiętam z czasów kępińskiego jeszcze dzieciństwa jako rodzaj legendy z Gardelegen, najpierw, dzięki fotografii, stało się weryfikowalną w jakiś sposób prawdą, a potem, dzięki Internetowi, stało się prawdą utrwalonego na odbitce i wyświetlonego na ekranie monitora obrazu. Można go obejrzeć, można go powiększyć, można wydrukować, ale w żaden sposób nie można go ani przeżyć naprawdę, ani zamienić na trójwymiarową realną rzeczywistość głosów, zapachów, kolorów. Jest w tym jakaś upiorna cisza śmierci. Patrząc z niemym przerażeniem na archiwalne zdjęcia z okolic stodoły w Gardelegen, nie można tej ciszy usłyszeć, można ją sobie tylko wyobrazić. Tak, moja matka do tej pory mogła sobie tylko wyobrażać to, co zdarzyło się niemal w jej obecności, w pobliżu, za płotem, jakieś pięć kilometrów za miastem, w którym mieszkała i pracowała. Potem żyła z niedokończonym w pewien sposób mitem Gardelegen w pamięci, rodziła i wychowywała dzieci, pracowała, prowadziła dom i ogród. Zestarzała się, przeszła kilka operacji, czytała gazety, oglądała telewizję, ale nigdy nie natrafiła na żaden obraz Gardelegen, który dopełniłby się w jej świadomości prawdą o masakrze. Teraz, czyli 67 lat później, pod koniec lutego 2012 roku, dzięki fotografii, dzięki zdjęciom amerykańskich fotoreporterów wojennych, które trafiły do Internetu, niczego już nie musi sobie wyobrażać. Teraz już wie, jak tamten świat, a właściwie kawałek tamtego świata (który był wówczas i jej światem) wyglądał naprawdę dwa dni po wspólnej, jakże pięknej – z nazistowskiego rzecz jasna punktu widzenia – zbrodni oddziału SS i licznego grona cywilnych ochotników. Nadal nie wie jednak (i nigdy się już nie dowie), jak to jest umierać w ogniu wielkiej, zamkniętej od zewnątrz stodoły. Wiedzą to ci tylko, którzy byli w środku, ale tego akurat nikt nie sfotografował. Natomiast ci (cywile, mieszkańcy Gardelegen), którzy stali na zewnątrz z kijami lub myśliwskimi strzelbami w rękach, którzy przyglądali się płonącej stodole z pozycji rasy panów, nie chcą o tym opowiadać, albo udają, że ich tam nie było.

4.

Co jeszcze widać na tych zdjęciach (a właściwie ich cyfrowych wersjach), które pokazałem swojej matce? Na pierwszych trzech widać płaskie pole na przednówku i stojącą w szczerym polu dużą, solidnie zbudowaną ceglaną stodołę z dachem dwuspadowym. Widać też cztery otwory wjazdowe do stodoły z resztkami czegoś drewnianego. Kiedyś, przed pożarem, były to masywne, rozsuwane wrota, obramowane metalowa ramą. Na jednym z dalszych zdjęć (3) widać jej wewnętrzną konstrukcję, którą tworzą długie drewniane belki. Nie wiemy, czyja to stodoła i dlaczego stała tak daleko za miastem. Na dwóch zdjęciach (4g i 6) wyraźnie widać to oddalenie od miasta, tę pustą przestrzeń oddzielającą stodołę od cienkiej linii zabudowań na horyzoncie. Wokół stodoły widać sporo wojskowych pojazdów amerykańskich i kilkudziesięciu żołnierzy US Army, którzy właśnie odkrywają i zapewne oznaczają na swoich wojskowych mapach miejsce niedawnej kaźni. Poza tym najpewniej próbują zrozumieć, co to za miejsce, skąd tam tyle zwęglonych i nadpalonych ludzkich ciał, kto i dlaczego jest sprawcą widocznej gołym okiem masakry?

Na wielu następnych zdjęciach widać, to znaczy można rozpoznać sylwetki i twarze amerykańskich żołnierzy (2b, 2e, 4c, 4d, 7, 7a, 7b), widać i można rozpoznać twarze oraz sylwetki niemieckich cywilów, w tym zapewne także mieszkańców Gardelegen (2e, 4, 4a,4b, 4c, 5a, 5b, 6, 6b, 6c, 6d, 6g,). Twarze widocznych na zdjęciach Niemców nie wyrażają nic, poza uległością, być może fałszywą pokorą i lękiem przed ewentualną odpowiedzialnością zbiorową. Twarze amerykańskich żołnierzy są pełne skupienia. Rozmiar odkrywanej właśnie zbrodni przytłacza, fakt, że to miejsce trzeba uporządkować, a potem masowe groby z setkami nadpalonych trupów zamienić w prawdziwy, oznakowany krzyżami cmentarz, nie sprzyja świętowaniu zwycięstwa nad pokonanym wrogiem. Ale są też na tych zdjęciach resztki zwłok, których oddział SS nie zdążył już zakopać. Niektóre ciała, a właściwie nadpalone truchła, ciągle jeszcze mają wyraziste rysy twarzy (2, 3b, 3c), bo proces rozkładu nie postępuje zbyt szybko. Szczególnie przejmująco działa na obserwatora widok twarzy ze zdjęcia 2 (*One prisoner tried to escape by tunneling under the door*), twarzy śpiącego człowieka. Reszta fotografii ukazuje albo sterty spalonych (lub tylko nadpalonych) ludzkich zwłok, albo pojedyncze, niemal spopielone sylwetki, przypominające swoim kształtem żywych niegdyś ludzi (3f, 3g). Wszystko to szokuje i przeraża, ale nie pozostawia też złudzeń – tak może kiedyś wyglądać każdy z nas, kto znajdzie się o niewłaściwej porze w złym miejscu. Uzupełnieniem tych obrazów są czysto dokumentalne kadry, na których widać równe szeregi leżących na ziemi ekshumowanych, przygotowanych do identyfikacji i godnego pochówku ciał (3k, 4e, 4f, 4h, 4i, 5c, 5d, 5e, 5f), albo wykonywane rękami i łopatami niemieckich cywilów czynności ekshumacyjne (5d, 6a, 6b, 6c, 6d, 6e, 6f, 6g, 6h). Cykl ten zamykają zdjęcia, na których widać, jak niemieccy cywile kopią doły dla ponad tysiąca zwłok, układają te zwłoki na noszach i zawijają w białe prześcieradła

(4g, 5a, 5b, 6). Na dwóch zdjęciach (4a i 4b) widać Rynek w Gardelegen, gdzie 18 kwietnia gromadzą się wytypowani przez Amerykanów mężczyźni zdolni do pracy fizycznej, w tym mieszkańcy Gardelegen i prawdopodobnie obywatele kilku innych okolicznych miejscowości. Za chwilę wyruszą spod ratusza na ostatnie spotkanie z ofiarami masowej zbrodni, zaplanowanej oraz skutecznie dokonanej w imię Führera i dla dobra narodu niemieckiego. Niosą na ramionach łopaty lub szpadle oraz jednakowe, białe nagrobne krzyże.

W tym miejscu, ponieważ opowiadam o tym, co widzę na zdjęciach robionych dla wojskowej prasy amerykańskiej, warto zacytować fragment książki Anny Marii Potockiej pt. „Fotografia". W owym fragmencie autorka analizuje różne odmiany fotografii prasowej, także te, poświęcone utrwalaniu na kliszy działań wojennych, wspominając jednocześnie, że fotografia wojenna dysponuje tłustą trójcą tematyczną – parada, pole bitwy, cmentarz[13]. Dwa akapity dalej autorka stwierdza: *Napięcie synkretyczne znajdujemy również w fotografiach grających konfrontacją ofiary z oprawcą, zwycięzcy z przegranym. Z jednej strony upokorzony, brudny, skurczony, czasem nieżywy „śmieć ludzki". A obok niego nadęty zwycięzca przepełniony poczuciem racji: spokojny, dumny i zrównoważony. Takich fotografii można znaleźć sporo w XIX wieku i w pierwszej połowie XX wieku. Wtedy nienawiść do wroga politycznego była chwalebna. Wolno było nim gardzić, zabijać go i poczytywać to sobie za chwałę. Totalitaryzm faszystowski i sowiecki, który stworzył kategorię wroga grupowego i likwidował go seryjnie, stracił możliwość bezpośredniego konfrontowania ofiary z oprawcą i w ten zbrodniczy sposób przyczynił się do zniesienia fotograficznej „przyjemności" z dominowania oprawcy nad ofiarą. „Ich" ofiara istniała w postaci stosu ciał lub tłumu pędzonego na śmierć i nie była już „godnym" partnerem dla oprawcy. Hitlerowcy pozujący na miejscach egzekucji czy na terenie obozów koncentracyjnych bardziej przypominają ekipę sprzątającą niż zwycięzców*[14]. Opisana tu sytuacja jak ulał pasuje do realiów masakry w Gardelegen, tyle tylko, że ową prawdziwą ekipą sprzątającą są zagonieni do pracy cywile, wśród których mogą ukrywać się oprawcy-ochotnicy. I jeszcze jedno: oni także pozują do zdjęć na miejscu kaźni, ale już nie z własnej woli i nie w poczuciu własnych racji. A jeżeli nawet w swoich duszach ukrywają satysfakcję z tej masowej zbrodni i chwalebną nienawiść do wroga, to na tych zdjęciach tego nie widać, bo sytuacja dramatycznie się odwróciła – oto niedawni zwycięzcy-oprawcy (pod nieobecność swoich mocodawców) musieli ugiąć się przed obrońcami pokonanych. Owi pokonani najpierw byli tłumem pędzonym na śmierć, a chwilę później stali się stosem ciał. Przegrani zwycięzcy-oprawcy kilka dni po triumfie zostali zagonieni do porządkowania miejsca zbrodni, jako – w ścisłym znaczeniu tych słów – upiorna ekipa sprzątająca.

Ciekawe i pouczające byłoby to doświadczenie, gdyby udało się poznać ich ówczesne myśli, ich uczucia, trwogę ukrytą w ich duszach, albo hardość ich zimnych serc. Dzisiaj, patrząc na te zdjęcia, niczego już się nie dowiemy, a niemal na pewno nawet nie pojmiemy sedna epoki nazizmu, w której przyszło im wszystkim żyć, pracować, w coś wierzyć, wychowywać dzieci, a potem także patrzeć na klęskę własnego narodu i poniżenie własnych ideałów. Skoro jednak widzimy ich na tych dwóch zdjęciach, to znaczy, że nie zginęli na frontach II wojny światowej, że doczekali końca walk, że pochowali (zmuszeni do tego) swoich niewolników we własnej ziemi, że następnego dnia mogli zacząć rozmyślać o przyczynach i skutkach takiego właśnie stanu rzeczy. Małym fragmentem ich własnego losu był los mojej matki, wtedy młodej, 22-letniej Polki wywiezionej przymusowo na roboty do Niemiec. Była z nimi i między nimi trzy lata, żyła tam i pracowała, chodziła na spacery do lasu, do fryzjera i do kina, tęskniła za rodzinnym domem w dalekim Baranowie (koło Kępna) i spoglądała w niebo, na którym czasem pojawiali się ćwiczący skoki spadochronowe niemieccy żołnierze Führera (w Gardelegen funkcjonowało lotnisko wojskowe). Zna i pamięta ten Rynek, ten ratusz w Gardelegen i dookolne kamienice, poznała też owo puste pole z wypaloną stodołą, widziała na koniec powstający cmentarz zamordowanych niewolników. Ja jestem jej synem i z jakiegoś powodu czuję związek z tym miejscem, z tym miastem, z całą tą historią. Chciałbym tam kiedyś pojechać i dotknąć świata, który znam tylko z opowieści moich rodziców, a teraz także z tych kilkudziesięciu zdjęć znalezionych w Internecie. Nie ma we mnie nienawiści ani odrazy, jest we mnie potrzeba zrozumienia mrocznych tajemnic ludzkiej duszy.

Krzysztof Szymoniak

13 Maria Anna Potocka, Fotografia. Ewolucja medium sztuki, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2010, s. 143.
14 Op. cit. s. 144-145.

ANEKS

Źródła zdjęć:

http://en.wikipedia.org/wiki/Gardelegen_%28war_crime%29
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/MassacrePhotos.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre00.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre01.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre04.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre05.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre06.html
http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre03.html
http://furtherglory.wordpress.com/2010/04/25/letter-from-american-soldier-describes-gardelegen-massacre-on-april-13-1945/
http://www.tankdestroyer.net/index.php?option=com_igallery&view=igcategory&id=11&Itemid=83

Podpisy pod zdjęciami:
Photo Credit: US Holocaust Memorial Museum

One prisoner tried to escape by tunneling under the door

Geza Bondi, a Hungarian prisoner, tells American soldiers how he escaped from the barn

Photo from 102 Division pamphlet about the Gardelegen massacre

Barn made of brick & stucco with two wooden sliding doors, front and back.

American soldiers view the bodies in the barn. Photo Credit: Bill Wilson

Charred bodies in the field next to the barn in Gardelegen. Photo credit: Craig Tisbury

Victims of the Gardelegen massacre lying in a field. Photo Credit: Bill Wilson

German civilians were forced to bury the bodies

German civilians prepare the bodies for burial

These old photos of the Gardelegen massacre were contributed by Ethel B. Fitzgerald Stark, the daughter of the late Robert Archie Fitzgerald of the 124th Ordinance H.M. Company. Robert A. Fitzgerald is the tall soldier in the back row in the photo below.

Photo taken by British soldier J. Edgar shows bodies in front of barn door. Photo credit: Craig Tisbury

Three mayors from the vicinity pay their respects to the murdered prisoners. The photograph above appears to be a posed publicity picture, taken by the US Army Signal Corp. The three men are the mayors of the surrounding towns.

American soldiers show men of Gardelegen the mass graves in front of barn door

Gardelegen men were forced to take a good look at the victims of the massacre

Burned bodies piled up inside the barn at Gardelegen

Victim of the Gardelegen massacre

- - - - - - - - - -

Gardelegen men forced to construct military cemetery. Gardelegen men assemble with white crosses, April 22, 1945. On the orders of General Frank A. Keating, around 250 to 300 male citizens of the town of Gardelegen assembled in the town square on April 18, 1945, dressed in their Sunday best. They were then marched five kilometers to the barn, escorted by American soldiers and Sherman tanks. At the barn, soldiers of the 327th Engineer Combat Battalion stood guard with fixed bayonets while the Gardelegen men were forced to dig up the bodies from the trenches near the barn and to carry out the dead prisoners still inside the barn.

The men had to march 5 kilometers under guard to the cemetery

Old photo shows crosses waiting to be put on graves in military cemetery. Photo credit: US Holocaust Memorial Museum
- - - - - - - - - -

102nd Division soldiers fire a 21 gun salute at the cemetery

The men of Gardelegen were at first forced to dig mass graves. Photo credit: US Holocaust Museum

Town of Gardelegen can be seen in background as men dig graves for military cemetery. Photo credit: US Holocaust Museum

Sign at the Memorial Site in Gardelegen
- - - - - - - - - -

Źródło: http://www.scrapbookpages.com/Gardelegen/Massacre.html

Inne miejsce, gdzie można to obejrzeć:

http://furtherglory.wordpress.com/2010/04/25/letter-from-american-soldier-describes-gardelegen-massacre-on-april-13-1945/

Mariusz Zimoński

Gdzie ta Portugalia?

1

Jakiś czas temu zadzwoniłem do koleżanki, aby złożyć jej życzenia urodzinowe. Zaskoczyła mnie tym, że właśnie spędzała kilka dni w słonecznej Portugalii. Natychmiast przypomniałem sobie swój pobyt w tym pięknym kraju kilkanaście lat temu, krótko po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Wspaniale spędzone chwileprzeleciały przed moimi oczamijak clip. Wśród tych obrazów wróciło do mnie pewne wspomnienie, które zawsze ze mną pozostanie.

Wybrałem się wtedy do Coimbry, na zaproszenie mojej innej polskiej koleżanki, która była tam na wymianie studenckiej. Okazją były ichniejsze „juwenalia" na Universidade deCoimbra.Tozbiegło się z moim powrotem z U.K., gdzie przez pół roku pracowałem w restauracji hotelowej, jako pomocnik kucharza. Potrzebowałem oddechu, więc z Anglii do Polski poleciałem okrężną drogą przez Portugalię i to był jedyny raz, kiedy odwiedziłem ten kraj na zachodnim krańcu Europy. Portugalia,mentalnie zasłonięta przez Hiszpanie, była dla mnie wcześniej tylko nieokreśloną egzotyką, zwłaszcza że wielu z moich znajomych często spędzało wakacje tylko na hiszpańskich plażach, a ja-,oprócz tego,lubiłem hiszpańskie kino oraz pamiętałem z historii to,że Polacy walczyli w Hiszpanii za czasów Napoleona, zdobywali tam teżmedale na Mistrzostwach Świata w piłce nożnej w 1982r. i na Olimpiadzie w Barcelonie w 1992r.

Gdzie ta Portugalia? Gdzie ta Coimbra? –pytałem ironicznie sam siebie, planując wyjazd, wymieniając ciężko zarobione funty na euro. Wtedy Cristiano Ronaldo nie był jeszcze aż taką gwiazdą, a z książek o podróżnikach, którymi zaczytywałem się w okresie szkolnym, zapamiętałem głównie to, że Portugalia była kiedyś romantyczną potęgą kolonialną i miała znanych odkrywców np. pod postacią Vasco Da Gamy, który odkrył drogę do Indii. Ale kiedy to było? W XV, XVIwieku?Potem mało kto pamiętał o Portugalii, popadła w nędzę i słuch o niej zaginął; nawetw Drugiej Wojnie Światowej nie brała udziału.

Zostawiając moje ówczesne historyczne wyobrażenia o tym kraju, ale pamiętając też to,że portugalscy piłkarze pokonali Polaków 4:0 na Mistrzostwach Świata w piłce nożnej w 2002r., wylądowałem samolotem w Porto, a potem pociągiem dotarłem do Coimbry. Nie było aż tak z górki, gdyż miałem problem w komunikacji z tubylcamispotkanymi na lotnisku i na dworcu w Porto. Oni nie znali podstawowego angielskiego, a ja portugalskiego ani hiszpańskiego. Przyznaję, mójangielskinie był wysokich lotów, ale wnajprostszych sprawachpotrafiłem nim sprawnie operować, więc denerwowało mnie to, że trudno lub w ogóle nie można było się tutaj porozumieć w tym języku. Również dostęp do miejskiego Internetu na dworcu w Porto byłbardzo ograniczony i nie mogłem skontaktować się z koleżanką, do której jechałem. Aby dodać sobie 2

otuchy, w tym całkowicie obcym dla mnie kraju, powtarzałem sobie pytanie: Ja nie dam rady? Dałem i w nocy dotarłem do celu, choć jeszcze wcześniej musiałem męczyć się z taksówkarzem w Coimbrze, który znał tylko parę słów po niemiecku, do tego naciągnął mnie na kilka euro za kurs. Więc gdzie ja byłem?

Po tym niefortunnym pierwszym etapie i nie wdając się w szczegóły pobytu, oczywiście dość szybko się zaaklimatyzowałem. W trakcie tych kilku dni Portugalia i Coimbra–zabytkowe akademickie miasto, w którym znajduje się najstarszy portugalski uniwersytet–bardzo mnie urzekły. Klimat, architektura, wino–to robiło wrażenie, zwłaszcza że był to czas studenckiego święta. Codziennie odbywały się imprezy w centrum miasta, w okolicach uniwersytetu lub ogrodu botanicznego. Było głośno, pięknie i stosunkowo tanio; wino lało się strumieniami. Jeden wielki luz, który podkręcali swoim sposobem bycia Portugalkii Portugalczycy, których poznałem przy różnych okazjach. Pełnia południowego stylu życia.

Któregoś dnia po całonocnej hulance wracaliśmy z moją polską koleżanką o wczesnym poranku wąskimi i pustymi ulicami Coimbry:wschód słońca, rześkie powietrze, fajna architektura. Szliśmy zamuleni po rzece wypitego wina;humor nam dopisywał. Wtedy na jednym ze skwerów zaczepił nas niespodziewanie Portugalczyk. Był to młody człowiek w wieku studenckim z wydatnym irokezem na głowie.Jego cały ubiór podkreślał subkulturę punk. Siedział samotnie na murku i chyba też był po jakieś imprezie. Nie wiem dlaczego, ale ten punkowiec zaskoczył mnie samym faktem, że był portugalskim punkiem. Tego jeszczenatymkrańcu Europy nie widziałem. Pomyślałem w tamtej chwili, że portugalski punkowiec jest równie egzotyczny dla mnie–Polaka,który pamięta jeszcze czasy Jarocina, jak czeski punkowiec w sandałach, którego dość licznie można było spotkać za naszą południową granicą; przecież prawdziwy punk „musiał" nosić glany, nawet podczas upałów. Nie pamiętam, jakie konkretnie miał obuwie portugalski punkowiec, ale to nie było chyba tak istotne w tamtym zamulonym momencie, ważne że miał koszulkę z napisem „Punk's Not Dead", co uzupełniało symboliką wydatnego irokeza. Yeah! –uśmiechnąłem się, po czym dogadaliśmy się inEnglish, że chodziło mu o papierosa. Koleżanka wyciągnęła paczkęi go poczęstowała. Zapalił i zapytał, skąd jesteśmy.

–Poland, Polonia! –rzuciłem spontanicznie i dumnie.

Byłem przygotowany na to, że punkowiec spyta nas jeszcze o coś w związku z Polską, bo na imprezach zdarzały się pytania, ale on nie był zainteresowany tematem naszego kraju. Pamiętam,że byłem odrobinę zawiedziony tym faktem. Tymczasem punkowiec zaciągnął się papierosem, chwilę pomilczał i nagle stwierdził w zadumie:

–Everything is shit.

Spojrzeliśmy na siebie z koleżanką szerszym wzrokiem.3

–Whaaat? –zapytała.

–Everything is shit.–powtórzył poważnie, wypuszczając dym z płuc.

Są momenty, kiedy zbity z tropu nie wiesz co powiedzieć, tym bardziej nad ranem. Jednak po chwilowym rozproszeniu myśli zebrałem je i tym razem ja go zapytałem:

–Why did you say that?

–Becauseeverything is shit –odpowiedział bardzo smutno.

Z koleżanką znów wymieniliśmy spojrzenia, tym razem bardziej wymowne. W Polsce znałem kilku pancurów, ale nie pamiętałem, czy tego typu stwierdzenia do czegoś konkretnego prowadziły, tym bardziej nie mogły tu i teraz w Portugalii–przynajmniej dla mnie. Z moich ust wyrwała się nagle angielszczyzna, brzmiąca, jak strzelający karabin w zwolnionym filmie (tak pamiętam):

–Maybe you think everything is shit because in your heart is shit.

Od razupomyślałem, że może wkurzygo ten shit w sercu i się obrazi. On jednak przez chwilę pomilczał, zastanawiając się nad tym, co powiedziałem. Znów zaciągnął się papierosem i odparł z całą powagą, lecz powoli:

–Maybe...

Chyba ten jego permanentny smutek wywołał we mnie impuls. Chciałem coś powiedzieć, ale angielskie słowa nie układały mi się już w cokolwiek rozsądnego; mój angielski niestety kulał. Porzuciłem więc English i usiadłem obok niego. Zacząłem go pocieszać tak po prostu,po polsku, żeby się wyluzował, że świat nie jest taki zły, a Portugalia to piękny kraj (mniej więcej tak to pamiętam). Kiedy on usłyszał ten obcy, świszczący język, popatrzył na mnie i uśmiechnął się w końcu. Zaczął do mnie mówić jakimiś pięknymi portugalskimi słowami, których nie rozumiałem iktórych nie pamiętam. Prawie śpiewał, jakby to było fado. Więc ja nakręcony znów do niego po polsku, po pijaku, radośnie:

–No jasne stary, o to chodzi... Chrząszcz brzmi w trzcinie... Wiesz… W Szczebrzeszynie...

Rozpędzałem się,on również po swojemu. Miałem niesamowite wrażenie, że zaczynamy rozumieć się ponad słowami; on mnie, ja jego–pełna egzotyka pijackiego porozumienia–to było dość zabawne. Siedzieliśmy tak kilka minut obok siebie w dobrych nastrojach i „rozmawialiśmy" intensywnie. Pewnie wypilibyśmy jeszcze wspólne wino, ale portugalska kraina snów wzywała mnie i moją koleżankę coraz bardziej do siebie. Trzeba było iść. Pożegnaliśmy się i pozostawiliśmy portugalskiego punkowca na tym murku, z którego nas zaczepił. Obejrzałem siejeszcze za nim. Siedział dalejw swej zadumie, na jednym ze skwerów pięknej Coimbry, pięknej Portugalii.

Obudziłem się po południu z delikatnym kacem; Portugalia była łaskawa pod tym kątem. Uśmiechnąłem się na wspomnienie portugalskiego buntownika z „groźnym" irokezem. Tu jakiś bunt? W Portugalii, gdzie nie byłowojny i słońce wiecznie świeci?Co to za egzotyka? Potem 4

jednak przyszła refleksja, czy nie patrzyłem na niego z tej naszej polskiej perspektywy przymrużonego oka, przez którąpatrzymynaróżne nacje, nawet jeśli nam się wydaje, że tak nie jest. Bo u nas w Polsce to i tamto:powstania, Jarocin i kurz, a Czesi w sandałach od razu poddali się Niemcom. Miałem wrażenie, że podświadomie złapałem się sam na haczyk naszych polskich megalomańskich kompleksów, które zawsze mnie irytowały i których starałem się unikać. Spojrzałem na historię Portugalii–u nas za-

bory, II Wojna Światowa, komunizm–u nich pucze, przewroty, dyktatura Salazara wraz z prześladowaniami politycznymi, rozpadające się imperium kolonialne, które w latach 60-tych XXw. toczyło krwawe wojny w Afryce, gdzie ginęli zarówno Afrykanie, jak i Portugalczycy. Trochę tego było w ich historii. Co my w Polsce możemy wiedzieć o tamtych realiach i świecie? Dla nas tylko palma, wino i słońce, a przecież ten człowiek wyrażał swój młodzieńczy bunt, żal do świata uniwersalnym „Punk's Not Dead", jakkolwiek można by było odczytać tę ekspresję. Do tego miał ironię, która jest potrzebna w każdej refleksji. Może wyczuł, że nie traktuję go poważnie tym polskim szeleszczeniem i jedyne co mógł zaproponować w zamian to piękne portugalskie fado, choć może tak wcale nie było. Odwróćmy więc na trzeźwo sytuację: przede wszystkim dla niego, to my byliśmy poranne exóticoz jakiegoś dalekiego, obco szeleszczącego kraju na północy, pełnego niedźwiedzi i ludzi, którzy pewnie zamieszkują igla, leżącego gdzieś–może w Rosji, który raczej go nie obchodził, co innego Brazylia, Angola, Mozambik oraz inne dawne kolonie portugalskie, rozrzucone po całym świecie–sen o dawnym imperium, w tym o Makao–mieście hazardu i rozpusty, oddane Chinom w 1999r., gdzie Portugalczycy emigrują zarobkowo i osiedlają się.

Czas zabawy szybko minął i po tygodniu niepocieszony opuszczałem Coimbrę oraz Portugalię. Teraz przynajmniej wiedziałem gdzie są. Leciałem do Polski, do naszego romantycznego pępka świata, po pół roku nieobecności; przynajmniej miałem wspomnienia oraz funty w kieszeni.

Lata płynęły, świat się zmieniał. Czas przyniósł nowe kryzysy, konflikty:przede wszystkim wojnę w Ukrainie wywołaną przez Rosję. Widzę teraz ten polski pępek świata; złudny, groteskowy lecz o wiele bardziej zatrważający, niż w czasach mojej Coimbry. „Everything is shit" –powracam myślami do portugalskiego punka, aby na moment odsapnąć. Czy dojrzał, że nie wszystko jest takie „shit"? Nie mam pojęcia, ale może pewnego dnia obejrzał jakiś mecz Polski z Portugalią, z Cristiano Ronaldo w roli głównej i na łagodnym portugalskim kacu zapytał:

–Mas onde e que fica essa Polônia? (Gdzie ta Polska?)

Mariusz Zimoński

Koniec –Wrocław, maj/czerwiec 23r.

Korekta: Rościsława Frankowska,tłumaczenie na portugalski: Nuno Viegas.

Maria J. Fraszewska

*** Odpowiedź Cz. Sobkowiakowi

z kłótni wymiana znaczeń wynika
problem ujawnia i temu jest chwała
gardłowa sprawa oczu nie przymyka
biel oczy wybiela jak chaty za wsią
których czerwień spłynęła spadającą krwią
niegdyś a teraz dachówką obdziela
przechodnia od poniedziałku i co niedziela
rozczarowanie zjadło magię niejedną
a przecież jeździsz elektryczną nówką
sparciałej żarówki wkręconej jak flaga
na maszt obracający sprawy jak prawda naga
Życie dla każdego niesie inną posługę
bierz swoją i doceń to co masz
co osiągnąłeś pomyśl co jeszcze możesz
otwórz oczy na swój darowany dzień
z brzaskiem okolicy nad polem się pochyl
ziemię przytul czarną bo piękna
i rodzi nadzieje które zamienisz w cele
dążenia i przyszłość rozsianą zielenią
nie użalaj się nad sobą
a lepiej spójrz w lustro urzeczywistnienia
ulepisz się na nowo kolejnym marzeniem
wciąż nie wiesz jak twoim dzieciom
będzie się żyło a któż to wie
ale ty wiesz że wypruwałeś sobie żyły
jak Penelopa nocą wierzyła w powroty
których nie ma na szczeście
bo ty już jesteś inny
stworzony przez siebie i twoje doświadczenie
w plecaku go chowasz
rozpakuj czasami i wejrzyj w te karty
tworzą nadal wróżebne losy
śmiało się wspinaj przepasany
przepastnym pragnieniem
pożądaniem natchnieniem
ono cię urodziło nie odstępuj od niego
ani na krok ani na próbę
a szczęście za każdym razem chwytaj jak zgubę
odnalezioną w lesie drzew pełną
i bezmiaru chlubą idź

Andrzej Walter

PANU JUŻ DZIĘKUJEMY, PANIE GOMBROWICZ

Mam już dość tej maniakalnej w swoim wydźwięku fascynacji Wielkim Gombrowiczem, który przecież wielkim pisarzem był, bo nie da się tego oczywiście ukryć. To, co było dobre 30 – 40 lat temu stało się dziś nieco pokraczne i śmieszne. Czasy się zmieniły. Mamy XXI wiek, nowe pokolenia weszły na scenę, nowy świat się nam pojawił i nowa Polska. Jak i nowe do niej podejście oraz nowe jej samej występowanie. Zaczęliśmy być bowiem normalnym zachodnioeuropejskim krajem, ani lepszym ani gorszym od innych zachodnich krajów, krajem funkcjonującym na miarę swych możliwości i swojego potencjału, krajem już dziś bez kompleksów, ale i bez nadmiernej fanfaronady, z zastrzeżeniem, że wciąż kilku „leśnych dziadków" okopanych w swej snobistycznej w wydźwięku wieży (w tym kraju) żyje jakąś dawno nieistniejącą przeszłością i fantasmagoriami, ale nas to już powoli mało obchodzi. Społeczność międzynarodową jeszcze mniej. Leśne dziadki skrzeczą jeszcze, ale mało kto ich już słucha, a Polska żyje normalnie, tak jak cała Europa i nasz krąg kulturowy. Życie w Polsce przebiega tak samo jak życie we Francji, czy Norwegii albo Albanii. Do tego zmierzaliśmy i to osiągnęliśmy. (parafrazując noblistę „o take Polske walczyłem") Gombrowicza zatem możemy odłożyć do lamusa, aby już dłużej nie nudził i nie rozpatrywał polsko-polskich sporów z kompleksem w tle.

Polecam świetny esej Kingi Dunin na łamach „Krytyki politycznej" pod tytułem – (nie mniej nie więcej) „**Gombrowicz był idiotą**". Jak oczywiście (oczywista oczywistość jakże by inaczej) Autorka zaczyna nieśmiało: „*Gombrowicz wielkim pisarzem był i zachwyca, bo jakże by mógł nie zachwycać, ale ile jeszcze można?*". No właśnie. Ile jeszcze można? Ile można… zachwycać?

Idźmy dalej z Kingą Dunin: „*na pytanie, jaką osobą był Gombrowicz, każdy musi sobie sam odpowiedzieć. Na pewno niejednoznaczną, czasem wzruszającą, częściej irytującą, ale przez to ciekawą. Poważnym piewcą niepowagi. Krytykiem ziemiaństwa i arystokratycznych fumów, a przy tym snobem badającym swoje drzewo genealogiczne i podającym się za hrabiego. Samotnikiem uwielbiającym kawiarniane życie. Narcyzem i pieczeniarzem. Bezwzględnie wykpiwającym wszelkie pozy pozerem i kabotynem. Celebrytą świetnie zarządzającym swoją karierą i mistrzem gaf oraz zrażania do siebie ludzi. Ofiarą swoich lęków i kompleksów, pełnym zahamowań, ale pozwalającym sobie na bardzo wiele. Mizoginem broniącym praw kobiet – w Argentynie. Homoseksualistą, biseksualistą, kimś z kolejnych liter LGTBQ+? Efebofilem? (Jego popęd seksualny nakierowany był przede wszystkim na osoby, chłopców, w późnym okresie dojrzewania).*

Trudno, żeby autorka nie lubiła postaci, której poświęciła tyle czasu, nie jest to jednak biografia pisana na kolanach, a na pytanie, jaką osobą był Gombrowicz, każdy musi sobie sam odpowiedzieć.*

Są to kwestie interesujące, chociaż wypada udawać, że nie są, i – jestem o tym przekonana – mające duży wpływ na jego twórczość."

**chodzi o doskonałą biografię Klementyny Suchanow „Ja, geniusz" (2017), za którą otrzymała nagrodę miesięcznika Odra*

Dodajmy jeszcze do tego bezsporny fakt ucieczki przed wojną (czytaj przed walką z agresorem i okupantem), która nieodparcie przypomina mi w zasadzie nieporównywalną, lecz i dziś występującą postawę pakowania manatek (zwłaszcza kiedy wybuchła wojna na Ukrainie) poprzez co bogatszych i elitarnie ustawionych obywateli lepszej kategorii Polaków. No cóż. Kiedyś nazywano to dezercją. I posyłano kulę w łeb. Dziś nadeszły czasy przyzwolenia na niewykonanie rozkazu i bywa, że delikwenta się nawet nagradza. Co to ma wracając znów do literatury do Gombrowicza? Zgodnie z radą Pani Dunin – odpowiedzcie sobie sami. Na ile wiarygodny jest buntownik, który jest tchórzem? Na ile można mu uwierzyć, że to bunt, a nie salonowa rozgrywka, że to wojna o prawdę, a nie zblazowana maniera grymaszenia i szyderstwa, tandetnej kpiny ze wszystkiego, co przerasta. Rzeczywistość przerosła Gombrowicza, jego twórczość przerosła jego samego, a już to co z tą twórczością uczyniono na korytarzach Akademii to pożal się boże dopiera hucpa i groteska. W imię Pana G rozmontowano cały konstrukt świadomości społecznej, która kiedyś budowała społeczeństwo i jego siłę, choćby po to, żeby uratować całą Europę w 1920 roku. Kogo to dziś obchodzi? No właśnie. Mało kogo.

Ustalmy tutaj. Nie piszę czy to dobrze, czy źle. Nie chcę obrażać Gombrowicza, niwelować jego zasług, jego wybitności, jego wielkiej literatury, ale powiedzmy też otwarcie. To był – i tutaj każdy używa własnych określeń, jakich używam ja, wiecie, albo się domyślacie. Finalnie powiem tak:

- Ja panu, panie Gombrowicz nie wierzę. I w zasadzie zaczyna mnie pan już dziś (dzięki pana wyznawcom) nudzić, ba, zaczyna mnie pan … w(…) denerwować i irytować tym ciągłym odnoszeniem się „co by na to powiedział Gombrowicz"?! Co by powiedział, to by powiedział, ale wy, mocium panie, banialuki nam dziś wciskacie, popierane „Gombrowiczem" – alfą i omegą, wyrocznią i sędzią nad sędziami. Dodam też, że Ci, dla których pan G. jest wyżej przedstawionym Bogiem mają w sobie całe pokłady pogardy i lekceważenia dla inaczej myślących, sami przy tym nie widząc własnej śmieszności, własnych ograniczeń i własnego zadęcia.

Tak jak zmienił się świat, tak jak zmieniła się rzeczywistość, zasady gry, hierarchie wartości i pryncypia, tak ewoluowały całe społeczeństwa, ich modele spędzania wolnego czasu, ich dążności do rozrywek, a w efekcie zmieniła się cała współczesna sztuka, a siłą rzeczy i literatura, jej sensy, funkcje i poszukiwania. Cóż, że stało się to tak szybko, wręcz błyskawicznie. Akurat nadeszły czasy, kiedy technologia mikroprocesora i komunikacji wywróciła tamten świat bezkrwawo do góry nogami i siłą rzeczy (znów) wywróciła i sztukę, a zwłaszcza jej kanony i klasyków. Kto tego nie rozumie nie powinien wdawać się w rozważania i polemiki, gdyż będą one zawsze stały na przegranej pozycji nieumiejętności pojęcia: co się tak naprawdę stało. Technologia i szybkość tej rewolucji była tak zawrotna, że żadne nowe kanony i nowi klasycy nie mieli nawet szansy powstać. W dzisiejszej sztuce wydaje się, że toczy się właśnie o to bitwa, bitwa o tyle karykaturalna, o ile sztuka weszła pod strzechy, a zapotrzebowanie na nią zmalało z powodów równie mentalnych jak i technologicznych właśnie stwarzając setki alternatyw olśnienia i zachwytu. Stare już nie powróci, a nowemu … no cóż, często brak wyrazu.

W tej optyce Gombrowicz i jego dylematy są już jak martwe dinozaury na planecie Ziemia. Były, żyły, zabijały się wzajemnie, zżerały, ale już ich nie ma. Wyginęły jak i wyginęły ich problemy i rozterki. Dlaczego? Bo nikogo to już dziś nie interesuje oprócz kilku zramolałych oszołomów spod gwiazdy zapomnianej galaktyki. Mamy problemy i dylematy inne. Jak poradzić sobie ze społecznymi dylematami nowoczesności, w której okaże się wkrótce, że wystarczy, aby pracowało 20 procent ludzi, a reszta nie za bardzo będzie miała zajęcie i co z nimi począć? Jak poradzić sobie z ludzką psychiką, która pogłębia wszechogarniającą depresję kołowrotu chomika, jak ocalić w nas łaknienie piękna, miłość, wiarę czy nadzieję, jak ocalić emocje i prawdę w kakofonii dezinformacji i szybkości defraudacji przekazu?

Wystarczy dziś włączyć jakiegoś powszechnego You Tuba i widzimy, że młody Irańczyk, czy młoda Chinka, żyją i są tacy sami jak młody Polak, czy Albańczyk, a całe zaplecze dawnych elementów polityki i propagandy to jedynie fasada starców, i my tak nie chcemy, chcemy być normalni, a nie fanatyczni i starców z ich religiami, fanatyzmem i szczuciem poglądowo ideowym wysadzamy w powietrze bo się przeżyli. Jak to się odbędzie? Nie wiem. Tyle, że to się dzieje na naszych oczach, a że jeszcze armie skaczą sobie do gardeł? Może trzeba wystrzelać to wszystko czego się naprodukowało i są tacy pechowcy jak Ukraińcy. Oczywiście przeginam specjalnie, prowokuję do myślenia. Intelektualny populista?! Szalony czy stuknięty. Może jedno i drugie. Najpierw wielka wojna, potem wielkie oczyszczenie, ale technologie już nie znikną, po chwilowym braku prądu włączą go z powrotem i nic już nie będzie takie samo. A Gombrowicz spocznie w głuchym grobie, bo cóż on stworzył ponadczasowego oprócz oplucia klasyków czy buntu wobec jakich cech mało dziś istotnych czy w ogóle zrozumiałych?

Może w ogóle snucie opowieści, tak właściwe ludzkiej osobie i potrzebie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Dalej będziemy się rodzić i umierać, łaknąć opowieści, aby umilić swój czas, aby ubogacić go i wypełnić, ale odbędzie się to na innej płaszczyźnie materialno-technologicznej – oczywiście słowem, bo czymże innym, ale jakoś inaczej, ja nawet nie wiem dziś jak. Może warto się nad tym bardziej pozastanawiać niż snuć wciąż te pseudonaukowe gombrowiczowskie fobie literackie mało istotne z perspektywy nowoczesności i jej dylematów.

Dziś bowiem nie jest problemem jak powalczyć z romantyzmem i nadmuchanym ego, ale jak ocalić w nas łaknienie prawdy, dążności do cnót i estetykę piękna, w świecie cyfryzacji i wirtualności oraz wobec wyalienowania i samotności jednostki zamykanej w bańce ekranów i łączy. Jak ocalić (choćby i poezją) to coś, co zgubiliśmy po drodze tej rewolucji, która wciąż trwa i przemienia totalnie ten świat, nas świat, świat jedyny jaki znamy i w jakim przyszło nam żyć.

Andrzej Walter

ESEJ

EZRA POUND PRZED SĄDEM

Czesław Karkowski

Oskarżenie przedstawione sądowi przez ławę przysięgłych w październiku 1945 r. stwierdzało, że Ezra Pound, obywatel amerykański, zobowiązany do lojalności wobec Stanów Zjednoczonych, dopuścił się zdrady przez stowarzyszenie się z wrogami USA, królestwem Włoch i jego militarnymi sojusznikami, udzielając im pomocy i wsparcia przez przyjęcie od włoskiego rządu zatrudnienia jako propagandzista radiowy i wygłaszanie przez rzymskie radio wielokrotnych przemówień: daty wyspecyfikowano w akcie oskarżenia, który dodatkowo zarzucał Poundowi, że otrzymywał wynagrodzenie od rządu Włoch w wysokości 750 lirów – wówczas ok. 17 dolarów.

Rzymskie pogadanki radiowe poety

Sala sądowa w Waszyngtonie była pełna, gdy Pound stawił się przed sędzią. Nie powiedział ani słowa, toteż sędzia za niego nakazał wpisać, iż poeta twierdzi, że jest niewinny. Standardowa zasada, zgodnie z którą oskarżony jest niewinny, póki nie dowiedzie się mu winy.

Na udokumentowany wniosek obrony prokurator federalny oświadczył, iż rząd nie ma zastrzeżeń, aby poddać oskarżonego badaniom lekarskim (psychiatrycznym), wskutek tego sędzia zarządził przeniesienie poety z więzienia do powszechnego szpitala Gallinger w Waszyngtonie.

Julien Cornell, adwokat Pounda, starannie wyłuszczył wszystkie perypetie swego klienta, które nadszarpnęły jego zdrowie psychiczne. Wniosek z tej litanii może być tylko jeden: niepoczytalny. Prawnik ów później szczegółowo przedstawił zabiegi wokół obrony poety w książce „The trial of Ezra Pound. A documented account of the treason case by the Defendant's lawyer". (The John Day Company, New York 1966). Publikacja ta miała zapewne w jednakim stopniu stanowić usprawiedliwienie dla własnej kompetencji adwokackiej, poddanej później surowej krytyce.

Podstawą oskarżenia poety przez rząd Stanów Zjednoczonych były radiowe pogadanki wygłaszane przez poetę w czasie wojny, rozumiane jako bezpośrednio wymierzone przeciwko USA, rządowi prezydenta Roosevelta i amerykańskiemu wysiłkowi wojennemu. Ponieważ mikrofonu udzielało poecie radio rzymskie, a więc z założenia tuba propagandową wroga aliantów.

Każdą audycję Pounda poprzedzała wypowiedź spikera, „Dr. Ezra Pound skorzysta z mikrofonu dwa razy w tygodniu. Zrozumiałe, że nie będzie proszony o powiedzenie czegoś, co by w jakikolwiek sposób godziło w jego sumienie czy czegoś niezgodnego z jego obowiązkami jako obywatela Stanów Zjednoczonych". Uwaga ta miała potwierdzać, że autor występuje przed mikrofonem dobrowolnie, bez przymusu i poglądy swe głosi z pełnym przekonaniem.

Pogadanki Pounda (transkrypt znajduje się we wspomnianej książce Cornella), nieskładne, meandryczne, poświęcone były głównie jego obsesyjnie lansowanej od lat koncepcji ekonomicznej tzw. kredytu społecznego, wypracowanej przez Brytyjczyka, majora C. H. Douglasa – zarysu reformy społeczno-ekonomicznej obliczonej na wyeliminowanie długu jako zasady operacji finansowych. Poeta mówił więc głównie gwałtownie krytykując „lichwę", czyli powszechną praktykę pożyczania przez banki pieniędzy na procent, na czym wzbogacał się międzynarodowy spisek – w jego mniemaniu przede wszystkim żydowskich bankierów - podstawowa siła tronu brytyjskiego. Udało im się przeciągnąć na swoją stronę łatwowierny rząd USA.

Jego wystąpienia, wkrótce zresztą skasowane przez Radio Rzym – według jednej z plotek: z obawy, czy Pound przypadkiem nie nadaje do Waszyngtonu jakichś zakodowanych informacji przeciw Włochom i sojusznikom – nie były więc aż tak „zdradzieckie", jak np. propagandowe wystąpienia osławionego lorda Haw Haw, Axis Sally czy Tokio Rose.

Radiowi kolaboranci

Pierwsza postać, Williamie Joyce (żaden arystokrata) - Amerykanin, naturalizowany w Wielkiej Brytanii, pochodzenia irlandzko-niemieckiego, jest dość dobrze znana. Imieniem Axis Sally sumarycznie nazywano dwie w istocie propagandzistki, które nadawały po angielsku przez radio niemieckie i włoskie. Były to programy popularne wśród żołnierzy amerykańskich w Europie, ponieważ aby zachęcić do słuchania nadawały głównie muzykę rozrywkową przeplataną perswazyjnymi wstawkami mówionymi ciepłym „sexy" głosem, że najlepiej się poddać, wrócić do domu do swoich kobiet, do pracy; że osamotnione żony albo przyjaciółki na pewno żołnierzy zdradzają pod ich nieobecność.

Podobnie monotematyczny program obliczony na demoralizację żołnierzy walczący na Pacyfiku nadawano z Japonii, a głosu udzielała kobieta ochrzczona mianem Tokio Rose. I te audycje zapewne prezentowało kilka różnych spikerek. Jedna z nich, Iva Toguri D'Aquino, Amerykanka japońskiego pochodzenia, została aresztowana we wrześniu 1945 r. Skazano ją na lata więzienia za zdradę, choć konsekwentnie zaprzeczała jakoby pracowała na usługach władz Japonii.

Nie znaczy to, że pogadanki Pounda były całkowicie „niewinne". Z jego dość bezładnego wielosłowia można wyłowić określenia, zdania, spore fragmenty wypowiedzi, które w tamtych wojennych czasach łatwo było uznać za wprost zdradzieckie, czyli skierowane przeciwko Stanom Zjednoczonym, a zwłaszcza Wielkiej Brytanii, zaś wyrażające sympatię dla rządu Benito Mussoliniego, czy nazistowskich Niemiec. Sporo takich wypowiedzi cytuje Charles Norman w „The Case of Ezra pound". (Funk and Wagnalls, New York 1968). Stąd, m. in. sprawa Ezry Pounda nie jest całkowicie jasna: każda ze stron znajdzie poparcie dla swego uprzedniego przeświadczenia i do dziś rozpala emocje: drań, antysemita, zdrajca czy przeciwnie - egocentryk idealista, myśliciel oraz reformator społeczny.

Nawet z prawnego punktu widzenia kwestia nie była łatwa. Definicja zdrady według prawa amerykańskiego głosi: „przestępstwo zdrady składa się z dwóch elementów, oba z nich muszą mieć miejsce, aby mogło dojść do skazania: (1) lojalność wobec wroga, oraz (2) dawanie mu pomocy i wsparcia… Zamiar wystarczający do podtrzymania wyroku skazującego musi mieć charakter nie tylko zamiaru popełnienia jawnych czynów będących przedmiotem skargi, ale także zdrady kraju za pomocą takich czynów." (cyt za: Harry M. Meacham – The Caged Panther. Ezra Pound at Saint Elizabeths, Twayne Publishers, New York, 1967).

Niezależnie więc od poczytalności Pounda bardzo trudno, zgoła niemożliwe byłoby dowiedzenie mu „zdrady". Zarazem jednak, nie sposób było przejść do porządku dziennego nad jego poczynaniami w warunkach wojennych. Gdyby nie ów światowy konflikt, poglądy Pounda, z którymi przecież nie krył się długo przed 1941 r., byłyby po prostu opiniami jednymi z wielu krążących wśród ówczesnych intelektualistów. Sam poeta czuł się skrzywdzony oskarżeniami i próbą wytoczenia mu procesu. Niejeden raz porównywał się do Sokratesa: „oskarżono go o bezbożność i zamiar obalania praw swego kraju; a jednak nie był ani bezbożnikiem, ani wywrotowcem i późniejsza historia tego dowiodła. Zarzuca się mi zdradę mego kraju, który kocham tak samo jak twój." – to fragment wypowiedzi poety z 1944 r. dla dziennikarza włoskiego, zaś opublikowanej dopiero w1955 r.

Aresztowanie i uwięzienie

Wśród wspomnianych ciemnych, anonimowych postaci kolaborantów wojennych wybitny poeta, Ezra Pound, który przedstawiał się z imienia i nazwiska, był postacią raczej żałosną. Jego przyjaciele i sympatycy powiadali, iż plótł przez radio rzymskie niesamowite głupstwa i tylko chyba on jeden wiedział, o czym mówi. Taki przynajmniej był jeden z punktów obrony, której na prośbę amerykańskiego wydawcy Pounda, Jamesa Lauglina, podjął się nowojorski adwokat Julien Cornell, później autor książki o procesie poety.

Pounda aresztowano we włoskim San Ambrogio 24 maja 1945 r. na podstawie oskarżenia (zaocznego) o zdradę sprzed dwóch lat, w lipcu 1943 r., kiedy sąd przysięgłych Dystryktu Columbia (Waszyngtonu) orzekł w prawniczo kwiecistym języku: „jako obywatel Stanów Zjednoczonych i osoba winna lojalność wobec Stanów Zjednoczonych, naruszając rzeczony obowiązek lojalności, świadomie, rozmyślnie, samowolnie, przestępczo, występnie i zdradziecko związał się z wrogami Stanów Zjednoczonych, a mianowicie Królestwem Włoch, jego obrońcami, armią, marynarką wojenną, tajnymi agentami, przedstawicielami i poddanymi oraz militarnymi sojusznikami rzeczonego Królestwa Włoch, w tym rządu

EZRA POUND PRZED SĄDEM

Niemieckiego Reichu i cesarskiego rządu Japonii, z którymi stany Zjednoczone przez cały czas od 11 grudnia 1941 były w stanie wojny, dając rzeczonym wrogom Stanów Zjednoczonych pomoc i wsparcie w Stanach Zjednoczonych i gdzie indziej" (cyt za: E. Fuller Torrey – The Roots of Treason. EzraPound and the Secret of St. Elizabeths. McGraw-Hill, New York 1984).

Przez trzy tygodnie przetrzymywano Pounda w amerykańskim ośrodku kontrwywiadu w Genui i następnie zamknięto go w ostawionej klatce w więzieniu militarnym – Ośrodku Szkolenia Dyscyplinarnego - w okolicach Pizy. 60-letniego poetę trzymano na otwartym powietrzu całe lato w ogromnym upale; nocą oświetlony ostrym reflektorem pod ciągłą obserwacją strażników. Za okrycie miał koc, żadnej ochrony przed deszczem czy palącym słońcem - prawdopodobnie wtedy, wedle oświadczenia adwokata, doznał udaru słonecznego, co na długo zmąciło mu zmysły, ale zarazem osobliwie nie przeszkodziło mu to w kontynuowaniu twórczości. Zamknięty w klatce znalazł się wśród najcięższych przestępców wojskowych – morderców, gwałcicieli, bandytów. Początkowo nie wolno mu było z nikim się komunikować, rodzina nie mogła go odwiedzać. Adwokat kładł szczególny nacisk na wyjątkowo ciężkie przejścia poety w ostatnich miesiącach, które nadszarpnęły jego równowagę psychiczną.

Przewieziono go do USA 16 listopada 1945 r. (samolot wylądował w Waszyngtonie po dwóch dniach) i umieszczono w waszyngtońskim więzieniu, gdzie po raz pierwszy spotkał się z nim adwokat. Już po wstępnej dłuższej rozmowie określił główną linię obrony: niewinny, bo niepoczytalny. Jak twierdzi niechętny Poundowi E. Fuller Torrey, taki właśnie tryb postępowania wcześnie zasugerował Ernest Hemingway, pisząc w tej sprawie do Archibalda MacLeisha.

Jak twierdzi Julien Cornell, już podczas pierwszego spotkania Pound zrobił na nim przygnębiające wrażenie. Ciężkie przejścia ostatnich miesięcy spowodowały, że według opinii prawnika, poeta nie może stanąć przed sądem, bo potrzebuje opieki medycznej i szpitalnego leczenia. Ta linia obrony – najłatwiejsza i w praktyce najskuteczniejsza, okazała się w efekcie fatalna.

W pierwszej rozprawie 27 listopada Pound zjawił się w sądzie rozczochrany i nieogolony – jak pisał ówczesny „New York Herald Tribune". Milczał, przestępował tylko z nogi na nogę. Sędzia przychylił się do wniosku obrony i zarządził przeniesienie go do więziennego oddziału psychiatrycznego na obserwację.

W ponownym oskarżeniu przed federalnym sądem przysięgłych postawiono mu 19 zarzutów „jawnych aktów zdrady" popełnionych między 11 grudnia 1941 a majem 1945 r. Obrońca powtórzył swoje stanowisko o niepoczytalności oskarżonego, co zaskoczyło prokuratorów, jakby nie orientujących się w stanie umysłowym Pounda.

Ideolog „kredytu społecznego"

Powołano biegłych psychiatrów, którzy potwierdzili stanowisko obrońcy: Pound nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistości, w jakiej funkcjonuje, ani z własnego położenia. Nawiasem, jeszcze długo przed wojną jego najbliżsi przyjaciele, zwłaszcza poeta T. S. Eliot i pisarz Ernest Hemingway wyrażali zaniepokojenie z powodu jego „wariactwa" – monomanii ekonomicznej, maniakalnym przeświadczeniem, że jedynie w starożytnych Chinach wprowadzono w praktyce sprawiedliwy system gospodarczy, później rozwinięty w koncepcji kredytu społecznego Douglasa; obsesyjnym przekonaniu o złowrogiej roli kredytu i międzynarodowym spisku lichwiarskich banków. Myślę, że dziś młodzi ludzie „na smyczy" wielodziesięcioletniego zadłużenia mogą lepiej zrozumieć dawną ideę fixe Pounda.

Ci, którzy spotykali się z coraz bardziej zamkniętym w sobie poetą jeszcze we Francji, a później we Włoszech, uważali, że powinien zajmować się poezją, a nie ekonomią. Poeta był przeświadczony o swej nowej, właściwej misji życiowej: jedyna droga do utrzymania (później – zaprowadzenia) pokoju na świecie, w istocie – ustanowienia sprawiedliwego ładu i porządku - prowadzi przez naukę Konfucjusza (którego teksty, wybór pism, „Analecta", tłumaczył później w szpitalu z pomocą Chinki, zawodowej tłumaczki) i naturalnie przy poparciu sojuszu intelektualistów przeciwko bankierom prowadzącym świat od wojny do wojny.

Wbrew opiniom przyjaciół Pound jednak o sztuce nie zapomniał i w dziwacznym połączeniu koncepcji ekonomicznej, poezji oraz wiedzy o starożytnych Chinach tworzył kolejny cykl Cantos, pisanych w więzieniu w Pizie, kiedy komendantura ośrodka zorientowała się, iż osadzono w nim nie nadzwyczaj niebezpiecznego zbrodniarza wojennego, ale psychicznie niezrównoważonego poetę. Przeniesiono go z klatki do normalnej celi, a po godzinach urzędowania zezwolono mu na korzystanie z maszyny do pisania w biurze więziennym. Pisał do późnej nocy i klął przy tym podobno jak szewc. Tak powstały zręby tomu „Cantos pizańskich", za które otrzymał w 1949 r. Bollingen Prize, amerykańską najwyższą nagrodę za twórczość poetycką. Wyróżnienie to wywołało skandal, bo przecież nad Poundem wisiało mocne oskarżenie o przestępstwo wojenne. Jak więc rząd może nagradzać kogoś, kogo zarazem uważa za zdrajcę.

Do końca niepoczytalny

Opinie biegłych psychiatrów zgodne były na temat tego, że Pound nie jest zdrów na umyśle i nie może stanąć przed sądem. Wymaga leczenia. Sędzia zarządził przeniesienie go do więziennego oddziału szpitala Sióstr Elżbietanek w Waszyngtonie. Natomiast prasa, opinia publiczna, były zdecydowanie wrogo nastawione do Pounda i całej sprawy. Powojenne nastroje w społeczeństwie USA były nieprzejednane wobec kolaborantów: domagano się sądu, skazania (nawet na śmierć za zdradę). W najlepszym wypadku uważano, że Pound nie jest bynajmniej bardziej „psychiczny" niż wszyscy faszyści. Jego liczni i wpływowi przyjaciele ostrożniej dowodzili, że Pound, jak każdy poetycki geniusz jest naturalną koleją rzeczy „nienormalny" z punktu widzenia świadomości przeciętnego człowieka.

Dla adwokata przykład procesu i skazania na śmierć lorda Haw Haw (na początku stycznia 1946 r.), najbardziej zajadłego z prohitlerowskich radiowych propagandzistów, oraz proces dwóch innych Amerykanów, Douglasa Chandlera i Roberta Besta, pracowników radia niemieckiego w czasie wojny, oskarżonych razem z Poundem w 1943 r., mógł i zapewne stanowił ostrzeżenie: w ówczesnych warunkach nie wiadomo było, jaki wyrok wyda sąd przysięgłych. Wszystkie późniejsze – po latach - rozważania nad niekompetencją Cornella mają bardzo ograniczoną wartość. W ówczesnych bowiem warunkach formuła „niezdrów na umyśle" wydała się najbezpieczniejsza. Późniejsi krytycy poczynań Cornella i „współspiskowca" koncepcji niepoczytalności poety, dyrektora szpitala Sióstr Elżbietanek, Winfreda Overholstera, dowodzili, że najlepiej było po roku czy dwóch w szpitalu, doprowadzić do wznowienia procesu. Szanse na uniewinnienie Pounda były ogromne, w najgorszym wypadku dostałby lekki wyrok, którego mógłby nawet nie odsiedzieć. A tak przebywał praktycznie uwięziony przez 13 lat. Do takiego rozwiązania przyczynił się wspomniany dyrektor szpitala, który wbrew oczywistym faktom nieustannie podtrzymywał wersję o niepoczytalności poety i konieczności jego dalszego pobytu u Sióstr Elżbietanek.

Po miesiącu pobytu w szpitalu ponownie przebadano Pounda i nie stwierdzono żadnej poprawy. Młodsi pomocnicy zespołu ekspertów wyrażali odmienne zdanie. Uważali, że Pound jest zdrów na umyśle - jest jedynie krańcowo ekscentryczny o nadzwyczaj rozwiniętym ego. Ich opinii nie wzięto jednak pod uwagę, liczył się głos rządowych, uznanych rzeczoznawców. Pounda przeniesiono na oddział psychiatryczny szpitala na leczenie.

W ten sposób Ezra Pound wpadł w pułapkę, której niechcącym architektem był jego oddany obrońca. Oskarżenia przeciwko Poundowi nie wycofano, a tylko odroczono proces na czas nieokreślony, kiedy – już przy zdrowych zmysłach - będzie mógł stanąć przed sądem. Innymi słowy: jak długo przebywa w szpitalu, tak długo jest chroniony przed postępowaniem karnym. Kiedy wyjdzie - w założeniu jako zdrowy człowiek, czeka go sąd i niewiadoma kara za zdradę. I tak Pound przesiedział 13 lat w szpitalu Sióstr Elżbietanek aż wreszcie grupa przyjaciół (m. in. T. S. Eliot, Ernest Hemingway, William Carlos Williams, E. E, Cummings i Robert Frost) zorganizowała akcję wyciągnięcia poety z matni, w jakiej się znalazł. Na jej czele stanął wielbiciel sztuki poetyckiej Pounda, wybitny poeta amerykański Alister MacLeish, który wcześnej pełnił wysokie stanowiska w administracji waszyngtońskiej (był m. in doradcą prezydenta, pracował w Departamencie Wojny i był asystentem Sekretarza Stanu - odpowiednika ministra spraw zagranicznych).

Na podstawie orzeczenia tegoż dyrektora szpitala psychiatrycznego, iż dalsze przetrzymywanie poety w odosobnieniu nie służy poprawie jego zdrowia, sąd waszyngtoński umorzył 18 kwietnia 1958 r. sprawę przeciwko Poundowi. Wraz z żoną Dorothy bezpośrednio ze szpitala zaokrętowany został na statek i odpłynął do Włoch, gdzie poeta przebywał do końca życia w 1972 r.

Czesław Karkowski

PROZA

Marek Jastrząb

POWRÓT MARNOTRAWNEGO TATUSIA

Skoro myślę o Mamie, nie umiem zapomnieć o chwilach tak odległych i niewyraźnych, że tylko niekiedy udaje mi się do nich przeniknąć, bez reszty wejść do ich wnętrza. Wówczas pragnę przegrzebać całe te zamglone obszary, zbadać podskórne pejzaże zmarnowanych dni. Nagle, z mroku pamięci, wyłania się akordeon, zakurzona pozostałość po ojcu i widzę poprzedni dom, studzienne podwórko, ślepca z rogu ulicy, żebraka wygrywającego smętne melodie, a w kącie, tuż obok muru przystrojonego w zieleń potrzaskanych butelek, betonowy śmietnik pełen odpadków i szczurów.

I nie ma w tym nic niezwykłego, bo nie panuję nad odruchami; wspomnienia przytłaczają mnie ogromem i różnorodnością, a kiedy się w nich zanurzam, jestem zakłopotany, jak gdybym, nieproszony, wlazł z buciorami w cudzą intymność. Nie ma, gdyż nazbyt wiele kosztuje mnie pobyt w tamtym świecie. Z tej przyczyny bywam w nim rzadko i raczej niechętnie; gdy wracam do rzeczywistości, trudno mi się pozbierać. Męczy mnie wtedy krótki oddech, trapią gwałtowne palpitacje, a wzrok – nieobecny i przygaszony - nie pozwala na ponowne pojawienie się w otaczającym świecie. Zwłaszcza, kiedy przypominam sobie rodziców Mamy.

*

Jeździliśmy tam od wielkiego dzwonu, ale odwiedziny uzależnione były od ich planów i kaprysów; przedtem musieliśmy umówić się na wizytę. Telefonicznie, szczegółowo obgadać jej termin. Co do minuty uzgodnić odpowiedni dzień i godzinę tak, by nie zastać ich w trakcie awantury. Byśmy nie stwierdzili, jak u nich jest, gdy są bez widowni. Tu powiem, że dla nas pożytek z tego ustalania był żaden, gdyż moje zabawy, jak i Mamy rozmowy, były niczym filipiki niewidomych prowadzone na migi.

Punktualnie z rozkładem jazdy przychodziliśmy do ich kamieniczki. Kiedyś należała do dziadka, było to jednak w czasach przed moimi narodzinami. Ale nawet dzisiaj, gdy patrzę na albumy sepiowych fotografii, ściska mnie w gardle i do pewnego stopnia jestem w stanie zrozumieć, dlaczego się rozpił i zgorzkniał.

Wracam do wizyt. Zaraz po sztucznym i niewylewnym powitaniu w przedpokoju, po wymianie misiowatych zapewnień o wzajemnej miłości i odbębnieniu cmoknięć, tudzież frenetycznych uścisków, osowiała i leciutko naburmuszona babcia, ciężko, z rezygnacją, ostentacyjnie, masując obolały kark, siadła przy stole.

Dziadek wydzielał z siebie jakieś rozkasłane i abstynenckie pomruki, a każde z nas, w milczeniu, wlepiało wzrok w obojętnie co, w popsutą pozytywkę, w zegar z odważnikami, pochyłe lustro, w którym odbijały się drzwi prowadzące na balkon, w brązowe deski wyszorowanej podłogi.

Podczas owego spektaklu nudziłem się jak mops: czekałem na sygnał, gdy dziadek da mi zajrzeć do ogrodu, by pobiec na łąki za domem, zapodziać się w górach i dolinach porosłych trawiastym piachem, gdy machnie nerwową ręką i zezwoli wypaść na pustą szosę lub znaleźć się na podwórku.

Tam, w ogrodzie, tuż za beczką smoły, odzyskiwałem siły. Mogłem, ukryty w konarach wiśni, zajadać jej owoce i bez krępacji rozmyślać o Bóg wie czym, o zbliżającym się wyjeździe na wieś, o czekającej mnie podróży pociągiem.

Odprężony, wracałem po paru godzinach i kiedy zanosiło się na wspólne spoglądanie na zegar odcharkujący godziny, Mama zaczynała mówić, że na nas już najwyższa pora. Z udanym przestrachem łapała się za głowę i oznajmiała, żeśmy się zasiedzieli.

Dochodziło wtedy do obustronnie markotnych serenad z akompaniamentem dyskretnej ulgi, a ich śladem podążały babcine i dziadkowe pytania o to, kiedy się znowu zobaczymy, a my, zawiedzeni, rozczarowani, broniąc się przed liturgią pożegnań, śpiesznie wracaliśmy do swojego zacisznego *wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma*.I tak to trwało, aż dziadek zdziecinniał.

Z rzadka pojawialiśmy się u niego. Podobno przestał pić, rzekomo lekarz mu zabronił, z czego najbardziej ucieszyła się babcia, no, a babcia podupadła także; nikt już do nich nie przyjeżdżał, nie załaził ze swoim krytykanckim wtrącaniem trzech groszy. Cała rodzinka wydawała się być zajęta pielęgnacją własnych wrzodów, a Mama i ja, byliśmy na etapie godzenia się z odejściem ojca, zapominania jego twarzy, zachowań, dziwnych nawyków do wychodzenia w nocy i jeszcze dziwniejszych powrotów skoro świt, kiedy to rozpromieniony, pochylał się nad moim łóżeczkiem, wesół i szczęśliwy, jak *krakowiaczek ci ja*.

Ale zacznę od początku, to znaczy od chwili, gdy umarła. Odeszła, kiedy byłem za mały, by się dowiedzieć, czy wyjechał z mojego powodu. Na jej pogrzebie, trzymany przez ciotkę za rękę, myślałem, gdzie i co ze mną będzie. I pragnąłem, żeby trwało jak dawniej, jak wówczas, kiedy miałem pięć lat i byliśmy wszyscy.

Wtedy przyszła mi do głowy plaża. Wędrowaliśmy wzdłuż brzegu, Mama, która nazywała mnie swoim Marcinkiem, ja i jeszcze jakiś fircyk niewart wzmianki. Na horyzoncie, daleko, to znikała w głębi, to wyłaniała się z fal, niepozorna kreseczka statku. Niebo przeczyste, morze posiekane bielą roztańczonych mew, spienione grzywami roziskrzeń, ani jednej chmurki, cicho i w słońcu.

Nagle zrobiło się burzowo, sielanka zasnuła się mgłą i wszystkie mewy gdzieś poznikały razem ze swoim zawodzeniem. Rozległ się grzmot, a falami zakołysał wiatr. Na plaży nie było nikogo; właściwie nie powinno to być żadnym zaskoczeniem, bo akurat wówczas, po raz pierwszy poczułem, że jestem sam.

Ale po pogrzebie wróciłem do domu z ciotką, co mnie uspokoiło, wyrwało z niepewności. Zamieszkała ze mną. Jak mi oznajmiła, weszła do domu Mamy, by nade mną czuwać, strzec mojego prawidłowego rozwoju.

Lecz ja sądziłem inaczej. Mianowicie uważałem, że pojawiła się tu, by odgryźć się za dotychczasowe życie przy rodzinie, wyzwolić z pełnienia roli ubogiej krewnej, pomiatanej i bezużytecznej matrony. Z ciotczynych aluzji zrozumiałem, że moja Mama również nie była wobec niej w porządku: też zadzierała nosa i też nie przepuszczała żadnej okazji, by dokuczyć jej za jakieś przewiny z przeszłości.

O co im poszło, nie wiem; dysponowałem wyłącznie domysłami. Niewykluczone, że miały do siebie pretensje o mojego ojca. Zawiodły się na nim obie. Jednej i drugiej obiecywał ożenek, a gdy zorientował się, że Mama dostanie zapis, a ciotka zaledwie wyrazy współczucia, rozpoczął matrymonialną kampanię zakończoną moim rozwrzeszczanym istnieniem, po czym zwiał.

Kiedy okazało się, że spadek należy traktować z przymrużeniem oka, bo dziadkowie zbankrutowali, a mój ojciec odpełzł nie wiadomo gdzie i do kogo, zostały przyjaciółkami. Miały nawet coś w rodzaju wspólnej depresji z jego powodu, ale wkrótce im przeszła i kombinowały nad powrotem do normalności; jakkolwiek nadal władały nimi problemy z dokonywaniem właściwych wyborów, dylematy z wyodrębnieniem prawidłowych opcji, to przemyśliwały, czy aby nie rzucić się w wiry i odmęty roboty, w coś z konkretnym sensem, jak życie bez chłopa.

Toteż nie mówiły o miłości. Wystrzegały się jakichkolwiek nawrotów do wyznań; temat o kryptonimie uczucie, był dla nich za śliski. Mówiły: *jeżeli kochać, to bez zastrzeżeń*.

*

Była starszą siostrą Mamy. Wiecznie zatroskaną, mało kontaktową, burkliwą nawet. Starała mi się przedstawić jako wyznawczyni rozsądku i ascezy. Na próżno jednak, bo przybierając surowe miny, chcąc zrobić wrażenie osoby apodyktycznej, kogoś o ugruntowanych, niezłomnych zasadach, rozśmieszała mnie tylko zamiast osiągnięcia celu: wbicia mi do głowy, że jest pryncypialna i nie żartuje, gdy mówi o moim trudnym charakterze, o przywarach świadczących, że zostałem rozpuszczony przez Mamę i potrzebna mi jest dyscyplina, bawiła, a to z tego względu, że wypowiadane przez nią słowa nie zgadzały się z łagodnym wyrazem jej fizys i przeczyły uśmiechniętym oczom.

*

W każdym razie kiedy już miałem przeszło

dwadzieścia lat, ciotka zmarła. Z wolna przygasała. Początkowo czepiała się życia. Z ożywieniem dowcipkowała, jak gdyby chcąc zaprzeczyć biologicznym procesom, uchronić się przed nimi. Żartowała ze mnie i z siebie, opowiadała nieznane fragmenty wydarzeń ze swojej przeszłości, z dzieciństwa Mamy.

Jednak z czasem osłabła: bagatelizując cierpienia i pomniejszając znaczenie ich ataków, przekonała się na własnej skórze, że nie wystarczy silna wola i upór, by pokonać to, co niszczy. Jeszcze rwała się do robienia śniadań i przepierek, ale widać było że poddaje się, ulega, rezygnuje z fanfaronady. Nie podnosiła się z łóżka i jak przedtem, kiedy byłem mały, chodziła przy mnie, tak teraz ja starałem się o nią troszczyć. Jej spojrzenia coraz częściej matowiały, blakły, nieruchomiały; skierowane do wnętrza, rytmicznie i nieubłaganie oddalały się od mojej rzeczywistości.

Na miejsce opuszczone przez nią, wskoczył wysportowany, muskularny typek o kryształowych oczach, gość odgrywający przede mną operetkową rolę przeuroczego; ni stąd ni zowąd wynurzył się z niebytu i od progu krzyczał, że jak zwykle nie zdążył. Pozorując zmartwienie z powodu śmierci Mamy, składał mi zaległe kondolencje. Mimochodem przysięgał, że już rozumie, co to rodzina i że o mnie zadba. Jednym słowem, tego dnia nastąpił nieoczekiwany powrót marnotrawnego tatusia.

Przyznam, iż podobne zapewnienia działają na mnie odwrotnie. Jeżeli ktoś mi oświadcza, że jest uczciwy, szlachetny czy prawdomówny, z mety mam wątpliwości na temat jego ukrytych intencji, a wietrząc w nich fałsz, rośnie mi gula.

Początkowo zachowywał się niczym egzekutor: rzucał spojrzenia pełne zadumy, przechadzał się w milczeniu: miarowym krokiem, dostojnie, w zamyśleniu. Cały czas jednak łypał w stronę umeblowania, co wyglądało, jakby chciał dokonać pospiesznych oględzin sprzętów, sufitów i okien.

Czułem, że z każdą następną chwilą był do mnie coraz przyjaźniej usposobiony. Jak gdyby w moim spojrzeniu dojrzał coś w rodzaju chwiejnego oczekiwania, czy bezwiednej nadziei; i to go ośmieliło, rozzuchwaliło, dodało pewności siebie: wtedy już napastliwie, niemal bezwzględnym tonem zażyczył sobie, by tytułować go tatusiem. Jednakże było to nieporozumienie, bo choć nie mogłem przestać go kochać, wciąż i nadal dostrzegać w nim kogoś bliskiego, to przecież tkwiąca we mnie zadra sprawiała, że wolałem nie zwracać się do niego w ten sposób.

W zamian mówiłem do niego *stary*. Stary, należało do określeń bezpiecznych, neutralnych, poniekąd bezosobowych. Zdecydowanie, gdyż tatuś nie pasowało do drania, który mnie olał. Lecz gdy zrobił mi solidną awanturę wspartą łubu-du i kiedy zaczął ciskać we mnie czym popadnie, poszedłem na kompromis: natychmiast uderzyłem w pokorne, lamentacyjne, czołobitne tony okazując mu gwałtowny szacunek; począłem go wielbić z opętańczym zapałem, wniebogłosy wychwalać, przedkładać nad wszystkich znanych i nieznanych ojców z osiedla. Wszelako w moim ojcze pobrzmiewały nutki drwiącej służalczości.

*

Po kwadransie westchnięć i oburzonych min oświadczył, że zamieszka w pokoju po ciotce. Z nadmierną pompą w głosie powiedział, że niebawem sprowadzi bagaże, a jak przyjdą, zabierze się za dokończenie dzieła swojego życia; lecz choć wytężałem pomyślunek, za nic nie mogłem zrozumieć, o jakim dziele truł i o czym ono będzie. Pokój ciotki był największy ze wszystkich trzech; z loggią i windą do nieba.

Przez tydzień, który przeznaczył na zaprowadzenie w sobie duchowej aklimatyzacji, z pokoju dobiegały mamroczące odgłosy, a ja nie miałem pewności co słyszę, bo prócz Ojca, nie było tam nikogo.

*

Początkowo z entuzjazmem, a później z odrazą, wstawał razem z kurami; gdy na zewnątrz panowała szarość i rozlegał się stukot butelek z mlekiem. Słyszałem szklane hałasy śniadaniowych talerzyków, a po drugiej stronie ulicy widziałem otwieranie okien. Na parapety wykładano pościel do wywietrzenia i wówczas unosił z wyra opasłe dupsko. Po czym wybiegał, gnał przed siebie, jak gdyby wiedząc, dokąd, ale przypuszczam, że jego celem nie była ucieczka w konkretne miejsce, lecz samo błądzenie po bezdrożach.

Kiedy pokój zamieszkiwała Mama, a potem ciotka, zjawiałem się w nim często. Teraz – nie. Nie, gdyż zamykał go na klucz. Co gorsza, jak był w domu, nie pozwalał mi zaglądać do środka. Jednak pewnego dnia, wychodząc, zapomniał o drzwiach, więc zajrzałem.

Odkryłem w nim skład kolorowych świerszczyków ze zdjęciami do oglądania w odosobnieniu, a kiedy się po nim rozejrzałem dokładniej, stwierdziłem, że jest to teraz rupieciarnia, mroczna i cuchnąca pieczara, regularnie nie wietrzone rumowisko przedmiotów o zagadkowym przeznaczeniu, sterty porozwalanych gazet i szpargałów wsadzonych byle gdzie, a zamiast firanek, zawieszonych jeszcze przez ciotkę, w miejscu jasnych zasłon budzących pogodne skojarzenia, na oknie zobaczyłem poplamioną szmatę o wyglądzie koca.

Pocieszało mnie, że Ojciec, wychodząc z domu, przez kilka godzin włóczył się po ulicach, by wrócić tak samo bez uprzedzenia, mogłem więc choć przez moment zapoznawać się z zawartością jego wysypiska. Lecz nie znalazłem w nim niczego godnego uwagi; w przeważającej i demonicznej liczbie nie były to pisma fachowe, profesjonalne i niezbędne do pracy jego życia, ale papierowe rupiecie upstrzone notatkami, które prędzej mógłbym znaleźć w składnicy makulatury, niż u człowieka, który odgrażał się, że dokona czegoś wiekopomnego. Co było zgrzytem, ewidentnym dysonansem: jakby w trakcie prelekcji o Bizancjum przerwano referentowi, by zacząć przewlekłą i nieskończoną dyskusję o doprawianiu sałaty, wobec czego stwierdziłem, że zanim doszedł do rozumu, pokręciły mu się synapsy.

Lecz gdy już poczęło mi się wydawać, że go rozszyfrowałem i jest, jak inni, hipokrytą, gdy od niechcenia, zacząłem przeglądać jego zbieraninę, w jakimś tygodniku z krzyżówkami znalazłem list do Mamy. A właściwie – przymiarki, urywki luźnych stroniczek z opisami zdarzeń. Odręczne, trudno czytelne, miały coś wyjaśnić lub do czegoś przekonać, lecz ani nie przekonywały, ani nie wyjaśniały niczego, odwrotnie: wprowadzały mnie w stan lękliwego rozgoryczenia.

Bo w chwilach ich wertowania poczynałem zastanawiać się nad sobą, ze smutkiem stwierdzać, że czas wiary w ludzką chwałę przestaje być dla mnie bliskim i niepodważalnym zbiorem praw czy reguł skazujących mnie na przestrzeganie uniwersalnych norm. Gdyż przedstawiany za ich pośrednictwem świat, tajemniczy, jak ludzki portret skłębionych namiętności, raz mi się jawi niczym dostępna i gładka przestrzeń, to znowu, innym razem, jak ślepy i mało rzeczywisty strumień bezładnych emocji:

Droga! Tęsknię za Tobą, jednak masz mnie gdzieś i wcinasz te swoje zielone winogrona, a choć nie oczekuję odpowiedzi, to przecież trochę mi ich brak. Powiedziałem, że nie są konieczne, bo sam wiem, co znaczą czasowe deficyty. Zdaję sobie sprawę, że nie sposób jest, mając rozliczne i pilne sprawy, odpowiadać na każdy. Z tego powodu napisałem, co napisałem, ale byłoby przyjemnie wiedzieć, że moje listy dochodzą.

Mimo to będę nadsyłał; przeczytasz, bądź nie i odpowiesz, lub też nie. Jakkolwiek może nie jest to aż takie ważne, byś odpowiadała i za wiele chciałbym… A pomysł, że być może czymś Cię obraziłem, jest moim stałym przekleństwem i nic na to nie poradzę; ilekroć ktoś za długo milczy, zaraz mam w głowie zamęt i uruchamiają się skrupuły. Chociaż w naszym przypadku to ja za długo byłem niemową.

Zbyt późno zauważyłem, że powinienem od razu do Ciebie wrócić i na nowo poznać Marcinka. Lecz się stało: odszedłem, czego żałuję. Ze skruchą dodam: gdy byliśmy razem, naiwnie sądziłem, że szczerość absolutna, pozbawiona elementów tajemnicy, intymności, to szczerość wydana na pastwę ludzi wrogich, zawistnych, chcących splugawić i zohydzić każdą myśl przekraczającą ich skarlały rozum. Teraz już wiem, że składam się nie tylko z podczytywania Jaspersa lub Fromma. Składam się także z niezadanych pytań: o Twoje zdrowie, co macie na obiad, skąd pożyczyć do pierwszego i jak ustrzec się przed waszą nieobecnością.

Za późno zrozumiałem, że są dwie filozofie. Jedna, to poziom wyższy. Pascal, Einstein i im podobni. Oraz druga: pogardzana, szara, przeciętna. Ta druga, to doświadczenie nazywane mądrością życiową. A obie są ważne i równorzędne. Wierzę w powroty utraconych rajów; jeżeli zdarzy się piekło znieczulenia i będziemy poza sobą równie szczęśliwi jak teraz, pamiętaj, że „teraz" będzie bez naszego udziału, gdyż nie można rozłączyć tych, co są nierozłączni.

Przyzwyczajeni do rytmu znanych spraw, czujemy się bez nich fatalnie; mamy pretensje o to, że ktoś lub coś pokroił nasz tort z losu na niesprawiedliwe porcje; niekiedy jest przyjemny, często zaś okazuje się słodyczą omaszczoną keczupem. Złudzenie: podzielił go nie ktoś lub coś, ale CZAS. To on jest złodziejem, oszustem, przeniewiercą, to od niego otrzymujemy nie te kawałki losu. Inne, lecz jakże na miarę naszych możliwości. Ty dostałaś Marcina, ja samotność bez was.

Wybacz mi więc, że musieliśmy się rozstać; z czasem nie powinienem się spierać, bo nie on mnie otumanił, ale zły punkt widzenia. No, dosyć moralizowania. Jak się zdobędę na odwagę, to resztę Ci dopowiem po przyjeździe.

Z duszą na ramieniu, wystraszony jego niespodziewanym powrotem i chrobotaniem kluczy w drzwiach, odłożyłem list na miejsce, wybiegłem z pokoju chowając się szybciutko w drugim. A kiedy już byłem bezpieczny, przyszło mi do głowy, że nawet on zasługuje na zawieszenie kary, więc zacząłem ćwiczyć się w czułym wypowiadaniu słowa tatuś.

Marek Jastrząb

Jakub Fornagiel

Ciężko przyznać się do winy
Częściej biję się w pierś
Niż wydam dźwięk
Bo słowo ma trudność
By wyrwać się z serca
Trudniej porozmawiać o dawnych grzechach
Ból i rozpacz przeradzają się w krzyk
Niż uznać — coś nas opętało
Łatwiej milczeć i unikać tematu
Zwątpiliśmy w moc słowa
Dlatego w ruch pójdą pieści
Krzyk i unik za unikiem
Bo nikt nie nauczył nas ze sobą rozmawiać
Myślę że
Dlatego łatwiej było zrzucić wszystko
Na wybawiciela lub czarta
I nabić na pal
Za grzechy świata
Nienazwane

Na skraju pór roku
U zmierzchu lata
Wydycham powietrze wolniej
Spowalniając tętno
Jakby świat wyrwał mi płomień
I grzał się oparami
Kolorów skrytych w kalejdoskopie
Uśmiechniętych oczu
Które pomimo oswojenia
Odeszły…
Porwany przez wierzchowca jutrzenki
Gnającego na ślepo za wskazówkami
Pozwalam jednej łzie opaść na tusz
Ciepło uderzyć o metaliczną surowość papieru
Zabrać wspomnienia ze śmiertelnego skarbca
Może więcej nie spotkam wielu z Was
Współautorów mojej przeszłości
To nocą opętany nostalgią
Ostatni oddech poświęcę waszej pamięci
Nim przyjdzie mi się obudzić
Wraz z brzaskiem kolejnego okrążenia planetarnego
By wykrzyczeć z mrugnięciem — Do następnego!

Ten Wróblewski i ta jego cholerna maszyna – a te wiersze?!
Toż to grafomania, mówię pani, Grafomania!

Nocą gdy światło pada na treść
A za oknem wyziera
Wielki kot
Toczący sprawy świata
Niczym włóczkę
Odbijając ją od lewej do prawej
Ha! Kpi mi prosto w twarz
Przeciągając słowem nutę

Wpadam w wielki wir inspiracji
Sięgam po łyk
I myślę nad tym
Jak ludzie są spięci
Zmęczeni
Powagą świata
Nie potrafiąc się z niego śmiać
Zbyt pochłonięci zobowiązaniami
Przerzucając włóczkę
Z lewej do prawej
Aż za granicę wytrzymałości

Uśmiecham się
Choć bardzo rzadko myślę o tym
Czy to właściwy czas na radość
Gdy rzeczywistość jest na krawędzi
Bliska by się przewrócić na bok
A zarazem nie zmienić niczego

Myślę o tym
Leżąc niczym na wznak
Przeszłość przeszła
Nic jej nie osądziło
Poza zwycięzcami
Gdy ja mogę tylko toczyć się dalej
W świecie zmian z przypadku
Nawet jeśli rewolucja zwyciężyła
To za chwilę zagryzie własny ogon

Jakub Fornagiel

Nazywam się Jakub Fornagiel i jestem pierwszym rocznikiem nowego tysiąclecia. Piszę poezję i opowiadania na niemieckiej Olympii. Mieszkam w Krakowie. Na swoim literackim koncie mam tomik poezji *Granica Oblicza* wydany własnym sumptem w 2020 roku z numerem ISBN. Dwukrotnie zostałem laureatem konkursów poetyckich. Publikowałem w czasopiśmie Akant, a także Magna Polonia. Od siedmiu lat prowadzę instagram – wiersze_w_skórzanej_walizce.

Zbigniew Joachimiak

Myślałam w twoim życiu, powiedziała. I zamilkła, jakby to było i oczywiste, i zrozumiałe.

Chciałem zapytać, co ma na myśli, chyba, że myślała o moim życiu. Ale może jednak nie, może, że myślała o mnie w swoim życiu?

Jej język nie był doskonały. Kiedyś powiedziała, wiesz, dla syreny język mówiony jest trudną sztuką. A zresztą, czy nie jestem dość miła?

Miała pełną paletę uczuć jak na dłoni. Widać to było w je oczach, subtelnej mimice, ruchach dłoni, całego ciała.

Umiała wyrażać uczucia milczeniem, różnego rodzaju milczeniem. Trudno to opisać, bo z milczeniem jak z muzyką, jest bardzo zrozumiała, ale spróbuj opowiedzieć np. nokturn Chopina. Kto by zresztą chciał opowiadać muzykę, na pewno nie ja, więc nigdy nie narzekałem, że tak mało mówi słowami.

Wyrażała wszystko milczeniem, potrafiła nim wypowiedzieć krótka fraszkę (wzbogacając ją uśmiechem), potrafiła zaśpiewać długi poemat. A niekiedy potrafiła zabrzmieć pełnym wymiarem orkiestry symfonicznej. Wtedy trochę się jej bałem.

Tak więc często, a może nawet najczęściej milczeliśmy i wszystko było zrozumiałe. Czasami tylko zapytała, chcesz herbaty, a może jesteś głodny? Siedziała z drugiej strony stołu, lekko podpierała się łokciem i sprawdzała czujnie, czy smakuje mi kolacja. Sama niewiele jadła. Zresztą jej drobne ciało niewiele potrzebowała pokarmów. Choć, co ja tam wiem na ten temat. W ogóle, co ja wiem o niej?

Pojawiła się tak, jak pojawiają się takie niezwykłe stworzenia - niepodziewanie i tajemniczo. Modlić się tylko trzeba, aby nie było to tylko przewidzenie, halucynacja, gra wyobraźni.

Trafiłem tam przypadkiem. Postanowiłem poszukać niewielkiego żydowskiego cmentarza o którym ktoś mi powiedział. W tym miejscu, w tych czasach? O tych cmentarzach się nie mówiło, a więc jeśli już ktoś o nim wspomniał, zaciekawiło mnie natychmiast. Chyba znalazłem, ale nie cmentarz, lecz miejsce po nim, które zostało zrównane z ziemią nie pozostawiając ani jedne macewy, ani jej fragmentu chociaż. Powstały za to eleganckie budowle, sklepy, szkoła i boisko sportowe. Szukając informacji wstąpiłem do niewielkiego ewangelickiego zboru, który też był mocno ukryty w całkowicie niekościelnym, a zwykłym budynku mieszkalnym z czerwonej cegły. Niewielka brama była jednak zamknięta, ale obszedłem budynek i znalazłem wejście.

Miałem szczęście, bo zapukałem nie w te drzwi, które trzeba.

To były drzwi do niej. Ale nim otworzyła długo czekałem, kilkakrotnie pukałem choć przyznaję bardzo delikatnie, nie było żadnego dzwonka lub kołatki. Czułem, że wydarzy się coś dziwnego a może ważnego dla mnie - tak myślałem stojąc w niewielkiej klatce schodowej. Ta wyprawa od samego początku tylko mnie zaskakiwała. Cmentarz, którego nie ma, a na zapleczu budynków koszarów po zaborcach skryty i niedostępny zbór.

Uderzył mnie zapach. Inny. Nieznany mi. Dyskretny, ale zdecydowany. Może to zapach kościelny, świątynny? Nie, bo nie czułem ani śladu wonności ceremonialnych kadzideł. Była tu silna nuta zapachu wilgoci, czegoś mokrego. Nie był to jednak w żadnym wypadku zapach wilgotnych, niedoświetlonych słońcem ciemny sieni tak charakterystycznych dla starych budynków.

Po chwili z drugiej strony drzwi coś zaskrobało, ktoś przekręcił kluczem.

I nim się szeroko otwarły wiedziałem, że ten zapach pochodził stamtąd.

Przede mną stała ONA.

Tak? Słucham.

Stałem zaskoczony i zapachem, i jej zwykłą-niezwykłą osobą. W końcu, aby cokolwiek powiedzieć, poprosiłem o szklankę wody.

My, syreny, zawsze mamy pod ręką wodę, odrzekła nieco ironiczne i z uśmiechem.

Zwinnym ruchem cofnęła się nieco i wskazała mi wnętrze abym wszedł. Drobna, o delikatnych kościach, krótkowłosa. Oczy miała okrągłe i ciemne, nigdy nie udało mi się ustalić koloru. Czasami wydawały się w mrocznym kolorze naszego niewielkiego morza, niekiedy granatowe, czasami jak kolor strumienia nocą.

Można było pomyśleć, że jest bezbronna i każdy mógłby ją skrzywdzić, a jednak jej nawet najmniejszy krok, ruch, pochylenie głowy wskazywało, że doskonale panuje nad sytuacją i że - pomimo mojej całkowitej obcości - nie wzbudzam w niej niepokoju. Dużo później wpadłem w podejrzenie, że ja tam znalazłem się przypadkiem, ale nie dla niej, bo dla niej tak właśnie miało być.

Od tego czasu nigdy nie pominąłem okazji, by tam polecieć. Mówię „polecieć", bo ona czasami zwracała się do mnie, mój ty ptaku, mój ty albatrosie.

Nie zwierzaliśmy się sobie. Czasami przeczytałem jej nowy wiersz. Słuchała z aprobatą, ale nie komentowała. Może raz tylko zareagowała inaczej i spojrzała mi w oczy z podniesionym brwiami, jakby w pytaniu, dlaczego ten wiersz napisałem o niej.

Nie pytała skąd pochodzę. Ja też jej nie przepytywałem. Ale zorientowałem się, że jest samotna, bez matki, ojca, braci lub sióstr. Domyślałem się, że być może została tu podrzucona pod opiekę sąsiadującego zboru, ale tego mi ona nie powiedziała, to tylko moje domysły. Może odwiedzał ją kiedyś jakiś mnich, albo ksiądz, w każdym bądź razie na niewielkiej sosnowej półce leżała sfatygowana biblia i kilka innych religijnych książek. Zapamiętałem to, bo rodzaj bałaganu w jakim ułożone były te książki był niezmienny, tak jakby nikt ich nie dotykał lub przeglądał. Wspominam o tym, bo gdy już wiele lat potem starałem się uporządkować wiedzę o niej, te nie dotykane księgi psuły mi niektóre domysły.

Nie wiedziałem tego pierwszego dnia, lecz dzisiaj już wiem, że pokochałem ją natychmiast i nieodwołanie. To była inna miłość niż wszystkie, które wcześniej przeżywałem. To była miłość bezkontraktowa. Ani ona, ani ja nie oczekiwaliśmy nic w zamian za tę miłość. Zresztą, jak mogłem cokolwiek oczekiwać od niej poza tym, że gdy pojawiam się u niej jest całkowicie dla mnie. Tyle wiedziałem o syrenach - oddają wszystko i wbrew potocznym sądom niczego nie żądają w zamian. Ale dają tylko w czasie teraźniejszym. Dają teraz. Nigdy nie mówią jutro. Kiedyś. Potem. Dziwne, ale nie mówią też wczoraj.

Czas u niej był poza czasem. Inaczej biegł, bardzo wolno na zewnątrz a bardzo szybko z nią. W ogóle cały świat jakby zamierał. Gdy tam byłem nic się na świecie nie zdarzało. Następnego dnia w gazetach nie pisano o nowych wydarzeniach, nowych wojnach, nowych morderstwach, relacjonowano tylko to, o czym już wiedziałem. Jej dom był jakby wciśnięty pomiędzy wczoraj a jutro, a teraz ledwie się w tej szczelinie mieściło.

Pokój był ciemny, nie dochodziła tam wiele światła i słońca. Albo tak postanowiłem sądzić, bo przecież zwykle pojawiałem się wieczorem, a gdy rano się budziłem okna były szczelnie zasłonięte grubymi zielonymi kotarami. Stała tam jedna wielka szafa i ogromne łóżko, no i ta sosnowa półka z książkami.

Kiedy przychodziłem do niej po wieczornych ablucjach z łazienki to łoże wydawało mi się wielką łodzią, okrętem. A że pojawiałem się po życiowych porażkach było dla mnie pewną, bezpieczną łodzią ratunkową.

Była drobna, niewysoka, ale gdy byliśmy w łóżku to ja gubiłem się w jej ciele, bo niespodziewanie stawało się labiryntem, ogrodem z niekończącymi się zakątkami zapachów, zielonych wodorostów i piany morskiej. Piersi miała nieomal dziewczęce, sutki twarde i zaczerwienione. Niepostrzegalnie lewitowała, otaczała mnie swa aurą, jej delikatne ręce mocno mnie obejmujące powodowały, że unosiłem się razem z nią. Nie bardzo panowałem, gdzie jest góra, gdzie jest dół. Sam czułem się kanciasty, niezgraby, zbyt dosłowny. Jej skóra, biała w drobne blade cętki, rozciągała się jak plaża lipcowa nad gdańską zatoką, albo sierpniowa nad jeziorem w okolicach mojego domu rodzinnego. Mogłem ją dotykać do woli i robiłem to bez zahamowań i ograniczeń, ale najbardziej lubiłem położyć dłoń w okolicach pępka i nie ruszać nią a z całych sił skupić się na przepływającej z jej wnętrza energii, cieple, jakimś tajemniczym drżeniu, które zdawało się chwilami niewerbalną pieśnią. Czasami wydawało mi się, że tę pieśń rozumiem, że pojmuję te bezsłowne wiersze cierpliwie wygłaszane przez jej ciało.

Byliśmy bardzo cisi. Ona tylko lekko pojękiwała, może lepiej powiedzieć kwiliła. A ja lękałem się krzyczeć, gdy zalewała mnie rozkosz, bo bałem się , że krzycząc zbudzę się nagle z tego snu i marzenia. Bałem się, że ją przestraszę. Że przestraszy się świat wokoło nas i się zapadnie do tej rzeczywistości, która była za jej drzwiami, za jej mieszkaniem, za tym zborem, za tym czasem przed i tamtym po.

Otwierała szeroko oczy i wcale nie jestem pewny, czy widziała mnie, czy nawet chciała mnie zobaczyć. Szeroko rozwarte źrenice były jak wielkie bramy i otwierały dla mnie jej niedostępne zazwyczaj wnętrze. To były te momenty, gdy wydawało mi się, że ją rozumiem, że ją pojmuję, pomimo, że tam była głębia, mrok i ruch.

A co ona widziała? Nigdy nie zgadnę.

Potem nasz zapach mieszał się z zapachem jej domu. Mój z jej. Wodorostów z męskim potem.

Po cichu wynosiłem ten zapach, aby go mieć jeszcze jak najdłużej po wyjeździe.

Nie jestem pewny, ale być może pytała kiedy znowu przyjadę, ale raczej, jeśli tak, wyrażała to milczeniem, albo oczami, lub po prostu wyrazem twarzy.

Wydawało mi się, że jest samotna. Ale tak nie było, gdy wyjeżdżałem, wiem, że odwiedzali ja inni. Niekiedy czułem zapach tych innych. Lecz zasadniczo nie było śladów żadnej obcej obecności.

Za każdym razem, gdy wracałem otwierała drzwi, tak jakby tam stała cały czas od momentu, kiedy poprzednio mnie żegnała. Lubiłem tak myśleć, choć to był czystej wody egoizm. Ona też chciała, abym tak myślał, ale oczywiście nic takiego nie powiedziała.

Będąc już w pociągu zastanawiałem się, czy aby na pewno ją spotkałem, czy to jest tylko przewidzenie. I czy spotkam ją ponownie. Mój lęk trwał aż do następnego razu

Myślałam w twoim życiu, powiedziała. I zamilkła, jakby to było i oczywiste, i zrozumiałe.

Chciałem zapytać, co ma na myśli. A może ona powiedziało dokładnie to, co chciała, że myślała w moim życiu.

Zbigniew Joachimiak

Ewa Bogucka-Pudlis

Magdalena Łubkowska

- haiku z kropel świtu -

słońce ogrzewa
rozwiane włosy lasu
nadzieja żyje

białe motyle
spadają w nasze dłonie
cisza zasypia

lato dojrzewa
powidła z płatków róży
zabliźniają żal

pora świtania
nocne ptaki powrócą
do zmarzniętych gniazd

- siostry -

zrodzone z krwi
osieroconego nieba

karmione grzechem
i resztkami sumienia

ich zmęczone czarne skrzydła
nigdy nie zapadały w sen

za ostatnim horyzontem
ogrzewały dłonie
w ogniu bezimiennych głosów

winę i karę
zawsze dzieliły na pół

Erynie

boginie cichego finału
i niechcianej klątwy

- Mojra -

została wydarta
z korzeni spalonych drzew

dostała złote skrzydła
na przekór nocy

powietrze gęstniało
od bladych modlitw
słońce - od obietnic

uczyła się na pamięć
świtów zmierzchów
i ciężaru nowych skrzydeł

w najciemniejszym kącie nieba
składała przysięgę krwi

o świcie słuchała
pękania drzew
i ludzkich serc

usta zasychały
od przepowiedni

gniewne oczy ptaków
płonęły na horyzoncie

a ona znikała
z oddechem porannej mgły

- czarne skrzydła -

namaluj dla mnie
czarne skrzydła

zakwitnę zmierzchem
i milczeniem sennych drzew

świty oddam motylom
płynącym pod skórą

nakarmię się
spóźnioną rosą
krew popłynie ciepłym miodem

drzewa zatańczą
w ciemnościach
horyzont przełamie ostatnie
sny

niebo zapłonie wrzosami

w dłoniach zostanie
kamień księżycowy
i jedno czarne pióro

Roman Warszewski

CYGARA Z PALOMARES

Dziwne obiekty latają po niebie nie tylko u nas. 7 stycznia 1966 roku w Palomares na południu Hiszpanii doszło do katastrofy w wyniku której zgubione zostały cztery bomby termojądrowe. Poszukiwania trwały całe czternaście dni, ale… konnica nie brała w nich udziału. Każdy kolejny dzień mógł być dniem ostatnim, bo – jak wyliczono – ewentualna eksplozja każdej z bomb mogła zniszczyć ósmą część Hiszpanii. Dziś w Palomares turyści fotografują się pod monumentem dwóch cygar o długości trzech metrów każde, piją coca–colę zero, podziwiają panoramę morza i schodząc na plażę pytają: – Co by było, jakby któraś z tych bomb wybuchła?

1.

– Palomares! Gdzie wysiąść do Palomares?! – moje pytanie trafia w drzemiącego sąsiada w fotelu tuż obok. Sąsiad budzi się i pokazuje, że jeszcze dużo czasu, ale do samego Palomares ten autobus nie dojeżdża. Wysiądziesz na skrzyżowaniu, a potem kilometr, może dwa, droga wygodna

Rolnicy wyszli już w pole, dzieci usiadły w szkolnych ławkach, jest także i Francisco o śniadej twarzy, nierównym zaroście i stanowczo za dużych oczach. Francisco, który zawsze chciał być aktorem, a długo był nikim. Dostał rolę, o której marzy każdy zawodowy aktor: rolę biedaka, do którego raz w życiu uśmiechnęło się szczęście. Najszczęśliwszego dnia swego życia Francisco postanowił, że pójdzie do portu. Wczoraj odebrał swój kuter od szkutnika, błyszczący, pachnący farba, dzisiaj wypłynie w rejs – w rejs życia? Tymczasem cztery skrzydlate cygara, szyfrowane rozkazy w eterze, sprawdzanie kursu i kierunku wiatru, nieszczelny przewód paliwowy (ktoś, gdzieś czegoś po prostu nie sprawdził), wszystko go było już w drodze. Także Glesner, Wendorf, Ronney, Buchanan – dalsi aktorzy dramatu. Właśnie dochodziła godzina dziesiąta…

Francisco wyprowadził już kuter na zatokę, rozwinął żagiel – będzie dobry połów, wiatr od lądu i woda zielona („jak woda zielona i wiatr dmucha od lądu zawsze dobrze łowię" miał potem powtarzać we wszystkich wywiadach prasowych, tylko samoloty znowu huczą, jeden tu, drugi dalej, rybę płoszą, pomyślał. Piloci obu samolotów zaczęli rozróżniać sylwetkę cysterny, która rosła im w oczach. – Podchodzimy – padła komenda, wśród szarości styczniowej ziemi pojawiły się jaśniejsze prostokąty pól, jakieś wzgórza omszałe grzędą zabudowań, biała narośl kapliczki i to pachnące farbą, błyszczące świeżością czółenko z żaglem wchodzące w zatokę, tam daleko, w dole.

2.

W kościółku jest ambona w kształcie cielska „tego" – mówi Hiszpan i cieszy się, że od razu wiem, o co mu chodzi.

– Tak – Hiszpan kiwa głową – krater musiałby być ogromny, część wzgórza odpadłaby w stronę morza, gdzie brzeg łagodnie opada ku plaży, zatoka by się wdarła, wgryzłaby się w naruszone urwisko, zatrzymałaby się tam – pokazuje na skalny monolit – albo nie – namyśla się – skała by się stopiła, wyparowałaby na pewno. A tam gdzie szkoła, palmy, droga do ryneczku, na którym widać coraz więcej turystów chcących się fotografować na tle pomnika „tego", mogło być jedno epicentrum, punkt zerowy bomby numer dwa.

W ręce szeleści mu plan kilkunastu uliczek, dalej już tylko pola – pokazuje. To właśnie tam Jose Flores, nad polem pomidorów widział opadający z nieba biały namiot, kryjący pod sobą błyszczący korpus. Gdy podszedł, zobaczył że pomidory się zwęgliły, a z długiego przedmiotu pod białym namiotem, wysypały się jakieś metalowe zgliszcza.

Hiszpan prowadzi mnie na druga stronę – widać ruiny alkazaru z czasów arabskich.

– Byłaby pustynia, Sahara aż pod samą Cartagenę, w pół drogi do Malagi – mówi. I pokazuje na morze.

3.

Godzina 10.00 – na razie Francisco mógłby pomyśleć, otrzymałem bardzo łatwa rolę: trałowanie jak co dzień, sieci puchły makrelą i wciąż nie miał pojęcia, że jest to dzień, który mógłby być dniem ostatnim.

Trzeba było tych bomb, w dodatku takich, co nie wybuchły, żeby położyć bardzo dobrą drogę ciągnącą się przez całą wioskę. Droga biegnie od szklanej gabloty, w której teraz znajduje się wydobyty z dna aż po 70 dniach poszukiwań czerwony spadochron z nadrukiem US ARMY.

Godzina 10.01 – obie maszyny są coraz bliżej, wyrównują swoje pozycje i prędkość.

Obok spadochronu zamkniętego w szklane ramy jest zdjęcie Francisca wraz z instrukcją w sześciu językach, jak można dojść do jego domu.

Godzina 10.02 – zaraz zacznie się manewr tankowania, z KC–13 opuszczono już przewód paliwowy. O godzinie 10.05 paliwo już płynie.

Obok zdjęcia tłoczą się przeważnie turyści, którzy fotografują się na tle spadochronu. Piją coca colę, podziwiają panoramę morza.

Godzina 10.06 – pilot Rooney widzi sygnał ostrzegawczy na tablicy kontrolnej. Wie, co to znaczy, choć zdarza mu się to po raz pierwszy. Woła do interkomu: – Płoniemy!

– Dlaczego on ma takie duże oczy? – to jedno z najczęściej zadawanych pytań, przez tych, którzy tłoczą się wokół zdjęcia Francisca. Francisco trzyma w dłoniach rakietę do tenisa (co może ma się kojarzyć z innymi rakietami) i jakby od niechcenia reklamuje pastę do zębów firmy Max Factor.

Godzina 10.06 – Montanus i Snyder słyszą w słuchawkach komendę: Blokować przepływ paliwa! Tymczasem płomień pełzający po przewodzie obejmuje kadłub cysterny. Montanus uruchamia wszystkie gaśnice, ale pęd powietrza podsyca płonienie, to już burza ognia. Francisco przestaje gwizdać ulubioną melodie, widzi obłok czarnego dymu ciągnący się za samolotami, samoloty za moment na jego oczach, będą się przełamywać i rozpadać na deszcz płonącego metalu, który zaraz dosięgnie albo morza, albo ziemi, na razie trudno mu jest to ocenić.

Są też zdjęcia rodzinne: z matką, braćmi, kuzynami. Jest też Francisco golasek. Francisco na osiołku, palemka i Francisco… Godzina 10.07 – strumienie paliwa tryskają wprost na kadłub KC–135, zamieniają go w kometę z rozwianym ogonem czarnego dymu przesłaniającego już słońce, kometa zmierza nieuchronnie ku ziemi. Do bazy w Moron płynie rozpaczliwy meldunek: –

Płomienie coraz bardziej rozprzestrzeniają się, nie panujemy nad sytuacją…

Godzina 10.08 – pułkownik Wendorf podejmuje najważniejszą decyzję: bomby! Tuż pod splotem palących się metalowych cielsk samolotów, rozkwitają cztery spadochrony zakończone podłużnymi przedmiotami.

– Jeden czerwony! – Jeden czarny! – krzyczą bracia Francisca, którzy też są na pokładzie. Ten czarny, ten najbliższy, za rufą ledwie może dwieście metrów, zaraz po zetknięciu z powierzchnią idzie pod wodę.

Godzina 10.09 – na niebie powstaje ogromna ognista kula pędząca ku ziemi. To wybuchła cysterna KC–135, przedtem załoga B–52 zawisa nad wodami zatoki na białych spadochronach.

– Zobacz tu – turystka aż z Cleveland pokazuje na zdjęcie Francisca z osiołkiem – jak był mały miał wiele mniejsze oczy: pewnie przyszło mu to dopiero potem, może ze strachu, jak to wszystko zobaczył, może ze szczęścia, może…

Godzina 10.10 – o ziemię biją pogięte osmalone dymem blachy, kadłub jednego z samolotów wbija się po połowę swojej długości w powierzchnię szkolnego boiska, z nieba spada deszcz płonącego metalu, na domy, na pola, płonie trawa, jeszcze wyją silniki osadzona na skrzydłach, które ścięły drzewa pomarańczy. Podobnie jak ze zdjęciami, było z wypracowaniami, które znalazły się w gablotce. Mówili, że pisał to Francisco, kiedy jeszcze był w szkole podstawowej, coś o bombach, że niby zawsze się tym interesował i że widać takie było to jego przeznaczenie…

Ale to był fake news, choć w tamtych czasach nikt jeszcze takiego określenia nie znał. Bo Francisco nigdy nie chodził do szkoły, a przynajmniej nie na tyle długo,

by pisać jakieś wypracowania. Poza tym wtedy, kiedy Francisco mógł być uczniem, nikt w Palomares (i nie tylko) jeszcze nie słyszał o bombie wodorowej. Jak więc to wszystko rozumieć? Jak?

Godzina 10.11 – w Palomares, po wielkim huku, robi się cicho. Francisco kieruje się do portu, po drugiej stronie oceanu ktoś budzi ministra obrony i kilka innych ważnych osobistości. Z kwatery sił powietrznych w Omaha wędruje depesza do bazy lotniczej w Moron. „Zachować całkowite milczenie. Natychmiast na miejsce katastrofy wysłać ekipę poszukiwawczą. Bomby wodorowe muszą zostać odnalezione możliwe jak najszybciej".

4.

Kolumna wojskowych pojazdów nie miała końca. Żołnierze chodzili po okolicy z wykrywaczami metalu. Wpatrywali się w ich wskazówki drgające na tle skali, nie-

którzy mieli na twarzy szeleszczące maski albo ubierali worki, w których nie było rękawów. (Ciekawe, czemu to miało służyć?) Po pierwszych godzinach poszukiwań w Palomares pojawiły się trzy trójkątne chorągiewki. To miejsca, w których odnaleziono trzy z czterech zagubionych bomb.

Spychacze tratowały oliwne gaje i ogrody pomarańczy. Należało przemieścić masy skażonej ziemi, bo że uległa skażeniu było oczywiste bez pomiarów. Ziemię krojono w prostopadłościany, oblewano parafiną, a następnie bloki te pakowano w worki i wysyła na atomowe śmietnisko aż za ocean.

Trzeba było sprowadzić żywność, wodę. – Jak długo będziemy żywić się proszkami smakującymi jak preparaty do prania? Jak długo będziemy pić wodę z metalowych cystern? Kto nam zapłaci za zniszczone ogrody, za dojrzałe owoce, które natychmiast trzeba spalić? Kto? – pytali rybacy z Palomares.

Lądowały ciężkie transportowce z nową żyzną glebą w blaszanych pojemnikach, żeby było czym zasypać głębokie rany w okolicznych wzgórzach. A czwartej bomby wciąż nie było. Przetrząśnięto każdą piędź terenu. Ale i to nic nie dało. – Może bomba rozpadła się w powietrzu rozerwana eksplozją trotylowego inicjatora? – ktoś rzucił przerażający pomysł.

Sprowadzono jeszcze nowocześniejszy sprzęt, jeszcze więcej wojska, ale nic to nie dało.

5.

Strzałki pokazują, jak trafić do domu Francisca: ten dom to biała forteca otoczona murem w stylu mauretańskim za wiele tysięcy peset, a może już euro. Do dnia, w którym w Palomares z nieba spadły cztery cygara, Francisco mieszkał w lepiance, po której nie ma śladu w cieniu dostojnego muru. „Tu się urodził człowiek, który uratował Hiszpanię" – głosi napis tuż przed nim. Jeszcze zanim stanęła biała forteca, za którą chowa się dziś równie biała lepianka, ale gdy było już jasne, że Francisco wygra swój wielki proces, do Palomares znowu zaczęli tłumnie przyjeżdżać dziennikarze.

Człowiek, który uratował Hiszpanię, odpowiadał im krótko, tłumaczył, że nie ma czasu, a poza tym boli o głowa.

W jednym z wywiadów na pytanie: Jeden dzień w pana życiu zmienił tak wiele, co pan na to?, odpowiedział, iż uważa, że życie składa się właśnie z kilku takich dni, kiedy bardzo wiele się dzieje i reszty, kiedy wszystko jest ciche, martwe, beznamiętne.

Francesco nie wiedział kim był Beethoven, nie znał się na modzie, nie miał wyrobionego zdania na temat literatury, więc wszyscy pytali go o to, jak sadzi, ile razy coś takiego może się powtórzyć?

– Takie coś, czyli co? – pytaniem odpowiadał na pytanie.

– Taki uśmiech losu, nazwijmy to w ten sposób…

– Ze niby miałem szczęście? – Francisco jakoś nie potrafił tego zrozumieć, dziennikarz w komentarzu tłumaczył, że pewnie dlatego, iż znów bardzo bolała go głowa.

– Czy do szczęścia potrzeba aż czterech bomb, bardzo silnych bomb, które choć mogły, nie wybuchły? – pytał następny wysłannik prasy, co było o tyle zrozumiałe, że działo się to w czasach na długo przed Internetem.

Wszystkie pytania i odpowiedzi, zdjęcia z prasowych wywiadów, nawet recepty, chronione są ku zadowoleniu turystów w białej fortecy, za szybą gabloty wiszącej na podświetlonej ścianie. Jest też historyczna kartka, najważniejsza kartka w historii całego Palomares, na której Francisco wyliczył, że gdyby nie jego pomoc w poszukiwaniach, mogłyby one trwać nawet dwa lata. Koszt jednego dnia akcji wynosił milion (peset?); przemnożył to przez sześćset (bo tyle dni roboczych mają w przybliżeniu dwa lata) i wiedział, wiedział już swoje. Wiedział, że powinien dostać sześćset milionów.

Przyjechali następni wojskowi z górą pieniędzy w kieszeniach, postawili stół na ryneczku, do stołu stanęła bardzo długa kolejka i zaczęto wypłacać odszkodowania za zniszczone uprawy, za powalone płoty, za ścięte drzewa, w sumie dwa miliony dolarów.

Ale czwartej bomby wciąż nie było.

Francisco musiał kilkakrotnie powtarzać swoją relację: był czerwony „namiot" i długie, podłużne, błyszczące „coś", które zaraz utonęło.

Wypływał na zatokę w towarzystwie wojskowych i zawsze w tym samym miejscu mówił: „To tutaj" „Boston", „Kiowa", okręty VI Floty, przywiozły miniaturowe łodzie podwodne, zaczęły się pierwsze zanurzenia. Francisco udzielał wywiadów, gwizdał swoją ulubioną piosenkę i powtarzał: albo „to tutaj", albo „to tam" – w zależności od tego, gdzie się akurat znajdował. Mówił pewnym głosem, a wojskowi na swoich mapach w odpowiedni miejsce wbijali cyrkiel.

(Czy dziś jeszcze ktoś pamięta, czym jest lub czym był cyrkiel? Bo dziś takich przyrządów już się prawie nie używa!)

W końcu macki „Alvina" – miniaturowej łodzi podwodnej opuszczonej 600 metrów w głąb zatoki, dotknęły obłego kształtu poszukiwanego cygara. Dokładnie w tym miejscu, które na mapie pokazywał Francisco.

Proces o sześćset milionów był długi i pełen błysków fleszy wysłanników prasy (znów zdjęcia na ścianie).

Pozew rybaka z Palomares, „człowieka, który uratował Hiszpanię", Francisca Simo został uznany za uzasadniony i choć nie sześćset, wypłacono mu dziesięć milionów – dziesięć milionów dolarów!

Twarz nowego bohatera zaczęła być rozpoznawalna w całym kraju. Pojawił się na okładkach wielonakładowych tygodników i w telewizji.

– Życie jest piękne – Francisco zwierzał się teraz dziennikarzom. – Piękne, bo wszystko się w nim zmienia.

W Palomares wyrosła biała forteca, w której zamieszkał. Kuzyn z Sewilli – ten od osiołka i palemki – przyjeżdżał do niego w gościnę, pozował do wspólnych zdjęć, a jego krewniak brał coraz silniejsze środki przeciwko bólowi głowy.

Potem Francisco pojechał do Rzymu, gdzie przyjął go Paweł VI (oczywiście zdjęcie na ścianie; dla tego drugiego, podobno, też była to atrakcja), zwiedzał Ateny, zaczął interesować się modą, a nawet zaczął słuchać Beethovena! Wszędzie jeździł z lekarzem, który wypisywał mu coraz to nowe recepty na środki przeciwko bólowi głowy, przeciwko bólowi, który rozsadzał mu czaszkę, przeciwko momentom kiedy wołał: – Zróbcie coś, bo już dłużej nie wytrzymam!

Zdarzyło się to w Palomares, w przerwie między kolejnymi wojażami: znów bardzo bolała go głowa, poszedł tam, gdzie skały są strome, chciał skakać dokładnie w to miejsce, gdzie zaczyna się linia przyboju, ale poślizgnął się, spadł cztery metry niżej na skalny występ, stracił przytomność. I tam go znaleziono.

Zwariował ze szczęścia? A może w tej bombie rzeczywiście było coś, co mogło zniszczyć jedną ósmą Hiszpanii, a zniszczyło tylko jego? Tak twierdzi kobieta, która codziennie otwiera drzwi fortecy, która wyciera kurz ze szklanych powierzchni gablotek.

6.

To tu mógł być krater, stok, urwisko strome na siedemdziesiąt metrów. – Tu i tam – Hiszpan kiwa rytmicznie głową, żeby potwierdzić, to co wie na pewno.

Wie, bo uczy fizyki. Uczy w tej szkole, na której boisko spadł kadłub B–52. Uczy o gazach, cieczach i dwóch ciałach, które ktoś podrzuca do góry i patrzy, co się z nimi dzieje. Uczy też o bombach, całych ich rodzinach, rodzajach, odmianach – żeby dzieci wiedziały co i jak. Nie na darmo mieszkają przecież w Palomares.

Hiszpan ściska mi dłoń: – Trzeba jeszcze bardziej poszerzyć drogę, dodać kilka hoteli, powiększyć parkingi. Na to wszystko kasę powinna dać Unia. Żeby coraz więcej ludzi tu przybywało, żeby oglądali i żeby było im z tym dobrze, wygodnie…

Jeden autobus zaraz wyjedzie z ocienionego parkingu, następny wciśnie się na jego miejsce. I znów rozsypie się worek pełen przyjezdnych. Pić, oczywiście, będą coca-colę. Będą obejmować monument, spoglądając w obiektyw. Będą podziwiać panoramę morza. Będą schodzić na plażę. I znów będą się zastanawiać: – Dlaczego on miał takie duże oczy? No powiedz, dlaczego?

Roman Warszewski

Dawid Majer

CZWARTA PIOSENKA DWORCOWA

serce niegramatyczne, serce amoralne,
buddyjskie serce, wulgarne serce,
serce chrystusowe, serce free-jazzowe,
serce pełnokrwiste, pełne promili serce,
chamskie i łaski pełne, jasne i pełne serce,
kruche, serce głuche, nieme, niespokojne,
dynamo serce, serce bez biletu, arytmiczne
i trzeźwe, niepalące w przedziale dla palących,
palące w przedziale dla niepalących, pogodnie wściekłe
serce, sprzedajne i niezłomnne, niepunktualne,
donośne jak dzwon kościelny, serce zakneblowane wodą
jak usta topielca, rock'n'rollowe serce albinosów
z włosami lśniącymi od brylantyny las vegas,
serce kofeinowe i oczytane, zrogowaciałe,
zwietrzałe i łatwopalne,
ekshumowane i niemodne,
moje przeszczepione z powrotem serce,
serce złamane –

odpierdol się.

21 IX 2007

CZAS AKUPUNKTURY, 2005

Nie mam adresów, a jedynie punkty zaczepienia
Wieniedikt Jerofiejew

iga i nadia wydział sklep monopolowy iga i nadia
nadia i iga wydział cafe absinthe plaża iga i nadia
sklep monopolowy bankomat sklep nadia i iga
wydział empik cafe absinthe bankomat ojciec iga

redakcja wydział empik biblioteka ojciec nadia
cafe absinthe iga i nadia bankomat bankomat
pętla tramwajowa iga i nadia iga i nadia ojciec
wydział empik cafe absinthe bankomat plaża nadia

wydział empik empik wydział cmentarz nadia i iga
plaża bankomat pętla tramwajowa cmentarz cafe
absinthe bezimienna cafe absinthe cafe absinthe
cmentarz cmentarz cmentarz cmentarz taksówka

W PÓŁŚNIE

Najszybciej zasypiam
twarzą do ściany.

Jeśli miłość wybacza, bo nie wie
co czyni, a bezpańskie psy
nigdy nie aportują,

to żadne zmartwychwstanie
nie obywa się bez ofiar i bez zabijania
miłości nie ma.

Mój cień mi mówi,
abym nosił przy sobie
nóż.

Mój cień
to bezpański pies -

kiedy zasypiam
przynosi mi w pysku
nóż.

18 IX 2007, 2 II 2008

DRUGA PIOSENKA DWORCOWA

wszyscy poprzedni
zostawiali mnie z orgazmem

w olsztynie poznaniu
albo w berlinie

ostatni zostawił mnie z dzieckiem
z dzieckiem zostawił mnie

dziecko ma jego oczy
i jego ręce dziecko ma

dotąd rozkładałam nogi
rozkładałam nogi w berlinie
poznaniu olsztynie

teraz rozkładam ręce
kiedy biegnie do mnie
rozkładam ręce kiedy mamo
woła mnie

tylko znowu nie wiem
nie wiem znów
czy z miłości
czy z bezsilności

w poznaniu
w berlinie
w olsztynie

DWADZIEŚCIA PIĘĆ MINUT PO CZWARTEJ, OSOBNO

kobiece sposoby –
ciało, makijaż,
ciało, humor, troska,

sposoby męskie –
pięść, pieniądze,
pięść, żart, alkohol,

nijakie –
łzy, poezja albo muzyka,
łzy, dziecko, czas,

nie ma nic smutniejszego,
niż z zabawek dziecka
wycierać kurz,

od zawsze żyliśmy w pobliżu morza,
radia, stacjonarnych telefonów
i telewizji,

od lat kilkunastu
w pobliżu komputerów,
w pobliżu telefonów komórkowych
od lat kilku,

zapomniałem się –
zapytałem głośno
o godzinę,

chwilę potem
podszedłem do zegara,
bo nie odpowiedział mi
nikt, czas

ma na to
tylko jeden sposób –
milczenie,

milczenie obejmuje wszystkie
sposoby

26 IX 2007

Dawid Majer – ur. w 1981 roku w Gdyni. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Gdańskim. Poeta, publicysta, performer, autor piosenek, event manager. Publikował m.in. w Toposie, Wyspie, Kresach, Arteriach, Tyglu Kultury, Fragile, Portrecie, Odrze, Blizie, Tygodniku Powszechnym, Stronie Czynnej, czy Papierze w Dole. Wydał tom poezji Księga grawitacji (2009), za który otrzymał nagrodę Złoty Środek Poezji za najlepszy debiut, a także nominację do nagrody Silesius w tej samej kategorii.

Następnie ukazał się jego audiobook Popielniczka (Bliza, 2010). Tłumaczony na język angielski, antologizowany tu i ówdzie.

Od 2011 roku współpracuje z Włodzimierzem Kiniorskim (m.in. Izrael, Brygada Kryzys, Tie Break), łącząc na scenie muzykę, performance i sztukę spoken word (występy m.in. w gdańskim Teatrze w Oknie, bydgoskim Mózgu, czy na festiwalach literackich i teatralnych). Własną sztukę performance prezentuje także w galeriach (m.in. Spiż7 w Gdańsku, czy Studio18 w Stroud). Członek grupy czytelniczo-dyskusyjnej Stroud Radical Readers. Ukazał się audiobook EPka pt. Action Writing duetu Kinior/Majer (Bliza, 2012) z koncertu w gdańskim Teatrze w Oknie.

Na przestrzeni lat imał się równolegle różnych zajęć, pracował m.in. jako budowlaniec, kurier, agent muzyczny, dziennikarz, event manager, agent nieruchomości, radiowiec, korektor, barman, pracownik fizyczny w stoczni, operator wózka widłowego, magazynier, pilarz, hutnik piecowy, farmer, model czy aktor. Obecnie jako niezależny publicysta i copywriter. Mieszka w Wielkiej Brytani.

Edmund Borzemski

Powtórka z historii

Do machin oblężniczych
Przywiązawszy dzieci
W 1109 roku
Henryk V Salicki – król Niemiec
Gród Głogów oblegał.

Choć w mgnieniu oka
Dziatkom wyrastały skrzydła –
Zdzierżyli oblężenie Ślężanie.

Historia toczy się kołem :
Oto sowiecki agresor
Ukraińskich cywilów
Wziętych do niewoli nocą –
Jako żywe tarcze
Przed czołgi postawił.

Lecz trójząb dłońmi obrońców
Wzniesiony ponad falami
Terroru,
Niby Posejdona ręką –
Broni Termopil wolności.

Duch Ukraińców niezłomny,
Odradza się jak Feniks,
Z popiołów pożogi
Ulatując w górę.

Maski

Wkładamy na twarz maski,
jakbyśmy byli aktorami
w niewidzialnym teatrze.

Byle tylko uciec od siebie —
chodzimy na maskowe bale.

A przecież życia
nie da się grać.
Można je tylko wygrać
albo z podniesioną głową
przegrać.

Zacierają się granice
między sztuką
a życiem.

Wygląda na to,
że najważniejsza jest
kurtyna.

Ukraińskie Termopile

Z męstwem równym
Tamtym trzystu Spartanom,*
Wyspy Węży
(Ukraińskich Termopil)
Broniło trzynastu.

O rękach podniesionych
W poddańczym geście
Żaden z nich
Nie myślał.

Gdy zabrakło amunicji,
Obrońcy w twarze
I serca najeźdźców
Strzelali słowami.

Dziś nie wiadomo
Czy bohaterowie żyli,
Lecz pamięć o nich
Długowieczna ponad
Tysiąclecia – wyrośnie
Jak sekwoja –
Mamutowe drzewo.

*bitwa Greków z Persami, Termopile 480 r p. n. e.

Stalag VIIIF Lamsdorf

Tutaj czas

Rozmawia z drzewami
One stoją na straży
By nie umarła pamięć,
Póki żyją pokolenia.

Pamięć jak duch
Wychodzi z ruin
Obozowych baraków,
Ożywiana wspomnieniami
Nabiera realnych kształtów.
Dzika jabłoń wyrosła
Na przekór przeszłości
I rodzi owoce.

Niewidzialna ręka Boga
Maluje na niebie
Tęczę- znak przymierza
Z człowiekiem.

Edmund Borzemski urodził się 15.06.1959 r. w Opolu i tu ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Mieszka w Korfantowie. Debiutował w r.1987. Publikował wiersze w licznych czasopismach i wydawnictwach zbiorowych, m. in. w „Piśmie Literacko-Artystycznym", „Zdaniu", „Kalendarzu Opolskim", „Opolu, roczniku „Muzea Walki". Wydał zbiory poezji— w opolskiej Oficynie Literackiej „Wers": „Podzielmy się słowem" (1992); „Obok milczenia" (1995; „Nieobecność to kamień" (1996); „Wyścig o" (1998); „Gwiazda Syzyfa" (2002); w krakowskiej Konfraterni Poetów: „Nie gasić gwiazd" (2005); „Wiatrem po szkle" (2009); „Przetrwać (2011); „Człowiek za burtą" (2014); „Coraz więcej ciszy" (2015) oraz „Malowanie słowa" (Opole 2018); i „Hieroglify drogi" (Opole 2020). Ponadto jest współautorem albumu poetyckiego „Fotografia poezji — poezja fotografii" (Niemodlin 2008) oraz „Przewodnika po wystawach stałych Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach" (Opole 2004). W swoim dorobku pisarskim posiada również kilkadziesiąt artykułów z dziedziny krytyki literackiej oraz historii. Należy do ZLP.

Ewa Bogucka-Pudlis

Kazimierz Skorupski

Księga Prozy niecodzienne Czesława Sobkowiaka

Pół wieku temu poznałem Czesława Sobkowiaka, kiedy przyjechałem do Wrocławia na studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Mieszkaliśmy kilka lat w domu studenckim „ITD" przy ulicy Pocztowej na Krzykach. Uczęszczaliśmy na zajęcia do instytutu na placu Nankiera. W czytelni biblioteki Ossolineum na pierwszym piętrze także czytaliśmy zakazane wtedy książki. Do dzisiaj trwa nasza przyjaźń. Od tamtego czasu Czesław wydał kilkanaście tomów poezji, dwa zbiory prozy i opublikował sporo tekstów krytyczno-literackich. Dorobek ma niebagatelny. Mam wszystkie jego książki. Czasami po którąś z nich sięgam. W pewnych tekstach odnajduję siebie. Nie tylko dlatego, że zostały mi dedykowane, ale ich liryczne narracje odnoszą się wprost do zdarzeń mojego życia, które od czterdziestu dwóch lat wiodę „na paryskim bruku". Poetę z Zawady koło Zielonej Góry dwukrotnie tutaj gościłem, między innymi na promocji jego tomu poezji tłumaczonej na język francuski przez wybitnego tłumacza Krzysztofa Jeżewskiego. Pamiętam jego niezwykle interesujące spotkanie z młodzieżą szkolną i pedagogicznym gronem w Liceum Descartes w Montigny-le-Bretonneux, w którym przez kilkanaście lat prowadziłem pracownię teatralną. Uradowałem się, gdy zobaczyłem ponad dwieście dziewcząt i chłopców, którzy dobrowolnie zostali po lekcjach, aby zobaczyć i posłuchać poetę z Polski. On recytował po polsku, ja czytałem francuskie przekłady Jeżewskiego. Po spotkaniu w ogromnej, szkolnej stołówce pachnącej szpinakiem, kilkudziesięciu uczniów zafascynowanych wierszami ustawiło się w kolejce, by nabyć tom *Podziemne słońca (Soleils souterrrains)* i otrzymać dedykacje z autografem autora. Były też spotkania w największej księgarni w Montigny i w Domu Stowarzyszeń w Voisins-le-Bretonneux, zorganizowane przez miejscowe Stowarzyszenie Polaków, którego byłem prezesem. Włóczyliśmy się po Luwrze, Wersalu, Chartres, byliśmy w katedrze Notre Dame, wspięliśmy się na Wieżę Eiffel'a, spacerowaliśmy po Montparnassie, Montmartrze i innych dzielnicach Miasta-Światła. Czesław chłonął Paryż.

W wydaniu niektórych jego tomików mam swój skromny udział, co zostało odnotowane na stronach redakcyjnych poszczególnych tytułów. Ale wtedy, w 1972 roku, nie mogłem nawet przypuszczać, że ten skromny, nieśmiały młodzieniec z Zawady, nie dostosowany do wielkomiejskiego rytmu i stylu życia, tak konsekwentnie będzie przez kolejne dekady realizował swoje twórcze powołanie, z którego pieniędzy na dostatnie życie raczej nie ma. Umiał się z tym pogodzić. I to podziwiam. W późniejszym czasie rozmawialiśmy o tym nieraz, na przykład, czy nie byłoby lepiej, gdyby został we Wrocławiu, gdzie życie literackie ma inny wymiar, jest bogatsze aniżeli w Zielonej Górze. Jednak on nie chciał zostać w nadodrzańskiej metropolii.

Wtedy, jak i teraz, był i jest poetą. Od pewnego czasu metaforyczny i prozatorski opis świata jest jego udziałem. Od około 2000 roku Czesław zaczął iść – można rzec – dwoma równoległymi torami, poetyckim i prozatorskim. Oczywiście nigdy nie napisał żadnej powieści ani zbioru opowiadań. To go nie interesowało. Inny bowiem żywioł był dla niego ważny i nadal taki pozostaje. Jego świat wewnętrzny – obserwowany, postrzegany, przeżywany – nie zmienił się. Tylko forma owego przedstawienia została poszerzona. Poszerzona o krótkie zapiski z jego życia, które są różnej objętości: większe, mniejsze, a nawet kilkuzdaniowe.

Nie uprawia typowej fikcji, niczego nie wymyśla; mamy do czynienia ze zwartymi kawałkami jego autentycznych obserwacji, myśli, uczuć i opisów tego co widzi, co robi, kogo spotkał, kto do niego wieczorem telefonował i o czym była rozmowa. Są one poniekąd pamiętnikiem codzienności, ale nie stricte pamiętnikiem czy dziennikiem. Raczej stanowią pretekst do snucia rozważań o bliskich sobie osobach, o pięknie natury, pasmach chmur na niebie, pracy w polu, w ogrodzie, ulubionym holenderskim malarstwie lub o przemijaniu. Są często refleksjami o sensie życia. Fascynacją i pochwałą istnienia. Są też w moim odczuciu zapisami poezji, pozostając ciągle prozą. Myślę, że w ten sposób, prostszy i zwyczajniejszy, zapisuje to, co ceni. W uprawianej prozie nie musi tak rygorystycznie w sferze znaczeń językowych wyrażać swoich wizji, czy definiować ich, co jest konieczne w wierszu.

O tym, że Sobkowiak do tego rodzaju nowej formy przykłada dużą wagę, świadczy fakt, że publikował swoje zapiski i nadal publikuje w kilku pismach. Od lat można je znaleźć w wydaniach „Pro Libris", ale też pojawiały się w „Odrze", „Autografie", „Pegazie Lubuskim" „Aspektach", a ostatnio w „Migotaniach". W pewnym sensie jego dorobek jest znaczący. Tylko po części opublikowany w wydaniach książkowych. Do tej pory ukazały się jego dwa zbiory prozy: *Rzeka powrotna* (2013) i 10 lat później *Prozy niecodzienne* (2023). Pomiędzy tymi wydaniami można zauważyć znaczące różnice. W pierwszym tomie widać skupienie się na usilnym przywracaniu tego, co już minęło. I tylko w narracji literackiej można różne doświadczenia nakreślić, w jakimś stopniu nadać im kształt i ocalić, wbrew płynącej rzece czasu.

Sobkowiak niezwykle barwnie i wzruszająco opisał swoje dzieciństwo, doznania przyrody, obraz domu rodzinnego, sentymentu do mitycznego już Jaromierza – łąk, pól i innych realiów tak dla niego ważnych. (Ośmielam się zaproponować wójtowi Jaromierza, by sprawił, żeby szkoła w tej miejscowości nosiła imię autora *Rzeki powrotnej* i *Próz niecodziennych*. We Francji wiele szkół nosi imiona żyjących poetów). Pamiętam naszą podróż do Jaromierza. W drodze zatrzymaliśmy się w Klępsku przy drewnianym kościele, który olśnił mnie pięknem architektury, świetnie zachowanymi freskami i polichromią. W Jaromierzu poszliśmy do rodzinnego domu Czesława. Długo trzymał zaciśnięte palce na mosiężnej klamce drzwi wejściowych. Potem usiedliśmy przy studni, która niegdyś gasiła pragnienie ludzi i zwierząt. Pamiętam jesienny, zbutwiały zapach rzęsy na stawie. Poszliśmy na pobliskie pole, na którym odkryliśmy setki ogromnych dyń ozłoconych kolorem jesieni. W życiu nie widziałem podobnych gigantów; dynie miały 50-60 centymetrów wysokości i ponad metr średnicy. Zachowałem te obrazy na licznych zdjęciach przedstawiających Poetę w jesienno-dyniowym pejzażu. Sobkowiak nigdy nie sprowadził owych spraw życia i chłopięcych marzeń do kategorii narracji nurtu „wiejskiego". Dość wyraźnie zapisał w *Rzece powrotnej* głównie swoje wtajemniczenie w wysokie formy kulturowe. Dla Czesława ogromne znaczenie miało to, czego zaznał w latach siedemdziesiątych we Wrocławiu. Zwłaszcza cenne i przejmująco piękne są przywołania z imienia i nazwiska kolegów, koleżanek ze studiów, profesorów (zwłaszcza Jacka Łukasiewicza, Janka Stolarczyka, z którymi był zaprzyjaźniony). Są to dłuższe teksty, świadczące o wrażliwości, ale i o dobrym zapamiętaniu realiów ówczesnego Wrocławia, w którym my wszyscy, wtedy młodzi studenci, dojrzewaliśmy politycznie, społecznie i mentalnie. Jeśli ktoś chce poznać duchowe wnętrze tamtego Sobkowiaka, powinien koniecznie ten zbiór przeczytać.

Drugi „niepoetycki" tom to *Prozy niecodzienne*, pięknie opublikowany w wydawnictwie Akwedukt, funkcjonującym przy Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Jest on obszerniejszy niż poprzedni; liczy 396 stron. Najważniejszą różnicą jest, że pojawia się w nim realność, którą czerpie pełnymi garściami; najbliższa, doświadczana w bezpośrednim kontakcie. Zawsze bieżąca. Jest ona osadzona w czasowym „tu i teraz" – o poranku, w południe, wieczorem lub nawet w środku nocy. Zawsze lub prawie zawsze chodzi o aktualność, o bieżący stan świata dalszego i najbliższego, który jawi się w zasięgu oczu i ręki. Zewnętrzny i wewnętrzny. Już nie idzie tu o odtworzenie ani przepuszczenie istnienia przez pryzmat li tylko pamięci, czyli przez liryczne wspomnienie. Autorskim celem jest oddanie sedna sytuacji albo precyzyjnego obrazu nastroju i emocji.

Bardzo ważne jest innego rodzaju artystyczne świadectwo życia. Tu znajdzie czytelnik rozważania cywilizacyjne, myśli o poezji, o realiach pracy nad wierszem, o doskwierającym zimowym lub nocnym zimnie, o koszmarze wojny na Ukrainie, podmiotowej samotności, doznanej krzywdzie, sztuce malarskiej, o trudach codziennego życia, kupowaniu węgla, o rozmowach z przypadkowo spotkanymi ludźmi, o targowiskowym bogactwie owoców i warzyw, o oglądaniu wystawy malarstwa Bagińskiego, moralności, antycypowaniu śmierci, przemijaniu, ale także refleksje o własnym życiu. Wspaniałe są relacje o trudzie budowania domu rodzinnego tuż po ukończeniu studiów lub o przyjaźni z lubuskim poetą, Mieczysławem Warszawskim, poznanym w szkole średniej i o innych osobach.

Prozy niecodzienne to szeroka panorama osobistego życia, otwarcie własnego wnętrza przed drugim człowiekiem, przed czytelnikiem, którego Czesław dopuszcza bez autocenzury do osobistej intymności. W jakimś wymiarze jest to jego „księga życia". Można ją czytać „nie po kolei", otwierając przypadkowo różne strony. Właśnie często czytam ją na wyrywki. Zawsze ze wzruszeniem. Dlatego, że doraźnym tematom towarzyszy uniwersalna aura, jakieś istotne spojrzenie na życie i świat. Czasem w nieco podniosłym tonie. Nie wiem, czy książka zostanie doceniona, różnie z tym bywa… Jestem jednak przekonany, że powinna być zauważona jej „niecodzienność", nie tylko w środowisku zielonogórskim. Myślę, że należycie doceniła książkę Inez Kropidło we wstępie do niej pt. „Ogród ma rację". Poza tym publikacja prezentuje się niezwykle pięknie od strony edytorskiej. Liczę, że autor „Powieści w odcinkach" (debiut poetycki, 1974) wyda kiedyś kolejny tom swoich zapisków. Tego mu życzę.

Kazimierz Skorupski

Andrzej Wołosewicz

Ja, zagubiony wędrowiec po wyobraźni poety Cezarego Sikorskiego,

albo poezja na obrzeżach niewiadomego (o jego „Hotelu Mariańskim" w kilku krokach)

I – Krok pierwszy

„2.

jestem tu o raz pierwszy
choć przecież już tu byłem

stałem przy oknie i
nie wiem co widziałem

być może tak jak dziś
pion przechodził przez drzewa
a horyzont leżał przy ziemi

nic więcej nie pamiętam
trudno było mnie dostrzec

z powodu braku szczegółów
całkiem przypadkiem
mogłem już wtedy
się nie wydarzyć"

No i co, Czytelniku, zrobisz z takim preludium do całego tomiku? Ty, właśnie Ty. Wydarzysz się? Wejdziesz w strukturę tego tekstu, w strukturę wyobraźni, która go poczęła? Ale jak? Szukasz pomocy w tytule całości? No dobrze – tylko jeśli Hotel to a nie Rów (Mariański), to mniej tajemniczy ci on? Jaśniejszy? A ta numeracja zaczynająca pierwszy wiersz od „2."? Coś było *przed*? Nie jest to wykluczone skoro mimo, że *„jestem tu po raz pierwszy"*, to jednak.... *„przecież już tu byłem"*! Być może więc nie ma żadnego początku i wiersze piszemy zawsze *po czymś*? To by oswajało jakoś nam ową „dwójkę". Ale co byłoby tym *przed*? Parmenidejska reguła, że istniejące nie może powstać z nieistniejącego, więc zawsze jest jakieś *PRZED*? Jakaś wieczność? Poetycka Wieczność? Wszystko to byłoby zatem wbrew późniejszej chrześcijańskiej *creatio ex nihilo*? No żeś narobił nam tu, Autorze, czytelniczych kłopotów! Zamiast wystartować z czytaniem, zamiast się w nim pławić, nie mogę ruszyć z miejsca!, choć przyznaję, że się w tej niemocy pławię.

Odkryłem - jednak nie ukrywajmy, że jestem po lekturze całości i to lekturze kilkukrotnej, przerywanej dłuższymi okresami odbiorczej „ciszy" – że przywołana „dwójka" jest samotna, pozostałe wiersze są „nieparzyste". Zacznijmy zatem od pierwszych spostrzeżeń lekturowych.

Przestrzeń „Hotelu Mariańskiego" jest nadzwyczaj dziwna, nie daje się nijak ogarnąć – została pozbawiona punktów zaczepienia, do których jesteśmy przyzwyczajeni: po tym „hotelu" raczej się pływa niż wchodzi czy schodzi po schodach! Jesteśmy bowiem wprowadzani w stan niemalże jakiejś poetyckiej „hibernacji", oto:, co znajduję w wierszu sygnowanym **„17."**:

w niektórych pokojach
nie ma wyraźnych kątów
i wszystko jest nieco zaokrąglone

może dlatego
idąc od stołu do łóżka
trudno się zatrzymać

nie ma punktu podparcia
wszystko się kręci wokół i w głowie
nawet linie poziomu
łączą się z pionem

w tym świecie łatwo zbłądzić
trudno więc wrócić
do siebie

Mamy – jeszcze będę do tego wracał – „podważone" nasze poczucie stabilności przestrzeni, która zdaje się być raczej *labilna* niż stabilna. A jeśli tak, to rzeczywiście *„trudno więc wrócić/ do siebie"*. Ale do siebie to znaczy do kogo?, bo i tu nic nie jest oczywiste:

„6.":
byłem tu wiele razy
miałem różne imiona
czasem z ramion
niczym bluszcz
wyrastały mi pióra

wydarzeń było wiele
lecz na szczęście
większości nie pamiętam

no – może tylko
że przez chwilę
trudno mi było
odróżnić się od ciebie
i ze przez okno wiele razy
nie ja lecz ty
patrzyłeś w moim imieniu

szkoda że wtedy
wybrałem siebie

Może teraz – wracam do początku tekstu – łatwiej mi uwierzysz, Czytelniku, że nic tu nie jest proste. Jakby poeta rozmawiał, no właśnie, z kim? Z drugim sobą? A może „S", pamięci którego „Hotel Mariański" jest dedykowany? „S" jak Sikorski? Kim tu jesteś, Cezary? Gubię się w swoich własnych domysłach, jak łatwo zgubić się chcąc odtworzyć nawet w zarysie strukturę „Hotelu" a choćby jego wygląd, szkic wyglądu, bo tu się wszystko dzieje, wydarza, „pracuje", jest czynne a nie „uzdjęciowione", zatrzymane w kadrze pamięci, choć to pamięcią autor operuje nader często.

II – Krok drugi

Przestrzeń. Chcę o niej mówić choć to dziwne, bo wiersze Sikorskiego z „Hotelu Mariańskiego" jakoś *wiszą* w powietrzu! Dlaczego tak je odbieram? Dlatego, że tu właściwie nie ma żadnych didaskaliów, bogactwa klasycznych środków artystycznych, a ramową scenerią są piętra, numery pokoi, hotel to w końcu, kilku odwiedzających, zabłąkany – w pewnym sensie – poeta w Sali bilardowej, czy fragmenty drzew za oknami, choć i za tymi oknami to bardziej: pion, poziom, przestrzeń (do przemyśleń?). O co zatem tym wszystkim chodzi, tym bardziej, że pierwsze skojarzenie – być może prostackie – jakie z tytułem miałem to oczywiście Mariański ale Rów, coś najgłębszego na naszej planecie. A tu mi Sikorski wywraca te oczywistość na nice, jakby szydził z tego (nieuniknionego?) prostactwa!

Tak wiele zostawia Sikorski czytelnikowi do do-czytania, że można się pogubić, bo oto okazuje się, że nadmiar czytelniczej wolności staje się – przynajmniej dla mnie – kłopotem. A może, tak teraz to pisząc pomyślałem – poeta wierszuje właśnie o wolności? Ten w końcu rasowy filozof, potrafiący rozpędzić swoją prozatorską wyobraźnię (przypomnę: „Wujek Maks i tajemnica czasu"), ba, nie stroniący od dyskursu filozoficzno-krytyczno-literackiego (przypomnę: „Rozmowa", „Szkice przeciwko oraz w obronie pojęć") jest nade wszystko poetą, pozostaje poetą w najgłębszych, tak uważam, rejonach swojej wrażliwości. A że owym poetą jest wespół ze sobą-filozofem i ze sobą-prozaikiem stąd zapewne te pokłady jego niełatwego poetyckiego przekazu, nakładają mi się bowiem w czytelniczym odbiorze wszystkie Cezarego Sikorskiego aktywności. Może to jest jakaś skaza moich krytycznoliterackich lektur autora „Hotelu Mariańskiego'? Próbując się z tych „obłapień", bo jestem jakoś przez moje dotychczasowe lektury Sikorskiego „obłapiony" przecież, wyzwolić, próbując „zapomnieć", najpierw dopadło mnie owo skojarzenie z Rowem Mariańskim, czymś równie niebotycznym tylko w głąb, tylko o innym wektorze. Nie →

będę silił się na zgadywanie czy aby to skojarzenie nie jest zbyt prostackie, jak już rzekłem wcześniej, biorę to na krytycznoliteracką klatę. A może Sikorski trochę z nas tym tytułem dworuje? Pal licho jak jest, ale na pewno gęstość i swoista pochmurność, albo i po-chmurność mariańskich głębin czy hotelowych wyżyn daje się, przynajmniej dla mnie, odczuć. To dość niesamowite, że przy niemal „ażurowej" scenerii (wracam tu do początkowej tezy o znikomości didaskaliów, o które może się czytelniczy odbiór zaczepić, a więc przy tej skromności czytelniczych punktów odniesienia „Hotel Mariański" stanowi bardzo spójną konstrukcję. To jest, powtarzam, poezja dość ascetyczna, mało szczegółów, pozbawiona kolorystyki, jakichkolwiek kolorów, a jednak jakoś gęsta jakby poeta mówił: im mniej powiem, tym więcej wyrażę!

III – Krok trzeci

„Hotel Mariański" stanowi bardzo spójną całość. Pisząc to mam na myśli płynne czytelnicze przechodzenie z wiersza do wiersza, ze strony na stronę, z jednego miejsca „hotelu" do innego> To jest lekturowo fascynująca przygoda z jeszcze bardziej fascynującą… pułapką. Jest bowiem tak, przynajmniej w moim czytaniu, że język tych wierszy, ich narracyjna perfekcyjność wciąga czytelnika a jednocześnie kompletnie umyka jakiejkolwiek krytycznoliterackiej penetracji, rozbiorowi, analizie pozostawiając tylko (aż?) odbiór czysto czytelniczy. (Jest jeszcze w dzisiejszych czasach taki?)

Sikorski otworzył przede mną nowe ścieżki w poezji, których nie umiem jeszcze nazwać ani porządnie (dla samego siebie) opisać, ale co do których mam głębokie poczucie, że wykuwa się tu w poezji polskiej drepczącej od kilku dziesięcioleci (myślę, że od pokolenia Brulionu) po własnych śladach (choć ślady te rozdeptując i rozszerzając) jakaś poetycka *substantia prima* (zastane w poezji nazwałbym więc *substatia secunda*) – mówiąc najprościej: nikt jeszcze tak nie pisał. Być może stąd bierze się ten mój z „Hotelem Mariańskim" kłopot. I – tu już wieszczę – może tu się rodzi poezja tak osobna, że osobną pozostanie tj. bez nazwy, kierunku, sposobu, bo nazwy (ścieżki) wydeptują pokolenia, grupy (poetyckie), czy choćby koterie: Odkrywcy Nowego w Poezji idą sami. Nie wiem, Cezary, czy mnie za to „zabijesz" albo i „nie zabijesz", ale tak to rozstrzygam, tak to czytam, szczerze aż do bólu, do bólu czytelniczego zrozumienia albo i niezrozumienia. No dobrze, ale próbować trzeba. I warto.

IV – Krok czwarty

Ta poezja jest nieinterpretowalna, brak jest – z dostępnej puli – polonistyczno-literackich „wytrychów" a z intelektualnymi jak widać tez mam kłopot. I może to i dobrze! Piszę więc o… niemożności opisania własnego odbioru poezji, która wciąga, zaczepia, prowokuje, droczy się ze mną, być może nawet kpi ze mnie.

„13.":

poprzednim razem byłem
w bardzo ładnym pokoju

miał numer trzy lub siedem
i okna dużo wyżej
więc widać było z niego

daleko więcej

lecz nagle przyjechali
ci których brakowało
aby policzyć wszystko

by spełnić zamiar
dałem się przenieść
do parzystego pokoju

No tak, „policzyć wszystko", „horyzont leżał przy ziemi" („2."), „pion przechodził przez drzewa" („2."). Mało? To zobaczmy więcej: „23."

przestrzeń mojego domu
jest raczej nierozumna

schody na górę
prowadzą do piwnicy
a korytarze blokują drzwi
do pokoi

nie ma zaleceń
jak dojść do siebie
wskazówki ewakuacji
prowadzą raczej do zguby

po co się jednak tym przejmować

dobrego wyjścia i tak stąd nie ma

Ten wiersz jest jakoś totemiczny, otwierający dla mnie przestrzeń całego mego wysiłku i, co więcej, wyjaśniający tegoż wysiłku krytycznoliteracką porażkę. Bo co można zrobić ze „*schodami na górę prowadzącymi do piwnicy*" skoro „*dobrego wyjścia i tak stąd nie ma*"? Może więc nie należy się tym przejmować skoro „*wskazówki ewakuacji prowadzą raczej do zguby*"? Czyżby spełnił się koszmar esencjalistów, który najlepiej wyraził Tzvetan Todorov pisząc dość zgryźliwie, że „literatura jest jak piknik, na który autor przynosi słowa a czytelnik sens"?

Musze wrócić do zaznaczonej wcześniej dziwnej spójności tych wierszy. Niby one w czytaniu nie dają się oswoić, wcisnąć w znane schematy i podobieństwa i w tym sensie „rozlatują się" poza oswojoną przestrzeń i czas – to całość, właśnie całość „Hotelu Mariańskiego" stanowi jedność ostro świdrującą mój poetycki mózg: poeta-Demiurg widzi swój czas, miniony i obecny, w jednoczesności, coś jak retrospekcja (a więc rozciągłość) dana nagle, punktowo, w olśnieniu – poezja na obrzeżach niemożliwego?:

„19."

dom w którym mieszkam
jest starzy niż myślałem
ma więcej wad niż zalet
i wciąż wymaga remontu

są w nim miejsca nie
nadające się do zamieszkania
i dziury w których
zaginąć można bez reszty

może ktoś jeszcze wejdzie
na porzucone rusztowania
i naprawi to wszystko

tysiąc lat temu sąsiad mówił
że jedzie do nas autobus
pełen chęci naprawy

Co się tutaj dzieje? Gdzie my/bohater w końcu jesteśmy? Kiedyś napisałem wiersz:

Krajobraz spod zatrzymanych słońc

jezioro
okolone wysoką skarpą
dźwigającą opuszczone gospodarstwo
jak opuszczone dni i lata
każdego życia

otwiera się noc

łasica którą toleruję
(a może ona bardziej mnie?)
oprowadza młode sposobiąc je do życia
kwiaty smolinosów oblepiające
całe gospodarstwo
wykwintnie pachną świeżym mięsem

lampa naftowa
oświetla ciszę przerywaną w nocy
nieustannym szumem jeziora i deszczu
albo nagłym krzykiem białozora
z gniazda na potężnej sośnie

każdy dłuższy pobyt tutaj
okupuję pogłębiającym się wrażeniem
jakbym był pod wszystkimi słońcami naraz
we własnym i cudzym życiu jednocześnie

jakby ktoś związał wszystkie epoki
kultury cywilizacje i Atlantydy
w jedną wiązkę promieni słonecznych

chociaż noc

Cytuję go tutaj, bo dopiero w nim – choć pochodzi z innej poetyckiej planety - znajduję moją własną odpowiedź na wyzwania, do których zmusza mnie „Hotel Mariański" Sikorskiego. Co prawda w jego „Hotelu.." jest raczej – wydaje mi się – ciemno, ale chodzi mi tu bardziej o ów *zatrzymany krajobraz*. Zatrzymany a więc gotowy do swobodnego używania. Wydaje mi się, że Sikorski gospodaruje czasem i… sobą: jakby poeta siebie-wiecznościowego rozciągał nad światem! On, twórca i stwórca poetyckiego uniwersum, wiecznie żywy więc tak stary, że wymagający „remontu". Ale skąd on to wie? Skąd to wszystko „widzi"? Zaczynam podejrzewać, że sam poeta-Demiurg jest owym „Hotelem Mariańskim" głębokim (wysokim?) jak Mariański Rów, więc im głębiej (wyżej?) tym mniej rozpoznany, spowity mrokami, otoczony tajemnicą słowa, „zamieszkujący" – jakby to dziwnie nie zabrzmiało – samego siebie. Wtedy pewna łatwość czasowo-przestrzennej bilokacji byłaby łatwiejsza do czytelniczego przełknięcia. Ale daleki jestem od jakiejkolwiek kategoryczności moich tropów, przypuszczeń.

V – Krok piaty

„41."

to nie jest sanatorium
mimo że czas

nie poddaje się tu
próbie zegarów

plotki szybsze niż światło donoszą
że w pokojach parzystych zdarza się
wiele młodzieńczych osiwień

czy to przypadek?

czy może goście źle się dobrali
do okoliczności?

tak czy inaczej – chronos nie zna tu granic

trudno wyjaśnić zamęt
na piętrach nieparzystych
gdzie nić demencji jest długa jak nil
a długowieczność przeraża czernią

nie pomaga też doświadczenie:

znów jestem tam
gdzie nie byłem
bo tu za drugim razem
zdarza się tylko to
co za pierwszym

„43."
jestem tu pierwszy raz
choć chyba już tu byłem

wiem

już o tym mówiłem

lecz pewnie znów to
powtórzę

powracam wciąż do tego
co się nie wydarzyło
często
wygłaszam słowa
bez znaczeń i sensu

tak tu na niby mieszkam
żyję

Czas nie do ogarnięcia, nie poddający się „*próbie zegarów*" i jakaż kruchość ludzkiego bytowania zza której przebija trwałość mocna niemal parmenidejska i być może Sikorski zrobił z poetyckimi słowami, z poetyckim światem to, co nie udało się Parmenidesowi, nie udało się bo poszedł w przeciwną stronę, w stronę dramatycznego oddzielenia wiedzy od mniemania, przemijającego życia od wiecznej niezmiennej prawdy. Sikorski niemniej dramatycznie „zszywa" oba te ludzkie doświadczenia: doświadczenie zmiany, przemijania, utraty (całego bogactwa naszego życia) z poczuciem, tęsknotą (?) za czymś trwałym, mocnym, niezmiennym, stabilizującym, dającym poczucie pewności. Niechaj wskazówką dla tej pewności Słów i Intelektu będzie to, co dzieje się z utartymi znaczeniami w wierszu:

„53."
moralne dysonanse
pochodzą z nieporozumień
gdy słowo się nie domyka
bardziej boli niż cieszy
gdy się je zapomina
tylko brzęczy

może lepiej nie mówić

na moim piętrze
każdy imperatyw
jest reguła
milczenia

Może to najlepszy moment, aby zostawić czytelnika samego z „Hotelem Mariańskim". I tak uczynię stawiając

VI - Krok ostatni

Pytałem siebie o to, gdzie dzieją się wiersze Sikorskiego, które próbuję tu ogarnąć. To jest zasadnicze pytanie. Wciąż zadaję je sobie po kilkumiesięcznej wielokrotnej ich lekturze. Pytając o owo „gdzie" szukam tego miejsca (?) w przestrzeni wyobraźniowo-intelektualnej, w moim odbiorze przestrzeni wyobraźniowo-intelektualnej, bo te dwa – co najmniej – a zapewne i trzeci, czyli „czas' wyznaczają moje osie poszukiwania jakiegoś zakotwiczenia tej lektury. Nie jest to łatwe. Być może nie czas i miejsce tutaj na dłuższe dywagacje, ale mam nieodparte wrażenie jakiegoś odkrycia, którego dokonuje Sikorski: zawsze udawało mi się znaleźć odbiorczy klucz do wielu, nieraz niesamowitych wierszy, których doznawałem w swojej przydługiej już przygodzie literackiej, nawet jeśli musiałem penetrować niezauważane wcześniej, niedostrzeżone zakamarki czy rejestry a tu stoję bezradny. I jedynego lekarstwa na tę bezradność upatruję w konieczności dokonania jakiejś nowej konstrukcji, aby te wiersze odbiorczo „strawić". Nie będę się tutaj mądrzył na czym taka konstrukcja miałaby czy mogłaby polegać, powiem tyle, że owo skrzyżowanie Wyobraźni z Intelektem przed jakim postawił mnie „Hotel Mariański" jest zupełnie niesamowite! Twierdzę, że poeta dokonał tu czegoś wybitnie nowego, jakby otworzył przed poezją do tej pory niewidoczne, więc raczej stworzył niż otworzył, eksterytorialności – jego poetyckie słowa kreują nową intelektualno-wyobraźniową przestrzeń, jakiś nowy wymiar poetyckiej rzeczywistości. Nową, więc dlatego tak trudno opisywalną narzędziami, którymi dysponowaliśmy dotychczas - tak mi się wydaje. Jestem głęboko przekonany o tej nowości, trudnej, bo właśnie nowości. A być może trzeba powiedzieć, że dochodzimy tu do jakiegoś kresu albo spiętrzenia czy zblatowania Wyobraźni i Intelektu, że dalej już pójść się nie da. Znam takie poetyckie przypadki z innych rejonów i umiem je wymienić, np. Kazimierza Ratonia pisanie o śmierci czy Białoszewskiego przekaz czegoś – zdawałoby się – nieprzekazywalnego: doświadczenia potoczności w jej – jednocześnie! – i poszatkowaniu i płynności (jakby to dziwnie nie brzmiało). Poezja graniczna? Tak sądzę. Leśmian, Białoszewski, Ratoń a teraz Sikorski – wszyscy na swoich własnych granicach Świata i Języka. Ratoń na granicy Poezji i Śmierci. Sikorski, jeśli tę graniczność miałbym określić: na granicy Wyobraźni i Intelektu. Te graniczności mają w sobie coś, że na TAM tworzoną poezję nie da się spojrzeć z zewnątrz. Inaczej pisząc, nie można wyobrazić – tak rozumiem tę graniczność – post-Białoszewskiego, post-Leśmiana, post-Ratonia czy post-Sikorskiego (z „Hotelu Mariańskiego"), jak można być post-Miłoszem czy post-Herbertem.

„67."

nie ma konstrukcji
porównywalnej
do tego hotelu

w każdą stronę
jest równie wielki
i przestronny

każdemu daje szansę
choć nikt nie potrafi
z niej skorzystać

stąd depresje i chęć ucieczki

nagminna i niezrozumiała
ponieważ każdy i tak wraca tam
skąd chciał uciec

trudno tu mieszkać
a co dopiero
myśleć

VII – Konieczne uzupełnienie

Konstrukcja „Hotelu Mariańskiego" tym razem jako tomiku, jako książki tez jest godna uwagi. Po pierwsze ilustracje, które trzeba zobaczyć, nieprzekazywalne są w opisie. Po wtóre, co też jest trudne do wysłowienia, książka nie zaczyna się „od początku", nie zaczyna się, bo nie ma numerowanych stron (sic!) i także tez się nie kończy, bo po wierszu „131" mamy kilka jeszcze stron sygnowanych numerami „137.", „139.", 149.", 151." Az do wstęgi Mobiusa. Tak, to wszystko jest nie do opisania, jest do zobaczenia.

Andrzej Wołosewicz

Ewa Bogucka-Pudlis

Agnieszka Moroz

Shehan Karunatilaka „Siedem księżyców Maalego Almeidy"

Oczy Maalego Almeidy widziały wszystko i pamiętają każdy kadr - od najpiękniejszych zachodów słońca po oblewane benzyną i podpalane, przypadkowe ofiary politycznych przepychanek. Nie zarejestrowały tylko jednego - momentu jego własnej śmierci. A ponieważ ktoś taki jak Maali (fotograf wojenny do wynajęcia, hazardzista, bywalec szemranych barów i niewierny kochanek, uwielbiający towarzystwo ładnych chłopców) mógł zostać zamordowany praktycznie wszędzie, zagadka jego śmierci staje się najtrudniejszym do przetrawienia aspektem przebywania w zaświatach.

Kiedy po raz pierwszy wzięłam tę książkę do ręki, przeczytałam w blurbie, że przywodzi na myśl Agatę Christie, Salmana Rushdiego i Johna le Carrégo. Mnie zdecydowanie bardziej przypominała jednak „Krótką historię siedmiu zabójstw" Marlona Jamesa (co ciekawe, również nagrodzoną Bookerem) i wizje Jonathana Carrolla. Z jednej strony jest bowiem krwawo, brudno i brutalnie, a czytelnik z trudem brnie przez obrazy masakry związane z wojną domową na Sri Lance. Z drugiej trafiamy wraz z Maalim do Pomiędzy, które nie przypomina tradycyjnych wyobrażeń Czyśćca. Jest pełne znudzonych urzędników, drobnych łotrzyków, oszustów o astrologicznych proweniencjach i prawdziwych bestii, polujących na zagubione dusze. To także parodia chrześcijańskiego sądu ostatecznego, w której Mojżesz stoi ramię w ramię z popkulturowym He-Manem i w trakcie której - niczym Alicja z Krainy Czarów- można sobie wybrać buteleczkę z napojem, po czym przekonać się, dokąd nas on zawiedzie.

„Siedem księżyców Maalego Almeidy" to powieść znakomita, lecz jednocześnie hermetyczna i trudna w odbiorze. Przesądza o tym jej tło historyczne (lata 90. w Kolombo na Sri Lance), które nie jest zbyt dobrze znane polskiemu czytelnikowi, szczególnie, że w tekście znajdziemy masę nawiązań do lokalnego światka politycznego. Nie pomaga również zastosowana w niej oryginalna narracja diadyczna, którą najlepiej oddaje wyjęte wprost z powieści zdanie: „nie zastanawiałeś się dłużej, kim jest ten cały „ty" i kim jest osoba mówiąca do Ciebie „ty", ponieważ obaj byli tobą, a ty nie byłeś żadnym z nich". Mimo wszystko książka Karunatilaki stanowi interesujące wyzwanie czytelnicze, z którym warto się zmierzyć.

Linn Strřmsborg „K*rwa, k*rwa, k*rwa"

Gniew napędza, gniew motywuje, gniew rozsadza od środka, wybucha i wybrzmiewa jak huk odbijający się echem od ścian wielkiego blokowiska. Tak się składa, że wiem o gniewie całkiem sporo. Jako grzeczne, dobrotliwe i nieśmiałe dziecko latami tłumiłam w sobie negatywne emocje i pozwalałam światu wchodzić mi na głowę, więc kiedy iskierki złości w końcu zaczęły ze mnie jaskrawo wystrzeliwać, stałam się wkurzona i porywcza. Nie chciałam dłużej być tym złotowłosym aniołkiem, który częstuje wszystkich cukierkami, uśmiechem i dobrym słowem. Pragnęłam zostać dziewczynką z największym kawałkiem tortu.

Ograniczenia i oczekiwania, przed jakimi współczesny świat stawia młode kobiety, dolały do bulgoczącej w moich żyłach mikstury jeszcze trochę parskającej płynnej furii, która do teraz czasem mi się ulewa. Dlatego kiedy sięgałam po najnowszą powieść Linn Strømsborg o znamiennym tytule „K*rwa, k*rwa, k*rwa", sądziłam, że opisywany w blurbie gniew głównej bohaterki będzie jak wrzaskliwy podkład dla okolicznościowych gromów mojej własnej złości. Że zaśpiewamy w dwugłosie jakąś pieśń ze wspólnym niecenzuralnym refrenem niczym wokalistka Peaches wrzeszcząca „I don't give a SH******T!" do melodii „Bad Reputation". Że przez chwilę będziemy jak siostry bliźniaczki tej kobiety z magnesu na lodówkę, wyznającej: 'The older I get, the most everyone can kiss my ass'. Ale nic podobnego nie zaistniało.

Książka Strømsborg, po znakomitej i trafnie odnotowanej litanii założeń, dotyczących tego, jaka powinna być współczesna dziewczynka, a później kobieta, szybko przeszła w nużące i zachowawcze biadolenie, z którego niewiele wynikało. Jej bohaterowie okazali się mało wyraziści, a fabuła do tego stopnia rozmyta, że poza dobrym stylem autorki i słusznością niektórych jej osądów czy obserwacji, książka nie oferowała niczego, co mogłoby wzbogacić moją czytelniczą empirię. A już na pewno nie było w niej czuć gniewu, który dorównałby mocą tytułowi. W rezultacie miałam ochotę podejść do Strømsborg, potrząsnąć nią i spytać: to ma być gniew?

Grzegorz Wielgus „Pieśń pustyni"

Jechałam przez Wielki Szott na Saharze. Był lipiec 2012 roku. Temperatura sięgała 40 stopni i cała woda odparowała. Lecz porzucone w piasku łodzie z powiewającymi na masztach flagami stapiały się z fatamorganą, tworząc olśniewający krajobraz z lustrem falującej wody, niosącej statki i żeglarzy. Tak namacalny, tak malowniczo wiarygodny, że chcieliśmy bez końca raczyć się tym najpiękniejszym z kłamstw. Chcieliśmy płynąć przez piaski i słuchać pieśni pustyni, która wypełniała nas i uwodziła. Niech to wiatr porwie! Sądziłam, że to uczucie nigdy nie powróci! I oto znów jest ze mną, dzięki fenomenalnej książce Grzegorza Wielgusa „Pieśń pustyni"!

To czwarta powieść Wielgusa, którą miałam przyjemność przeczytać, a podchodziłam do niej z wielką nieufnością. Białooka Zirra, zbierająca na pustyni białopył (cenną rudę) przypominała mi niebieskookich mieszkańców Diuny oraz melanż, który dla mnie nigdy nie był aromatyczną przyprawą, a jego nużący smak wydawał mi się jak najdalszy od melanżu, jeżeli wiecie, co chcę powiedzieć. Jakże się myliłam!

Oficjalnie ogłaszam „Pieśń pustyni" naszym nowym narodowym skarbem! To bardzo oryginalna powieść o hollywoodzkim potencjale, z misternie skonstruowanym uniwersum i bohaterami, przez których mam ochotę stanąć na czele rozhisteryzowanego fandomu i czuć się jak kibic drużyny, która wreszcie ma szansę wygrać z resztą świata. Wielgus dowiódł, że można napisać powieść fantastyczną budzącą pewne intertekstualne konotacje (np. z Sagą o Wiedźminie, „Gladiatorem" czy horkruksami z „Harrego Pottera") bez uciekania się do – tak ostatnio powszechnych w polskiej prozie - oklepanych easter eggów!

Walki z piratami wiatrowców „pływających" ponad piaskami, alkohole z dodatkiem pyłu z kamieni szlachetnych o wdzięcznych nazwach, takich jak „Rubin", „Bursztyn" czy „Chalcedon", tafle gwiazdoszkła (moje nowe ulubione słowo), glifotwórczyni Astris, która po dotknięciu księgi potrafi wniknąć we wspomnienia i psychikę jej autora, złodziej chowający się w cudzych cieniach, walki gladiatorów opisane tak, że aż słyszy się brzęk żelaza i czuje zapach krwi wsiąkającej w biały piach areny, Schody Tysiąca Westchnień i legenda o zranionej Bogini Erkal... Gdzie ja trafiłam?!

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz dałam się tak porwać powieści! Naciskam przycisk „Zamów szampana" i wznoszę toast za Karamisa… to znaczy za autora!

Mark Twain „Tajemniczy nieznajomy"

Uwielbiam opowieści w duchu *tall tale*, bo przypominają mi historyjki, jakie opowiadałyśmy sobie z koleżankami w dzieciństwie. W tych naiwnych szeptankach wszystko było jak namalowane pachnącymi pisakami z brokatem: większe, piękniejsze, lepsze - słowem tak nierealne i magiczne, że aż musiało się wydarzyć.

Wykorzystanie tej konwencji w prozie w taki sposób, by obnażała ludzkie przywary, każąc czytelnikowi poddawać w wątpliwość powagę narratora i doszukiwać się w jego słowach sarkazmu czy ukrytych znaczeń, wymaga prawdziwego kunsztu. To właśnie za tę cechę pokochałam sposób opowiadania Twaina i jego „Prostaczków za granicą". Ale dopiero „Tajemniczy nieznajomy" - wydany pośmiertnie i napisany w najsmutniejszym okresie życia pisarza (po kolejnych bankructwach, nagłej śmierci jego ukochanej córki Susy i przedwczesnym odejściu żony) - wywarł na mnie piorunujące wrażenie.

To opowieść o Szatanie, który zstępuje na Ziemię pewnego sennego dnia 1950 roku i nawiedza mieszkańców austriackiej wioski. Jego poczynania chciałoby się streścić, przerabiając słynny cytat z „Mistrza i Małgorzaty" na: „wiecznie dobra pragnąc, wiecznie czyni zło". Tym bardziej, że Szatan otwarcie wyznaje, iż nie potrafi czynić zła, a przynajmniej nie robi tego intencjonalnie, gdyż jako „anioł" nie zna jego istoty, co

niejako zamyka sprawę i uzasadnia wszelkie „wypadki przy pracy". Ostatecznie mieszkańcy wioski gubią jednak jasność osądu, a to, co początkowo wydaje się z jego strony wspaniałomyślnością, okazuje się wstępem do wyrafinowanej gry o straszliwych reperkusjach...

Philip Traum (bo tak przedstawia się przybysz) wysuwa tezę, że zmysł moralności czyni człowieka najgorszą ze wszystkich istot, po czym omawia ją i uzasadnia, stosując tak pokrętną logikę, że trudno... nie przyznać mu racji. Czy dacie się uwieść wytrawnemu graczowi i postawicie na szali swoją duszę?

Jeżeli nie, książka „Tajemniczy nieznajomy" i tak dostarczy Wam niecodziennych przeżyć za sprawą zachwycającego, bibliofilskiego wydania Dwóch Sióstr oraz oprawy graficznej ATAK-a. Przerażająca treść jego ilustracji kontrastuje z niby to „dziecięcą" kreską, nawiązującą do średniowiecznych iluminowanych manuskryptów, co nadaje całości naprawdę upiorny wydźwięk!

Alutka „Miłość nie wystarczy"

Alexander Dumas pisał, że „w życiu przeżywa się tylko dwie prawdziwe miłości: pierwszą, która umiera i ostatnią, od której się umiera." Autorka tomiku „Miłość nie wystarczy" tę pierwszą ma już za sobą i postanowiła odbić na papierze kształt dotkniętego nią serca, tak jak odbija się na kartce barwne ślady dłoni z różnych okresów życia. Żeby zachować coś z tamtych chwil i by zapisać nuty melodii, która zagra na zmysłach odbiorców - w tym przypadku zauroczonych młodych ludzi.

Kilka lat temu siedziałam w kawiarni, a z głośników płynęły dźwięki „Born to die" Lany del Rey. Wsłuchałam się wtedy w słowa i uderzyła mnie trafność jednej z fraz: 'Sometimes love is not enough' („czasami miłość nie wystarczy").

To jedna z tych prawd, o których nie wspominają czytane w dzieciństwie bajki. Otoczeni ciepłym uczuciem rodziców, dorastamy częstokroć w przekonaniu, że miłość będzie odpowiedzią na wszystkie życiowe trudności. A jednak zdarza się, że miłość to za mało...

Ujął mnie więc pomysł debiutującej poetki, ukrywającej się pod pseudonimem Alutka, by uczynić z tej frazy tytuł pierwszego tomiku.

„Miłość nie wystarczy" można czytać na dwa sposoby: jako kilka poematów podzielonych na strofy, rozpisane na kolejnych stronach lub jako osobne miniatury poetyckie, zebrane w 17 rozdziałach (m.in. „o mnie", „o tobie", „o kosmosie"). Do mnie bardziej przemawia wersja z miniaturami, które każą mi myśleć o Alutce trochę jak o młodszej siostrze Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a trochę jak o polskiej Rupi Kaur.

Te liryki nie pretendują do miana wielkiej poezji. Pada w nich wiele słów, które doświadczonemu czytelnikowi wierszy wydadzą się nieco zbyt dramatyczne czy wręcz wyświechtane. Mnie jednak zupełnie to nie przeszkadzało, bo Autorka ma ucho do rytmu i potrafi zamknąć ulotny czar momentu w wycyzelowanej frazie! Na przykład takiej:

wybaczyć ci mogłam
kilka obietnic
złych warknięć
lecz co poradzić
że tak cię chciałam
uparcie?

To poezja dyskretnych spojrzeń i niepozornych, lecz w istocie wielkich gestów. W wierszach Alutki odnalazłam mgnienia słonecznych godzin własnych nastoletnich zauroczeń. Zamglone kadry pełne dusznych kawiarni i ukradkowych mrugnięć posyłanych ponad stolikami, pisanych naprędce liścików, wiązanek polnych kwiatów, pocałunków w deszczu….

Elżbieta Cherezińska „Sydonia"

„Mam dla Was złą wiadomość: ja nie znikam. Ja dopiero zaczynam. I wiecie co? Sami mnie tu przywiedliście. (...) Zawołaj, a przybędę" - słowa książkowej Sydonii trwają zawieszone w powietrzu. Czasem mam wrażenie, że to ja je wypowiedziałam...

Kiedy zobaczyłam, że wydawnictwo Zysk i S-ka szykuje premierę powieści „Sydonia. Słowo się rzekło", wiedziałam, że muszę ją przeczytać. W końcu spędziłam kilkanaście lat w Szczecinie, gdzie duch Sydonii wciąż jest obecny (mogłabym przysiąc, że przegląda się w swoim podwójnym portrecie w Muzeum Narodowym), a jej legenda pobrzmiewa zarówno w wielu rozmowach, jak i w echu na zamkowym dziedzińcu.

I choć niełatwo było przebrnąć przez 600 stron „Sydonii", to książka, którą na długo zapamiętam. Zachwyciła mnie staranność, z jaką Autorka odwzorowała historyczno-społeczne tło opowieści, uwzględniając najdrobniejsze elementy XVI i XVII-wiecznego życia w Księstwie Pomorskim- od miejskich i dworskich zwyczajów, przez potrawy przyrządzane na dworze i pod strzechami, mazidła dostępne u aptekarzy czy ówczesne trendy w ubiorze, aż po modne rodzaje broni, gatunki wina, a nawet imiona królewskich koni. Rozbudowane portrety psychologiczne postaci, które w mojej głowie funkcjonowały dotąd w „podręcznikowym" wymiarze, przez całą lekturę przypominały mi, że czytam o ludziach, którzy istnieli i jeszcze niedawno przemierzali te same brukowane uliczki, którymi chodziłam i ja.

Powieść ma także słabe strony. Największą jest nagła i - w moim odczuciu – niepotrzebna zmiana narracji z trzeciona pierwszoosobową w końcówce książki. Czemu ma służyć? Kolejna to postać empatycznego i miłosiernego kata. Jeżeli faktycznie w czasie procesu o czary ktoś okazałby Sydonii zrozumienie i serce, to czy mógłby to być akurat kat? I wreszcie sama Sydonia - na równi niezwykła i imponująca (gdy upominała się o swoje prawa), co irytująca w swojej pysze wobec „niższych rodem" i pieniactwie (gdy „dla zasady" wypisywała oskarżenia o błahostki i sądziła się z rodziną do upadłego), w kreacji Cherezińskiej bywała dla odbiorcy niemal nieznośna.

Mimo pewnych wad „Sydonia" to powieść, którą warto poznać, choćby z uwagi na szczegółowe przedstawienie niezwykle ciekawego, historycznego procesu o czary.

Agnieszka Moroz

Ewa Bogucka-Pudlis

Jerzy Fryckowski

Owoc spada zawsze niedaleko pieśni

Epicentrum i inne bliskopisy. Przyznam, że tytuł mi się nie podoba. Oryginalny, ale mało poetycki, a od Bruckiego należy wymagać. Epicentrum. Słownik tłumaczy: "Punkt na powierzchni skorupy ziemskiej położony w najbliższej odległości, to jest pionowo nad ogniskiem trzęsienia ziemi". Czy mamy w tym tomie do czynienia z poetyckim trzęsieniem ziemi, czy z obrazem wnętrza poety, tak naprawdę egocentrum? Dalekopis służył do przekazywania na odległość pisemnych informacji. Tu mamy bliskopisy, rozumiem, że pisane do siebie, uwiązane sznureczkami wokół epi/ego/centrum.

28 wierszy. To 26 ekfraz do 25 obrazów klasyków, jedna do rzeźby Rodina, plus jedna ekfraza do zdjęcia wykonanego przez poetę. Prawie każdy wiersz opatrzony jest cytatem, najczęściej ze współczesnego poety. Są jednak też kultowi poeci Wojaczek (trzy razy) Kofta i Cohen (dwa razy), Pasierb, Poświatowska, Stachura, Gałczyński czy Wysocki. Jest oczywiście Herbert, ale do tego twórczy jeszcze wrócimy. Tylko dwa wiersze nie mają motta. Najpopularniejsi malarze to Malczewski, Breitenbach, Wyspiański, Wróblewski, Cezanne, Goya. Do ich obrazów powstały po dwa utwory.

Autor pokazuje nam, w jakim kręgu kulturowym się obraca. Chwali mu się, że czyta nie tylko klasyków, ale także poznanych osobiście poetów, których spotyka na literackich imprezach. A z tym bywa różnie. Większość w samozachwycie wertuje antologie tematyczne, okolicznościowe i pokonkursowe almanachy. Zauważywszy swoje wiersze, czyta je i zasypia w samozachwycie. Reszta wydrukowanego towarzystwa już do niczego nie jest potrzebna.

Brucki należy do tych, którzy czytają. Czytają, zgłębiają, zgadzają się lub nie, inspirują, biorą na warsztat i wypuszczają swoją wersję.

Tomik rozpoczyna liryczny prolog wiersz *Kluczę*.

...Każde słowo chce stać sie tym szczęśliwym, pierwszym,
które wyjdzie odetchnąć....
Str.07

Już tu pojawia się Herbert. *Dlatego masz być czujny* i to polecenie nie opuszcza nas do końca książki. Pojawia się jeszcze kilka razy, ewentualnie zmieniając rodzaj na *bądź czujna*.

Poeta przekonuje nas, że:

Słowo kocha klucznika - i to z wzajemnością.

Jako osoba borykająca się ze słowem mam wątpliwości, czy jestem wzajemnie kochany. Wiersz kończy przestroga, że jeśli poeta zdradzi, to wszystko może przemienić się w gruzy.

Potem mamy jakby stronę tytułową. Epicentrum, czyli to, co najważniejsze. Tu dwa motta. Pierwsze z Inwokacji Mickiewicza. I tu (przynajmniej dla mnie) zaskoczenie, bo kto dzisiaj cytuje Mickiewicza w dodatku Pana Tadeusza. Jednak jest to bardzo ważne. Poprzez nawiązanie do Matki Boskiej Ostrobramskiej Brucki przyznaje się do swojej religijności. Jest to wiara szczera, także drogowskaz dla czytelnika, który zaczyna swoją podróż. Drugi cytat jest z Leśmiana. Myślę, że to wskazanie (oprócz już wcześniej wymienionego Herberta) swojego mistrza, za którym poeta ciągle podąża.

Zanim pojawi sie część pierwsza o jasnym tytule ŹRÓDŁO - kolejne motto:

i nie będziesz miał bogów nad tych co już są

Jak sobie zaplanował Brucki, zaczynamy od źródła. Jest Goya i znów jest Herbert. Najpierw cytatem z dramatu poety *Jaskinia filozofów*. Potem kolejna przestroga, a w zasadzie polecenie:

Bądź ostrożny,bądź gotów,bądź gotów być sam
Str.12

Kolejne przykazanie by być czujnym i gotowym, ale także przestroga przed zagrożeniem samotnością.

A samotność to obłęd, jeśli przypomnimy sobie, jakie obrazy zostawił na ścianach swojego domu Goya.

Tryb rozkazujący przewija się przez cały tomik. Poeta nie pozwala nam na chwilę odpoczynku, nie możemy być bierni podczas czytania, stąd te ciągłe *spójrz, stój, dziękuj, bądź wierny, przyczyń się, raczej się zastanów, raczej patrz*. Te czasowniki powtarzają się wielokrotnie.

Pora na utwory, które urzekły mnie najbardziej. Urzekły, to nawet nieodpowiednie słowo, bo są zapisem śmierci zainspirowanej obrazami. Poraziły, będzie chyba lepiej.

Syn i zabita matka obraz Wróblewskiego z 1949 roku inspiruje poetę do napisania sonetu. Wiersza bardzo ascetycznego, a jednak będącego perełką nie tylko w tym tomie:

...spłoszono cię z mych rąk
Str.17

To jeden z piękniejszych metaforycznych obrazów śmierci w naszej poezji.

Kilka stron dalej kolejny obraz Wróblewskiego *Matka z zabitym dzieckiem* i kolejny sonet. W obrazach jeden motyw jest ten sam. Niebieska śmierć. Tytułowa matka z poprzedniego obrazu czy tytułowy syn z kolejnego, są namalowani zimnym niebieskim kolorem bez żadnych ozdobników, bez drobnostki kojarzącej się życiem. Bardziej przypominają odkopane skamieliny z Pompejów.

Druga część tomiku nosi tytuł BRZEG. Poprzedza go motto: *Ty jesteś moja Pani Bóg*.

Poeta rozpoczyna wierszem *Bez obaw*. To miniatura erotyczna. Jeden z nielicznych wierszy, który nie jest ekfrazą. Tytułowy brzeg jawi się w tej części jako kobieta, która jest naszą ostoją. Zaczyna się od Narodzin Wenus. Jakże by inaczej. To przecież symbol kobiecego piękna, a i sama Wenus z obrazu Boticcellego uchodzi za jego ideał. Norwid pisał, że piękno jest po to, aby zachwycało, więc stąd pewnie norwidowska fraza:

z bez-powietrza
z bez-ziemi
z żywego bez-ognia
Str.31

Brucki próbuje przywrócić naszemu współczesnemu językowi słowa już zamierzchłe. Mamy tu w duchu Leśmiana neologizm *wśnił się* i *frazę otwartą na rozcież*. Trochę banalne wydaje mi się nazwanie miłości *słowem na „M"*.

Kolejny wiersz to niesamowicie piękny erotyk *Studium kobiety* do obrazu Wyspiańskiego. Wydaje się, że już nie można pisać odkrywczych erotyków, ale poeta zadaje temu kłam. Udowadnia, że jest jednym z najlepszych polskich poetów posługujących się rymem. Nie znajdziemy tu nic banalnego.

A w całym tomiku spotykamy różnego rodzaju rymy i ich układy. Męskie, żeńskie, a także układy parzyste, przeplatane, wewnętrzne.

W utworze *Kochankowie* do obrazu Magritte, znanego młodszym czytelnikom ze szkolnego podręcznika do j. polskiego urzeka nas kolejne nawiązanie biblijne *Przyczyń się za nami* i kilkanaście wersów niżej: *całować rzeczy po imieniu*. Najważniejsze jest oswojenie i nazwanie miłości, którą potrafiliśmy stworzyć. Przecież :

słowo jest gotowe, by pokazać twarz
Str.39

W następnym erotyku do rzeźby Rodina *Wieczna wiosna* znów oryginalny obraz poetycki:

Zanim mnie pocałujesz, nabierz wody w oczy
i płyń, gdzie cie poniosą małe żagle dłoni
Str.41

Jeśli przypominają się czytelnikowi piętrowe metafory Baczyńskiego, to bardzo dobrze. W tym wierszu oprócz przypomnienia o czujności, po raz pierwszy pojawia się zwrot: *Bo wiesz*.

Przewija się on w kilku następnych wierszach, pełniąc jak gdyby rolę zagajenia, przypomnienia, czy nie tracimy kontaktu z opowiadającym, bo ten tomik jest ciągłą opowieścią.

Do bardzo „oklepanego" obrazu Wyspiańskiego *Macierzyństwo* poeta napisał ekfrazę pokazującą w sposób niezwykle liryczny ten najpiękniejszy cud, jaki ofiarowuje nam przyroda. Motto jest z francuskiego erotyku, chyba jednego z najbardziej urokliwych - *nie dotykasz mnie*.

W tym wierszu poeta bawi się z czytelnikiem, ale z czytelnikiem uważnym. No bo proszę zobaczyć.

Specjalnie rozbijam ten wiersz na dwie kolumny:

na opłotkach rzęs - jeden wielki blask
Skupia cały sens potwierdzeniem łask

matka - i jej bóg -
mniejszy niźli dłoń
rodzą się - ze smug -
dla tysięcy słońc

śnieżnobiały Staś - jak najlepszy wiersz
a najlepsza baśń - jak ta biała pierś

Między nimi bluszcz - nadczasowy smak
do potęgi wróżb - miedzy tik a tak
Str.43

Przeczytajmy pierwszą kolumnę. Pierwszy wiersz. Drugą, drugi tekst. Zbliżając kolumny do siebie i czytając od lewej do prawej, mamy wiersz trzeci. Zauważyliście to? To nie takie proste. Wewnętrzne rymy mogą pomóc i także zmylić.

Wiersz ten przypomina mi utwór drwiący z komunizmu i Stalina, który przypisywany jest (niesłusznie) Miłoszowi. Pamiętacie? Czytam pierwsza zwrotkę, potem trzecią, drugą i czwartą. Kto czyta w normalnej kolejności, widzi pochwałę komuny. Utwór pojawił się we Lwowie na początku lat 40-tych.

Nie wiem, kto przypisał go Miłoszowi.

Ale wracamy do Bruckiego. Dziesięciozgłoskowiec z cezurą po 5 sylabach. Rymy męskie. Niby matema- tyka, a tak naprawdę wyrafinowana poezja. Spróbujcie napi-

sać taki wiersz. Potrzeba godzin. I pomysłu oczywiście.

O tym, jak poeta bawi się z językiem i jak cyzeluje swoją wypowiedź świadczą dwa wiersze ze stron 44 i 45.Oczywiście, jak wszystko w tej części, są to erotyki, pierwszy nawiązuje swoim cytatem do słynnej *Rozmowy lirycznej* Gałczyńskiego, drugi to wysnuta z poetyckich marzeń projekcja przyszłości kochanków. Utwory mają bardzo rozbudowane frazy, każda zwrotka to jest zdanie wielokrotnie złożone. Od 9 do 11 części składowych. I za każdym razem takie bardzo długie zdanie podrzędnie złożone jest logiczne. Chyba sposobem budowania takich wypowiedzi poeta chciał nam wskazać, że jest z zawodu polonistą. A takie długie zdanie może być koszmarem dla ucznia, który otrzyma polecenie, by narysować schemat takiego właśnie zdania wielokrotnie złożonego. Koszmar po prostu, ale trzeba znów widzieć, jak poeta pracuję z materią, którą komunikuje się z czytelnikiem.

Wszystkie archaizmy, neologizmy, krótkie i długie frazy, różnorodność i bogactwo rymów pokazują, jaką materią dla Bruckiego jest nasz ojczysty język. To rodzinna glina z nieodległego pola przodków, która daje się ugniatać wedle wyobraźni i pomysłu autora - dziedzica tej materii.

Część trzecia to SZCZYT poprzedzony mottem: *Wiem, że teraz nikomu nie zabraknie ryb.*

Biblijna nadzieja na spełnienie i pewność, że już niczego nam nie zabraknie? W tej części są tylko 3 utwory. Dwa wiersze i poemat, bo tak należy sklasyfikować *Ecce homo* do obrazu Chmielowskiego. Wcześniej jednak *Pokutująca Magdalena* do obrazu de la Tour. Oczywiście, pisząc do obrazu, mam na myśli reprodukcję, jaka poprzedza wiersz, bo oczywiście u Bruckiego to tylko inspiracje, niekoniecznie interpretacja obrazu i tak powinno być. Tu znów mistrzostwo rymów, a w przypadku rymowania parzystego nie jest to takie łatwe, trzeba wysiłku, by nie popaść w rymowania banalne. Znajdziemy tu leśmianowski *współsplot* i ciekawe metafory *zając płomyka, skarbce piersi, wydęty próżnią puchar.* Na uwagę zasługuje oryginalny neologizm „wierszy" jako czasownik. Poecie „wierszy się pacierz".

Wspomniany powyżej poemat *Ecce homo* tak naprawdę zasługuje na osobną recenzję. Polecam ten utwór księżom, którzy szukają mott do swoich kazań. Mamy tu nawiązanie do listu św. Pawła do Koryntian, ciągłe herbertowskie przypominanie, byśmy byli czujni. Ktoś kiedyś powiedział, że wojna jest fotogeniczna tak jak ból. Nagrody Grand press otrzymują zdjęcia z wojen, porwań, zamachów. Kiedyś takimi kronikarzami bólu byli malarze. Brucki pisze:

Malarze przyszłych epok będą wniebowzięci,
bo ból się sprzeda zawsze
Str.57

Kiedy piszę te słowa, jestem w Funchal na Maderze. Telewizyjne stacje epatują właśnie zdjęciami z Gazy, córka przysyła mi esemsa, że na kilka lat musimy odłożyć wyjazd do Izraela.

Na jakich przyszłych obrazach znajdą się twarze młodych ludzi porwanych z koncertu?

Zanim przejdę do kolejnej części, jeszcze jeden cytat. Przytoczę cały fragment, który we wspomnianym wyżej poemacie jest całkowicie osobnym, ukończonym wierszem. Nawet zapis graficzny jest „węższy" od pozostałych. Cytuję:

Mój marmur/moja władza/moja polityka.//Moja misa/i woda do spłukania rąk.// Moje słowa/i wyrok./Mój ochłap sumienia.// Mój szczur./Mój smród/i moja nade wszystko krew.//A Jego/droga Droga:/przepaść i odwaga.//Jego ślad.//Jego cisza,//Jego tak dostojna//Nadobecność/skrojona na dwie chude ręce.//Jego ręce/gotowe unieść/ nawet mnie.

Str.60 i 61

Ważny fragment poematu, jak ważna postać jest postać Piłata w całej historii powstania Chrześci-jaństwa.Bo gdyby nie on...

W części czwartek poeta schodzi ze szczytu w MGŁĘ. Motto poprzedzające cykl brzmi:

Każdy czeka na swoją kolej aż kawiarnia z pasteli zapłacze.

Przyznam, że z tą częścią tomiku miałem największy problem interpretacyjny. Czy jest to samokrytyka podmiotu lirycznego, że nie potrafi radzić sobie z nałogami, jakimi są nikotynizm i alkoholizm?

Cztery miniatury „alkoholowe" jak je sobie nazwałem, można potraktować z przymrużeniem oka.

Wiadomo, że artyści piją absynt. Tak mi powiedział mój lekarz pierwszego kontaktu. I sam zawsze mam w barku ten zakazany do niedawna u nas przysmak. Już nawet nie trzeba jechać do Czech. Wystarczy Karpacz."Bohaterem" tych miniaturek jest wątroba, dlatego można spojrzeć na ten cykl jako na przestrogę z medycznego punktu widzenia.

Jednak *Popielnica* w żaden sposób nie budzi u mnie uśmiechu, a w dodatku następny wiersz to *Śmierć*.

Subtelnie sportretowana przez Malczewskiego pod postacią kobiety. Gdyby nie kosa ,można by pomyśleć, że to alegoria miłości, która gdy przychodzi, oślepia.

Ostatni wiersz (tytułowy) jest poświęcony dziadkowi. To powrót do źródeł. Po przeczytaniu powinniśmy wrócić do początku tomiku, jeśli starczy nocy.

Kolejna książka Bruckiego to ciekawa podróż do źródeł, przybijanie do brzegów, zdobywanie szczytów, zwykłe ludzkie błądzenie we mgle (a może to poeta-dziecko błądzi?),wreszcie powrót do korzeni.

W sumie zataczamy koło. Od źródeł do korzeni. Powstajemy z prochu i w proch się obracamy. Ten proch jednak jest wybuchowy. Jest jak pokaz fajerwerków na niebie, kolorowy, głośny i fascynujący.

Dawno nie czytałem tomiku, w który poeta włożyłby tyle pracy, miał swoją wizję i pokazał czytelnikowi wiele tajemnic duszy.

Mamy w kraju kilka znaczących konkursów na książkę roku. Czy ten tom zdobędzie jakiś laur? Jeśli tak, to uwierzę w literacką sprawiedliwość. Jeśli nie, to znów najdą mnie myśli o kumplowskich lub gejowskich układzikach, o tym , czy dany poeta jest (jakie ohydne słowo) w „stajni" danego dziennika.

Z niecierpliwością będę czekał na kolejny tomik. Po tym należy się poecie kilka lat wakacji. Może będzie na nie Bruckiego stać, jak dostanie jako nauczyciel 30-procentową podwyżkę.

Przyczepię się jeszcze do nietłumaczonych cytatów w mottach..Naprawdę czytają poezję jeszcze ci, których uczono tylko rosyjskiego, więc mają problem z angielskim. A także czytają ci, którzy znają angielski, ale rosyjskiego się nie uczyli. Łaciny nie wspomnę. Przydałyby się tłumaczenia.

Z chęcią widziałbym na swojej półce serię tomików z ekfrazami wydanymi przez Fundację Oko-Lice Kultury. Oczywiście wydanie takiej książki, to obecnie koszt około 10 tysięcy złotych, wiadomo kolorowe reprodukcje, ale Brucki udowodnił, że można. Kto następny?

Mateusz Brucki *Epicentrum i inne bliskopisy* Fundacja Oko-Lice Kultury, Zblewo-Starogard Gdański 2023 stron 88

Jerzy Fryckowski

Ewa Bogucka-Pudlis

Jerzy Lengauer

„Tabliczka z ceną"

Prawie czterysta stron opowieści składającej się z trzydzieści pięciu rozdziałów (dwa pozostałe opisują głównie realia i okoliczności powojennej działalności organizacji żydowskich) to fragmenty, czasami wręcz strzępki, wyjątki z życia Polaków i Żydów odnalezione przez Annę Bikont w archiwach, spisane z rozmów, telefonicznych i osobistych, bardzo prywatnych, intymnych, cichych, prawie wyszeptanych albo nieco wymuszonych kolejnymi listami mailowymi, głośnymi dzwonkami czy tylko brzęczeniem telefonów komórkowych, przemyślanych tygodniami, miesiącami, za którymi stoją niechęć i odwaga, potrzeba i łzy. Dzieci jest więcej niż rozdziałów, których tytuły i podtytuły to imiona i nazwiska, imiona czasami zapisane zdrobnieniem, w końcu niezidentyfikowana mała bohaterka, której rola zdaje się przez ową anonimowość tym większa, bo reprezentuje ogromną rzeszę nienazwanych - spalonych, zastrzelonych, zatłuczonych kijami, ale i być może ocalonych, niezdających sobie sprawy z pochodzenia, bez dzieciństwa, wykluczonych z narodowości, pozbawionych krewnych, z mniej lub bardziej przypadkowym obywatelstwem - na których grobach w dwudziestym pierwszym wieku nie kładzie się kamyków, a zapala znicze, jeśli tylko nie zostali pozbawieni nowo nabytej po wojnie, po Zagładzie pamięci. O nich wszystkich opowiada Anna Bikont dzięki ocalałym zeszytom Lejba Majzelsa: „Zeszyty są dwa, szesnastokartkowe w kratkę, formatu A5. Mają szaroniebieskie kartonowe okładki z wyblakłym napisem: «Sprawozdanie z podróży służbowych L. Majzelsa w sprawie poszukiwania dzieci znajdujących się w rękach Polaków»" [1]. Uważna lektura wstępu i ostatniego, statystycznego rozdziału książki to swojego rodzaju, tak jak bez wątpienia i tytuł, przygotowanie do odkrycia, poznania czy też przypomnienia czegoś, co do tej pory przemykało obrzeżami społeczeństwa, było cieniem najnowszej historii, zamykało się w pracach naukowych, wydawnictwach zajmujących się tematyką Holokaustu, odsuwane było na margines, poza nawias, ledwie akceptowalne, choć uznawane. Jakby pewien duch lat tuż powojennych nadal unosił się nad wsiami, polami, lasami, bagnami, miasteczkami, ulicami, ukrywał się po odgrzebanych piwnicach i krążył po klatkach schodowych odbudowanych kamienic. Czy kiedyś zniknie jak stogi siana, w których ukrywały się żydowskie dzieci? Dzisiaj trwa w Polakach, obywatelach polskich pochodzenia żydowskiego oraz obywatelach innych krajów od Kanady i USA, przez zachodnią Europę i Izrael po Australię. Zapewne do czasu. Tyle, że Anna Bikont upływający czas zatrzymała w 2022 roku.

Autorka nie skupia się jedynie na dzieciach i ich historiach, które czasami w przerażający sposób się urywają bądź, jeszcze bardziej przygnębiająco, trwają w jakiś dziwnie nieakceptowany przez czytelnika sposób. Bo ten jest, chyba przez literaturę, samą Zagładę, szereg wydawanych wspomnień i dzienników, narzucony na sposób dwojaki: unicestwienie albo otrzymany przez Los spokój w krajach, gdzie nie było Marca 1968 roku. Oczywiście „Cena" potwierdza, przypieczętowuje, wykrzykuje dramat Zagłady. Opowiada o odnalezionych rodzinach, dzieciach, wnukach, radościach, spełnieniu. Ale mimo to każdemu rozdziałowi, ba! każdemu jego fragmentowi, akapitowi towarzyszy cień Primo Leviego i Jeana Améry-'ego, a przede wszystkim tragicznej postaci Imre Kertésza, czyli tego, co towarzyszy Ocalonym, z czym sobie nie poradzą nigdy: że nikt, żadne państwo, jakiekolwiek społeczeństwo, środowisko, organizacje żydowskie, religijne, socjalistyczne, syjonistyczne, bliżsi i dalecy krewni, Kościół katolicki i izraelskie kibuce nie było przygotowane na zapłacenie ceny dość wysokiej, żeby zapewnić wyleczenie choroby toczącej dzieci, które chyba do końca życia nie potrafiły zerwać z szyi tabliczki, gdzie Polacy wpisywali kwoty w setkach tysięcy i milionach złotych, czasami zamieniając je na dolary bądź dopisując, wcale nie mniejszymi literami, żądanie przekazania domu, nieruchomości, posesji, działki. Ten rak, choroba śmiertelna, leczy się w sposób inwazyjny dla duszy i ciała. On trwa w człowieku strachem cały czas. Wiele razy lęk zamyka w szklanym kloszu, buduje mur. Często cierpiący odrzuca leczenie i popełnia samobójstwo. Straszliwe, że potrafi ono trwać latami. O tym właśnie pisze Anna Bikont.

Rzeczy bardzo ważne, które stanowią tło oraz kontekst czasów i działań, tudzież postać Lejba Majzelsa, opisywane są w trakcie opowieści o dzieciach. Mamy zatem drogę Majzelsa, która doprowadziła go do zarobkowego zajęcia się powojennym poszukiwaniem Ocalonych z ramienia jednej z organizacji żydowskich. Trochę z rezerwą odbiera się historię tego człowieka. Bo chcąc mu przypisać wielkie zasługi, ogromną wytrwałość, pomysłowość, niewyczerpane, zdawałoby się, pokłady empatii i bezinteresowności, a nawet jakiś izraelski (wszak jeszcze nie!) czy też syjonistyczny patriotyzm, jeśli tak można nazwać tę postawę, odrzuca się nieco bezmyślnie potrzebę zdobywania środków do życia w tych biednych i niebezpiecznych powojennych latach. Autorka nie pozwala jednak o tym zapomnieć. Czy przekonania Majzelsa odzwierciedlają to, co w którymś miejscu Bikont podkreśla, upartą pracę nad tym, żeby Żydzi ocaleli z Zagłady stali się obywatelami nowo powstałego żydowskiego państwa? Na ile stoi za tym silne, podskórne napięcie podbudowane niechęcią, wręcz lękiem, że nie można pozostać w kraju, w którym miliony zginęły w obozach koncentracyjnych, wcześniej w II Rzeczpospolitej były świadkami antysemickich działań państwowych i wystąpień społecznych, a w końcu zdarzających się partyzanckich polowań i pogromów w komunistycznej Polsce? A zatem tutaj Anna Bikont przedstawia działalność dwóch organizacji żydowskich, prowadzonych przez nich domów dziecka i opieki oraz sierocińców. Ścierające się interesy, cele, idee to wychowanie w duchu judaistycznym i syjonistyczna praca nad przyszłymi budowniczymi Izraela, mieszkańcami kibuców. To również kontakty z zagranicą, wytyczanie szlaków migracyjnych i przemytniczych, to pozyskiwanie z wszelkich możliwych źródeł pieniędzy, fałszowanie paszportów, zdobywanie miejsc na przeróżnych środkach transportu, szukanie miejsc przerzutowych w krajach zachodnich, na Bałkanach. Wbrew pozorom nie ma miejsca na anonimowość i teoretyzowanie. Rywalem, oponentem, ale przecież i pomocnikiem z wzajemnością jest dla Lejba Majzelsa kapitan Jeszajahu Drucker: „on przybywał / legendarny ojciec / kapitan Drucker – tak go nazywano / (wymyśliłam sobie, że jest Polakiem / tak jak inni nasi opiekunowie / i nie tak jak moja ciotka Żydówka) / siadał między nami / dzieci nieruchomiały / powtarzał tę samą opowieść / o wspaniałym kraju / o zimie w promieniach złotego słońca / ogrzewających ziemię / a ona owocuje / złotymi jabłkami" [2]. Miejscowości, w których znajdowały się domy dziecka, tworzą mapę; imiona i nazwiska dyrektorów, nauczycielek, opiekunów stanowią długą listę. Dzieci, które spotykają się w tych placówkach z antysemityzmem, są wychowane i przywiązane do religii katolickiej, czują się Polakami, boją się Żydów bardziej niż Niemców, mogą być bohaterami kolejnych książek. Ich ówczesne wypowiedzi, emocje, reakcje to materiał do analizy, ale przede wszystkim niezwykła podstawa współczucia i zastanowienia się nad dramatem Zagłady, nieustającym, trwającym, towarzyszącym, krążącym wokół nas nie tylko tu w Polsce, ale ciągle rozsiewającym się po świecie dręczącym niepokojem. Po które pokolenie?

Opisywanie historii dziewczynek i chłopców, których imiona stanowią tytuły rozdziałów, a także tych, które dopisywane są w treści, nie ma żadnego sensu, byłoby po prostu streszczeniem. Spotkanie z nimi należy się czytelnikowi bez wstępów. Czego w tych opowieściach może się on spodziewać? Chyba przede wszystkim tragicznej różnorodności. Zdawałoby się, że dzieci wykupione przez organizacje żydowskie nie zostały pozostawione same sobie. Jednak ich samotność przeraża. Decyzje, wybory, losy nie są wynikiem racjonalnych przemyśleń. Bo Zagłada nie była racjonalna. I w swym szaleństwie zamykała kilkunastoletnie Żydówki w polskich, francuskich i bliskowschodnich katolickich klasztorach. Nie pozwalała wymieniać imienia nadanego przez rodziców. Wstrząsała myślą o powrocie do Polski. Kazała tęsknić za krajem, gdzie w Zagładzie zginęli żydowscy rodzice, i opiekować się do końca życia polskimi, „drugimi" rodzicami i ich potomkami. Z kilkulatków uczyniła nagle dorosłych, ukrywających się zimowymi tygodniami w liściach pośród bagien, wykopanych jamach, uciekających przez wielkopolskie i mazowieckie lasy, słysząc strzały pozbawiające życia ich matek, sióstr, braci. Nakazywała im pracować w polu, gospodarstwie, kłamać, kraść, uczyć się pacierza, spotykać na rozdrożach Jezusa, poddawać się przemocy seksualnej.

Anna Bikont pisze, ile w tamtych czasach kosztowały koń, krowa, świnia. Porównuje to z ceną za żydowskie dziecko. Opisuje długotrwałe procesy sądowe i cytuje fragmenty korespondencji między sprzedawcą a kupującym. Pokazuje chciwość i hipokryzję posiadacza cennego towaru. Mówi słowami Majzelsa i Druckera, którzy skrzętnie notowali, w jakim stanie jest odszukane przez nich dziecko. Czy czyta, pisze, w jakim języku mówi, jak jest ubrane, czy wygląda na zabiedzone, głodne. Owe krótkie zapiski przerażają swoją lakonicznością, zdawkowością, choć nie ma w nich chłodu. Bije z nich ponaglenie, które jest przecież li tylko humanizmem. Wszystko inne przywodzi na myśl przetarg, targowanie się, przeciąganie procesu sprzedaży, żeby oferta stała się jak najbardziej atrakcyjna. Jakże mogą nie zaszklić się oczy? Ale… Czy jest jakieś usprawiedliwienie? Kontekst czasów, skutki wojny, bieda, głód i chłód, strach przed nowym ustrojem? Niesamowita potrzeba zapewnienia sobie środków do przeżycia za wszelką cenę, czego przecież my teraz nie znamy? Właśnie – cenę. A przecież Bikont pisze także o dzieciach, które nie chciały odejść od nowych rodziców. Nie sposób nie dostrzec miłości, przywiązania, poczucia bezpieczeństwa, starań, bardzo prostych, najzwyklejszych potrzeb, być może altruizmu, co w samotnych i nieco już dojrzałych małżeństwach przeradzało się w decyzję nie tyle o bezwarunkowej pomocy, ale adopcji.

Stanowczo za dużo refleksji, rozważań, rozdartych emocji, powikłanych wniosków. U czytelnika. Bardzo ważna to rola „Ceny". Ale jaka jest u Ocalałych? Tego nie zapominajmy.

Jerzy Lengauer

Anna Bikont, „Cena: W poszukiwaniu żydowskich dzieci po wojnie", Wydawnictwo Czarne, 2022, s. 31.

Mateusz Wabik

W opozycji do Warszawy

Trudno było czytać wiersze Rafała Derdy z „Polskich obozów życia", gdyż w polskich mediach polemik politycznych w ostatnich latach było wiele i miało się dość wszystkich obozów rządzących, bo przecież jeden był w opozycji do Unii, drugi do rządu w Warszawie, a także pojawiały się polemiki z oboma rządzącymi ugrupowaniami i tak się stało, że wszystkie ugrupowania polityczne w Polsce zaczęły się uważać za opozycyjne. Spory dotyczyły wielu spraw. CPK zostawić, czy zakończyć? Zburzyć ogrodzenie na granicy z Białorusią, czy zostawić? Kogo bardziej nie słuchać Warszawy, Brukseli, Berlina, Waszyngtonu, czy Mińska? Zbroić się, czy rozbrajać? Godzić się z Niemcami, czy się nie godzić? Żądać zadośćuczynienia za szkody podczas II wojny światowej, czy nie żądać? Szkalować Orbana, czy nie szkalować? A wcześniej - czytać Tokarczuk, czy nie czytać? Jest pandemia, czy Bruksela do spółki z Pekinem ją wymyślili? Szczepić się, czy nie? Czy szczepionki są zdrowe, czy powodują wyłącznie efekty uboczne? Tak to się potoczyły losy języków opozycyjnych wobec władzy, że zniknęły z mediów postulaty pozytywne. Tzn. krytykować można było wszystko, mile widziane było bycie krytycznym do wszystkich obozów rządzących, ale ci co chcieli destrukcji pomysłów, budowli, leków, itp., itd. nie ukazywali żadnej wizji przyszłości, a nie zawsze wiadomo było czego chcieli w zamian. Także zamiast rozpatrywania problemów, ich historycznego rysu (poza odniesieniami do II wojny światowej w przypadku żądań rekompensat wojennych) pojawiała się retoryka bycia na TAK lub NIE. Sloganowo, powtarzalnie i głośno. Można było zestawić te wszystkie sprzeczki z biblijnymi wizjami piekła i nieba. Będziemy mieli piekło większe jak będzie rządziła partia rządząca do tej pory, czy jak Bruksela, a może będzie jeszcze bardziej niebiańsko jak zagłosuje się na określoną partię. W wielu przypadkach chodziło głównie o to, kto kogo przekrzyczy inwektywami i krytyką. Kto się załapie do sejmu, a kto nie załapie?

Derda zbijał w swoich tekstach pewne polityczne postulaty i wnioski z różnymi poetyckimi pomysłami, a jego nierymowane wiersze zbudowane głównie z dwóch linijek, mimo wszystko uciekały w kierunku lingwistycznym. W jego wierszach nanizywały się kolejne frazy na poprzednie i odnoszące się do nich i nie zawsze wiadomo o co chodziło poecie. Jeśli zastanowić się nad wymiarem politycznym poezji Derdy po pierwsze poeta w „Polskich obozach życia" polemizował z Polską w wizji dotychczasowego obozu władzy z Warszawy, po drugie z samymi Polakami, których osobowość kształtowana była według niego wyłącznie przez Kościół, obietnice wyborcze i ekonomię. Pisał też o miłości, więźniach katowanych spędzaniem ich na rekolekcje, podejmowanych wysiłkach, które nie przynosiły rezultatów, przedsiębiorcach, sugerował także, że obóz rządzący był partią totalitarną. Derda uważał po prostu, że w Polsce nie było tak jak być powinno, w swoim krytycyzmie jakby oczekiwał, że dyktatura berlińsko-brukselska będzie lekiem na wszystkie bolączki. Poza kilkoma wierszami w różnych mało znanych mi tomikach nie znalazłem zbyt wielu tekstów poetyckich krytykujących Unię Europejską. Zamiast czytać wiersze Derdy można by podobnie do dadaistów powycinać z gazet różne slogany i postulaty polityczne, dodać do tego trochę przepisanych fraz z telewizyjnych kabaretów i trochę pociętych tekstów z czasopism przyrodniczych, książek kucharskich itp. i ująć to w karby logiki i efekt byłby podobny.

Wiersz tytułowy „Polskie obozy życia" Derda rozpoczął do nawiązania do polskiego hymnu i w następnych linijkach ukazywał, że heroiczny ton będący jednym z rdzeni polskiej kultury, wywodzący się z lat zaborów nie do końca się sprawdzał w dzisiejszej rynkowej rzeczywistości i zestawiał go z różnymi sprawami współczesnymi. W heroicznym tonie spłacało się zadłużenia we frankach, sadziło tuje, przywoziło się worek medali z olimpiady, ukazywało się moralną wyższość Polaków nad innymi narodami. Ale wiersz kończył się komicznym bo spokojnym zaśnięciem kogoś za kierownicą. Ten heroiczno-powstańczy styl według Derdy doprowadzał do katastrofy Polskę.

W wierszu „Uleje usiecze" poeta ukazywał spokój jaki emanował z obserwacji przyrody, m.in. łąki i pnącego się po altance powoju, które według niego nie były w stanie „zakryć okrucieństwa" z jakim polscy urzędnicy traktowali „słabych biednych i chorych". Urynkowienie powodowało wzrost bezrobocia, pluralizm Wałęsy zastąpiła dwubiegunowość Warszawa kontra Bruksela, a sprawy społeczne były traktowane po macoszemu. W USA mimo, że opieka społeczna także nie była szczególnie wspierana przez rządy, opcji światopoglądowych wspieranych przez główne nurty kultury było około dziesięciu – od nihilizmu, katolicyzmu, new age, po kontrkulturę i marksizm (od pewnego momentu). W Polsce jakby wielokulturowość jako wielość opcji światopoglądowych do wyboru wspierana do pewnego momentu przez środowiska naukowe i „Brulion" została zastąpiona przez rynek, albo triadę postaw politycznych katolicki demokrata, lewicowiec i młodzi, którzy o prawdziwej polityce nic nie wiedzieli.

Trudno było się przedzierać przez wiele wierszy Derdy, gdyż poeta mało bazował na detalach sytuacji i rozpoczynał je od jakichś wyrwanych fraz i jego poezja przy tym wydawała się jakby jednokierunkowa i nieco schematyczna. Trudno też było się ze wszystkim zgodzić w „Polskich obozach życia", ale najważniejsze, że tomik zapraszał czytelnika poezji do rozmowy o Polsce. I coś jednak zostawało po lekturze „Polskich obozów życia".

Mateusz Wabik

Rafał Derda, Polskie obozy życia, Ligota Mała 2022

Ewa Bogucka-Pudlis

Mateusz Wabik

Rozmyślania w bliskości z naturą

Pod koniec 2023 roku nakładem Instytutu Książki, ale w ramach „Biblioteki Toposu" ukazał się kolejny tomik wierszy Jadwigi Nowak pt. „Domy i ogrody". W porównaniu do poprzedniego tomiku poetki pt. „Człowiek hałaśliwy" nowe wiersze poetki, mimo zaznaczonych w nich okruchów rzeczywistości, były mniej sytuacyjne i sprozaizowane, a bardziej metafizyczne, aforystyczne, polemiczne i filozofujące.

W „Balladzie o końcu świata" poetka poruszała temat apokalipsy, której obraz był daleki od tego znanego z „Biblii", czy „Koranu". Przeludnienie Ziemi powodowało to, że „chętnych na tamten świat" było coraz więcej i musieli czekać w kolejce. Jako, że tematyka apokaliptyczna pojawiała się wcześniej w polskiej poezji np. w poezji Czesława Miłosza, czy Tadeusza Borowskiego, poetka, żeby tekst nie był jedynie skupiskiem wytartych motywów musiała w nim użyć takich środków artystycznych by wiersz był nośny, stąd oczekiwanie ludzi na śmierć porównała ze staniem w kolejce jak w latach PRL-u, ale też współczesnych np. w oczekiwaniu na dostęp do kasy samoobsługowej w hipermarkecie. Całe wydarzenie końca świata w wierszu odbywało się na stadionie przy wypełnionych trybunach.

Inwazja Rosji na Ukrainę w lutym 2022 roku kazała zastanowić się poetce w wierszu „La fântome de la liberté" nad istotą wojny, tak odległej przez lata od Polski. Nie napisała jednak wiersza reportażowego na podstawie doniesień medialnych, czy po własnej wizycie na Ukrainie, ale zastanawiała się nad swoim życiem w obliczu wojny. Wtedy tuż po ataku, pierwszych wiadomościach o dokonywaniu zbrodni przez Rosjan na ludności cywilnej Ukrainy, wydawało się, że wojna także mogła w krótkim czasie rozlać się na inne kraje Europy, w tym Polskę. Poetka wyobrażała sobie własną śmierć i innych z rąk rosyjskich żołnierzy. Ludzie wg Nowak mogli się tylko zastanawiać jak żołnierze rosyjscy „pozbawią ich życia" i mieli do wyboru „Okrzyk zwycięstwa/Okrzyk zemsty" lub „cichą śmierć…". Bliskość wojny powodowała lęk, jednak kiedy się wojna zatrzymała na Donbasie i jedynie od czasu do czasu słychać było doniesienie o atakach rakietowych na inne miasta, widmo śmierci w wyniku działań wojennych nieco się oddaliło od Polski, ale nie na zawsze.

W wierszu „Arcyludzkie" poetka opisywała sytuację zabuksowania kołami samochodu w błocie i zmuszeniu do kontynuowania podróży pieszo, ale także odnosiła się do biografii Nietzschego. Porównywała próbę wyjazdu z błota samochodu z wyjącym silnikiem do okładania batem przez woźnicę konia na oczach Nietzschego, który niebawem po próbie ratowania zwierzęcia popadł w szaleństwo.

Poetka w swoich wierszach także narzekała, że nie była zagraniczną dziennikarką przez co nie była dobrze poinformowana i sama musiała czekać na rozwój wydarzeń („Gdybanie"), opisywała jabłonkę, która przetrwała „inwazje barbarzyńców" („S.O-.S.") jakby porównywała swoje pokolenie literackie (tzw. roczniki 60-te) do owadów próbujących niszczyć ogrody, co było dalekim echem sporów klasycystów z barbarzyńcami o to czy poezja miała wiązać się z tradycją, czy współczesną kulturą i ludzką egzystencją. Także w wierszu „*** tu jeszcze tak po staremu" Nowak odnosiła się do jakiejś grupy poetów współczesnych, być może barbarzyńskiego skrzydła swojego pokolenia i zestawiała bliskość obcowania z naturą ukazaną jako piejącego koguta, pszczoły zbierające nektar, czy krzątanina mrówek z ciągle pijanymi i lunatykującymi poetami przekonanymi o własnej wyjątkowości, ale będącymi według poetki tylko marionetkami. Przeciwstawiała żywość przyrody martwocie marionetek. Jednak poetka już nie doprecyzowała kto miałby tymi marionetkami sterować. Krytycy? Wydawcy? Zamierzchła sytuacja przełomu politycznego wpływająca na poczucie nowatorskości? Może próbowała przekonywać Nowak, że ciekawą poezją można było pisać z dala od knajp, zatłoczonych miast, gdzieś na wsi. W jej wierszach można było także znaleźć odniesienia do poezji Zbigniewa Herberta, twórczości Tomasza Manna i Alberta Camusa, ale także do internetu, ale nie wchodziła w wiesze polemiki z twórcami z własnej generacji, czy nie nawiązywała do nich.

Myślę, że warto było zapoznać się z poezją Jadwigi Nowak, której poezja nie znalazła się w żadnej z ważniejszych antologii promujących poezję roczników 60-tych w latach 90-tych XX wieku, choć debiutowała poezją w „Radarze" w 1983 roku, gdyż sporym plusem jej wierszy była żywiołowość w polemikach, nietuzinkowy temperament i talent do pisania wierszy o ważnych sprawach wyłaniających się z pozoru niezbyt ważnych sytuacji. Jednak nie negowałbym zasług barbarzyńskiego skrzydła poezji lat 90-tych, przecież niektóre wiersze Nowak bardziej emocjonalne i oparte o współczesny świat nie były chłodne i klasycystyczne. Chyba poetka także nie chciałaby zamieszkać w katedrze.

Mateusz Wabik

Jadwiga Nowak, Domy i ogrody, Kraków-Gdynia 2023

Mateusz Wabik

Złe i dobre wspomnienia

„Elementaże (1&2)" to nowa prozatorska książka Andrzeja Sosnowskiego składająca się z dwóch tekstów pt. „W stronę siostry" i „W stronę Newtona", które mogły być także czytane jako dwa rozdziały jego książki, gdyż były ze sobą powiązane. Autor zawarł w dwóch tekstach wspomnienia z dzieciństwa, podstawówki i lat liceum, jednakże oprócz tego między kolejnymi wspomnieniami wyzierały z książki Sosnowskiego także rozmyślania np. nad istotą czasu, wyborami estetycznymi elit i niższych warstw społecznych, więc śmiało można uznać, że „Elementaże (1&2)" wymykały się łatwym gatunkowym klasyfikacjom, gdyż należały do czegoś z pogranicza wspomnień i esejui. Książka Sosnowskiego była niezwykła gdyż zawsze wolałem jakieś wątki biograficzne, czy quasi-biograficzne w poezji warszawskiego autora, niż fikcjonalne zabawy tekstualne. Oprócz tego w „Elementażu (1&2)" znalazły się cytaty z jego własnej poezji, które wiązały się z wspomnieniami lub autor po latach próbował je powiązać by odkryć ich znaczenie. Także wyjaśniał niektóre watki poezji, a raczej zaciemniał, gdyż dziewczynka bawiąca się żyletką w ustach z wiersza „Latem 1987", była według mnie czymś tak rzeczywistym jak dusze Indian wnikające w Jima Morrisona. Choć mogłem się mylić, gdyż dzieci miały zwyczaj wkładać do ust różnych rzeczy. Także można było się natknąć w esejach Sosnowskiego na fragmenty piosenek, przytaczane w języku polskim i angielskim, cytaty z poezji, dzieł filozoficznych innych twórców jak n.in. Ezra Pound, Frank O'Hara, Arthur Rimbaud czy Arystoteles .

Sosnowski pisał w swoich tekstach o swoim dziadku, który mu w dzieciństwie czytał dzieło Tukidydesa „Wojna Peloponeska", zabawach zagranicznymi żołnierzykami, pierwszych miłościach, nienawiściach, pierwszych fascynacjach muzycznych związanych najpierw ze słuchaniem muzyki z pocztówek dźwiękowych, potem z płyt u koleżanki, a następnie o własnych płytach zagranicznych kupowanych na giełdzie. Sosnowski także pisał o szkolnych wybrykach, wyrzuceniu najpierw z klasy, a potem z liceum. Rozdział „W stronę Newtona" kończył się zestawieniem nieco przypadkowego znalezienia się na obozie harcerskim z ciężką chorobą jaką z niego wynikła, gdyż młody Sosnowski został zaatakowany przez kleszcze i zachorował na zapalenie opon mózgowych, a także sielską rekonwalescencją z matką i ojcem na Mazurach. Pokazywał Sosnowski siebie wybitego z egzystencji, gdzieś poza nią.

Te wszystkie wspomnienia wydawały się nierzadko jakimiś elementarzami, z których uczyło się egzystencji i poznawało się ją. One tkwiły w pamięci i formowały osobowość jakby na ten tytuł i treść książki popatrzyć z perspektywy freudowskiej. Błąd w tytule „elementaże" zamiast „elementarze" miał ukazać jakąś futurystyczną naleciałość, gdyż futuryści nie zważali na poprawność ortograficzną. Pisząc o przeszłości, autor dawał do zrozumienia, że te dawne wydarzenia wiązały się z przyszłością. Choć to tylko przypuszczenia, gdyż nie znalazło się wyjaśnienie tytułu w tekstach, ale reminiscencje z czytanych fragmentów „Wojny Peloponeskiej" autorowi we wczesnej młodości przez dziadka pojawiały się w późniejszych wspomnieniach

Mimo towarzyskości jaką emanował autor od lat najmłodszych w swoich wspomnieniach, wydawał się od zawsze samotny, szczególnie, że w Peerelu z rzadka wychowywało się dzieci na greckiej historii. Ta samotność wiązała się z niepokornością, ale także z niezgodą na ohydę Polski Ludowej, z poszukiwaniem jakiegoś mentalnego i intelektualnego azylu. Sosnowski opisywał kradzież radia ojca, by mieć czego słuchać na biwaku harcerskim, problemy szkolne związane z chęcią dyskutowania na lekcjach z innymi kolegami i koleżankami z klasy, przestawianie liter w gazetce ściennej, wrzucenie szamponu do obozowej zupy, spanie w śpiworze na ziemi na obozie, oddalenie się z kolegą podczas burzy w celu poszukiwania wyznaczonego punktu

podczas harcerskiego obozu, karne marsze z cegłami w plecaku. We wspomnieniach Sosnowskiego nie było przemówień partyjnych, opisu obchodów pierwszego maja, kolejek do sklepu. Nie pojawiały się reminiscencje z Marca 1968, czy Grudnia 1970, co wiązało się z jego apolityczną postawą.

Szczególnie interesujące były wątki muzyczne w tekście w „W stronę Newtona", gdyż Andrzej Sosnowski urodził się w 1959 roku i te pierwsze doświadczenia z muzyką musiały się u niego pojawić w pierwszej połowie lat 70-tych. Pierwszą piosenkę, w której się zasłuchiwał był utwór Paula McCartneya i jego żony Lindy „Monkberry Moon Delight" odtwarzany z pocztówki dźwiękowej podczas ferii zimowych w schronisku w Tatrach. W czytanym przeze mnie „Teraz Rocku", książkach o subkulturach metalowej i punkowej królował głównie okres późniejszy jeśli chodziło o muzykę rockową w Peerelu, czyli lata 80-te. O latach 70-tych sporadycznie coś można było przeczytać, jeśli już to o późnych, ale na pewno nie wczesnych. Proza Sosnowskiego potwierdzała to, że cena płyty z Zachodu na giełdzie płytowej kosztowała prawie całą wypłatę jak słyszałem od starszego kolegi punka, a zarazem zawodowego handlarza płyt Tomka będącego niegdyś współwłaścicielem sklepu muzycznego „Neuma", stąd nie dziwiło mnie to, że Sosnowski pisał o tym, że miał cztery zachodnie płyty (te wydane w obozie socjalistycznym nie liczyły się), ale jedną po drugiej, gdyż były drogie i żeby nabyć jakąś inną, musiał sprzedać tą, którą miał. Sosnowski pisał także o wypożyczaniu płyt i sprzętu muzycznego od starszego handlarza płyt, o czym nigdy nie słyszałem w Krakowie. Także zaintrygowało mnie powiazanie fanów polskiego beatu z mentalnością git ludzi, czyli przestępców. Akurat kolega, który zaraził mnie metalem, wcześniej słuchał trochę rocka i nawet punka w połowie lat 80-tych i od starszego od nas kuzyna punka zaczerpnął chyba jakieś opowieści o gitach, bo zaczął kończyć zdania na „git", potem zapisał się na karate, a nawet kilka drobnych kradzieży miał na koncie, co nie przeszkadzało mu być wzorowym uczniem. Myślałem dotąd, że powiazanie fanów słuchających rocka z kulturą więzienną przyszło później, gdzieś na przełomie lat 70-tych i 80-tych, ale jak pisał Sosnowski fani rocka uważający się za gitowców pojawili się na początku lat 70-tych. Akurat Sosnowski wspominał, że owi młodzi ludzie zapatrzeni w gitowców uwielbiali album „Karate" Breakout, który ukazał się w 1972 jak łatwo sprawdzić w sieci. Sosnowski pisał: „Jednak znali chyba jedną tylko płytę, „Karate" zespołu Breakout. Co bardzo nas intrygowało, bo czemu akurat tę? Może uważali, że właśnie taki rodzimy blues to muzyka tych, co „garują". Puszczali ją na ławkach z magnetofonu mk 125, który podłączali kabelkiem do radia Alina (…). Na zakończenie najdłuższych wieczorów osiedlowe śpiewy niosły się chóralnie: „Gdy Nalepa konia klepał hej/Wtedy powstał zespół Breakout hej//Kubasińska cnotę miała hej/W zespole ja postradała hej" (…) Oczywiście byli to git ludzie, puryści słynący z surowych kar, jakie sobie chętnie wymierzali za każdy językowy lapsus." Mimo iż słuchałem i rocka i metalu, nigdy specjalnie nie pociągała mnie mentalność więźnia i gitowca. Obraz młodzieży włóczącej się po Warszawie, zasłuchanej w Breakout, wyśpiewującej sprośne piosenki, spędzającej czas wspólnie gdzieś na osiedlowej ławce z gitarą, zapatrzonej w przestępców przetrwał nawet jeszcze do niedawnych lat, kiedy ci fani Breakout, w ostatnich latach jakby przemienili się w fanów hiphopu narażających się policji dilowaniem narkotyków i także zakłócali ciszę nocną na osiedlach. Jakby ich jedynymi celami egzystencji były nielegalne narkotyki i zakłócanie ciszy. Na pewno wcześniej w subkulturze metalowej i punkowej także zdarzali się ludzie zapatrzeni w gitowców, ale nie było to obowiązkowe i powszednie. Można w książkach o polskiej subkulturze metalowej z dawnych lat znaleźć ludzi, którzy woleli od muzyki tężyznę fizyczną i przemoc, ale w ostatnich latach dominowała w metalowym undergroundzie sekcja archiwistyczno-historyczna.

Fragmenty o muzyce opisywanej książki także wpisywały się w próbę wytropienia w Peerelu remedium na niego i poszukiwania okna na świat zakazany, czyli Zachód, co krytyka literacka nazywała „emigracją wewnętrzną". Tym remedium i oknem na świat była muzyka z audycji Radia Luxembourg, pocztówek dźwiękowych i płyt. Muzyka w książce Sosnowskiego była wiodącym tematem jeśli chodziło o zainteresowania narratora. Większe zainteresowanie literaturą przyszło na pewno później.

Opisy zabaw żołnierzykami brytyjskiej firmy Airfix w pierwszej części „W stronę siostry" kazało sobie przypomnieć krótką poetycką prozę „Wielki Modelarz" Świetlickiego z ostatniego tomu „Sierotka", w której poeta ukazywał swoje zadowolenie z zabawy modelami samolotów wyciętymi przez samego siebie z polskiego czasopisma „Mały Modelarz". W prozie Sosnowskiego zachodnia muzyka górowała nad polską, pojawiały się nazwy i polskich i zachodnich firm produkujących sprzęt audio lub samego sprzętu, ale Sosnowski wspominał tylko o zagranicznych zabawkach. Obaj poeci pokazali dwie postawy na Peerel, Sosnowski ukazywał marzenia o otwartych granicach i dostępie do zachodnich wytworów cywilizacyjnych, wieczne niezadowolenie z polskich firm i sprzętu, a Świetlicki mimo tęsknoty za wolnością, pisał o znalezieniu w Polsce Ludowej czegoś dla siebie ważnego i istotnego. U Sosnowskiego widoczne było większe wyobcowanie, u Świetlickiego zadomowienie.

Na pewno tom prozy „Elemntaże (1&2)" należał do tych najbardziej udanych dzieł poety obok „Stancji", „Konwoju. Opery" i „Domu ran", gdyż została ona napisana z taką samą energią językową jak jego utwory poetyckie.

Mateusz Wabik

Andrzej Sosnowski, Elementaże (1&2), Wrocław 2023

Ewa Bogucka-Pudlis

Andrzej Walter

Modlitwa o poezji trwanie

Na moście pokoleń czujemy się coraz bardziej samotni, coraz mniej pewnie i właściwie idziemy do siebie po omacku, choć Oni (kim są Oni?) są świadomi, że opowiadają nam bajki o żelaznym wilku, a my wiemy, że to są takie właśnie bajki i chcemy w nie wierzyć, albo wierzyć w to, że … (czasy te) nie minęły.

Trzymamy oto w ręce jakże niepozorną książeczkę Marka Wawrzkiewicza, jak sam określa „takie tam dyrdymały"… zatytułowane „Nie minęło". Ile wiary jest w tym zawołaniu, w tym haśle, ile uporu na przekór życiu i świat w autoironicznym pomniejszaniu tej książeczki przez samego Autora…

Nie minęło. To jakby zaklęcie Marka Wawrzkiewicza, poeta ten jest bowiem z innej epoki, z innego świata, w którym Literaturę czczono i wielbiono, bowiem wiedziano, jaka jest jej wymierna i niewymierna wartość, wiedziano, że Literatura to świat równoległy, świat wyobraźni i snów opowiedzianych historii, świat, w którym poruszamy się myśląc, a myśląc przeżywamy pełniej swoje życie.

A jednak, kiedy się rozglądamy, okazuje się, że **minęło**, i przeminęło, choć było, wydarzyło się, jakoś się zakończyło, i Autor – postać literacko już legendarna, jedyna taka w naszym kraju, snuje ciepło i przytulnie swoją mini opowieść, rozsypuje wszędzie, te swoje bezcenne w treści okruchy i jak sam mówi, czy określa skromnie, dyrdymały. Oczekiwałem (oczekiwałbym) takich dyrdymałów od: Różewicza, od Herberta, Miłosza czy Zagajewskiego, ale otrzymałem od Nich jedynie monumentalne, poważne, bądź arcypoważne, sążniste w swym przesłaniu) teksty i owszem: zmieniające światy i ludzi, otrzymałem refleksje mędrców i wieszczów, demiurgów rzeczywistości, a Wawrzkiewicz – powiedzmy otwarcie, poetycko i literacko im równy (albo nawet momentami ciekawszy) … wycofuje się zawsze gdzieś w tył, za kotarę, za kulisy, ze swojej muszli: obserwuje ludzi, świat i rzeczywistość, zza bariery miłości, światła poezji (w sensie olśnień poezji), sztuki i obserwacji zdystansowanej, tak zapewne rozumie pojęcie bycia poetą. Poetą totalnym jakbyśmy dziś to nowocześnie ujęli. Poetą, dla którego nawet księgowość ZLP ma wymiar literacki, albo jakoś tak dobrotliwie potrzebą rzeczy potrzebnej i właściwej pachnący. Poetą, który nie tylko obserwuje i tworzy jak tutaj wyżej przywołani mistrzowie, ale jednocześnie własnym poetyckim cyrografem dowodzi, że oddał tej poezji duszę – właśnie takimi okruchami, ich zauważaniem, dostrzeganiem, odwagą wyartykułowania i głoszenie publicznego tych obserwacji.

Cała osobowość Marka Wawrzkiewicza i postać Jego charyzmy opiera się na wierze – wierze na równi: w poezję i w człowieka, na dobrotliwym podejściu do świata, na łagodności graniczącej z naiwnością, że pewnych rzeczy się nie robi, albo i robi się (kiedy niestety robić je trzeba aby przetrwać) ale niestety też, poprzez tę dobrotliwość i wiarę, nie oszukujmy się, w pryncypia Marek niczego nie robi i nie zrobi co będzie „wbrew poezji" i Jej prawom, albo „przeciw poezji" i Jej wykładni w świecie – jaka to wykładnia? - zapytacie, trudno to określić, być może ta norwidowska, że pozostanie po nas Dobroć i Poezja, i więcej nic (…)

Jego upór w tym dążeniu jest jakiś święty, uświęcony wręcz i bezbrzeżnie wolny. Marek Wawrzkiewicz to postać absolutnie wolna, wyzwolona od determinanty laurów i nagród, wyzwolona z okowów tej destrukcyjnej pomnikowości poetów uznanych i jakoś tam wielkich, to duża postać właśnie swą „okruchowatością z wyboru" i na mapie literackiej Polski – w tej aurze nieco osamotniona. W tej swojej dobrotliwej łagodności i naiwnej wierze w poezję nie zabiegał nigdy o laury tłumaczeń i nadmiar propagowania swojej twórczości i swojego ja i tylko dlatego nie był nigdy i pewnie już nie będzie realnym kandydatem do literackiego Nobla, ale Jego twórczość w poezji posiada – nie mam co do tego żadnych wątpliwości – cechy idealnego laureata tej Nagrody.

Właściwie kiedy przeczytacie – powiem inaczej, kiedy byście przeczytali wszystkie wiersze Wawrzkiewicza (rozpoznali cały Jego dorobek i całą Twórczość) potwierdzilibyście wyżej przywołane słowa. Moglibyście wtedy sobie porównać te wiersze do kilku znanych nam już noblistów (poetów, niekoniecznie polskich)… ich warstwę zarówno treściową jak i artystyczną, no cóż, Nobla zatem nie mamy, ale mamy okruchy.

Nic Nie minęło i już nie minie. Marek zyskał bowiem (wcale o to nie zabiegając) swoich wyznawców: ja, niżej podpisany, Andrzej Dębkowski, Adam Marszałek, Andrzej Żor, Andrzej Zieniewicz (który niedawno nas opuścił, ale zawsze podkreślał swoją (…) wiarę w Twórczość Markową)… i wielu wielu innych: Andrzejów, innych Adamów innych, znam nawet kilku Jurków, kilku innymi agrafkami dopiętych … wyznawców, wrażliwców, idealistów, w dobie upadku autorytetów wierzących w autorytet całkowicie odmienny od wszystkich minionych, w autorytet: wycofany, skromny i modlący się właśnie o poezji … przetrwanie.

(…) Oddajmy głos Autorowi okruchów:

„Listopad. Polanica, festiwal „Poeci bez granic". Mówię coś o literaturze i czuję się skrępowany – przecież opowiadam o rzeczach oczywistych. Ale, ale… To, co dla mnie jest oczywiste, nie jest oczywiste dla innych. Wydarzenia, których byłem świadkiem i uczestnikiem, dla ludzi młodszych ode mnie raptem o jedno pokolenie, to bajki o żelaznym wilku. A przecież to, czego oni przeżywać nie mogli, stało się glebą, na której wyrosło ich życie… skąd się literacko wzięli…"

Słuchając Marka, ja, poeta rzemieślnik, ledwie czeladnik, życiowo wychowany na bajkach o żelaznym wilku, wiem, że to oczywiste, wiem, że my już tego przeżywać nie możemy, nie będziemy, czyli dla nas … jednak minęło. Co gorsze wydaje się, że bezpowrotnie.

Też czujemy się Mareczku skrępowanie, zażenowanie, wstyd czasami, czy co najmniej zadziwienie dlaczego tak się stało, kto nam to zabrał, dlaczego zostaliśmy okradzeni? Osieroceni? Oszukani? Jakiego użyć słowa?

Współcześni polscy poeci, do których rodziny wszyscy to czytający zapewne się zaliczamy, dzielą się drogi Marku, na dwie kategorie – totalnie odmienne - na tych, którzy wiedzą i wierzą, że to była gleba, na której wyrośliśmy i na tych, którzy usilnie, za wszelką cenę, usiłują to wyprzeć bądź wyciąć w pień, słowem absolutnie zanegować i właściwie nawet skrycie koncentrują tylko na tym cały swój aktywnościowy wysiłek – nie będę wyliczał z imienia i nazwiska tych troglodytów, dla których korzeń i tożsamość są warte funta kłaków, ale to jest właśnie dominujący konflikt współczesnego świata. Konserwatyści kontra postępowcy. To się jednak dziś bardzo kamufluje, niuansuje, popada w relatywizm poznawczy, komplikuje się, aby łatwiej było ludźmi bez kręgosłupów zawładnąć.

Bez charyzmy i kręgosłupów jesteśmy chyba wszyscy, tylko rozróżnia nas właśnie stosunek do przeszłości. I właśnie my, ci, którzy tu z Tobą Marku pozostali, ci, którzy łakną i szukają, czujemy się dziś: oszukani i zdradzeni przez tych, dla których liczą się tylko: lustra, kolejny stopień na drabinie ponoć „do nieba", wzięcie kolejnej przeszkody choćby był nią nawet nasz kolega i przyjaciel poeta Nowak czy Kowalski, liczy się dla nich jedynie wzięcie kolejnego lauru i kolejny układ w tej galerii układów jakże zamkniętych i poparć jakże wsobnych, w salonie namaszczonych, w tych wszystkich Toposach, Nagrodach Szymborskiej, Nagrodach Nike czy jakichś przedziwnych nowych Uniach Literackich i tym podobnych nowoczesnych tworach mających rozsadzić bryłę postaci minionego świata. Cóż dają nam w zamian? Czy w ogóle cokolwiek? A może tylko psucie i niszczenie poezji. Wynaturzanie jej społecznego wymiaru i kulturotwórczego postrzegania, słowem opluwanie własnych gniazd, defraudację języka, słów i myśli. Czy mamy się na to zgodzić? Czy nam jeszcze, choćby mentalnie, pomożesz z nimi zawalczyć. Przyszły rok 2024 może okazać się też jakoś tam kluczowy. Choć z pewnością nie o jeden rok tu idzie. Tu idzie bowiem o ideę, o wizję, o miłość.

I wtedy okaże się czy minęło, czy nie minęło, czy przemija… i czy przeminie, co minie, co nie minie, i co z tego uratujemy i dla kogo… i czy nadal wobec siebie będziemy czuć się: skrępowani, zakłopotani, smutni i zawstydzeni.

Andrzej Walter

Marek Wawrzkiewicz „Nie minęło". Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Zelów 2023, stron 214, ISBN 978-83-955703-8-4.

Andrzej Walter

Konstelacje znaków i przeszkód

Zbigniew Milewski w swoim najnowszym tomie rozważa jaki jest dziś literacki kształt rzeczy. Zastanawia się i zgłębia: jaki jest sens poezji, czy też, co to znaczy być poetą, kiedy się ma skrzydła, a kiedy zasłania nas własny cień. Konstelacje wydają się być żywym, pulsującym tekstem usiłującym określić wszystko to, co nas twórców teraz nurtuje chwila po chwili, dzień po dniu i w wyobrażeniu jutra. Więcej w nich pytań niż odpowiedzi, nieco brak spójności wyrazu, ale muszę przyznać, że to mimo wszystko tom dobry, tętniący otwartymi pytaniami o szerokich horyzontach oraz ożywiającym zamętem, jakże niezbędnym do snucia rozmyślań o sprawach i rzeczach w literaturze najważniejszych.

Autor stawia bardzo istotną tezę, której w zasadzie jeszcze nie słyszałem, a może nie słyszałem w tej formie, acz wydaje mi się ta teza niezwykle ważną: ***tworzymy dziś poezję, która opisuje świat jak dawniej proza***.

W swoich analizach literackich doszedłem do konotacji, że faktycznie, nie ma dziś prozy pokroju dawnych mistrzów w minionych przypadkach chociażby: Hemingwaya, Dostojewskiego, Prousta, czy też Joyce'a albo naszego Bolesława Prusa. Proza przestała dziś: opisywać, opowiadać i rozpoznawać świat, a jeśli, to czyni to śladowo, rachitycznie i szczątkowo. Można obrazoburczo określić, że czyni to uzurpatorsko, często na zamówienie poprawności dziejowej, światopoglądowej bądź politycznej, zamiast poszukiwać prawdy i do tego jeszcze poszukiwać bogactwa formy interpretacji tej prawdy i jej kształtu czy wyrażenia. Proza stała się albo miałka, albo ma kreować li tylko czystą rozrywkę czy też lekko, łatwo i przyjemnie potraktować czytelnika niczym dobry film, z skupieniem uwagi na krótko i szybko zmieniającym się wątkiem tudzież mnożeniem wydarzeń wręcz nieprawdopodobnych.

Proza dziś: nie analizuje, nie snuje wielowątkowej narracji, nie zagłębia się w nudny opis i toczącą się jak życie opowieść. Musi gnać, pośpieszać i tętnić żywym ogniem sensacyjnej kryminalności (niejako zakpię z jej proweniencji). Inaczej uznawana jest za: nudną, męczącą i wyzywająco niepotrzebną. Niech nas nie zmyli Tokarczuk czy inni tego typu, w świecie skrótu i obrazka to byty uzasadnione. Kontrbyty dla nielicznej grupki snobów wszelkiej maści i do tego poprawnych (jak wspomniałem) politycznie, a w zasadzie światopoglądowo.

Funkcję opisu i rozpoznania świata i jego prawd przejęła poezja. Ta poezja „po Różewiczu" zanurzona w Różewiczu i jemu podobnych albo w jego naśladowaniu, w jakże pozytywnym aspekcie rozwijania tej koncepcji poezji. Poezja opisu, ***proezja***, jak mawiał nieoceniony i niezapomniany Leszek Żuliński, poezja opowieści i poezja faktu. Poezja, której metafora ukryta jest między słowami, w sytuacji, w kontekście, w puencie, w wyrazie. Poezja, której ulotność z westchnień przemieniła się w zamyślony intelekt, w melancholię dekadencji i w dalece lapidarny tekst mający nami bardziej wstrząsnąć niż rozanielić. Oczywiście są bardzo różne jej formy wyrazu. Język tej poezji też zasadniczo bywa bardzo odmienny, a jednak jej wydźwięk utrzymuje się w ryzach zszokowania współczesnością, która zamyka nas w klatkach cyfryzacji i na łączach wirtualnych.

Milewski w tym kontekście zadaje mnóstwo pytań. Już same te pytania zmierzają do samoistnej metaforyzacji rzeczywistości. Czy każdy wers ma cię zaskoczyć? Czy w raju mieszka śmierć? Zbigniew Milewski deklaruje, że pisze dla przyszłości, ale czy wierzy w tę przyszłość? Może i tak.

Czytając ten tom i nie mogąc się uwolnić od naszej znajomości i przyjaźni literackiej sam się zastanawiałem na ile Zbigniew Milewski, Autor, jest tutaj rewolucjonistą, a na ile uzurpatorem, pozerem, czy też człowiekiem od brudnej roboty czyli zadania tego pytania bez odpowiedzi - bez odpowiedniej dozy buntu i złości? Milewski jednak pyta, czy może stwierdza pytając – jaka jest nowa baśń współczesna, a szyderstwo zawarte w tym pytaniu i kontekście rozważań sugeruje, że po prostu jej nie ma, albo obecne pokolenia nie są po prostu zdolne taką baśń stworzyć, gdyż już w nic nie wierzą, a najmniej w baśnie.

Wiele nam mówi Milewski o powołaniu. Mamy dziś problemy z rozpoznaniem prawdy powołania. Szamoczemy się, szarpiemy, domagamy się jakichś oczywistych rozwiązań, wspinamy się po schodach bytu nie wierząc już w powołanie, wierząc w determinację przypadku, powołanie wkładając pomiędzy biblijne bajki i przekazy.

Spotkałem się już z kilkoma bardzo krytycznymi ocenami tego tomu. Uważam te opinie za przesadne, pochopne i nieprzemyślane. Wynikające zapewne z niedokładnej i pobieżnej lektury, ale i poczynionym założeniom a priori, a przecież nie o to chodzi w docieraniu do Prawdy.

Nie szkodzi. Niejednoznaczność w ocenie powoduje tylko kontrowersję, a ta jak wiemy służy uznaniu dzieła za ciekawe i poddające czytelnika procesom myślowym, kod których odwykł na co dzień.

W finale zauważyłem, że Autor „Konstelacji" stawia pytanie niejasne, zakamuflowane, o odróżnianie znaków od przeszkód. Już samo zestawienie tych kategorii wiele nam powie o naturze tego poety. Kto odróżnia znaki od przeszkód chce niejednoznacznie iść naprzód – rozpoznając, że znak ... to znak, a nie przeszkoda, przeszkoda, którą przecież trzeba w końcu pokonać. Wydaje się, iż determinantą bytu jest tu walka, prowokacja i iluzja. Być może to swego rodzaju odpowiedź na tragedię wszechświata dziejącą się na naszych oczach. Ten wszechświat to my i naprzeciw świat u progu wojny, albo choć dziejowych zmian i zawirowań. Ten wszechświat to nasze nadzieje, wiary i miłości i naprzeciw deformacje tych pojęć serwowane nam zewsząd, aż wreszcie ten wszechświat to my jako drażniące przypadki psujące dobre samopoczucie demiurgom zmian i rozprzestrzenianiu nowej rzeczywistości. Jakoś chyba my do tej nowej bajki nie za bardzo pasujemy.

Andrzej Walter

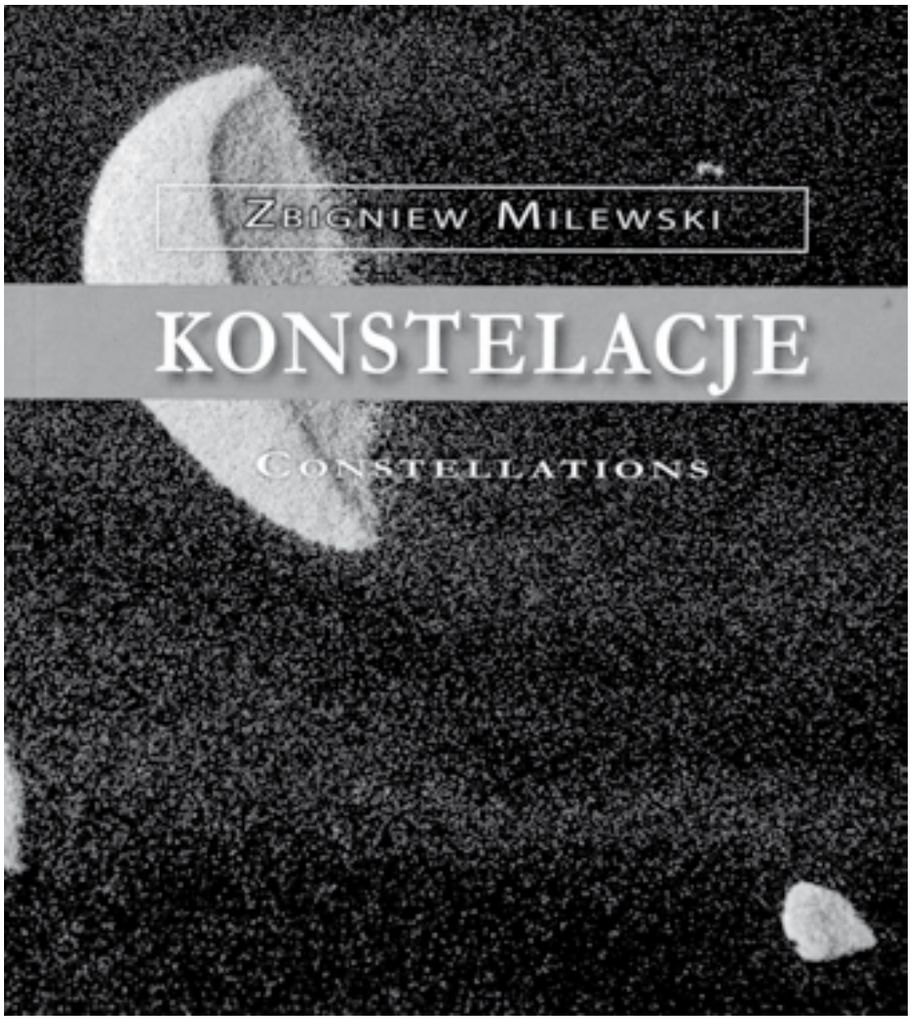

Roman Warszewski

Jan Paweł II i teologia wyzwolenia

1.

Mirosław Wlekły to bez wątpienia jedno z ciekawszych i bardziej ekspansywnych piór średniego pokolenia. Jest dobrym biografem, a także intrygującym reporterem penetrującym różne zakamarki współczesnego Kościoła. Pisząc biografię Elżbiety Dzikowskiej miałem okazję poznać Wlekłego osobiście, ponieważ jest on także autorem biografii Tony Halika – wieloletniego partnera życiowego bohaterki mojej książki. Wlekły jest również autorem biografii Kazimierza Górskiego oraz Garetha Jonesa – dziennikarza, który w latach 30-tych XX wieku jako pierwszy przywiózł na Zachód wiadomości o klęsce zabójczego głodu na Ukrainie. (Agnieszka Holland równolegle z powstaniem tej książki kręciła film na ten sam temat.)

Na drugi, kościelny wątek zainteresowań Wlekłego składa się książka o arcybiskupie Wesołowskim, który przez wiele lat deprawował chłopców na Dominikanie (*Allinclusive. Raj, w którym seks jest Bogiem*) oraz tom o próbach reform Kościoła w Ameryce Łacińskiej pt. *Raban. O kościele nie z tej ziemi.*

2.

Książka *Nie nasz papież. Pontyfikat Jana Pawła II na świecie* mieści się oczywiście w tym drugim nurcie. Jest to pod wieloma względami pozycja nie tylko demaskatorska, lecz także odkrywcza i rokuję jej dobrą przekładową przyszłość w co najmniej kilku krajach.

Wlekły zajmuje się w niej przede wszystkim teologią wyzwolenia oraz jakże wrogim do niej stosunkiem Jana Pawła II, rzucając nowe światło na jej źródło? Któż nie pamięta wymownego wygrażania palcem poprzez Jana Pawła II na lotnisku w Managui księdzu i poecie Ernestowi Cardenalowi, który jako minister kultury wszedł do nikaraguańskiego lewicowego rządu sandynistów?

Czym była teologia wyzwolenia? Przypomnijmy: to nurt w katolicyzmie latynoamerykańskim, który przejął pewne elementy marksizmu (co szczególnie niepokoiło USA) i zaakceptował ideę walki klas. Jego przedstawiciele – Gustavo Guttierez z Peru, Camilo Torres z Kolumbii, czy Clodoviso Boff z Brazylii – uważali, że wyznawcy Chrystusa mają prawo aktywnie walczyć o poprawę swego codziennego bytu. Głosili, że w wielu sytuacjach modlitwa nie wystarcza, że są sytuacje, kiedy należy chwycić za broń. Symbolem zwolenników teologii wyzwolenia stał się wizerunek Chrystusa z karabinem na ramieniu, który był wzorowany na portretach zabitego w 1966 roku w Boliwi Ernesto Che Guevary.

3.

Punktem wyjścia reportażu Wlekego jest opowieść salwadorskiego biskupa Oscara Romero, który leci do Watykanu by przekazać Janowi Pawłowi II informacje na temat morderstwa księdza Octavia, dokonanego przez związane z prezydentem kraju skrajnie prawicowe bojówki.

„(…) przychodzi – czytamy – do papieża z kartonem pełnym dokumentów. (…) Rozmawiają po włosku.

– Ojcze Święty, teraz możesz się przekonać, jaką kampanię oszczerstw przeciwko Kościołowi i jego słudze organizuje otoczenie prezydenta – Romero wyciąga dokumenty, zagraniczne raporty, zdjęcia ojca Octavio.

Papież nie zwraca na nie uwagi, o nic nie pyta. Mówi tylko, że nie ma czasu na przyswojenie takiej ilości informacji. Romero przeprasza i tłumaczy, iż liczył jedynie, że ktoś z Watykanu przeanalizuje je i streści papieżowi, jak wielka niesprawiedliwość przelewa się przez Salwador.

– Mówiłem już, żebyś nie przyjeżdżał obładowany tyloma papierami. Tutaj nie mamy czasu ich czytać — słyszy od Ojca Świętego.

Romero sztywnieje. Wciąż myśli, że to zwykłe nieporozumienie. Jest przekonany, iż zaraz wyjaśni papieżowi, z jak ważną sprawą tu przybył. Podnosi zdjęcia księdza Octavia. Na jednym: zbliżenie zmiażdżonej kołami pojazdu pancernego twarzy. Zalanej krwią. Z szyją rozciętą maczetą.

– Bardzo dobrze go znałem, Ojcze Święty, sam go wyświęciłem. Był bardzo rzetelnym księdzem, wiedziałem o wszystkich jego aktywnościach. Tamtego dnia prowadził kurs Ewangelii dla dzieciaków z sąsiedztwa - Romero opowiada swoją wersję i przeciwstawia ją informacjom, które rozpowszechnia rząd w jego kraju.

- Spójrz, Ojcze Święty, jak zmiażdżyli mu twarz.

Papież wpatruje się w zdjęcie, nie komentuje.

– Zabili go nam i oskarżyli, że był partyzantem – Romero postanawia kontynuować

– A czyż nie był? – wypala papież."

4.

Skąd tak wielka niechęć Jana Pawła II, by dokładniej zająć się tą oczywistą sprawą – tą i wieloma innymi podobnymi. Kwestię tę Wlekłemu wyjaśnia ksiądz Rudolfo Cardenal (to inna postać niż wspomniany przed chwilą nieżyjący już Ernesto Cardenal), profesor teologii na Uniwersytecie Środkowoamerykańskim w San Salvadorze. Mówi:

„– W swojej biografii dyrektor CIA zdradził, że Amerykanie postawili Janowi Pawłowi II ultimatum: jeśli nie zatrzyma teologii wyzwolenia, wstrzymana zostanie pomoc dla Solidarności."

5.

Zbieżność w czasie jest wyraźna. Nasilenie aktywności księży identyfikujących się z teologią wyzwolenia przypada na czas, gdy Solidarność w Polsce jest w opałach i musiała zejść do podziemia. Fundusze na tajną aktywność i na przetrwanie są konieczne – mniej więcej w takim samym stopniu, jak obecnie uzbrojenie dla Ukrainy. Jednocześnie Amerykanie teologii wyzwolenia boją się jak ognia. Ameryka Łacińska to przecież ich przedproże, to ich sfera wpływów, jedna Kuba już wystarczy. Co będzie jeśli w kilku krajach regionu dojdzie do podobnego marksistowskiego przewrotu jak w Nikaragui? Czy poszczególne kraje – Honduras, Gwatemala, Salwador – zaczną coraz bardziej przechylać się na lewo i padną jak kolejne klocki domina? Ta wizja w Waszyngtonie – dziś trudna do uznania za bardzo prawdopodobną – w tamtym czasie, wielu spędzała sen z powiek. Kwestia funduszy dla Solidarności na pewno mogła stanowić silną zachętę do tego, by Watykan tym kłopotliwym z punktu widzenia Waszyngtonu tendencjom możliwie jak najsilniej się sprzeciwił.

Wlekły pisze:

„W maju 1984 roku papież spotyka się z prezydentem USA na Alasce, a Ronald Reagan chwali wkład Jana Pawła II w poszanowanie godności człowieka (…) . Carl Bernstein i Marco Politi po zbadaniu ujawnionych dokumentów przyznają, że wpływ tej dwójki na losy bloku komunistycznego były niebagatelne. Zauważają też, że na czas walki z komunizmem Watykan przestaje publicznie wyrażać krytykę wobec Stanów Zjednoczonych. Jan Paweł II poucza natomiast amerykańskich hierarchów, aby powstrzymali się od kontestowania polityki Reagana i dozbrajania USA. A jak podaje Paul Kengor, biograf amerykańskiego prezydenta, Wojtyła – po konsultacjach z Reaganem – ma spalić raport Watykańskiej Akademii Nauk krytykujący program amerykańskiej Inicjatywy Strategicznej, czyli tak zwanych gwiezdnych wojen."

6.

Ale to nie wszystko. Na podstawie wielu rozmów przeprowadzonych w Ameryce Południowej Wlekłemu udało się ustalić, iż niezrozumiała pobłażliwość Jana Pawła II w stosunku do meksykańskiego duchownego pedofila, twórcy słynnych Legionów Chrystusa – Marciala Maciela wynikała m.in. z tego, iż Maciel bardzo sprawnie potrafił gromadzić fundusze, które hojną ręka przekazywał do Watykanu. Stamtąd – jak twierdzą informatorzy autora – w sporej części trafiały do podziemnej Solidarności. I nie był to tylko odosobniony przypadek. Podobnie miało być z kolumbijskim biskupem Lopezem Trujillo. Ów biskup pedofil utrzymywał dobre relacje z kolumbijskimi kartelami narkotykowymi, w tym z samym Pablem Escobarem. Pochodzące stamtąd pieniądze, za pośrednictwem tego duchowego i Watykanu, także miały trafiać do walczącej w podziemiu Solidarności.

Książka Wlekłego to niewątpliwie wielce intrygujące uzupełnienie takich tytułów jak *Sodoma* Frederica Martella (którego Wlekły zresztą doskonale zna), czy *Maxima Culpa* Ekke Overbecka. Wyjaśnia wiele anomalii w działalności Watykanu za czasów JP II, które do tej pory zdawały się być niezrozumiałe, a przez to dla wielu uchodziły za nieprawdziwe.

Roman Warszewski

—

Mirosław Wlekły, *Nie nasz papież. Pontyfikat Jana Pawła II na świecie*, Filtry, Warszawa 2023

Jerzy Stasiewicz

Słowo o prozie Zbigniewa Niedźwieckiego Ravicza w kontekście relacji damsko-męskich

Aby zrozumieć fenomen prozatorski (powieści, opowiadania) Zbigniewa Niedźwieckiego Ravicza, sięgnąć trzeba do lektur i pisarzy jacy go ukształtowali. Tu bez wątpienia ogromny wpływ mieli przedstawiciele „złotych żniw" – przełom XIX – XX w. – polskiej beletrystyki: Sienkiewicz – powieść historyczna, Reymont – realizm, ale przede wszystkim Bolesław Prus z jego literaturą współczesną (*Lalka*) i nowelistyką pełną psychologii, szczegółów i humoru codzienności… dla nas już tamtych czasów. Ale Raviczowi doskonale znana jest literatura zachodu jak i klasycy rosyjscy. Na półkach jego biblioteki znajdują się filozofowie, przecież nie po to by zbierać kurz.

Debiutował (2004 r.) powieścią społeczno-obyczajową *Grzech przemilczenia*. Następnie spod jego pióra wyszedł zbiór satyrycznych opowiadań pt. *Przypadki małżeńskie*. Na kanwie własnej sztuki teatralnej o Daisy von Pless napisał w przeciągu kilku lat trzytomową powieść biograficzną *Daisy. Błękitna tożsamość*. W międzyczasie stworzył wiele przedstawień dla dzieci i młodzieży. Ja studiuję po raz kolejny *Scenki z życia we dwoje*, z dedykacją: „Violi i Jurkowi ! Zbyszek N. Ravicz, Łosiów 7.05.22 r." O której dr Alina Bernadetta Jagiełłowicz w posłowiu napisała „(…) drobiazgowo, wręcz z anatomiczną precyzją, pedantycznie, Zbigniew Niedźwiecki Ravicz bada psychikę w różnych stanach rozchybotania, rozhuśtania emocji, balansu uczuć. Rozbiera, niczym cebulkę z kolejnych warstw, dochodząc do samego jądra sprawy. I raczej pozostawia z tą wiedzą Czytelnika – nie potępia, ani też nie usprawiedliwia, nie zajmuje stanowiska w kwestiach spornych etycznie, nie opowiada się po stronie męskiej solidarności i szowinizmu, ani też nie jest przeciw niej. A do feministycznych ideałów odnosi się z równie podziwu godną neutralnością. Innymi słowy mówiąc, nie wdając się w moralne sądy i oceny i dystansując się „do" i „od", pozostawia Czytelnikowi białe pola do wypełnienia kolorami uczuć – to on winien być tutaj współkreatorem: dopowiedzieć to, co naprawdę piszczy w zakamarkach jego duszy, rozpoznać w scenkach własne emocje i dokonać wiwisekcji umysłu, by następnie móc przejść do następnego etapu w życiu, do transformacji na wyższym poziomie osobistego rozwoju. (…) bowiem chcemy zgłębić, jak faktycznie rzeczy się mają z człowiekiem, jaka jest jego natura w kwestiach damsko–męskich i nie tylko! W moim przekonaniu, nic bardziej nie przybliży nam problemu istoty tego, kim sami jesteśmy – czym powinniśmy być zainteresowani najbardziej – jak obraz ludzkiej psychiki uczciwie, z wielką wyrazistością i starannością namalowany. A właśnie taki jest ten niezwykły zbiór opowiadań.

Groteska, ironia, humor, karykatura, przerysowanie, parodia, pastisz, satyra, pamflet… i: unosząca się ponad nimi chmurka refleksji – tym wszystkim są *Scenki z życia we dwoje*. Autor w sobie właściwy sposób, posługując się często ostrym jak brzytwa, sięgającym głęboko, przenikliwym językiem (a nierzadko i neologizmami powołanymi przez Niego na użytek tego zbioru), zrywa wszelkie maski, kostiumy, przebrania. Pisze o pruderii, rozpuście, niepowściągliwości, nieumiarkowaniu, niepohamowaniu, zakłamaniu, obłudzie, załganiu, hipokryzji, dwulicowości, nieszczerości, zawiści etc.etc.etc. Obnaża nagą prawdę o człowieczym życiu, z jakim się stykamy i jakie często jest również naszym udziałem, choć nie lubimy się do tego przyznawać ani przed sobą, ani – tym bardziej - przed innymi". Stąd to wielkie zainteresowanie „poławiaczy twórczości" opowiadaniami Niedźwieckiego. Czytają w nich i rozważają nie tylko to, co Ravicz napisał, ale dlatego, że Ravicz to napisał!

Przy pracy – „Historia tego zbioru jest zawiła, wydaje mi się nawet, że bardziej, niż którejkolwiek z wcześniejszych moich książek" << Od autora>> - Ravicz miał: wielkomiejskie, małomiasteczkowe, sanatoryjno-kudowsko-polanickie realia pod ręką. Studiował je żyjąc tu i ówdzie. Objazdowe stoisko z książkami, wielokrotnie spotykałem pisarza – w czas własnych wojaży – sprzedającego swe książki, schodzące jak świeże bułeczki. Płeć piękna po dedykację parła na autora, twardą, dużą piersią… aż się bałem, że go zadepcze. A to przecież nie ułomek. Nierzadkie spotkania autorskie w pijalniach wód leczniczych, domach kultury, saloniku literackim „Różanego dworu" pełnego oryginałów i niekończącego się monologu właścicielki. – To dopiero materiał na powieść rzekę… z wodospadem... i częste wylewy. Jak już wielokrotnie pisałem – dla wtajemniczonych – od pół wieku …osiemnastolatka! Nocując w drogich pensjonatach, przygodnych hotelach, bursach, izbach „cichego" snu. Gdzie jego oczy widziały nie jedno, słyszał opowieści zapierające dech w piersiach, wręcz nieprawdopodobne, a prawdziwe. Sam wiele przeżył, lecz Afrodyta jest dyskretna. Uczestniczył kiedyś w mojej „Bitwie w tle", ma się rozumieć jako gość honorowy. Obserwując zmagania wrogich stron rzekł: - Markietanki muszą mieć ogień w sobie, inaczej wiarusowi muszkiet by nie wypalił.

Zbigniew Niedźwiecki Ravicz w powieściach, opowiadaniach, dramatach daje rozległe malowidła, portrety, szkice albo humorystyczne trawesty większości niemal środowisk ludzkich. Od wiktoriańskiego dworu pełnego arystokratów, mężów stanu, władców po hinduskich niewolników i współczesnych nędzarzy intelektualnych z dużym kontem bankowym, chciwością na życie. Na kartach książek przewijają się ludzie „wolni" mieszkańcy piwnic, studzienek ciepłowniczych, zaczytani – dziesiątki tomów – w literaturze pozostawionej przy zsypach. Konsumujący wiktuały z kubłów na odpadki. Patrzący w niebo – o dziwo - radośnie.

Niedźwiecki stworzył imponującą galerię typów o najrozmaitszych losach i charakterach. Typów pełnych zawsze tej przekonywującej prawdy, która budzi zazdrość piszących i podziw czytelnika:

„jak ten Ravicz zna życie i ludzi". Rozmawiając z nim wielokrotnie – przy szklaneczce dobrego trunku – czułem z snutych opowieści, że Zbyszek nie jest biernym/oddalonym narratorem. On znajduje się „we mgle" centrum wydarzeń. Dba, aby linia jego opisu wiodła dokładnie poprzez „fakty" dobrze mu znane – powiedzmy punkty trasy. A krzywa prawdopodobieństwa – kreślona przez pisarza – przecinała wszystkie okoliczności i zdarzenia. Podkreślał, miejscem, wokół którego zaczyna się krystalizować i rozwijać kompozycja utworu jest własne przeżycie, zasłyszana opowieść, niecodzienne publiczne wydarzenie, przypadkowy drobiazg. Albo jak u Prusa opis procesu o lalkę w Brnie Morawskim na łamach „Gazety Polskiej" w 1887 r. Dodam z własnego, bibliofilskiego doświadczenia, że tym co zdobywa czytelnika najbardziej jest uczuciowość ludzkich przeżyć. – Ravicz jest tu mistrzem. W szerokim wachlarzu mieści płomień ekscytacji w ludziach i historiach fascynujących wyobraźnię i serce czytelnika. Zaczyn naszych – tak myślę – pierwszych sądów moralnych. Zadumy – jak żyć? „Osiąga się ten efekt – rzecz prosta i dawno wiadoma (potwierdza Maria Dąbrowska) – przez umiejętność stwarzania postaci bezwarunkowo żywych, prawdziwych psychologicznie i w słowach, i w myślach, i w uczynkach".

Nie jest łatwo odnieść się u Zbyszka Niedźwieckiego Ravicza do jednego utworu, Musi być brany pod uwagę cały jego dotychczasowy dorobek literacki. Ściśle ze sobą powiązany w warstwie społeczno–obyczajowej mimo czasem „satyrycznego" bądź historycznego kostiumu. Tak czuję. Niech poparciem mojej tezy będą słowa autorki *Nocy i dni*: „Wielkim pisarzem zostaje się d l a t e g o, że ma się zdolność dobywania typowych, istotnych i artystycznie wartościowych tematów z j a k i e g o k o l w i e k szczegółu rzeczywistości, który przejdzie przez oczy, uszy czy osobiste doświadczenie życia".

Jerzy Stasiewicz

Jerzy Stasiewicz

Dotykanie deszczu przemijania w poezji Anny Czachorowskiej

Przeglądam tom poezji *Posłaniec nadziei* księdza Jana Twardowskiego i wspomina mi się Anna Czachorowska. Gdzież to ja ją poznałem? Gdzie?... Muszę sięgnąć do Dziennika. No tak, Bielawa (10 listopada 2016 r.) XI Noc Poetów, organizowana przez pieśniarkę Barbarę Pachurę i jej klub; „Pozytywka". Siedzieliśmy w ogromnym holu galerii handlowej, ze schodami pełnymi ściśniętej na stopniach publiczności. I otwartym przejściem do nastrojowej kawiarenki. Zajmowała stolik naprzeciwko nas z Opolszczyzny. Miła, skromna, nie przenosząca na siebie uwagi otoczenia. Przedstawiła nas Basia. To już trzecia wizyta Anny Czachorowskiej w „powojennym Izraelu".

6 grudnia 2009 r. gościła ją Miejska Biblioteka Publiczna wraz z Krystyną Czubówną czytającą jej wiersze i piosenkarką Grażyną Matkowską. 2011 r. kolejny pobyt barwiony melodią Matkowskiej. Na Nocy Poetów była gościem honorowym (gwiazdą wieczoru) co dobitnie potwierdziły prezentowane – w dłuższym wymiarze czasowym – teksty. Po głośnej owacji przeczytała jeszcze dwa. Pozwalając słowu osiąść w naszej pamięci! Dla mnie po dziś dzień.

Sięgnijmy do biografii: absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział Historyczny) i studiów podyplomowych na UKSW (Zarządzanie Kulturą). Mieszkanka Legionowa (ponoć już jedną nogą w stolicy). Członek Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Promocji Polskiej Twórczości i Movimieto Poetas del Mundo. Opublikowała tomy wierszy: *Byłam różą Twojej zimy* (Warszawa,1993), *Dotykanie szczęścia* (Legionowo,1995), *To miłość do drzwi zapukała*

(Warszawa,2001), *Zanim słońce zejdzie zboczem* (Waraszawa,2004), *17 Ljóð (*w języku islandzkim,2006),*W poczekalni snów* (wraz z płytą CD; wiersze w wykonaniu aktorki Anny Dymnej, Warszawa, 2011, w 2017 doczekał się wydania polsko-angielskiego), *Z rozpostartym skrzydłem* (wydanie polsko-angielsko-hiszpańskie, NightinGale,2019).

Wiersze Anny Czachorowskiej prezentowane były w prasie literackiej (m.in. Akant, Poezja dzisiaj, LiryDram – jest twarzą 9. Numeru), na antenach Radia (polskiego, kanadyjskiego, australijskiego) i TVP. W licznych antologiach (Rozmowa pokoleń, Metafora Współczesności, Krople z parasola, Matka, Ojciec, a nawet Poezji Mrocznej – poeci XX wieku w wyborze Andrieja Bazylewskiego). Współpracowała z hiszpańskim magazynem literackim AZAHAR (w 25 numerach).

Tłumaczone na języki: rosyjski, angielski, hiszpański, bułgarski, rumuński, białoruski, słowacki, serbski, włoski, grecki, telugu (południowo-wschodnie Indie, ponad 90 mln obywateli, objęty statusem języka urzędowego) oraz cały tomik w języku islandzkim (17 Ljóð). W 2016 i 17 jej wiersze i biogram znalazły się w Antologii poetów świata, w edycji Una Antologia Anual de Poetas del Mundo. A w latach 2018-21 w Antologiach, pokłosiu Festiwali Poetyckich w Rosji, Bułgarii, Rumunii, Serbii, Słowacji, Indiach.

W roku 2009 na Wydziale Polonistyki Akademii Humanistycznej im. A. Geysztora została obroniona praca magisterska napisana przez Magdalenę Suwińską pt. „Życie, twórczość i działalność kulturalna Anny Czachorowskiej". Wielokrotnie nagradzana i odznaczana m.in. Odznaką Honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej, Brązowym Medalem Gloria Artis, Srebrnym Pierścieniem z Orłem, Medalem im. Barbary Jurkowskiej-Nawrockiej oGródek PoEzji, Medalem Zasłużony dla Gminy Jabłonna, Odznaką Honorową Związku Literatów Polskich.

Edytorka poezji ks. Jana Twardowskiego. W jej wyborze i z jej słowem wstępnym ukazały się dwa tomiki wierszy tego przyjaciela; biedronek, mrówek, spraw codziennych, zdającego relacje często Matce Bożej: *Poeta wiary, nadziei i miłości* oraz *33 wiersze*. Oba tomy zakupiłem przypadkiem pod nyskimi arkadami za przysłowiową złotówkę. Ile warte są słowa wybitnego poety w sutannie, wie tylko wytrawny czytelnik.

Niedługo potem będąc w Warszawie zaszedłem specjalnie do Świątyni Opatrzności Bożej. Wiedziałem, że w katakumbach jako pierwszego pochowano zmarłego w 2006 roku księdza Jana – zgodnie z decyzją prymasa Józefa Glempa – wbrew ostatniej woli poety, który chciał spocząć na warszawskich Powązkach. Stojąc przed kryptą - niemal na baczność – stłumionym głosem powiedziałem/może wyrecytowałem, znając jego przeżycia wojenne swój wiersz „Niewielu poetów / urodziło się w pociągu // A ci urodzeni przedwcześnie / w straszliwym ścisku / zadeptani / nie zdążyli zapisać kilku słów / na pakowym papierze // Jeszcze inni / urodzeni w bydlęcym wagonie / wyrzuceni w biegu w śnieg Kołymy / kreślą liryki sopelkami lodu // Zawodzące matki / ogłuszone kolbami / po ocknięciu szukały śmierci // Poeci podróżujący w łonie matki / spopieleni w krematorium / Oświęcimia / Ich wiersze - - białe obłoki chmur / przesuwające się wzdłuż torów". Chyba w tej pozycji zamarłem na dłuższą chwilę. Wydawało mi się… że serce z czerwonych paciorków zbliża się w moją stronę. A świadomość wypełniła strachem: „Nie bądź pewny że czas masz bo pewność niepewna".

Zrozumiałem wtedy wielkie szczęście (łaska) jakiego doznała Anna Czachorowska obcując ze „świętym lirnikiem" – z kościoła Sióstr Wizytek – odkrywającego w swym słowie na nowo tajemnicę miłości. Jej siłę i moc trwania mimo przeciwności/ułomności: ciała, ducha?, woli. Stąd w podziękowaniu może bardziej w hołdzie wiersz:

Księdzu Janowi Twardowskiemu

Nie proszę
o więcej
niż mogę
O jedno słowo
lub trzy

I ten kawałek
Nieba
ukryty w Hostii
gdy drży

Pragnę Go ogrzać
swym sercem
wśród ciszy
Jedynej Nocy

Bez obaw
wypłynę na głębię

Będę z Chrystusem
Kroczyć

Ale i wielki poeta jest pod wrażeniem tomów: *Byłam różą Twojej zimy*, *Dotykanie szczęścia* i „o wierszach Anny Czachorowskiej" pisze tak: „Jest w nich żar uczucia, zwątpienie, / nadzieja, radość i smutek – cierpienie i / szczęście zakochanych. //(…)// Żeby jednak przyłapać choć na chwilę / to szczęście, trzeba chodzić po niebie / i po piekle. //(…)// przypominają znane piosenki, które / się umie na pamięć, ale stale ich brak".

Dla mnie poezja Anny Czachorowskiej głęboko osadzona jest w człowieku. Poprzez człowieka przemawia człowieczeństwem - co rzadkie u ludzi?! I z człowieka emanuje trwaniem. Tym spoiwem pokoleniowym łączącym ludzkie wczoraj i ludzkie dziś. Człowiek jako **słowo** – topos prawdy – jest pierwszą i najważniejszą z cząstek kosmosu, posiadającą fundament bytu w konkretnej semantycznej przestrzeni. Ukorzenienie sięgające źródła (mimo holokaustu, rzezi Ormian, palenia książek, zsyłania poetów do kolonii karnych, ideologii). Jest powiewem wiosny, oczekiwaniem na życiodajność w przestworzu filozoficznym niosącym słowo natchnione, nasycone chwilą „Dotykam deszcz, co rodzi grzech / proszę o deszcz, co gładzi grzech / Gdy bierzesz mnie na trzeci brzeg / Milknie wtedy śpiew". ….. Dookolna cisza…, słychać tylko bicie własnego serca „Ja wiem / idzie na deszcz…" **Woda** – najszlachetniejsza z żywiołów. Według teorii filozofa jońskiego Talesa z Miletu wszystko powstało z wody i składa się z wody – uzasadnił obserwacją – co żywe, żyje wilgocią, martwe schnie, woda zatem jest życiodajna. Miała dla starożytnych, podobnie jak ogień zasadnicze znaczenie we wszystkich ceremoniach oczyszczania. Zmywała brud i grzech (tu dla wielu przydałaby się woda gregoriańska z domieszką wina, soli i popiołu), oczyszczała stykających się ze śmiercią, ze zmarłymi. Najczystszą była źródlana i morska. Ale przecież w kreacji mitycznej poetka odnosi się także do: wody letejskiej (Lete rzeka Zapomnienia w Hadesie; wystarczył łyk z jej nurtu, dusza zmarłego traciła pamięć o swoim życiu na Ziemi). Wody anielskiej (destylat liści i jagód mirtu). Tu wspomnieć trzeba – z legend i baśni – o wodzie cudownej (odmładzającej, żywiącej, żywej, gojącej), przywracała zdrowie, młodość, urodę, życie. Skosztował bym łyk, nawet dwa i na zapas wziął do domu antałek. Poczęstował… jednak nie. Wody Tafony (trucizna bez barwy i zapachu, sprzedawana przez notoryczną trucicielkę włoską w XVI wieku, Tafonę. Przyznała się do otrucia przeszło sześciuset osób. Ciekawe ilu w tym gronie było mężczyzn (kochanków)? Wody ucisku (chleb utrapienia, sięgnij czytelniku: Biblia). Wody zazdrości – jakie to aktualne zawsze – (tu sąd boży, ordalia, odwołanie się do instancji wyższej niż ziemska, do bogów, Boga, sił nadprzyrodzonych, oparty na mniemaniu, że bóstwo chroni niewinnego i przyczyni się do wykrycia sprawcy). Skóra mi cierpnie na próby zimnej i gorącej wody?! A niejeden mąż poddał by żonę próbie czystości (jedyny sąd boży, o którym wspomina Pismo Święte, Numeri, 5, 11-31). Przypomnę niewiernym paniom. „Bóg nakazuje, aby żonę podejrzaną o cudzołóstwo przyprowadzić do kapłana, który po odpowiednich ceremoniach da pić niewieście wodę zazdrości, wodę bardzo gorzką zmieszaną z pyłem posadzki tabernakulum. Jeśli jest winna, łono jej wygnije, jeśli niewinna zostanie zdrowa i dziatki mieć będzie".[1] Dodam jeszcze wodę życia, tak ładnie brzmiącą z francuska *eau de vie*. To woda ognista, którą pijał Sienkiewicz z Indianami, mnie jak wielu rodakom bliższe wódka, winiak, samogon niekoniecznie w małych ilościach.

Jednolita wartość literacka poezji Anny Czachorowskiej, gruntownie przemyślanej, zaprawionej solą doświadczenia wyrasta z percepcji wiary w człowieka o czym pisałem. Do tego dochodzi wątek duchowości – tu czuję/widzę skrzydło anielskie (Anioł Stróż) ks. Jana Twardowskiego. I strach przed Demeter – porwanie Kory (Persefony) przez Hadesa, tak popularne porwania wybranek (dziewic?) wśród Słowian w czas nocy świętojańskiej, literacko utrwalone w *Starej baśni* Józefa Kraszewskiego – boginią płodności, rolnictwa, zwłaszcza zboża. Zagniewaną opuszczającą Olimp. Ziemia staje się jałowa i bezpłodna. Poetce nie chodzi tylko o chleb, ale i jałowość mentalną i intelektualną, którą widzi w szerokich kręgach społeczeństwa „zagubieni na pustyni wielkich miast". Jako wieloletnia dyrektor biblioteki w Jabłonnej przeżyła na własnej (bibliotecznej) skórze lawinowy spadek czytelnictwa. O zgrozo trend światowy „poszukują na ziemi swojego miejsca". Stara się temu przeciwstawić, - „z przyłożonym uchem do ściany" - wyselekcjonowanymi utworami arkusza płyty jubileuszowej *Dotykam deszcz*. Do której muzykę skomponowali: Andrzej Rybiński, Remi Juśkiewicz, Zenon Durka, Izabella Konar. Wysłuchałem ją wielokrotnie stąd synteza: jasny i niczym nie zmącony obraz człowieka pełnego wartości kultury śródziemnomorskiej przesiąkniętej mitologiami: grecką i słowiańską, ale osadzonej twardo w polskiej tradycji narodowej. Niech potwierdzeniem będą słowa Simone Weil „Niewola to praca bez światła wiecznego, bez poezji, bez religii".[2]

Jerzy Stasiewicz

[1] *Słownik mitów i tradycji kultury* Władysław Kopaliński, PIW 1985

[2] *Myśli*, s. 64.

Jerzy Stasiewicz

Indywidualny/Rozpoznawalny głos poezji Renaty Cygan w globalnym zalewie „wierszy".

Księżyc ma ten styl pracy,
no – że wschodzi i świeci.
Lecz poeci są tacy.

Ech, poeci, poeci.
Konstanty I. Gałczyński

„Piórko zwiewnie mdłą mgławicą / szasta czcią szerokopienną / od zawietrznej zdobycz licząc / rozcapierza chuć codzienną / zawijaśny czarciszuja / mszawy mysior–fitulitek / rozbestwiony rozhulaszczo / na pożytek". – Jeśli zdolnością (wiarą) poezjowania przyjąć uporządkowane, konkretne cechy charakteru (talentu – dziecięcego modelu wszechświata – określenie Borysa Pasternaka) to mamy tutaj szacunek świętej ulotności i olśnienia w tzw. szarym: dniu, tygodniu, miesiącu, roku – całym życiu człowieka. Z jego zdolnością oglądu pojmowania rzeczywistości, pełni trwania, egzystencji, mitycznego i mitologicznego osadzenia. Nieprzypadkowo kroję tutaj czas – oczywiście 4500 lat po Chińczykach – określający kolejność wypadków i jego odstępy. Bo **Czas**: święty/najważniejszy dar Boga (miara zmiany; następstwo zdarzeń; forma bytu materii) jest nam **powierzony** w ilości tajemnicy życia i z przestrzenią ramuje nasze myślenie. Stąd zacytowałem fragment wiersza tokiem ciągłym – nie w porządku wersów – chcąc wydobyć ich „idiom satyryczno-konwersacyjny", który jest zwierciadłem aforyzmu. Bo stykamy się z liryką niepoślednią. W sukurs przychodzi posłowie tomu *Piórkozwiewnie* autorstwa Juliusza Wątroby „ już po przeczytaniu kilku strof wiedziałem, z całą pewnością, że mam do czynienia z czymś wyjątkowym, zjawiskowym, niepowtarzalnym, z oryginalną poezją, o co tak trudno w czasach, gdy osobowości – nie tylko literackich – jak na lekarstwo (…) można pisać – wyjątkowo, po swojemu i tak oryginalnie, (…) Zdumiewająca sprawność warsztatowa, błyskotliwość skojarzeń, żonglerka i zabawa słowem, niemal barokowe metafory, zaskakujące pointy… Autorka bawi się (i nas) neologizmami, nowymi znaczeniami słów, z których buduje przepiękne pałace wierszy, w których kultura literacka, dobry smak, wyczucie i przeczucie tego, co najwłaściwsze, splatają się w jedno. (…) także ze zwyczajnych słów i banalnych zdarzeń wyczarowuje nowe piękne światy, światy rodzące się także w naszej wyobraźni – poza słowami…(…) posiada jakiś rzadko spotykany dar, pierwotny instynkt, „wilczy apetyt" na poezjowanie, i tą konsekwentną wierność sobie poczętą z niewiary we własną doskonałość; i tę pewność wynikającą z niepewności o ostateczny kształt dobrego słowa. (…) pisana niezwykłą wrażliwością, niesamowitą wyobraźnią, a także dobrym smakiem, umiarem i taktem. Lekkość, z jaką pisane są te wiersze, zdumiewa: zda się, że te urokliwe wiersze unoszą nas jak beztroskie chmurki na rozsłonecznionym błękicie nieba; że są jak bita śmietana na przepysznym deserze; jak pianka na aromatycznej kawie…, jak wyśnione chwile godne zatrzymania na dłużej w czasie i w sercu…

Wiersze Renaty Cygan, poza wymienionymi walorami, posiadają jeszcze jedną, wymykającą się racjonalnym osądom, cechę: niosą pozytywną energię, optymizm i wiarę we wszystko, co dobre. (…) Poetka udowadnia tą oczywistą (choć, niestety, nie dla wszystkich) prawdę, że o wartości wierszy nie decyduje forma, ani nawet treść, a jedynie i wyłącznie talent autora – z którym przychodzi się na świat, którego nie można wypracować, wyżebrać, kupić, załatwić… A dany jest niewielu. Renata Cygan należy do tych wybrańców, których los tak hojnie obdarował, również ku naszej radości – boć z nami się dzieli tym, co w niej najpiękniejsze…"

A kimże jest owa Renata Cygan? Poeta, fotograf, grafik komputerowy, tłumacz. Urodzona w Kutnie 1968 r. Od 1992 roku mieszka w Wielkiej Brytanii. Pracuje w mediach (nie o gaz, wodociągi i kanalizacje tutaj chodzi). Opublikowała tomy wierszy: *Kolorowa* (Londyn 2014), *Piórkozwiewnie* (Londyn 2016), *Trzy księżyce* (Londyn 2016), *Bywam trubadurem* (Londyn 2017), wydanie grupy artystycznej KaMPe przy Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Tłumaczona na języki: angielski, bułgarski, rosyjski, białoruski. Projektantka okładek, ilustratorka książek. Założycielka wraz z Jarosławem Prusińskim i redaktor naczelna niezależnego kwartalnika literacko-artystycznego „PostScriptum" (wersja online i papierowa), przybliżającego zagadnienia sztuki i literatury w jak najszerszym aspekcie. – Arystotelesowska triada: prawda, dobro, piękno. - Kontynuującego znakomite tradycje polskich pism emigracyjnych. Otwartego na autorów krajowych i rozsianych po świecie, nie tylko polskich. Miałem i ja zaszczyt w nim drukować!

Z Renatą Cygan spotkałem się po raz pierwszy w Bielsku Białej w 2020 roku (8 edycja FPS Czechowice-Dziedzice). Już – jak wynikało z rozmowy- na stałe osiadłą i zakotwiczoną w Londynie. Pewną siebie i stabilną materialnie obywatelkę Zjednoczonego Królestwa. Ale?... liryk „Rozstanie" - szkoda, że niedatowany - przemawiający wnętrzem poetki wybrzmiewa:

Wiatr niesie na falach wzburzone firany
ja zrastam się z krzesłem
powietrze drży słone
zanurzam się w żalach za chwilę utonę
a woda zielona a oczy zmęczone
i nie ma balsamu na rany

Obca ziemia, obca kultura, obcy język – choć doskonale znany. Nie jest w stanie ulżyć/pocieszyć w rozdarciu. Do głosu dochodzi mitologia miejsca urodzenia, ziemia przodków, chrześcijańskie (katolickie) wychowanie. Przeciw temu bólowi rodzi się poezja, niezgoda na „martwiejącą codzienność" tak znaną: Norwidowi, Lechoniowi, Miłoszowi. Herni Bergson mówił: „… jesteśmy wolni, kiedy nasze czyny wypływają z całej naszej osobowości, kiedy ją wyrażają, kiedy mają z nią nieuchwytne podobieństwo, jakie niekiedy istnieje między artystą a jego dziełem".

Poetka jakby wyrosła z pnia liryki Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Przywraca wartość i znaczenie słów w filozoficznej świadomości wiedzy. Towarzyszy jej literackie wyczucie – dar wrodzony - tegoż **słowa** z całym jego ukrytym sensem i wieloznaczeniowością. Nie jest „splamiona" zachodnią popkulturą. Co często widzimy u emigracyjnych/podróżnych wierszopisów. To poezja wprost z górskiego potoku liryki, w którym Euterpe myła włosy przed zaślubinami Tetydy i Peleusa.

Na zakończenie kilka perełek z różnych utworów i tomów:

czy da się zamówić na wynos
mężczyznę co życie osłodzi?
co wita z radosną cię miną
nie zbeszta
nie zdradzi
nie spłodzi?

Ja to lubię gdy się facet o mnie stara
jak przykłada się to wiem że gra gitara
jak poruszy trochę głową
to być może odlotowo
egzystencja tęczą wzbiera i mniej szara

Los impertynent przykucnął w chaszczach
i mnie nabija w butelkę
zamiast (jak trzeba) tulić i głaskać
ostrzy w tych chaszczach siekierkę

zaplątana w sobie przekopuję dale
brnę w dzikie ogrody w pędzie do pieniędzy
lecz resztką sił wątłych wciąż
walczę by znaleźć
w jednym oku słońce
w drogim oku księżyc

źrenice wpatrzone w źrenice nad stołem
a płomień pełgając maluje w nich błysk
aż wiersze się piszą tryskając humorem
wiatr niesie wersety znad stawów i rżysk

Jerzy Stasiewicz

Jerzy Stasiewicz

Kieł duszy w skrzydłach motyla „co chcesz wszystko każde."

Po skończonej lekturze *Wiosennieję. Znów pierwszy raz* (FONT2023) Lucyny Zofii Brzozowskiej mam nieodparte wrażenie sytości – „zaspokojenia wnętrza". – Ale i zawieszenia **nad**… popiołem liter. Objawiającego się przynajmniej u mnie: „w oddechu / między ciałem a myślą / integracja" ku Wszystkiemu.

Trudno być poetką – w czasach konsumpcjonizmu, ryku mediów – bliską czytelnikowi przez porozumienie wewnętrzne, wspomnienie przeszłości, uczynek, gest. Tu **zawieszeniem** jest istnienie na zewnątrz zaciśnięte na mitycznym porządku świata. Siedzibie Boga: „Pan na niebie postawił stolicę swoją" (Psalm 102). I tam po śmierci udaje się człowiek **jako wiatr** niosący głos pradawnego rogu w przestrzeni:

Jest przecież inna droga dzieci
gwiazd z grzechotką
i lisem Jego kitę trzyma w dłoni
dziewczynka Czasem
przebiegnie wilk ten sam biały syberyjski
którego dotyk sierści i każdy
krok w rytmie bębna jakby
wczoraj jakby jutro teraz Każde
z nas śpiewa i jest
w tym śpiewie dojrzałość urośliśmy pomiędzy
kolejnymi pieśniami by spojrzeć
sobie w oczy i zobaczyć
ciebie w sobie Nas Prawdę

Poetka wie – wyczuwa – w trenie XIX do Jana z Czarnolasu przychodzi matka z Urszulką na ręku. Oznajmia synowi „Urszuleczka żywie" w niebie przepełniona miłością. Kochanowski – jak każdy przetrącony ojciec – znajduje odpowiedź na pytanie zadane Bogu w gniewie (tren X)

„Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest. …" Nabiera pewności – śmierć rozpoczyna nowy, pozaziemski wymiar egzystencji.

Wiara… Umocowanie Brzozowskiej w nurcie Zen pełnego minimalizmu i zamierzonych paradoksów (skupienie się na tu i teraz) to płożący dym kartofliska; okadzający wygnanych; co zapomnieli mowy ziemi i tych co oddają pokłon rozłożystym drzewom. Wtulonych w korę, kropiących czoło sokiem złamanego konara. Wyplatających wieńce z liści – tradycja nocy świętojańskiej, kult jesionu; sadzonego wokół kościołów; wierzono, że odstrasza węże; palony chroni przed zarazą – na przekór nieuchwytnej osi filozofii w dzień co szuka jutra w świetle światła:

Na wyciągniętej dłoni leży diament łza
krzem albo krzemień Trochę
krwi trochę celulozy
Sokrates miał ciekawsze zagadki dla niego
wystarczyło odrobinę więcej niż Mnie
dziś bliższy Epikur a i tak
jestem podobna do kocich kłębków

Poetka przygotowuje się – stan łaski? – godnie przyjąć swe posłannictwo „czucia" człowieka w słowie „(…) dotyk skrzydeł motyla / i orła / anioła / biedronki // Przyjmuję kieł wilka i wąs lisa / kolację przy świecach i śniadanie / Moneta Chagalla kochanków / (…) / nas nasze twarze ręce / nasze oczy i brzuchy co chcesz / wszystko / każde". Ukierunkowuje bodźce, mistyczne przesłania wędrówki. Bierze „na siebie" naszą (ludzką) peregrynację życia, peregrynację w podziemny świat. W przestrzeń Dnia, Nocy, Śmierci przędąc fresk Rzeczywistości w zamyśleniu. Może i w nieogarniętych przez zmysły wszystkich możliwych do ogarnięcia aspektach. Po wykonaniu swej misji doprowadzenia wyznawców (czytelników) do źródła prawdy. Nie zawraca jednak w kierunku Arkadii (u Brzozowskiej rozdwojenie). Przysiada – duch muzyka (obszary sensualnych odniesień) – w ciszę medytacji opadającej fali burzliwego przypływu. Mytej skały. Dosięga jakiegoś „krańca". Gdzie… „Ogień będzie znów gotowy", „otwiera się polana", „Ktoś przechodzi drugim brzegiem", „z oczu płyną łzy". … „Chciałabym odejść".

Jerzy Stasiewicz

Lucyna Brzozowska Wiosennieję. Znów pierwszy raz FONT Poznań 2023 s.68.

Ewa Bogucka-Pudlis

Mateusz Wabik

Polski romantyzm a doświadczenie z hipnozą i stworzenie „bezdusznej masy"

Maria Janion niegdyś w obszernym haśle „Romantyzm" w przewodniku encyklopedycznym „Literatura Polska" pisała: „Polski romantyzm jest wśród romantyzmów europejskich jednym z najoryginalniejszych. Utrata niepodległości, najważniejsze wydarzenie w dziejach nowożytnej świadomości polskiej, zdecydowało o uformowaniu się całkiem odmiennych od dotychczasowych pojęć o narodzie i jednostce, społeczeństwie i państwie, a także przeznaczeniu i funkcjach kultury, przede wszystkim literatury. (…) Młodzi romantycy, przeświadczeni o sile ducha jako decydującego motoru przemian (…) traktowali sprzeciw, jako obowiązek młodości, a jedyny środek odzyskania w pełni niezależnego bytu narodowego widzieli w sile buntu i czynu zbrojnego. Tworzenie w tym celu spiski patriotyczne „sprzysiężenia młodzieńców", stanowiły naturalną niejako kuźnię romantycznych idei". Przez rozbiory i upadki kolejnych powstań głównymi tematami polskiego romantyzmu stały się sprawy narodowowyzwoleńcze, badanie historii podług różnych historiozofii i poglądów filozoficznych, żeby zrozumieć dlaczego Polskę spotkał taki a nie inny los pod koniec XVIII wieku kiedy zniknęła jako państwo z map Europy. Wpływ na polską literaturę miała filozofia Hegla, dzieła Waltera Scotta twórcy powieści historycznej, w której pojawiały się obok faktów historycznych, zdarzenia fantastyczne, nierzadko wypływające z mitów, podań i legend. Także na polskich romantyków wywarła wpływ twórczość George'a G. Byrona, twórcy poematów i powieści poetyckich, w których pojawiali się bohaterowie indywidualiści o silnej osobowości, zbuntowani wobec świata, norm i zakazów, osamotnieni i spętani tajemnicą. Także oddziaływały „Pieśni Osjana" Jamesa Macphersona, zbiór tekstów stylizowanych na przypadkowo znaleziony autentyczny zestaw przekazów z dawnych wieków. „Stara baśń" Józefa Ignacego Kraszewskiego nawiązywała zarówno do powieści historycznej Waltera Scotta i „Pieśni Osjana", opierając się na podaniach i legendach z kronik średniowiecznych dotyczących początków Polski autor ukazał historię walki Słowian z okrutnym księciem Popielem, skoligaconym z nieprzyjacielskimi Niemcami. Wątki walki o niepodległość pojawiały się m.in. w „Kordianie" Juliusza Słowackiego, „Dziadach" i „Panu Tadeuszu" Adama Mickiewicza. W epoce pojawiały się nowe gatunki literackie, np. w Polsce pisano gawędy szlacheckie, które wypełniały „Pamiątki Soplicy" Henryka Rzewuskiego, o rozmaitych sprawach związanych z Rzeczpospolitą Obojga Narodów jak procesy sądowe pomiędzy zwaśnionymi szlachcicami, obyczajach Siczy Zaporoskiej. Do bohaterów bajronicznych można zaliczyć Jana Bieleckiego z powieści poetyckiej „Jan Bielecki" Juliusza Słowackiego, księdza Robaka z „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza.

Dużą rolę w dziełach romantycznych odgrywała fantastyka. Ale te motywy były różnorodne i niejednego pochodzenia. Po pierwsze w dziełach romantycznych pojawiały się odwołania do mitów, wierzeń ludowych, „Biblii" jak np. w scenie „Przygotowania" w „Kordianie", o której zarówno autor jak i czytelnik wiedzieli, że była nieprawdopodobna, ale wyjaśniała niepowodzenie powstania listopadowego podług historiozofii nawiązującej do „Biblii", że w niepowodzeniu i klęskach narodu polskiego miały udział siły szatańskie. Gdzieś w Karpatach Szatan oraz czarownice przygotowywali w kotle m.in. nieudolnych dowódców powstania listopadowego. O narratorach ballad w „Balladach i romansach" Adama Mickiewicza – dzieła rozpoczynającego polski romantyzm Alina Witkowska w „Literaturze romantyzmu" pisała, że „zachowują się jak zdroworozsądkowcy, którzy mają trudności nawet w klasyfikacji fenomenów nadprzyrodzonych i którzy nie wątpią, że słuchacze ich narracji są również sceptykami". Lektura „Prelekcji paryskich" i „Wykładów lozańskich" nie poświadczała w żadnym calu, że profesor Mickiewicz przyjął punkt widzenia okultysty, czy mesmerysty, nie negował nauki przyrodniczej. Położył podwaliny pod badania słowiańszczyzny, porównywał literatury narodów słowiańskich, badał pierwotne wierzenia Słowian, mówił o historii Polski i Rosji. W Lozannie nawet wykładał literaturę i fragmenty historii Cesarstwa Rzymskiego skupiając się na jego upadku. Często fantastyka ludowa w polskich dziełach romantycznych miała charakter estetyczny, a nie światopoglądowy.

Jednakże w dziełach romantycznych Adama Mickiewicza i niekiedy innych romantyków pojawiała się innego typu sprawy fantastyczne, albo zjawiska nadprzyrodzone co opierało się na przekonaniach i wierze w posłannictwo Koła Sprawy Bożej, którego uczestnicy byli przekonani, że życie w czystości i naśladowanie Chrystusa przez Polaków, mogło doprowadzić nie tylko do zmartwychwstania Polski, ale odrodzenia moralnego całego świata. W książce „Dziennik Sprawy Bożej" Seweryna Goszczyńskiego uczestnika spotkań Koła Sprawy Bożej znaleźć można było dziennikowe zapisy z życia sekty, notatki z mszy, spotkań, fragmenty przytoczonych rozmów, poleceń jakie innym dawał Adam Mickiewicz, ale też np. opisy zdarzeń nadprzyrodzonych jak np. notatka z 6-ego maja 1855 o zdarzeniu, którego świadkiem miała być córka Andrzeja Towiańskiego, Rachela, która z ust posągu Maryi w jednym z francuskich kościołów miała słyszeć „Francja może być jeszcze zbawiona, ale powinna zmienić swoją drogę". W dzienniku Goszczyńskiego można znaleźć zapiski o doktrynie i te charakteryzujące sektę, np. pod datą 27 grudnia 1842 roku pisał: „jesteśmy nowym Kościołem, niejako trzecim piętrem Kościoła, którego pierwszym piętrem była synagoga żydowska, drugi – dotychczasowy rzymski. (…) W nowym zakonie Bóg daje rozkazy nie dla ciała, ale dla ducha, tylko pracą ducha można go pojąć i spełnić." Niekiedy autor zapisywał też sny, np. w których walczył ze złymi duchami. Widzenie księdza Piotra z III części „Dziadów", z którego wynikało, że Polska miała stać się mesjaszem narodów wiązało się z tym drugim charakterem opisów fantastycznych związanych ze zjawiskami nadprzyrodzonymi.

Można natrafić w epoce romantycznej na dzieła takie jak opowiadania Edgara Allana Poe'go wydawane często w Polsce pt. „Opowieści niesamowite" i powieść „Frankenstein" Mary Wollstonecraft Shelley, które nie oddziaływały na polski romantyzm, a pewne ich cechy znacznie różniły się od tego co można było znaleźć w polskiej epoce.

Po raz pierwszy w Polsce opowiadania Edgara Alana Poego ukazały się w formie książkowej w Młodej Polsce, w 1897 roku ukazał się wybór „Nowele" nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie w tłumaczeniu Wojciecha Dąbrowskiego. Tom zawierał takie utwory jak „Czarny kot", „Straszna maska" (później opowiadanie w innych tłumaczeniach przyjęto tytuł „Maska Śmierci Szkarłatnej"), „Upadek domu Usherów", „Studnia i wahadło". Z ważniejszych wyborów i tłumaczeń opowiadań Poego warto wymienić także lwowsko-warszawskie, dwutomowe wydanie pt. „Opowieści nadzwyczajne" w tłumaczeniu Bolesława Leśmiana z 1913 roku i „Opowieści tajemne" z 1924 roku z tłumaczeniami Stanisława Wyrzykowskiego, które ukazało się w warszawskiej Bibliotece Polskiej.

„Prawdziwy przypadek z P. Waldemarem" opowiadanie Edgara Allana Poego, które po raz pierwszy zostało opublikowane w 1845 roku na łamach gazety „Broadway Journal", a które znalazło się w tomie przygotowanym przez Bolesława Leśmiana opierało się opowieści snutej przez narratora mającego magnetyczne zdolności, który chciał znaleźć obiekt do swoich badań by sprawdzić czy ktoś poddany hipnozie posiadł wrażliwość na prąd magnetyczny, czy taka właściwość wzrastała, czy malała, a także zastanawiał się nad tym, czy hipnoza mogła zatrzymać śmierć. Jego obiektem badań stał się kompilator „Biblioteki Forensica" oraz tłumacz Ernest Waldemar, który chorował na suchoty i zobowiązał się, że powiadomi znajomego hipnotyzera, kiedy będzie się zbliżała jego śmierć, co akurat w przypadku jego choroby można było dokładnie ustalić. W jakiś czas potem hipnotyzer został wezwany do Waldemara, któremu zostało około 24 godziny życia i przy asyście studenta medycyny Teodora L., który miał notować przebieg doświadczenia, za pomocą pasów, czyli przesuwając rękoma wzdłuż ciała umierającego wprowadził go w stan katalepsji. Śmierć Waldemara opóźniła się o siedem miesięcy. Jego dom odwiedzali lekarze i różni znajomi. Jednak podczas rozmowy z nim hipnotyzer dowiedział się, że poddany hipnozie Waldemar przechodził niewyobrażalne męki i chciał powrócić do żywych lub umrzeć. Po ustaniu oddziaływania hipnozy na martwego Waldemara jego ciało w szybkim tempie zgniło.

→

ESEJ

W opowiadaniu Poego ze światem pozazmysłowym i zdarzeniem nieprawdopodobnym nie miała do czynienia osoba obłąkana, cierpiąca, czy przesądna jak zdarzało się często w dziełach polskiego romantyzmu (np. w balladzie „Romantyczność"), ale pragnący przeprowadzić eksperyment hipnotyzer w towarzystwie wykształconych lekarzy. W tym opowiadaniu zdarzenie fantastyczne, czyli przedłużenie czyjegoś życia o siedem miesięcy podczas hipnozy, wiązało się z pytaniem o granice ludzkiego poznania i o to, czy zjawiska zaliczane do parapsychologii były zdarzeniami rzeczywistymi, czy oszustwami. O realizmie tego eksperymentu zaświadczała obecność lekarzy i studenta medycyny. To opowiadanie na pewno miało spore oddziaływanie na literaturę grozy w późniejszych latach. Wystarczy sobie przypomnieć opowiadania Howarda P. Lovecrafta „W górach szaleństwa" i „Szepczący w ciemności". W pierwszym naukowcy na Antarktydzie zetknęli z prastarą, fantastyczną cywilizacją Przedwiecznych spoczywających w grotach gór, w drugim naukowiec przez pięć lat zmagał się z amnezją, ale po odzyskaniu świadomości i przebadaniu starych mitów i przypomnieniu sobie snów, odkrył, że był we władaniu Przedwiecznych, którzy mieszkali na Ziemi w dawnych, odległych wiekach i poprzez zawładnięcie jego umysłem badali przyszłość. Także w latach polskiego dwudziestolecia międzywojennego inspirował się opowiadaniami Poego Stefan Grabiński i wspomniane opowiadanie mogło być inspiracją dla „Muzeum dusz czyścowych" i „Problematu Czelawy". W pierwszym z nich naukowiec – doktor Proń oglądał zgromadzone przedmioty ze śladami oddziaływania świata pozazmysłowego zgromadzone przez proboszcza Łęgowskiego, w drugim narrator odkrył dziwny przypadek medyczny związany z bliźniakami, z których jeden był profesorem medycyny, drugi utracjuszem. Jednak w utworach Lovecrafta i Grabińskiego fantastyka górowała nad realizmem znanym z utworu Poego.

W 1818 roku, a więc nieco wcześniej niż miał miejsce debiut książkowy Adama Mickiewicza i debiut prasowy Edgara Allana Poe ukazała się w Anglii powieść „Frankenstein" Mary Wollstonecraft Shelley. Pisarka była żoną uznanego poety angielskiego Percy'ego Byshe Shelleya i jej powieść ukazała się kiedy debiutowało wielu poetów angielskich zaliczanych do drugiej generacji romantyzmu. Pierwsze wydanie „Frankensteina" w Polsce ukazało się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w 1958 roku w tłumaczeniu Henryka Goldmanna.

Powieść Shelley po latach zaliczono do prekursorskich dzieł wobec fantastyki naukowej. Wiktor Frankenstein pochłonięty badaniami przyrodniczymi na uniwersytecie w Ingolstadt zaczął pasjonować się anatomią ciała ludzkiego. Jako, że od najmłodszych lat interesowały go tajemnice „nieba i ziemi" stwierdził, że chcąc „zbadać przyczyny życia, musimy sięgnąć najpierw do śmierci" i po przeprowadzeniu serii badań na ciele ludzkim w kostnicach i cmentarzach kradnąc szczątki ludzkie z sekcji zwłok, cmentarzy, a zwierzęce z rzeźni zapragnął stworzyć istotę ludzką. To co stworzył przeraziło go gdyż było jedynie „bezduszną masą" i odrażającym „demonicznym trupem", którego nie chciał znać. Istota stworzona przez Frankensteina cierpiąca na samotność, nie mogąc nawiązać żadnych kontaktów z ludźmi mimo, że nauczyła się czytać i mówić zabiła młodszego brata naukowca. Następnie owa fantastyczna istota zapragnęła by naukowiec stworzył mu z kobiecych szczątków partnerkę, ale naukowiec poniechał działań i istota zemściła się na ojcu i przyjacielu naukowca.

Mary Shelley wspominała po latach, że pomysł na powieść powstał dzięki snowi jaki miała po starcie pierwszego dziecka, w którym martwe ożyło, gdyż je głaskała. Badacze literatury dopatrywali się wpływu ateistycznych poglądów jej męża i ewolucjonizmu Erasmusa Darwina na powstanie powieści przez co Brian W. Aldiss w swojej książce „Bilion Year Spree" z 1974 roku, z której jeden rozdział wykorzystano jako posłowie do polskiego wydania z 1989 roku uważał, że w powieści Shelley doszło do głosu przekonanie, że w świecie, w który nie ingerował Bóg „rolę stwórcy brał na siebie naukowiec". Aldiss także zauważył, że w powieści Shelley „motyw faustowski aktualizował się drastycznie przez zastąpienie nadprzyrodzonej machiny nauką przyrodniczą".

Powieść Shelley wiązało z romantyzmem wszechobecne osamotnienie i cierpienie naukowca i stworzonej istoty, a także odważna fantastyka. Także Wiktor Frankenstein skrywał w sobie tajemnicę jak bohaterowie utworów Byrona, gdyż nie mówił nikomu o tym, kto stał za śmiercią swojego brata. Frankenstein mimo, że chciał zajmować się naukami przyrodniczymi tuż przed studiami zaczytywał się w dawnych traktatach alchemicznych Korneliusza Agrypy, Paracelsusa i Alberusa Magnusa. W pierwszych dniach pobytu na uniwersytecie w Ingolstadt, młody student rozmawiał z wykładowcami. Profesor nauk przyrodniczych Krempe, przedstawiciel oświeceniowego poglądu na świat, twierdził, że lektura dzieł alchemików nie była potrzebna i Frankenstein powinien studiować od nowa. Wykładowca chemii Waldman uważał zaś, że nauka tak się rozwinęła, że współcześni badacze mogli „drażnić świat niewidzialny jego własnymi widmami", ale przyznawał też niczym przedstawiciel romantyzmu, że autorzy traktatów alchemicznych położyli podwaliny pod naukę przyrodniczą.

Mateusz Wabik

Goszczyński S., Dziennik sprawy Bożej, t.1-2, Warszawa 1984

Literatura Polska. Przewodnik encyklopedyczny, t.2, red. J. Krzyżanowski, od 1976 C. Hernas, Warszawa 1984

Poe E.A., Opowieści niesamowite, Kraków1976

Shelley Wollstonecraft, M., Frankenstein, Poznań 1989

Słowacki J. Kordian, Wrocław 1985

Witkowska A., Literatura romantyzmu, Warszawa 1989

Ewa Bogucka-Pudlis

Szymon Florczyk

szuwary noc

ziemia pod stopami jest coraz twardsza
choć tak daleka że niewidoczna

tam
nieruchome plamki pałek wodnych
nie słyszę żadnej ich modlitwy

tylko ptaki pokrzykują urywanie jakby
niepewne czy mogą zejść z nieba
woda
ciemna i znacznie głębsza
niż myśli - nie mogę znaleźć
twojego haiku

ciężkie zaparowane sukno
chciałbym szarpnąć
za róg tej podrzuconej scenografii

zbieram

po samotnych oficynach wysuszone słowa
karmię dotrzymuję towarzystwa
czasem wyniosę na słońce
w koszyku ust

(i chodzę jak jakiś klaun
z popękaną farbą na wargach)

ostatnio taki odklejony starzyk
tragicznie wypadł
pod nogi sfokusowanego tłumu
dedykującego mi wielkie oczy

schyliłem się szybko
podnoszę a jemu pęka łupina

znów mi się coś takie dziwne
wykrzewiło

planck planck

jak tego dowodzi nauka, bezsprzecznie
wszystko jest podzielone na porcje
pulsujące w osobnych impulsach
czekających w kolejce cząstek,
legato nie jest legato, skrzypcami
nie wzniecisz prawdziwej fali, jedynie
pizzicato jest prawdą, a i to nie do końca,
bowiem ucho nie złowi dosadnej natury rzeczy,
jedynie szum przepływający z jednej do drugiej
ręki, osoby, ulicy, metropolii tak, aby nie zauważono
końca, martwego punktu, przecinanej myśli, to nie leży
w naturze, nie leży na barkach potomka ryjówki, gdyż
nurt mózgowo-rdzeniowy jest płynny, starczy
dobyć smyczka i tłumić co pierwsze nuty

okazjonalnie

jestem przepływem romantycznej duszy w kościach
wnet kamienieję w niedopowiedzianej formie
kiedy nadsłowie powtarzalną falą zawraca
mnie do granicy zrozumienia głębokości
własnego języka w wysterylizowanym słoju

życie jest różnorodne genetycznie a
różnorodność jest żywa na pierwszy rzut oka
w płaskim uniwersum spadającej kartki
dajmy nieżywemu poecie poudawać człowieka

kiedy muzyka

wlewa się w mglistą pleksę
poranka zdziera szosę
jak szary papier
zapala
po jednej latarni
po kałuży

bezwiednie wchodzę w szczelinę
sztuką jest tylko
żeby nie wypaść i nie roztrzaskać
twarzy o ulicę a jedynie
pochylić głowę w blady siniec
półgębkiem wypowiadanego dnia

Szymon Florczyk (ur. 1986) – Szymon Florczyk (ur. w 1986 r.) - od zawsze mieszka i pracuje w Krakowie, zbioru wierszy „Ciało i zgłoska" (MaMiKo, 2024) oraz ilustracji do zbioru haiku Doroty Czerwińskiej nieboziemia (2024). Publikował m.in. w „Helikopterze", „Obszarach Przepisanych", „Toposie", „Odrze", „eleWatorze", „Migotaniach", na stronie Wydawnictwa J, w kilku antologiach. Wyróżniony w XIII OKP „Struna Orficka" im. W. Bąka i V OKP „Erotyk na krechę" im. T. Stirmera. Amatorsko zajmuje się też muzyką z pogranicza rocka i klasyki.

WSPOMNIENIE

Zdzisław Drzewiecki

PROFESOR

pamięci Zbigniewa Zielonki

Ziomek

Z jednej niemalże kolebki jesteśmy, z jednej piędzi ziemi. Zbigniew Zielonka przyszedł na świat ,co prawda, w Poznaniu ale dorastał w Jemielnicy na Opolszczyźnie , podczas gdy mnie matka powiła w pobliskich Strzelcach Opolskich. Miejscowości te dzieli około dziesięciu kilometrów, dla dobrego piechura niecałe dwie godziny marszu. Jest jeszcze bliżej, jeśli udamy się w drogę szlakiem św. Jakuba.

Profesor urodził się całe trzydzieści lat wcześniej i do chwili moich narodzin był już po debiucie literackim („Piekarczyk", „Głos znad Odry", 1954, nr 39). A w dwa lata później ukazała się jego powieść historyczna „ W Jemielnicy sądny dzień" (Warszawa,1956).

Trzeba trafu, że autor „Orłów na sarkofagu" przeniósł się do Słupska, gdzie w 1974 roku podjął pracę wykładowcy w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Do tego pięknego miasta na Pomorzu Środkowym ja trafiłem w roku 1966, jako malec rozpoczynający właśnie edukację w miejscowej szkole podstawowej, podążając za poszukującymi lepszych warunków bytowych rodzicami.

Spotkania pierwsze

Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, miałem już wyrobioną jako taką świadomość literacką. Zacząłem też poznawać słupskie towarzystwo artystyczne, a literackie w szczególności. Zadebiutowałem też w miejscowej prasie.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie nieodżałowana Mira M., wspaniała, troskliwa dziennikarka z „Głosu Pomorza" i zaprosiła enigmatycznie na spotkanie, na którym mieli być uznani słupscy literaci. Wraz, z nieżyjącym już przyjacielem Andrzejem Ż., udaliśmy się pod wskazany adres, gdzie przywitało nas dosyć obskurne pomieszczenie biura zakładowej gazety Fabryki Obuwia „Alka" w Słupsku. Oprócz Mirki był Zbigniew Zielonka i jakiś mniej nam znany słupski literat, którego nazwiska nie pamiętam, a może pamiętać nie chcę.

Była kawa, koniak i wówczas Profesor zaproponował, aby młodzi poeci, czyli my, przeczytali jakieś swoje wiersze. Andrzej przeczytał kilka i zaczęła się dyskusja „literacka", od czasu do czasu akcentowana kolejnym łykiem dobrego trunku.

To było moje pierwsze spotkanie ze Zbigniewem Zielonką, już wówczas legendą słupskiego środowiska literackiego.

Ponownie los zetknął nas na jakiejś ulicy w centrum Słupska podczas stanu wojennego; to mógł być luty 1982 roku. Gdzieniegdzie leżał jeszcze śnieg, ludzie kulili się przed wiatrem. Pamiętam, że niosłem jakieś książki podarowane przez przyjaciół na przeczytanie i puszczenie w dalszy obieg. I waśnie wówczas niemal zderzyłem się na wąskim chodniku z Profesorem. Ponieważ pogoda, jak wspomniałem, była pod psem zaszyliśmy się w klimatycznej kawiarni „Pod samowarem" . Tu przy herbacie z cytryną i lampce wermutu Profesor zaproponował mi udział w nielegalnych wieczorach poezji w kościołach i mieszkaniach prywatnych organizowanych głównie przez ks. Jana Giriatowicza ze słupskiej parafii pw. Św. Jacka. Wówczas to, w trakcie tych spotkań i długich nocnych rozmów, zadzierzgnęła się między nami nić wzajemnej przyjaźni wzmocnionej wątkiem zaufania, tak istotnego w tamtych trudnych czasach.

Studia

Studia zaoczne rozpocząłem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku na kierunku geografia.

W szczerej rozmowie z Zielonką oraz wspominaną już wcześniej Mirą M., powiedziałem, że w budynku przyrodniczo-matematycznym jestem ciałem, ale duchem na „humaniku". Odbyliśmy naradę, zostałem zaopatrzony w „listy polecające" i w ciągu 15 minut stawiłem się u władz uczelni. Rektor przepytał mnie sumiennie, dlaczego chcę zmienić kierunek studiów, ale kiedy zrozumiał, że moje serce bije dla literatury, wyraził zgodę na przeniesienie, bez egzaminów dodatkowych. Byłem w siódmym niebie. Znowu „magia" Profesora zadziałała.

W tym momencie Zbigniew Zielonka staje się także moim nauczycielem (w dosłownym tego słowa znaczeniu) literatury staropolskiej i literatury średniowiecznej. Do egzaminów u Profesora musiałem być przygotowany rewelacyjnie. Sumienie nie pozwalało mi iść na taki egzamin na zasadzie, a nóż się uda. Gdy byłem na drugim roku studiów, zaproponował mi uczestnictwo w jego seminarium magisterskim. Zgodziłem się bez wahania. Na drugim roku miałem już temat pracy magisterskiej. Niebywałe. Zadanie nie było łatwe, miałem stworzyć monografię pisma społeczno-kulturalnego REGIONY, któremu przewodził wybitny pisarz Wiesław Myśliwski (bardzo dobry i bliski znajomy Profesora).

I tak Zbigniew Zielonka został moim promotorem. Dzięki tematowi pracy oraz jego kontaktom, Wiesław Myśliwski przyjął mnie w Redakcji REGIONÓW w Warszawie i udzielił blisko trzygodzinnego wywiadu. Po obronie pracy, wyjechałem ze Słupska, ale mój kontakt z Profesorem trwał nadal. Kartki, listy. Telefony. Wymienialiśmy się także każdą nowo wydaną książką.

Ostatni list od Profesora zawierał jego ostatnią powieść „ I ona ma zielone oczy" i zawierał dedykację: „ Z wielką radością drogi Zdzisławie przesyłam tę powieść. Zbigniew Zielonka".

Koledzy po piórze

Nasza przyjaźń kwitła również na gruncie literackim. To Profesor był jednym z dwu (obok Kazika Nowosielskiego) literatów, którzy wydali pozytywne opinie o mojej twórczości i zostałem przyjęty w poczet członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Gdańsku.

Wielokrotnie wspólnie odbywaliśmy podróż pociągiem ze Słupska do Gdańska i z powrotem, na spotkania gdańskiego Oddziału SPP. Pięknym opowieściom Profesora i anegdotom literackim nie było końca. Podróż szybko mijała i bywało, że odprowadzałem go do domu i tam, przy dobrym winie, tudzież innym trunku, kontynuowaliśmy wątki rozmów rozpoczęte w pociągu. To w trakcie jednej z takich podróży Profesor zaproponował, abyśmy przeszli na „ty". Przystałem na to, ale nigdy, ani razu nie odezwałem się do niego po imieniu. Był dla mnie zbyt wielkim autorytetem.

Kiedy Profesor znalazł się pod koniec życia w DPS-ie nasz kontakt się urwał. Dzwoniłem do niego wiele razy, ale nikt nie odbierał telefonu.

Rozstałem się z Profesorem w kaplicy na Nowym Cmentarzu w Słupsku, gdzie odbyło się Jego pożegnanie z miastem, któremu dał tak wiele, po czym zwłoki zostały przewiezione do Opola, gdzie spoczął w Alei Zasłużonych na tamtejszym cmentarzu. Zostawił po sobie pustkę, którą nie sposób wypełnić.

ZDZISŁAW DRZEWIECKI

Ewa Bogucka-Pudlis

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

Persony, twarze i gesty; Portale, bramy, zaułki ;[1] - Człowiek wobec oswajanych zdarzeń i przestrzeni.

Ewa Bogucka-Pudlis

(Żyjemy dla miłości i światła, światła które jest dobrem i pięknem. Jeżeli sztuka wyraża, w sposób nieoczywisty, te tak oczywiste i naturalne cele – zasługuje na miano sztuki przez wielkie S. Oto najważniejszy powód, dla którego powstał ten tekst.)

„Zawsze w malarstwie szukałam czegoś ukrytego, pod powierzchnią, co działa na moje uczucia, na moje świadome i nieświadomie historie. Może także pewnego dramatu, czy to kolorystycznego, czy psychologicznego. Z kolei w ludziach zawsze przyciągał mnie smutek, to, co w nich jest trudnego, a co widać w ich twarzach. Chyba przyciągają mnie tacy ludzie, którzy mają wypisaną na twarzy jakąś historię."[1]

Nieprzypadkowo[2] przywołana tutaj myśl (a można ją potraktować jako wypowiedź programową, credo artystki) okazuje się zgodna z programem prerafaelitów, którzy poszukiwali nie tylko misji sztuki, przeciwstawiając się skostniałemu akademizmowi, ale także symboliki, mistyki, pewnego ukrytego lub może „skrywanego" pod powierzchnią tego, co widoczne i niby oczywiste - przesłania. Tym samym niezależnie od dbałości o detal, niezależnie od precyzji i staranności w kreowaniu szczegółów – prerafaelici unikali pustej ornamentyki, epatowania odbiorcy ozdobnością form. W efekcie w ich pracach wyczuwalna była aura tajemniczości, próby zapisu ulotnych chwil i nastrojów, a także owo zainteresowanie metaforą oraz celowymi niedomówieniami. Malarstwo prerafaelitów (i ta cecha pojawia się także w obrazach olejnych pani Ewy) nadal zwraca uwagę śmiałą paletą barw, rozmigotanych światłem, barw nasyconych, intensywnych, szczególnie intrygujących w mocno rozświetlonych pejzażach. A także potrzebą wyzwalania emocji i uczuć, z których obecności adresat dzieła nie musiał zdawać sobie sprawy, przyjmując punkt widzenia artysty za własny i wchodząc intuicyjnie w przestrzeń obrazu „do końca".

Oto pierwsze, otwierające ważny etap w życiu zawodowym pani Ewy – doświadczenia: „Fascynacja", „Melancholia ulicy", „Wniebowstąpienie", „Narcyzy", „Jerzyk błękitny", „Żółta zatoka". Wszystkie kompozycje namalowane tradycyjną techniką olejną, wszystkie pochodzące z połowy lat osiemdziesiątych minionego stulecia.

Oto „Fascynacja" - zapis intensywnego uczucia, emocji znacznie większej niż zauro-→

1 Ewa Bogucka – Pudlis, fragment wywiadu, udzielonego z okazji udziału artystki w XXXI Salonie Elbląskim, https://www.portel.pl/kultura/opowiesc-w-moim-malarstwie-zawsze-byla-wazna/124486?fbclid=IwAR3xcne1JC6VvCqZhBfFEYun-90RGLKMd-9GNip9E0krRJsBOBg__3rmbWE (dostęp: 4 grudnia 2023)

2 Pytana o źródło swych artystycznych inspiracji – malarska odpowiada jednym słowem: prerafaelici.

czenie, oczarowanie, olśnienie. W literaturze romantycznej fascynacja utożsamiana bywała z miłością frenetyczną, ze szczególnym stanem opętania i uniesienia, mającym niszczącą siłę, tajemną moc swoistej mieszaniny szaleństwa i grozy. „Piosenka strumienia pośród kamyków nie jest bynajmniej godnym akompaniamentem miłości." – pisał na temat romantycznej frenezji, owego fatalnego zauroczenia Zygmunt Krasiński.[3] „Miłości trzeba (…) gromu huczącego głosem Pana, błyskawicy rozświetlającej horyzont, wściekłej fali wznoszącej się z otchłani mórz; Wszystko co wielkie, straszliwe, wzniosłe, olbrzymie sprawi ulgę namiętnemu sercu."[4]

Jeżeli zatem przyjąć, że fascynacja to rodzaj miłosnego opętania – to jest to emocja traumatyczna, graniczącą z obłędem. Emocja sprawiająca, że człowiek zauroczony – funkcjonuje na ekstremach, przekraczając w stanie uniesienia granicę życia i śmierci.

Wpatrując się w obraz „Fascynacja" nie mamy wątpliwości, kto owej fascynacji ulega. Wizerunek młodej i pięknej kobiety, o obnażonych ramionach, z twarzą otoczoną chmurą mocno podświetlonych włosów, z czołem jasnym i wyrazistym, z lekka uniesionym, z głową wspartą na zgiętym ramieniu, kobiety uchwyconej w pozie niemal intymnej, w momencie zauroczenia został tu zestawiony (ewidentnie na zasadzie spięcia, kontrastu) z wizerunkiem mężczyzny, chłodnego, obojętnego obiektu lub może raczej adresata owego nieokiełzanego uczucia. Mężczyzna trzyma coś w dłoni, być może papierosa, być może cygaro. Wydaje się pochłonięty czynnością, której oddaje się z pietyzmem, w uroczystym milczeniu. Jeżeli nawet zaciąga się dymem to czyni to całym sobą, jeżeli zastanawia się nad czymś to jest skupiony, skoncentrowany, celowo nieobecny, wyalienowany. Ona i On utrwaleni na płaszczyźnie obrazu, w przestrzeni ziemskiego pobywania. Ich światy okazują się obce, osobne, odizolowane taflą męskiego chłodu, męskiej dumy, nieledwie pogardy, udawanej obojętności i pełnej napięcia ciszy.

Oto oni oboje w sytuacji bardzo kameralnej, zapewne tuż po intymnym zbliżeniu, które w malarstwie pani Ewy ma charakter przede wszystkim zbliżenia psychicznego. Kobieta rozogniona, rozgorączkowana, pełna życia, zmysłowa i monumentalnie, pomnikowo (jak rzeźba klasyczna) piękna, pociągająca ową doskonałą harmonią kształtów tak nieprzystającą do dramatu, jaki przeżywa. Zatem Ona – bohaterka tragiczna, pokazana zgodnie ze wszelkimi wyznacznikami tragizmu jako literackiej kategorii estetycznej. Ona – silna indywidualność, obdarzona psychiką ukształtowaną, boleśnie dojrzałą, patrząca na świat oczami wyobraźni i Ducha. Ona – nie mająca złudzeń co do nieuchronności klęski, czy jak pisała Maria Janion w swym słynnym eseju, poświęconym tragizmowi w filozofii i w sztuce – nie mająca złudzeń co do „kolizji wartości" i owej „konieczności", która zmusza do konsekwentnego działania. Działania tym bardziej ukazującego paradoks ludzkiej egzystencji, że nawet wiedza na temat bliskości katastrofy – nie jest w stanie człowieka powstrzymać od dokonywanych konsekwentnie, z premedytacją wyborów.[5]

Oto „Melancholia ulicy". Trzy obrazy zapisane w tym samym formacie, tworzące cykl, być może rodzaj tryptyku, mimo że malarka celowo rezygnuje z nadużywania słowa „Tryptyk". Czym jest melancholia? Smutek, spleen, nuda i bezradność, stan pogodzenia się z losem, przygnębienia, a także ponury nastrój, apatia, chandra, uczucie nieujawnione, ukryte jakby za zasłoną, „pod skórą" wierzchniej tkanki, materii obrazu. Naturalny wydaje się fakt, że właśnie owo „ukrycie" prowadzi nas znowu ku myśleniu prerafaelitów, ale nie tylko ku niemu. To także reminiscencja tego, co w literaturze romantycznej i postromantycznej badacze określali mianem „braku chęci i motywacji do buntu", lub może – brakiem potrzeby ujawniania niezgody, sprzeciwu. Sprzeciwu wobec czego? Wobec braku miłości, nadziei. Ten, kto doświadczył melancholii – wydaje się pogodzony z losem, co widać dość wyraźnie w poezji symbolistów i dekadentów, w tendencji określanej ogólnym mianem - kultury Fin de siècle. Człowiek „końca wieku" doświadczył był już wiele i „wie wszystko". Nieobce mu przekleństwo, ironia i wzgarda, nieobca chęć użycia, wiara w „byt przyszły", nieobca samotność i owa potrzeba eskapizmu, poczucie apatii, przesytu, znużenia, wreszcie – nieobca mu konieczność alienacji i wyobcowania.

Trzy obrazy z cyklu „Melancholia ulicy" zwracają też uwagę podobną kompozycją i kolorystyką. W dalekim planie pojawia się fragment architektury: patrząc od lewej jest najpierw kolumnada, z dwoma, intensywnie podświetlonymi łukami, dalej trzy łuki i wyraźne źródło światła, wreszcie przestrzeń zamknięta, dookreślona tylko pozornie, w której brak sylwetek idących, tak jakby już przeszli ku światłu, roztopili się w nim, weszli w głąb owej zniewalającej, urokliwej świetlistości. Po prawej, mocno wyeksponowana twarz kobiety, oczy patrzące intensywnie, uważnie. Ta twarz, twarz o ustach zasnutych mgiełką. to rodzaj konkretyzacji porte parole autorki. To wizerunek osoby młodej, świadka i uczestnika zapisanego na płótnie zdarzenia, osoby urzeczonej światłem i ciszą, posiadającej jakąś wiedzę tajemną, nieskorej jednak do jej ujawniania. Po lewej, w przestrzeni zdominowanej czerwienią – sylwetki idących, otulone ognistymi płomieniami, które nieuchronnie przywołują w naszej wyobraźni wizję czeluści piekielnych.

Tak, więc owe trzy obrazy tworzą rodzaj symultanicznej, odwołującej się do tradycji misterium - sceny. Pytanie, dlaczego współczesny teatr, sztuki wizualne oraz wszelkie działania z pogranicza - tak chętnie posiłkują się ową trójdzielną konstrukcją przestrzeni – pozostaje pytaniem otwartym. Jedna z odpowiedzi okazuje się prosta, niemal banalna. Rytm trzech przestrzeni, z których każda może być odczytana poprzez przypisaną jej kolorystykę, przestrzeni wydzielonych, symbolicznych – ułatwia porządkowanie zdarzeń i w konsekwencji – prowadzi do odkrywania i oswajania Tajemnicy. Można by jednak dość przewrotnie powiedzieć, że oswojona tajemnica – przestaje być Tajemnicą, ulega uproszczeniu i obnażeniu, odkryciu. Czy tak się dzieje w przypadku malarstwa pani Ewy? Zdecydowanie: Nie! Cóż to bowiem oznacza oswoić przestrzeń, zdarzenie lub czas?

Oswajamy zazwyczaj to, co wydaje się na pierwszy rzut oka trudne do zrozumienia, ale wymaga uwagi, to wszystko co odbieramy jako intrygujące, znaczące, a przy tym ulotne i nietrwałe. Tak właśnie odbieramy nastroje, stany emocjonalne, psychiczne. Tak również odbieramy istotę bytu człowieka, fenomen jego egzystencji we Wszechświecie. Wchodzimy w konkretną przestrzeń naznaczeni piętnem naszych fascynacji, pasji, zainteresowań.

W efekcie owo oswajanie przestrzeni to zawsze proces bardzo złożony, subiektywny i indywidualny, prowokujący to zatrzymania się w konkretnym miejscu i czasie, do spojrzenia na dzieło sztuki przez pryzmat własnych doświadczeń i dociekań. Bywa, że wobec ważnego dla nas dzieła (z jakiegoś ledwie przeczuwanego, nie zawsze racjonalnie umotywowanego powodu) stajemy jak urzeczeni i wówczas możemy doświadczyć tego, co tak enigmatycznie nazywa się „uniesieniem", „ekstazą" lub „nagłym błyskiem świadomości".

Być może tak było również w przypadku zainteresowania malarstwem Edwarda Hoppera, do fascynacji którym przyznaje się artystka w jednym z wywiadów. „Piękno może być kiczowate, a prawda jest zawsze „chropowata". Jak ktoś umie tą „chropowatą prawdę" namalować, to zawsze daje mocny efekt. Tak jest na przykład w twórczości Hoppera. On może nie jest „wirtuozem pędzla" (malowanie nie przychodziło mu z wielką łatwością[6]) ale wiedział, co chce przekazać. Jego obrazy są poprzedzone przemyśleniami, szukaniem tematu, szkicami.[7] Jednakże podczas, gdy malarstwo Edwarda Hoppera to opowieść o samotności człowieka, opowieść podporządkowana pewnej wewnętrznej dramaturgii, która sprawia, że patrząc na rysunki, grafiki i obrazy odczuwa się smutek i dziwny, niemal surrealny, martwy spokój – malarstwo pani Ewy przepojone jest emocjami, a nade wszystko poczuciem więzi z odbiorcą, ogromną dozą ciepła, serdeczności i migotliwego, żyjącego życiem własnym, raz rozproszonego, kiedy indziej sączącego się z głębi obrazu – światła.

Powszechnie też wiadomo, że Hopper zaczynał jako ilustrator, pracując dla licznych agencji reklamowych, ale jego ilustracje (dominuje w nich styl komiksowy) są niemal nierozpoznawalne, pozbawione specyficznego charakteru, jaki osiągnął w malarstwie.

Nie malował jednak ludzi o wyjątkowych twarzach lub cechach charakteru, pokazywał tak zwanych „zwykłych Amerykanów", raczej przeciętnych mieszkańców miast i miasteczek, podkreślając ich samotność, pustkę, pokazując ich światy osobne i od siebie odległe wzajem. Powszechnie uważa się i jest to pewien schemat interpretacyjny, że Hopper „Wybierał twarze anonimowe, bez wyrazu, zamknięte w sobie lub czegoś daremnie wypatrujące. Nawet kiedy zbliża się do śródmieścia przedstawiając eleganckie miejsca rozrywki – „Dwoje między krzesłami" (1927), „Nowojorskie kino" (1939), „Pierwszy rząd parteru" (1951) - pokazuje, jak zwykle, pustkę, smutek, samotność, rozerwane więzi między ludźmi."[8]

Mimo tak odmiennego podejścia do człowieka, gdyż bohaterowie obrazów i rysunków polskiej artystki są rozpoznawalni, posiadają cechy indywidualne – doszukać się można w dorobku pani Ewy śladu owej fascynacji Hopperem. Jedną z wizji nawiązujących do „myślenia Hopperem" czyli myślenia symbolami staje się ekspresyjny obraz „Ptaki" (olej na płotnie 2016) na którym utrwalono sylwetkę kobiety w czerni i czarne, drapieżne jak z filmu Hitchcocka – ptaszyska. Znamienny okazuje się fakt, że twarzy kobiety nie widać, pozostaje w jakiejś mierze anonimowa, ale równocześnie może zostać

3 Zygmunt Krasiński, Listy do Henryka Reeve, t.1, Warszawa 1980, s. 49

4 Tamże, s. 49

5 Maria Janion, Tragizm (w) Tejże: Romantyzm, Rewolucja, Marksizm, Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1973, s. 13 - 86

6 Dopisek autorki, wynikający z potrzeby doprecyzowani. myśli.

7 https://www.portel.pl/kultura/opowiesc-w-moim-malarstwie-zawsze-byla-wazna/124486?fbclid=IwAR3xcne1JC6VvCqZhBfFEYun-90RGLKMd-9GNip9E0krRJsBOBg__3rmbWE

8 Maria Kornatowska, Edward Hopper i kondycja amerykańska , „Kino" 1997, nr 10, s. 26 - 31

potraktowana jako symbol wszystkich starych kobiet, kobiet ubranych w niemodne, jakby w zetlałe, staroświeckie suknie, kobiet skazanych na samotność, opuszczonych, próbujących opędzić się od ptaków jak od złych, czarnych myśli.

Należy tu także przypomnieć, że w malarstwie Hoppera istotną rolę odgrywały okna. Okna także wydają się ważne w kompozycjach pani Ewy. Tyle tylko, że w przywołanych tutaj pracach współczesnej malarki – okno, podobnie jak portal stanowi umowną granicę odrębnych, pozbawionych swoistej ciągłości, głownie ciągłości czaso – przestrzennej lub fabularnej - światów. W praktyce oznacza to, że okno nie prowadzi nas tutaj ku temu, czego logicznie można by się spodziewać, a raczej ku miejscom niezwykłym, zaskakującym, utkanym jakby ze snów i widziadeł. I tak okna prowadzące nas ku pomieszczeniom we wnętrzu domu przypominają ekrany z rozmalowanym światłem, natomiast te, które prowadzą nas z wnętrza na zewnątrz – otwierają się ku przestrzeniom onirycznym, tajemnym.

U Hoppera okna są „ciemne, puste, półuchylone", znacznie rzadziej – „oświetlone, pozwalające podejrzeć urywki czyjegoś życia (np. „Nocne okna", 1928)."[9] U pani Ewy okna stają się umowną granicą, między tym, co realne we wnętrzu i tym, co wyobrażone, wiodące daleko poza. Bywa też nieco inaczej, zwłaszcza wówczas gdy okna wpisane są w strukturę ściany lub muru, kiedy patrzymy na nie od zewnątrz i chcielibyśmy zajrzeć do środka. Do środka zajrzeć się nie da. Wiemy jednak, czujemy intuicyjnie że w świecie realnym „Uchylone okna i bramy wywołują na plecach przechodnia dreszcz strachu i podniecenia jednocześnie. Złamany światłem cień pomieszczenia intryguje, zaprasza do środka, jak w opowieściach, których bohater nie może oprzeć się pokusie, by nie wejść do zakazanego pomieszczenia."[10] Kompozycje pani Ewy budzą w nas takie pokusy, taką potrzebę spojrzenia w głąb, w jakąś tajemniczą, trudną do jednoznacznego nazwania przestrzeń, która majaczy gdzieś za wyłomem muru, za wykuszem okiennym, za portalem ze szparą uchylonych drzwi.

Istnieje też jeszcze jeden, niemal równoległy trop interpretacyjny. W wielu pracach malarskich, a także w ilustracjach (o ile jest to umotywowane treścią tekstu), oprócz okien, zaułków, portali - pojawia się wizerunek dziewczynki lub młodej, rozpoznawalnej (często jako autoportret ukryty, autoportret sprzed lat) kobiety. I jest to rodzaj autoportretu, który nie narzuca swej obecności, zaznacza, zapisuje się jakby w drugim planie, niekiedy w dość odległym tle.

I tak w odrębny cykl prac olejnych układają się tutaj kompozycje figuralne lub takie, których wiodącym tematem okazuje się wizerunek człowieka, pojmowany jako dzieło osobne. Jednakże portret nie może być tutaj traktowany na prawach dokumentu lub fotografii, a raczej jako zapis bardzo osobistej relacji, dialogu, utajonej, intymnej rozmowy między artystą i modelem. Żeby zrozumieć istotę portretu wystarczy sięgnąć do etymologii tego terminu i przypomnieć sobie, że łacińskie słowa: „protrahere" (wydobyć na światło dzienne, ujawnić, pokazać) oraz „contrafacere" (naśladować) zostały przeniesione z języka łacińskiego do francuskiego i zasymilowane przez język polski jako portret właśnie.[11] Przedstawiając bowiem wizerunek człowieka przedstawia się nie tylko jego twarz, ubiór, gest, mimikę, ale tworzy się także kontekst, w podobny sposób, w jaki tworzy się scenografię teatralną. Jeżeli bowiem przyjmiemy, że malowanie wizerunku to proces przypominający rodzaj niemal intymnej rozmowy – wszelkie skojarzenia z teatrem lub teatralizacją dzieła - wydają się w pełni umotywowane.

Tak dzieje się w przypadku portretu starszego człowieka (olej 2023) na tle okna, okna ewidentnie umieszczonego w drugim planie, spoza tafli którego sączy się matowe, żółto-oranżowe, gęste, a jednak zastygłe na szybie - światło. Wnętrze właściwie jest mroczne, z dominantą czerni i ciemnego, przechodzącego w brunatne fiolety błękitu, ale podobnie jak na teatralnej scenie – mamy tu oświetlenie modela reflektorem skierowanym niemal (jednak niezupełnie) na wprost, co daje efekt zdecydowanego doświetlenia twarzy i przypomina malarstwo Rembrandta. Podobnie jak u Rembrandta postać mężczyzny okazuje się wyraźnie upozowana, zatrzymana w charakterystycznym dla siebie geście. Sposób namalowania oczu, patrzących intensywnie, na wprost, jakby w oczy odbiorcy – podkreśla jeszcze wewnętrzną dramaturgię obrazu. W tle, na parapecie okiennym, finezyjną kreską zapisana została postać dziewczynki na ledwie naszkicowanym, przypominającym uproszczony rysunek dziecka - rowerze. Być może jest to zapis marzenia, wspomnienia z dzieciństwa, zapis wizerunku kogoś ważnego, kto pozostał już tylko symbolem.

Tak, więc w dobrze namalowanym portrecie najważniejszy staje się aspekt psychologiczny, odnalezienie i utrwalenie tak zwanej „esencji", istoty osobowości modela. W tradycyjnym rozumieniu – portret ma zatem zarówno charakter ilustracyjny jak i metaforyczny. Staje się opowieścią o związkach sztuki i życia, gdyż osoba portretowana to postać realna, osadzona w kontekście społecznym i historycznym, podczas gdy portret zapisany na płótnie to wyobrażenie, zgodne z wrażliwością i wyczuciem artysty. To także zestawienie tego co wiadome, widoczne, doświetlone i oświetlone z tym, co pogrążone w mroku, tajemnicze, nieodgadnione. W takim rozumieniu portret sugeruje niejednoznaczność utrwalonego na płótnie wizerunku, gdyż lubimy przyjmować maski i pozy, szczególnie gdy wiemy, że ktoś zapisuje je jako symbol, trwały lub trwalszy niż my sami – symboliczny znak, wyróżnik naszej osobowości.

W portretach pędzla pani Ewy światło pada tak, by można było utrzymać kontakt wzrokowy modela z odbiorcą dzieła, co tworzy swoiste spięcie, jakby nie istniał dystans czasowy, jakby portret powstawał tu i teraz, w naszej obecności, ale jednak dzięki zapisowi na płótnie – należał już do przeszłości. Wydaje się to nie tylko paradoksem czasu. To także paradoks naszej walki z przemijaniem, naszych groteskowych prób zatrzymania tego, czego zatrzymać nie sposób. Zwraca zatem uwagę w przywołanym tu dziele – nie tylko twarz starego człowieka, ale i ręka wsparta na lasce, ręka pokazana jako swoisty kontrapunkt oświetlonej, opromienionej głowy. Zwraca też uwagę tło namalowane w sposób dość powściągliwy, oszczędny, tak oszczędny, że spojrzenie nasze koncentruje się na jedynym rekwizycie, na lasce o którą wspiera się blada, odrealniona dłoń. „Portret jest formą pamięci. Odbity wizerunek staje się już w momencie namalowania właściwie portretem trumiennym, bo utrwala ulotny moment życia przedstawionej postaci, która jest śmiertelna, a która dzięki portretowi – uzyska drugie życie poza czasem i przestrzenią."[12] Tak, więc mamy tu nieustannie do czynienia z próbami przezwyciężania i pokonywania czasu, a wizerunek jako dzieło skończone funkcjonuje na granicy dwóch światów, na granicy tego co widzialne i niewidzialne, co możliwe do wyobrażenia i niewyobrażalne tak jak każda forma unicestwienia, jak śmierć.

Równie intensywny w wyrazie, za sprawą mocnego kontrastu części oświetlonej i ukrytej w mroku - okazuje się portret Jerzego Grzywacza (olej datowany na 2019). Mamy tutaj do czynienia z charakterystycznym przesunięciem postaci portretowanej, co nie tylko daje efekt asymetrii, ale też sugeruje istnienie sfery niedomówień, domysłów, sfery celowo nieujawnionej, niejawnej. Takie podejście do wizerunku zapisanego na płotnie znajduje potwierdzenie w (cytowanej już nieco wcześniej, ale wartej tu jeszcze przypomnienia) wypowiedzi malarki: „W ludziach zawsze przyciągał mnie smutek, to co w nich jest trudnego, a co widać w ich twarzach. (…) Często jesteśmy tylko „zewnętrznością", staramy się zakryć to, co mamy w środku."[13]

Odkrywanie tego, co ukryte okazuje się zatem istotą procesu portretowania lub może inaczej, procesu poznawania i wnikania w utajoną, przysłoniętą teatralną maską, maską stworzoną na użytek publiczny - osobowość modela.

I wreszcie, na zakończenie tego krótkiego szkicu - obraz, do którego malarka zamierza powracać, zatytułowany „Zmierzch". To bardzo poetycka, literacka kompozycja z odwróconą perspektywą, odwróconą w sposób konsekwentny, co nie znaczy, że nie pozbawiony intuicyjnego postrzegania świata, że tylko wyrozumowany. Pierwszy plan, zapisany w specyficznym odcieniu błękitu, wysrebrzony zielenią aż po połyskliwą, „metaliczną" biel. Dalszy plan wyrazisty, czytelny: nowe okna, portal, dziecko, rower, zapewne stołek lub krzesło. Zmierzch jednak zaciera kontury i nagle to, co bliskie okazuje się bardziej tajemnicze, niedopowiedziane lub może - niedookreślone. Istnieje jednak swoisty, bardzo umowny „łącznik" między tym, co wyraziste i tym, co niedopowiedziane, między tym co jawne i niejawne. To wizerunek rudego psa, łączący świat „wnętrza domu" ze sferą tego, co na zewnątrz, ze sferą Tajemnicy. Owa charakterystyczna dla prac pani Ewy opozycja, owo zderzenie (tego, co wewnątrz i tego, co poza) sprawia, że z owej bardzo specyficznej perspektywy, perspektywy immanentnie zapisanej w dziele - postrzegamy wszystkie jej prace.

Małgorzata Dorna (Wendrychowska)

Nota biograficzna malarki:

Absolwentka Liceum Plastycznego w Gdyni Orłowie. W latach 1980–1986 studiowała w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku. W 1986 r. uzyskała dyplom z malarstwa w pracowni Kazimierza Śramkiewicza, a w 1987 r. została stypendystką Ministra Kultury i Sztuki. Od 1987 r. uprawia ilustrację książkową. Brała udział w kilkudziesięciu wystawach malarstwa i ilustracji w kraju i za granicą. Związana zawodowo z Trójmiastem. Od 2015 r. mieszka i tworzy w Elblągu.

9 Maria Kornatowska, Edward Hopper i kondycja amerykańska , „Kino" 1997, nr 10, s. 26 - 31
10 https://www.nck.pl/upload/archiwum_kw_files/artykuly/7._marianna_michalowska_-_fasady_podworka_okna_-_spojrzenia_fotografa.pdf
11 Sztuka świata, t. 18, Słownik terminów L- Ż, Warszawa 2013, s. 162 – 163
12 A. Michniewicz, Straszliwa chęć uwiecznienia, czyli o sztuce portretowej w kontekście opowiadania Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Portret wenecki (w) Prace Literaturoznawcze II UWM Olsztyn 2014, s. 259
13 https://www.portel.pl/kultura/opowiesc-w-moim-malarstwie-zawsze-byla-wazna/124486 (dostęp: 18 02 2024)

Kazimierz Skorupski

Mój Godot

Notatki reżysera

Przeczytałem *Godota* po raz pierwszy, mając 15 lat, ale niczego nie zrozumiałem. Pamiętam zauroczenie humorem, a przez fakt, że niewiele rozumiałem, tekst wydał mi się bardzo prowokacyjny. Byłem tą sztuką tak poruszony, że wracałem do niej bardzo często. Powoli zaczynałem wizualizować przestrzeń, postacie, zaczynałem rozumieć wagę słowa.

Przestrzeń *Godota* była dla mnie cyrkową areną, a Vladimir i Estragon byli klaunami zagubionymi na skraju bezkresnej drogi, przy której stało martwe drzewo, leżały kamienie, skały... Jako licealista odkryłem filmy z Charlie Chaplinem i z Busterem Keatonem, którymi się fascynowałem. Poprzez ich postaci widziałem Vladimira i Estragona. Tempo wymiany zdań między nimi przypominało mi dialogi klaunów. Urzekł mnie związek tej pary, która nie może się znieść i zarazem nie potrafi się rozstać.

Kilka lat później, będąc studentem polonistyki, zdałem sobie sprawę z bogactwa tekstu, z jego szlachetności, godności, wspaniałomyślności. *Godot* odsyłał mnie do Biblii. Poza jakością czysto literacką zauroczył mnie elementem prowokacji. *Godot* bez niej byłby sztuką o braku porozumienia między ludźmi, o niekomunikatywności. Beckettowska prowokacja uświadomiła mi paralele między *Godotem* a sztukami Witolda Gombrowicza, gdzie prowokacja słowna wzmocniona prowokacją cielesną jest wyraźna i ważna.

Zawsze odzywa się we mnie Gombrowiczowski prowokator, kiedy widzę sztywność, grę, maskę, przeróżne pozy, sztuczne (zamierzone czy bezwolne) relacje w między-ludzkiej wspólnocie, w „kościele między-ludzkim". Odczuwam wtedy pragnienie kontry, wołam za operetkowym Fiorem: „Zrzućcie maski i stroje! Zwykłymi stańcie się ludźmi!".

Zawsze mnie interesowały i pociągały sztuki polityczne, pod warunkiem, że były wyśmienite i zawierały potrzebną dozę poezji. Mogę rzec, że podniecała mnie perspektywa zakłócenia ustalonego porządku i konwencji. Z tą myślą zrealizowałem scenicznie *Historię* Gombrowicza (przeciw autorytetom, przeciw mundurowi, przeciw siłom historii), *Żywą śmierć* Ewy Lipskiej (przeciw systemowi totalitarnemu, *Emigrantów* Sławomira Mrożka (przeciw nietolerancji i odrzucaniu migrantów), teksty Cypriana Norwida, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, Helmuta Kajzara przeciw kłamstwu, przeciw nieuszanowaniu ludzkiej godności. Wartość literacka tekstu i siła prowokacji − to było i pozostaje dla mnie ważne. Podstawowe. Inspirujące.

Jestem przekonany, że *Godot* może jeszcze potrząsnąć sporą częścią publiczności. Ta sztuka jest moją artystyczną obsesją od pięćdziesięciu lat. Ciągle wracam do jej tekstu, który mnie fascynuje, porusza, wzbogaca...

Sądzę, że to co oddala współczesnego widza od tego ponadczasowego tekstu, to jego zbytnia teatralizacja, zastygła, muzealna forma, której strzegł sam autor. Widziałem wiele realizacji *Godota*. Najbardziej mnie dotknęła, wzruszyła i pozostała w pamięci ta w reżyserii Samuela Becketta, którą obejrzałem – pamiętam jakby to było wczoraj – 4 maja 1976 roku w Théâtre d'Orsay w Paryżu, którego dyrektorem był Jean-Louis Barrault. Spektakl był grany po niemiecku, bowiem Becket wyreżyserował *Warten auf Godot* w Staatliche Schauspielbühnen Berlins w Berlinie Zachodnim. Z teatrem tym Beckett był związany przez wiele lat. Po raz pierwszy odwiedził Berlin z okazji niemieckiej premiery *Godota* w Schlosspark-Theater, w 1953 (tuż po paryskiej, światowej prapremierze w Théâtre de Babylone w reżyserii Roger'a Blin'a). Schlosspark- Theater był jedną ze scen Staatliche Schauspielbünen Berlins. Prawie wszystkie sztuki Becketta miały niemieckie prapremiery na scenie Staatliche Schauspielbünen, a niektóre z nich były premierami światowymi. Beckett osobiście wiele z nich w tym teatrze reżyserował. Berlin Zachodni był w latach 50-tych i 60-tych światową stolicą inscenizacji teatralnych Becketta. „Muszę stwierdzić, że Berlin Zachodni stał się miastem Becketta" powiedział autor *Końcówki* dwadzieścia lat później w jednym z nielicznych wywiadów prasowych. (Dziennikarzy unikał jak ognia). Liczne sztuki Becketta zostały wystawione w Berlinie na kameralnej scenie Schiller-Theater Werkstatt. Sam wyreżyserował na scenie tego teatru *Końcówkę* (1967), *Ostatnia taśmę Krappa* (1969), *Radosne dni* (1971) i w końcu, 8 marca 1975 odbyła się premiera *Czekając na Godota* w reżyserii autora. Jest kilka przedstawień, które zakorzeniły mi się w pamięci emocjonalnej i do których często wracam przez ponad czterdzieści lat; *Apocalypsis cum figuris* Jerzego Grotowskiego, *Umarła klasa* i *Wielopole, Wielopole* Tadeusza Kantora oraz beckettowska reżyseria *Warten auf Godot* w Schiller-Theater. Pamiętam niezwykłą, chirurgiczną wręcz precyzję ruchu scenicznego, gestu, spojrzeń... Pamiętam monolog Lucky'ego, w apoteozie którego Pozzo chował się pod składanym, krzyżakowym taboretem, pamiętam cyrkowe, popielato-czarne kostiumy klaunów; Vladimir miał czarną podartą marynarkę i szare spodnie w paski, Estragon zaś miał marynarkę w prążki, a spodnie czarne. Pozzo był w kostiumie w kratę; spodnie, kamizelka, koszula, wszystko w wielką kratę. I obszerny, czarny płaszcz. Lucky'ego kostium był popielaty, bardzo zniszczony, podarty. Kamizelkę miał w kratę, jakby zdjętą z Pozzo. Rok temu dowiedziałem się, że wątłe spopielałe drzewko o trzech gałęziach, (niemy świadek oczekiwania), zaprojektował Alberto Giacometti co nie zostało zaznaczone w ulotce-programie do spektaklu, którą przechowuję niczym relikwię; Inszenierung - Samuel Beckett, Bühne und Kostüme - Matias, Estragon - Horst Bollmann, Wladimir - Stefan Wigger, Lucky - Klaus Herm, Pozzo - Carl Raddatz, Ein Junge - Torsten Sense, Pause nach dem 1 Akt. Niedawno dowiedziałem sie, że to drzewko zaprojektowane przez Giacomettiego zakończyło swój żywot na paryskim bruku. Po ostatnim przedstawieniu zostało wyrzucone na śmieci czekające na przyjazd śmieciarki.

W 1956 roku Beckett zaproponował Busterowi Keatonowi rolę Lucky'ego w *Godocie*. Przyznając, że niczego w sztuce nie zrozumiał, Keaton odrzucił propozycję autora-reżysera. Dziewięć lat później zaakceptował główną rolę w zrealizowanym przez Becketta krótkometrażowym filmie pod tytułem *Film*. Jest to dzieło prawie nieme, w którym Beckett eksploruje kwestie spojrzenia i percepcji siebie poprzez sztukę aktorską Keatona. Znajdując się w trudnej sytuacji materialnej, Keaton przyjął propozycję Becketta, któremu wcześniej odmówił zagrania w *Filmie* Charlie Chaplin. „*Nie wiem, czy przeczytał scenariusz. Wątpię czy mu się spodobał, ale zaakceptował zagrać tę rolę.*" – zwierzył się Beckett historykowi kina, Kevinowi Brownlow. Keaton potrzebował forsy, a Beckett jego unikalnej, plastycznej twarzy z przenikliwym spojrzeniem.

Moje doświadczenia reżysera i pedagoga z Beckettem są szczególne. W latach 1986−1995 pracowałem w podparyskim teatrze „Eurydice" w Villepreux. Aktorzy byli ludźmi z kręgu niepełnosprawnych, społecznie niedostosowanych, okaleczonych najboleśniej, bo na umyśle. Niektórzy z nich nie umieli czytać, pisać. Czytałem tekst na głos, a oni powtarzali go za mną. Wielokrotnie czytałem zdanie, które wielokrotnie za mną powtarzali. W ten sposób uczyli się ról na pamięć. I nauczyli się. A ja, pracując z nimi, uczyłem się cierpliwości i z dnia na dzień wzrastała we mnie nadzieja. Niektórzy z nich byli też okaleczeni fizycznie. Poruszali się z trudem. Pracowałem z nimi w ramach codziennych wielogodzinnych ćwiczeń, wieloletniego szkolenia, między innymi nad scenami z *Godota* i z *Końcówki*. Nigdy nie zapomnę tej drogi w stronę nadziei. Podobne doświadczenie przeżyłem, prowadząc dwutygodniowy staż w teatrze „l'Oiseau- Mouche" w Roubaix, na północy Francji. Tak jak w Villepreux, aktorzy z Roubaix byli ludźmi upośledzonymi fizycznie i umysłowo. Rezultaty tej pracy były zaskakujące. Oni się świetnie bawili, dostarczając widzom szczególnych emocji – łez radości wymieszanych z głębokim poruszeniem. Dzięki pracy z tymi nie-doskonałymi aktorami zacząłem myśleć nad tym, jak zrównoważyć w *Godocie* śmiech i wzruszenie, by nie popaść w farsę lub w ton wyłącznie minorowy – zasmucający, przygnębiający. Wróciłem do *Godota* kilka lat temu, pracując z moimi studentami w Konserwatorium w Maurepas i w Szkole Teatralnej w Montigny. W Maurepas, Vladimira, Estragona, Pozzo i Lucky'ego grały kobiety. Dobrze to wypadło i bardzo dobrze zostało przyjęte przez publiczność.

Postaci

Każda z postaci Becketta jest dotknięta chorobą. Aspekt fizjologiczny jest dla mnie punktem wyjścia do rozwiązania kwestii ruchu postaci na scenie, relacji między nimi i ustalenia miejsca każdego z nich w przestrzeni.

Vladimir ma problemy z prostatą. Dotyka go nieustanna potrzeba sikania, więc jest ciągle w ruchu, nie może ustać w miejscu. Ta trapiąca go konieczność oddania moczu koresponduje z ruchem w stronę kulis w oczekiwaniu na Godota. Widzę go często opróżniającego pęcherz za menhirem, wiecznym i nieporuszonym świadkiem oczekiwania na... Vladimir i tylko on, jest świadomy wagi przybycia Godota. Jego przemieszczanie się, jego ruch odbywa się na podobieństwo nieudolnego tańca, przytupywania ze ściśniętymi kolanami, dręczenia się samym sobą. A jednocześnie spogląda w lewo i w prawo, w tył i w przód w oczekiwaniu na pojawienie się Godota.

Jak go widzę?

Vladimir jest ubrany w czarno-szary płaszcz, zniszczony, bardzo zniszczony. Na sobie ma podkoszulkę bez rękawów, we Francji zwaną „marcellem", koloru ciemnopopielatego. Zniszczone czarne spodnie są za szerokie i za długie. Na głowie ma kapelusz-melonik równie zniszczony i brudny jak reszta odzienia. Na bosych stopach buty z dwóch różnych par: jeden czarny, drugi brązowy... Nie jest to konieczne, ale można spróbować... Vladimir ma głos nieco zmęczony, twardy i ciepły.

Estragon cierpi. Bolą go nogi, a nade wszystko stopy, zatem porusza się, kiedy musi. Jest ciągle głodny i senny. Nieustannie chce mu się spać. Estragon, jeszcze bardziej niż trzej pozostali, jest dzieckiem. „Dzieckiem podszyty". Jednym z charakterystycznych rysów postaci Becketta jest ich niedojrzałość. Jeszcze jedna paralela z Gombrowiczem. Estragon śpi, je, od czasu do czasu ma przebłyski jasności, olśnienia i znakomitego humoru. On nie jest księżycowym Pierrotem ani zanikającym elfem. Estragon to worek snu z nagłymi przebudzeniami.

Estragon jest ubrany w czarną, zniszczoną marynarkę smokingową, pamiątkę dobrych, starych czasów, ciemnopopielate w czarne prążki spodnie, za szerokie, przepasane sznurkiem z morskiej trawy, rafii. Stare, zniszczone buciory, których na początku nie może zdjąć, są o dwa–trzy numery za duże na jego stopy. Dziurawe skarpety. Na gołej szyi zniszczona muszka, a może krawat lub chusteczka (?)... Mały kapelusz, kapelutek, równie brudny i zniszczony jak reszta odzienia, który często spada mu z głowy.

Estragon ma głos chłopięcy, dziecinny. Chciałbym, by przypomniał Tadeusza Fijewskiego w pamiętnej, historycznej realizacji Jerzego Kreczmara w Teatrze Współczesnym w Warszawie w 1957 roku, którą znam li tylko z zachowanych dokumentów (*Almanach sceny polskiej*).

Kilka lat temu, w Bretanii, dostrzegłem w nędznej klatce umieszczonej w cyrkowej ciężarówce dwie biedne małpy. Wtulały się w siebie z wyrazem nieopisanego nieszczęścia. Odniosłem wrażenie, że mniejsza chce zaopiekować się większą. Przyglądając się im, myślałem o Didi i Gogo. To Estragon opiekuje się Vladimirem i chce go ochronić przed wszelkim złem. Estragon jest mniejszy od Vladimira. Przyglądając się małpom zdałem sobie sprawę z tego, jakie relacje powinny zaistnieć między Didi i Gogo.

Ci dwaj włóczędzy Becketta są często ze sobą złączeni niczym syjamscy bracia, jak para starców związana poprzez aglutynację, a jednocześnie nie mogą siebie znieść („Ja już dłużej z nim nie wytrzymam").

Często tworzą jakby skompaktowaną masę. Jeden potrzebuje drugiego, nie mogą się rozstać na dłużej, a jednocześnie nie znoszą współobecności.

Przyzwyczajenie prowadzi do nudy. Nuda rodzi rozpacz.

Kiedy są zadowoleni, szczęśliwi z odnalezienia się, ich uściski przypominają diastole i systole. Jakby mieli wspólne serce. Inkrustują się fizycznie ciało w ciało i nagle brutalnie się rozchodzą. Ich relacja nie ma nic wspólnego ze związkiem homoseksualnym. Tworzą blok. Jak menhir, niemy świadek ich walki i ich miłości.

Szukać i znaleźć, co jest wieczne w relacji dwóch istnień.

Pozzo jest chory na serce. Jest ogromny, gruby, obszerny. Pozzo to masa ciała. Jest chory, jak pozostali protagoniści *Godota*. Pozzo, najstarszy ze wszystkich, jest niedojrzały i głupszy niż pozostali, ale jest obrazem niewinności. Mimo usiłowań bycia autorytetem dla Didiego i Gogo, mimo pokrzykiwania i agresywności niweczy swoje oczekiwania. Pozzo to typowy kabotyn.

Pali fajkę, ma problemy z oddechem, ponieważ jest zbyt gruby, ma płaskostopie. Chodzi mu się trudno ze stopami rozwartymi na zewnątrz. Brzuch go prowadzi. Przed innymi zawsze odgrywa jakąś „rolę". Jest chytry, przebiegły i podstępny. To strateg i oszust. Cierpi z samouwielbienia, z miłości do siebie, kiedy nie jest przez widzów (Didi i Gogo) podziwiany, na co w swoim przekonaniu zasługuje. Organizuje dla Estragona i Vladimira „spektakle", interpretowane przez Lucky'ego. Kiedy Lucky zaczyna „myśleć", Pozzo staje się przygnębiony. Jest dumny z posiadania niewolnika-intelektualisty zdolnego do prowadzenia wykładu na zamówienie. Kiedy jest zmuszony przerwać monolog Lucky'ego, który nudzi i męczy Vladimira i Estragona, cierpi nieznośnie. Czuje się mocno upokorzony. Ma poczucie wstrętu, odrazy, niesmaku i zmęczenia. Pozzo to postać okrutna. Zarozumiały arogant. Żałosne widowisko. C'est un minable.

Jak wspomniałem wyżej, Pozzo jest gruby, majestatyczny, podniosły, imponujący masą. Jest ubrany trochę jak dżentelmen-farmer. Ma na sobie płaszcz-pelerynę koloru antracytowego z szarym odcieniem, metalicznym połyskiem. Spodnie bryczesy, buty z cholewami, tzw. oficerki, może nieco za duże. Błyszczące, świetnie wyglancowane. Koszula ze złamanym kołnierzykiem przyozdobiona pięknym krawatem-węzłem-kokardą. Zamiast marynarki ma na sobie kamizelkę z ciemnoczerwonego, bordowego sukna, z którego uszyty jest kostium Lucky'ego. W kieszeni kamizelki nosi duży zegarek-cebulę na złotym łańcuszku. Często po niego sięga i spogląda na godzinę, która jakby się zatrzymała. Pozzo jest łysy. Tak wynika z tekstu. Nosi duży, jasnopopielaty kapelusz, jaki nosili właściciele bawełnianych plantacji w Luizjanie w XIX wieku. Spod kapelusza wystają skromne kosmyki długich, biało-szarych włosów. Niezbędna wydaje mi się peruka. Na rękach ma duże, ponad miarę, czerwone, skórzane rękawice. W prawej ręce trzyma bat (bicz), którym chłosta i strzela zręcznie niczym kuglarz.

Pozzo mówi głosem podniosłym, sztucznie uroczystym, pełnym udawanej godności, ale jasnym, sięgającym daleko, bardzo daleko.

Lucky ma chorą głowę. To niewolnik-intelektualista. Gdyby bawić się w logiczne uporządkowanie zdań, to z jego monologu można byłoby wysnuć koherentny dyskurs na temat higieny, żywności, sportu, kamieni. Zaczyna monolog, jak pisze w didaskaliach Beckett, w sposób monotonny. Z biegiem wypowiadanych słów widzę go i słyszę mówiącego coraz szybciej, coraz głośniej. Zaczyna się trząść od stóp po głowę. Skręca się jakby był w transie, cieknie mu ślina z ust, można odnieść wrażenie, że za chwilę jego oczy wyskoczą z oczodołów. Ta sekwencja winna być dla Didiego i Gogo (i dla publiczności) nie do zniesienia, nie do wytrzymania. Lucky jest „aktorem" świadomym swej władzy. Odgrywa w sposób okrutny słabości Pozzo. Psuje mu satysfakcję i przyjemność posiadania niewolnika. Od czasu do czasu spogląda w stronę Pozzo z wyrazem nienawiści. Lucky, podobnie jak inni, jest zdziecinniały, ale zdaje sobie sprawę ze statusu niewolnika i mści się podstępnie, świadomie.

Związek między Pozzo i Luckym jest związkiem klasowym. Wyzyskujący i wyzyskiwany. To różnica klas społecznych. Oczywiście, że jest to związek Władcy i Niewolnika, w którym mamy okrucieństwo i nienawiść, ale też przywiązanie i miłość. Powinien być wysoki i szczupły, chudy. Lucky'ego powinna zagrać aktorka. Lucky nie jest mężczyzną, Lucky nie jest kobietą, jest trans-gendralny, transpłciowy.

Jego kostium widzę w stylu „laquais français". Obszerna, ciemnoczerwona, bordowa kamizela, sięgająca do kolan, ze złotymi galonami, marynarska podkoszulka z długimi rękawami w granatowe paski, czarne spodnie do kolan, zwisające na szelkach. Para butów przypominających buty klauna. Na głowie biedny, podarty słomiany kapelusz. Spod kapelusza spływają mu na ramiona długie, biało-szare, brudne włosy. Nosi perukę (kiedy jest w transie, może mu ona spaść z głowy). Wszystkie elementy kostiumu są zniszczone, zużyte, w opłakanym stanie.

W drugim akcie chciałbym zamienić kostiumy Pozzo i Lucky'ego. Pozzo jest niewidomy, pojawia się w kostiumie Lucky'ego, głuchoniemy Lucky w kostiumie Pozzo. Łączy ich ten sam sznur. „Taka już klęska tych czasów, że ślepców wiodą wariaci" (Król Lear, IV,1). (Być może, Shakespeare zaczerpnął to zdanie z satyrycznego poematu z XV wieku, w którym refren brzmi: „the bisom leads the blind"). Może to jeszcze jedna zemsta Lucky'ego. Mam wątpliwość co do ślepoty Pozzo. Jest ślepy czy gra, udaje ślepego?

«Estragon: On jest ślepy?
Vladimir: Powiedział nam, że tak.
Estragon : No i co ?
Vladimir : Wydało mi się, że nas widzi.»

Czytając teksty Becketta zauważam, jak wielką wagę ma kropka na końcu zdania. Słowa, zdania Becketta są bardzo proste i premedytacyjnie banalne. W te błahe zdania są wplecione frazy o niezwykłej sile poetyckiej, jakby śpiewane. Słowo u Becketta ma swój ciężar, swój rytm, swoją śpiewność. Godot jest dla mnie rodzajem muzycznej partytury, w której zmieniają się frazy, tony, rytmy. Chyba nie każdy widz dostrzeże, usłyszy te nuty, które nadają utworowi siłę. Wielokrotność kropek po krótkich zdaniach-replikach nadaje tekstowi rytm i oddech, rytm liryczny, który zobowiązuje aktora do szczególnej uwagi. U Becketta kropka ma znaczenie dodatkowe – organizuje sens. Teksty Becketta należy czytać tak, jak czyta się wiersze, wtedy dostrzega się jego poezję. Z pozornego bełkotu dialogów można wydobyć Piękno.

Vladimir i Estragon istnieją w czasie, który mija i który u Becketta jest tematem podstawowym. Pojęcie czasu jest tu czymś tajemniczym.

Dwuznaczność i niejasność są nieustanne. Nie wiemy, jaki czas minął między pierwszym i drugim aktem. Noc, pół roku, rok? Czas jest wpisany w tytuł. Na Godota czekamy od chwili napisania sztuki (1950) i jej prapremiery w paryskim Théâtre de Babylone w 1953 roku w reżyserii Rogera Blina. Martwe drzewo z pierwszego aktu pokrywa się listowiem w akcie drugim.

Godot to filozofia w cyrku. Człowiek i nadzieja, i brak nadziei. Człowiek i oczekiwanie, nuda trwania, koszmar istnienia. Jest też Godot manifestem optymizmu i humanitaryzmu. To optymizm z trudem przebijający się przez cierpienia i ciemności. Optymizm triumfujący. Uwierzyć w siłę i sens doświadczeń Hioba. Wierzyć w mądrość i piękno czekania. Czy Godot przybędzie? Czy nadejdzie? Czy usłyszymy jego kroki? Czy naprawdę istnieje? Gdzie przebywa? Jak wygląda? Co dziś znaczy Godot? Z czym się rymuje? Z jakim duchem czasu? W Europie, w skłóconej dzisiaj Polsce, w świecie pełnym konfliktów, zagrożonym klimatycznymi zmianami. Na co dzisiaj czekamy? Na koniec? Na Fin de partie?

Trwać w nadziei. Trwanie nie jest nudne. Jest w trwaniu obecność nadziei.

CHŁOPIEC był często interpretowany jako anioł, zwiastun Godota-God'a-Boga. Według mnie jest to dwunasto–trzynastoletni chłopiec ubrany jak un petit paysan, bose chłopskie dziecko. Un Va-nu-pieds. Bosonóg. Może też być zagrany przez dziewczynkę. Jest w głębi sceny. (Vidéo ?) Boi się podejść bliżej.

Czekając na Godota

wymaga w moim przekonaniu dużej przestrzeni scenicznej,minimum 10 metrów otwarcia i 8–10 metrów głębi.

W pierwszym akcie, côté jardin, stoi ogromny pięciometrowy menhir. Côté cour, przewrócony kubeł na śmieci, z którego wystaje martwe drzewko. Przestrzeń ma być na podobieństwo jałowego no man's landu, jakby ziemia zrobiła się całkowicie sterylna. Jeżeli są rośliny, trawy, to uschnięte. Współczesny śmietnik świata na progu ekologicznej apokalipsy. Obecne są: przyćmione, przymglone smogiem słońce, zasłonięty przez toksyczne chmury księżyc, brudny deszcz, porywy wiatru, mgły, dymy unoszące się z płonących fabryk środków chemicznych.

Pierwszy akt kończy się trzęsieniem ziemi. Menhir przewraca się z hukiem. W drugim akcie, który nazywam horyzontalnym, menhir staje się dolmenem, pod którym podsypia Estragon. Budzi go śpiew Vladimira. Wszyscy czterej od czasu do czasu upadają. Podnoszą się z trudem i... upadają. W końcu tworzą jedną bryłę, jedną ludzką masę. Plątanina ciał. Głowy, nogi, brzuchy, ramiona wymieszane. Cmentarzysko. Zbiorowy grób ludobójstwa. Koniec ludzkości? Fin de partie? Ale to już inna historia. Końcówka. Kropka.

Kazimierz Skorupski

EXLIBRISY Zbigniewa Kresowatego

EX LIBRIS
CZESŁAWA
Miłosza

EX LIBRIS
ZBIGNIEWA
BIEŃKOWSKIEGO

EX*LIBRIS
VACLAVA HAVLA

EX*LIBRIS
ZBIGNIEWA
HERBERTA

EX LIBRIS
X*LIBRIS
ZAGAJEWSKIEGO
ADAMA

ZBIGNIEWA JOACHIMIAKA
EXLIBRIS

EX*LIBRIS
EDY

EX*LIBRIS
EX*LIBRIS
ROGATY WICZYŃSKIEGO

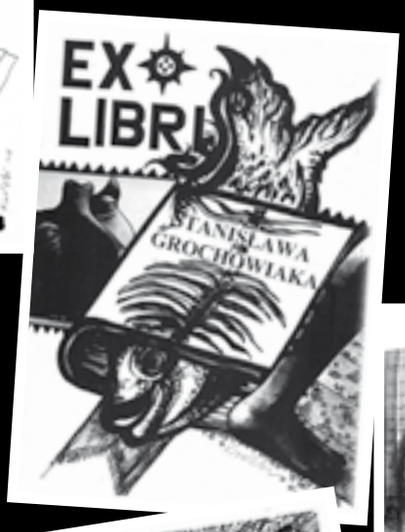
EX LIBRIS
STANISŁAWA
GROCHOWIAKA

EX*LIBRIS
J@CKA
DURSKIEGO

EX*LIBRIS
JANA
POLKOWSKIEGO

EX*LIBRIS
JERZEGO
TRYCKOWSKIEGO

EX*LIBRIS
MARCINA
SWIETLICKIEGO

EXLIBRIS
OKO
LICY
POETOW

EX*LIBRIS
Andrzeja
BURSY

EXLIBRIS
DUDKA-DURERA
ANDRZEJA

ROZMOWA

Roman Warszewski

Z Wacławem Korabiewiczem – pisarzem, lekarzem, podróżnikiem i religioznawcą, rozmawia Roman Warszewski

JAK POŁĄCZYĆ OGIEŃ Z WODĄ?

Z książek **Wacława Korabiewicza** (1903–1994) świata uczyły się co najmniej dwa pokolenia Polaków. Będąc lekarzem z zawodu, a etnografem i religioznawcą z zamiłowania, Korabiewicz spędził przeszło dwadzieścia lat w Afryce. Plonem jego pracowitego życia są 22 książki, obejmujące niezwykle szeroki wachlarz tematów – od historii sztuki po literaturę faktu. Ostatnia jego książka – „Tajemnica młodości i śmierci Chrystusa", w której Autor dowodzi, że Jezus osiemnaście lat spędził w Indiach – stała się wydawniczym hitem, wywołując jednocześnie liczne kontrowersje i polemiki.

Niniejszy wywiad został przeprowadzony pod koniec roku 1993, na krótko przed śmiercią Wacława Korabiewicza, który niniejszego tekstu nie zdążył już autoryzować. Teraz, gdy minęło już 30 lat od jego śmierci, a 120 lat od jego urodzin, wydaje mi się, że mimo wszystko warto go upublicznić.

– Od dawna planowałem porozmawiać z Panem, ponieważ liczne peregrynacje zaprowadziły Pana także w zakątki, gdzie i ja bywałem. Jednak nie będę ukrywał, że ostatecznym impulsem, który doprowadził do naszego spotkania, była lektura Pana ostatniej książki opublikowanej przez wydawnictwo Przedświt pt. „Tajemnica młodości i śmierci Jezusa". Poprzednio czytałem takie Pańskie książki, jak „Mato Grosso", „Słońce na ambach", czy „Kajakiem do Indii", toteż bardzo się zdziwiłem, że dość niespodziewanie podjął Pan temat z pogranicza biblistyki i religioznawstwa.

Przez lata podróżował Pan po świecie, będąc w poprzedniej epoce chyba jednym z największych polskich obieżyświatów, teraz natomiast – mając 92 lata – zwrócił się Pan ku zagadnieniom religii i filozofii. Z jednej więc strony urzeczywistnia Pan ideał staroindyjskiego „sadhu", zgodnie z którym, jakby na podsumowanie życia, w wieku sędziwym, należy zająć się sprawami ducha; z drugiej strony – realizuje Pan średniowieczny ideał następstwa „vitae contemplativa" po „vitae activa" – życia pełnego refleksji po życiu wypełnionym wieloma niecodziennymi przedsięwzięciami. Czy ma Pan przez to poczucie pełni i ostatecznego spełnienia, czy też traktuje to Pan jako jeszcze jeden etap – podążanie przez siebie drogą w ciągle w tym samym, nieznanym kierunku?

– Na pewno nie mam poczucia spełnienia. Wciąż brakuje mi kropki nad „i". To prawda, że w życiu zajmowałem się bardzo wieloma pasjonującymi rzeczami, mam jednak wrażenie, że większość z nich pozostaje niekompletna, niewykończona, niepełna. Nie wiem, być może takie jest życie każdego człowieka… Nie uważam, że należy wszystko koniecznie dopinac na ostatni guzik, chodziłoby mi jednak, by móc jakoś bardziej uporządkować. Gdy tak myślę, być może przemawia przeze mnie lekarska natura.

– Właśnie. Jest pan lekarzem. Jak do tego doszło, że został pan również podróżnikiem, a nastepnie biegłym reportażystą.

– Podróżnikiem się nie zostaje. Podróżnikiem się po prostu jest. Nie wie pan tego? Z tą żyłka, z ta ciekawością i niepokojem trzeba po prostu się urodzić. Mnie zawsze ciągnęło w świat, od najwcześniejszego dzieciństwa. Właśnie dlatego chciałem zostać marynarzem; do szkoły morskiej nie przyjęto mnie jednak z uwagi na słaby wzrok, który potem, w tropikach jeszcze bardziej mi się zepsuł. Wtedy któryś z moich krewnych podsunął mi pomysł, by studiować medycynę, ażeby później – już z dyplomem w kieszeni – móc zaciągnąć się na jakiś statek jako lekarz okrętowy. Tak też zrobiłem.

– Medycyny nie wybrał więc pan z powołania.

– Wprost przeciwnie. To był prawdziwy dopust boży. Przed każdą sesja egzaminacyjną byłem przekonany, że tym razem to już na pewno mnie wyleją… Z trudem, ale wytrwałem do końca studiów. Przy życiu trzymała mnie tylko coraz bliższa wizja dalekich podróży.

– Po studiach zaciągnął się pan na „Dar Pomorza"?

– Napisałem list do ówczesnego lekarza na jego pokładzie – doktora Kamińskiego z zapytaniem, czy nie jest już zmęczony pływaniem i czy nie mógłbym go zastąpić. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu, wkrótce nadeszła odpowiedź twierdząca. Dr Kamiński miął już dość morza i zamierzał zejść na ląd; właśnie rozglądał się za swoim następcą, mój list nadszedł w samą porę. Adresat zaczął mnie nawet posądzać o jakieś nieznane zdolności telepatyczne.

– Studia medyczne na Uniwersytecie Wileńskim skończył pan w roku 1931. Pracę na „Darze Pomorza" rozpoczął pan w roku…

– …1932. Na pokładzie „Daru" służyłem sześć lat, z roczna przerwą w 1935 roku, gdy żaglowiec popłynął wokół Hornu w rejs dookoła świata. Straciłem tę niepowtarzalna okazję, ale zdecydowałem się wtedy na rejs kajakiem do Indii, co później opisałem w książce. Zdradziłem „Dar" właśnie dla Indii. Indie okazały się silniejsze od morza.

– **Indie – moim zdaniem – sa pewnym elementem, który czyni z pańskiego …życia spójną całość. Potem miał pan tam jeszcze wrócić dwa razy. Raz – gdy mając przeszło 80 lat zapragnął pan znów kajakiem podróżować w południowoindyjskiej prowincji Kerala. Po raz drugi – już nie dosłownie, lecz w przenośni – gdy pisał pan swa ostatnia książkę o młodości śmierci Jezusa.**

– Indie zawsze mnie fascynowały. W czasie studiów zainteresowałem się jogą i przestudiowałem całą dostępna wtedy na ten temat literaturę. Właśnie dlatego ruszyłem na swą pierwszą wyprawę kajakiem. To, co znałem z książek, chciałem móc dotknąć i zobaczyć z bliska. Kajak wydawał mi się najwłaściwszym środkiem transportu. Najwłaściwszym, bo najprostszym i najtańszym.

– Z Indii wrócił pan znów na „Dar Pomorza". Na jego pokładzie zastała pana wiadomość o wybuchu wojny…

– Tak. 1. września 1939 roku dostaliśmy rozkaz schronienia się w porcie neutralnym, a że przebywaliśmy na Bałtyku, zawinęliśmy do Szwecji. Stamtąd, przez Norwegię trafiłem do Wielkiej Brytanii, a w Anglii – jako lekarz – przydzielony zostałem do załogi okrętu wojennego „Piłsudski".

– „Piłsudski" został wkrótce storpedowany przez Niemców…

– Byłem akurat wtedy na pokładzie. Wpadłem do wody, szczęśliwie jednak zostałem wyłowiony przez Brytyjczyków i z lekka kontuzją trafiłem do Londynu. Tam, jako pracownik Czerwonego Krzyża organizowałem pomoc dla naszych jeńców. Typowo biurokratyczna praca szybko mi się jednak znudziła i zaproponowałem władzom, żeby wysłały mnie gdzieś w świat, na jakąś odległą placówkę. Wybór padł na Brazylię, gdzie miałem organizować tamtejszy system ochrony zdrowia. Tym sposobem w 1943 roku znalazłem się w Rio de Janeiro.

– W sumie, z tego co pamiętam, jednak nie objął pan tej placówki.

– Nie ponieważ zanim dopłynąłem do Ameryki, już ktoś inny zajął moje miejsca i moja akredytacja w sumie nigdy nie nadeszła. Nie mając środków do życia, jako lekarz, przyłączyłem się wtedy do międzynarodowej wyprawy, która udawała się do Mato Grosso, by zbierać okazy fauny dla muzeów z całego świata., Ekspedycja trwała dwa miesiące (opisałem ją później w książce „Matto Grosso"), a po powrocie do Rio ambasador polski powierzył mi zadanie opieki nad polskimi uchodźcami wojennymi w Afryce. Było dla mnie jasne, że władze Polskiego Czerwonego Krzyża z Londynu chciały w ten sposób zatrzeć złe wrażenie, jakie powstało po tym, jak nic nie wyszło z mojego objęcia placówki w Brazylii. Były to chlubne czasy, kiedy jeszcze obowiązywał jakiś kodeks honorowy… Teraz można coś takiego tylko powspominać… Wsiadłem na statek i popłynąłem do Kapsztadu.

– Rozpoczęła się pańska afrykańska odyseja…

– Z Kapsztadu udałem się do Rodezji, by ostatecznie trafić do ówczesnej Tanganiki. W sumie przebywałem tam do roku 1949. Z czasem jednak Polski Czerwony Krzyż w tym rejonie przestał działać i musiałem szukać zatrudnienia w innym miejscu. Zacząłem wtedy współpracę z muzeum Etnograficznym w Dar es-Salam.

– Odkrył pan świat afrykańskiego folkloru, sztuki…

– Zacząłem zbierać eksponaty dla miejscowego muzeum i organizować ekspedycje badawcze. Część okazów odkładałem z Myśla o muzeach w Polsce. Przy nadarzającej okazji wysłałem je do Warszawy, a po kilku miesiącach przyszło podziękowanie wraz z niewielką kwota na

zakup dalszych eksponatów. Władze Tanganiki zaczęła mnie jednak podejrzewać o… szpiegostwo i nakazały mi natychmiastowe opuszczenie kraju. Nie pomogło nawet to, że akurat wtedy zorganizowałem już wyprawę do Mozambiku dla Muzeum Historii naturalnej w Nowym Jorku i że uchodziłem już za eksperta w dziedzinie afrykańskiego rękodzieła. Musiałem opuścić kraj. Zostałem uznany za „persona non grata".

– Był rok 1952. Poleciał pan do Londynu.

– Londyńska mgła jednak mi nie służyła, toteż gorączkowo zacząłem podszukiwać jakijs możliwości powrotu do Afryki. Trwało to prawie rok, ale w końcu dopiąłem swego. Jako lekarz zostałem zaangażowany do Etiopii.

– Etiopia to bardzo ważny etap w pańskim życiu: po raz pierwszy zwrócił się pan wtedy ku zainteresowaniom religioznawczym.

– W czasie wolnym od praktyki lekarskiej, zainteresowałem się chrześcijaństwem koptyjskim i drewnianymi krzyżami, wykonywanymi przez tamtejszych mnichów. Zacząłem badać historię tych krzyży (czego owocem jest książka pt. „Pogoń za amuletem") i je kolekcjonować. W sumie zebrałem ponad czterysta unikatowych okazów i zbiór ten w całości przekazałem potem Muzeum Narodowemu w Warszawie. Zdaniem profesora Michałowskiego, obok fresków z Faras, krzyże, które zebrałem w Etiopii, stanowią prawdziwą ozdobę warszawskiego muzeum.

– W roku 1958, po wygaśnięciu kontaktu w Etiopii, przyleciał pan do Warszawy. Ale nie na długo…

– Pod koniec pobytu w Addis Abebie powrotu z Afryki Zachodniej, z jednym wyjątkiem: w latach 80.–tych zapragnąłem jeszcze raz wrócić do Indii.

– Właśnie. Indie są owym powracającym motywem pańskiego życia; z tym, że z tego co wiem, akurat ta wyprawa nie należała do udanych.

– Nie, ponieważ zapragnąłem powtórzyć moje kajakowe wyczyny z czasów młodości. A lata były już nie te, poza tym chorowałem na astmę… Toteż z mojego wiosłowania na rzekach Kerali nic nie wyszło. Jak najszybciej, samolotem wróciłem do Polski. To była moja ostatnia podróż, Odtąd postanowiłem już nigdzie nie wyjeżdżać. Zajęć mi nie brakowało. Miałem wielkie bogactwo materiałów do przemyślenia i opracowania.

– Wydaje mi się, że ta nieudana wyprawa do Indii zaowocowała m.in. pańska ostatnią, jakże kontrowersyjną książka „Tajemnica młodości i śmierci Jezusa". Przy jej pisaniu jeszcze raz ruszył pan na Gangesem. Tym razem – na papierze.

– Ta książka drzemała we mnie długie lata. Już w czasie mojej pierwszej wyprawy do Indii, w 1935 roku, jeden z joginów w Riszikeszu jedno bardzo znamienne zdanie: „Chrystus był naszym człowiekiem". Bardzo mnie to zastanowiło i jednocześnie zaniepokoiło. Następnie przed wyjazdem z :Londynu do Etiopii – dosłownie w przededniu wylotu – w bibliotece Muzeum Brytyjskiego natrafiłem na egzemplarz książki niejakiego **Nikołaja Nutowicza** z roku 1887 pod tytułem „Nieznane życie Jezusa Chrystusa". Natychmiast ją przewertowałem (za szczegółową lekturę nie było już czasu), i uzmysłowiłem sobie, że ma ona jasny związek z tym zastanawiającym zdaniem., wniebowstąpienie powinno być rozumiane jako odejście z Palestyny do Indii. Stara się to także sugerować dokument z Himis.

– Ociera się pan w ten sposób o herezję. Twierdzi pan bowiem, że Chrystus po zdjęci z krzyża nadal żył. Podważą pan dogmat o męczeńskiej śmierci…

–… i zmartwychwstaniu. A to natychmiast musi wywołać liczne protesty Kościoła. Proszę jednak zwrócić uwagę na to, że np. badania nad Całunem Turyńskim tez w pewnym momencie zaczęły wskazywać na to, że Chrystus mógł żyć po zdjęciu z krzyża. Charakterystyczne jest to, iż od tamtej chwili Kościół zaczął się dystansować od poprzednio wielokrotnie potwierdzanej autentyczności całunu.

– Tezy swojej książki – 18 lat spędzonych w młodości przez Chrystusa w Indiach, przetrwanie męki na krzyżu, ponowne odejście do Indii zamiast zmartwychwstania i wniebowstąpienia – każe pan rozumieć jak najbardziej dosłownie. Nie sądzi pan, że w ten sposób utrudnia percepcję jej posłania? Czy nie lepiej to, co pan pisze, uznać za swego rodzaju metaforę?

– Jaką metaforę ma pan na myśli?

– Bo być może w tym co pan napisał kryje się pewne podświadome przesłanie. Po pierwsze – stwierdza pan, że Indie i Europa są sobie bliższe niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Synonimem Europy jest przecież chrześcijaństwo, pan natomiast lata formowania się osobowości Jezusa umieszcza właśnie w Indiach. Sugerowanie nader bliskiego pokrewieństwa Europy i Indii jest przypomnieniem niczego innego, jak indoeuropejskich korzeniu obu tych regionów – kontynentu i subkontynen-

Jak połączyć ogień z wodą?

zacząłem starać się o pracę w Ghanie. Był to jednak kraj wielce zbiurokratyzowany i zanim otrzymałem ostateczną odpowiedź, zdążył wrócić do Polski. Niemniej pracę tam otrzymałem i za rok znów byłem w Afryce. Wyzwanie było duże i niezwykle frapujące. Miałem poznać całkiem nowy region.

– Żyłka kolekcjonera i etnografia pana tam także nie opuszczała.

– To prawda, choć pod względem etnograficznym jest to teren mniej interesujący niż Tanzania, Mozambik, czy Etiopia. W Afryce Zachodniej zbierałem przede wszystkim obrzędowe maski. Z niezliczonych eskapad, podejmowanych moim gigantycznym chevroletem, przywiozłem ich łącznie dwa tysiące. Wiele z nich jest naprawdę pięknych i unikatowych. Wszystkie przekazałem do Muzeum Narodowego, choć – co muszę powiedzieć z pewna przykrością – w salach, w których sa teraz eksponowane (w przeciwieństwie do kolekcji krzyży) brak jest jakiejkolwiek wzmianki na ten temat.

– W początku lat sześćdziesiątych na stale wrócił pan do Polski. Prowadził pan jakąś praktykę lekarską?

– Nie. Zacząłem pisać książki. Miałem bardzo wiele do opowiedzenia. Łącznie napisałem 22 pozycje, a w tej chwili pracuję jeszcze nad trzema dalszymi. Właściwie przestałem jeździć po świecie od czasu usłyszanym swego czasu w Indiach. Potem, w Afryce, spotkałem pewna antykwariuszkę z Nowego Jorku, która obiecała mi odnaleźć ten tytuł. Z danego mi słowa, bardzo dobrze się wywiązała – książkę po pewnym czasie otrzymałem i tym razem mogłem ją dokładnie przestudiować. Zawarte w niej tezy wydały mi się na tyle istotne i obrazoburcze, że sam ten temat postanowiłem podjąć w kolejnej książce.

– Przypomnijmy: Nikołaj Nutowicz – rosyjski wojskowy, w XIX wieku natrafił w klasztorze Himis w Himalajach na dokument relacjonujący życie Chrystusa w Indiach. Twierdzi on, że między 12. a 30. Rokiem życia Chrystus pobierał nauki u hinduskich joginów i że w ten sposób można wyjaśnić tajemnicę tego okresu jego życia, który w biblistyce jest określany, jako „lata w utajeniu".

– Tak, ja także podejmuję ten wątek w mojej książce. Przytaczam tłumaczenie całego manuskryptu z Himis i staram się podbudować jego treść odpowiednimi cytatami z czterech ewangelii. Tezę o osiemnastoletnim pobycie Chrystusa w Indiach próbuje podbudować własnym materiałem dowodowym, a we wnioskach posuwam się nawet nieco dalej niż Nutowicz. Uważam, że dzięki naukom wyniesionym z Indii, Chrystus mógł przeżyć mękę na krzyżu i że jego tu: ich wspólnego, choć historycznie odległego rdzenia. Inaczej mówiąc, próbuje pan połączyć ogień z wodą. Ostatecznie może to oznaczać, iż ludzie w różnych częściach świata, mimo dzielących ich kulturowych barier, inności i egzotyki, w sumie są sobie bliżsi niż z pozoru mogłoby się wydawać. Posłanie tego typu, i ludziom, i światu jest bardzo potrzebne. Natomiast to, co pan sugeruje, może w sumie narazić tę w sumie bardzo cenna książkę na napiętnowanie, a w najlepszym razie na otoczenie jej zmową milczenia. Oj, niechcący rozgadałem się…

– Ale to interesujące spojrzenie, na pewno mieści się ono w wachlarzu możliwości, które mniej lub bardziej świadomie rozważam.

Każdy może tę książkę tak rozumieć, jak mu to bardziej odpowiada. To właśnie specyfika tego medium: w pewnej chwili książka zaczyna żyć własnym życiem, niezależnie od intencji autora. Ja nie mam nic przeciwko wielu różnym sposobom jej interpretacji. Najważniejsze, by trafiła do intelektualnego obiegu i by znalazła możliwie wielu czytelników.

– Odnoszę wrażenie, że właśnie tak się dzieje…

Rozmawiał: **Roman Warszewski**

Grudzień 1993, Warszawa

Zbigniew Wojciechowski

żal
żal
za dziewczyną
za zieloną Ukrainą
pan Janek
odkłada swoją złotą guzikówkę
mówię panu że brak sił
i powietrza

chleb cięższy od kości
wyrywanych z bruku
kroimy ją na plastry
i chowamy
ukradkiem w kieszenie
idąc do pracy
umrzyjmy
miejmy to już za sobą

a gdybym dziś miał
napisać nowe życie
byłabyś w nim jaskółką
choć kilka dni
jedną wiosnę
do rana
by przeciąć niebo
raz

bo taką cię zrozumiałem
i o taką pytam
gdy pytam o drogę
o drogę na dworzec
o spacer pod twoje drzwi
zaprosisz mnie na swój ślub?

A wy tu czego? - paszli do domu
WESELA NIE BĘDZIE!

ale i tak jakoś cię kochać muszę
jakoś tak chcę
musieć
trudno…

nie spytałem cię
nawet
o imię
zapomniałem
nie pomyślałem przecież
że jeszcze możemy
się spotkać
na ulicy rozpoznam cię
ale będę
milczał
bo co mam powiedzieć jak
zawołać
byś odwróciła głowę
przyszła została
na zawsze
umarła ze mną

pan tu nie stał
pan nawet
nie spytał czy
mógłby tu stanąć
pan pionowo nie istnieje
pan najwyżej horyzontalnie
może wbrew komuś
sobie
czy ja panu przerywałem?
czy ja panu przeszkadzałem?
proszę więc posłuchać
znika pan każdego
dnia
20/20
nie dostrzega pan
tego?
proszę zadbać
o siebie o
swój społeczny status o
ogólny porządek
o linię

blaknie mi
ojciec

nie zdążyłem
zobaczyć i zaplanować
blaknie mi ojciec
tak na amen

niech trochę wróci

W numerze prezentujemy prace Ewy Boguckiej-Pudlis

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 1 (82) 2024

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa), Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój) Roman Warszewski (Gdynia), Małgorzata Dorna (Wendrychowska), (Piła - Sopot)**

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork), Grzegorz Musiał (Bydgoszcz), Leszek Szaruga (Warszawa), Olga Śmiechowicz (Łódź), Marek Wawrzkiewicz (Warszawa), Krystyna Śmiechowicz (Łódź), Aleksandra Naróg, Urszula M. Benka, Andrzej Walter, Mateusz Wabik, Jerzy Lengauer, Marian Lech Bednarek Andrzej Wołosewicz

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Baltox Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl, joalike@gmail.com

Fundacja ŚwiattoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania":

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (46)

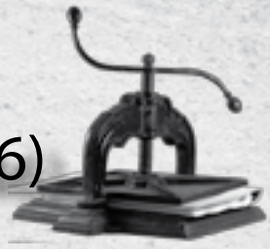

No to po wyborach i od razu dowiaduję się, że oto jest gorzej niż było, gdyż poddani zostaliśmy „terrorowi praworządności". „Terror praworządności" polega na tym, że obecna ekipa rządząca pragnie zrealizować ideał trójpodziału władz, w szczególności zaś doprowadzić do uniezależnienia władzy sądowniczej od władzy wykonawczej. Przeciw „terrorowi praworządności" protestują przede wszystkim... prawnicy (a może „prawnicy"?), zwłaszcza ci, którzy objęli wysokie stanowiska polityczne choć oczywiście nie tylko oni. Ale z pewnością to właśnie prawnicy od początku panowania pisów zwalczali coś, co określali mianem „kasty sędziowskiej" strzegącej czystości swego środowiska i zaciekle broniącej dostępu do zawodu osobom bez profesjonalnego przygotowania. Przeciwnicy owej „kasty" podkreślają, że nie jest ona poddana wystarczającej kontroli, że sędziowie sami siebie wybierają, a tym samym tworzą w społeczeństwie grupę zeń wyalienowaną, służącą abstrakcyjnemu prawu, gdy tymczasem winni być sługami realnego państwa. Tyle, że prawo o tyle wydaje się mało abstrakcyjne, iż kształtowane jest nie przez samych sędziów, lecz przez władzę... ustawodawczą: gdy parlament ustawę klepnie, a prezydent dopuści, wówczas jej właśnie służyć mają sędziwie. Jak widać, jakoś to się zazębia i zdaje się być konstruktem nie tylko stosownym, lecz nadto logicznym. Ale, że pozwolę sobie na żarcik, nie będziemy przecież ulegać terrorowi logiki :)

Problem jednak zdaje się być dla niektórych poważny. Opisując cywilizacyjny konflikt, w wyniku którego „europejska prawica została skolonizowana przez liberalną lewicę" Bronisław Wildstein w felietonie *Wojna PO-PiS jako cywilizacyjny konflikt* („Sieci" nr 7/2024) podkreśla: „Przywykliśmy rozumieć władzę w sensie politycznym, ale to jedynie coraz mniej znaczący element, który funkcjonuje obok wielkiego biznesu, potężnych korporacji (szczególnie sędziowskiej), w tym mediów. Władza polityczna, która jest jednak wybierana, a więc może wymknąć się z rąk, jest coraz bardziej ograniczana, a tym samym pozostawia coraz większe uprawnienia ośrodkom niewybieranym. Dokonywane jest to głównie przez rozbudowę systemu prawnego, który narzuca coraz bardziej restrykcyjne ograniczenia dla polityki i coraz głębiej interweniuje we wszystkie dziedziny życia pozbawiając ludzi autonomii". Ale jak to się dzieje, szanowny kawalerze Orderu Orła Białego, że doprowadza się do tej katastrofalnej dla władzy wykonawczej „rozbudowy systemu prawnego"? Czyż tworzeniem prawa nie zajmują się jak najbardziej wybieralni posłowie czyli parlamentarzyści? I czy nie w ten właśnie sposób politycy interweniują coraz głębiej „we wszystkie dziedziny życia pozbawiając ludzi autonomii"? To sędziowie stworzyli – ex nihilo? - prawo antyaborcyjne stanowiące interwencję w życie osobiste kobiet w Polsce? Przepraszam za ten „terror logiki", ale bez niego nie sposób wykazać manipulacji czy nawet szwindlu pojęciowego, za sprawą którego uzasadnia się dążenie władz prawodawczych i wykonawczych do obezwładniania systemu sądowniczego. A właśnie w ten sposób działała słusznie miniona ekipa przy okazji robiąc publiczności wodę z mózgu za pomocą zawłaszczonych mediów publicznych. Proste?

Nigdy dość przypominać, że podstawową ideą wodza pisów było i jest odrzucenie – bo prezes lubi „trudne" terminy – „imposybilizmu prawnego" czyli ograniczania przez prawa i procedury inicjatyw władzy wykonawczej. Stąd też oczywista stała się dążność do ubezwłasnowolnienia „kasty sędziowskiej", która stoi na straży owych praw i procedur. Nie bez kłopotów, ale w efekcie udało się stworzyć taki bałagan prawny, że w zasadzie niemal wszystko, co dotąd było niemożliwe, stało się możliwe – prócz wymiany konstytucji. Ale jedno pociąga za sobą drugie – zrekompensowano to sobie poprzez procedury „wymiany elit", a że szło opornie, o tym świadczą bezskuteczne zabiegi byłego ambasadora w RFN, który jednemu z wydawnictw niemieckich usiłował wcisnąć bezskutecznie książkę Bronisława Wildsteina, a zapewne nie był to jedyny zabieg promujący nowe polskie elity za granicą, udała się natomiast akcja przejęcia mediów publicznych.

Teza o osobliwie niebezpiecznym środowisku sędziowskim – ogólniej: prawniczym – umacnia się w środowiskach postpisowskich z godną uwagi mocą. Oto bowiem w artykule *Jak prawnicy niszczą Rzeczpospolitą* autorstwa Mikołaja Drozdowicza pomieszczonym na łamach „Do Rzeczy" (nr 9/2024) czytamy: „Rolę dawnej rozpasanej magnaterii przejęła obecnie arystokracja prawnicza. Należy odebrać państwo oszalałym prawnikom, a przywrócić je obywatelom". Charakteryzując tych arystokratów podkreśla autor: „Ludzie w dużej części pozbawieni zasad, cyniczni, zaprzedający się interesom oraz ideologii. (…) Najpoważniejszym atrybutem współczesnego prawnika jest umiejętność budowania narracji, a raczej wpisywanie się w trendy wyznaczone na antenie TVN czy na łamach „Gazety Wyborczej". W zamian za podążanie z nurtem niektórzy dostają swoiste imprimatur. Od tej pory ich opowieść o prawie zastępuje samo prawo". I wreszcie rzecz najważniejsza: „Zanim PiS zajął się reformą sądów (notabene delikatnie ujmując, niezbyt udaną), sędziowie w niczym niezakłócony sposób wybierali sami siebie. (…) To tak, jakby zaprzestać organizacji wyborów parlamentarnych i uznać, że odtąd posłowie będą sami wybierać swoich następców na zasadzie kooptacji". I wreszcie cytacik najsmaczniejszy: „Dokonana przez PiS zmiana wyboru sędziowskich członków KRS w istocie sprowadzała się do usunięcia wadliwej konstytucyjnie praktyki polegającej na uniezależnieniu sądów nie tylko od innych władz, lecz także od suwerena". Czytam to i się zastanawiam czy Drozdowicz, Mikołaj Drozdowicz bardzo by się cieszył, gdyby lekarz mający go operować był wybierany na swe stanowisko nie przez gremia profesjonalistów, lecz przez reprezentujących suwerena parlamentarzystów. Jeśli tak, to może zrezygnujmy z kształcenia medyków i zdajmy się na umiejętności babek i znachorów, co zresztą wielu pacjentów, wobec bezradności medycyny, czyni. W końcu lud ma swą mądrość, z której bogactwa możemy odważnie czerpać. Czemu nie?

A może wreszcie należy ludziom opowiadać nie te koszałki-opałki na temat „kasty sędziowskiej", lecz - jak choćby w filmie *Bogowie* poświęconym profesorowi Zbigniewowi Relidze – przekazywać rzetelną wiedzę o kształceniu profesjonalistów, także prawników. Oczywiście – najwyższej klasy specjaliści, niezależnie od dziedziny, jakiej się poświęcają, tworzą jej arystokrację i nie ma powodów, by określenie to uznać za pejoratywne, wręcz przeciwnie. W sądownictwie arystokratyzm ten wyraża się w kunszcie operowania przepisami prawa i znajomości procedur. I wyraźnie należy tu podkreślić: prawa obowiązujące w państwie nie są przez owych arystokratów ustanawiane – ustanawiają je parlamentarzyści czyli przedstawiciele owego suwerena, o którego rolę w stanowieniu praw upomina się Drozdowicz i jego kompania. I zapewne długo jeszcze trzeba będzie wysłuchiwać pseudoprawniczego bełkotu tych, którzy pragną się wyzwolić od „terroru praworządności", lecz czas najwyższy, by ludziom uświadamiać, że to oszustwo i spokojnie tłumaczyć, jak chłop krowie na pastwisku, że tym, którzy o owym „terrorze" ględzą, chodzi po prostu o prawo do samowoli, a w ostatecznym rachunku do ustanowienia czegoś na kształt rosyjskiego *samodierżawia* czyli, mówiąc po polsku, zamordyzmu.

że jesteśmy, tu i teraz, prawożądni

Ponawianie prób zainstalowania podobnego systemu zapewne nie zabraknie i w przyszłości, lecz „ostatnie osiem lat", mam nadzieję, stanowić winno skuteczną szczepionkę przeciw podobnej zarazie. Nie znaczy to, oczywiście, że sędziowie, podobnie jak lekarze, nauczyciele czy inżynierowie nie będą dotknięci skłonnością do nadużyć czy innych niedoskonałości, lecz to można przecież zwalczać w sposób cywilizowany i zgodny z prawem. Póki co, trwać będzie – a nie jest to proces łatwy, szybki i bezbolesny – przywracanie trójpodziału władzy. Tymczasem okraczne wizje zwolenników utrzymywania istniejącego zamtuza prawnego wyrażają się w logorei, której przykładem jest pisanina Drozdowicza: „Skutki działalności współczesnej prawniczej arystokracji mogą być podobne do działań rozpasanej XVIII-wiecznej polskiej magnaterii. Istnieje prawdopodobieństwo, że w XXI w. Polska upadnie nie na skutek rozbiorów, wojny czy okupacji, lecz na sali sądowej. Tracąc niepodległość lub inne atrybuty państwowe, wskutek akcji podjętej przy udziale prawników walczących o „praworządność", „tolerancję" czy występujących w obronie interesów UE. Warto o tym pamiętać, emocjonując się bieżącymi wydarzeniami politycznymi, które niczym zła krew zatruwają wspólnotę narodową, odbierając ludziom rozum oraz zdolność do racjonalnej oceny rzeczywistości".

Powiało grozą. Gdy dodać do tego nadciągające hufce dżenderów i elgebetów, włos się na głowie jeży. By jakoś te lęki przepędzić proponuję zachować spokój, przywołać sędziów i wyraźnie powiedzieć, że jesteśmy, tu i teraz, **prawożądni**. Inaczej należy się obawiać, że obudzimy się w krainie obłąkańców.

Leszek Szaruga

Migotania polecają

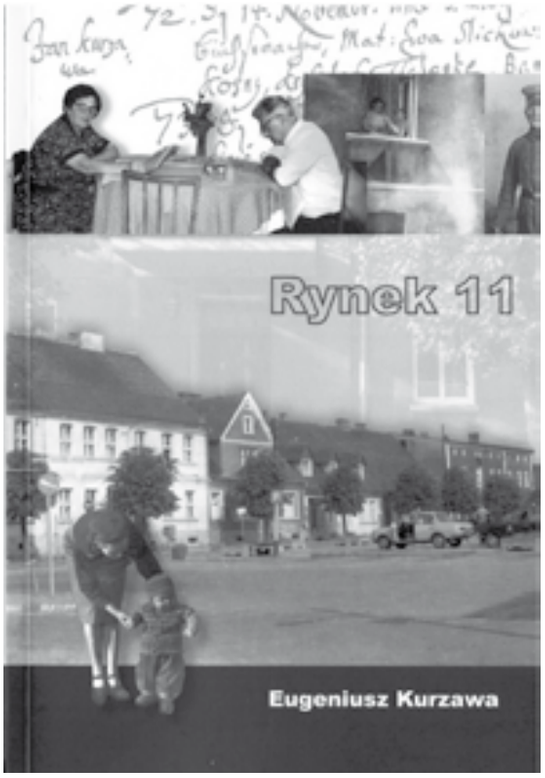

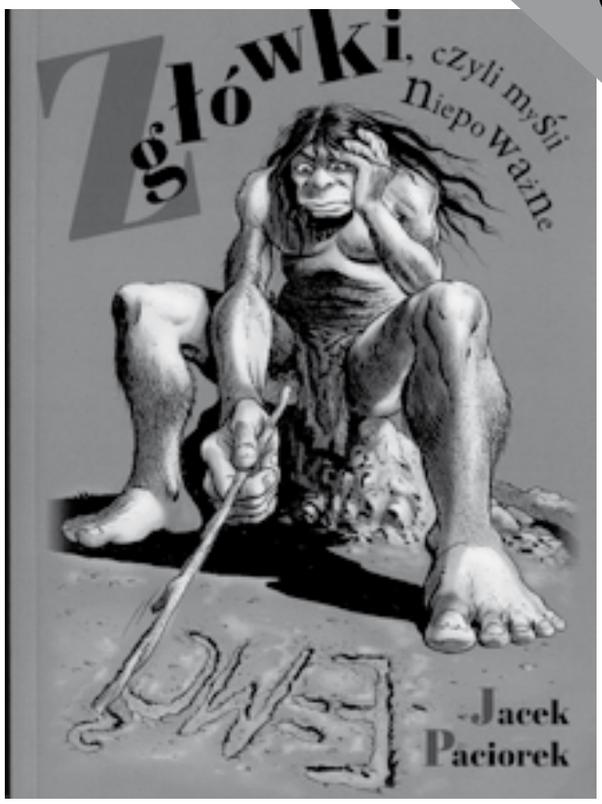

Zbigniew Majchrowski

Gala Pomorskiej Nagrody Artystycznej 2022 w Gdansku

Badacz literatury, czynny krytyk (i znawca) teatru, twórca Zakładu Antropologii Literatury i Krytyki Artystycznej na Uniwersytecie Gdańskim, z którym był związany (od 2007 roku jako profesor zwyczajny) przez całą swoją karierę naukową i literacką.

I to właśnie na Uniwersytecie Gdańskim, jeszcze w latach 70. XX wieku, wszystko się zaczęło. Uczelnia była młoda, działała (jako uniwersytet) od kilku lat, przyciągała studentów, ale też młodych pracowników nauki, z różnych stron. Było to środowisko zróżnicowane, ale kolorowe i twórcze. To wtedy ujawniła się formacja poetycka Grupy „Wspólność" (zwana później „nową prywatnością), wtedy również swoje najlepsze gdańskie lata miała profesor Maria Janion, niekwestionowany autorytet i Mistrzyni gdańskiej polonistyki.

Zbyszek Majchrowski potrafił odnaleźć się i zaistnieć w obu tych środowiskach. Współredagował „Litteraria", brał udział w ówczesnym życiu literackim, ale szybko stał się także ważną postacią seminariów i konwersatoriów Marii Janion, stając się jednym z redaktorów „Transgresji" – serii trzech tomów antologii, stanowiących prawdziwy przełom w rozwoju polskiej humanistyki.

Jego późniejsze zainteresowania naukowe i pisarskie skupiały się zawsze wokół tematów najważniejszych – pisał o Mickiewiczu (zwłaszcza „Dziadach"), Gombrowiczu, czy Różewiczu, którego był wybitnym znawcą, badaczem i w końcu, mimo różnicy pokoleń, przyjacielem.

A równocześnie nie zapominał o teatrze, który był jego szczególną miłością przez dziesięciolecia i któremu potrafił ofiarować wiele, odbywając całonocne podróże pociągiem do Rzeszowa czy Legnicy, by zobaczyć wyczekiwane przedstawienie. Ta miłość, choć wierna, nie była ślepa – w swej twórczości recenzenckiej bywał Zbyszek bardzo surowy i krytyczny, zwłaszcza dla popkulturowych interpretacji przełomów społecznych. Głośna była swego czasu Jego recenzja z „Kolędy-nocki" w Teatrze Muzycznym w Gdyni, ostatnio – z musicalu „1989" w GTS.

Po latach mam poczucie, iż to właśnie Zbyszek pozostał „ostatnim wiernym" uczniem i kontynuatorem dzieła Marii Janion. Za takiego zresztą sam się uważał. Pozostanie dla mnie postacią wyjątkową na tle tych trudnych rozwichrzonych dziesięcioleci – wybitnym intelektualistą, kroczącym samotnie własną ścieżką, często w poprzek mód intelektualnych czy klimatów politycznych. Za tę samotność płacił często wysoką cenę; nie był łatwym partnerem intelektualnym, krytykiem, a wreszcie – wykładowcą. Nie zawsze „dawał się lubić". Ale nigdy nie dawał się pominąć czy zignorować, pozostając wyjątkową postacią gdańskiej humanistyki.

Na wydanie czeka ostatnia książka Zbigniewa Majchrowskiego – „Trans-dygresje. Eseje o przekraczaniu granic". Ma ukazać się wkrótce nakładem wydawnictwo słowo / obraz Stanisława Rośka. Będzie to dobry powód, by wrócić na łamach „Migotań" do postaci i dzieła Zbigniewa Majchrowskiego w obszerniejszej formie.

Zbyszek zmarł 21 grudnia ub. roku w Gdańsku, po długiej i ciężkiej chorobie.

Władysław Zawistowski

Najważniejsze książki Zbigniewa Majchrowskiego:

Poezja jak otwarta rana". Czytając Różewicza, PIW, Warszawa 1993

Gombrowicz i cień wieszcza , Wyd. Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1975

Cela Konrada. Powracając do Mickiewicza, Wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1998

Różewicz, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 2002 [seria „A to Polska właśnie"]

Mickiewicz i wiek dwudziesty , Wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006

Krypta Gustawa, Wyd. Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Warszawa 2021.

EWA BOGUCKA-PUDLIS

PLAKATY ARTYSTYCZNY

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury
Migotania

DEBIUT POETYCKI

URSZULA MIKOŁAJCZYK

Staruszek

po drodze miejskiej jedzie staruszek wieczorem
na rowerze i płacze i często mrugając
pedałuje powoli, usuwa się autom
i trzyma kurczliwie starej kierownicy

i mija mnie i jedzie na wschód, z dala od słońca
tak jakby cień swój gonił, lub chciał go wyprzedzić
i tak patrzy przed siebie jak gdyby tam widział
swego żalu powody lub obiekt tęsknoty

i mija mnie, i jedzie, dalej, gdzie nie widzę
i nie wiem, czy to przeżył i czy przestał płakać
czy zawrócił czy skręcił czy upadł pod koła

i nie wiem, czy go spotkam może jeszcze kiedyś
i oczu nie podniosę, i nie ujrzę bólu
lub tej cichej nadziei, niewyprasowanej

PLAKAT POETYCKI

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania